



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# Wisząca dziewczyna

Jussi  
**Adler-Olsen**

**Jussi**  
**Adler-Olsen**  
**Wisząca**  
**dziewczyna**

Z języka duńskiego przełożyła  
Joanna Cymbrykiewicz



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
*Den grænseløse*

Copyright © Jussi Adler-Olsen and JP/Politikens Hus A/S, København 2014

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Joanna Cymbrykiewicz  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Marta Chmarzyńska, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-910-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło.

A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E - wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Dedykacja

prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

epilog

## Przypisy

Dziękuję mojej małżonce i bratniej duszy, Hanne, za podtrzymywanie na duchu podczas długiego procesu twórczego nad projektem Departamentu Q. Dziękuję Henningowi Kure za wstępną redakcję, kwerendę na temat kultów solarnych i krzepiące uwagi. Składam podziękowania Elisabeth Ahlefeldt-Laurvig za kwerendę i pomysłowość. Podziękowania należą się też Eddiemu Kiranowi, Hanne Petersen, Mischy Schmalstiegowi i Karłowi Andersenowi za celne i wnikliwe komentarze, a mojej redaktorce Anne C. Andersen za doskonałą współpracę.

Dziękuję Lene Juul i Charlotte Weiss z wydawnictwa Politiken za pokłady cierpliwości. Podziękowania dla Helle Skov Wacher za informowanie na bieżąco czytelników i ciepłe słowa. Za schronienie na czas pisania książki dziękuję Gitte i Peterowi Q. Rannesom, a także ośrodkowi dla pisarzy i tłumaczy Det Danske Forfatter- og Oversættercenter Hald. Sørenowi Pilmarkowi składam podziękowania za fantastyczny pobyt na Bornholmie, a Elisabeth Ahlefeldt-Laurvig za zorganizowanie pobytu w Tempelkrogen, dzięki któremu Henning Kure i ja odbyliśmy burzę mózgów.

Podziękowania kieruję też do komisarza policji Leifa Christensena za poprawki odnoszące się do policji. Dziękuję kolegom Carla Mørcka z komendy w Rønne za serdeczne przyjęcie i informacje na temat pracy bornholmskiej jednostki: komendantowi Peterowi Møllerowi Nielsenowi, prokuratorowi Martinowi Gravesenowi, komisarzowi Janowi Kragbækowi i podkomisarzowi policji Mortenowi Brandborgowi oraz miłej załodze dyżurki.

Dziękuję Svendowi Aagemu Knudsenowi z kościoła Østerlars Rundkirke. Za miłe przyjęcie, oprowadzenie po szkole i wspaniałe klopsiki należą się podziękowania pracownikom uniwersytetu ludowego Bornholms Højskole: głównej księgowej Marianne Koefoed, woźnemu Jørgenowi Kofoedowi, szefowej kuchni Karen Prætorius. Dziękuję też byłemu kierownictwu szkoły, Bente i Karstenowi Thorborgom za przyjemne i owocne popołudnie.

Karen Nørregaard i Anette Elleby z Listedhuset dziękuję za oprowadzenie i inspirujące rozmowy. Dziękuję Poulowi Jørgensenowi, Kastlösa Glashytta w Mörbylånga za gitarę heavymetalową i za podzielenie się ze mną tajemnicami i zagadkami Olandii i Alvaret.

Dziękuję Johanowi Danielowi „Danowi” Schmidtowi za stworzenie perfekcyjnego kłona mojego komputera i osładzanie mojego komputerowego żywota. Podziękowania płyną również do Nene Larsen za błyskawiczną przesyłkę kurierską do Barcelony. Mojej pani od PR z Niemiec, Beatrice Habersaat, należą się podziękowania za użyczenie nazwiska. Niech Peter Michael Poulsen, szypier z jednostki blokującej „Wuj Sam” przyjmie podziękowania za „zamianę nazwisk”. Kesowi Adlerowi-Olsenowi dziękuję za zapoznanie mnie z nagraniem „Zeitgeist”. Benny Thøgersen i Lina Pillora sprawili, że moje otoczenie podczas pisania było jeszcze miłsze, za co należą im się serdeczne podziękowania. Za rozweselenie mnie w Barcelonie jestem wdzięczny Arnemu i Annette Merrildom oraz Olafowi Slott-Petersenowi. Temu ostatniemu dziękuję też za podzielenie się doświadczeniem z zakresu hipnozy.

*Jakobowi Wæhrensowi i Stenowi Riberfeltowi z firmy GermanSolar Danmark A/S dziękuję za nieocenioną pomoc przy wymyślnych kwestiach technicznych i ogromną kreatywność w podejściu do konstrukcji systemów solarnych, ich wydajności i ewentualnego alternatywnego wykorzystania.*

*Cathrine Boysen z Oslo chciałbym podziękować za to, że udzielił mi się jej hart ducha. Można się od niej wiele nauczyć.*



Książkę dedykuję Vibsen i Elisabeth, dwóm silnym kobietom

## prolog

---

20 listopada 1997

Wszędzie tylko szarość. Migoczące cienie i tkliwa ciemność otulały ją jak koc i ogrzewały.

We śnie opuściła ciało i unosiła się w powietrzu jak ptak, nie, raczej jak motyl. Niczym wielobarwne, roztrzepotane dzieło sztuki, istniejące tylko po to, by nieść radość i wzbudzać podziw. Niczym istota zawieszona między niebem i ziemią, której czarodziejski pył mógł przynieść światu nieskończoną miłość i zadowolenie.

Uśmiechnęła się do tej myśli, takiej pięknej i czystej.

Bezkresna czerń walczyła teraz nad nią ze stłumionym migotaniem, jakby bladych gwiazd. Było to miłe, prawie jak puls, dyrygujący dźwiękami wiatru i szelestem liści.

Nie mogła się poruszyć, ale też wcale nie chciała. Wówczas obudziłaby się po prostu ze snu, nagle otoczyłaby ją rzeczywistość, pojawiłby się ból, a kto by chciał bólu?

Przed oczami przemykały jej miriady obrazów z radosnych czasów. Migawki z nią samą i z bratem, gdy skakali z piaszczystych klifów, z rodzicami krzyczącymi, że mają przestać. Przestańcie! – wołali.

Dlaczego zawsze mieli przestać? Czy to właśnie nie tam, na klifach, po raz pierwszy poczuła się wolna?

Uśmiechnęła się, gdy piękne snopy światła przepływały pod nią jak ławice fluorescencyjnych ryb. Wprawdzie nigdy nie widziała zjawiska fluorescencji, ale tak to musiało wyglądać. Fluorescencja albo płynne złoto w głębokich dolinach.

O czym to myślała?

Czy nie o wolności? Tak, musiało chodzić właśnie o nią, bo jeszcze nigdy przedtem nie czuła się tak wolna. Motyl będący panem samego siebie. Lekki, otoczony pięknymi ludźmi, którzy jej nie dokuczają. Wyciągające się ze wszystkich stron ręce, które pchają ją do przodu, życząc jej tylko dobra. Porywające pieśni, których nigdy wcześniej nie śpiewano.

Westchnęła i uśmiechnęła się przelotnie, a strumień myśli prowadził ją wszędzie i nigdzie zarazem.

Wtedy przypomniała sobie szkołę i rower, lodowaty poranek, przede wszystkim zaś szczykanie zębami.

I w tym momencie dopadła ją rzeczywistość, serce wreszcie się poddało i przypomniała sobie też huk, kiedy uderzył w nią samochód, trzask pękających kości, chwytające ją gałęzie drzewa, spotkanie, które...

Wtorek 29 kwietnia 2014

– Hej, Carl, obudź się! Znów dzwoni telefon.

Carl spojrział zaspanym wzrokiem na Assada w żółtym kostiumie przywodzącym na myśl przebranie karnawałowe. Gdy dziś rano zaczynał robotę, kombinezon miał kolor biały, a kędzierzawa głowa czarna, więc jeśli na ścianach znalazła się choćby odrobina farby, należało to poczytywać za cud.

– Zakłóciłeś mi wyjątkowo skomplikowany proces myślowy – powiedział Carl, niechętnie zdejmując nogi z biurka.

– Okej! Przepraszam! – W gąszczu dwudniowego zarostu Assada pojawiły się dołeczki. Co, u diabła, wyrażają te jego zadowolone, okrągłe oczy? Czyżby nutkę ironii?

– Wiem, że wczoraj byłeś zajęty do późna – ciągnął Assad. – Ale Rose dostaje szkwału, gdy telefon dzwoni bez przerwy, więc możesz go następnym razem odebrać?

Carl skierował wzrok na wpadające przez piwniczne okno jasne, ostre światło. „Uch, może je przyćmić tylko dym z papierosa” – pomyślał, sięgając po paczkę i kładąc nogi na biurko. Wtedy telefon znów się odezwał.

Assad ponaglił go gestem i zniknął w drzwiach. Ta dwójka głupoli z sąsiedztwa zaczęła się ostatnio zanadto rządzić.

– Mørck – ziewnął do leżącej na biurku słuchawki.

– Halo! – odezwał się głos.

Carl niedbałym gestem podniósł słuchawkę do ust.

– Z kim rozmawiam?

– Czy to Carl Mørck? – spytał głos z bornholmskim zaśpiewem.

Zdecydowanie nie był to dialekt, od którego Carlowi miękłyby kolana. Coś w rodzaju kiepskiego szwedzkiego z wieloma gramatycznymi nieporozumieniami, do tego użyteczny tylko na tej małej wysepce.

– Tak, mówi Carl Mørck. Chyba właśnie się przedstawiłem?

Po drugiej stronie rozległo się westchnienie, najwyraźniej pełne ulgi.

– Tutaj Christian Habersaat. Poznaliśmy się ponad dwadzieścia lat temu, ale pewnie mnie nie pamiętasz.

„Habersaat?” – pomyślał Carl. „Z Bornholmu?”

Próbował grać na zwłokę.

– Ależ tak, to znaczy...

– Pełniłem służbę na komendzie w Nexø, kiedy ty z jakimś przełożonym przyjechaliście tu przed laty, by zabrać aresztanta do Kopenhagi.

Carl wyteżył pamięć. Pamiętał dobrze transport więźnia, ale Habersaata?

– Tak, faktycznie ... – odparł, sięgając po papierosa.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale może miałbyś chwilę, by mnie wysłuchać? Czytałem, że właśnie zamknęliście trudną sprawę cyrku w Bellahøj. Powinszowania, choć to musi być frustrujące, kiedy sprawca odbiera sobie życie przed zapadnięciem wyroku.

Carl wzruszył ramionami. Rose się faktycznie tym wkurzyła, ale Carl miał to gdzieś. Przynajmniej o jednego dupka na świecie mniej.

– Okej, ale nie dzwonisz z powodu tej sprawy? – Zapalił papierosa i odchylił głowę do tyłu. Była dopiero druga, trochę za wcześnie, by wystukać się z codziennego limitu ćmików, więc może lepiej go zwiększyć.

– I tak, i nie. Dzwonię zarówno z powodu tej właśnie sprawy, jak i z powodu wszystkich innych, które w imponującym stylu wyjaśniliście w ciągu ostatnich paru lat. Jak mówiłem, pełnię służbę w policji na Bornholmie, aktualnie w Rønne, ale na szczęście jutro przechodzę na emeryturę. – Próbował się zaśmiać, ale był to śmiech wymuszony. – Czasy się zmieniły i praca przestała sprawiać mi frajdę. Pewnie większość z nas się tak czuje, ale jeszcze dziesięć lat temu wiedziałem o wszystkim, co dzieje się w prawie całej centralnej części wyspy i na wschodnim wybrzeżu. Właściwie dlatego dzwonię.

Carl zwiesił głowę. Jeśli koleś chce wcisnąć im jakąś sprawę, to lepiej niech sobie odpuści już teraz. W każdym razie Mørck nie miał ochoty prowadzić dochodzenia na wyspie, której specjalnością są wędzone śledzie i która leży znacznie bliżej Polski, Szwecji i Niemiec niż Danii.

– Dzwonisz, żebyśmy spojrzeli na jakąś twoją sprawę? Bo jeśli tak, to obawiam się, że muszę odesłać cię do kolegów z wyższych pięt. W Departamencie Q mamy po prostu za dużo roboty.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a potem połączenie przerwano.

Zdezorientowany Carl wlepił wzrok w słuchawkę, po czym cisnął ją na miejsce. Skoro tak łatwo tego idiotę przepłoszyć, to na nic innego nie zasługuje.

Pokręcił głową i ledwie zdążył zamknąć powieki, kiedy to dziadostwo znów się rozdzwoniło.

Wziął głęboki wdech. Niektórym ludziom trzeba tłumaczyć wszystko dużymi literami.

– TAK?! – wrzasnął. Może kretyn się wystraszy i znów rzuci słuchawkę.

– Yyy, Carl?! To ty? – Nie był to głos, którego się spodziewał.

Zmarszczył brwi.

– Mama? – spytał ostrożnie.

– Bardzo się przestraszyłam, kiedy tak ryknąłeś! Gardło cię boli, skarbenku?

Carl westchnął. Wyprowadził się z domu ponad trzydzieści lat temu. Od tej pory miał do czynienia z agresywnymi przestępcami, alfonsami, podpalaczami, mordercami oraz wieloma zwłokami w różnych stadiach rozkładu. Został postrzelony. Ucierpiąca jego zuchwa, grzbiet dłoni, życie prywatne i aspiracje społeczne prowincjusza z północnej Jutlandii. Trzydzieści lat temu strząsnął ziemię z gumiaków, przyobiecując sobie raz na zawsze, że sam będzie decydował o swoim życiu, a z rodzicami może mieć kontakt lub go nie mieć według własnego widzimisię. Jakim więc cudem, do cholery, matka wciąż jednym zdaniem umiała sprawić, że czuł się jak niemowlak?

Carl potarł oczy i wyprostował się na krześle. Zapowiada się bardzo długi dzień.

– Nie, mam, wszystko w porządku. Po prostu są tu robotnicy, słabo słyhać.

– Aha, dzwonię do ciebie z bardzo przykrego powodu.

Carl zacisnął usta, próbując wywnioskować coś z jej tonu. Czy jest smutna? Czy za sekundę powie mu, że ojciec nie żyje? Podczas gdy Carl nie był u nich od ponad roku?

– Tata nie żyje? – rzucił.

– Broń cię Panie Boże, skąd, ha, ha. Siedzi tu koło mnie i pije kawę. Dopiero co wrócił z chlewu, kastrował prosiaki. To twój kuzyn Ronny nie żyje.

Carl zdjął nogi z biurka.

– Ronny? Nie żyje? Jak to?

– Zasłabł nagle podczas masażu w Tajlandii. Czy to nie potworna wieść w taki piękny, wiosenny dzień?

„W Tajlandii podczas masażu” – powiedziała. No tak, czego się można było spodziewać?

Carl próbował znaleźć sensowną odpowiedź. Jakoś żadna mu się nie nasuwała.

– Owszem, potworna – stwierdził z przymusem, próbując odsunąć od siebie szpetne wyobrażenie nalanego cielska kuzyna w ostatniej, niewątpliwie przyjemnej, godzinie.

– Sammy tam leci, by przytransportować tu ciało i rzeczy Ronny’ego. Lepiej wszystko przywieźć do domu, nim rozwłoką to po każdym kącie – stwierdziła. – Sammy jest zawsze taki praktyczny.

Carl skinął głową. Skoro sprawą zajął się brat Ronny’ego, to szykuje się sortowanie rodem z jutlandzkiej wsi: łajno na stertę, to, co wartościowe, do walizki.

Pomyślał o wiernej żonie Ronny’ego, dzielnej, drobnej Tajce, która zasługiwała na lepszy los. Ale po wizycie szwagra w udziale przypadną jej zapewne tylko bokserki w chińskie smoki. Tak to już jest.

– Ronny był żonaty, mam. Sammy nie może ot, tak sobie zagarnąć wszystkiego dla siebie.

Zaśmiała się.

– Ach, znasz Sammy’ego, poradzi sobie. Poza tym zostaje tam na jakieś dziesięć, dwanaście dni. Mówi, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wygrzać schabiki, skoro i tak jedzie tak daleko,

no i jak zawsze ma rację. Zmyślny chłopak z tego kuzyna Sammy'ego.

Carl skinął głową. Na jedyną istotną różnicę między Ronnym i jego młodszym bratem Sammym składała się jedna samogłoska i trzy spółgłoski. Żaden mieszkaniec północnych fiordów nie miał wątpliwości co do ich pokrewieństwa, bo byli do siebie podobni jak dwie krople smarków. Gdyby jakiś producent filmowy nagle zapragnął zatrudnić chełpliwego, egocentrycznego i zupełnie nieobliczalnego fircyka w pstrokatej koszuli, to Sammy nadawał się do tej roli idealnie.

– Pogrzeb zaplanowali na dziesiątego maja tutaj w Brønderslev – ciągnęła matka. – Cudownie, że cię znów zobaczymy, synku.

Matka przeszła do mało zaskakującej wyliczanki codziennych aktywności rodziny rolniczej z północnej Jutlandii ze szczególnym uwzględnieniem hodowli trzody chlewnej i szwankującego biodra Mørcka seniora. Potem jak zwykle mieszała z błotem polityków z Christiansborga i pomarudziła na jakieś inne, deprymujące tematy, ale Carl myślał tylko o nieładnych słowach z ostatniego maila Ronny'ego.

Mail miał zapewne stanowić groźbę pod jego adresem, co wyjątkowo zaniepokoiło i sfrustrowało Carla. W którymś momencie doszedł nawet do wniosku, że kuzyn zamierzał go szantażować za pomocą tych bredni. Czy aby nie należał do ludzi, którym mogłoby to przyjść do głowy? Poza tym przecież zawsze brakowało mu pieniędzy.

Mørckowi się to nie podobało. Znów ma się zajmować tym żalonym oskarżeniem? Była to oczywiście wierutna bzdura, ale jak się mieszka w kraju Andersena, to człowiek wie, jak szybko piórko może stać się pięcioma kurami. A takie pięć kur na jego szanowanym stanowisku i do tego z szefem w osobie Larsa Bjørna raczej mu się nie marzyło.

Co ten Ronny kombinował, do cholery? Przy wielu okazjach bredził coś o tym, że zabił własnego ojca, co już samo w sobie było fatalne. Ale jeszcze gorsze było to, że idiota wciągnął w to bagno też Carla, twierdząc publicznie, że mordu dokonali we dwóch podczas wyprawy na ryby, a w swoim ostatnim niechlubnym mailu informował Mørcka, że spisał tę historię w formie książkowej i spróbuje ją opublikować.

Od tamtej pory Carl nic na ten temat nie słyszał, ale zasadniczo była to główniana historia, której rychły koniec chętnie by zobaczył, szczególnie że facet nie żyje.

Znów sięgnął po papierosy. Nie ulega wątpliwości, że musi pojechać na ten pogrzeb. Wtedy okaże się pewnie, czy Sammy'emu udało się wydrzeć część spadku żonie Ronny'ego. Na Wschodzie sprawy spadkowe potrafiły kończyć się brutalnie i można oczywiście mieć nadzieję, że w tym przypadku też tak będzie. Ale wydawało się, że mała Tuputup, czy jak tam było żonie Ronny'ego, jest ulepiona z innej, lepszej gliny. Zapewne zechce zachować to, co jej przypadło w udziale, i to, co uciulała, a resztę odpuści, łącznie z rzekomymi ambicjami literackimi Ronny'ego.

Nie, wcale by się nie zdziwił, gdyby Sammy'emu udało się przytaszczyć te notatki ze sobą. W takim razie lepiej je przechwycić, zanim zaczną krążyć po rodzinie.

– Ronny był pod koniec życia dość bogaty, wiedziałeś o tym? – pisnęła matka gdzieś w tle. Carl uniósł brwi.

– Coś takiego, serio? W takim razie można przyjąć, że handlował narkotykami. Jesteś pewna, że nie skończył z pętlą na szyi za grubymi murami tajlandzkiego więzienia?

– Och, synu. Zawsze byłeś takim zabawnym dzieckiem – zaśmiała się.

Dwadzieścia minut po rozmowie z bornholmskim policjantem w drzwiach stanęła Rose, ze źle skrywanym obrzydzeniem opędzając się od kłębow tytoniowego dymu.

– Carl, rozmawiałeś niedawno z inspektorem Habersaatem?

Wzruszył ramionami. Akurat o tej rozmowie specjalnie teraz nie myślał. Kto wie, co Ronny o nim ponawypisywał?

– Spójrz na to. – Rzuciła mu przed nos kartkę papieru. – Dostałam ten mail przed dwiema minutami. Może powinienesz do faceta zadzwonić?

Na wydruku widniały dwa zdania, które jeszcze bardziej popsuky nastrój w gabinecie na resztę dnia.

Departament Q był moją ostatnią nadzieją. Nie mam już siły.

C. Habersaat

Carl spojrział na Rose. Kręciła głową jak jędra, która położyła krzyżyk na swoim małżeństwie. Nie podobało mu się takie podejście, ale z Rose lepiej nie zaczynać. Lepsze dwa uderzenia w policzek w ciszy niż dwie minuty marudzenia i problemów. Tak to między nimi funkcjonowało, a Rose była w głębi serca w porządku, choć czasami owa głębia okazywała się dość przepastna.

– Coś takiego! Ale skoro to ty dostałaś maila, weź to na siebie. Potem możesz mi powiedzieć, co z tego wynikło.

Zmarszczyła nos, aż popękała na nim warstwa bielidła.

– Wiedziałam, że to powiesz. Dlatego oczywiście natychmiast do niego zadzwoniłam, ale odezwała się poczta głosowa.

– Hm. W takim razie zakładam, że nagrałaś wiadomość, że zadzwonisz jeszcze raz, prawda? Gdy potwierdziła, nad jej głową zawisła ciemna chmura i tak już zostało.

Dzwoniła pięć razy, ale gość po prostu nie odbierał.

Środa 30 kwietnia 2014

Zazwyczaj przyjęcia pożegnalne na cześć odchodzących pracowników odbywały się na komendzie policji w Rønne, ale właśnie tego Habersaat nie chciał. Od czasu gdy przeprowadzono reformę policji, dobre i zażyłe kontakty z miejscowymi obywatelami i wiedza o tym, co dzieje się na wschodnim wybrzeżu wyspy, ustąpiły miejsca nieustannemu jeżdżeniu tam i z powrotem ze wschodu na zachód. Nagle pomiędzy zdarzeniem a realną interwencją wyrosło ileś tam decyzji, które trzeba było podjąć. Traciło się czas, ślady się zacierały, sprawcy umykali.

– Nastaly złote czasy dla szumowin – mawiał zawsze, jakby ktokolwiek chciał go słuchać.

Tak więc Habersaatowi w ogóle nie podobał się kierunek, w którym podąża społeczeństwo w skali globalnej i lokalnej. Nie chciał, by popierający ten system koledzy, którzy nawet go nie znają i nie mają pojęcia o czterdziestu latach jego wiernej służby, pojawili się na przyjęciu pożegnalnym jak stado baranów, udając, że składają mu wyrazy uznania.

W związku z tym podjął decyzję, że pożegnanie przebiegnie w scenerii miejscowej świetlicy w Listed, zaledwie sześćset metrów od jego domu. Zważywszy na to, co zaplanował na tę okazję, powinno to być pod wieloma względami właściwsze.

Stał przez chwilę przed lustrem, przyglądając się swojemu mundurowi galowemu i widząc fałdy, które utworzyły się w materiale w wyniku wieloletniego braku użytkowania. I kiedy starannie i niezdarnie prasował spodnie na desce, której nigdy przedtem nawet nie próbował rozłożyć, przesunął wzrokiem po pokoju, będącym niegdyś ciepłym i tętniącym życiem salonem jego rodziny.

Od tej pory upłynęło już prawie dwadzieścia lat i przeszłość miotala się teraz jak niespokojne, zagubione zwierzę między zwałami szpargałów i rupieci, o których nikt nie pamiętał.

Habersaat pokręcił głową. Patrząc wstecz, sam siebie nie rozumiał. Dlaczego dopuścił, by miejsce normalnych książek na regałach zajęły wszystkie te kolorowe segregatory? Dlaczego wszędzie wałły się kserokopie i wycinki z gazet? Dlaczego skupił całe swoje życie na pracy, a nie na ludziach, którym kiedyś na nim zależało?

Choć jednak chyba rozumiał.

Schylił głowę, próbując dać wyraz uczuciom, które go nawiedziły, ale łzy nie popłynęły, może już dawno je wylał. Owszem, oczywiście, że wiedział, dlaczego wszystko się tak



potoczyło. Przecież musiało.

Odetchnął głęboko, wygładził mundur na stole, wziął wysłużoną ramkę na zdjęcia i czule pogłaskał tkwiącą w niej fotografię, jak to czynił setki razy wcześniej. Gdyby tak mógł odzyskać stracone dni. Gdyby mógł zmienić swoją naturę, cofnąć decyzje i po raz ostatni poczuć bliskość swojej małżonki i dorosłego syna.

Westchnął. W tym pokoju, na kanapie kochał się ze swoją piękną żoną. Na tym dywanie kładł się ze swoim synkiem, gdy ten był całkiem malutki. To tutaj rozpoczęły się kłótnie i tutaj naszała go i pogłębiła się jego depresja.

W tym salonie jego żona w końcu napłuła mu w twarz i raz na zawsze zostawiła go w życiu samego ze świadomością, że na drodze jego szczęścia stanęła banalna sprawa.

Owszem, kiedy to wszystko się zaczęło, stracił grunt pod nogami i wpadł w permanentne przygnębienie. A jednak nie potrafił odpuścić tej sprawy. Niestety, nie potrafił i były ku temu powody.

Wstał. Poklepał stertę notatek i wycinków, opróżnił popielniczkę i wyniósł śmieci z tygodniową porcją pustych, grzechoczących konserw. Na koniec sprawdził jeszcze raz kieszenie, czy aby o czymś nie zapomniał i czy mundur galowy leży, jak powinien.

Potem otworzył drzwi.

Mimo wszystko Habersaat spodziewał się, że na przyjęciu pojawi się więcej osób. Choćby ci, którym na przestrzeni lat pomógł w trudnych chwilach, ale może też ci, którym osłodził niesprawiedliwości i pomógł wyplątać się z trudnych sytuacji. W każdym razie oczekiwał, że zobaczy kilku dawnych kolegów, którzy odeszli ze służby w Nexø przed nim, i może też paru obywateli, którzy przez lata współtworzyli wraz z nim, tę małą społeczność. Ale gdy przekonał się, że karnie stawili się tylko przewodnicząca i księgowia stowarzyszenia mieszkańców, komendant policji i jego najbliżsi podwładni oraz reprezentant związku policjantów, nie licząc tych pięciu czy sześciu osób, które osobiście zaprosił, odpuścił długą przemowę i postanowił zdać się na los.

– Dziękuję, że przyszliście w ten piękny, słoneczny poranek – powiedział i skinął do swojego dawnego prawie sąsiada Sama, by zaczął filmować. Następnie nalał białego wina do plastikowych kubeczków i przesypał orzeszki i chipsy do foremek z folii aluminiowej. Jakoś nikt nie zaproponował, że mu pomoże.

Przysunął się o krok i zaprosił zebranych, by wzięli kubeczki. I kiedy zbierali się przed nim, dyskretnie wsunął rękę do kieszeni i odbezpieczył pistolet.

– Na zdrowie, drodzy państwo. – Skinął głową każdemu z osobna. – Tyle miłych twarzy w tym ostatnim dniu – mówił z uśmiechem. – Dziękuję, że mimo wszystko przyszliście. Przecież wiecie, przez co przeszedłem i że kiedyś byłem taki jak większość ludzi, a już na pewno policjantów. Jestem pewien, że ci z was, którzy jeszcze są w miarę na chodzie, wciąż

pamiętają mnie jako cichego i spokojnego faceta, który potrafił przekonać rozsierdzonego rybaka, by wypuścił z pięści stłuczoną szyjkę butelki.

Sam podniósł przed kamerą wyprostowany kciuk, ale tylko jedna osoba z pozostałych kiwnęła głową. A jednak tu i tam spuszczone oczy potwierdzały jego słowa.

– Oczywiście jest mi przykro, że potem dałem się już poznać wyłącznie jako ktoś, kto zaharowywał się dla beznadziejnej sprawy i kto na koniec postawił krzyżyk na własnej rodzinie, przyjaźniach i radości życia. Chciałbym za to przeprosić, tak jak chciałbym przeprosić za swoje wieloletnie zgorzknienie. Powinienem był dać sobie spokój zawczasu. Jeszcze raz za to przepraszam.

Zwrócił się do przełożonych i uśmiech zniknął, a dłoń w kieszeni zacisnęła się na rękojeści pistoletu.

– Wam, koledzy, chciałem powiedzieć, że piastujecie swoje stanowiska zbyt krótko, by ponosić osobistą odpowiedzialność za moje zgrzyoty. Wykonujecie powierzoną wam pracę bez zarzutu, kierując się tym, co dyktują wam nierozumni politycy. Ale wielu waszych dawnych kolegów i poprzedników z innych czasów zawiodło swoim brakiem wsparcia nie tylko mnie. Zawiedli też młodą kobietę swoją obojętnością i bezmyślnością. Właśnie za ten zawód chcę teraz odpłacić pogardą temu systemowi, na którego straży stoicie, systemowi, przez który policja nie może rozwiązywać spraw, a przecież do tego nas powołano. Dziś liczą się statystyki, a nie dogłębne śledztwo. I mówię wam: niech mnie piekło pochłonie, ale nie przejdę nad tym do porządku dziennego.

Przedstawiciel związku policjantów zaprotestował cicho, jakżeby inaczej. Ktoś inny robił Habersaatowi wyrzuty, że taki ton nie przystaje do okazji.

On skinął głową. Mieli rację. To było nieodpowiednie, podobnie jak większość rzeczy, o których przez tyle lat im truł. Ale teraz już koniec. Trzeba postawić kropkę nad i, dopilnować, żeby koledzy nigdy nie zapomnieli tego dnia. I czy tego chciał, czy nie, wybiła godzina.

Wyszarpnął pistolet z kieszeni, w wyniku czego rozpierzchły się najbliższe znajdujące się osoby.

Przez krótką chwilę zobaczył lęk i przerażenie kumulujące się w ciałach jego przełożonych, kiedy skierował ku nim pistolet.

I stało się.

Noc minęła zwyczajnie, więc Carl rozpoczął pracę od walnięcia nóg na biurko, chcąc nadrobić zaległości w spaniu. Po zakończeniu spraw z minionych miesięcy, kolejny okres obfitował w wiele skrajnych uczuć. W sferze osobistej miesiące zimowe prezentowały się nieciekawie, a służbowa, wobec rosnącej od prawie trzech lat niechęci do podporządkowania się niepewnemu autorytetowi Larsa Bjørna, też nie przysparzała mu radości. Do tego jeszcze sprawa z Ronnym i niepewność, którą budziły te jego przekłete bazgroły. W takich okolicznościach trudno się wyśpać, co odbija się na kolejnym dniu. Jeśli to wszystko się radykalnie nie zmieni, Carl wykituje.

Wyjął ze sterty pierwszą lepszą teczkę, położył sobie na kolanach i chwycił długopis. Po wielu treningach wiedział już, jak podczas drzemki trzymać przedmiot pod takim kątem, by nie upuścić go na ziemię. A jednak upuścił długopis, gdy obudził go ostry jak brzytwa głos Rose.

Spojrzał nieprzytomnie na zegarek i stwierdził, że mimo wszystko udało mu się przespać prawie godzinę.

Przeciągnął się z zadowoleniem, ignorując jadowite spojrzenie współpracownicy.

– Właśnie rozmawiałam z policją w Rønne – powiedziała. – I na pewno nie będziesz zachwycony, jak się dowiesz, dlaczego.

– Aha. – Carl odłożył teczkę na biurko i schylił się po długopis.

– Godzinę temu inspektor Christian Habersaat pojawił się na przyjęciu pożegnalnym na swoją cześć w świetlicy w Listed, zaś przed pięćdziesięcioma minutami odbezpieczył pistolet i strzelił sobie w głowę na oczach dziesięciu zszokowanych osób. – Skinęła znacząco głową, gdy brwi Carla poszybowały do góry. – O jejku, co za fatalne zdarzenie, prawda? – podjęła kwaśno. – Kiedy komendant policji w Rønne wróci na komendę, to dowiem się czegoś więcej, bo był świadkiem tego zdarzenia. A na razie zamawiam bilety na najbliższy samolot.

– Okej, to naprawdę okropne, ale o czym mówisz? Samolot? Wybierasz się gdzieś, Rose? – Udawał, że nie rozumie, ale wiedział, do czego Rose zmierza. To chyba jakiś, kurde, żart. – Przykro mi słyszeć o tym Haber coś tam, ale jeśli sądzisz, że z tego powodu wpakuję się do puszki sardynek i polecę na Bornholm, to się grubo mylisz. Poza tym...

– Jeśli boisz się latać – przerwała Rose – to możesz zabukować bilety na prom z Ystad do Rønne na dwunastą trzydzieści. Ja tymczasem porozmawiam z komendantem. To mimo wszystko twoja wina, że musimy tam jechać, więc sam to zrób. Przecież zawsze mi każesz być

samodzielną. Pójdę powiedzieć Assadowi, żeby przestał już mazać farbą w gabinecie dla asystenta i się przygotował.

Carl zacisnął powieki.

Czyżby się jeszcze nie obudził?

Ani jazda z Komendy Głównej do Ystad przez wiosenne południe Skanii, ani prawie półtoragodzinny rejs na Bornholm nie rozładowały urazy Rose.

Carl spojrział na swoją twarz w lusterku wstecznym. Jeśli wkrótce nie zacznie uważać, to dzięki pozbawionym blasku oczom i ziemistej cerze upodobni się do swego dziadka.

Obrócił lusterko, przez co uzyskał nieskrępowany widok na skwaszoną minę Rose.

– Dlaczego z nim nie porozmawiałeś, Carl? – wyrzucała mu bezustannie z tylnego siedzenia. Gdyby miał szybę oddzielającą tył tak jak w limuzynie, na pewno by ją podniósł.

A teraz, gdy siedzieli w restauracji gigantycznego katamaranu, chłód syberyjskich wiatrów przetaczających się nad spienionymi grzbietami fal, na które Assad spoglądał z wielkim niepokojem, nie mógł się równać z chłodem Rose. Naprawdę zapamiętała się w tym nastroju.

– Nie wiem, Carl, jak się to nazywa, ale w mniej tolerancyjnych społeczeństwach to, co zrobiłeś Habersaatowi, można by uznać za zaniedbanie obowiązków służbowych...

Carl próbował ją zignorować. Rose to w końcu Rose. Ale gdy podsumowała swój wywód słowami „...albo nawet jako nieumyślne spowodowanie śmierci”, bomba wybuchła.

– Wystarczy już, kurwa! – krzyknął, uderzając pięścią w stół tak, że zadźwięczały szklanki i butelki.

Jednak to nie ciskające gromy spojrzenie Rose go uciszyło, lecz Assad, który kiwał na gości kafeterii, gapiących się na nich z ciastem domowej roboty drżącym na widelczykach.

– To aktorzy! – przeprosił Assad, uśmiechając się znacząco. – Robią próbę przed sztuką teatralną, ale obiecuję, że nie wyjawią, jak się kończy.

Widać było, że część widzów zaczęła się zastanawiać, gdzie, u diabła, widzieli tych aktorów.

Carl nachylił się nad stołem do Rose, starając się panować nad głosem. Na upartego była przecież do rzeczy. Ile razy pomogła jemu i Assadowi przez te wszystkie lata! On w każdym razie nigdy nie zapomni jej troski, kiedy trzy lata temu był bliski całkowitego wypalenia, pracując nad sprawą Marca. Nie, trzeba przejść do porządku dziennego nad jej dziwactwami, bo taka po prostu jest. Kiedy przyszło co do czego, potrafiła być czasem lekko niezrównoważona, ale jeśli chciało się jej pomóc w utrzymaniu równowagi, to lepiej było przyjąć od niej parę ciosów, inaczej konflikt się zaostrzał.

Wziął głęboki wdech.

– Posłuchaj, Rose. Nie myśl, że nie jest mi przykro z powodu tego, co się stało. Ale chciałbym ci przypomnieć, że to była decyzja Habersaata. Przecież mógł po prostu oddzwonić albo odebrać telefon, kiedy ty do niego dzwoniłaś. Gdyby uprzedził nas w mailu lub liście,

czego od nas oczekuje, sprawy potoczyłyby się inaczej. Rozumiesz to, panno świętsza od samego papieża?

Uśmiechnął się ugodowo, ale coś w spojrzeniu Rose mówiło mu, że mógł sobie darować ostatnie zdanie.

Na szczęście w sukurs przyszedł mu Assad.

– Rose, rozumiem cię. Ale Habersaat popełnił samobójstwo i nic nie możemy już na to poradzić – zamilkł nagle, walcząc z mdłościami i spoglądając z nagłym smutkiem na grzbiety fal. – Więc może spróbujemy się dowiedzieć, dlaczego to zrobił? – kontynuował nieco matowym głosem. – Czy nie po to płyniemy na Bornholm tym dziwnym statkiem?

Rose skinęła głową, a dołeczki w jej policzkach pogłębiły się o milimetr. Mistrzowska gra aktorska.

Carl opadł na siedzenie, z wdzięcznością kiwając głową do Assada, którego twarz w ułamku sekundy potrafiła zmienić kolor z bliskowschodniego żaru na odcienie zieleni. Biedak, ale czego można się było spodziewać po kimś, kto dostaje choroby morskiej podczas pływania w basenie na dmuchanym materacu?

– Nie przepadam za pływaniem – wyznał ciszej, niż należało.

– W toaletach są torebki do rzygania – zakomunikowała oschle Rose, wyciągając przewodnik wydawnictwa Politiken *W drodze na Bornholm*.

Assad pokręcił głową.

– Nie, nie, czuję się dobrze, jakoś dam radę. Po prostu doszedłem do takiego wniosku.

Z tą parą nie szło się nudzić.

Bornholmska policja tworzyła zdecydowanie najmniejszy okręg policyjny z własnym komendantem i mniej więcej sześćdziesięcioma pracownikami. Na całej wyspie został tylko jeden posterunek, który, pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę, musiał pełnić służbę na rzecz nie tylko czterdziestu pięciu tysięcy stałych mieszkańców, ale też sześciuset tysięcy turystów odwiedzających rocznie wyspę. Mikrokosmos liczący sobie niecałe sześćset tysięcy kilometrów kwadratowych ciemnej ziemi uprawnej, skał, kamieni i nieskończonej ilości dużych, a zwłaszcza małych atrakcji, które miejscowe stowarzyszenia turystyczne próbowały reklamować jako zupełnie wyjątkowe. Największy kościół rotundowy, najmniejszy, najlepiej zachowany, najstarszy, najbardziej okrągły, najwyższy. Wszystkie szanujące się społeczności posiadały właśnie to, co czyniło wyspę wyjątkowo godną obejrzenia.

Rośli policjanci w recepcji poprosili ich o chwilę cierpliwości. Na promie, którym przyплыли, znajdował się drastycznie przeładowany pojazd, więc trzeba było się tym zająć.

„To jasne, że przy tak potwornej zbrodni wszystko inne schodzi na dalszy plan” – pomyślał Carl z krzywym uśmiechem, gdy jeden z nich wstał i wskazał im drzwi, którymi mieli wyjść.

Odpicowany na galowo komendant podjął ich w sali konferencyjnej ciastkami i mnóstwem filiżanek kawy. Tutaj człowiek nie miał wątpliwości, kto piastuje funkcję i cieszy się

autorytetem; wątpliwości nie budził też fakt, że ich obecność, mimo powagi sytuacji, dziwiła miejscowego szefa.

– Przebyliście daleką drogę – oświadczył, mając zapewne na myśli to, że zbyt daleką. – Owszem, nasz kolega Christian Habersaat niestety popełnił samobójstwo. To naprawdę okropny sposób odejścia – ciągnął mocno poruszony. Carl znał takie obrazki. Policjanci mający za sobą ścieżkę akademicką, z pozostałymi duńskimi komendantami na czele, nigdy nie mieli okazji ubrudzić sobie rączek, przez co nie należeli do tych osób w służbach, które dobrze znoszą widok mózgu kolegi rozbryzgującego się na ścianie.

Carl skinął głową.

– Wczoraj po popołudniu rozmawiałem chwilę z Christianem Habersaatem. Wiem tylko, że chciał, bym zainteresował się jakąś sprawą i włączył się w nią. Chyba nie wysłuchałem go wystarczająco uważnie. Dlatego tu jesteśmy. Odnoszę wrażenie, że nie będziemy wam zbyt przeszkadzać, jeśli przyjrzymy się temu dokładniej. Mam nadzieję, że przyzna mi pan rację.

Jeśli zmrużone oczy i skierowane w dół kąciki ust oznaczały „tak” po bornholmsku, to jeden aspekt sprawy był już załatwiony.

– Może potrafiłby mi pan powiedzieć, do czego Habersaat odnosił się w swoim mailu do nas? Píše, że Departament Q to jego ostatnia nadzieja.

Komendant pokręcił głową. Zapewne by potrafił, tylko po prostu nie chciał. Miał od tego ludzi.

Gestem przywołał do siebie policjanta w mundurze galowym.

– Oto komisarz John Birkedal. Urodził się na wyspie i znał Habersaata na długo, zanim objąłem swoją funkcję. Z naszej komendy tylko John, ja i przedstawiciel związku policjantów uczestniczyliśmy w przyjęciu Habersaata.

Jako pierwszy wysunął rękę Assad.

– Proszę przyjąć kondolencje – rzekł.

Skonsternowany Birkedal odwzajemnił uścisk dłoni, po czym zwrócił na Mørcka spojrzenie, które wydało mu się znajome.

– Cześć, kopę lat – powiedział, podczas gdy Carl usiłował zapanować nad odruchem ściągania brwi.

Mężczyzna miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, więc był właściwie rówieśnikiem Mørcka i mimo zarostu i ciężkich jak ołów powiek wyglądał na kogoś, kogo Carl powinien znać. Gdzie, do diabła, już go widział?

Birkedal się roześmiał.

– Oczywiście, że mnie nie pamiętasz. Chodziłem do Szkoły Policyjnej na Amager rok niżej od ciebie. Przypomnę ci tylko, że graliśmy razem w tenisa i wygrałem trzy razy z rzędu. Potem nagle ci się odechciało.

Czy to Rose zarechotała za jego plecami? Ze względu na nią samą miał nadzieję, że nie.

– Ta-ak. – Carl uśmiechnął się z przymusem. – Wcale mi się nie odechciało, ale zdaje się, że kostka odmówiła mi posłuszeństwa – ciągnął, w najmniejszym stopniu nie przypominając sobie tego epizodu. Jeśli faktycznie zdarzyło mu się grać w tenisa, to na szczęście ten błąd spowiała mgła zapomnienia.

– Sprawa z Christianem to był szok – podjął na szczęście sam z siebie komisarz. – Ale od wielu lat był przygnębiony, choć na co dzień nie odczuwaliśmy tego zanadto na komendzie. Nie sądzę, by można było mu coś zarzucić jako policjantowi, prawda, Peter?

Komendant posłusznie się zgodził.

– Ale w domu w Listed sprawy Habersaata przedstawiały się inaczej. Był rozwiedziony i mieszkał sam, ciągle głowił się nad pewną starą sprawą. Jej wyjaśnienie postawił sobie za swój życiowy cel, choć nie pracował w policji kryminalnej. Ktoś mógłby powiedzieć, że to była banalna sprawa ucieczki z miejsca wypadku, ale jako że wypadek kosztował życie młodą dziewczynę, to aż taki banalny znowu nie był.

– Okej, ucieczka z miejsca wypadku. – Carl wyjrzał za okno. Znał takie sprawy. Albo rozwiązuje się je od razu, albo się je archiwizuje. Ich pobyt na wyspie będzie krótki.

– I nigdy nie odnaleziono sprawcy, zgadza się? – spytała Rose, podając mu rękę.

– Tak, zgadza się. Gdyby go zidentyfikowano, pewnie Christian by dziś żył. No, ale czas na mnie. Pewnie sobie wyobrażacie, że w związku z dzisiejszym wydarzeniem mamy do załatwienia masę formalności, nie wspominając o rozmowie z prasą, którą musimy odfajkować na dzień dobry. Ale może zajrzę później do waszego hotelu, żeby odpowiedzieć na pytania?

– Wy pewnie z policji w Kopenhadze – stwierdziła bez sentymentu recepcjonistka Sverres Hotel, pewną ręką podając im klucze do pokoi, zapewne najmniej efektywnych spośród tych, którymi dysponowała. Rose niewątpliwie jak zwykle będzie się targować o cenę.

Nieco później znaleźli komisarza Johna Birkedala w salonie za jadalnią, na fotelu ze sztucznej skóry. Z piętra rozciągał się widok na przemysłową część portu i zaplecze supermarketu Brugsen; nie był to piękny widok. Całości dopełniłoby tylko kilka autostrad. Zdecydowanie nie było to najlepsze miejsce na tworzenie przewodnika o tej skądinąd bajecznej wyspie.

– Będę z wami szczerzy. Właściwie to nie znosiłem Habersaata – wyznał Birkedal. – Ale widok kolegi strzelającego sobie w głowę, bo czuł, że nie sprostał swoim zadaniom, był naprawdę bolesny. W karierze policjanta doświadczyłem wielu rzeczy, a obawiam się, że ta właśnie zapadnie mi głęboko w pamięć. To było naprawdę straszne.

– Jasne – odparł Assad. – Ale proszę wybaczyć, nie wiem, czy dobrze rozumiem. Mówi pan, że on strzelił sobie z pistoletu w głowę. To chyba nie był jego pistolet służbowy?

Birkedal pokręcił głową.

– Nie, zgodnie z zasadami zostawił go w sejfie tuż przed zdaniem odznaki i kluczy do komendy. Nie wiemy dokładnie, skąd miał ten pistolet, ale w każdym razie była to beretta 92,

kaliber dziewięć milimetrów. Noszenie jej przy sobie to nieciekawa sprawa. Ale pewnie znacie serię *Zabójcza broń* z Melem Gibsonem?

Żadne z nich nie odpowiedziało.

– Aha, tak czy siak to stosunkowo duże i ciężkie bydlę. Kiedy wyciągnął go i wycelował we mnie i w komendanta, w pierwszej chwili myślałem, że to atrapa. Nie miał pozwolenia na tego typu broń, ale wiemy, że podobna beretta zginęła pięć, sześć lat temu z mieszkania po zmarłej osobie w okolicach Aakirkeby. Nie mamy jak sprawdzić, czy to ta sama broń, bo jej właściciel nie miał na nią papierów.

– Z domu po zmarłej osobie? W dwa tysiące dziewiątym? – spytała Rose z uśmiechem, po czym zrobiła dzióbek. Czyżby John Birkedal był w jej typie?

– Tak, jeden z nauczycieli z uniwersytetu ludowego<sup>1</sup> zmarł w trakcie kursu. Zdaniem lekarza, który wykonał sekcję zwłok, była to śmierć z przyczyn naturalnych, spowodowana dolegliwościami sercowymi, ale mimo to Habersaat wyjątkowo zainteresował się tym zgonem, kiedy trzeba było przeszukać mieszkanie. Według kilku wcześniejszych uczniów i nauczycieli, zmarły, Jakub Swiatek, pasjonował się bronią ręczną i przy kilku okazjach pokazywał uczniom pistolet, którego opis pasował do pistoletu użytego przez Habersaata dziś rano.

– Hm, takiej półautomatycznej broni nie widuje się na co dzień, więc mam pytanie – wypalił Assad. – Czy to był podstawowy model beretty, czy może 92S, 92SB czy 92F, FG lub FS? Bo nie mogła to być beretta 92A1, jako że ta seria ukazała się dopiero w 2010.

Carl powoli obrócił głowę do Assada. O czym, do diabła, ten koleś mówi? Czyżby był też ekspertem od berett?

Birkedal pokręcił głową w podobnym tempie; czyli on też nie miał zielonego pojęcia na ten temat. Ale zapewne się dowie, nim słońce zajdzie nad portem w Rønne.

– Hm, może powinien zreasumować, o co Habersaatowi chodziło i przez co w ogóle przeszedł – ciągnął Birkedal. – Potem możecie dostać klucze do jego domu i kontynuować na własną rękę. Dziś wieczorem zostawimy je w recepcji. Konsultowałem się z komendantem, zostawia właściwie wszystko w waszej gestii. Myślę, że nasi koledzy kończą już pracę w jego domu, więc możecie zaczynać. Musieliśmy najpierw sprawdzić jego miejsce zamieszkania; mógł zostawić listy czy coś w tym stylu, co wyjaśniałoby powody tego drastycznego kroku. No ale przecież wiecie to wszystko. W końcu to wy macie więcej doświadczenia w takich sprawach.

Assad siedział już z uniesionym palcem, ale Carl powstrzymał go spojrzeniem. Co za różnica, czy ten dureń strzelił sobie w łeb takim czy innym pistoletem. Z jego punktu widzenia przyjechali na to wygwizdowo wcale nie po to, by wyjaśnić, dlaczego Habersaat popełnił samobójstwo, ale przede wszystkim po to, by Rose zrozumiała, że sprawa, którą według niej Carl powinien był zdjąć z barków Habersaata, powinna obchodzić ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.



Birkedal opowiedział, że dla około pięćdziesięciu kursantów w wieku od osiemnastu lat wzwyż, zapisanych na semestr zimowy uniwersytetu ludowego na Bornholmie, gdzie realizowali kursy w czterech dziedzinach: muzyka, szkło, akryl lub glina, dwudziesty listopada 1997 był zupełnie zwyczajnym dniem szkolnym. Nastroje panowały pogodne, żadnych zagrożeń. Normalne grono, składające się w przeważającej części z młodych, radosnych ludzi, czerpiących przyjemność z bycia razem.

Jeszcze nie wiedzieli, że Alberte, najmiłsza, najładniejsza i zapewne też najbardziej podziwiana dziewczyna w szkole, zginęła tego poranka pod kołami samochodu.

Minęło nieco więcej niż doba, nim znaleziono ją na drzewie przydrożnym – utknęła tak wysoko, że ledwie było ją widać. Człowiekiem, który na własne nieszczęście uniósł wzrok dokładnie w momencie, gdy mijał to drzewo samochodem, był inspektor oddziału prewencji w Nexø Christian Habersaat.

Widok szczupłego, bezwładnego ciała wiszącego na gałęzi wrył się od razu w jego świadomość, podobnie jak nieodgadnione spojrzenie, które na zawsze zastygło na twarzy dziewczyny.

Pomimo znikomej liczby śladów uznano, że ofiara znalazła się na drzewie wskutek drastycznego wypadku samochodowego. Była to paskudna historia, pod żadnym względem nieporównywalna z innymi przypadkami ucieczki z miejsca wypadku w najnowszych dziejach Bornholmu.

Szukano śladów hamowania, ale żadnych nie znaleziono. Śledczy mieli nadzieję, że znajdą resztki lakieru na ubraniu dziewczyny, ale na próżno. Rozpytywano ludzi mieszkających nieopodal szosy, ale nikt nie potrafił nic konkretnego powiedzieć. Ktoś tylko słyszał, jak jakiś samochód, pędząc z zawrotną prędkością, wjechał na drogę główną.

Ponieważ zgon uznano za podejrzany, a może z braku innych spraw, rozpoczęto metodyczne polowanie na pojazdy z wgnieceniami na przodzie, o niewyjaśnionym pochodzeniu. Było to o dobę za późno, ale przez cały tydzień wszystkie samochody wjeżdżające na prom do Szwecji i Kopenhagi poddawano skrupulatnej kontroli, a dwadzieścia tysięcy bornholmskich aut wezwano na oględziny na stacje kontroli pojazdów w Rønne i Nexø.

Pomimo tych utrudnień społeczność lokalna wykazała zadziwiające zrozumienie i aktywnie współdziałała, tak że żaden turysta nie był w stanie przemknąć na czterech kołach, nie ryzykując, że maska jego samochodu zostanie poddana czujnym oględzinom.

– I te wszystkie wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów. – Birkedal wzruszył ramionami.

Personel Departamentu Q spojrział na komisarza ze zmęczeniem. Komu chce się zabierać za rachunek, którego wynik, bez względu na to, co się zrobi, wychodzi zawsze na zero?

– Czyli macie pewność, że śmierć nastąpiła w wyniku wypadku komunikacyjnego? – spytał Carl. – Może to było coś innego? Na co podczas sekcji zwłok wskazywały obrażenia? I co znaleźliście w miejscu wypadku?

– Dowiedzieliśmy się tylko, że Alberte prawdopodobnie żyła jeszcze chwilę po tym, jak ją podrzuciło do góry. Poza tym złamania, krwotoki zewnętrzne i wewnętrzne, to co zwykle. No i znaleźliśmy rower, którym jechała. Znajdował się spory kawałek dalej w krzakach, powyginany tak, że trudno było go poznać.

– Czyli pojechała tam rowerem – powiedziała Rose. – Macie go jeszcze?

Komisarz Birkedal wzruszył ramionami.

– To było siedemnaście lat temu, zanim tu nastąpiłem, więc nie wiem. Prawdopodobnie nie.

– Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechciał pan wyświadczyć mi przysługę i się upewnić – poprosiła Rose z najśłodszymszym uśmiechem na ustach i spuszczonego wzrokiem.

Birkedal odchylił głowę do tyłu. Przystojny żonaty mężczyzna wie, kiedy zaczyna stąpać po kruchym lodzie.

– Skąd pewność, że odrzuciło ją na drzewo? – spytał cicho Assad. – Nie mogła zostać tam wciągnięta? Czy na gałęziach nad ciałem szukano śladów olinowania? Może zawieszono tam takielunek?

Czy Assad powiedział „olinowanie” i „takielunek”? Dość szczególne słowa w jego ustach.

Birkedal kiwnął głową, bo przecież pytania były sensowne.

– Nie, technicy nie znaleźli niczego, co by na to wskazywało.

– Możecie nalewać sobie napoje z termosów w jadalni – rozległ się w drzwiach głos właścicielki hotelu.

Nie minęła sekunda, a czarna jak smoła kawa popłynęła do Assadowej filizanki, podczas gdy on sam sypał do niej cukier prosto z cukierniczki. Jakim cudem jego sfatygowane kubki smakowe były w stanie sprostać wszystkim cudacznym wyzwaniom, na które je narażał?

Reszta pokręciła głowami, gdy zaproponował, że im też naleje.

– Jak to możliwe, że po wypadku nie zostały żadne ślady? – spytał, mieszając w filizance. – Przecież powinniście znaleźć choćby ślady hamowania? Może w tych dniach padało?

– Nie, z tego, co mi wiadomo, to niespecjalnie – odparł Birkedal. – Raport podaje, że nawierzchnia była dość sucha.

– A co z kierunkiem, w którym ją odrzuciło? – podjął Carl. – Zbadano tę kwestię gruntownie? Czy na trasie, którą przebyło ciało, znaleziono połamane gałęzie? Może dało się coś wywnioskować z ułożenia zwłok na drzewie czy pozycji stojącego w krzakach roweru?

– Na podstawie zeznań świadków, starszego małżeństwa mieszkającego nieco dalej, w gospodarstwie na zakręcie, wywnioskowano, że pojazd nadjechał rano z kierunku zachodniego i minął ich dom. Starsi państwo nie widzieli samochodu, ale słyszeli, jak przed ich domem auto zupełnie bez powodu przyspiesza i rusza pełnym gazem w kierunku ostatniego zakrętu przed punktem, w którym znajdowało się drzewo. Jesteśmy przekonani, że ci ludzie słyszeli sprawcę wypadku i że samochód uderzył przodem w stojącą przy drzewach

dziewczynę, a potem pojechał dalej w stronę przebiegającej prostopadłej drogi głównej, nawet nie zmniejszając prędkości.

– Na czym opiera się to przekonanie?

– Na zeznaniach świadków i doświadczeniu techników z innych wypadków komunikacyjnych.

– Aha. – Carl pokręcił głową. Ciągłe tylko kolejni znajomi i nieznajomi. Miał już dość myślenia na ten temat. Nagle zateśknął za biurkiem w piwnicy Komendy Głównej.

– Kim była ta dziewczyna? – padło nieuniknione pytanie. Znajac odpowiedź, nie można było tak po prostu obrócić się na pięcie.

– Alberte Goldschmid. Mimo pretensjonalnego nazwiska była zupełnie zwyczajną dziewczyną. Jedną z tych, co to nagle poczują wolność, gdy mama i tata są daleko, i odreagowują. Może nie była rozwiązła, ale lubiła poeksperymentować, kiedy nadarzyła się okazja. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że wykorzystwała intensywnie tych kilka tygodni, które tu spędziła.

– Intensywnie? To znaczy? – spytała Rose.

– Kilku chłopaków tu i tam.

– Okej, była w ciąży?

– Raport z sekcji mówi, że nie.

– I zapewne nie mam po co pytać o obce DNA na jej zwłokach? – indagowała.

– To było w dziewięćdziesiątym siódmym roku, mam mówić dalej? Trzy lata przed stworzeniem centralnej bazy śladów DNA. Nie sądzę, by szukano jakoś intensywnie. Ale nie, nie znaleziono na jej ciele śladów nasienia ani fragmentów naskórka pod paznokciami. Była czysta jak ktoś, kto dopiero się wykapał i najprawdopodobniej właśnie tak było, skoro wzięła rower, jeszcze zanim uczniowie zebrali się przy śniadaniu.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – odezwał się Carl. – Nic nie wiecie, zgadza się? To historia zabójstwa w zamkniętym pokoju, a Habersaat był waszym miejscowym Sherlockiem Holmesem, któremu tym razem się nie udało?

Birkedal znów wzruszył ramionami. Na to też nie miał odpowiedzi.

– No dobrze. – Assad jednym ruchem wlał w siebie gorącą kawę. – Czas zakończyć biesiadę.

Naprawdę to powiedział?

Rose niezrażona zwróciła się do Birkedala, znów z tym swoim słodkim jak miód uśmiechem.

– Teraz nasza trójka przeczyta sobie w spokoju wszystkie materiały, które pan dla nas przywiózł; zajmie nam to prawdopodobnie godzinę czy dwie. Kiedy skończymy, będziemy chcieli podpytać o śledztwo Habersaata, jego życie i śmierć.

Na stoicko spokojnej twarzy Birkedala pojawił się cień uśmiechu. Było widać wyraźnie, że jeśli o niego chodzi, mogą sobie robić, co im się żywnie podoba, pod warunkiem, że nie będą go w to mieszać.

– Sądzi pan, że natkniemy się na coś, co powinno było zostać już dawno odkryte? Coś, co zbliży nas do rozwiązania zagadki dziewczyny na drzewie? – drążyła Rose.

– Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że tak. W końcu Habersaat zakładał, że sprawca nie zabił Alberte nieumyślnie i że nie była to też ucieczka z miejsca wypadku. To było zabójstwo – powiedział. – Habersaat nie tylko starał się ze wszystkich sił znaleźć dowody na poparcie swojej teorii, ale chciał też wytropić samego sprawcę. Nie wiem właściwie, na czym się opierał, ale o tym powiedzą wam więcej inni policjanci, nie mówiąc już o jego byłej żonie.

Przesunął po stole plastikowe pudełko.

– Muszę już wracać na komendę, ale obejrzyjcie to DVD. Będziecie wiedzieli więcej na temat jego śmierci – oznajmił. – Nagrał je jeden z przyjaciół Habersaata zaproszony na przyjęcie. Ma na imię Villy, ale nazywamy go tutaj Wujem Samem. Zapewne macie ze sobą laptopy, więc możecie na nich odtworzyć tę płytę. Miłego oglądania, jeśli można tak powiedzieć – uniósł się raptownie.

Carl dostrzegł, że gdy Birkedal się oddalał, spojrzenie Rose przywarło do jego dobrze wytrenowanych pośladków.

Nie był to wzrok, który spodobałby się żonie Birkedala.

Żona Habersaata tak radykalnie zerwała z przeszłością, że nie tylko pozbyła się nazwiska męża, ale też wszystkiego, co mogło jej się z nim kojarzyć. Nie kryła tego, gdy Carl próbował porozmawiać z nią przez telefon.

– I jeśli pan myśli, że mam ochotę spowiadać się przed kimś z naszych problemów tylko dlatego, że on nie żyje, to się pan myli. Christian zostawił rodzinę w bardzo trudnym czasie, kiedy ja, a szczególnie jego syn, wyjątkowo potrzebowaliśmy jego uwagi, a teraz poniósł konsekwencje wszystkich swoich niewłaściwych wyborów i stchórzył, popełniając samobójstwo. Jeśli chcecie posłuchać o największej namiętności jego życia, to idźcie gdzie indziej, bo ode mnie niczego się nie dowiedziecie.

Carl spojrział na Rose i Assada, którzy gestami dawali mu znak, że ma się nie poddawać. A co innego mu pozostało?

– Chodzi pani o to, że jego jedyną namiętnością była sprawa Alberte, a może wręcz kochał się w ofierze?

– Ech, wy gliniarze nigdy nie odpuszczacie, co? Przecież powiedziałam, że macie mnie zostawić w spokoju. Żegnam. – Kliknięcie obwieściło, że rozmowa dobiegła końca.

– Ona wiedziała, że jest na głośnomówiącym – stwierdził Assad. – Trzeba było do niej pojechać, mówiłem.

Mørck wzruszył ramionami. Może i Assad miał rację, ale było już późno, a zdaniem Carla istniały dwa typy świadków, od których należy trzymać się z daleka, chyba że nie ma wyboru: ci, którzy mówią za mało, i ci, którzy trzymają język za zębami.

Rose postukała w swój notes.

– Tu jest adres syna Habersaata, Bjarkego. Wynajmuje pokój w północnej części Rønne, więc dotrzemy tam w dziesięć minut. To jak, jedziemy?

Decyzja zapadła; Rose już stała gotowa do wyjścia.

Dom na Sandflugtsvej położony był w pewnej odległości od ulicy. Portfenetr nadawał mu wytworności. Tutaj zwracano uwagę zarówno na kołatki do drzwi, jak i mosiężne tabliczki i wystrzyżone trawniki. Jeździło się tu świeżo wypucowanymi volkswagenami polo, autami francuskimi, a na potrzeby domowe również terenówkami. Wszystko to stanowiło symbole statusu do potęgi entej w prowincjonalnej części Danii.

Na drzwiach było tylko jedno nazwisko, Nelly Rasmussen.

– Owszem, Bjarke Habersaat tu mieszka – powiedziała gospodyni z gorącym naciskiem na Bjarke, stojąc w półotwartych drzwiach jak kocica, ze szmatką do kurzu wetkniętą w rowek między piersiami i dymiącym papierosem w dwóch sterzących palcach. – Ale nie myślcie sobie, że jest w nastroju, by z wami rozmawiać – rzuciła z miną profesjonalnej gospodyni, na której odznaka policyjna Carla nie robiła żadnego wrażenia. Oceniał, że kobieta ma mniej więcej pięćdziesiąt pięć lat. Niebieski fartuch, pofarbowane metodą domową włosy z trwałą ondulacją, jaśniejsze na końcach. Niemiłosiernie krzywy tatuaż na nadgarstku miał zapewne na celu przydać jej egzotyki. Bezskutecznie.

– Moim zdaniem powinniście okazać zrozumienie i pozwolić mu uporać się z szokiem. W końcu przed zaledwie paroma godzinami jego ojciec, świeć Panie, odebrał sobie życie.

Assad postąpił krok do przodu.

– To bardzo miłe, że jest pani taka uprzejma wobec swojego lokatora i tak się nim pani opiekuje. Ale co by było, gdybyśmy mieli ze sobą list pożegnalny od jego ojca? Nie byłoby pani szkoda, gdyby go nie dostał? Albo gdyby jego matka też popełniła samobójstwo? Naprawdę pani sądzi, że gdyby tak było, to moglibyśmy to pani powiedzieć? A jeśli przyszliśmy, by zaaresztować Bjarkego za podpalenie? Czy to w porządku, że stoi pani na tych swoich szpilkach i śmieje się w nos funkcjonariuszom na służbie wykonującym swoją pracę?

Gdy trawiła wszystkie te informacje i przestudiowała wszystkie zmarszczki widoczne na uśmiechniętym obliczu Assada, na jej twarzy pojawił się grymas. Może dodatkowo zbił kobietę z tropu fakt, że Assad ujął ją za rękę i poklepał, zapewniając, że dobrze rozumie, jak na nią wpływa obecność lokatora pogrążonego w tak głębokim smutku. W każdym razie poluzowała uścisk na klamce i pozwoliła Carlowi czubkiem buta otworzyć drzwi na oścież.

– Bjaaaaaarke! – zawołała niechętnie na piętro. – Masz gości! – I zwróciła się do nich. – Postójcie przez minutkę na korytarzu, zanim wejdziecie na górę, i poczekajcie, aż sam otworzy, dobrze? Bjarke czasami bywa niedysponowany, ale mam nadzieję, że w tej sytuacji

spojrzycie na to przez palce. Ja tak w każdym razie robię, możecie mnie nazwać hipokrytką, ale tak właśnie robię.

Niedyspozycję dało się wyczuć już w połowie schodów. Właściwie śmierdziało tu jak w haszbarze gdzieś na Nørrebro w czwartkowy wieczór po wypłacie zasiłków socjalnych.

– Marihuana – zawyrokował Assad. – Ładny, mocny zapach, nie taki duszący i kwaśny jak hasz.

Carl ściągnął brwi. Też mi znawca. Nieważne – marihuana czy hasz. Przecież zapach upadku moralnego zawsze jest smutny.

– Pamiętajcie, by zapukać – dobiegło ich z dołu.

Najwyraźniej nie dotarło to do narządu słuchu Assada, bo bez ceregieli chwycił za klamkę i otworzył drzwi.

Stanął w progu jak wryty, a Carl zrozumiał, dlaczego, gdy wsunął się za nim do środka.

– Rose, poczekaj chwilę – polecił, próbując ją powstrzymać.

Bjarke siedział z podciągniętymi pod siebie nogami, oparty na wielkim, sfatygowanym fotelu. Był zupełnie goły, a w ręce trzymał butelkę rozpuszczalnika.

Był nie tylko nagi; był też zupełnie martwy, co nietrudno było stwierdzić nawet z tej odległości, choć silne promienie słońca ledwie przedzierały się przez gęste kłęby dymu. Przeciąwszy tętnice, Bjarke zakończył swe życie z półprzymkniętymi oczami i marzycielskim spojrzeniem. Nie była to trudna śmierć.

– Assad, wcale nie wyczułeś marihuany, tylko połączenie haszyszu i rozpuszczalnika.

– Przestańcie mi zasłaniać! – warknęła z tyłu Rose, próbując wepchnąć się między nimi do środka.

– Rose, nie wchodź tu, to nie jest ładny widok. Bjarke nie żyje, cała podłoga jest we krwi, bo przeciął sobie tętnice. Właściwie w całej swojej karierze jeszcze nie widziałem takiej ilości ludzkiej krwi.

Assad kiwnął głową w ciszy.

– Czyli ja jednak widziałem sporo więcej niż ty.

Minęła dobra chwila, nim przybyli technicy i lekarz, który miał dokonać oględzin. Do tego czasu gospodyni Bjarkego nie odstępowała personelu Departamentu Q na krok, lamentując, że też musiało jej się przydarzyć coś tak potwornego. Jak, do licha, ma wymienić dywan i fotel, skoro nie zachowała paragonów?

Kiedy wreszcie do niej dotarło, że młody mężczyzna na górze nie żył, kiedy ona odkurzała na parterze, musiała usiąść, by nie wpaść w panikę.

– A może ktoś go zabił – powtarzała szeptem.

– Myślę, że może to pani wykluczyć, chyba że słyszała pani coś podejrzanego. Ktoś chodził po schodach w ciągu ostatnich paru godzin? Może da się wejść do pokoju od podwórza?

Pokręciła głową.

– I jak rozumiem, sama pani tego nie zrobiła? – ciągnął Mørck.

W jej oczach pojawił się wyraz szaleństwa, oddech znów przyspieszył.

– Dobrze – powiedział Carl. – Czyli rozumie pani, że to jednak on sam przeciął sobie tętnice. W każdym razie znajdował się w stanie, w którym człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Zacisnęła usta i wzięła się w garść, mrucząc coś bez ładu i składu. Dotarło do niej, że być może dopuściła się czynu karalnego, wynajmując pokój człowiekowi uprawiającemu grzybki halucynogenne na parapecie i oddychającemu głównie przez lufkę.

Carl zostawił ją w towarzystwie pozostałej dwójki i wyszedł na ostre słońce, by zapalić papierosa.

Samo przeszukanie pokoju Bjarkego, konfiskata jego komputera i noża, którym przeciął sobie tętnice, zebranie danych technicznych, oględziny zwłok i przeniesienie ich do karetki przebiegło zaskakująco szybko, więc ledwie Carl doszedł do piątego papierosa, zjawił się przed nim Birkedal w towarzystwie detektywa i technika, machając skrawkiem papieru zamkniętym w plastikowym woreczku.

Carl przeczytał karteczkę. Było tam napisane po prostu: „Przepraszam, tato”.

– Dziwne – stwierdził Assad.

Carl skinął głową. Krótka i bezpośrednia forma pożegnania oraz jej treść były na swój sposób poruszające. Ale dlaczego nie napisał „Przepraszam, mamó”? Ona miała szansę to przeczytać.

Mørck spojrzał na Rose.

– Ile Bjarke miał lat?

– Trzydzieści pięć.

– Czyli w dziewięćdziesiątym siódmym roku, kiedy jego ojciec zajął się sprawą Alberte, miał osiemnaście, hm.

– Rozmawialiście z June Habersaat? – wtrącił się Birkedal.

– Ech, niespecjalnie nam to wyszło. Powiedziałbym, że nie była zbyt serdeczna – odparł Carl.

– No to macie szansę spróbować jeszcze raz.

– Aha? Jak to?

– Możecie pojechać do niej do Aakirkeby i powiadomić o śmierci syna, prawda? Będziecie mieli okazję zadać jej resztę pytań, a my zyskamy czas na zaplombowanie pokoju i zorganizowanie transportu zwłok do Instytutu Medycyny Sądowej w Kopenhadze.

Carl pokręcił głową. Ile dokładnie potrwa plombowanie mieszkania i wysyłanie zwłok do chłodni?

Dziesięć minut?



Sierpień 2013

Wanda Phinn wyszła za angielskiego krykiecistę, który przybył na Jamajkę, by nauczyć czarnych ludzi tego, w czym był najlepszy: tajników gry w krykieta. Ów Chris McCullum stapał po ziemi pewniej niż większość kolegów, dzięki czemu dostał angaż na sześć miesięcy, by poprawić wyniki jamajskiej drużyny narodowej o dziesięć procent.

Z tego powodu McCullum wystawał na wysuszonej trawie w palącym słońcu od marca do września, pocąc się jak nigdy.

Podczas rozgrywki treningowej kątem oka ujrzał Wandę na wysypanym żuźlem torze. Widząc umięśnione, długie nogi i połyskującą skórę, uznał, że ma zwidy.

Wanda miała pełną świadomość, jakie wrażenie robi na ludziach; trąbiono jej o tym, odkąd nabrała kształtów i nauczyła poruszać się po torze jak pędząca gazela.

– Ty jesteś Merlene Ottey? – spytał ją McCullum tuż po meczu.

Wanda obnażyła w uśmiechu białe zęby i ciemniejsze dziąsła. Już ją o to pytano i schlebiali jej to, choć Merlene Ottey miała o co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ona. Bo Merlene Ottey, wieloletnia jamajska mistrzyni w sprincie, była piękna jak bogini.

Poflirtowała chwilę i w odpowiedzi na komplement kokieteryjnie trąciła McCulluma w ramię. I tak zabrał ją ze sobą do Anglii.

Wanda uwielbiała białych mężczyzn. Nie dlatego, że byli szczególnie zmysłowi. Mężczyzna z Jamajki miał w sobie żar wielu ras, z którym biali nie mogli się mierzyć, ale za to ci pozbawieni koloru wiedzieli, kim są, a co ważniejsze, mieli w życiu jakiś cel. Można było u nich szukać bezpieczeństwa i marzyć o jakiej takiej przyszłości, która wcale nie była pewnikiem w Tivoli Gardens, dzielnicy slumsów zachodniego Kingston, gdzie wychowała się Wanda. Dla osoby, dla której strzelaniny i kokaina na podwórkach należały do codzienności, oświadczyzny Chrisa McCulluma były wydarzeniem z bajki, więc decyzję podjęła w ułamku sekundy.

Ulokował ich w Romford na przedmieściach Londynu w małym szeregowcu, gdzie umierała z nudów aż do dnia, w którym McCullum złamał nogę w kostce i uznał za konieczne nie tylko sprzedać dom, ale też rozstać się z Wandą. Jeśli miał prowadzić życie na dotychczasowym poziomie, do którego, jak sądził, miał prawo, to musiał poszukać sobie kobiety, która będzie w stanie go utrzymać.

Po dwóch latach bezpieczeństwa Wanda wróciła do punktu wyjścia i tylko dzięki skromnym własnym środkom nie poszła na dno.

Nie miała ani wykształcenia, ani perspektyw na jakąkolwiek formę wsparcia. Nie miała też szczególnych talentów, jeśli nie liczyć biegania, ale, jak żartował jej ojciec, na tym daleko się nie zajędzie. Dlatego praca strażniczki przy wejściu służbowym na teren dużego przedsiębiorstwa na Strandzie w Londynie była nie tylko jej ratunkiem, ale też jedyną sensowną alternatywą dla lichej chałupy i fizycznego wycieńczenia przed czterdziestką, które czekałyby ją na Jamajce.

Siedząc niczym lew w klatce, pilnowała, by przez szklane drzwi wchodzili do budynku i wychodzili zeń ludzie ważniejsi niż ona, kłaniała im się, gdy przemierzali się dalej do lepiej ubranej kobiety, do której przywilejów należało sprawdzanie ich tożsamości i wciskanie guzików wpuszczających ich na teren firmy.

Stała samotnie w próżni między wolnością a bogactwem i pilnowała niczym strażniczka tajemnic budynku, nie wiedząc, na czym polegają.

Z biegiem czasu myślała już tylko o tym, że życie toczy się tam, na zewnątrz. Że wszystko dzieje się tam, podczas gdy ona tkwi tutaj.

Dzień w dzień gapiła się przez szklane drzwi na drugą stronę Savoy Place Street, gdzie znajdowało się ogrodzenie otaczające park Victoria Embankment.

„Za tym ogrodzeniem rozgrywa się bajka” – myślała. A śmiech ludzi zażywających słońca na pasiastych leżakach i jedzących lody za pieniądze, których nigdy im nie zabraknie, torturował ją w jej ciszy. Nikogo to nie obchodziło.

W ten sposób zrodziła się jej nowa tożsamość.

Stała się po prostu kobietą patrzącą na ogrodzenia.

W godzinach marnotrawionych na codzienne obowiązki wracały do niej cienie przeszłości i dręczyły ją. Bo Wanda wiedziała, że koleje losu i spotkania, które wydarzyły się na długo przed jej przyjściem na świat, miały na celu coś więcej niż stworzenie istoty pracującej na podrzędnym stanowisku wartowniczką na Strandzie. Jak mawiał z dumą jej tata rastafarianin – w żyłach Wandy płynęła w równym stopniu krew przybyłych do Dominikany Arawaków, co Nigeryjczyków, a jej chrześcijańskie wychowanie doprawione było domieszką rastafariańskiego ognia. Mama Wandy śmiała się wówczas i mówiła, że ma się tym wszystkim nie przejmować i zachować spokój, a wtedy wszystko jakoś się ułoży.

Zachować spokój! Właśnie to wydawało się najtrudniejsze w jej szarej i nieistotnej egzystencji. Czy naprawdę chlubna przeszłość i duma z przodków zasługiwały na nietwarzowy szary mundurek i włosy schowane pod czapką z daszkiem?

Jednak pomimo beznadziejnej sytuacji i kiepskich perspektyw Wanda prostowała się, kiedy mijali ją lepiej sytuowani ludzie wchodzący do parku i budynku, i próbowała dotrzeć do tej części swojej natury, która pomogłaby jej zapomnieć o rzeczywistości.

Los chciał, że Shirley, jej jedyna przyjaciółka, mieszkająca na tym samym korytarzu dwoje drzwi dalej, zaprosiła ją na imprezę o nazwie „Absorpcja Natury – Intro”.

Shirley interesowała się okultyzmem i była bardzo otwarta w oczekiwaniach wobec siebie i życia. Słuchała muzyki stworzonej z boskiego natchnienia, chodziła na polinezyjską sztukę wróżenia huny, a przed podjęciem decyzji układała pasjansa lub tarota. Dzięki tym wszystkim zmiennym życiowym kierunkowskazom zyskała, jak mówiła, wiedzę. Wanda nie miała pojęcia, na jaki temat, ale Shirley jak nikt inny potrafiła wywołać uśmiech na jej twarzy.

Teraz zaś chciała przedstawić Wandę Atu Abanshamashowi. Jak można było wyczytać ze strony internetowej, ten piękny, złoty jak słońce byt przybył do Londynu ze skandynawskiej krainy snów, skąd przywiózł naukę, dzięki której wszystko inne traciło na ważności i która umożliwiała całkowite zrozumienie wszystkich zależności i energii w ludzkim życiu.

Shirley szalała z ekscytacji, a cena była rozsądna, więc jeśli Wanda chciałaby z nią pójść, to Shirley za nią zapłaci.

To byłoby nawet zabawne – przeżyć coś razem.

Atu Abanshamash Dumuzi nie przypominał guru, których Wanda widziała w telewizji i w licznych broszurach Shirley. Nie siedział w pozycji lotosu czy na rzeźbionym stołku, tchnąc niezemskim spokojem, nie wymądrzał się, nie był ani gruby, ani ascetyczny. Atu Abanshamash był normalnym mężczyzną z krwi i kości, który uśmiechem i błyskiem w oku wskazywał im drogę i opowiadał, jak to nauka o absorpcji natury potrafi tak cudownie odmienić jednostkę, że człowiek czuje, że każda komórka w jego organizmie może odeprzeć wszelkiego rodzaju atak i że ciało stapia się w jedno z otaczającym je wszechświatem.

Wszechświat i potęga słońca stanowiły mantrę Atu Abanshamasha. I tu, w jasnym, prosto urządzonym mieszkaniu w Baywater, gdzie mieściła się londyńska filia Akademii Absorpcji Natury, chodził między ludźmi siedzącymi na podłodze i wpatrywał się w nich swoimi urzekającymi oczami, aż ich szyje pokrywały się rumieńcem, a ramiona opadały, gdy w takt jego słów sycili się dobrym samopoczuciem.

– Abanshamash, Abanshamash, Abanshamash – zaintonował monotennie i powoli swoim niskim głosem, po czym poprosił ich, by się do niego przyłączyli.

Gdy przesiadli już dobrą chwilę z zamkniętymi oczami, powtarzając mantrę, Wanda poczuła, że traci poczucie miejsca i chęć powrotu do rzeczywistości.

– Otwórzcie oczy i spójrzcie na mnie – powiedział nagle Atu do swoich słuchaczy. – Abanshamash, Abanshamash – wyszeptał, wyciągając przed siebie ręce, tak że żółte, lekkie rękawy jego tuniki załopotwały jak anielskie skrzydła. – Widzę was – szeptał. – Widzę was po raz pierwszy, jesteście piękni. Wasze dusze się ze mną witają. Jesteście gotowi.

– Jesteś piękny jak słońce – mówił następnie do każdego uczestnika z osobna, chodząc między nimi.

Podszedłszy do Wandy, przez chwilę stał w bezruchu, zatapiając wzrok w jej przepastnych oczach.

– Jesteś piękna jak słońce. Jesteś piękna jak słońce – powiedział, tym razem dwukrotnie. – Ale nie słuchaj nikogo! Nie słuchaj nawet mnie! Słuchaj tylko własnego atmana, własnej duszy i poddaj się jej.

Niczym pod wpływem środków halucynogennych, słowa te zapadły w świadomość Wandy, jakby były długo oczekiwanym objawieniem i światłością. Bezwiednie otworzyła szeroko oczy, skóra ją paliła, a ręce drżały w spazmach przypominających te, które przeżywała podczas orgazmu.

Schyliwszy głowę, Atu pogłaskał ją po policzku, a dziesięć minut później wrócił i uniósł rozwarłe dłonie w odległości paru centymetrów od jej czoła.

– Niech cię ogarnie spokój, mój kwiecie, przeżyłaś swoją pierwszą podróż ku ekstazie pustych chwil i odrodzenia. Teraz jesteś gotowa – zakończył.

Wtedy Wanda zemdląca.

Środa 30 kwietnia 2014

Stali przez chwilę, spoglądając na szpetny, bielony dom, prawdopodobnie najbardziej zaniedbany na Jernbanegade, ulicy w centrum Aakirkeby.

Jak w wielu duńskich miastach kupieckich, takie ulice stanowiły doskonałą ilustrację procesu, w którym około stu lat temu klasa robotnicza dorobiła się małych działek i ceglanych domów. W minionych czasach na ulicy takiej jak ta zarabiało na chleb wielu murarzy i stolarzy, ale widać już od dawna nie mieli tu co robić. Choć miasteczko latem nazywano kwiatowym, a zimą gwiazdkowym, akurat na podupadającej Jernbanegade próżno było szukać kwiatowej idylli czy świątecznej atmosfery.

Ekszona Habersaata niczym pies tropiący zwęszyła odznakę policyjną w kieszeni Carla, wyglądając przez szparę w drzwiach.

– Weź tę nogę – warknęła do Assada, próbując zamknąć drzwi. – Nie macie tu czego szukać.

– Pani Habersaat, przyszliśmy... – zagaił Carl.

– Nie umiecie czytać? Na tabliczce jest napisane „Kofoed” – wskazała demonstracyjnie na nazwisko i jeszcze raz pchnęła drzwi. – Tu już nie mieszka nikt o nazwisku Habersaat.

– Pani... Kofoed – powiedziała cicho Rose. – Mamy złe wieści o Bjarkem.

Kolejnych pięć sekund trwało całą wieczność. Jej rozbiegany wzrok krążył od jednej stężonej twarzy do drugiej. Potem nastąpiła sekunda, w której dotarła do niej prawda, blokując wszystkie reakcje. Potem świadomość, że nie będzie w stanie sprostać temu, co jeszcze nie zostało wypowiedziane. Wówczas zgasł blask w jej oczach i osunęła się na ziemię.

Omdlenie nie trwało długo, ale wystarczyło, by straciła poczucie czasu i zapomniała o przyczynie, przez którą znalazła się w pozycji leżącej na sofie w swoim wyjątkowo spartańskim salonie. Widać wciąż była pod wpływem szoku.

Rozejrzeli się po pokoju. Naprawdę nic szczególnego. Nierozpieczętowane koperty z okienkiem w miseczce na owoce, rzędy zakurzonych płyt CD z duńskimi przebojami, meble z dyskontów, brzydkie popielniczki i obtłuczone wazony. Dali jej czas, by ochłonęła; leżała, utkwivszy martwe spojrzenie w suficie. Oni tymczasem wyszli do kuchni, w której nadzwyczaj szpetne kafelki z lat siedemdziesiątych pochłaniały resztki światła z tego, zdaniem wielu Duńczyków, najważniejszego pomieszczenia w domu. Nawet Carl potrafił stwierdzić, że to określenie nijak się ma do tego zaniedbanego szkaradztwa.

– W obecnym stanie nie możemy jej docisnąć – wyszeptała Rose. – Weźmy ją pod włos, pogładźmy po głowie, tak żebyśmy mogli tu jutro wrócić.

Oboje odnotowali, że Assad się z nimi nie zgadza.

– Chodźcie tutaj! – zawołała słabym głosem June.

– Carl, ty to wszystko zacząłeś, więc ty jej to powiedz. Powiedz prawdę, dobrze? – nalegała Rose.

Już miał unieść ku niej palec wskazujący, ale poczuł na ramieniu dłoń Assada. Wszedł więc do pokoju, gdzie leżała kobieta, i spojrzał jej prosto w oczy.

– Przyjechaliśmy panią poinformować, że pani syn nie żyje. Niestety, to nie koniec złych wiadomości. Z przykrością muszę panią powiadomić, że odebrał sobie życie. Zdaniem lekarza dyżurnego nastąpiło to prawdopodobnie koło czwartej.

Zassała policzki do ust i siedziała przez chwilę jak osoba przyglądająca się sobie w lustrze i próbująca odjąć lat bezlitosnemu odbiciu rzeczywistości.

– Koło czwartej? – szepnęła, gładząc się po ramieniu. – O Boże, to tuż po tym, jak do niego zadzwoniłam i powiedziałam mu o ojcu. – Parokrotnie przełknęła ślinę, chwyciła się za gardło i zamilkła.

Po półgodzinie Carl skinął do Rose. Niech już puści rękę kobiety, muszą ruszać.

Ledwie zdążyli przejść przez salon, kiedy Assad przypuścił atak.

– Mogę panią tylko o coś spytać, zanim wyjdziemy? – spytał. – Dlaczego nie pojechała pani do syna, by osobiście przekazać mu informacje o ojcu? Czy aż tak nienawidziła pani męża, że nie zadała sobie pani pytania, czy syn żywi do niego te same uczucia? Sądziła pani, że wszystko mu jedno, czy jego ojciec żyje, czy nie? Chciałbym się tego dowiedzieć.

Rose ubiegła Carla i chwyciła Assada mocno za ramię. Co on, do licha, wyprawia? Zazwyczaj empatia nie należała do jego słabych stron.

June, drząc, wbiła wzrok w podłogę, jakby całą sobą pragnęła chwycić Assada za szyję i docisnąć.

– Dlaczego chcesz się tego dowiedzieć, ty paskudna małpo? – odrzekła stłumionym głosem.

– Co ci do tego? To nie tobie ten zasraniec Christian zniszczył życie. Rozejrzyj się wokół. Myślisz, że takie miałam marzenia, gdy jako przystojny facet uklęknął przede mną na trawie w lesie Almindingen?

Assad objął ręką podbródek o barwie sera z niebieską pleśnią. Może po to, by nie dać się sprowokować jej pogardliwą uwagą, może by jej pokazać, że jest gotów przyjąć kolejny cios, jeśli ma to pomóc sprawie.

– Może byś tak łaskawie odpowiedział? – syknęła nienawistnie.

Assad wyswobodził się z uścisku Rose, podszedł do kobiety i odezwał się nietypowym dla siebie, drżącym głosem:

– Widziałem gorsze domy niż ten, pani Habersaat. Widziałem ludzi, którzy oddaliby wszystko za pani brzydki i zniszczony dach nad głową i pani wstrętne śmieciowe jedzenie w lodówce. Widziałem też takich, którzy nie zawahaliby się zabić dla pani sukienki i pół paczki papierosów, które tam leżą. Ale skoro pani pyta: nie sądzę, by właśnie o tym pani marzyła. Ale czy o marzenia się nie walczy? Moim zdaniem nie tylko Christian Habersaat jest winny, że pani tu mieszka, a pani syn leży w kostnicy. Coś się w tej historii nie zgadza. Dlaczego na przykład pani syn pisze w swoim krótkim liście pożegnalnym „Przepraszam, tato”? Dlaczego nie przeprasza pani?

Teraz to Carl złapał go za rękaw.

– Assad, cholera, co w ciebie wstąpiło? Chodź już, idziemy.

June usiadła i uniosła rękę w ich stronę. Informacja o liście pożegnalnym nie tylko ją zszokowała; widzieli po niej, że w nią nie wierzyła. Że jest zbyt absurdalna. Że nijak się ma do znanego jej świata.

– Ty obrzydliwy kłamco, to niemożliwe! – krzyknęła, zaciskając pięści. – To niemożliwe.

Rose skinęła głową, potwierdzając, że jednak możliwe, Carl zaś wyciągnął Assada na zewnątrz.

Kiedy cała trójka stała już przy aucie po drugiej stronie ulicy, Carl i Rose naskoczyli na towarzysza.

– Czy jest coś, o czym powinienesz nam powiedzieć? – spytał Mørck. – Musisz mieć z tym jakiś osobisty problem, w przeciwnym razie po co byś robił cały ten cyrk? Po co to wszystko?

– Pajac! – skomentowała Rose zaskakująco zwięźle.

Wtedy za ich plecami rozległ się huk otwieranych na oścież drzwi.

– Odpowiem ci, ty zasrańcu! – krzyknęła June, przechodząc przez ulicę. – Wiedz, że Bjarke nie miał mnie za co przepraszać.

Zwróciła się do Carla i Rose. Po policzkach płynęły jej łzy, ale twarz była harda.

– Dobrze nam się żyło bez Christiana. Skąd mam wiedzieć, dlaczego Bjarke tak napisał? Ma po prostu skomplikowaną osobowość – zamilkła, łapiąc się na błędzie. – Miał skomplikowaną osobowość – poprawiła się. Usta zaczęły jej drżeć.

– Znasz może historię Alberta? – spytała, chwytając Rose za ramię.

Policjantka potwierdziła.

June zdziwiła się i zwolniła uścisk.

– To dobrze. Więc nie mamy już o czym rozmawiać. – Wytarła oczy rękawem. – Mój mąż miał obsesję na jej punkcie. Od dnia, w którym znalazł jej zwłoki, wycofał się ze wspólnego życia, stał się odrażający, złośliwy i oblesny. Brzydziłam się go. I co, usłyszeliście to, po co przyszliście?

I znowu zwróciła się do Assada.

– A tobie powiem, że wbrew temu, co ci się wydaje, nie znasz moich marzeń i nie wiesz, jak walczyłam, by się spełniły. Rozumiesz?

W tym momencie coś się z nią stało. Jakby sama nie znała odpowiedzi. Jakby uświadomiwszy sobie, że stoi tu o zmierzchu na jezdni, uznała, że musi zwolnić.

Wtedy Carl zobaczył ją naprawdę po raz pierwszy. Nie tylko odrzuconą kobietę dobrze po sześćdziesiątce, ale osobę, której umysł pominął całą fazę życia, choć organizm się postarzał. Teraz sprawiała wrażenie, jakby znalazła się w czyszcacu, w bezruchu, który Carla też raz na jakiś czas kusił.

Wskazała na Assada, po czym stała przez chwilę, dochodząc do siebie, zanim znów otworzyła usta.

– *Chciałabym mieć rzekę, po której odjechałabym na łyżwach daleko stąd* – zanuciła. – *Ale nie pada śnieg, jeszcze jest zielono...* – wyglądała, jakby chciała pozostać w obecnym stanie rozkojarzenia, ale zrezygnowała. Wyraz jej twarzy się zmienił i znów pojawiła się niechęć do śniadego kędzierzawego człowieka, który przed nią stał.

– Więc nie wypowiadaj się o moich marzeniach. – Opuściła rękę. – Ośmieliłeś się też mnie spytać, dlaczego nie pojechałam do syna, by powiedzieć mu o ojcu, tylko po prostu zadzwoniłam. Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Assad skinął głową.

– Widzisz, właśnie dlatego ci tego nie powiem.

Po czym wróciła do domu, cofając się krok za krokiem i patrząc z pogardą na każde z nich z osobna.

– Zmiatajcie stąd – warknęła. – Więcej wam nie otworzę, chyba już to do was dotarło.

Usiedli w hotelowej jadalni przed laptopem Rose. Na dworze zapadła już ciemność, więc ustalili, że poczekają do jutra na spotkanie z księgową odpowiedzialną za nadzór nad świetlicą w Listed. Teraz trzeba było wyjaśnić kilka nierozstrzygniętych kwestii i podzielić się wrażeniami. Wciąż stała im przed oczami kobieta, która w jednym dniu dowiedziała się o śmierci eksmęża i syna, a nie straciła przez to rezonu.

– Dlaczego mówiła o wodzie, po której chciałyby jeździć? – zastanawiał się Assad. – Wiemy, czy przebywała w domu dla pukniętych?

– W domu dla stukniętych, Assad, puknąć to cię mogę zaraz w głowę, za to jak się dziś zachowywałaś – odparła Rose.

– Aha, ale przecież zadziało, no nie? Co o niej piszą?

– Że przez wiele lat pracowała w parku rozrywki Brændegårds-haven, który teraz nazywa się Joboland, diabli wiedzą dlaczego. Zimą jest kelnerką w różnych lokalach, więc nie widzę w jej życiu znaczących luk, które wskazywałyby na pobyt w wariatkowie.

– Zaczekajmy z tym. Jutro, jak pojedziemy do Listed przyjrzeć się domowi Christiana i świetlicy, może uda nam się spotkać z kimś, kto pomoże nam zrozumieć lepiej rodzinę



Habersaatów. Obejrzymy to DVD? – spytał Carl Rose. – Jesteś pewna, że chcesz to oglądać?

Kobieta się zdumiała.

– Dlaczego miałabym nie oglądać? Przecież chodziłam do szkoły policyjnej i widywałam już zdjęcia zwłok.

– Tak, ale to nie są zdjęcia. Jeśli dobrze rozumiem, nagranie ukazuje bardzo wyraźnie mężczyznę strzelającego sobie w skroń. To nie do końca to samo.

– Zgadzam się z Carlem, Rose – dołączył Assad. – Uważaj. Jak się ogląda takie rzeczy pierwszy raz, można puścić żurawia.

Carl pokręcił głową. Widać niektóre zwroty są trudniejsze niż inne.

– Puścić pawia, Assad. I owszem, może się zrobić dość nieprzyjemnie.

Jeśli sądził, że dała sobie spokój z protestami, to jej trwająca minutę tyrada o tym, jacy obaj są beznadziejnie nienormalni, przekonała go raz na zawsze, że dalsze stanie na straży spokoju ducha Rose jest idiotyzmem.

Włączył więc „Play”.

– Według wyjątkowo skromnego raportu z zajścia, nagranie wykonał znajomy Habersaata z tej samej ulicy – wyjaśnił Carl. – Gość, którego wszyscy na wyspie znają jako Wuja Sama. Jeśli dobrze wiem, kamera należała do Habersaata, więc Sam przez pierwszych parę minut ma pewne problemy z jej obsługą.

To ostatnie okazało się prawdą. Widać to było po ujęciach panoramicznych lokalu wykonanych z szybkością charta afgańskiego i wstrząsach godnych Larsa von Triera w filmie kręconym zgodnie z regułami Dogmy 95. Niezbyt przyjemny widok, jeśli ktoś cierpi na chorobę lokomocyjną.

Sali nie można było nazwać przepelnioną. Według listy to przewodnicząca stowarzyszenia mieszkańców wraz z księgową odpowiadali za organizację wydarzenia. Poza nimi znajdowali się tam komendant policji, miejscowy przedstawiciel związku policjantów, komisarz Birkedal, sąsiad Wuj Sam, emerytowany kościelny z Nexø, były kierownik spółdzielni, miejscowy złota rączka i jedna osoba, która źle się poczuła i wyszła.

– Kiepska frekwencja jak na pożegnanie – mruknął Assad. – Może to dlatego strzelił sobie w łeb.

– Zastrzelił się, bo Carlowi nie chciało się go wysłuchać – rozległ się oschły głos za ich plecami.

– Dzięki, Rose. Tego nie wiemy, okej? Ruszamy dalej z tematem?

Dopiero po upływie paru minut, kiedy Habersaat rozlał białe wino do kubeczków, Wuj Sam zapanował nad sprzętem wideo. Teraz kamera robiła powolną panoramę całego wysokiego i podniszczonego pomieszczenia. Znajdowało się w nim kilkoro drzwi prowadzących do mniejszych sal oraz jedno okienko w ścianie, prawdopodobnie łączące pomieszczenie

z kuchnią – przy bardziej uroczystych okazjach podawano przez nie jedzenie. Poza tym na ścianach wisało tu sporo obrazów różnego rozmiaru i różnej jakości.

W głębi przy oknach wychodzących na Hans Thygesens Vej stał ubrany na galowo Habersaat – jak można się było domyślić – a za jego plecami gdzieś daleko majaczyło morze. Może i mundur galowy nie był najnowszy, ale przecież mundur Carla też się do takich nie zaliczał. W ich branży nader rzadko nadarzała się okazja, by występować w pełnym rynsztunku.

– Dziękuję wam za przybycie – zaczął Habersaat. Sprawiał wrażenie zdumiewająco spokojnego, jakby nawet nie poświęcił myśli temu, co za chwilę ma zrobić.

Carl spojrzął na licznik nagrania. Stanie się to za niecałe cztery minuty, bo wtedy nagranie się kończy. Gdyby to jego znajomy się zabił podczas filmowania, pewnie on też by uważał, że te cztery minuty to aż nadto. Fuj, do cholery, co to za paskudna myśl.

Przesunął wzrok na Rose. Chyba ona również zerknęła na licznik i siedziała już ze zmrużonymi oczami. Niech sobie robi, co chce, jej sprawa.

Habersaat wzniósł toast za swoich gości, spokojnie do nich przemawiając, podczas gdy operator filmował pozbawione wyrazu twarze zebranych. Policjant wspominał czas swojej służby na wsi za starych, dobrych czasów i przeproszał, że nie potrafił pozostać osobą, którą wtedy był. Kamerzysta zrobił zbliżenie na jego wypełnione bólem oczy, a Habersaat publicznie i bez czułościowości przeproszał, że słynna sprawa Alberte pochłonęła go do tego stopnia, że odsunęła go od dawnego życia. Gdy jego uwaga skupiła się na kolegach z policji, wyraził swoją frustrację i wstyd z powodu pracy, którą wówczas wykonano.

– Mógłby teraz trochę oddalić, to byśmy zobaczyli, co się dzieje – stwierdził Assad.

Rose milczała; siedziała tylko, kręcąc głową.

Rozległy się protesty, które według raportu policyjnego padły z ust obecnego na miejscu zdarzenia przedstawiciela związku policjantów, ale Habersaat pozostał niewzruszony. Za to Wuj Sam zrobił odjazd kamerą i teraz widać było w pełnej krasie zarówno Habersaata, jak i ścianę za jego plecami.

Rose drgnęła, gdy wyciągnął pistolet i wycelował w dwóch wyższych rangą funkcjonariuszy, stojących tuż przed operatorem. Można było pomyśleć, że posiadają czarny pas w dzudo albo innej dziedzinie sportu, gdzie trenuje się zaawansowane techniki padu, bo obaj bez wahania odskoczyli w bok i przeturlali się niczym artyści cyrkowi. Twierdzenie Birkedala, jakoby najpierw sprawdzili, czy nie jest to atrapa, było grubo przesadzone.

– To teraz – mruknął Assad, podczas gdy Habersaat bez najmniejszego wahania przystawił pistolet do skroni i wystrzelił.

Głową odrzuciło w bok, podobnie jak nieokreśloną biało-czerwoną masę, która obryzgała lewą część pomieszczenia, po czym mężczyzna się osunął, a kamera spadła na podłogę.

Carl obrócił się do Rose, ale jej już nie było.

– Gdzie się podziała?– spytał Assada.

Ten wskazał nad ramieniem na schody.

Czyli to jednak było dla niej za dużo.

– Tutaj to dobrze widać – powiedział Assad bez najmniejszego wzruszenia. – Habersaat był leworęczny.

Jakim cudem potrafił podejść tak lekko i analitycznie do czegoś tak strasznego?

Wrzesień 2013

Drżenie głosu mężczyzny w telefonie zdradzało, że nie tylko jest zdenerwowany, ale wręcz poruszony i niepewny siebie. Pirjo natychmiast to zarejestrowała.

To może być żyła złota.

– Mówisz, że masz na imię Lionel. To piękne imię – powiedziała. – Czym mogę ci służyć?

– Tak, rzeczywiście mam na imię Lionel i chciałbym zostać piosenkarzem.

Pirjo się uśmiechnęła. Ach, jeszcze jeden. Cudownie.

– Wiem, że mam niezły głos, ale kiedy tylko mam to udowodnić przed innymi, więźnie mi w gardle. Właśnie dlatego dzwonię.

Nastąpiła krótka pauza, najwyraźniej musiał wziąć się w garść.

„Czyli lepiej powstrzymać się od pytań, czy w ogóle ma głos umożliwiający mu spełnienie marzeń” – pomyślała.

– Próbowalesz odciąć się od świata? Odszukać własną naturę i pozwolić pierwotnej sile przejąć stery nad spokojem, koncentracją i radością ze śpiewania?

– Nie wiem za bardzo...

– Wiesz, słyszałam to już tyle razy. Kiedy człowiek czegoś tak żarliwie pragnie, tak jak teraz ty, to łatwo dać się wytrącić z równowagi i działać wbrew własnej energii, jeśli można tak powiedzieć. Myślę, że właśnie to ma miejsce, gdy zawodzi cię głos. Czy odczuwasz ten sam rodzaj niepewności, gdy robisz inne rzeczy? Bo jeśli nie, to radziłabym ci sięgnąć po którąś z bioakustalnych metod terapii, albo nawet po grounding body fission, na które mogę cię pokierować, kiedy zrozumiemy, co jest dla ciebie najlepsze i najpewniejsze.

– Brzmi dość zawile, ale skoro działa...

– Posłuchaj, Lionelu. Rozwój duchowy jest trudny, ale istnieją metody, by go osiągnąć i zbudować specyficzną karmę. Oczywiście wymaga to mnóstwa pracy, wówczas warto jednak przypomnieć sobie obietnicę Bodhisattwy: „Nie spoczniemy, dopóki każde stworzenie nie zostanie uwolnione od cierpienia”. Tak będzie też w twoim przypadku. Krótko mówiąc, uważam, że istnieje dla ciebie wyjście.

Rozległo się głębokie westchnienie, Lionel dał się złapać w sieć. Będzie go to drogo kosztowało.

Siedząc tak, zachowując spokój jak westalka przed wiecznym ogniem i stojąc na straży życia i poczynań słabych ludzi, Pirjo czuła się najlepiej. Pozostawiające wiele do życzenia

wychowanie nauczyło ją, że nigdy nie należy nikogo oszukiwać, ale dlaczego miałyby mieć skrupuły, od czasu do czasu poprawiając komuś jakość życia?

Kiedy ludzie dzwoniли do niej, prosząc, by pomogła im znaleźć drogę do lepszej przyszłości, dlaczego miałyby tego nie robić? Kiedy karmili ją informacjami o swojej trywialnej codzienności, nudnych snach i smutnych nadziejach, które ona potem interpretowała, tak by mieli do czego dążyć, to co w tym złego, skoro po prostu się starali? Przecież już wielokrotnie przekonała się, że dla jej klientów najważniejsza jest możliwość wsparcia się na kimś. Czy nie jest tak, że niektórzy ludzie mają większe niż inni predyspozycje do przewidywania pewnych rzeczy i wpływania na los? Ona w każdym razie miała takie predyspozycje, Atu przekonał ją o tym już dawno temu.

Uśmiechnęła się. Porady telefoniczne były genialne w swojej prostocie i dość lukratywne, a co ważniejsze, były jej prywatnym pomysłem i własnym dochodem. W poniedziałki była psychologiem pod jednym numerem, w środę zaś podejmowała się roli terapeuty na innej linii, na którą kierowała ludzi, kiedy trzeba było przepracować rezultaty pierwszej rozmowy. Dzięki generatorowi głosu w poniedziałki brzmiała jak eteryczna i delikatna osoba, a w środę stawała się rzeczowa i władcza. Trzeba było się naprawdę postarać, by się zorientować, co jest w tym grane. W każdym razie po głosie nie dało się jej rozpoznać.

Dzięki obu liniom telefonicznym o taryfie trzydziestu koron za minutę do Światła Wyroczni i Kręgu Holistycznego Pirjo oszczędzała sobie na emeryturę. Tym samym była jedyną osobą w Akademii Absorpcji Natury, której Atu pozwalał na prowadzenie własnych interesów obok pracy na rzecz ośrodka.

Ale Pirjo wywalczyła sobie z czasem wiele przywilejów, na które zasłużyła, bo też Atu miał jej za co dziękować.

– I jeszcze jedno, Lionelu: co właściwie spodziewasz się zyskać dzięki swojemu talentowi wokalnemu?

Zawahał się przez chwilę, a wahanie zawsze sprawiało, że Pirjo ściągała brwi.

– Czy to nie tak, że chciałbyś zajmować się muzyką, bo to ważna część twojej osoby?

– Taak, też.

Ach więc to tak. Czyli to co zwykle.

– Może chciałbyś zostać sławny?

– Myślę, że tak. A kto by nie chciał?

Pokręciła głową. Ostatnio takich idiotów nie brakowało.

– I do czego potrzebna ci sława? By zarabiać dużo pieniędzy?

– Owszem, czemu nie, byłoby miło. Ale chyba bardziej ze względu na dziewczyny. Słyszysz się często, że piosenkarze mają ich na pęczki.

Okej, to wręcz jeden z tych. Naprawdę zanoszą się na żyłą złota.

– Czyli masz pewne problemy z płcią przeciwną – podsumowała ze współczuciem. – Mieszkasz sam, jak rozumiem?

Czyżby zachichotał?

– Nie, skąd. Jestem żonaty.

Pirjo drgnęła, jakby mężczyzna włączył przycisk połączony bezpośrednio z wiązką nerwową w jej kręgosłupie. W jej mózgu nastąpiła reakcja chemiczna i zalała ją fala niesmaku. Tyle lat poświęciła, by zwalczyć w sobie tę kruchość, a i tak ostatnio nie było dnia, żeby nie płaciła za własną wrażliwość.

– Mówisz, że jesteś żonaty?

– Tak, od dziesięciu lat.

– I twoja żona jest zaznajomiona z twoimi planami?

– Zaznajomiona? Nie, do cholery. Po prostu lubi, gdy śpiewam.

Pirjo siedziała przez chwilę, spoglądając na przedramiona. Czasami pojawiała się na nich gęsia skórka, czasami robiły się ognście czerwone jak przy reakcji alergicznej. W tej chwili wystąpiły u niej obie reakcje naraz.

Ten idiota musi natychmiast zmiatać z jej życia.

– Lionelu, zdałam sobie sprawę, że nie mogę ci pomóc.

– Co?! Właśnie zapłaciłem trzydzieści koron za minutę za rozmowę z tobą, więc będziesz musiała. Tak jest napisane na stronie internetowej.

– Okej, w porządku. Zaraz otrzymasz rekompensatę za wydane pieniądze. Znasz piosenkę Beatlesów *Yesterday*?

Niemal słyszała, jak jej rozmówca kiwa głową.

– Zaśpiewaj dla mnie pierwszą zwrotkę.

Po minucie było po wszystkim. Pirjo nawet nie słuchała; wyrok już zapadł.

– Posłuchaj. Żal mi twojej żony, że jesteś takim gnojkiem, ale masz szczęście, że zachęca cię do śpiewania, bo nie masz żadnego talentu. Mój zwierzak fałszuje mniej niż ty, a moi głuchoniemi znajomi mówią lepiej po angielsku. Ciesz się więc, że oszczędzę ci największej życiowej porażki, bo bez względu na to, co się stanie, tylko odstraszysz kobiety tym swoim żalonym beczaniem.

Potem spokojnie i cicho odłożyła słuchawkę, oddychając przez szeroko otwarte usta. Przeholowała, ale ten dureń przecież nie będzie się tym przechwalał.

Odwróciła się raptownie.

Za jej plecami rozległo się kliknięcie, które sprawiło, że zacisnęła usta. Zamknęła oczy, czując jak pod pachami występuje jej pot, a żyła na szyi zaczyna pulsować.

Choć tego nie chciała, właśnie taka była jej reakcja, gdy Atu zamykał na klucz drzwi między jej gabinetem a atrium, żeby mu nie przeszkadzać z jego najnowszą zdobyczą.

Zawsze tak. Już wiele razy zastanawiała się, czyby nie przenieść gabinetu; próbowała go nawet przekonać, żeby przeniósł swoją siedzibę do innej części akademii, ale sytuacja nie uległa zmianie.

„Droga Pirjo, tak jest najpraktyczniej. Najważniejsze decyzje i działania, zaopatrzenie – wszystko w jednym budynku. Administracja ma krok i do ciebie, i do mnie. Wszystko na wyciągnięcie ręki. Nie zmieniamy tego”.

Spojrzała na drzwi do atrium i potarła rękę, ignorując dzwoniący po raz drugi telefon i uczniów machających do niej przez okno na placu. W końcu próbowała też przestać wyobrazać sobie mężczyznę, którym od lat była owładnięta i który w pokoju obok właśnie teraz pieścił inną kobietę.

Ale Pirjo nie potrafiła zignorować kliknięcia drzwi, bo budziło w niej odrazę. Sprawiało, że w jej ciele następowało coś w rodzaju spięcia. Dźwięk wieszczący, że Atu za chwilę położy się obok innej kobiety, a nie koło niej, będzie się z nią kochać, a co gorsza, że może już skończył i właśnie otwiera drzwi. W ciągu sekundy miejsce jej wewnętrznego spokoju zajmował straszny bunt i ogarniało ją wszechogarniające poczucie niesmaku.

Dlaczego nie potrafiła tego po prostu zaakceptować? Ten dźwięk towarzyszył jej od wielu lat, Atu nigdy nie próbował się przed nią kryć. Tylko czy aby wiedział, jak działa na nią ten dźwięk ostatecznego dystansu, wykluczenia i drwiny? Ten gorzki odgłos poniżenia? A gdyby wiedział, czy w ogóle próbowałby go jej oszczędzić? Szczerze w to wątpiła.

Właśnie dlatego za każdym razem kończyło się na tym, że zatykała sobie uszy i zaczynała monotonicznie mamrotać, by znaleźć równowagę w swoim ciele.

– Horusie, zrodzony z dziewicy – zaczęła. – Wskazówko dwunastu apostołów, trzeciego dnia powstały z martwych, uwolnij mnie od przygnębienia, spraw, by zbladła moja zazdrość, powstrzymaj deszcz pokus, a ofiaruję ci kryształ, rozbijający słońce na wszystkie kolory.

Potem wciągnęła powietrze głęboko, aż do rozdygotanego brzucha. A gdy skurcze żołądka ustały, włożyła rękę do kieszeni, chwyciła kamyczki, podeszła do okna znajdującego się na końcu pomieszczenia, otworzyła je i spojrzała na Bałtyk i mającą w oddali Gotlandię. Po chwili z całej siły cisnęła migoczące kryształy do morza.

Z upływem lat morze obmyło już wiele kryształów, które wpadły w biały piasek.

Od blisko czterech lat główna siedziba Akademii Absorpcji Natury Atu Abanshamasha Dumuziego mieściła się na Olandii, podłużnej, wysuniętej na południe wyspie u wschodnich wybrzeży Szwecji. Pirjo to odpowiadało. W tej sielankowej scenerii miała prawie wszystko pod kontrolą, tu działo się tylko to, czego chciały Opatrzność i Wszechświat. Tu duszy Atu nic nie przeszkadzało, a to było dla Pirjo najważniejsze.

Sprawy wyglądały inaczej, gdy werbował nowych klientów z filii w Barcelonie, Wenecji i Londynie i spotykał się z wszystkimi kobietami, które znajdowały się gdzieś tam, na ziemi niczyjej. Kiedy dysząc, przyjmowały go jako swoją wyrocznię, uzdrowiciela dusz z oceanu

energii kosmicznej i zorzy polarnej. Kiedy docierał do ich niespełnionych marzeń, frustracji i braku życiowego oparcia i niczym lekkie chmurki unosił je ku słońcu.

W przeciwieństwie do tego, jak czuła się na wyspie, tam, w szerokim świecie Pirjo odczuwała tylko samotność, dręczyła ją silna zazdrość i izolowało poczucie błahości.

Nie można powiedzieć, Atu traktował ją jak osobę, która wywalczyła sobie swoją obecną pozycję: była jego prawą ręką i doradcą, dokonywała codziennych zapisków w pamiętniku pod jego dyktando, wszystko organizowała i koordynowała. Ale Atu nie patrzył na nią tak, jak by tego chciała.

Nie patrzył na nią tak, jak patrzył na inne kobiety.

Z upływem lat Pirjo stała się ostatnią z wyznawców, którzy towarzyszyli Atu Abanshamashowi Dumuziemu od czasów, kiedy znajdował się na zupełnie innym etapie życia i miał na imię Frank. Jednak mimo to, mimo współpracy i bliskości, Atu nigdy się z nią nie kochał, ciało przy ciele, choć było to jej najgłębsze marzenie.

– Kochamy się za pomocą dusz, przyjaciółko – mawiał. – Dajesz mi moje najważniejsze orgazmy, słodka Pirjo. Najcenniejsza energia napełnia mnie dzięki łagodności twojej duszy i twojej wielkiej mądrości.

Nienawidziła, kiedy Atu mówił takie rzeczy, bo tak naprawdę nie była ani łagodna, ani cnotliwa. Ale jednak rozumiała go, bo z czasem stali się dla siebie bardziej duchowym rodzeństwem, choć kłóciło się to z jej potrzebami. Chciała poczuć go tak, jak miały go inne kobiety. Poczuć się miękka, wilgotna, przeszywana jego pożądaniem i namiętnością. Gdyby położył się koło niej choćby ten jeden, jedyny raz i pożądał jej jak kobiety z krwi i kości, mającej swoje potrzeby, to byłoby co innego. Choćby ten jeden, jedyny raz; wówczas ona nie musiałaby ciągle rozmyślać o tym, że to niemożliwe i nigdy się nie wydarzy.

Ale dla Atu była tylko westalką, nietykalną. Symbolem dziewicy, która strzegła jego, ich działalności i całej reszty. To on to wymyślił, nie Pirjo.

Rzeczywiście na swój sposób była trzydziestodziewięcioletnią dziewicą. W każdym razie wobec Atu. Jeśli miałyby się z nim kochać i miałyby z tego powstać dziecko, czego żarliwie pragnęła, musiałyby się to zdarzyć bardzo, ale to bardzo szybko.

Zagryzła zęby, wyobrażając sobie kobietę przebywającą w atrium. Atu przygruchał ją parę miesięcy temu w Paryżu. Ta cała Malena Michel stanęła przed nim na niebotycznych obcasach i w obcisłej, choć niewinnej, białej sukience, tłumacząc, że jej rodzice są Włochami, ale wyemigrowała do Francji w wieku sześciu lat, i że czuje, iż cała jej przeszłość i pochodzenie urzeczywistniają się w słowach, którymi zasypał ją Atu. Że poczuła, iż pojawiła się na świecie tylko ze względu na niego, i będzie mu służyć we wszystkim, czego zapragnie.

Nikt nie miał pojęcia, jak Pirjo zabolalo, że dał się nabrać na takie słodkie słówka. Czuła, że to niesprawiedliwe, i miała rację.



W rezultacie ta Malena z nim została i nie oddalała się bardziej niż na kilka metrów, schwytana w sieć jego charyzmy. Nie po raz pierwszy miał wśród wyznawców taką kobietę. Właściwie z upływem czasu zdarzało się to coraz częściej i Pirjo miała już trochę tego dość.

Przed zaledwie paroma tygodniami, kiedy w Londynie werbowali wyznawców i uczestników jesienno-kursu, młoda, piękna Murzynka padła przed nim zemdlna.

W wyjątkowo natarczywy sposób, do którego zazwyczaj się nie uciekał, Atu prosił Pirjo, by umożliwiła tej kobiecie odpoczynek w jego prywatnym pokoju. Można było się domyślić, co potem się działo za drzwiami, ale w oczach Atu pojawił się jakiś nowy błysk, który nie podobał się ani jego paryskiej kochanicy, ani Pirjo, gdy siedzieli razem w samolocie powrotnym.

A teraz przed Pirjo leżał list od tej kobiety. Wyrażała w nim chęć uczestnictwa w kolejnym kursie Absorpcji Natury prowadzonym przez Atu na Olandii, według informacji na stronie internetowej zaczynającym się za tydzień.

Zdecydowanie nie były to dobre wieści. Pirjo odczuła w związku z tą informacją tylko przelotną radość z faktu, że w takim razie francuska niewolnica wypadnie ze sfery intymnej Atu.

Poza tym Pirjo czuła, że tym razem sprawy mogą przybrać niekorzystny obrót. Zauważyła, jakie wrażenie czarnoskóra kobieta wywarła na Atu, a to nie zdarzało się już od bardzo dawna. Pirjo o to zadbała.

Nie, nie ulega wątpliwości, że ta kobieta zdoła zdobyć większą władzę nad Atu, niż powinna, jeśli tylko będzie miała ku temu okazję.

Więc Pirjo zachowywała czujność.

Choć czujność to mało powiedziane.

Czwartek 1 maja 2014

Przy oknie wychodzącym na port nakryto dla trzech osób i Rose siedziała już przy stole ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko w morze, tam gdzie spojrzenia nigdy nie docierają.

– Dzień dobry – odezwał się mężnie Assad. – Jesteś blada na twarzy jak małe dziecko, Rose. Ale jakoś to będzie, jak powiedział wielbłąd do dromadera, gdy tamten jęknął, bo jeździec uderzył go batem.

Rose pokręciła głową, odsuwając talerzyk.

– Mam ci przynieść coś z apteki? – zaproponował kolega.

Znów pokręciła głową.

– Wiemy, że to było głupie, że obejrzałaś to DVD z Habersaatem, prawda, Carl? – ciągnął.

„Niechże on się już zamknie albo chociaż się wstrzyma, dopóki nie wypiją porannej kawy. Czy nie widzi, że dziewczyna nie czuje się ani trochę lepiej, niż kiedy kładła się spać?” – Carl lekko skinął głową.

– To nie ma nic wspólnego z filmem – odparła. – Dałam radę go obejrzeć, choć był odrażający.

– A więc co? – spytał Assad, układając na talerzu stosik z pieczywa chrupkiego.

Jej wzrok znów uciekł gdzieś w dal.

– Daj Rose spokój i podaj mi masło. – Carl spojrzał ze zniechęceniem na prawie pustą maselnickę. – To znaczy troszeczkę tego, co już zostało, a czego nie masz zamiaru sam zużyć.

Assad widocznie tego nie dosłyszał.

– Wiesz co, Rose? Może dobrze by było, gdybyś nam powiedziała, co ci się płacze po głowie – powiedział, chrupiąc i rozsypując wokół siebie okruchy. Dobrze, że nie jedzą razem śniadania codziennie.

Assad utkwiał wzrok w grupce demonstrantów z transparentami, przygotowujących się do obchodów pierwszego maja na placu przed supermarketem Brugsen. „Silniejsi razem” – głosił napis na jednym z plakatów.

– Czy wy też sądzicie, że Bjarke Habersaat był gejem? – spytał, nie odrywając wzroku od demonstrantów.

Carl ściągnął brwi.

– Dlaczego o to pytasz? Masz na ten temat jakieś informacje?

– Nie, nie bezpośrednio, ale ta jego gospodyni zdecydowanie była dość ładna i chętna do figli.

Chętna do figli! Co to w ogóle za wyrażenie? Może on sam jest chętny.

– I co z tego?

– Miał dopiero trzydzieści pięć lat, czyli był dość młodym mężczyzną, co jej wyraźnie nie przeszkadzało. Czyli była zdecydowanie chętna. – Spojrzał na Carla, jakby wsadził swój orłowski nos do gniazda os i udało mu się uniknąć ugryzienia. Był całkiem zadowolony z siebie.

– Ni w ząb nie rozumiem, Assad. Do czego zmierzasz?

– Gdyby ją i Bjarkego coś łączyło, jego pokój nie wyglądałby tak, jak wyglądał. Wówczas by go rozpieszczała, przecież sam widziałeś, jaka jest. Rozpieszczałaby, dbała o niego, wietrzyła mu kołdrę, opróżniała popielniczkę i prałaby mu, żeby wnieść w swoje życie trochę czułości i erotyki.

– Aha, tak sądzisz? Ciekawe! Ale w takim razie nie widzę przeszkód, by uprawiali seks w innych częściach domu. To niczego nie dowodzi, Assad, ponosi cię fantazja.

Jego asystent przechylił głowę.

– Tak, może i racja. Czyli uważasz, że mogli uprawiać seks pośród zdjęć rodzinnych i koronkowych obrusów z pędzlami?

– Z frędzlami, Assad. Owszem, czemu nie? Ale dlaczego w ogóle ta kwestia jest taka istotna?

– Myślę, że był gejem, również z tego względu, że miał pod łóżkiem czasopisma z panami w bardzo obcisłych spodniach i skórzanych czapkach na okładce. Oraz plakaty z Davidem Beckhamem na ścianach.

– Okej, trzeba było tak od razu. Ale co to w ogóle ma za znaczenie? Czy to nie wszystko jedno?

– Niby tak. Tylko wydaje mi się, że jego matce się to nie podobało i z tego powodu nie lubiła go odwiedzać w miejscu zamieszkania. Nie należał do wątych, delikatnych gejów, którzy trzymają ciasteczka w kryształowym półmisku, wielbią mamusię jak boginię i kochają chodzić z nią na zakupy. Był raczej bardziej męskim typem.

Carl wyduł dolną wargę i skinął głową. Jest to jakaś hipoteza, choć nie wiadomo, do czego miałyby się przydać. Jeśli o niego chodzi, preferencje seksualne Bjarkego Habersaata mogły równie dobrze obejmować seks z jednojajowymi andaluzyjskimi bliźniętami po sześćdziesiątym piątym roku życia, nie miał nic przeciwko. Obchodziło go to tyle, co zeszłoroczny śnieg, dopóki na stole kusiły ciepłe bułeczki.

Assad zwrócił się do Rose.

– Co cię tak zamurowało? Zazwyczaj masz o wszystkim własne zdanie. Powiedz, co się dzieje, przecież czuję, że coś jest nie tak. Jeśli nie to samobójstwo na DVD, to co tobą wstrząsnęło? Bo coś musiało.

Powoli odwróciła do nich głowę z tym samym zbolalym spojrzeniem, jakie widzieli u June Habersaat wczorajszego wieczora. Ale Rose nie płakała; wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie

przytomnej i opanowanej. Jej wzrok mówił, że chciałaby zachować to dla siebie, ale jej na to nie pozwalano.

– Nie chcę o tym rozmawiać, ale jednak wam powiem, okej? Nie mogłam tego oglądać, bo Habersaat do złudzenia przypominał mojego tatę – odsunęła krzesło i opuściła ich.

Carl siedział przez dłuższą chwilę, wpatrując się w stół.

– Chyba nie powinieneś już o to dopytywać, Assad.

– Okej. Z tym ojcem to jakaś szczególna sprawa?

– Tylko taka, że został przerobiony na mielone w swoim miejscu pracy we Frederiksværku, gdzie również pracowała Rose. Tylko tyle.

Zgodnie z oczekiwaniami, świetlica w Listed zlokalizowana była w łatwo dostępnym i wyjątkowo zachęcającym miejscu pośrodku głównej ulicy, przecinającej miasteczko na dwie połowy: chaty rybackie po stronie morza i domy nowych mieszkańców od strony lądu.

„Dom Listed” – głosił treściwy i krótki napis na fasadzie. Najważniejsze zostało powiedziane.

Brzydka i fatalnie umiejscowiona gablotka z ogłoszeniami informowała, że starsi mieszkańcy Listed mogą skorzystać z oferty tańców country, spacerów z kijkami i gry w bule, dzieci zaś mogą wziąć udział w ognisku z pieczeniem bułeczek na patykach, brannballu i wycinaniu dyń na Halloween. Poza tym znajdował się tam też protokół z zebrania stowarzyszenia mieszkańców, dotyczący bieżących nadziei i bolączek miasteczka. Czy w mieście powinien być obowiązek meldunkowy? Czy wymienić ławkę przy Mor Markers Gænge? I czy aby wystarczy funduszy na most pontonowy przy kąpielisku?

Wyłącznie lokalne kwestie, ani słowa o jakimkolwiek spotkaniu pierwszomajowym czy tutaj, czy w innych miejscach na wyspie. Tylko informacja, że Metal Bornholm postawił dla dzieci dmuchany zamek przy czymś, co, pozał się Boże, nazywano Kwoką<sup>2</sup> gdzieś w lesie Almindingen.

Tu w świetlicy w tym odległym zakątku letniego rajy ludzie spotykali się w sprawach dużych i małych. Tak było też przed niecałymi dwudziestoma czterema godzinami, kiedy jeden z przykładowych obywateli poniósł dramatyczne konsekwencje własnych niewłaściwych wyborów życiowych.

Carl rozpoznał z filmu Habersaata kobiety, które ich przyjęły.

– Bolette Elleboe – przedstawiła się pierwsza z bornholmskim akcentem, który nawet dało się zrozumieć. – Jestem księgową i mieszkam tuż obok, więc to ja mam klucze. – Mówiła zaczepnie, ale raczej nie była dumna ze swojej pozycji. Druga miała na imię Maren i była przewodniczącą stowarzyszenia mieszkańców, zaś z jej smutnych oczu można było wyczytać, że w takich momentach ta funkcja jej ciąży.

– Znały panie Habersaata prywatnie? – spytał, podczas gdy kobiety witały się z Rose i Assadem.

– Tak, doskonale – odparła Bolette Elleboe. – Może nawet lepiej, niż byśmy chciały.

– Jak mam to rozumieć?

Wzruszyła ramionami i zaprowadziła go do sali konferencyjnej, jasnego pomieszczenia z dyplomami i malowidłami rozszanymi chaotycznie po białych ścianach. Przez panoramiczne okna po jednej stronie widać było ogród. Usiedli przy laminowanym stole, gdzie czekała już kawa.

– Powinnyśmy były wiedzieć, że to się któregoś dnia zdarzy – powiedziała cicho przewodnicząca. – To straszne, że stało się to właśnie wczoraj. Wciąż jestem tym bardzo poruszona. Myślę, że Christian to zrobił, bo przyszło tak mało ludzi. Że to miała być kara dla całej naszej społeczności.

– Bzdura, Maren – przerwała Bolette Elleboe i zwróciła się do Carla: – To dla Maren typowe, jest taką delikatną i wrażliwą istotą. Jeśli chcecie znać moje zdanie, Habersaat to zrobił, bo miał już dosyć osoby, którą się stał.

– Nie sprawia pani wrażenia szczególnie poruszonej, właściwie dlaczego? Być świadkiem tak gwałtownego zdarzenia to potężne przeżycie, prawda?

– Posłuchaj, skarbie – odparła Bolette Elleboe. – Przez pięć lat pracowałam w opiece społecznej na grenlandzkim zadupiu, więc takie rzeczy nie wytrącają mnie z równowagi. Widziałam więcej przypadków nieregulowanego użycia śrutówek, niż można sobie wyobrazić. Ale oczywiście, zrobiło to na mnie wrażenie, tyle że trzeba żyć dalej, prawda?

Rose siedziała przez chwilę, obserwując ją w milczeniu, po czym wstała, podeszła do okien wychodzących na ulicę, obróciła się do ich małego zgromadzenia, skierowała palec wskazujący lewej ręki do skroni, udając, że strzela i upada na bok o krok dalej.

Spojrzała na Bolette Elleboe.

– Tak to przebiegło?

– Owszem, a jak? Proszę spojrzeć na podłogę, widać jeszcze ślady po plamach. Nie mam zamiaru już jej szorować, zadzwonię do firmy sprzątajacej.

– Sprawia pani wrażenie poirytowanej. Czy dlatego, że zrobił to tutaj? – spytał Assad, rozcieńczając cukier w swojej filizance kilkoma kroplami kawy.

– Poirytowanej? Wie pan, to, że on zastrzelił się w tym miejscu, to po prostu zła karma. Mógł przynajmniej pójść do siebie do domu, albo na skały. Uważam, że nieładnie się zachował wobec naszej małej świetlicy, robiąc to tutaj.

– Zła karma? – Assad pokręcił z niezrozumieniem kędzierzawą głową.

– Sądzi pan, że miło będzie siedzieć w tym pomieszczeniu na zebraniu stowarzyszenia i jeść, przypominając sobie to, co się stało?

– To chyba problem tylko was dwu, w końcu na imprezę nie przyszło zbyt wielu ludzi ze stowarzyszenia – zauważyła ostro Rose.

– Nie. Ale w obrazie wciąż jest dziura, a ściana za nim jest uszkodzona, prawda?

Bolette Elleboe zdecydowanie nie należała do osób, które łatwo zbić z pantafelku.

– Cóż! Jakoś musimy odnowić ścianę, jak już załatamy tę ogromną dziurę, którą zostawili technicy, wygrzebując z niej kulę. W sumie od lat orędowną w tej sprawie, więc zawsze to jakiś plus. Proszę spojrzeć, jaki mur jest brzydki. Jest z gazobetonu, co za nędza! Więc dzięki, Habersaat, jednak się do czegoś przydałeś.

Widać tu, na Dzikim Wschodzie, cynizm miał się nad wyraz dobrze.

– Nie przejmujcie się Bolette – niemal wyszeptała Maren. – Jest równie mocno poruszona tym zdarzeniem, co ja. Po prostu każda z nas radzi z tym sobie na swój sposób.

– Rose, stój tak, jak wcześniej – poprosił Assad, podrywając się od stołu i stając przed koleżanką. – Ja jestem obserwatorem, a ty Habersaatem. Chciałbym...

Ale Rose nie słyszała. Wpatrywała się w przeszyty kulą obraz. Nie dlatego, że było to wiekopomne dzieło sztuki. Słońce, gałęzie i ptak w locie.

– Trafił prosto w tego lecącego ptaka. Dziwne, że obraz nie spadł na ziemię – zaśmiała się Bolette. – Przynajmniej pozbędziemy się tego bohomazu.

– Nie podoba się pani obraz? – spytał Assad, podchodząc bliżej. – Jest całkiem ładny, choć oczywiście nie aż tak piękny, jak ten krajobraz z plażą obok, prawda?

– Niech pan lepiej przeczyści okulary, kolego – odparła. – Ich autor był amatorem, potrafił namalować dziesięć takich dziennie.

Rose oderwała wzrok od ściany.

– Wyjdę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wokół dziury po kuli, pośrodku ptaka, widać było resztki zarówno odłamków kości czaszki, jak i tkanki mózgowej mężczyzny, który przypominał jej ojca, więc można ją było zrozumieć.

– To bardzo młoda kobieta jak na taką pracę – odezwała się przewodnicząca ze współczuciem.

– Owszem – skinął głową Carl. – Ale niech pań nie zmyli jej wiek. W jej żyłach płynie ciekła stal. Proszę mi powiedzieć, co panie wiedzą o Habersaacie. Miejcie na uwadze, że przyjechaliśmy z Kopenhagi, więc informacje, którymi dysponujemy na jego temat jako osoby prywatnej, są na razie dość skąpe.

– Moim zdaniem Christian był w porządku – powiedziała Maren. – Po prostu chciał osiągnąć o wiele więcej, niż był w stanie, na czym ucierpiała jego rodzina. Pracował w prewencji, nie był detektywem, więc czemu się tym wszystkim zajmował? Tego właśnie nie rozumiem. – Zamyśliła się. – To się najbardziej odbiło na Bjarkem, biedny chłopak. Moim zdaniem nie było mu łatwo z taką matką.

„One nie wiedzą, że syn nie żyje” – pomyślał Carl, rzucając Assadowi ostrzegawcze spojrzenie, by trzymał język za zębami, tak aby nie zbaczać z tematu. Z jego punktu widzenia jeszcze nie było za późno, by zdążyć na wieczorny prom do domu. Śmierć Bjarkego była sprawą dla bornholmskiej policji, rozgrzebywanie zaś sprawy Habersaata zapowiadało się

beznadziejnie. Zrobili, co do nich należało, posłuchali Rose, która teraz się odmeldowała. Czyli wieczorny prom do domu.

– A więc to może wina matki, że Bjarke popełnił samobójstwo – palnął jednak Assad.

W okamgnieniu brwi obu pań poszybowały do połowy wysokości czoła.

– O Boże, nie! – zawołała Maren z przerażeniem.

Kiedy Carl zdradzał im szczegóły, kobiety siedziały w milczeniu. Niech licha porwie Assada i jego długi język.

– Słyszałam, że właściwie ze sobą nie rozmawiali. Bjarke był homoseksualistą i jego matce się to nie podobało. Phi, jakby sama była aniołkiem w tych sprawach – prychnęła Bolette Elleboe.

„A nie mówiłem?” – dało się wyczytać z twarzy Assada.

– Powiada pani, że nie była aniołkiem. Ale nie była zamężna, więc chyba nic w tym złego, prawda? – spytał Carl.

Obie panie wymieniły spojrzenia. Widać o kobiecie krążyły powszechnie znane, pikantne historie.

– Nosiło ją już, kiedy była jeszcze z Habersaatem – jadowicie rzuciła przewodnicząca. Jej anielska łagodność gdzieś nagle wyparowała.

– Skąd to wiadomo? Nie zachowywała dyskrecji?

– Ależ zachowywała – odparła Bolette Elleboe. – W każdym razie nie prowadziła się z nikim otwarcie, ale nagle zrobiła się taka rozanielona. Przecież wiadomo, od czego.

– Chodzi pani o to, że sprawiała wrażenie zakochanej?

Prychnęła parę razy, widocznie pytanie ją ubawiło.

– Zakochanej? Nie, raczej zaspokojonej. Orgazmy, wie pan. A jeśli mnie pan spyta o zdanie, to w domu za dużo ich nie doznała. W każdym razie jej koledzy z pracy nie mieli wątpliwości, że kombinowała coś podczas tych wszystkich długich przerw na obiad, które nagle zaczęła sobie robić. Widywano też jej samochód pod domem siostry w Aakirkeby pod jej nieobecność. Znajoma z tej samej ulicy mówi, że przy drzwiach wejściowych spotykała się tam z jakimś mężczyzną, który zdecydowanie nie był Habersaatem, bo był na to za młody – Bolette Elleboe zaśmiała się, ale po chwili spoważniała i wyraz jej twarzy się zmienił. – Moim zdaniem nigdy nie pomogła mężowi wrócić do równowagi, więc wina leży po stronie obojga. I tak by go zostawiła, nawet bez historii z Alberte.

– Przykra wiadomość z tym Bjarkem – powiedziała przewodnicząca. Jeszcze się nie otrząsnęła.

– Faktycznie, nieciekawa sprawa. Ale w kwestii tej Alberte, którą przejechał samochód – podjął Assad – może wiedzą panie o niej coś, czego nie mamy w aktach?

Obie kobiety wzruszyły ramionami.

– Nie wiemy, co macie w aktach, ale coś tam wiemy, bo na małej wyspie ludzie dużo gadają, kiedy dzieje się taka rzecz.

– Co takiego? – Assad dodał do kawy jeszcze jedną łyżeczkę cukru. Naprawdę się jeszcze zmieściła?

– Zwyczajna miła dziewczyna, którą nagle spuszczone ze smyczy. Nic szczególnego, ale czasami w szkole potrafi zrobić się gorąco, kiedy młodzieży się nie pilnuje, tak to już jest – odparła Bolette. – W każdym razie mówiło się, że miała w krótkim czasie kilku chłopaków.

– Mówiło się? – zabalgotał Assad z wnętrza filiżanki.

– Mój siostrzeniec, który jest woźnym w szkole, mówił, że kręciła z kilkoma facetami, jak to świeżo zakochana dziewczyna. Spacerki za rączkę w Ekkodalen za szkołą, te sprawy.

– Brzmi to dość niewinnie. Mamy coś na ten temat w raporcie? – zwrócił się Carl do Assada.

Ten skinął głową.

– Tak, trochę. Jeden z chłopaków uczył się w tej szkole, ale to nie było nic poważnego. Z jakimś innym spoza szkoły trwało to dłużej.

Carl zwrócił się do kobiet.

– Znają go panie?

Pokręciły głowami.

– Co mamy na jego temat w raporcie, Assad?

– Nic poza tym, że próbowano ustalić jego tożsamość, bez skutku. Jedna z dziewczyn ze szkoły mówiła, że facet nie był jednym z nich, ale przez niego Alberte potrafiła godzinami gapić się bezmyślnie przed siebie, zapominając o bożym świecie.

– Wiecie może, czy śledztwo Habersaata pomogło ustalić tożsamość tego faceta?

Obie panie i Assad pokręcili głowami.

– Hm, więc musimy to na razie zostawić. O ile dobrze rozumiem, Habersaat angażuje się w beznadziejną sprawę, do której go nawet nie przydzielono. Zostawia go żona, zabierając ze sobą syna, od ludzi z miasteczka nie dostaje żadnego wsparcia. Przestępca uciekający z miejsca wypadku i śmierć młodej kobiety zmieniają całe jego życie, co jest mi trudno zrozumieć jako policjantowi. Próbowaliśmy rozmawiać z June Habersaat, która niechętnie do tego wszystkiego wraca i sprawia wrażenie nieprzejednanej w stosunku do męża. Wydaje mi się, że dość dobrze ją pani zna, pani Elleboe, ma pani z nią kontakt?

– Skąd, broń Boże. Kiedyś byłyśmy przyjaciółkami, mieszkała paręset metrów dalej na tej samej ulicy, w domu, który potem zajmował Habersaat. Ale kiedy się od niego wyprowadziła, jakoś się to rozeszło. Oczywiście widywałam ją w pracy, bo pracowała jako bileterka, sprzedawczyni lodów i była takim przynieś, wynieś, pozamiataj w Brændesgårdshaven, ale poza tym od lat z nią nie rozmawiałam. Po sprawie Alberte i rozstaniu z mężem zrobiła się dziwna. Ale może jej siostra, Karin, będzie potrafiła wam powiedzieć coś więcej, bo June



z synem mieszkali u niej przez chwilę na Jernbanegade w Aakirkeby, w domu, który kiedyś należał do ich rodziców. Widać jednak siostra miała już dosyć. Teraz Karin mieszka, zdaje się, w Rønne. Zajdźcie też do Wuja Sama pod numer 21, w ostatnich latach to z nim Habersaat utrzymywał najbliższe relacje.

Carl spojrzął na Assada, który notował jak opętany. Oby te notatki jak najszybciej wylądowały w archiwum.

– Jeszcze jedna drobna sprawa – powiedział. – Na filmie z wczorajszych wydarzeń zarejestrowaliśmy osobę, która wychodzi z sali zaraz po samobójstwie Habersaata. Wiedzą panie, kto to?

– Ach, to Hans – odparła Bolette. – To taki wiejski głupek, chłopiec na posyłki ludzi z miasteczka. Przychodzi tu zawsze, kiedy są darmowe przekąski i napoje. Nic sensownego z niego nie wyciągniecie.

– Wiedzą panie, gdzie go można znaleźć?

– O tej porze? Spróbujcie na ławce za wędzarnią. Po drugiej stronie ulicy i w prawo uliczką Strandstien. Jest tam szary budynek z piecami wędzarniczymi na końcu. Ławka stoi na tyłach w ogrodzie. Pewnie tam siedzi, pijąc piwo i rzeźbiąc w drewnie, jak zawsze.

Skręcając w Strandstien, dostrzegli sylwetkę Rose w oddali na tle horyzontu. Stała na samym skraju płaskich skał, ledwie wystających nad powierzchnię wody, sprawiając wrażenie dziwnie zagubionej, jakby świat nagle zrobił się dla niej za duży.

Przyglądali się jej chwilę w bezruchu. Nie była to silna i zadziorna Rose, do której przywykli.

– Ile czasu minęło od śmierci jej ojca? – spytał Assad.

– Już parę ładnych lat. Ale widać się z tym nie pogodziła.

– Odsyłamy ją do Kopenhagi?

– A to dlaczego? Jak na razie zakładam, że dziś wieczorem odpływamy stąd całą trójką. Tych, z którymi chcemy porozmawiać, siostrę i może parę osób ze szkoły, możemy załatwić przez telefon już z domu.

– Dziś wieczorem? Czyli nie uważasz, że powinniśmy kontynuować sprawę tu, na wyspie?

– Assad, po co? Technicy przetrzepali dom Habersaata, więc na tym froncie nie przewiduję żadnego przełomu. Poza tym ani wczoraj, ani dziś nie pojawiły się żadne konkrety, to co mamy robić? Nie zapominajmy też, że Habersaat uczynił z tego wypadku sprawę swojego życia, a mimo to nie był w stanie jej rozwiązać. Jakim cudem miałyby się to w parę dni udać nam? Mówimy o wydarzeniu sprzed prawie dwudziestu lat.

– Hej, tam jest ten człowiek, o którym mówiły. – Assad wskazał w stronę zgarbionej postaci z kilkoma piwami, siedzącej na białej ogrodowej ławce za kominami wędzarni. W tak małej społeczności trudno się ukryć.

– Siema! – zawołał Assad z werwą, przepychając się przez furtkę do ogrodu. – A więc to tu siedzisz, Hans. Dokładnie jak mówiła Bolette.

Nieźle, Assad, ale facet nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

– Przyjemnie spędzasz tu sobie czas. Faktycznie, ładny stąd widok.

Wciąż żadnej reakcji.

– Okej, nie masz ochoty ze mną rozmawiać, a skoro tak, to nawet mi to pasuje – skinął do Carla, odkręcając wodę i obmywając ręce wężem ogrodowym. Mørck spojrzał na zegarek; czas modlitwy.

– Idź do Rose, to zajmie tylko dziesięć minut – uśmiechnął się Assad.

Carl pokręcił głową.

– Myślę, że powinna pobyć sama ze sobą. Pochodzę sobie po ulicy i pomyślę o tym wszystkim. Ale tak serio, Assad, myślisz, że to dobre miejsce na modlitwę? Przecież wszyscy cię widzą. Wiesz w ogóle, czy w tym domu ktoś jest?

– Jeśli jeszcze nie widzieli modlącego się muzułmanina, to najwyższy czas. Trawa jest miękka, a ten gość nie chce ze mną rozmawiać. Przecież to nic takiego.

– Okej, Assad, jak chcesz. Przynieść ci twój dywanik?

– Nie, dziękuję, użyję marynarki. Na łonie natury wystarczy – dodał, ściągając skarpetki.

Carl nie zdążył nawet przejść dwudziestu metrów ulicą, gdy Assad stanął w pozycji qiyam i zaczął się modlić. Na tle błękitnego nieba wyglądało to harmonijnie i właściwie. Tak blisko Boga Carl niestety nigdy się nie znajdował.

Obrócił głowę ku postaci na skałach, stojącej nieruchomo niczym sfinks pod tańczącymi chmurami. „Dlaczego tak stoi?” – pomyślał. „Co dzieje się w jej głowie? Czy to smutek, czy ma w sobie tyle tajemnic, że brak jej na nie miejsca? Czy może chodzi o sprawę Alberte i Habersaata?”

Carl przystanął, dziwnie się czując. Przed paroma dniami wszystko toczyło się znanym trybem i nie miał pojęcia ani o Habersaacie, ani o Alberte. Mówiąc wprost, miał gdzieś miasteczka takie jak Svaneke, Listed czy Rønne, a teraz stał tu, odczuwając osobliwą samotność i zagubienie. Spośród wszystkich możliwych miejsc to właśnie tutaj, w najdalej wysuniętym na wschód zakątku Danii, dopadła go świadomość, że człowiek nie może od siebie uciec, nieważne, gdzie się znajduje. Poczucie, że ten cholerny cień zawsze mu towarzyszy, a odpowiedzialność za to, kim jest, ponosi zawsze sam.

Pokręcił głową. To godne pożałowania. Naprawdę myślał, że kiedykolwiek będzie potrafił o sobie zapomnieć? I o tym, co go ukształtowało?

Tylko czy tak nie jest w wypadku większości ludzi? Czasy, w których żyją, otwarcie zachęcają i do wyrzeczeń, i do samouwielbienia. A jeśli komuś się nie podobało, że gdzieś utknął, zawsze istniała możliwość ucieczki od samego siebie. Ucieczki od poglądów, od małżeństwa, z kraju, od dawnych wartości, od mody, która jeszcze wczoraj tak bardzo go

zajmowała. Szkopuł w tym, że w świecie nowości nie znajdowało się niczego, czego w głębi duszy się poszukiwało, bo nazajutrz znów wszystko zobojętnieje. Życie stało się wieczną, daremną pogonią za cieniem – i to było żałosne.

Cholernie żałosne. Naprawdę taki był?

„Daj spokój, Carl, ale z ciebie idiota” – pomyślał, wciągając zapach gnijących wodorostów i soli; karuzela myśli nie zwalniała. Dlaczego tak się czuł, dlaczego nie potrafił wejść z nikim w poważny związek? Przecież Lisbeth była miła i pełna zrozumienia dla niego po rozstaniu z Moną. Przecież była naprawdę ładną kobietą. A czy on był miły wobec niej? Prawdę mówiąc, zawiódł ją i odwrócił się do niej plecami w tej samej chwili, gdy się poznali. Mogła to wywlec i robić mu wyrzuty, ale tego nie zrobiła. Więc kto kogo zawiódł?

I co teraz? Po drodze przewinęło się kilka takich jak Lisbeth. Ale czy w jego życiu było w ogóle miejsce na prawdziwy związek? Czy istnieje ktoś, kto byłby w stanie wytrwać przy kimś takim jak on?

„W każdym razie mam Mortena i Hardy’ego, prawda?” – podsumował. „I Jespera? Może nawet Assada i tę dziewczynę na skałach”.

Ale czy jutro też przy nim będą? Czy jest kimś, kogo warto hołubić?

Patrzył przez chwilę na pulsujący rytm fal, po czym podjął decyzję, wyjął komórkę i przejrzał listę kontaktów.

Wciąż miał numer Mony. Prawie trzy lata bez niej, a dzieliło ją od niego wciśnięcie guzika.

Wahał się, trzymając palec na wyświetlaczu, po czym wybrał połączenie.

Po zaledwie dziesięciu sekundach jej głos wypowiedział jego imię. Czyli ona też ma ciągle jego numer w komórce. Czy to dobry znak?

– Jesteś tam? Halo, Carl, powiedz coś – mówiła w tak naturalny sposób, że prawie go to sparaliżowało. – Co tam, przecież widzę, że to ty. Wybrałeś mój numer przez pomyłkę?

– Nie – odrzekł bardzo cicho. – Chciałem po prostu usłyszeć twój głos.

– Okej.

– Pewnie pomyślisz, że to dziwne, ale akurat znajduję się w Lis-ted koło Svaneke, patrzę w morze i myślę o tym, że chciałbym, byś tu ze mną była.

– Svaneke! Zabawne, bo ja jestem na przeciwnym krańcu Danii, dokładnie mówiąc w Esbjergu, więc choćby z tego powodu byłoby to dość trudne.

„Choćby z tego powodu” – powiedziała. Niezbyt zachęcająco.

– Jasne, tak tylko ci chciałem powiedzieć. Może się spotkamy po moim powrocie?

– Jasne, zawsze możesz zadzwonić, prawda? No, ale trzymaj się, Carl. Tylko nie wpadnij do Bałtyku, potrafi być dość zimny.

No i to by było tyle. Nie poczuł się zbyt dobrze.

Gdy wrócił, Assad siedział na ławce i gawędził z Hansem.

– Ten tu to wariat! – zakwilił mężczyzna głosem dziecka. – Kładzie się na ziemi z tyłkiem w górze i coś bredzi.

Assad się roześmiał.

– Hans myślał, że chcę od niego wyludzić piwko, ale już wie, że tacy jak ja go nie piją.

– Nie, bo on w ogóle nie pije, nawet pierwszego maja. Idziecie na demonstrację w Rønne? Ja kiedyś byłem, ale teraz głosuję na Partię Danii, tak jak taki jeden, którego znam. Bo przecież mieszkamy w Danii. Ten, co nie pije, też, co nie? – zarechotał.

– Hans mi powiedział, że zna wszystkich ludzi w mieście. Nie podobało mu się to, co wczoraj sobie zrobił Habersaat, dlatego uciekł. Poza tym i tak go nie lubił.

– Tak, Habersaat! On miał nierówno pod sufitem. Jestem dwa razy mądrzejszy od niego. Co najmniej dwa razy.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał Carl.

– Miał taką ładną żonę, o tak. Nigdy jeszcze nie widziałem ładniejszej, o nie. A ten dureń pozwalał jej się włóczyć. Widywałem ją w mieście z jakimiś rybakami i nawet raz z jakimś gościem na Knarshøj. Habersaat był idiotą. Wszyscy ją całowali.

Nagle wyprostował kark.

– Ups! Idzie ta, co na nią czekacie. Uwaga, już tu jest!

Wziął solidny łyk piwa, wskazując na zarumienioną i rozczochraną od wiatru Rose, która skinęła mu głową, zdecydowana przerwać im w tym, co robią.

– Chwilkę, Rose, Assad właśnie na coś trafił – poinformował ją Carl i zwrócił się do faceta na ławce.

– Dzień dobry, Hans, jestem kolegą Assada. Całkiem przyjemny ze mnie facet, ale jestem też dość ciekawski. Znasz tych rybaków, których, jak mówisz, całowała? Może mógłbym z nimi porozmawiać?

– W miasteczku nie ma już rybaków, w każdym razie tych.

– Ale mówiłeś jeszcze, że June Habersaat spotykała się też z jakimś gościem na... jak to się nazywało? Knarhøj? Może wiesz, jak się nazywa? Bo chętnie bym sobie z nim pogadał.

Facet zaśmiał się, aż z kącików ust pociekło mu piwo.

– Ha, ha, nie pogadasz z nim, bo nie wiem, jak się nazywał. To nie był nikt stąd. Ale możecie spytać Bjarkego, tego chłopaka, którego nauczyłem rzeźbić w drewnie. Głupio wyglądał w tych harcerskich łąkach i krótkich spodenkach wtedy na Knarhøj, kiedy z tym facetem kopali w ziemi czy coś takiego.

– Głupio? Dlaczego?

– Bo przecież był już prawie dorosły.

– Może był drużynowym czy coś w tym stylu?

Facet rozpromienił się, jakby podłączono mu do mózgu źródło zasilania.

– Tak, właśnie!

– Dobrze, Hans. Mówisz więc, że Bjarke zadawał się z facetem, z którym spotykała się jego mama?

– Tak. Któregoś dnia przyszła tam, gdzie pracowali jej syn i facet. Na samą górę, gdzie teraz jest labirynt. To się chyba nazywa labirynt, w niektórych miejscach jest tabliczka... Potrafię czytać, pewnie nie wiedzieliście?

Zostawili mu dwadzieścia koron. Stwierdził, że wystarczy na resztę dnia. Na ponad trzy piwa. A nawet więcej.

Nie należał do istot, które mają wygórowane wymagania.

– Słuchajcie no – wypaliła Rose w drodze do samochodu. Jej oczy miały błyskawice, a głowa aż iskrzyła od wyładowań elektrycznych. Czyli na coś wpadła.

– Stałam tam i rozmyślałam. Kim właściwie był Habersaat i dlaczego postępował tak, jak postępował? Dlaczego był taki zawzięty w tej sprawie?

– Może rekompensował sobie, że nie układało mu się w domu. Przecież słyszałaś, co mówiły obie panie i ten koleś. Ale w grę może wchodzić też honor zawodowy – spekulował Carl.

– Może. Na pewno był dobrym policjantem, nie ma co do tego wątpliwości – powiedziała. – Dążył do celu, ale utknął i wtedy się zastrzelił. Ale czy zrobił to dlatego, że nie miał już siły? Jak sądzicie?

Carl wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– Rose, powiedz, co myślisz – zaśmiał się Assad.

– Hm, tyle, że już nie wiem, co myśleć. Moim zdaniem on się zastrzelił, by dowieść powagi tej sprawy. A wiesz, dlaczego była dla niego taka ważna, Assad?

– Moim zdaniem już sam fakt, że odstrzelił sobie łeb, jest wystarczająco poważny.

– Bardzo śmieszne. Jestem przekonana, że Habersaat się zastrzelił, bo ze wszystkich sił chciał, byśmy się nią zajęli. A chciał tego, bo on już wiedział, co się święci.

– Chyba nie wiedział? – podsunął Carl.

– Nie. To wprawdzie wydaje się logiczniejsze, ale moim zdaniem prawdopodobnie on pod koniec wiedział, kto przejechał Alberte, tylko nie potrafił tego udowodnić. – Pokręciła głową do swoich myśli. – Albo też nie potrafił go znaleźć. A może i to, i to. Myślę, że zwariował od tego. Moim zdaniem jeśli przeszukamy porządnie jego dom, to znajdziemy w nim jakąś odpowiedź.

– Rose, poczekaj chwilę. Widzę, że się bardzo zaangażowałaś, ale czy nie prościej i logiczniej było przelać swoje podejrzenia na papier, tak żebyśmy mieli łatwiej? Jeśli jego samobójstwo rzeczywiście było takie zaplanowane i wykalkulowane, to dlaczego nic nam nie zostawił? Czy aby nie nasuwa się odpowiedź, że nie było co zostawiać?

– Nie, moim zdaniem inaczej to wygląda. Może on coś napisał, tylko po prostu jeszcze tego nie znaleźliśmy, nie wiem. A może nie napisał. – Znow potrzęsła głową. Widać było, że rozważa kilka ewentualności i nie potrafi wybrać. – Albo też sam nie wiedział, ale miał świadomość, że rozwiązanie ma tuż pod nosem, tylko nie jest w stanie go dostrzec. I chciał, by ktoś na to spojrział świeżym okiem. – Skinęła głową, jakby ją olśniło. – Tak, myślę, że tak właśnie było.

Spojrzała na Carla lśnięcymi oczami. Szokujące, jak intensywny i uwodzicielski potrafi być jej wzrok.

– Wiesz co, Carl? On nas wybrał, byśmy wyjaśnili tę sprawę, i powinniśmy być z tego dumni. Jestem pewna, że wiedział, że będziemy musieli tu przyjechać dopiero wtedy, kiedy ze sobą skończy. Wiedział, że musi ponieść ofiarę, by ta sprawa znów została otwarta. Jestem co do tego w pełni przekonana.

Carl kiwnął głową, zerkając na swego kędzierzawego kompana.

„Odbiło jej” – mówił wzrok Assada.

Trudno było się nie zgodzić.

---

Wrzesień 2013

Wanda Phinn nie złożyła wypowiedzenia, po prostu sobie poszła. Rzuciła czapkę na ziemię, powiedziała „Cześć” do kobiety pracującej przy kontroli i wyślizgnęła się z budynku.

Było to prawdziwe wyzwolenie, które wydało jej się ostateczne i absolutne. Bez cienia żalu minęła mur otaczający Victoria Embankment Gardens; poczucie marnotrawienia czasu zniknęło, w miarę jak cichły dźwięki dobiegające z parku. Świat stał przed nią otworem; świat, całe życie i przyszłość, którą wiązała z kilkorgiem wybranych ludzi.

Bo Wanda miała plan. Odkąd Atu Abanshamash Dumuzi pogładził ją po policzku i nazwał swoim kwiatem, odkąd krew odpłynęła jej z głowy, aż Wanda poczuła się bezwolna, jakby postradała zmysły, odkąd ocknęła się i z fascynacją spojrzała w jego pełne obietnic oczy i poczuła jego wargi na ręce, odtąd wiedziała, że Atu Abanshamash Dumuzi jest przyszłością, o której marzyła.

Gdy powiadomiła o tym Shirley, ta z miejsca zasypała ją mnóstwem bezskutecznych ostrzeżeń.

– Wiem, że na ekranie wygląda to obiecująco. Piękne budynki, ekscytujące rytuały, morze dosłownie o krok. Ale jak tam przyjedziesz, przekonasz się, że to był tylko flirt, Wanda, i że wybrałaś się tam na próżno – ostrzegęła. – Atu Abanshamash może mieć każdą kobietę, którą zechce. Pomyśl tylko, co potrafi i jak wygląda. – Przewróciła oczami. Również i na niej jego charyzma zrobiła niemałe wrażenie.

– Wiem, że już dawno nie miałaś faceta, ale jeśli jesteś seksualnie niezaspokojona i snujesz fantazje, albo jesteś sfrustrowana, to w Londynie masz mnóstwo mężczyzn, z którymi możesz iść do łóżka i którym nie pozwolisz się zranić.

Wanda pokręciła głową. W ustach Shirley brzmiało to tak prosto.

– Shirley, chyba nie rozumiesz. Chcę zostać wybranką Atu Abanshamasha. Chcę żyć zgodnie z jego przykazaniami i rodzić mu dzieci. Czuję, że właśnie do tego zostałam w życiu powołana.

– Jego wybranką, powiadasz? – Shirley już miała się roześmiać, ale powstrzymała się, widząc powagę w oczach Wandy. – Czy nie zwróciłaś uwagi, jak na ciebie patrzy ta kobieta, która mu pomagała? Gwarantuję ci, że jej się nie pozbędziesz.

– Ona była stara.

– Wielkie dzięki – prychnęła Shirley z urazą. – Wydaje mi się, że była mniej więcej w moim wieku.

Wanda odwróciła wzrok. Za oknem jej pokoju, do którego wchodziło się z zewnętrznego korytarza, świat wyglądał jak kolejny mur odgradzający ją od światła i wszystkich marzeń. Mur, za którym mieszkali inni ludzie z identycznymi, niespełnionymi nadziejami. Mur, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej szary. W tej dzielnicy przyszłość zbudowana była z mrzonek. Chłopcy chcieli zostać piłkarzami lub gwiazdami rocka, dziewczynki zaś ich rozrzutnymi żonami. W tej dzielnicy przez cały dzień oglądało się reality show lub kiepskie teleturnieje, żując śmieciowe jedzenie i oddalając się coraz bardziej od szans, które dawały porządne wykształcenie czy realistyczne ambicje. Statystyki mówiły, że ułamek promila mieszkańców tej dzielnicy czeka ziemia obiecana, sukces, bogactwo i wieczne szczęście. Przecież żyła z tą świadomością dzień w dzień.

– Przepraszam, Shirley – powiedziała, czując, że przyjaciółka się zżyma. – Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że wciąż jestem młoda, jeszcze nie urodziłam dziecka, a moje ciało i dusza są na to gotowe. I powiem ci jeszcze, że ta pomocnica Atu nie chodzi z nim do łóżka. Takie rzeczy się czuje.

– Wanda, rozczarujesz się, na pewno będzie ci przykro i wydasz na ten beznadziejny plan wszystkie oszczędności. A z czego będziesz żyć, jak wrócisz? I gdzie zamieszkaż? W moim pokoju we dwie się nie pomieścimy, przecież wiesz.

– Będę cię odwiedzać, Shirley i na pewno zatrzymam się wtedy w hotelu. Ale wrócę jako inna kobieta, zobaczysz.

Przyjaciółka zacisnęła usta.

– Z kim się będę bawić? Z kim mam się dzielić plotkami, jak wrócę z tej swojej nudnej jak cholera pracy? – rozplakała się. – Nie możesz mnie tak po prostu zostawić samej w tym parszywym miejscu.

Wanda nie odpowiedziała, tylko złapała Shirley za ramiona, przyciągnęła do siebie i mocno przytuliła.

– Możesz choć pisać do mnie mejle o tym, jak się miewasz. Napiszesz, prawda? – wychlipała.

– Oczywiście. Jeśli wszystko mi się uda, będę pisać codziennie.

– Tylko tak mówisz.

– Nie, Shirley, obiecuję. A ja dotrzymuję obietnic.

Napisała mejl do Akademii Absorpcji Natury na Olandii w Szwecji, że ustaliła już datę wyjazdu i byłaby bardzo wdzięczna, gdyby tego dnia ktoś odebrał ją ze stacji w Kalmarze. Napisała też, że chciałyby uczestniczyć w większej liczbie kursów niż ta, na którą początkowo się zapisała, i że potem chętnie zostanie u nich, by pracować dla Atu Abanshamasha Dumuziego, krzewiąc jego myśli i ideały bez pobierania wynagrodzenia.

Była przekonana, że dostanie to, czego pragnie. Tamtego dnia w Londynie Atu Abanshamash pokazał, że jej pożąda, i oboje mieli świadomość, że byłaby jego, gdyby nie



musiał wracać do prowadzenia kursu. Wówczas się nie złożyło, ale teraz zamierzała nadrobić straty, tak by mogli kontynuować to, co zaczęli.

Nadszedł już czas.

Po paru dniach odpisano jej, że liczba chętnych do udziału w kursach jest większa niż liczba miejsc. Wanda zostanie powiadomiona, gdy zwolnią się kolejne miejsca, ale niech się nie nastawia, że stanie się to w ciągu najbliższego roku.

Wanda nie chciała w to uwierzyć. Gdyby tylko Atu Abanshamash Dumuzi ją zobaczył, sprawy potoczyłyby się inaczej. Gdyby tylko mogła lepiej się przygotować. Wtedy zauważyła, kto podpisał się pod mejlem: Pirjo Abanshamash Dumuzi.

Shirley miała rację. Nie ma wątpliwości, że dojdzie między nimi do walki. Krwawej walki i skakania sobie do oczu.

Przez kolejne dni i noce wczuwała się w alternatywną energię wszechświata, powtarzając sobie bez przerwy wypowiedzi Atu na temat Akademii Absorpcji Natury. Chciała, by jej wiedza i zaangażowanie były bez zarzutu, co nie wydawało się trudne, bo wszystko, co wiązało się z Atu Abanshamashem Dumuzim, wydawało się klarowne i logiczne. Właściwie czuła, że w myślach Atu zawierają się wszystkie wyznania świata i dobre strony człowieka, sformułowane w jasny i wyrafinowany zestaw reguł, i to ją bez reszty porwało. Im więcej czytała, im bardziej próbowała zrozumieć, tym silniej czuła, jak dzięki wskazówkom i nakazom dotyczącym czystszej egzystencji z jej życia ulatnia się wszystko, co złe, niemądre i doczesne.

W końcu usiadła wyprostowana, czując, jak jej duszę ogarnia błogi spokój. Żadnej coli na stole, migającego ekranu telewizora z operami mydlanymi, żadnego zamętu w głowie. Resztki wątpliwości dotyczących jej projektu wyparowały, a ona była spokojna i pewna swego celu.

Kiedy stanie przed Atu Abanshamashem, będzie gotowa. Jej zmysłowość i wiedza na temat jego nauczania zetną Atu z nóg i przekonają o tym, że oto spotkał kobietę, która pod wszystkimi względami jest go warta.

A ta druga, ta kobieta, która uważała się za niezwykłą i próbowała rzucać Wandzie kłody pod nogi, musi po prostu zniknąć.

Czwartek 1 maja 2014

Villy Kure, szyper nazywany Wujem Samem, mieszkał na Mosedalsvej w żółtym domu z muru pruskiego z własną wędzarnią, zaledwie dwa budynki na północ od lokum Habersaata. Tu, wzdłuż drogi łączącej Sandvig i Snogebæk, znajdował się miszmasz różnych typów budynków, których rząd wznosił się pół metra nad poziomem szosy, ciesząc się przepięknym widokiem na chaty rybackie, port i morze. Idylla w czystej postaci, jeśli nie liczyć faktu, że jeden z mieszkańców miasteczka właśnie palnął sobie w łeb.

Zapukali do drzwi frontowych, a gdy nikt nie otworzył, przeszli podjazdem, mijając piec wędzarniczy, i weszli na podwórze, gdzie stała zaparkowana terenówka.

Carl dotknął maski; była lodowata.

Przy tylnych drzwiach też nic nie wskórali, ale gdy człapali z powrotem do samochodu, rowerzysta jadący ulicą pospieszył z wyjaśnieniami.

– Wuj Sam przebywa na morzu. Jest szyprem kutra rybackiego, który teraz pełni funkcję statku blokującego, więc nie macie co liczyć, że go tu znajdziecie.

– Statku blokującego?

– Tak. Ci cholerni rosyjscy kapitanowie nie potrafią porządnie wyciągnąć kotwicy, więc szorują nią po dnie i ciągną za sobą kable. Teraz znów to zrobili. Na zeszłe Boże Narodzenie nie mieliśmy przez to prądu ze Szwecji przez półtora miesiąca, ale tym razem aż tak źle nie będzie. W każdym razie gdy tylko coś takiego się dzieje, Sam wskakuje na swój kuter i odmawia wpłynięcia wszystkim jednostkom, które obrały kurs na statek naprawiający uszkodzony kabel.

– Rozumiem. Chcieliśmy z nim porozmawiać o Habersaacie, chyba się przyjaźnili, prawda?

– Habersaat, o rany! – zachichotał. – Może i się przyjaźnili, choć przyjaźnić się z Habersaatem było trudno. Grywał w karty z Wujem Samem i pewnie tylko tyle mieli ze sobą wspólnego przez ostatnich parę lat.

– Więc nie sądzi pan, by Habersaat mógł zwierzać się Samowi ze sprawy, która tak go absorbowiała?

– Jestem pewien, że robił to przez pierwszych dziesięć lat. Ale wie pan co? To zmęczy nawet takiego człowieka, jak Wuj Sam. On jest w porządku, ale aż taki miły to nawet on nie jest. Co to, to nie. Od czasu do czasu grywali w karty i tyle, jeśli chce pan znać moje zdanie.

– Czyli pańskim zdaniem Sam mógł nie wiedzieć, że z Christianem Habersaatem jest aż tak źle?

– Skąd miałyby wiedzieć? Większość czasu jest na morzu, a Habersaat nie należał do wylewnych. Ale może zadzwonicie do Wujka Sama? Myślicie, że bornholmczycy nie mają dostępu do sieci telefonicznej?

Pośmiał się trochę, ale jednak dał im numer. Telefon był zajęty.

Dom Habersaata był całkowicie zwyczajnym budynkiem z czerwonej cegły, spowitym atmosferą beznadziei. Nie budził skojarzeń z duchami, raczej wyglądał na dom, który nigdy się nie obudzi. Był jak zamek Śpiącej Królowej, smutnej i zapomnianej, która na próżno czeka na ożywczy i zbawienny pocałunek.

– Czujecie, że po rozpadzie rodziny ten dom nigdy nie wrócił do życia? – spytała Rose, wkładając klucz do zamka.

Ostry, kwaśny zapach, który ich powitał, potwierdził jej słowa.

– Faj, czy ci technicy nie mogli tu choć przewietrzyć? – dodała.

W tego typu sprawach ów rodzaj zapachu pochodził od niewyrzuconych śmieci. Zapomnianych warzyw, gnijących w szufladach. Niedojedzonych konserw, których zawartość się zepsuła. Niepozmywanych od miesięcy naczyń. Ale u Habersaata było inaczej. Na pierwszy rzut oka dom tonął w zwałach papierów walających się bez ładu i składu, ale po dokładnym przyjrzeniu się stawało się jasne, że wszystko tu jest uporządkowane, starannie ułożone i przemyślane. Kuchnia wyglądała na zadbaną, niemal lśniącą, salon zaś był porządnie odkurzony, oczywiście na tyle, na ile pozwalały na to liczne sterty papierów.

– Śmierdzi tu nikotyną i frustracją – orzekł Assad z kąta, gdzie wysoka na metr sterta akt groziła zawaleniem.

– Raczej wieloletnim brakiem wietrzenia i celulozą – poprawił Carl.

– Naprawdę sądzisz, że technicy to wszystko przejrzeliby? – spytał Assad, rozkładając ręce pośród pejzażu papierowych hałd.

Carl westchnął.

– Wątpię.

– Gdzie mamy zacząć, do licha? – spytała Rose.

– Tia, dobre pytanie. Może wiemy już, dlaczego się poddał i dlaczego policja w Rønne tak chętnie udostępniła nam klucze i pozwoliła przejąć materiały Habersaata. Wielkie dzięki, Rose – odparł Carl. – Może ja z Assadem dziś wieczorem wrócimy do domu, a ty tu zostaniesz? Jak znam twój talent organizacyjny, w ciągu miesiąca czy dwóch ułożysz to wszystko w porządku alfabetycznym, chronologicznym i tematycznym.

Roześmiał się, ale na babie nie zrobiło to wrażenia.

– Mam silne przeczucie, że jest tu coś, co pomoże nam ruszyć z tą sprawą. Uważam, że mamy radę dojść dalej niż Habersaat, jak będziemy chcieli – odparła Rose nieco obcesowo.

Pewnie miała rację, ale przekopanie się przez cały ten materiał potrwałoby tygodnie, a ta perspektywa fatalnie wpływała na chęci. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, że Habersaat

wręcz rozrysował cały Bornholm w dniach po wypadku samochodowym, nie wspominając nawet o setkach tropów, które badał w kolejnych latach. Jeden trop, jedna sterta.

Tylko która z nich miała większe znaczenie niż reszta?

– Pakujemy to wszystko i zabieramy na komendę – zarządziła Rose.

Carl ściągnął brwi.

– Po moim trupie! Poza tym nie mamy miejsca. Gdzie niby zamierzasz umieścić to papierowe mauzoleum?

– Zrobimy miejsce w pokoju, który właśnie maluje Assad.

– To ja nie będę już malował – rozległo się z kąta.

– Hola, czekajcie, wy dwoje! Przecież ten pokój był przeznaczony dla Gordona, kiedy skończy studia. Jak myślicie, co powie nasz drogi szef Lars Bjørn, jeśli w Departamencie Q zabraknie dla jego pupilka miejsca, o które tak zabiegał?

– Myślałam, że masz gdzieś, co powie Lars Bjørn – odparowała Rose.

Carl uśmiechnął się półgębkiem. Oczywiście, że miał gdzieś. To przecież on jest szefem Departamentu Q, nie Lars Bjørn, bez względu na to, co tamten sobie wyobraża. Poza tym Bjørn zagarniał sobie dofinansowanie zarezerwowane dla Departamentu Q, więc Carl dobrze wiedział, gdzie w razie czego ma się poskarżyć. Nie, Bjørn niech lepiej siedzi cicho, ale też wcale nie o niego tu chodziło. Carlowi po prostu nie uśmiechało się, by część wspólna piwnicy została zavalona papierami i resztą dobytku.

– Gordon może siedzieć ze mną, dopóki zajmujemy się tą sprawą – podsunął Assad. – Lubię, gdy wokół coś się dzieje.

Carl był zszokowany. On mówił poważnie!

– A tak w ogóle, czy nie powinieneś zadzwonić do Wuja Sama?

– Sam zadzwoń, Assad – warknął Carl. Coś za coś. – Bateria mi siada w komórce – wyjaśnił.

– Możesz przecież zadzwonić ze stacjonarnego – stwierdził kudłacz, wskazując na prastary aparat stojący na stole na kolejnej stercie wycinków.

Carl westchnął. Kto tu w ogóle jest szefem? Do diabła, przecież jeszcze nawet nie podjęli się tej sprawy.

Przez chwilę zastanawiał się, czyby się im nie postawić, ale dla świętego spokoju odpuścił i wykręcił numer.

Po drugiej stronie rozległ się szum i przerywany głos.

– Upierne, że dzwoni pan z numeru Christiana! – krzyknął Wuj Sam, gdy Carl przedstawił mu swoją sprawę i wyjaśnił, kim jest.

Na linii słychać było szum, a w tle hałasował silnik, więc Carl zasłonił sobie drugie ucho.

– Normalnie doznałem szoku, jak zobaczyłem, kto dzwoni. Ale owszem, Christian i ja grywaliśmy czasem w karty. Właściwie to graliśmy w wieczór poprzedzający jego śmierć.

Proszę posłuchać, mam tylko chwilkę na rozmowę z panem, bo jakiś tępak z estońskiego kontenerowca z MSC chce płynąć tam, gdzie prowadzimy roboty, więc tatko musi się wybrać na szerokie wody i trochę powarczeć.

– Będę się streszczał. Mówi pan, że w przeddzień jego śmierci byliście razem, to dla mnie nowość. Dlaczego policja o tym nie wie?

– Pewnie dlatego, że nie pytali. Byłem u niego, by mnie nauczył obsługi tej zaszrannej kamery, co nie?

– Jak się wtedy miał Habersaat, dobrze się czuł? Dało się coś po nim poznać?

– Wie pan, był trochę podпиты. Trochę linjeakvavitu i parę porterów udrażnia kanaliki łzowe, co nie? Także, prawdę mówiąc, zebrało mu się na sentymenty, ale często mu się to zdarzało, więc się tym nie przejąłem.

– Na sentymenty? To znaczy?

– Popłakał się. Miętosił jakieś rzeczy należące do Bjarkego. Niebieski szalik i figurkę z drewna, którą chłopak sam wystrugał.

– Powiedziałby pan, że był emocjonalnie rozchwiany?

– Nie, w żadnym razie. Przecież dał mi łupnia w karty, ha, ha. Nie, po prostu był w kiepskim nastroju, ale to nic nowego.

– Często zdarzało mu się płakać w takich sytuacjach?

– Pewnie z parę razy wcześniej mu się to zdarzyło, nie pamiętam dokładnie. Ale nie, to nie było normalne. Może po prostu był bardziej pijany i uważał się nad sobą bardziej niż zazwyczaj. „Sam, pamiętasz to, pamiętasz tamto?” – pytał mnie raz po raz, opowiadając o swoich przeżyciach rodzinnych sprzed lat. Tamtego wieczoru nie wydawało mi się to dziwne, bo był dość samotny. Ale teraz lepiej rozumiem, co się działo w jego głowie. To był bardzo smutny wieczór, aż mi się markotno robi, jak o tym pomyślę, ale przecież na nic się to nie zda. Poza tym widzę, że ten estoński idiota chce płynąć do portu, a przecież nie może, kurka wodna. Muszę przerwać, żeby przegonić tę kupę złomu, zanim się zrobi groźnie. Ale w razie czego niech pan dzwoni. Choć niestety nic nie wiem.

Carl powoli odłożył słuchawkę. Nie podobało mu się to. Wyglądało na to, że lada chwila przyparci do muru będą musieli podjąć jakąś decyzję.

– Co powiedział? – spytała Rose, siedząc przy ławie i przeglądając jedną ze stert.

Carl wstał. Kieliszki po libacji Habersaata zniknęły już ze stołu, ale szalik i drewniana figurka wciąż się na nim znajdowały.

Wziął figurkę do ręki i przyjrzał się jej. Przedstawiała mężczyznę; wystrugano ją nieporadnie, jakby wykonało ją dziecko, a jednak była wzruszająca i bardzo wymowna.

– Sam mówił, że poprzedniego wieczoru Habersaat był bardzo smutny i płakał. I że jak się głębiej zastanowi, to nie było to dla niego normalne.

– Czyli Habersaat nie działał pod wpływem impulsu, a nie mówiłam? Zaplanował, że się zastrzeli. Może wręcz już dawno.

– Może. Więc w takim razie nie jest to moja wina, co? – Carl rozejrzał się, wkładając figurkę do kieszeni. Bez wątpienia w tym chaosie była jednak jakaś metoda. Sterty po prawej i przy kredensie składały się ze starych, pozółkłych papierów, te zaś, które tworzyły korytarz prowadzący do sąsiedniego pokoju, zachowały kolor biały. Segregatory ułożono w porządku alfabetycznym według tematów, a na parapetach leżały wszelkiego rodzaju kasyety wideo i przeróżne katalogi.

Wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie Assad przyglądał się tablicy obwieszanej zdjęciami różnych formatów.

– Co to, kurde, jest? – spytał.

– Zdjęcia starych vanów.

Jakby Carl sam tego nie widział.

Podszedł bliżej.

– Faktycznie, to volkswagen ogórek. Wszystkie zdjęcia przedstawiają stare ogórki.

– Ogórki? Nie, Carl, skąd!

– Kiedyś tak się nazywało ten rodzaj volkswagena transportera.

– Aha! Nie sądzisz, że to dziwne, że wszystkie są sfotografowane od przodu?

– Owszem. I że są zupełnie różne. Chyba nie ma dwóch takich samych.

Assad skinął głową.

– Nie wiedziałem, że było ich tyle rodzajów. Czerwone, pomarańczowe, niebieskie, zielone, białe. Wszystkie możliwe kolory.

– I kształty. Ten z kołem zapasowym na przodzie jest bardzo stary. Niektóre mają okna po bokach, inne nie. Policzyłeś je?

– Tak, jest ich sto trzydzieści dwa.

Oczywiście, że policzył.

– Czyli jaką Habersaat miał hipotezę? – spytał Carl.

– Że Alberte przejechał korniszon.

– Ogórek! Otóż to. Też bym tak powiedział!

– Pewnie jeden z tych zaznaczonych krzyżykiem.

– Jakim krzyżykiem?

Assad wskazał na cztery, pięć zdjęć; rzeczywiście w ich rogach widniał krzyżyk.

– Spójrz! Wszystkie auta na tych zdjęciach są jasnoniebieskie.

– Tak, ale te jasnoniebieskie były też niestety najpopularniejsze – stwierdził Carl. – W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych co rusz widywało się je na ulicach.

– Carl, ale on nie zaznaczył wszystkich jasnoniebieskich, tylko te ze szprosem pośrodku przedniej szyby i bez okien na bokach za przednim siedzeniem.

– Wciąż najpowszechniejszy model, jeśli dobrze pamiętam. Zupełnie zwyczajna, pospolita i standardowa furgonetka, choć z czasem jej kształt trochę się zmienił.

– Na tej tutaj jest tłusta plama – powiedział Assad. – Zobacz! Zupełnie, jakby ciągle stukał palcem pośrodku zderzaka. Tak jakby mówił „tu cię mam!”.

Carl zbliżył twarz do zdjęcia. Rzeczywiście. Była to jedna z tych szczególnych wersji modelu ze wzmocnionym zderzakiem składającym się z dwóch pionowych blach przyspawanych do dwóch równoległych, poziomych rur ze stali.

– Pośród tych oznaczonych krzyżykiem tylko ten ma wzmocniony zderzak, Assad. Spostrzegawczy jesteś.

– Spójrz tam, Carl, znów ten model.

Wskazał na ścianę oddzielającą pokój od jeszcze jednego pomieszczenia.

Była to powiększona kserokopia przymocowana taśmą malarską między dwoma obrazami, które, jak się zabawnie składało, nosiły te same inicjały co malunek z plażą ze świetlicy. Czyli malarz był miejscowy.

Gdy podeszli bliżej, okazało się, że ksero volkswagena ze wzmocnionym zderzakiem jest bardzo ziarniste i niewyraźne, więc nie widać ani numeru rejestracyjnego, ani twarzy mężczyzny, który w chwili robienia zdjęcia wysiadał z auta od strony kierowcy. Może zwykłe, amatorskie zdjęcie powiększono tak mocno, jak tylko się dało, może zdjęcie zrobiono niewłaściwie.

– Patrz na napis poniżej, Carl. „BMV/BR CI B14G27, 5 lipca 1997”. To dokładnie cztery i pół miesiąca przed wypadkiem, prawda? – zauważył Assad.

Ale Carl nie odpowiedział.

Na górze zdjęcia, z poplątanych gałęzi drzew w kolorze szarym szła niemal niezauważalna strzałka narysowana flamastrem, skierowana prosto na mężczyznę w samochodzie. Była długa na dziesięć centymetrów i opatrzona kilkoma słowami drobnym maczkiem.

Przeczytawszy je, Carl drgnął.

„Panie Mørck, to jest ten człowiek” – dopisano ołówkiem.

– Na co patrzysz? – zainteresował się Assad.

Rozległo się ciche sapnięcie. On też odczytał napis, w który Carl wpatrywał się jak urzeczony.

– Boże drogi, on na mnie naciska – westchnął Carl. – I oczywiście ani słowa o tym, jak facet się nazywa.

– Myślisz, że naszym technikom udałoby się wyostrzyć twarz tego człowieka na zdjęciu?

– Nie z tej kopii – Mørck zwrócił się w stronę salonu. – Rose, pozwól tutaj!

Nie upłynęło nawet pięć sekund i Rose też wiedziała, co znaleźli.

– O, w mordę – powiedziała, kiwając głową.

Carl zacisnął usta.

– No to już nie ma odwrotu – stwierdził Assad.

Carl stał długo, wpatrując się w powiększenie, po czym westchnął. Nie ma odwrotu? Pewnie i nie ma.

– Muszę przyznać – powiedział do Rose – że wiele wskazuje na to, że miałaś rację w kwestii Habersaata. Mógł przez wiele lat żywić podejrzenia wobec tego gościa, a że go nie znalazł, to rzuciło mu się na głowę. Teraz chciał, żeby inni przejęli sprawę, chciał przestać o niej myśleć, wiedząc dobrze, że nie uda mu się jej wyjaśnić na własną rękę. Więc samobójstwo miało na celu nie tylko wybicie jej sobie z głowy, ale było sposobem, by sprawa ruszyła z miejsca. Dlatego, podobnie jak ty, jestem bardziej skłonny uwierzyć, że on się spodziewał, że tu przypląniemy i przejmujemy sprawę. Jego samobójstwo było naszym biletem.

– I nie ma biletu powrotnego – podsumował Assad. – Co może znaczyć to BMV/BR CI B14G27?

– Może to inicjały kogoś, kto zrobił zdjęcie, może numer sprawy. Sprawdziałaś w tamtych teczkach, Rose?

Skinęła głową.

– I nic ci nie świta, jak widzisz te litery i cyfry?

– Nie, system jest dość prosty, a w tych teczkach mało co jest, są prawie puste.

– I co teraz, Carl?

– Właśnie, co teraz? – spojrzał na swoich pomocników. Przepracowali razem prawie siedem lat, rozwiązali mnóstwo spraw, a ich oczy wciąż potrafią błyszczeć z ekscytacji. Czasami takie spojrzenia były w stanie podładować mu baterie, czasami nie. W tej chwili właściwie do niego nie docierały, więc musiał polegać na sobie, by wykrzesać resztki energii.

Zabębnił palcami o ścianę przy kserokopii. Nie ma odwrotu, jak stwierdził Assad.

– Okej! Rose, zarezerwuj jeszcze dwa noclegi w hotelu. Assad, rozejrzysz się ze mną po domu. Musimy mieć rozeznanie, co trzeba spakować i mniej więcej według jakiego porządku te papiery są poukładane.



Wrzesień 2013

Już dziesiąty raz Pirjo czytała ostatnią wiadomość Wandy Phinn, w której ta zapowiadała rychłe przybycie. Pirjo czuła się z tym nieswojo. Nauka o absorpcji natury niewiele mówiła o przeczuciach, ale Pirjo z doświadczenia wiedziała, że nie należy ich lekceważyć.

Tym razem przeczucie zdecydowanie nie było dobre. Za każdym razem, gdy czytała list, rozważała różne scenariusze i prawdopodobne następstwa wejścia tej Wandy Phinn do gry, ale rezultat ciągle był ten sam: bez względu na przyjęty punkt widzenia, mejl tej kobiety wieszczył czystą katastrofę. Bezcześnie zignorowała odmowę przyjęcia na kurs, a teraz wybierała się podbić świat Pirjo i Atu, a na to Pirjo po prostu nie mogła pozwolić. Nie teraz, kiedy popędzał ją zegar biologiczny.

„Dobrze, że to ja rozpatruję wnioski” – pomyślała. Gdyby zobaczył go Atu, pobudziłoby to zarówno jego ciekawość, jak i libido, a ona znała jego słabości lepiej niż ktokolwiek inny. Nie, nie dopuści, by ta kobieta dołączyła do Akademii Absorpcji Natury, bo sprawy wymkną się spod kontroli.

Spojrzała na zegarek i zastanowiła się. Za godzinę dziewczyna w pakiecie ze swoim młodym ciałem i wszystkimi talentami znajdzie się na dworcu głównym w Kalmarze, licząc na to, że Pirjo ustąpi.

Ale tu się myliła.

„Będę improwizować, jestem w tym dobra” – pomyślała.

Wszystko się jakoś ułoży.

Poszła po swój skuter stojący na placu przed pomostem.

Przez chwilę stała, przyglądając się zanurzonym w wodzie zbutwiałym deskom i wodorostom kołyszącym się przy palach pomostu. Trudno o bardziej sielski widok, a jednak, co zrozumiałe, przywodził na myśl nieprzyjemne skojarzenia. Bo fakty wyglądały tak, że Pirjo już wcześniej doświadczyła niebezpieczeństwa zagrażającego jej egzystencji i ostatnio właśnie tutaj się to skończyło.

Posprzeczała się z jedną z wyznawczyń, którą uznała za niebezpieczną rywalkę. Doszło do krzyków, przepychanek i bijatyki, i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kobieta od paru tygodni stanowiła trwały element wystroju w pokojach Atu i zaczęła naciskać na przejęcie niektórych zadań Pirjo, która oczywiście się w tym zorientowała.

Właśnie zrobiła krok, po którym nie było już odwrotu.

Ich konfrontacja zakończyła się właściwie nieszczęśliwym wypadkiem, ale skoro już się wydarzył, to trudno było o lepsze zakończenie.

Od tamtej pory minęło już parę ładnych lat, a teraz ta Wanda Phinn.

Pirjo spojrzała w stronę akademii i wybrała zwirową ścieżkę biegnącą wokół budynków i sadu. Wprawdzie ta droga była sporo dłuższa niż bezpośrednia prowadząca do szosy, ale za to dyskretniejsza, więc nikt z akademii nie będzie wiedział, kiedy i dokąd pojechała.

Gdyby ktoś potem ją pytał, gdzie była, odpowie, że pojechała na wycieczkę na północ, by się dotlenić i zebrać myśli. Że rozważa nowe pomysły swoich linii telefonicznych i że musi je uporządkować.

Jej nieobecność musiała być zrozumiała i wiarygodna i dopóki nazwisko Wandy Phinn nie pojawiała się w żadnych rozmowach, dopóty tylko Pirjo wiedziała o istnieniu tej kobiety.

Kiedy dzień dobiegnie końca, a ona unieszkodliwi i wyeliminuje Wandę Phinn, przyjdzie czas na Malenę.

Jeszcze nie wymyśliła, jak się z nią rozprawić, tak by nie wiedział o tym Atu, ale jeśli nie stanie się to w miarę szybko, sprawy wymkną się spod kontroli i przybiorą nieciekawą obrót.

\*\*\*

Dla Wandy Phinn podróż rozpoczęła się na dobre, dopiero gdy wsiadła do pociągu do Kopenhagi. Lot przypominał wszystkie inne, ale ostatni odcinek pociągiem, prowadzący wśród krajobrazów, których nigdy przedtem nie widziała, był zupełnie baśniowy. Nawet otaczający ją język pochodził jakby ze świata sag, był magiczny, ekscytujący i wywodzący się z minionych czasów.

Widziała, jak wielkie, płaskie połacie gruntów uprawnych ustępują miejsca skalistej ziemi i ciągnącym się kilometrami kamiennym ogrodzeniom, postawionym dawno temu ludzkimi rękami. I nagle czerwone, drewniane domki i ciągnące się w nieskończoność lasy świerkowe. Tu, na tej obcej, cudownej szwedzkiej prowincji odnajdzie swoje królestwo i swój tron. Tutaj pożegna się z dawną sobą i przeszłością, by żyć z Atu do końca swoich dni. Niczego na świecie nie była bardziej pewna.

Wanda dobrze się przygotowała. Skoro jej nie zaproszono, musiała nastawić się na długotrwały opór i niechęć. Ale nawet w takiej sytuacji nie zamierzała się wycofywać, choćby jej kandydaturę odrzucono na dobre. Obwieściła termin swego przybycia w jeszcze jednym mejlu i jeśli ktoś odbierze ją ze stacji, to w porządku, jeśli natomiast nie, to zarezerwowała hotel i miała wystarczająco dużo pieniędzy, by przez parę tygodni dać sobie radę. W końcu doczeka się audiencji, była tego pewna.

– Pierwszy raz w tych okolicach? – spytał siedzący naprzeciwko mężczyzna, gdy zaczęła kręcić się na siedzeniu. Minęli już Karlskrone, więc do Kalmaru zostało zaledwie pół godziny.

Potwierdziła.

Uśmiechnął się.

– Dokąd się pani wybiera?

– Na Olandię. Spotykam się tam z przyszłym mężem – usłyszała własną odpowiedź.

Po twarzy mężczyzny przebiegł cień zawodu.

– Szczęściarz. Można zapytać, kto to taki?

O dziwo, poczuła, że się rumieni.

– Nazywa się Atu Abanshamash Dumuzi.

Zmarszczył czoło, skinął głową i obrócił twarz w stronę przyćmionego światła, spowijającego kolejną wioskę.

Gdy przybyli na stację, pomógł jej wynieść walizkę z wagonu.

– Wie pani, w co się pakuje? – spytał, stawiając bagaż na peronie.

– Dlaczego pan tak mówi? – zdziwiła się. Pewnie kolejny pełen uprzedzeń człowiek, który widzi świat wyłącznie tak, jak nauczono go w domu.

– Jestem dziennikarzem i pracuję tutaj, w Kalmarze. Byłem w ośrodku na Olandii, by przeprowadzić wywiad z tamtejszym guru, i miałem mieszane uczucia. Proszę wybaczyć, to tylko moje subiektywne wrażenie, ale widziałem tam tylko oszustwa i manipulację. Przywódca, Dumuzi, chciał mnie oczarować, ale muszę powiedzieć, że w najmniejszym stopniu mu się to nie udało. Jest pani pewna swojej decyzji?

Skinęła głową. Była pewna bardziej niż kiedykolwiek.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała, powstrzymując się od komentarza, i obrała kurs na plac przed budynkiem dworca.

Stała przez chwilę, opierając się o maszt z flagą, i mrużyła oczy od słońca. Tak jak myślała. Nikt po nią nie przyjechał.

„No to idę do hotelu zostawić walizkę. Na pewno będą mogli zamówić dla mnie taksówkę”.

Powinna być na miejscu za trzy kwadranse.

Już miała schylać się po walizkę, gdy zza rogu pełnym gazem wyjechała kobieta na żółtym skuterze. Ubrana cała na biało, z zaciętą twarzą.

To właśnie po minie ją rozpoznała. I z tego samego powodu instynktownie zacisnęła pięści.

Czwartek 1 maja 2014

Na pierwszy rzut oka dom Habersaata sprawiał wrażenie pogrążonego w chaosie. Obowiązującą tu regułą było najwyraźniej kładzenie kolejnych stert papieru tam, gdzie akurat było miejsce, włączając podłogę. Na pustych przestrzeniach ścian przyklejało się wycinki lub wydruki, w związku z czym nie było tu widać śladów normalnego życia rodzinnego, nie mówiąc o rzeczach osobistych. Znaleźli raptem kilka oprawionych zdjęć. Zapewne tylko wtajemniczeni mieli dostęp do tego aspektu życia Habersaata, który absorbował go bardziej niż codzienny policyjny kierat w Rønne.

Ale kiedy się przebrnęło przez ten Armagedon stanowiący wyraz kresu normalnej egzystencji, okazywało się, że nawet najmniejsze powierzchnie zagospodarowane są podług konkretnego zamysłu i reguły.

Mieścił się tu żmudnie zgromadzony zbiór materiałów na temat trwającego niemal dwie dekady śledztwa dotyczącego jedynej sprawy, która zajmowała Habersaata: tragicznej śmierci Alberte.

Spoglądając na ten bałagan oczami doświadczonego policjanta, człowiek od razu czuł, że salon był dla Habersaata czymś w rodzaju rozdzielni wszystkich materiałów, które potem segregował według tematu i zanosił do pozostałych pokoi. W salonie papiery posortowano chronologicznie w sterty, te czki na regałach zawierały zaś rejestr wszystkich informacji zgromadzonych w domu. Jadalnia pełniła najwyraźniej funkcję stacji końcowej dla wszystkich tropów i śladów, których nie można było tak po prostu zlekceważyć, resztę domu natomiast podzielono na podtematy. Na przykład w pomieszczeniu gospodarczym znajdowały się materiały na temat śledztwa prowadzonego przez policję równoległe z Habersaatem; nie zajmowały wiele miejsca. Pokoik w głębi domu pękał od wydruków z wywiadami z różnymi miejscowymi obywatelami, przeprowadzonymi w okresie paru tygodni po wypadku. W znajdującym się na górze pokoju syna mieściły się sterty papierów otrzymanych z Komendy Głównej Policji, dotyczących innych spraw ucieczki z miejsca wypadku. Był tam również cały regał oznakowany po prostu „Alberte”, który też podzielono na różne sekcje dotyczące konkretnych aspektów jej życia. Istniały nawet te czki i stosy materiałów na temat koleżanek i kolegów, z którymi przyjaźniła się przed przyjazdem na uniwersytet ludowy.

Sypialnia Habersaata na piętrze była najszczelniej wypełnionym pokojem. Okno od dawna było zasłonięte, więc panował tu solidny zaduch.

– Carl, stałeś kiedyś pod wiatr za wielbłądem z kolką? – spytał Assad, pociągając nos. –

Mørck pokręcił głową, ale rozumiał, co kolega ma na myśli. W tym miejscu starszy pan przez kilka dekad oddychał własnymi wyziewami.

Rozejrzył się. Oprócz schludnie pościelonego łóżka, wąskiego odcinka podłogi między nim a szafą, całą powierzchnię pokoju zajmowały poupychane materiały. Przy oknie stały dwa regały z licznymi stertami dotyczącymi ogólnych informacji o uniwersytecie ludowym oraz oczywiście teczki na temat słuchaczy i nauczycieli, którzy przebywali tam w tym samym czasie co Alberte.

Właśnie w tym pokoju Assad i Carl natknęli się na coś, co odstawało od reszty.

– Jak sądzisz, dlaczego on to tu ma? – Assad wskazał na podłogę.

Carl spojrział na rzędy schludnie posegregowanych broszur i wydruków o tematyce okultystycznej, leżących tuż przy łóżku. Właściwie nie pomijały one żadnego rodzaju wiedzy tajemnej: kontakty ze zmarłymi, aromaterapia, astrologia, malowanie aury, transformacja aury, równowaga energii, wszelkie typy uzdrawiania, oczyszczanie domu i tak dalej. Dziesiątki przeróżnych dziedzin w porządku alfabetycznym, obejmujących niesztabowe myślenie, alternatywny sposób życia i terapii.

– Myślisz, że szukał w czymś takim pocieszenia? – spytał Assad.

Carl pokręcił głową.

– Nie wiem. Ale nie, to nie ma sensu. Widziałeś tu coś, co by za tym przemawiało? Karty tarota na przykład czy wahadełka, wróżby astrologiczne? Buteleczki do aromaterapii?

– Może w łazience na parterze. Pominęliśmy ją.

Zeszli na dół na korytarz urządzony w typowy sposób: wieszaki z płaszczami i kurtkami po jednej stronie, a po drugiej szereg znoszonych butów oraz łyżka do obuwia z bambusową rączką, wisząca na haczyku. Tu mieściły się drzwi prowadzące do wiatrołapu z obowiązkowym stojakiem na parasole w rogu oraz czworo kolejnych drzwi. Jedne do salonu, jedno do kuchni i dwoje wąskich, z czego za jednymi, jak rozumował Carl, powinny mieścić się toaleta i łazienka.

Zerknął do kuchni, gdzie wyjątkowo zamyślona Rose myła ręce przy zlewie. Jeszcze nie doszła do siebie.

Szóstym zmysłem wyczuła na sobie jego wzrok i odwróciła się raptownie.

– Nie pomieścimy tego wszystkiego w nowym pokoju Gordona – oświadczyła. – Ale jeśli wykorzystamy jeszcze ścianę na korytarzu, to kto wie. Parę regałów tu i tam i powinno być dobrze. Jeśli zamówimy firmę przeprowadzkową, to może zabraliby kilka regałów Habersaata, o ile June Habersaat nie będzie miała nic przeciwko temu. – Wytarła ręce o ubranie. – Bo przecież teraz to wszystko odziedziczy, prawda? Z technicznego punktu widzenia Bjarke przez

parę godzin dziedziczył po ojcu, ale skoro nie żyje, to wszystko przejmuje jego matka. Co ty na to?

– Ja na to, że dobrze to wszystko obmyśliłaś, Rose. Załatw to. Ale na twoim miejscu nie pytałbym nikogo o te regały.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ha! Tak łatwo poszło? Nie spodziewałam się tego.

– Hm, w tym domu jest wiele rzeczy, których ani ty, ani, prawdę mówiąc, ja się nie spodziewaliśmy.

– Ani ja! – odezwał się Assad za ich plecami. Otworzył na oścież oboje wąskich drzwi, ale tylko zza jednych widać było światło.

– Toaleta jest razem z łazienką; nie ma tam nic dziwnego. Te drugie drzwi prowadzą do wąskiego korytarzyka, z którego jest przejście do garażu i piwnicy. Są schody.

„Niech szlag trafi piwnice i garaże z wszystkimi cholernymi kłopotami” – pomyślał Carl.

Otworzyli drzwi do garażu. Zapach smoły i oparów benzyny oraz snop światła padającego z dwóch zakurzonych okien nie pozostawiały wątpliwości co do głównego przeznaczenia dobudówki. Na piasku wciąż widniały ślady po kołach, ale samochodu nie było. Przed świet-licą też go nie zauważyli, więc może policja zabrała go na parking przy komendzie.

– Garaże są nieprzyjemne – stwierdził Assad, podkreślając wypowiedź zaciśniętymi pięściami na skądinąd spuszczonej luźno rękach.

– Dlaczego? Chodzi ci o pajęczyny? – Mørck się rozejrzał; rzeczywiście ilość pajęczyn była imponująca. Jego rudowłosa kuzynka na bank zapadłaby w śpiączkę, gdyby ją tutaj zamknięto. Trudno ot, tak zapomnieć te wakacje, kiedy biegała po domu w ich gospodarstwie, zabijając pająki i wrzeszcząc wniebogłose, gdy trafiła na większego. Krótko mówiąc, wszystko tu sprawiało swojskie wrażenie. Parę regałów z pozostałościami z minionych czasów. Wrotki i sflaczałe dmuchane zwierzęta, puszki po farbie z wybrzuszonymi denkami i wszelkiego rodzaju środki do spryskiwania, zapewne zakazane już od paru dekad. Na belkach pod dachem leżał żagiel od deski surfingowej, narty i kijki do nart. Carl nie widział w tym nic nieprzyjemnego.

– Ten widok mówi wiele o wszystkich minionych chwilach i wszystkich godzinach, które niewłaściwie wykorzystano – filozofował Assad.

– Niewłaściwie wykorzystano?

– Wszystkich godzinach, kiedy rzeczy, które tu leżą, powinny były zostać użyte, ale nie zostały.

– Nic na ten temat nie wiemy, Assad. Poza tym dlaczego mówisz, że to nieprzyjemne? Moim zdaniem raczej smutne.

Skinął głową.

– Garaże znajdują się na uboczu domu i życia. Widząc takie miejsce, czuję, jakbym dotykał śmierci.

– Nie rozumiem – odparł Mørck.

– Nie musisz. Nie wszyscy odczuwamy tak samo.

– Myślisz o samobójstwie i podobnych sprawach?

– O tym też.

– Hm. W każdym razie nie ma tu nic szczególnego. Żadnych pudełek z tajemniczą zawartością, żadnych kartek na ścianach. Żadnych tajemniczych konstrukcji w kształcie piramid, kryształów ani okultystycznych treści jak te, które widzieliśmy w sypialni. Zgadzasz się?

Assad parokrotnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Chyba się zgadzał.

Piwnica też nie zaskoczyła ich niczym godnym uwagi; była uporządkowana i przejrzysta. Składały się na nią pralnia, w której nie było prania, spiżarnia bez przetworów i coś, co można by uznać za warsztat, gdyby nie brak narzędzi. Natomiast pośrodku stała fotokopiarka nowszej generacji i wiekowa zbieranina różnego sprzętu do wywoływania zdjęć, którego potrafiłaby w dzisiejszych czasach użyć już tylko garstka ludzi.

– Zrobił tu sobie ciemnię – stwierdził Carl. – Tyle że nie widzę nigdzie wywoływaczy i tym podobnych.

– Może to hobby z dawnych czasów. Hm, używał raczej tego tu – orzekł Assad, poklepując kopiarkę. – Pewnie też na niej robił powiększenie korniszona.

– Zapewne.

Carl podniósł kosz na śmieci stojący obok kopiarki, wyciągnął zmięte papiery i rozprostował na blacie. Nietrudno było się zorientować, w jaki sposób Habersaat pracował ze zdjęciem. Najpierw zrobił jego kopię w formacie jednej czwartej A4. Potem dwukrotnie powiększył, i dalej aż do A4, w końcu do formatu A3. Nie był to najpraktyczniejszy sposób, jeśli komuś zależało na jakości.

– Assad, zerknij na pierwsze powiększenie. Widać przód innego samochodu, dość starego jak na moje oko, wnioskuje się z ilości chromu na masce. Jeszcze dalej w tle widać mężczyznę i samochód. Wydaje mi się, że to parking, nie sądzisz?

– Ale jest tam też trawa, więc to może być również coś innego.

– Racja, może. Zwróć uwagę, że na powiększeniu z boku widać kawałek innego zdjęcia. Co nam to mówi?

– Że na tej samej stronie było ich więcej.

– Właśnie. Nasza fotka prawdopodobnie znajdowała się w albumie. Pasowałoby to też do struktury papieru, do którego przyklejono zdjęcia. Taki szorstki, jakby tektura. Wnioskując z kwadratowego kształtu, zdjęcie zrobiono aparatem kodak instamatic.

– Oryginał na pewno leży w kopiarce – zasugerował Assad, podnosząc pokrywę. Niestety, mylił się.

Podrapał się po zaroście. Brzmiało to niemal jak sekcja rytmiczna w zespole grającym salsę.

– Gdybyśmy tak mogli zobaczyć resztę tego albumu, to byśmy doszli do tego, gdzie zrobiono zdjęcie. Może nawet zidentyfikowalibyśmy osobę, która fotografowała.

– Habersaat nie pracował w policji kryminalnej, więc nie sądzę, by rozumiał konieczność takiej metodyczności i logiki. Choć z drugiej strony przecież gdzieś, do cholery, musiał zanotować, skąd miał te fotki. Może w którejś teczce?

– Patrz, Carl. Mamy tu jeszcze jedną stertę kserówek. – Assad wyciągnął je z drewnianej skrzynki, którą Habersaat przywiercił do ściany, i podał Carlowi, szczerząc się. – Może to ostanie materiały, nad którymi pracował.

– Bardzo śmieszne – Carl rzucił na stół kopie zdjęć nagiej kobiety w dość krępujących pozach. Papier był zupełnie pożółkły. Widać było, że Habersaat już od wielu lat nie czerpał przyjemności z takich rzeczy.

– Otworzyłam jego komputer – oznajmiła Rose, gdy wyszli z piwnicy. – Hasło oczywiście brzmiało „Alberte”, nic trudnego – uśmiechnęła się blado. – Ma w nim streszczenia wszystkich materiałów, które znajdują się też w teczkach. Różnica polega na tym, że do plastikowych koszulek powkładał gdzieś tam jakieś wycinki czy coś w tym stylu, co ma związek z tematem. Zajrzałam do nich, ale prawdę mówiąc, nic szczególnego tam nie ma. Wygląda mi to wręcz tak, jakby Habersaat zarzucił system teczkowy na rzecz tworzenia stosów. Choć oczywiście mogą się mylić.

Mylić się! Naprawdę tak powiedziała?

– Są tam jakieś dane na temat zdjęcia tego volkswagena? – Carl położył przed nią najmniejsze powiększenie.

– Może – odparła. – Jest dość niewyraźne. To ksero, prawda?

Assad potwierdził.

– Oczywiście. Nie widzę, by miał skaner. Pewnie tylko tę małą drukarkę. – Wskazała na drukarkę atramentową pod stertą papierów. – Ale spokojnie, panie Mørck, jak przeczeszę ten komputer, na pewno znajdę coś na temat pochodzenia tej foty. W końcu to stare cudo ma raptem sześćdziesiąt megabajtów, więc jest to zadanie do ogarnięcia.

Okej, wreszcie jakaś ironia.

Obróciła się do ekranu, wzdychając, już pochłonięta zadaniem. To była stara, dobra Rose.

– Carl, chodź tutaj! – krzyknął Assad.

Stał, wpatrując się w powiększenie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co tam?

– Przejdź po tym ręką – zbliżył rękę Mørcka do miejsca pośrodku kserokopii.

– I?



– Przyciśnij mocniej, to poczujesz.

Rzeczywiście poczuł wyraźnie.

– Tak, do spodu coś jest przyklejone. – Assad kiwał głową do swoich myśli. – Oczywiście, że Habersaat liczył na to, że weźmiemy powiększenie ze sobą, Carl, oczywiście, że tak. Także znaleźliśmy igłę w kupie słomy, tak jak powinniśmy.

– Igłę w stogu siana. – Mørck oderwał taśmę od rogów kserokopii.

– Bongo! – zawołał Assad; miał rację. Na jej odwrocie znajdowała się strona z albumu z czterema zdjęciami.

– Może jest tam napisane, skąd pochodzą. – Assad wydobyl kartkę spod ksera.

Oczywiście nie było.

Carl wziął arkusz ze zdjęciami i obrócił. Wszystkie cztery fotki na stronie stanowiły ewidentnie część większej serii, której motywem przewodnim były stare samochody. Prawdopodobnie zrobiono je na jakiegoś rodzaju zlocie.

Carl poczuł, jak tętno mu przyspiesza. Zdarzało się to czasami, gdy śledztwo nagle wchodziło w nowe stadium. Uśmiechnął się do siebie. Właśnie dla takich chwil się żyje.

– Tu jest ten facet – powiedział opanowanym głosem, wskazując na wąski pasek na jednej z fotografii o szerokości jakichś dziesięciu, piętnastu milimetrów. – Tam, na samym końcu placu, widzisz go? Spogląda na samochód z tą imponującą maską. Ładny, stary wóz.

– Oj, Carl. Nigdy nie uda się zrobić tego fragmentu wyraźniej, niż zrobił to Habersaat. Nawet jakbyśmy próbowali przez sto lat.

Miał rację, Habersaat zrobił, co w jego mocy.

– Pod zdjęciem jest napisane „CI B14G27”, a na brzegu strony „BMV/BR”. Spójrz na napis nad tym czarnym autem na zdjęciu obok: „TH A20”. A pod dwoma pod spodem „WIKN 27” i „WIKN 28”. Nie sądzisz, że to się odnosi do tych samochodów, Carl? Wiesz coś o starych autach, oprócz tego gruchota, którym nas wozisz?

Mørck potrząsnął głową.

– Jedyłą znaną mi marką samochodów zaczynającą się od CI jest citroen. Pozostałych, THA i WIKN, nie znam.

– Sprawdźmy to – zapowiedział Assad.

Rose nawet nie zdążyła zaprotestować, gdy kudłacz wpadł z impetem do środka i odepchnął ją wraz z fotelem biurowym od ekranu.

– Dowiemy się za sekundę – oświadczył Carl, podczas gdy Assad wpisał w wyszukiwarke „citroen B14G27”.

Zero rezultatów. Co teraz?

– Nie grzeszycie mądrością, co? – rzuciła Rose z poirytowaniem, rzuciwszy okiem na stronę ze zdjęciami. – To są stare auta, prawda? Nawet bardzo stare. Powiedziałabym wręcz, że z lat dwudziestych, a dokładniej, jak tu czytamy, z 1920, 1927 i 1928 roku.

Carl zmarszczył brwi. Że też na to nie wpadł, co za żenada.

– Okej, Assad, wpisz „Citroen B14G 1927”.

Rose miała rację. W sekundę na ekranie komputera pojawiło się mnóstwo wypolerowanych na glanc wytworów przemysłu samochodowego i taśm produkcyjnych z lat międzywojennych. Przepiękne auta we wszystkich kolorach.

– Fantastycznie. Jakie znamy marki na TH i WIKN lub WI KN? Sprawdź no, Assad.

– Pozwólcie. – Rose uderzyła fotelem na kółkach w biodro Assada.

Po trwającym minutę stukaniu w klawisze wyczarowała zdjęcia thulina A 1920 i dwóch willys-knightów z 1927 i 1928 roku.

Assad wyglądał, jakby właśnie miał rozpakować prezent.

– Carl, już zaraz, już zaraz się dowiemy – powtarzał, gdy Rose wpisywała w okno wyszukiwarki wszystkie marki samochodów naraz.

– Juhu! –zawołał Assad, uśmiechając się szeroko.

Nędzne trzy wyniki tego skomplikowanego wyszukiwania, a pierwszy z góry zdecydowanie był właściwy:

Bornholm Rundt 1997 (seria zdjęć)

<http://www.bornholmsmotorveteraner.dk><sup>3</sup>

Tym samym wątpliwości dotyczące znaczenia „BMV/BR” zostały rozwiane. Znaczyło to po prostu „Bornholms Motor Veteraner/Bornholm Rundt”.

Assad z ekscytacji skakał w miejscu. Osobliwy widok, zważywszy na jego wiek i nieco sterane ciało.

– Spokojnie, Assad. Musimy jeszcze się dowiedzieć, gdzie zrobiono to zdjęcie, kto pożyczył Habersaatowi kartkę z albumu, kim jest człowiek z fotki, o ile ktoś to w ogóle wie, czy jest winny, gdzie przebywa, no i jak Habersaat...

Podskakiwanie ustało.

– Daj spokój, Carl – powiedziała Rose. – Sprawdzę, czy działa drukarka Habersaata, a jeśli tak, wydrukuję wszystko, co znajdę na temat tego klubu, okej? Od tego zaczniemy.

Carl wyjął swoją komórkę i po raz kolejny stwierdził, że bateria jest na wyczerpaniu. Wybrał numer komisarza Birkedala.

– Mówi Carl Mørck. Dzwonię z dwiema sprawami – poinformował krótko, gdy odebrano. – Zabieramy wszystkie wyniki śledztwa Habersaata na Komendę Główną, w porządku?

– Jasne, myślę, że jego spadkobiercy się z tego ucieszą. Tylko po co?

– Zaciekawiła nas ta sprawa, kogoś w końcu musiało. A druga kwestia...

– Carl, jeśli to jakiś szczegół dotyczący sprawy – przerwał Birkedal – to porozmawiaj bezpośrednio z człowiekiem, który wówczas się nią zajmował. To dobry facet, więc oszczędź

sobie wobec niego uszczypliwości, dobrze? Jeden z tych, co ostro zasuwiają i dobrze im to wychodzi. Przełączam cię do niego. Nazywa się Jonas Ravnå.

– Jeszcze jedno. Znaleźliście coś u Bjarkego Habersaata, o czym powinniśmy wiedzieć? Motyw samobójstwa, coś innego?

– Nie, nic. Jego komputer pękał od pornograficznych zdjęć o charakterze homoseksualnym i starych gier.

– Prześlecie go nam, jak tylko będziecie mogli, prawda?

– Na wasze własne ryzyko. Przełączam cię do Ravnå.

W słuchawce rozległ się zmęczony głos, który wcale się nie ożywił, gdy Carl wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni.

– Może pan wierzyć lub nie, ale bardzo chciałem pomóc Christianowi Habersaatowi – powiedział. – Problem tkwił w tym, że do niczego nie doszliśmy, a w tym samym czasie mieliśmy na głowie inne sprawy, potem też. Proszę wziąć pod uwagę, że minęło już prawie dwadzieścia lat.

Carl skinął głową; znał tę branżę jak nikt inny. Jeśli w życiu można być czegokolwiek pewnym, to tego, że kryminaliści nie nawracają się ot, tak.

– Habersaat podejrzewał mężczyznę z volkswagenem vanem, znalazł go w albumie ze zdjęciami z dziewięćdziesiątego siódmego roku. Ma pan pojęcie, skąd go wziął i czy w ogóle mówił o swoich podejrzeniach?

– Christian i ja nie rozmawialiśmy o tej sprawie przez ostatnich pięć, sześć lat. Właściwie to zabroniłem mu o niej mówić, chyba że dokonałby przełomowego odkrycia. Miał po prostu zajmować się robotą w prewencji. Wiele wskazuje, że to nie było nic epokowego i że dogrzebał się do tych informacji w ciągu ostatnich lat.

– A pan? Natrafił pan w tej sprawie na coś, z czego można wyciągnąć jakieś wnioski? Jak patrzy pan na nią dziś?

– Człowiek ma swoje teorie.

– To znaczy?

– Jeśli to był wypadek, to kierowca pojazdu był pod wpływem alkoholu lub narkotyków, skoro nie zostawił śladów hamowania. A jeśli to nie był wypadek, lecz zaplanowane zabójstwo, to zupełnie brak nam motywu. Dziewczyna nie była w ciąży, lubiano ją, więc kto by ją mordował? Dlatego mógł to być mord sadystyczny. Może nawet popełniony przez jakiegoś przypadkowego chorego osobnika, który pod wpływem impulsu nabrał ochoty na zabicie człowieka. Tyle że musiał istnieć jakiś powód, dla którego Alberte w ogóle pojechała w to miejsce tak wcześnie rano, a tego powodu na pewno nie znamy. Jeśli miała się z kimś spotkać, to dlaczego właśnie tam? Bo zakładam, że była umówiona w miejscu, gdzie zsiadła z roweru, by poczekać. Odstawiła rower kawałek dalej, w przeciwnym razie części roweru poharatałyby ją do krwi, a na pojeździe nie znaleźliśmy żadnych fragmentów tkanki. Dlatego

zgaduję, że przyjechała za wcześnie i czekając, kręciła się po okolicy. Może czekała na tego, kto ją zabił.

– Ma pan hipotezę, na kogo czekała? Na mężczyznę z samochodu?

– Otóż to. Wiemy, że miała chłopaka, co zresztą wynika z mojego raportu. Wiemy, że przebywał na wyspie, za to nie mamy pojęcia, czy zniknął przed wypadkiem, czy później.

– Ma pan jego nazwisko i miejsce pobytu na Bornholmie?

– Mieszkał najprawdopodobniej w prowizorycznym obozie na terenie gospodarstwa w okolicach Ølene, ale nazwiska nie znamy. Gospodarz, który wynajmował ten teren, nie sporządził umowy, zainkasował tylko za okres wynajmu pięć tysięcy koron gotówką. Zgłosił to nawet do skarbówki.

– Najprawdopodobniej, powiada pan. Jak go pan znalazł? W raporcie nic na ten temat nie ma.

– Prawdę mówiąc, nie pamiętam. Pewnie Habersaat się na coś natknął. Węszył przecież wokół sprawy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Hm. W jakim okresie gospodarz dzierżawił swój teren?

– Sześć miesięcy w dziewięćdziesiątym siódmym, od czerwca do listopada.

– Mamy rysopis wynajmującego?

– Tak. Miał dwadzieścia kilka lat, może nawet bliżej trzydziestki. Przystojny, długie, ciemne włosy, ubranie à la hipis. Kurtka wojskowa z naszywkami „Nie dla broni atomowej” i takimi tam.

– I?

– To tyle.

– Cholernie mało. Jest pan pewien, że właściciel terenu podał wam wszystkie informacje?

– Mam wielką nadzieję, bo facet zmarł trzy lata temu.

Carl pokręcił głową i zakończył rozmowę. Sprawy nigdy nie powinny się tak przeciągać.

– Muszę się z tobą podzielić pewnym drobiazgiem, Carl, choć nie jestem pewna, czy się ucieszysz – powiedziała Rose. Skąd u niej, do licha, ten szatański uśmiech?

– Zarezerwowałam dla nas dwa noclegi w hotelu.

– Dobrze, w czym problem?

– Och, właściwie nie ma problemu, nie licząc tego, że pokoje twój i Assada zostały już zarezerwowane przez kogoś innego.

– Okej, czyli zmieniamy hotel, prawda? – spytał Assad ostrożnie.

„Dziwne” – pomyślał Carl, gdy tamten go ubiegł.

Rose spojrzała na nich, jakby byli roszczeniowymi nastolatkami. Czyli nie zmieniają hotelu.

– Czyli przenosimy się do innych pokoi? – drążył Assad.

– Właśnie. Wprawdzie nie było już pokoi jednoosobowych, ale za to zarezerwowałam dla was dwójkę. Z łóżkiem małżeńskim, podwójną kołdrą i tak dalej. Czy to nie urocze?

Wrzesień 2013

Kobieta o aż nazbyt szczupłej talii stała z walizką na placu przed żółtym gmachem, opierając się niczym pełna gracji rzeźba o maszt z flagą. Triumfując tam z tą swoją lśniącą, brązową skórą, kpiła całą sobą z genów, które wygrały walkę z ciemnością tu, na dalekiej północy. Kpiła sobie z tych dwudziestu lat, które Pirjo poświęciła Atu i jego wartościom, wierząc, że w końcu zdobędzie jego serce. Bo ta kobieta była zbyt piękna i pełna gracji, zbyt atletycznie zbudowana, niebezpiecznie odmienna i egzotyczna.

Pirjo siedziała przez chwilę okrakiem na skuterze, zastanawiając się, czy nie zawrócić. Ale z racjonalnego punktu widzenia nic by to nie dało. Skoro dziewczyna przejechała taki szmat drogi, nawet tabun dzikich koni nie odciągnąłby jej od przebycia ostatniego odcinka na własną rękę, więc Pirjo w duchu przeszły ciarki.

Ale zanim sięgnie po rozwiązania ostateczne, a rozumiała teraz, że może to być konieczne, będzie musiała wypróbować inne środki.

– Cześć – rzuciła, przecinając plac. Siliła się na swobodny i energiczny ton. – Jestem Pirjo, to ze mną korespondowałeś. Widzę, że jednak przyjechałeś. Szkoda, bo przecież cię ostrzegałam, że przyjedziesz na próżno.

Pirjo posłała jej pobłażliwy uśmiech, zazwyczaj działało.

– Ale skoro już i tak tu jesteś, co z pewnością jest skutkiem nieporozumienia i błędu z naszej strony, zdecydowaliśmy, że zapłacimy za twoją podróż powrotną do Londynu. Będziesz mogła ewentualnie przyjechać innym...

– Cześć, Pirjo, miło cię widzieć – przerwała jej kobieta, niezrażona. – Tak, to ja, Wanda Phinn. – Z niewinnym uśmiechem wyciągnęła do niej rękę, jakby nie słyszała słów starszej kobiety, ale ta wiedziała swoje. Poznawała to po jej spojrzeniu i uśmiechu. Ta kobieta o pociągających kościach policzkowych nie spocznie, dopóki nie spotka się z Atu.

– Tak, Wando, tylko że zarezerwowaliśmy dla ciebie bilet powrotny, nie słyszałaś?

– Owszem, bardzo dziękuję za troskę. Niemniej przyjechałam spotkać się z Atu Abanshamashem Dumuzim i dopóki się to nie stanie, nie mogę wrócić. Wiem, że na kursie nie ma wolnych miejsc, ale muszę się z nim zobaczyć.

Pirjo skinęła głową.

– Rozumiem, ale przykro mi, Atu nie ma w tej chwili w ośrodku.

Kobieta przez chwilę sprawiała wrażenie rozczarowanej, ale zaraz się otrząsnęła.

– Okej! W takim razie poczekam. Dwie minuty stąd jest hotel o nazwie Frimurarehotellet i mają tam wolne pokoje, więc mogę spokojnie poczekać parę dni. Pójdę tam teraz, a kiedy Atu wróci, możecie do mnie zadzwonić. Masz mój numer komórki, jest w mejlu.

Atak drapieżnika poprzedza zazwyczaj długa, głęboka koncentracja i cierpliwe oczekiwanie. Wąż leży w bezruchu, jakby nie żył, drapieżnik rozpląszcza się na ziemi, sokół pikuje w dół. Podobnie ta kobieta: sprawiała wrażenie niesłychanie zdeterminowanej, a jej oczy były zbyt spokojne i opanowane. Emanowało wręcz z niej przeświadczenie, że jej przyjazd wzbudzi opór. Rozumiała doskonale, z czym się mierzy, i znała słabe punkty systemu. Jakby wiedziała, jak podatny na wpływy jest Atu, jaką wąż pozycję zajmuje w rozgrywce tej starszej kobiety i kiedy ma uderzyć.

Ale tu się myliła, bo choć Pirjo czuła się teraz fatalnie, to w najmniejszym stopniu nie była słaba ani bezradna. Wcześniej miała wątpliwości, jakie środki ma zastosować, ale teraz już wiedziała. Wcześniej w podobnych sytuacjach uciekała się do drastycznych rozwiązań i reakcji, radziła z tym sobie z powodzeniem i niczego później nie żałowała.

W końcu to sama Wanda Phinn rzuciła kości, nie ona, i gorzko tego pożałuje.

– Mówisz Frimurarehotellet? – spytała. – Okej, szkoda by było, gdybyś musiała wydawać z trudem uciulane grosze na pobyt w hotelu, więc spróbujmy zorganizować ci krótkie spotkanie, nim wyjedziesz. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Atu w tej chwili spaceruje po południowej części wyspy lub po wrzosowiskach znajdujących się w jej centrum, zwanych Stora Alvaret. Często tam jeździ, by pomedytować i zajrzeć w głąb duszy. Nie lubi, by mu przeszkadzano, ale skoro tak się upierasz, to spróbujemy.

Pirjo uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła. Kobieta chyba się na to złapała.

– Ale powiem ci to teraz, Wando, żebyś nie była rozczarowana: na nic więcej nie licz, potem odwiozę cię z powrotem na stację. Samolot do Kopenhagi odlatuje dopiero jutro rano, więc mamy trochę czasu.

Kobieta skinęła głową w stronę lichego bagażnika skutera, na którym znajdowały się kaski i saperka.

– A co z moją walizką? – spytała. – Raczej się tam nie zmieści.

– Masz rację. Odstawimy ją do skrytki bagażowej. I tak za parę godzin będziemy z powrotem.

Młoda kobieta kiwnęła głową. Widać było, że jej zdaniem w tej sprawie ostateczną decyzję podejmą dwie osoby. Pewnie sądziła, że gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas, walizkę zawiezie się tam, gdzie ona sobie zażyczy.

– Jeździłaś już skuterem?

– Tam, skąd pochodzę, ludzie przemieszczają się właśnie na skuterach – odparła Wanda.

– Dobrze. Zważ, że podwinie ci się spódnica, ale usiądź tak, by trzymać się mojej kurtki. Nie lubię, by obejmowano mnie w pasie.

Pirjo wzięła się w garść, roztaczając przed Wandą swój urok osobisty. Najważniejsze, żeby Wanda Phinn nie zaczęła niczego podejrzewać, lecz cieszyła się z przejażdżki, okolicy i pięknego krajobrazu, przeświadczona, że pierwszy etap zdobywania niepodzielnej uwagi Atu Abanshamasha Dumuziego idzie jak po maśle.

– Jak wiesz, Olandia jest fantastycznym miejscem. Kiedy przyjedziesz tu następnym razem, oprowadzę cię po niej dokładniej, ale teraz mogę pokazać ci po drodze kilka osobliwości – krzyknęła Pirjo.

Wanda trzymała się jej kurtki, spoglądała w morze i na wyspę obiecaną. Po obu stronach Mostu Olandzkiego fale wzbijały pianę na morzu, bryza z lądu zmieniła kierunek i zaczęła teraz wiać od wschodu, znacznie bardziej rześka, niżby należało.

„Kiedy dojedziemy do wiatraków na samej górze, znajdę jakieś miejsce, by ją zrzucić” – pomyślała Pirjo. „To będzie musiał być brutalny i niespodziewany upadek, jeśli ma się od niego zabić, a jeśli nie, to jej w tym pomogę”.

– Na wyspie mamy mnóstwo wiatraków – krzyknęła. – Poszczególne rodziny nie chciały się nimi dzielić, więc dzieliły grunty i budowały własne wiatraki. Problem w tym, że zaczęto też wydzielać parcele w obrębie rodziny i w pewnym momencie działki były tak małe, że nie można było z nich wyżyć. W końcu ludzie musieli wynosić się z wyspy, żeby nie umrzeć z głodu. – Czuła, że za jej plecami Wanda kiwa głową, ale też że dawna historia Olandii jest jej zupełnie obojętna. Pirjo to odpowiadało. Mogła skoncentrować się na właściwej realizacji zadania i wykorzystaniu bocznego wiatru dla własnych celów.

Pomimo godziny i pory roku, na drodze roіło się od samochodów. Powód zapewne był taki, że w tych dniach liczni artyści zorganizowali wernisaże, wystawy i przyjęcia w okolicach Vickleby i Kastlösy, więc spora część klienteli z lądu zainteresowanej malarstwem i wyrobami ze szkła odbywała teraz coś w rodzaju tournée po Olandii. Dopiero na południe od obu miasteczek ruch się zmniejszył, lecz niestety skurczyły się też możliwości.

„Jak mam odpowiadać na jej pytania?” – pomyślała Pirjo. Już parę razy mijały drogowskazy na Alvaret i Wanda dopytywała, dlaczego nie skręcają.

– Jeszcze nie! – odkrzyknęła Pirjo. – Atu często wybiera tereny bardziej na południe. Można tam wykopać więcej pamiątek z przeszłości, rozumiesz.

– Czyli to do tego używacie saperki! – zawołała Wanda.

Pirjo potwierdziła i spojrzała przed siebie. Może Gettlinge? Jest tam strome zbocze i choć nie mogła podjechać na samą górę i zepchnąć Wandy z siedzenia skutera wprost w przepaść, to jest to najlepsze miejsce, by zastosować rozwiązanie alternatywne.

Pirjo czuła rosnącą ekscytację, ale nie była zdenerwowana. Gdyby pozbywała się rywalki pierwszy raz, pewnie nerwy dałyby o sobie znać, ale przecież miała doświadczenie.

– Zrobimy przystanek przy Gettlinge, bo to jedno z ulubionych miejsc Atu. Nie ma pewności, że dziś tam jest, ale przynajmniej je zobaczysz.

Wanda uśmiechnęła się, zsiadając ze skutera, i rzuciła kilka pochlebstw na temat zaangażowania Pirjo i urody miejsca.

– Nie, niestety nigdzie go nie widać, ech, frustrujące – stwierdziła Pirjo, przesuając wzrokiem po okolicy. – Ale rozejrzyj się, nim ruszymy dalej, to wyjątkowy obszar – ciągnęła, rozkładając ramiona, by ukazać jej unikatowy, objęty ochroną krajobraz, gdzie kamienie układały się w kształt statku.

– Imponujące – skinęła głową Wanda. – Coś jak Stonehenge, tylko znacznie mniejsze, prawda? No i na dodatek ten stary młyn tam dalej. Czy w tym miejscu grzebano Wikingów? – spytała.

Pirjo potwierdziła, rozglądając się. Okolica była sucha i płaska, a przede wszystkim bezлюдna. Za plecami kobiety, po drugiej stronie szosy, znajdowały się jałowe wrzosowiska Stora Alvaret, również opustoszałe.

Po tej stronie, za cmentarzyskiem, zaczynała się skarpa. Porastało ją wprawdzie więcej drzew i krzewów, niż Pirjo pamiętała, ale to może być zaletą. W każdym razie nie będzie musiała usuwać zwłok od razu, bo znikną w gęstwinie. A jeśli w którymś momencie ciało zostanie odkryte, kto skojarzy znalezisko z Wandą Phinn? Nie mówiąc już o kojarzeniu jej z Pirjo.

Zasadniczo więc miejsce jest doskonałe, uznała w duchu, upewniając się, czy tymczasem na drodze dzielącej cmentarzysko i wrzosowiska nie pojawiły się jakieś samochody.

– Wando, podejdź tu! – zawołała, próbując zapanować nad głosem, by nie zabrzmiał fałszywie. – Widać stąd, w jaki sposób wyspa została uformowana i dlaczego zniknęli z niej mieszkańcy.

Wskazała na ziemie uprawne na nizinach i na zachód, na zabudowania po obu brzegach Cieśniny Kalmarskiej, rozdzielonych migoczącymi falami.

– Tam po drugiej stronie widać Kalmar, skąd właśnie przyjechałyśmy – paplała. – Tu, na wyżej położonej części wyspy, chłopci mieszkali jeszcze przez kilka dekad zeszłego wieku, dzieląc w nieskończoność swoje grunty, jak ci wcześniej opowiadałam. Pociągnęła Wandę do zbrocza i obróciła ją; tętno jej przyspieszyło. – Spójrz na krajobraz po drugiej stronie drogi. To Stora Alvaret, gdzie być może teraz znajduje się Atu. Przed niespełna stu laty był to żyzny teren i pastwiska, ale chłopci zbyt intensywnie go użytkowali i bydło wyżarło całą trawę.

Chwyciła Wandę za ramię.

– To niepojęte, że tutejsza społeczność nie potrafiła pomagać sobie nawzajem w utrzymaniu się na tak urodzajnej ziemi.

Wanda pokręciła głową. Była zupełnie spokojna i wyluzowana, czyli Pirjo musi to zrobić teraz, dopóki na drodze nikogo nie ma.

– Moim zdaniem Olandię można by nazwać wyspą egoizmu, skoro większość mieszkańców musiała w końcu się stąd wynieść, by nie umrzeć z głodu. Tylko dlatego, że nie potrafili



współpracować – podsumowała, po czym szarpnęła młodszą kobietę za ramię, jednocześnie z całej siły uderzając ją biodrem w lędźwie.

Początkowo wynik był dokładnie taki, jak się spodziewała. Górna część ciała Wandy odchyliła się do tyłu, podczas gdy kobieta machała wolną ręką. Potem dała krok w tył, a że nie mogła znaleźć podparcia, jej upadek był kwestią sekundy. Powinna spaść, staczając się w zaroślach, po pniach i wielkich kamieniach. Fatalny upadek, prawdopodobnie ze skutkiem śmiertelnym. A nawet jeśli nie, sprawę dokończy się za pomocą saperki.

Wanda rzeczywiście spadła, ale wbrew oczekiwaniom, nie sama. W chwili gdy straciła równowagę, wolną ręką odruchowo chwyciła Pirjo w pasie.

W rezultacie obie stoczyły się ze zbocza, splątane w kłębek. I nagle okazało się, że dwie, a nie jedna para nóg uderzają o pnie drzew.

Jako że dwa ciała poruszały się z większym trudem niż jedno, upadek zakończył się, zanim zbocze zrobiło się naprawdę strome. Nagle znalazły się na stoku pośród gałęzi i butwiejących liści i wpatrywały się w siebie otwartymi szeroko oczami.

– Chcesz mnie zabić? – syknęła Wanda Phinn, wydostając rękę i chwytając nią wiszące nisko gałęzie i obnażone korzenie drzew.

Pirjo była zszokowana. Nie tylko z powodu potłuczeń i niepowodzenia, ale w ogóle takim obrotem sprawy. Teraz Wanda Phinn będzie wiedziała, że coś tu bardzo nie gra i stanie się zbyt czujna.

Jak ma ją powstrzymać przed spotkaniem z Atu? Jak przeszkodzić tej kobiecie, by nie opowiedziała o swych podejrzeniach jedynej osobie, która naprawdę nie powinna się o tym dowiedzieć?

– Mam padaczkę – zaimprovizowała Pirjo, jękając się i chowając twarz w ziemi. Udała też, że drży na całym ciele. – Strasznie mi przykro. To był mały atak, zazwyczaj czuję, że się zbliża, niestety nie tym razem. Bardzo cię przepraszam, Wando. To się mogło źle skończyć.

Próbowała wycisnąć łzy z oczu, ale bez powodzenia. Zebrała więc w ustach nieco śliny i wypuściła ją kącikiem ust.

– Chodź – poleciła Wanda bez cienia współczucia.

Zawlokła je obie na górę, a Pirjo myślała, aż trzeszczało.

Na końcu placu znajdowała się szopa ze staroświeckimi toaletami. Siedzisko i dziura w ziemi, dokładnie taka, z jakich korzystali ich przodkowie. Pirjo wielokrotnie tam bywała; znała nawet na pamięć wierszyk, który jakiś dureń nieporadnym pismem nabazgrał na ścianie:

Rozrabiaki i buraki  
Co dostają tutaj sraki  
Jeśli serca trochę mają  
Innym papier zostawiają.

Wiele razy myślała o tym, że najgorszą śmiercią dla człowieka byłoby wepchnięcie go do dziury kloacznej, by utopił się w cudzych odchodach.

Czy jest to jakaś opcja? Potrafiłaby zaciągnąć tu Wandę i wepchnąć ją do środka?

Pirjo czuła aż nazbyt wyraźnie, że kręci się w kółko. Że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, stała się taka bezbronna.

„O mój Boże, wiem, że ona mnie wygryzie” – pomyślała. „Urodzi dzieci Atu i sprawi, że stanę się zwykłą gospodynią, a może i gorzej”.

Można było od tego oszaleć. Dlaczego nie potrafiła temu zapobiec? Dlaczego nie zadbała o to, by zdyskredytować tę dziewczynę w oczach Atu? Dlaczego w ogóle odpowiedziała na jej zgłoszenie? Dlaczego?!

– Jeśli nie czujesz się dobrze, mogę dalej poprowadzić – usłyszała za sobą głos Wandy.

Pirjo odwróciła się do kobiety stojącej w podartym ubraniu i wyciągającej do niej rękę.

– Kluczyki poproszę! – zażądała, a jej spojrzenie nietrudno było rozszyfrować. Miała się na baczności, wiedząc, że ma ku temu powody.

– Którędy jedziemy? – spytała, wrzucając bieg skutera.

Pirjo wskazała ręką.

– Z powrotem na szosę w stronę Resmo, a potem w prawo w Alvaret. Dojazd zajmie nam jakieś dziesięć minut.

Czyli musi się to stać na wrzosowisku. Nie wiedziała jeszcze jak, ale na pewno tam.

Piątek 2 maja 2014

Noc z Assadem w jednym łóżku była nie lada wyzwaniem.

Carl zachodził w głowę, jakim cudem tak stosunkowo niewielkie stworzenie jest w stanie wygenerować hałas o tak zróżnicowanym charakterze. W każdym razie jeszcze nigdy nie miał okazji słyszeć, by człowiek wydawał z siebie naprzemiennie poddźwiękowy warkot i piskliwy świst, niczym wysłużone kościelne organy. Zapamiętałość Assada w dawaniu jednoosobowego koncertu szła w parze z absolutną niemożnością dobudzenia go. Krótko mówiąc, Assad spał nie tyle jak kamień, co jak góra. Właściwie to jak ryczący wulkan, przyszło na myśl bezsilnemu Carlowi o świcie między trzecią a piątą.

Kiedy wreszcie chrapanie ustało i Carl na parę sekund odetchnął z ulgą, miejsce nieartykułowanych dźwięków zajęło równie nieartykułowane mamrotanie płynące z szeroko otwartych ust Assada.

Były to słowa, które Carl w swojej malignie wziął za totalny bełkot bądź język arabski, ale słysząc kilka oderwanych od reszty duńskich zwrotów, znów oprzytomniał.

Czy Assad powiedział „zabić”? I „nie zapomnę”, po czym zaczął rzucać się na łóżku? Słowa były niewyraźne, ale nie ulegało wątpliwości, że kolega nie czuł się dobrze. Carl nie potrafił już potem zmrużyć oka.

Dlatego umierał ze zmęczenia i choćby nie wiadomo jak się starał, nie był w stanie odwzajemnić szerokiego uśmiechu Assada, gdy kudłacz w końcu otworzył oczy.

– Assad, ależ ty gadasz przez sen – zdążył powiedzieć, nim na ulicy dał się słyszeć wrzask kobiety.

Mørck usiadł na łóżku. Musiała stać tuż przy wejściu do hotelu, bo stąd jej nie widział.

Za jego plecami rozległo się pytanie zadane bardzo stłumionym głosem.

– Gadałem? Ale co mówiłem?

Carl chciał obdarzyć go rozbajającym uśmiechem, ale facet miał grobową minę, był błydy i garbił się, opierając o zagłówek łóżka. Przypominał żołnierza, który zadał cios towarzyszom broni.

– Nic szczególnego, trudno było zrozumieć. Ale mówiłeś po duńsku i nie byłeś zadowolony. Miałeś koszmary?

Assad ściągnął krzaczaste brwi i już miał odpowiedzieć, kiedy kobieta na ulicy wrzasnęła ponownie.

– John, wiem, że tam jesteś! – krzyknęła. – Widziano cię z nią, rozumiesz?

Carl poderwał się i podbiegł do okna, skąd zobaczył ładną kobietę w średnim wieku, piekącą się na schodach do hotelu niczym pies bojowy, który zwietrzył krew. Oczywiście miała nieprzytomne, pięści zaciśnięte.

Do kurwy nędzy! Czyli Rose jednak zwabiła Johna Birkedala w swoją sieć.

Biedny, nieszczęsny człowiek.

– Proponuję, żebyśmy się dziś rozdzielili – powiedział Carl przy śniadaniu, z całych sił próbując zmobilizować mięśnie powiek. Kiedy pozostała dwójka sobie pójdzie, on zakradnie się do pokoju i spróbuje pozbyć się brzemienia niewyspania, będącego owocem minionej nocy.

– Jestem tego samego zdania – odezwała się Rose, już w swojej czarnej charakterystycznej, niczym zła królowa z Królowny Śnieżki. Ani słowa o porannych bataliach, żadnych wyjaśnień, co je spowodowało. Zajście między mężem i żoną na hotelowym placu z jej perspektywy widocznie należało już do przeszłości. Sprawiała wrażenie zadowolonej i pełnej energii. Ciekawe, jak miewał się Birkedal?

– Pojadę do domu Habersaata i wezmę się za pakowanie – ciągnęła. – Wczoraj skontaktowałam się z firmą przeprowadzkową. Przyjadą tu po mnie za dwadzieścia minut.

Carl skinął głową z aprobatą. Czyli Rose ma z głowy.

– Poza tym dowiedziałam się, że siostra June Habersaat mieszka w domu opieki niedaleko stąd, więc może niech to będzie zadanie dla ciebie, Assad – kontynuowała. – Skoro to twoja zasługa, że June nie chciała nam nic powiedzieć o uwagach jej męża na temat śledztwa, to wydaje się logiczne, że ty powinieneś wymagać jej siostrę. Może June jej się skarżyła.

Assad przyjął ów zimny prysznic ze stoickim spokojem. Rose to w końcu Rose, a w tej chwili był zajęty wsypywaniem cukru do kawy tak, żeby nie uronić ani kropli napoju.

Odwróciła się do Mørcka, zimna i obojętna wobec jego kredowobiałej cery i niemego protestu wobec jej zabawy w rozdzielanie zadań.

– Poza tym umówiłam cię, Carl, na oprowadzanie po Bornholms Højskole na dziewięćdziesiąt trzydzieści. Ustaliłam, że potem możesz pojechać do dawnych dyrektorostwa, jeśli będziesz chciał, a zakładam, że tak. Mieszkają niedaleko od szkoły.

Jakim cudem udało jej się to wszystko załatwić?!

Carl wziął głęboki wdech i spojrzał na zegarek; było pięć po dziewiątej. Czyli ma niecałe dziesięć minut, by rozbudzić apetyt, zjeść, wypić kawę, ogolić się i udać się na drzemkę, której tak desperacko potrzebował.

– Rose, zadzwonisz do szkoły i przesuniesz spotkanie. Muszę przedtem załatwić kilka rzeczy.

Uśmiechnęła się; ewidentnie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– W porządku, ale dopiero na pojutrze, bo jutro szkoła jest zamknięta z powodu wycieczki. Ale jeśli chcesz zostać w hotelu na jeszcze parę nocy, to ja nie mam z tym problemu. W domu nikt na mnie nie czeka.

Carl kiwnął głową, dając sobie spokój z proponowaniem babsztylowi późniejszej pory dnia; w chwili obecnej była dla niego równocześnie katem z Norymbergi, gwoździem do jego trumny oraz kamieniem w bucie.

– A jak już się z tym uporacie, przyjedźcie do Listed, żeby mi pomóc. Assad, pewnie skończysz szybciej, ale możesz wziąć taksówkę. Co ty na to?

– A ja na to, że jeszcze nigdy nie piłem tak wspaniałej kawy – odparł, kręcąc im przed nosem filiżanką; Carl dał za wygraną.

– Może będzie łatwiej, jeśli pojedziemy z Assadem razem – powiedział w końcu. – Siostrę June Habersaat odłożymy na późniejszą godzinę.

Wtedy zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz z mieszanką niechęci i nabożnego lęku.

– Tak, mam? Co tam?

Nie znosiła tego zwrotu. Czasami nawet potrafił całkowicie ją sparaliżować, tak że rozmowa dobiegała końca, nim na dobre się rozpoczęła. Niestety tym razem widocznie ani trochę jej nie zirytował, w każdym razie z miejsca przeszła do rzeczy.

– Odezwał się Sammy z Tajlandii. Zadzwonił stamtąd na nasz rachunek, ale niech mu będzie, bo ci powiem, że miał ciekawe rzeczy do opowiedzenia. Pojechał tam, żeby uporządkować wszystkie sprawy i wiesz co?

Carl odchylił głowę do tyłu. Pamięć o Sammym, wałęsającym się obecnie po najulubieńszym egzotycznym placu zabaw Duńczyków, na szczęście ulokowała się w takim miejscu w mózgu Carla, do którego ten rzadko się zapuszczał.

– Sammy jest wściekły i świetnie to rozumiem, bo Ronny odesłał testament do kogoś innego. Zupełnie jakby nie ufał własnemu bratu, prawda?

Testament Ronny’ego. Carl miał nadzieję, że Ronny ograniczył się w nim do rozdzielenia swoich przywłaszczonych dóbr, ale nie był taki pewien. Dlaczego za każdym razem, gdy wywlekano sprawki Ronny’ego, Carl czuł nieprzyjemny smak w ustach?

– Gdyby Sammy był moim bratem, oddałbym się do adopcji – odparł.

– Ha, ha, Carl, ty łobuzie. Zawsze mówisz takie śmieszne rzeczy, tata i ja nigdy byśmy ci na to nie pozwolili.

Uniwersytet ludowy położony był dokładnie tak, jak powinien: w otoczeniu pól i lasów i granicząc bezpośrednio ze spektakularnym wąwozem Ekkodalen, zapewne największą atrakcją na Bornholmie, odwiedzaną przez mnóstwo uczniów z całej Danii w ramach zajęć zielonej szkoły. Carl wiele o niej słyszał, ale nigdy nie widział, bo tam, skąd pochodził, nie jeździło się na Bornholm, tylko do Kopenhagi, gwoździem programu była zaś przejażdżka kolejką górską w Tivoli, po której się wymiotowało.

Przywitały ich ostrożnie tańcząca w słońcu chorągiewka na maszcie i masywny głaz z inskrypcją – „Uniwersytet Ludowy”. W głębi znajdowało się kilka czerwono-białych

budynków pochodzących z różnych czasów, rozsianych po całym terenie w otoczeniu krzewów, zarośli i wykonanych własnoręcznie totemów. Znajdował się tu też miniaturowy pawilon.

Przed wejściem do części administracyjnej budynku czekała na nich ładna rudowłosa kobieta, na której widok Assad urósł o kilka centymetrów, o ile to możliwe.

– Witamy – powiedziała, po czym dodała, że nie pracowała w szkole podczas pobytu Alberte, ale pan woźny i owszem. – Mamy biuletyny z tego rocznika, a była dyrektorka prowadziła dzienniki przez cały długi okres pracy tutaj, ale zdaje się nie miała zbyt dużo do powiedzenia na temat sprawy Alberte.

Assad pokiwał głową jak jeden z tych zabawkowych psów, które niektórzy dziwni ludzie umieszczają na tylnej szybie.

– Chcielibyśmy porozmawiać z tym woźnym – powiedział z przymkniętymi oczami, zapewne flirtując. – Ale może oprowadziłaby nas pani, żebyśmy mieli lepsze pojęcie, jak wyglądało tutejsze życie Alberte.

„Ciekawe, po co w ogóle tu jestem, przecież doskonale sobie radzą” – pomyślał Carl, widząc zapal Assada. Może jeszcze dzisiejszego popołudnia mógłby wślizgnąć się na pokład promu i zostawić ich samych sobie. Kolejna noc z sennymi wynurzeniami Assada wpędzi go do grobu.

– Wiele budynków powstało później, chociażby te dwa przy drodze, gdzie mieści się między innymi pracownia szkła – kontynuowała. – Ale mogą panowie zobaczyć, gdzie Alberte jadła, malowała i spała.

Oprowadzanie trwało dość długo, więc Assad był wniebowzięty.

– Co jadali na śniadanie? Czy śpiewali pieśń poranną? Kiedy siadywali w salonie kominkowym?

Dopiero kiedy pojawił się woźny Jørgen, dobrze zakonserwowany gość o siwiejących skroniach i wytrenowanej sylwetce człowieka wykonującego pracę fizyczną, oprowadzanie nabrało rumieńców. Facet miał dobrą pamięć, więc Carl nastawił uszu. Woźny pracował w szkole od 1992 roku, ale wydarzenia związane ze zniknięciem Alberte i pytania, jak zginęła, naturalnie sprawiły, że rok 1997 i sama Alberte wryły mu się głęboko w pamięć.

– Zniknęła w dniu, w którym wieszaliśmy wiechę na budynku warsztatu, więc byłem bardzo zajęty, a takie rzeczy się przecież pamięta. – Podprowadził ich pod skupisko niskich bungalów z żółtej cegły. – To tutaj spała, domek nazywa się „Stammerhallen”. Wszystkie domy mają swoje nazwy, jak na przykład „Helligdommen”, „Døndalen” czy „Randkløve”, nie pytajcie mnie, dlaczego, bo to dłuższa historia.

– Okej, pokoje są pojedyncze – stwierdził Carl. – Okno wychodzi na trawnik, więc pewnie z łatwością mogła przyjmować nocne wizyty spoza szkoły, prawda?

Woźny się uśmiechnął.

– Nie ma rzeczy niemożliwych, jak młodzi ludzie chcą nocą zaszaleć, nie?

Carlowi przypomniała się Rose i pokręcił głową. Bał się pomyśleć, co ona by zmalowała w takich okolicznościach.

– Ale policja przesłuchiwała też inne dziewczyny mieszkające w tym domku i wszystkie twierdziły, że Alberte nie przyjmowała w pokoju chłopaków. Na pewno by usłyszały, bo tutejsze ściany są jednak dość cienkie.

– Jak ją pan zapamiętał? Było w niej coś wyjątkowego?

– Hm, jak? Na pewno była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, które za moich czasów chodziły do tej szkoły. Nie dlatego, że miała fantastyczne oczy i rysy twarzy, ale dlatego, że poruszała się, jakby była księżniczką. Chodziła w zupełnie wyjątkowy sposób, jak Greta Garbo, po prostu prawie płynęła po ziemi. Nie była zbyt wysoka, ale od razu dostrzegało się ją w grupie, pewnie panowie rozumieją, o czym mówię.

Carl skinął głową. Widział zdjęcia Alberte.

– Kto to Greta Garbo? – spytał Assad.

Woźny spojrział na niego, jakby spadł z księżyca; może nawet tak było. Co w ogóle było wiadomo o Assadzie i o jego pojęciu o świecie? Dwa wielkie znaki zapytania.

– I bardzo ładnie śpiewała. Słysząc było, jak jej głos wybija się ponad inne podczas zebrania porannego.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że była niebywale atrakcyjna i jedyna w swoim rodzaju. Pamięta pan może, z kim flirtowała w szkole? – spytał Carl.

– Nie, niestety nic o tym nie wiem. Policja też mnie o to pytała, ale zdaje się, że któryś z kursantów miał coś na ten temat do powiedzenia. Wiem tylko, że czasami jechała autobusem lub taksówką do Rønne z kilkoma innymi osobami, by się zabawić. Wypić piwo i tak dalej. Widywałem inne dziewczyny, jak migdały się z chłopakami w szklarni za kolektorami słonecznymi, ale Alberte nie. Sporo też jeździła na rowerze. Mówiła, że bardzo ją interesuje tutejsza natura, ale nie wiem, ile zdołała zobaczyć. Zwróciłem uwagę, że często nie było jej tylko przez pół godziny, a niekiedy krócej.

– Wiele nam to nie dało – stwierdził Carl pół godziny później, gdy siedzieli w samochodzie w drodze do Aakirkeby, do domu poprzedniego kierownictwa.

– Przyjemnie na tym Bornholmie – oświadczył Assad, trzymając nogi na desce rozdzielczej i chłonąc wzrokiem krajobraz. – A ta sekretarka! Można by ją schrupać.

– Dostrzegłem twój afekt.

– Mój co?

– Skoro aż tak ci się tam podobało, może znalazłbyś tu sobie pracę?

Assad skinął głową.

– Tak, może. Tutejsi ludzie są całkiem mili.

Carl odwrócił do niego głowę. On tak poważnie? Na to wyglądało.

– Podobają ci się rude włosy, co?

– Nie, niespecjalnie. Po prostu tak jakoś się czuję. – Assad wskazał na deskę rozdzielczą. – Carl, dzwoni twoja komórka.

Mørck odebrał.

– Tak, Rose, co się dzieje?

– Siedzę na piętrze domu Habersaata wśród pudeł i papierów. Zwróciliście uwagę, ile tu jest teczek z wydrukami jego wywiadów z ówczesnymi kursantami?

– Nie zaglądaliśmy do nich, ale owszem, zwróciliśmy uwagę.

– A ja zajrzałam. Wiele koleżanek Alberte mówi, że ona flirtowała z większością chłopaków i że wkurzało to pozostałe dziewczyny, bo chłopcy patrzyli tylko na nią.

– Czyli co, którąś z dziewczyn wrzuciła ją na drzewo? – burknął.

– Bardzo śmieszne, panie Mørck. Dowiedziałam się, że jeden z chłopaków ze szkoły posunął się z nią dalej niż reszta. Całowali się i przez jakiś czas byli razem, dopóki ona nie znalazła innego.

– Innego?

– Tak, tego spoza szkoły. Możemy porozmawiać o tym później?

– Tak, oczywiście, tylko właściwie dlaczego dzwonicz?

– Żeby powiedzieć wam o tych teczkach i spytać, czy natknęliście się na jakieś informacje o gościu, z którym tworzyła parę w szkole? Nazywał się Kristoffer Dalby.

– Nie, wyprawa do szkoły nie przyniosła większych rezultatów. Kristoffer Dalby, mówisz? Jedziemy właśnie do dawnego dyrektorostwa, więc zapytamy ich, czy mają na ten temat coś do powiedzenia.

Wysoki, tyczkowaty starszy pan o pieczołowicie przystrzyżonej brodzie, ubrany w sztruksowe spodnie i tweedową marynarkę, któremu do wizerunku profesora literatury z Oksfordu brakowało tylko fajki w kąciku ust, zaprosił ich do kuchni, gdzie na parapecie stało więcej doniczek z ziołami niż w szkółce ogrodniczej.

– Proszę poznać moją żonę, Karinę.

Stanowiąca całkowite przeciwieństwo dyrektora Karla Odinsbo żona wkroczyła do akcji, rozdzielając uśmiechy i uściski. Jej ubranie składało się z kilku kolorowych warstw i wyglądała jak żywcem wzięta z musicalu *Hair*. Można by pomyśleć, że ona i szykowna ekszona Carla, Vigga, wykluły się w tym samym gnieździe; brakowało jej tylko turbanu z trzech ręczników w krzykliwych barwach.

– Kristoffer Dalby, tak się nazywał? – zastanowił się dyrektor, usadziwszy ich przy laminowanym stole. – Hm, ale tu już musimy sprawdzić, co na ten temat piszą annaliści akt. Proszę najpierw napić się kawy.

Assad spojrział na dyrektora pytającym wzrokiem.

– Analiści?



Carl dał mu kuksańca, żeby przestał.

– Annaliści, nie analiści. To po prostu kronikarze, nic więcej – wyjaśnił mu szeptem.

Brwi Assada poszybowały w górę.

– Aha! – odparł z uznaniem. Jego słowniczek wzbogacił się o nowe słowo.

– Karina, jak ci się wydaje? – spytał dyrektor, nalewając kawy. – Pamiętasz jakiegoś Kristoffera Dalby’ego w roczniku Alberte?

Wydeła dolną wargę. Widać nie.

– Chwileczkę, może mam coś, co państwu odświeży pamięć – powiedział Carl, wybierając numer Rose.

– Masz fotkę tego Kristoffera Dalby’ego? Jeśli tak, zrób zdjęcie komórką i prześlij mi je.

– Nie, jego osobno nie mam. Ale mam ksero zdjęcia całego rocznika. Habersaat oznaczył na nim wszystkie osoby, z którymi rozmawiał, a przy każdej dopisał nazwisko.

– Okej, to pstryknij fotkę i mi wyślij.

Odwrócił się do dyrektora i jego żony oraz do puszek z ciastkami.

– Dobrze ciasteczka – pochwalił Assad, którego ręka krążyła między puszkami.

Carl kiwnął głową.

– To prawda. Dziękujemy, że tak miło nas państwo przyjmują, bardzo tu przyjemnie, podobnie zresztą jak w szkole. Słyszałem, że to państwa zasługa, że szkoła staje się dla kursantów czymś w rodzaju domu na czas pobytu. Jest tam wszystko, co być powinno: obrazy na ścianach, świeżo nastrojone pianino, wygodne pomieszczenia wspólne i sale, to sprzyja szczególnej atmosferze. Ale czy atmosfera rzeczywiście zawsze jest taka przyjazna? Czy między samymi uczniami oraz uczniami i nauczycielami nie dochodzi do sprzeczek?

– Oczywiście, że dochodzi – odparł dyrektor. – Ale to zawsze, że tak powiem, niewielki procent.

– Jakie to było uczucie utracić jedną z kursantek, jak to się stało z Alberte?

– Straszne – odparła kobieta. – Okropne.

– Szkoła jest bardzo stara – ciągnął Mørck. – Widzieliśmy ponad stuletnie zdjęcia.

– Owszem, w listopadzie dziewięćdziesiątego trzeciego obchodziliśmy stulecie istnienia, więc faktycznie jest stara.

– Ciekawe – wtrącił się Assad, strząsając okruchy z zarostu – czy za państwa czasów miały miejsce inne tego typu historie?

– Tego typu historie? – zastanowiła się pani dyrektorowa. – Och, parę lat temu zdarzyła głupia kradzież; złodzieje zabrali kilka gitar, wzmacniaczy i kamer. To była niewesoła historia, ale przynajmniej nasz policjant z rynku w Aakirkeby, Leif, miał się czym zająć, poza standardowymi aktami wandalizmu na cmentarzu i takimi tam.

– Tak, no i jeszcze ta nieciekawa sprawa z jednym z naszych nauczycieli, który zmarł w szkole, prawdopodobnie z przyczyn naturalnych, ale miał w pokoju nielegalną broń.

Assad pokręcił głową.

– Nie, nie, chodziło mi o historie takie jak ta Alberte.

– Wypadki ze skutkiem śmiertelnym, gwałty i przemoc fizyczną – uzupełnił Carl, kiwając głową do Assada. Niezła wolta nad tymi okruchami.

– Nie, aż tak to nie. To znaczy parę lat temu jedna dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo, ale na szczęście się jej nie udało.

– Czy chodziło o zawód miłosny? – Carl lustrował ich twarze, gdy spojrzeli po sobie pytająco. Ci dwoje chyba nie mieli nic do ukrycia.

– Nie, zdaje się, że chodziło o sprawy rodzinne. Część naszych młodszych kursantów przyjeżdża tu po to, by oderwać się od tego, co w domu. Ale przecież nie zawsze udaje im się uporządkować wszystko na odległość.

– A jak było w przypadku Alberte? Ona też tu przyjechała, żeby odetchnąć od domu? – spytał Carl.

– O tak, zapewne. Jej rodzina była, zdaje się, nieco ortodoksyjna, bo Alberte była Żydówką.

– Przez sekundę dyrektor spoglądał na Assada niemal przepraszająco, ale ten tylko wzruszył ramionami. „I co z tego?” – zdawał się pytać, cokolwiek to znaczyło.

– Była Żydówką, do tego trzymaną na trochę za krótkiej smyczy. Jadła tylko koszerne jedzenie, więc pewnie wpojono jej w domu ortodoksyjne zasady.

– Ale w kwestii życia uczuciowego jednak odsunęła się od rodziny? – spytał Carl.

Karina się uśmiechnęła.

– Myślę, że nie różniła się od większości dziewcząt w swoim wieku.

Z kieszeni spodni Carla dobiegł dźwięk; wyjął komórkę. Był to MMS od Rose.

– Oto on – powiedział, wskazując na osobę na zdjęciu grupowym. „Nabór jesienny 1997” – głosił napis pod odręcznie dopisanymi nazwiskami i strzałkami prowadzącymi do odpowiednich twarzy. – To ten o nazwisku Kristoffer Dalby. Siedzi na podłodze na pierwszym planie.

Starsi państwo zmrużyli oczy.

– Zdjęcie jest małe i niewyraźne – stwierdził mężczyzna.

– W salonie mamy poszczególne roczniki, Karlo może je przynieść, prawda, kochanie?

Mørck skinął głową, gdy uczynny małżonek się podniósł. W teczce sprawy, leżącej w jego pokoju hotelowym, znajdowało się całkiem niezłej jakości powiększone zdjęcie całego rocznika. Szkoda, że go nie zabrał.

– Może spójrzmy na to? Jest znacznie większe – zaproponował Assad, wyciągając z torby rzeczoną teczkę.

Dlaczego, do licha, już dawno tego nie zrobił? Czyżby od tej wyzerki szwankował mu słuch?

Mrugnął do Carla, kładąc swój egzemplarz zdjęcia na blacie kuchennym w chwili, gdy dyrektor wrócił z podniszczoną fotką rocznika w dłoni.

– To ten tutaj – oświadczył Assad, wskazując palcem na młodzieńca w islandzkim swetrze i z miękkim jak puch zarostem.

Dwie pary doświadczonych oczu uzbroiły się w okulary i zbliżyły do zdjęcia.

– Tak, pamiętam go, choć niezbyt dobrze – powiedział dyrektor.

– Co ty powiesz, Karlo? – rzuciła kobieta, mrużąc oczy, a jej klatka piersiowa zaczęła podskakiwać w górę i w dół. Czyżby od tłumionego śmiechu? – To przecież on grał na trąbce, jak organizowaliśmy imprezę w kapeluszach. Tak fałszował, że reszta muzyków przestała grać. Nie pamiętasz?

Jej mąż rozłożył ręce. Widać zabawy i błaznowanie były jej domeną.

– Kristoffer był miły, bardzo nieśmiały, ale na swój sposób naprawdę uroczy – powiedziała do Carla i Assada. – Mieszka na Bornholmie. W każdym roczniku mamy kilkoro miejscowych, reszta zazwyczaj pochodzi z Jutlandii i Zelandii. No i oczywiście zawsze jest też kilkoro cudzoziemców. Jeśli się dobrze orientuję, zazwyczaj mamy nadreprezentację z krajów bałtyckich. Tamtego roku było tu jakieś osiem, dziesięć osób z Estonii, Litwy i Łotwy oraz kilka z Rosji.

Wskazała na zdjęciu parę dziewcząt, po czym z namysłem podparła palcami policzek.

– Czy Kristoffer faktycznie miał na nazwisko Dalby? Jakoś go z nim nie kojarzę. Karlo, sprawdź nazwiska w roczniku.

Przejechał palcem po liście nazwisk pod zdjęciem.

– Masz rację, nie nazywał się Dalby, lecz Studsgaard. Na Bornholmie mamy wielu Studsgaardów. Nie wiem, dlaczego pod zdjęciem policyjnym widnieje nazwisko Dalby – powiedział mężczyzna.

– Kristoffer Studsgaard, tak, tak, tak! – zawołała kobieta, olśniona. – Tak się nazywał!

– Okej. Podobno podczas pobytu w szkole miał z Alberte przelotny romans, jeśli można to tak nazwać. Potrafią państwo coś na ten temat powiedzieć? – spytał Carl.

Niestety nie potrafili. Minęło sporo lat, ale wówczas zapewne też nic o tym nie wiedzieli. Zasadniczo nigdy nie wiedzieli zbyt wiele na temat poczynąń kursantów poza godzinami zajęć.

W drodze powrotnej do Rønne Carl zadzwonił do Rose, by ją poinformować, że sama musi się zająć pakowaniem. Informacji tej nie przyjęła bynajmniej z entuzjazmem. Gdyby dało się przesłać przez telefon całe spektrum jej rozdygotanego niezadowolenia, padliby od niego trupem.

– Sprawdźmy teraz, czy ten Kristoffer Dalby jest w domu – dodał Carl, by skierować rozmowę na inne tory. – Na Bornholmie jest tylko jeden; mieszka tuż pod Rønne, więc grzech byłoby nie skorzystać z szansy. Poradzisz sobie, Rose – powiedział.

No, zadowolona to ona nie była.

Wrzesień 2013

„Padaczka, akurat!” – pomyślała Wanda. Doskonale wiedziała, jak wygląda padaczka. Miała siedmioro rodzeństwa, a jej ukochana, chorowita młodsza siostra prawie co tydzień miewała przeróżne przejawy padaczki, począwszy od małych napadów ogniskowych, po comiesięczne ataki z utratą przytomności. Krótko mówiąc, Wanda znała wszystkie aspekty i sygnały tej choroby, która miewała przerażające, paraliżujące i groteskowe oblicze, ale żadne nie miało nic wspólnego z tym, co przed chwilą symulowała Pirjo.

Gdy Wanda podniosła nogę, zmieniając bieg, kobieta natychmiast mocno ją objęła, tylko dlaczego Wandzie nie wolno było zrobić tego samego, kiedy to Pirjo prowadziła? Dziwne!

Wanda spojrzała na dłonie splecione na jej brzuchu. Małe, białe, zdradzające pewien wiek, ale też niewinność i kruchość. Zdaje się, że drżały.

Dlaczego? Pirjo bała się, że wpadną w poślizg i się osuną? Marzła? Czy było to drżenie wywołane napadem padaczkowym?

W takim razie Wanda była niesprawiedliwa, a wcześniejszy epizod rzeczywiście był nieszczęśliwym wynikiem napadu, który po prostu nie przypominał niczego, co Wanda znała. Bo przecież nie była lekarzem i nie towarzyszyła siostrze przy każdym ataku. Naprawdę znała wszystkie ich rodzaje?

Zasadniczo nie.

– Teraz skreć w prawo! – krzyknęła Pirjo.

Wanda dodała gazu, gdy skręciwszy, wjechały na drogę prowadzącą przez jałowe wrzosowiska. Teraz kobieta za jej plecami będzie musiała w każdym razie zrozumieć, kto tu narzuca tempo, i niech się lepiej do tego przyzwyczaja. Bo nie miała wątpliwości, że tamta sobie jej przyjazdu nie życzyła, dokładnie jak przewidziała to Shirley. Wanda miała ochotę ją zaatakować, ale postanowiła się powstrzymać. Są lepsze sposoby, by wygrać walkę o władzę.

Kiedyś Wanda widziała przed sobą mur. Ale już nigdy więcej. Nikt jej nie przeszkodzi.

„Wezmę się do dzieła, kiedy Atu znów mnie zobaczy. Podziękuję mu za to, że w Londynie tak pięknie się mną zajął, i powiem, że pamiętam, jak na siebie patrzyliśmy. Wyjawię, że przyjechałam, by mu służyć, i że będę to robić za darmo. Musi wiedzieć, że jestem wytrenowana i mogę pomóc jego kursantom utrzymać dobrą formę. Może będzie mi wolno zająć się tym na stałe.

– Kawałek dalej zaczyna się rezerwat przyrody. Obszar po prawej nazywa się Mysinge Alvar, a po lewej Gyngge Alvar. To właśnie tam Atu zazwyczaj bywa.

Jej głos brzmiał bardziej wiarygodnie niż przedtem.

Wanda odwróciła do niej głowę i zobaczyła szeroki uśmiech.

Jakoś zbyt szeroki.

„Twój uśmiech jest jasny jak kryształ, ale jego powód jest dla mnie niejasny” – mawiał zawsze jej tata, gdy któreś z dzieci przychodziło do niego z jakimś ukrytym motywem. Doświadczenie życiowe już dawno go nauczyło, że niektóre uśmiechy kosztują więcej niż inne. Czasami parę groszy, kiedy indziej ważne wyznanie czy zgodę na coś.

Właśnie taki jasny jak kryształ uśmiech zobaczyła Wanda na twarzy Pirjo. Pytanie tylko, co oznaczał. Nie podobało jej się to.

Dodała gazu, odchylając głowę do tyłu, aż powiew połaskotał ją w kark. Jak wszystkie jamajskie kobiety, szanujące siebie i swoją religię, dredy miała zaplecione starannie i ciasno, tak że włosy lśniły i wyglądały jak wyrzeźbione. Dla Wandy włosy stanowiły zaproszenie do dotyku; wciąż pamiętała ręce Atu wtedy, w Londynie, gdy czule i zmysłowo gładziły ją po głowie. Pragnęła znów to przeżyć i właśnie to było teraz motorem do działania.

– Zaparkuj pod tą tabliczką na murze – poleciła Pirjo, wskazując nad ramieniem Wandy na wolnostojący, wysoki na ponad półtora metra mur z piaskowca, oddzielający drogę od wrzosowiska.

Zsiadły ze skutera, a Pirjo szybko się nachyliła i wyjęła kluczyki ze stacyjki, zanim Wanda zdążyła zareagować. Wyglądało to jak działanie odruchowe, bo w tym momencie wydawała się bardziej zaabsorbowana swoją stopą.

– Podczas upadku musiałam skrócić kostkę, więc raczej z tobą nie pójdę – powiedziała, wskazując na kamienną ścieżkę prowadzącą w głąb równiny. – Do Alvaret nie można wjeżdżać pojazdami silnikowymi, ale jak przejdiesz tą ścieżką jakiś kilometr czy dwa, to znajdziesz Atu. Jeśli tam jest, a raczej tak. Z tym obszarem wiąże się wiele legend, Atu ładuje tam energię, stapiając się z wyeksploatowaną przyrodą. Zazwyczaj jest tu pięknie i kolorowo, ale o tej porze roku nie natkniesz się na zbyt wiele orchidei, choć to właśnie z nich słynie to miejsce. Fascynujące, prawda?

Pirjo zawróciła skuterem, widocznie coś jej się jednak przypomniało, i obróciła się.

– Musisz zdążyć na pociąg powrotny do Kopenhagi, więc wróć tu za półtorej godziny. Spacer tam, gdzie przebywa Atu, zajmie ci nieco ponad kwadrans, więc spokojnie dasz radę.

Głos Pirjo brzmiał teraz wiarygodnie, może zaczynała przystosowywać się do nowych okoliczności. W takim razie Wanda również mogła wykazać się wspaniałomyślnością, bo przecież doskonale rozumiała tę kobietę i jej sytuację. Kiedy już zostanie wybranką Atu, wszystko się ułoży, nawet z Pirjo.

Wanda poczuła ścisnięcie w żołądku. Pirjo powiedziała, że za kwadrans go zobaczy.

Dla Wandy, która większość swego życia spędziła w egzotycznym, bujnym klimacie lasów deszczowych i sawanny, ten jałowy krajobraz stanowił jedno z najbardziej bezbarwnych

miejsc, jakie widziała. Na obrzeżach wrzosowiska widać było odrobinę zieleni, ale po chwili barwę trawy, jak również bruku ścieżki przykryła biaława warstwa przypominająca sól czy kredę. Po bokach dróżki barwa tej martwej równiny przechodziła w nieurodzajne odcienie zgniłej zieleni, brązu i bieli; nie było tu ani owadów, ani ptaków. To miejsce ziało samotnością, co przypominało jej o czasie, gdy dzień w dzień pracowała jako strażniczka przy drzwiach. Tam też brakowało jej kontaktu z ludźmi.

Uśmiechnęła się. A jednak tu było inaczej, bo nie było to wyłożone marmurem tylne wejście na Strand 80, lecz ziemia, niebo i ożywcze powietrze.

„Jeśli Atu znajduje tu spokój, to ja też mogę” – pomyślała. „Ale gdzie go znajdę? Gdzie można się ukryć w tym płaskim miejscu?”

Powoli przesunęła wzrokiem w tę i z powrotem, zastanawiając się nad tym. Paręset metrów dalej niskie krzewy i trawy przypominające trzcinę kołysały się na wietrze. Nieco dalej z boku, na twardej jak kamień ziemi, między trawiastymi kępami, utworzyły się po deszczu nieliczne kałuże. Jeśli się dokładniej przyjrzało, wyglądało to tak, jakby prowadziły tam ślady stóp.

Wanda nie miała pewności, ale nie była przecież specjalistką. Jak dla niej, te ślady mogło równie dobrze zostawić zwierzę, jak i człowiek, i wczoraj, i przed paroma miesiącami. A jednak udała się w tamtym kierunku.

– Atu, jesteś tam? – zawołała parę razy w stronę zarośli, ale nie było odpowiedzi.

W jej głowie znów pojawiło się podejrzenie, że coś tu jest nie tak.

*Shit!* A jednak to głupie babsko zadało pierwszy cios. Kobieta zwabiła ją tu, a teraz na pewno się ulotniła.

– Nie powinnam była pozwolić jej zabrać kluczyków do skutera – szepnęła. – Wanda, to było głupie.

Pokręciła głową, obróciła się i przeszła kilkaset metrów, klnąc własną naiwność.

Nagle usłyszała dźwięk, który jak odległy grzmot przetoczył się po wrzosowisku.

Uniosła wzrok. Owszem, niebo było szarawe, ale płynące po nim chmury nie wydawały się ani złowieszcze, ani deszczowe. Może dźwięk dobiegał od strony drogi? Dziwne, że byłoby go słychać aż tutaj.

Pokręciła głową i kilkakrotnie zawołała Atu po imieniu, teraz już pewna, że ją nabrano i że droga do jakiejś przypadkowej osoby, która mogłaby ją zawieźć z powrotem do Kalmaru i Frimurarerhotellet, będzie długa i męcząca.

– Czekaj no, Pirjo! Jutro pojedę taksówką do Akademii Absorpcji Natury i zobaczymy, jaki będzie twój kolejny ruch – mruknęła. – Cokolwiek wymyślisz, obróci się przeciwko tobie.

Choć Pirjo nie ustąpiła, Wanda nadal czuła, że wygrywa, gdy nieokreślony dźwięk rozległ się nagle znacznie bliżej.

Zmrużyła oczy i stanęła na palcach. Wiedziała już, co to jest.

Pyrkoczący dźwięk zbliżającego się skutera.

„Może zmieniła zdanie i zignorowała zakaz wjazdu, by mnie stąd zabrać?” – pomyślała. „Wciśnie mi teraz historyjkę, jak to skontaktowała się z Atu i że on niestety nie będzie w stanie się ze mną spotkać w miejscu, gdzie przebywa?” Na pewno tak zrobi. Ale tym razem nie uda jej się oszukać Wandy.

„Powiem wprost, że jej nie wierzę” – postanowiła. Jak się mówi wprost, twarz tej drugiej osoby zazwyczaj zdradza prawdziwe intencje.

Zatrzymała się i stanęła w bezruchu, obserwując, jak zbliżający się do niej żółty punkt robi się coraz większy, wzbijając tumany kurzu. Teraz było widać, że Pirjo siedzi na skuterze wyprostowana, z obiema rękami na kierownicy. Nie ulegało wątpliwości, że już dostrzegła Wandę na tej równinie i za chwilę ją zabierze.

Wanda pokiywała do niej ręką, ale Pirjo nie zareagowała.

„Biedna kobieta” – pomyślała Wanda, współczując jej przez chwilę. „Nie ma pojęcia, co począć, by się mnie pozbyć”.

Dopiero gdy dzieliło je dwadzieścia metrów, zobaczyła wyraźnie twarz Pirjo i zrozumiała, że się pomyliła. Pirjo doskonale wiedziała, co robić.

„Oszalała, chce mnie przejechać!” – przemknęło jej przez głowę, a puls poszybował w górę. Wtedy rzuciła się do ucieczki.

Pod stopami ziemia zrobiła się nagle bagna. „Jeśli wbiegnę na mokry grunt, ona może w nim ugrzęźnie” – przeleciało jej przez głowę. Nic jednak na to nie wskazywało. W tej chwili warkot był tak głośny, że pojazd mógł znajdować się zaledwie parę metrów za nią.

Odskoczyła w bok i zatrzymała się w ułamku sekundy, w którym owionęło ją gorąco płynące od skutera, a śmiertelna, żółta maszyna z rykiem przemknęła obok. Na twarzy Pirjo malował się wyraz frustracji, ale była zimna i niewzruszona. Widać było wyraźnie, że nic jej nie powstrzyma.

Zapała się nogami o grunt, okręcając skuter, aż spod tylnego koła posypała się ziemia.

„Myślisz, że mnie złapiesz bez trudu, ale jestem najszybszą kobietą, jaką w życiu spotkałaś, Pirjo”. Wanda zzuła buty i ruszyła boso.

Ale szybkość nie wystarczyła.

Specjalnością Wandy na bieżni National Stadium były dystanse na czterysta i osiemset metrów. Na nich odczuwała absolutną symbiozę z podłożem, oddechem i rękami konkurentek, pracujących rytmicznie. Tutaj ziemia była nierówna i nieprzewidywalna, pokryta kamykami sprawiającymi, że jej susy okazywały się bolesne i niepewne, tak że w każdej chwili mogła skrócić kostkę.

„Daleko tak nie pobiegne” – pomyślała, a jej puls jeszcze przyspieszył. „Jeśli Pirjo myśli, że będzie to gonitwa na śmierć i życie, muszę się odwrócić, tak żeby ona stała się bykiem, a ja matadorem”.

Znów poczuła skuter tuż za sobą. Ryk silnika na niskim biegu zbliżył się złowieszczo, ale Wanda się nie bała.

„Odskoczę w bok tak jak przedtem, a kiedy przejedzie, uderzę ją ręką w głowę i zrzucę. Muszę tylko uważać, żeby skuter we mnie nie uderzył” – pomyślała, czując znów pod stopami grząski grunt.

Odwróciła głowę dopiero na sekundę przed tym, jak skuter ją dogonił.

„Teraz!” – przemknęło jej w myślach, ponownie odskoczyła w bok i się zatrzymała.

Gdy uniosła rękę, by zadać cios, ujrzała rozwścieczone oczy Pirjo i małą saperkę celującą jej w twarz.

I nic więcej już nie zobaczyła.



Piątek 2 maja 2014

– Sprawdźmy to drzewo na Skørrebrovejen, Assad, powinno znajdować się blisko szosy. – Wskazał krzyżyk na mapie niedaleko Aakirkeby.

– A nie lepiej zajechać od tyłka, żebyśmy pojechali tą samą drogą co ten, który ją przejechał?

– Od tyłu, Assad, nie od tyłka. Owszem, ale wyznaczysz tę trasę? – Spojrzał na mapę, śledząc poruszający się po niej palec, którym Assad wskazywał omawiane poczynania. Wyglądało to niezłe.

– Najpierw pojedziemy Vesterbro i Aakirkeby, potem Rønnevej, a następnie w prawo w Vestermarievej. Stamtąd mógł pojechać Kærgårdsvej, choć nie sądzę, że to zrobił. Myślę, że jechał aż do Skørrebrovejen i wjechał w nią pełnym gazem, bo to właśnie na końcu tej ulicy mieszkali ci starsi państwo, którzy słyszeli samochód.

– Tak, Assad, ale gwoli ścisłości, mógł też nadjechać od północy i dopiero potem skrócić w Skørrebrovejen, choć to wszystko jedno, skoro przyjechał Vestermarievej, jak mówisz.

– Właściwie to nie mógł zrobić inaczej.

Carl kiwnął głową.

Kiedy wjechali na szosę od strony południowej, Carl dodał gazu. Do pierwszego zakrętu, gdzie mieszkali starsi państwo, było około sześciuset metrów, dalej zaś do drzewa, wzdłuż pól, dodatkowo ponad półtora kilometra. Było to zupełnie opustoszałe miejsce, które aż kusilo, by przyspieszyć.

Weszli w zakręt z piskiem opon. Nie było wątpliwości, że hałas dał się słyszeć w domu starszych ludzi.

– Akurat ten odcinek jest płaski jak naleśnik, Carl, więc jeśli Alberte czekała z rowerem na końcu drogi, to z odległości pięciuset, sześciuset metrów widziała samochód wyraźnie.

– Tak, i co ci to mówi?

– Sam nie wiem. Może że czekała na to auto i je nawet rozpoznała i że ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, było to, że wjedzie prosto w nią.

Carl spojrzał na niego. Właściwie myślał to samo.

– Mógłbyś trochę zwolnić? – spytał Assad, zerkając niespokojnie na prędkościomierz. Carl skinął głową, lecz przyspieszył do stu na godzinę. Jeśli ma uzyskać odpowiedni efekt, to trzeba się do niego przyłożyć.

Tuż przed kępą drzew na dalszym odcinku drogi samochód wpadł w poślizg. Carl słyszał, jak Assad krzyczy coś po arabsku, ale nie mógł się na tym skupić, bo cały wóz się trząsł, kiedy uniknąwszy wpadnięcia do rowu, zaczął ślizgać się od pobocza od pobocza. Wtedy wcisnął hamulec. Trzydzieści metrów i samochód stanął, zostawiając za sobą ogon w postaci czarnych jak węgiel śladów hamowania.

– O mało nie połknąłem języka, Carl. Nie rób tego więcej.

Carl zagryzł górną wargę. Zostały tylko dwie możliwości.

– Po wypadku nie było na szosie śladów hamowania, prawda?

– Niczego, co by je przypominało. Nigdzie.

– Czyli na zakręcie pojazd nie jechał tak szybko, jak ja, zgadza się?

– Na szczęście dla tego, co kierował – padła cierpka odpowiedź.

– Co dowodzi, że to było morderstwo, nie?

– Zapewne.

– Tak, bo wóz dodał gazu dopiero za zakrętem, to jedyna opcja. A skoro Alberte stała po tej stronie drzew – bo gdyby było inaczej, odrzuciłoby ją w drugą stronę, z dała od nich – to kierowca nie może twierdzić, że jej nie widział. Miał dużo czasu, by ją zobaczyć.

– To mógł być idiota, który nie patrzy na drogę, Carl.

– Wtedy Alberte zeszłaby na pobocze i nic złego by się nie stało. Nie, ona nie podejrzewała go o nic złego, gdy jechał w jej stronę. Coś musiało sprawić, że nie myślała o niebezpieczeństwie.

Assad głośno podrapał się po zaroście. Czyli myślał.

– A więc sądzisz, że nie musiał jechać aż tak szybko.

– Owszem, szybko. Ale tylko w odniesieniu do okoliczności i stanu drogi. Powiedziałbym, że gdzieś między siedemdziesięcioma a osiemdziesięcioma kilometrami na godzinę.

Spojrzeni obaj na drzewa. Zupełnie jakby Alberte na nich wisiała, machając do nich.

Carl odwrócił wzrok. Dlaczego tak bronił się przed tą sprawą, czemu stawiał opór?

Popatrzył na pocieszne oczy Assada. Wyglądały na smutne, choć jego twarz promieniała chęcią działania. Cała trójka z Departamentu Q była tego samego zdania: tę sprawę trzeba po prostu rozwiązać.

– Niech tak będzie – powiedział Carl cicho. – Trzeba dopaść tego bydlaka.

Wysiedli z auta i zrozumieli, dlaczego na początku śledztwa nie zauważono wśród gałęzi wiszącej dziewczyny, choć wówczas nie było już liści na drzewach splecionych ze sobą koronami.

– Co to jest to zielone na samej górze, Carl?

– Jakaś roślina pasożytnicza, bluszcz czy coś takiego.

Assad kiwnął głową speszony odpowiedzią. Botanika z pewnością nie należała do jego czołowych kompetencji.

– To wygląda, jakby na drzewach już pojawiły się liście.

Obeszli kępę drzew, spoglądając w górę. Z każdego korzenia wyrastało po kilka rosłych pni, które wyżej się rozgałęziały, nie brakowało więc możliwości, by ciało Alberte między nimi uwięzło.

– Zwisiała z najniższych konarów, jakieś cztery metry nad ziemią. Musiała przeokoziółkować w powietrzu, skoro wisiała głową w dół, zgadzasz się ze mną, Assad?

Kolega kiwnął głową, próbując wczuć się w sytuację.

– Habersaat nadjechał od głównej drogi i wtedy ją znalazł – stwierdził Assad. – Czyli przyjechał z niewłaściwej strony, skąd trudno było ją zobaczyć za tymi pasożytami. Całe szczęście, że w ogóle ją dostrzegł.

– Szczęście?! Nie wiem, może. Tyle że nie dla niego.

Assad przywołał Carla gestem. Po drugiej stronie drzew biegła polna droga, prowadząca do oddalonego o paręset metrów gospodarstwa. Po przeciwnej stronie, blisko szosy biegnącej do drogi głównej, znajdował się żółty dom, należący do kolejnego gospodarstwa. Poza tym w pobliżu nie było innych oznak cywilizacji.

– To tutaj znaleźli rower – powiedział, wskazując przez pole na zieloną gęstwinę pod kolejną kępą drzew. Dziwne, że rower poleciał aż tak daleko.

– Assad, myślimy o tym samym?

– Nie wiem. W każdym razie ja myślę, że to musiał być dziwny samochód, skoro potrafił podrzucić ją tak wysoko w powietrze.

– A rower?

– Myślę, że postawiła go, opierając na kopytku, i wyszła na spotkanie samochodu. Że auto uderzyło w rower tuż po tym, jak staranowało Alberte i że rower wyleciał do góry tak jak ona, tylko bardziej po skosie.

– Na nóżce, Assad, nie na kopytku. I owszem, jestem tego samego zdania.

Stali przez chwilę, każdy osobno, próbując to sobie wyobrazić. Pojazd, który z rykiem minął gospodarstwo półtora kilometra stąd. Kierowca, który robił się coraz bardziej zdeterminowany. Chciał mieć to za sobą. I potem, na kolejnym zakręcie, zmniejszył prędkość.

– Myślę, że przy zakręcie Alberte i kierowca nawiązują kontakt wzrokowy – zawyrokował Carl. – Ona odstawia rower na nóżce i podchodzi bliżej. Może macha. Jest zadowolona, uśmiecha się i ten uśmiech zabiera ze sobą na tamtą stronę. Nie sądzę, by się bała, bo cieszy się i jest podekscytowana. I dopiero na samym końcu samochód przyspiesza i uderza w nią, tak że Alberte zostaje zmieciona z szosy i wyrzucona między gałęzie drzew. Kierowca na pewno od razu wyrównuje tor jazdy, ale kawałek dalej i tak ociera się o rower, może bokiem karoserii. To dlatego rower ląduje po prawej stronie, w sporej odległości.

Carl jeszcze raz spojrzał w kierunku, z którego nadjechało auto.

– Bardzo prawdopodobne, że kierowca przez większą część drogi nawet nie dotknął stopą hamulca. Dopiero po potrąceniu zwalnia nacisk na pedał gazu, mija żółty dom po lewej w normalniejszym tempie i w końcu wjeżdża w biegnącą poprzecznie Almindingensvej, i znika. Zgadzasz się, Assad?

– Pieprzony bydlak – mruknął w odpowiedzi. Czyli się zgadzał. – Jaki samochód byłby w stanie odrzucić ją tak wysoko przy niewielkiej prędkości? – ciągnął z odchyłką do tyłu głową.

– Nie wiem. Może pług śnieżny, ale przecież zima nie zdążyła jeszcze nadejść, no i jeśli nadjeżdżałaby tu taka zawałdroga, to Alberte na pewno zesłaby na bok. Ale masz rację, cokolwiek w nią wjechało, musiało być podrasowane.

– Dlaczego nie znaleźli tego wozu? Przecież szukali na całej wyspie. I choć mieli nagrania z monitoringu z odpływających promów tylko z pierwszych dwóch dni po wypadku, to przecież zauważono by, że taki pojazd wjeżdża na pokład, prawda?

– Owszem, chyba że to, co odrzuciło Alberte na drzewo, można odkręcić i schować.

– Tak, ale co to może być? Myślisz o korniszonie?

– Oczywiście, że myślę.

– Może to coś z przodu, co można przyczepić do tego dziwnego zderzaka, bo sam zderzak by raczej nie wystarczył.

– Nie, na pewno nie, zresztą zapytamy techników.

Carl znów spojrzał na korony drzew, wyobrażając sobie sylwetkę młodej, martwej dziewczyny. Przez chwilę czuł smutek, ale też coś w rodzaju nabożności, jakby wstępował na świętą ziemię. Gdyby był katolikiem, pewnie by się przeżegnał, ale nie był i teraz tak jakoś czuł się pusty i przybity.

Spojrzał na obróconego plecami współpracownika.

– Powiedz mi, czy muzułmanie mają jakiś rytuał, by uczcić zmarłą osobę, jakąś modlitwę czy coś takiego?

Assad odwrócił się do niego cicho.

– Już to zrobiłem, Carl. Już to zrobiłem.

Gdy zostawili za sobą pola i ocienione zagajniki, Carl wyobraził sobie, jak w przeciwnym kierunku piękna, młoda Alberte, z rozwianym włosiem i ekscytacją malującą się na twarzy, jedzie ku własnej śmierci.

– Kristoffer Dalby mieszka w Vestermarie, więc musimy wrócić tą samą drogą i podjechać jeszcze kawałek – powiedział Assad, odsuwając komórkę od ucha. – Rozmawiałem właśnie z komisarzem Jonaszem Ravnå. On mówi, że Dalby pracuje teraz jako nauczyciel. Powiedział mi też coś innego, nie wiem, czy to dobra wiadomość.

– Dawaj, o co chodzi?

– Znaleźli rower.

– Okej, to źle?

– Niby dobrze. Ale okazuje się, że trzymali go gdzieś przez dziesięć lat, a potem wyrzucili. Dokładnie dwudziestego piątego lutego dwa tysiące ósmego roku.

– Czy to w ogóle istotne, że to zrobili? Przecież już go znaleźli.

– Owszem, ale tylko przez przypadek. Wtedy w dwa tysiące ósmym któryś z miejscowych wiedział, że to rower Alberte leży na stercie złomu. Rozpoznał go po zdjęciu z gazety i dlatego go zabrał.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Zabrał go, bo był szczególny i miał swoją wyjątkową historię. Potem dospawał go do rzeźby ze złomu, którą nazwał... – Assad zerknął na kartkę. – ...Przeznaczeniotopia.

– Boże drogi! I gdzie się to niby dzieło sztuki obecnie znajduje?

– Tu mamy szczęście, bo właśnie wróciło do domu z wystawy w Weronie.

– A gdzie jest ten dom?

– W Lyngby. Zabawne, co? Przejeżdżasz tamtędy codziennie, wracając z Komendy Głównej.

Drogę do małego gospodarstwa zamieszkiwanego przez Kristoffera Dalby’ego odnaleźli na północny zachód od niewielkiego skupiska domów zwanego Vestermarie. Dom stał najprawdopodobniej na najmniejszej działce w promieniu dwóch kilometrów, ale i tak znajdowały się na niej huštawki, ślizgawki i piaskownice jak dla całej armii.

– Myślisz, że zabłądziliśmy? – spytał Assad.

Carl spojrział na GPS i pokręcił głową. Wskazał przez okno na stojącą przy drodze skrzynkę na listy. „Kristoffer i Inge Dalby” – głosił napis; zgadzało się, a pod spodem doklejono etykietkę z imionami Mathias i Camilla.

Zadzwonili do drzwi, zwracając uwagę na co najmniej pięćdziesiąt niedopałków w wiaderku stojącym na progu. „Ktoś tu jest pantoflarzem” – pomyślał Carl, słysząc szuranie dobiegające zza drzwi.

– Assad, od razu chwytały byka za rogi – zdążył powiedzieć, zanim drzwi otworzył mężczyzna.

Nie było wątpliwości, że to Kristoffer Dalby we własnej, dość wysokiej osobie, mimo okrągłych kształtów, zmierzwionej brody, przetykanej srebrnymi nitkami, i rozkładanych butów. Dziś Alberte na pewno nie zauroczyłaby się takim facetem.

Gdy poinformowali go, z czym przychodzą, jego pocziwy wyraz twarzy się zmienił. Carlowi zapaliły się wszystkie czerwone lampki. Wnioskując z miny Assada, on też to zauważył.

Typowa reakcja u osoby, która ukrywała znacznie więcej, niżby należało.

– Spodziewał się pan nas? – spytał Carl.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Widzę przecież, że jest pan zszokowany powodem naszej wizyty, więc można by pomyśleć, że obawiał się pan, że to się stanie. Czy myślał pan o tym przez blisko dwadzieścia lat, panie Dalby?

Rysy jego twarzy nagle jakby się skurczyły. Zaciśnięte usta, zmrużone oczy, zapadnięte policzki. Jakże osobliwa reakcja.

– Proszę wejść – powiedział z niechęcią.

Wskazał na krzesło stojące pośrodku zatrzęsienia drewnianych zabawek leżących na macie do zabawy udekorowanej wzorami ulic, skrzyżowań ze światłami i domków. Panował tu wielobarwny harmider, na parapecie zaś stała trąbka, którą kiedyś próbował oczarować otoczenie. Była pokryta kurzem.

– Dużo państwo mają dzieci? – spytał Assad.

Uśmiechnął się na siłę, z miernym rezultatem.

– Mamy dwoje, już wyprowadziły się z domu. Moja żona pracuje jako opiekunka – wyjaśnił.

– Ach, rozumiem! Nie chcemy marnować pańskiego czasu, więc od razu chwytamy byka za nogi, panie Dalby – oznajmił Assad. – Dlaczego nie nazywa się pan już Studsgaard? Sądził pan, że coś tak trywialnego jak zmiana nazwiska utrudni nam dotarcie do pana? W takim razie trzeba było znaleźć dom dalej od szkoły, nie uważa pan?

To dopiero brawura! Ale po co tracić czas?

Carl się rozejrzył. Dwójka wyrosniętych nastolatków w ramce na starym, analogowym telewizorze. Na półce mnóstwo kreskówek na taśmach VHS. Że też jeszcze istnieją!

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli. Zmieniłem nazwisko, bo żona nie chciała nazywać się Studsgaard, więc przejąłem jej.

– Niech pan posłucha. Wiemy, że był pan kiedyś z Alberte, nie zaprzeczy pan, prawda? – spytał Carl.

Spojrzał na podłogę, przekrzywiając głowę.

– Nie, to prawda, że między mną a Alberte coś było, ale prawdę mówiąc, było to dość niewinne i trwało najwyżej parę tygodni.

– Ale był pan w niej bardzo zakochany, co? – spytał Assad.

Skinął głową.

– Owszem. Alberte była niesamowicie miła i piękna, więc...

– Więc zabił ją pan, bo związała się z kimś innym, tak? – palnął Assad.

Zbił z tropu mężczyźnię.

– Nie, skąd.

– Czyli nie było panu przykro, kiedy już pana nie chciała? – naciskał.

– Oczywiście, że było. Ale to bardziej skomplikowane.

– Dlaczego skomplikowane? – spytał Carl. – Może nam pan wyjaśnić?

– Za chwilę wróci moja żona, a że ostatnio się trochę sprzecząmy, to wolałbym, żebyśmy się pospieszyli, dobrze?

– Dlaczego, panie Dalby? Nie opowiedział pan żonie o wszystkim? Czy może ona wie coś, o czym powinniśmy wiedzieć i my? Zwierzył się pan jej, o to chodzi? Boi się pan jej reakcji?

– Nie, nie, po prostu przechodzimy przez okres, w którym... Proszę posłuchać, mamy dwoje dzieci w szkole z internatem, radzą sobie do dupy, delikatnie mówiąc. Wtedy nastrój w domu nie należy do radosnych, pewnie to rozumiecie?

– Co to ma wspólnego z panem i Alberte? Dlaczego pańska żona nie może o tym usłyszeć? Westchnął.

– Inge i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić jeszcze wiosną dziewięćdziesiątego siódmego roku, więc kiedy poszliśmy na uniwersytet ludowy, byliśmy już razem od pół roku, a potem pojawiła się Alberte, taki jest powód! Nie mam ochoty znów się w tym babrać, w każdym razie nie teraz.

– Rozumiem. To znaczy, że Alberte sprzątnęła Inge sprzed nosa jej faceta?

Kiwnął głową, niemal niezauważalnie.

– Wyprowadziło ją to z równowagi, zresztą dotąd potrafi. Zdradziłem ją, a ona tego nigdy nie zapomniała.

– Czyli nienawidziła nie tylko pana, ale też Alberte? – wywnioskował Carl. Odwrócił się do Assada. – Co mamy na ten temat w raporcie? Czy Inge Dalby przesłuchiowano w związku z zabójstwem Alberte?

– Zabójstwem? – Kristoffer Dalby przesunął się na brzeg krzesła. – To był wypadek, wszędzie o tym pisali.

– Owszem, ale mamy inną teorię. Jak tam, Assad, była przesłuchiwana? – powtórzył.

Assad pokręcił głową.

– W tym roczniku nie było żadnej Inge Dalby.

Nauczyciel pokręcił głową.

– Bzdura, przecież była... – urwał i kiwnął głową. – Nie, faktycznie, wówczas nazywała się Inge Kure, ale bardziej podobało jej się nazwisko panięńskie matki. Pewnie panowie wiedzą, że na Bornholmie jest wielu ludzi nazwiskiem Kure, Studsgaard, Pihl i Kofoed. Pobierając się, uznaliśmy więc, że przyjmiemy mniej sztapowe nazwisko, tak to wyglądało.

Assad wyjął teczkę, położył rocznik ze zdjęciem klasowym na ławie przed sobą i przeszukał nazwiska pod spodem.

– Inge Kure, hm, tak, jest. Stoi wyżej, tuż za Alberte.

Carl przysunął się bliżej. Pulchna dziewczyna o ciemnych kręconych włosach. Bardzo zwyczajna, niezbyt piękna. Całkowite przeciwieństwo anioła siedzącego w pierwszym rzędzie i promieniającego blaskiem.

Assad przekartkował dalej.

– Bez względu na wszystko, będziemy jednak musieli porozmawiać z pańską żoną – oznajmił.

Dalby westchnął. Przygryzł policzek i zapewnił ich, że ich dwoje nie miało nic wspólnego ze śmiercią Alberte. Alberte była po prostu dziewczyną z ich rocznika, za którą szaleli wszyscy chłopcy, i z tego powodu drażniła większość dziewczyn. Była dość lubiana, ale jej obecność zakłócała tę harmonię, która powstaje, gdy wszyscy mają mniej więcej te same szanse na froncie miłosnym. Tak to właśnie ujął. Brzmiało nieco wyuczenie.

– Był pan rozgoryczony, że Alberte pana zostawiła? – spytał Carl.

– Rozgoryczony? Nie, pewnie bym był, gdyby znalazła sobie innego faceta w szkole, ale stało się inaczej.

– Inge tak po prostu przyjęła pana z powrotem? – chciał wiedzieć Assad.

Skinął głową z westchnieniem. Czyżby od tamtej pory żałował tego czynu?

– A więc powiada pan, że Alberte znalazła sobie faceta spoza szkoły. Kim on był? – spytał Carl.

– Nie wiem za bardzo, ale Alberte wspominała, że mieszka w komunie w Ølene. Więcej się nie dowiedziałem. Sądzę, że właściwie nikt ze szkoły tego nie wiedział.

Czyli to w ten sposób Habersaat trafił na ślad komuny.

– Był, zdaje się, typem don juana – ciągnął Kristoffer.

– Jak to? Miał w szkole inne dziewczyny?

– Yyy, nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– To skąd pan wie, że był don juanem?

– Nie wiem. Po prostu takie odniosłem wrażenie, skoro zdobył Alberte.

– Nigdy go pan nie widział?

Pokręcił głową.

– Jest pan pewien? Proszę spojrzeć! – Assad położył przed nim zdjęcie mężczyzny wysiadającego z volkswagena busa. – Nie widział pan tego tutaj? Może czekał na Alberte przed szkołą?

Kristoffer wziął zdjęcie, sięgając do kieszeni na piersi po okulary do czytania. Carl spojrział na Assada, a ten wzruszył ramionami. Owszem, dobrze im się wydawało: reakcje Kristoffera Dalby’ego wydawały się logiczne i zrozumiałe. Jego powściągliwość i obawa przed rozgrzebywaniem kwestii dawnej zdrady faktycznie wyjaśniały zachowanie w chwili, gdy zadzwonili do drzwi.

– Zdjęcie jest bardzo niewyraźne, ale nie, nie wydaje mi się, bym go kiedyś widział. Mogę natomiast powiedzieć, że wielokrotnie widziałem takiego volkswagena, jak parkował przy szosie w pewnej odległości od szkoły. Nigdy nie miałem okazji oglądać go od przodu, ale ten, który tam parkował, był w każdym razie jasnoniebieski jak ten tutaj, no i też miał przyciemniane boczne szyby.



Cholernie dobra pamięć po tylu latach. Znowu doszły do głosu podejrzenia.

Gdy w korytarzu rozległ się zgrzyt zamka, wyraz twarzy Dalby'ego się zmienił.

– Kto nas odwiedził? – krzyknął z korytarza kobiecy głos. – Nie rozpoznaję tej sześćset siódemki przed domem. To Ovemu znów wcisnęli jakiegoś rzęcha?

W drzwiach stanęła mocno zbudowana kobieta. Trudno byłoby ją rozpoznać z grupowego zdjęcia leżącego na stole.

Zmarszczyła brwi, jej wzrok przesunął się po spuszczonej głowie Kristoffera i dwóch obcych mężczyznach i spoczął na ławie, teczce sprawy i roczniku ze szkoły.

– Znow ta stara sprawa? – spojrzała na męża wrogo. – Kristoffer, co ty znowu wyprawiasz? Czy już nigdy nie uwolnimy się od tej dziewczuchy?

Carl przedstawił siebie i Assada i wyjaśnił jej, dlaczego przydzielono ich do tej sprawy.

– Habersaat, ja dziękuję! Facet, który odstrzelił sobie łeb, to naprawdę żalosne! Nawet po śmierci gość potrafi być irytujący – parsknęła. – A sądziłam, że jak już zniknie, to razem z Alberte.

– Nienawidziła jej pani, prawda?

– Nie tak, jak pan sądzi. I nie tak, jak podejrzewał Habersaat, o ile pan coś o tym wie. Ale odkąd Alberte pojawiła się w szkole, nic już nie było takie samo, a jeśli przyjdzie panu do głowy dziwna myśl, że mnie jej śmierć uszczęśliwiła, to się pan oczywiście pomyli.

– Chcielibyśmy usłyszeć pani wersję tej historii, w porządku?

Odwróciła wzrok; czyli nie za bardzo.

Ale i tak ją opowiedziała.

Początkowo wszyscy lubili Alberte. Szczodrze rozdelała uściski, krążyła od domku do domku, wygłupiając się, tak że dziewczyny kwiczały ze śmiechu. Tak było na początku, ale potem się zmieniło. Jej bezwzględność wobec dziewcząt, które marzyły o chłopakach ze szkoły, była destrukcyjna. Nie dlatego, że podejrzewano ją o chęć skrzywdzenia kogokolwiek; była po prostu bezmyślna.

– Niels jest taki przystojny, nie sądzicie? – potrafiła powiedzieć, a któraś z dziewczyn z tyłu klasy wzdychała. Czyli to na jej faceta przyszła pora.

Alberte z błyszczącymi oczami opowiadała, jak się całowała. O gorącym oddechu chłopaków i ich zapachu, niepomna na to, że może ranić innych.

Mówiło się o niej, że jest rozpieszczona i przyzwyczajona do tego, że dostaje wszystko, co się jej zamarzy, ale to nie była prawda, przynajmniej zdaniem Inge.

Prawda była taka, że Alberte nawet nie musiała o niczym marzyć, wszystko samo do niej przychodziło.

To właśnie dlatego Inge była rozgoryczona i nie kryła się z tym. Nie dlatego, że Alberte zabrała jej chłopaka, lecz dlatego, że on sam wyszedł z inicjatywą. Ten fakt wciąż ją dręczył, choć minęło siedemnaście lat.

Carl spojrział na męża Inge: siedział biernie, kuląc się na sofie ze spuszczonego wzrokiem. Widocznie Alberte posiadała jakiś magiczny rodzaj zmysłowości, z którym nikt nie mógł się równać, do tego bardzo niebezpieczny.

– Pani Dalby, pytałem pani męża, czy zna imię faceta, z którym przed śmiercią chodziła Alberte. Może pani coś na ten temat wiadomo?

– Christian Habersaat pytał mnie o to co najmniej dziesięć razy, kiedy przesłuchiwał nas wszystkich w szkole. Zeznaliśmy to już wcześniej policji kryminalnej z Rønne, ale Habersaat chciał to zrobić jeszcze raz, tak jak zawsze. Mówiłam, że Alberte wspomniała to nazwisko jeden jedyny raz, bo jej zdaniem brzmiało egzotycznie. Ale nawet wówczas go nie pamiętałam, co dopiero dziś.

– Nic a nic?

– Nic. Tylko tyle, że imion było parę i że razem brzmiały zupełnie odłotowo. Pierwsze było krótsze niż reszta, takie trochę biblijne.

– Krótkie, to znaczy? Takie jak Adam?

– Nie, chyba tylko trzy litery, ale prawdę mówiąc, nie mam ochoty o tym myśleć.

– Lot, Sem, Noe, Ela, Kisz, Gad, Set, Asa – wypalił Assad.

Jakim cudem, do ciężkiego licha, potrafił je tak wyrecytować, będąc muzułmaninem?

– Nie, wydaje mi się, że żadne z nich. Jak mówiłam, nie mam ochoty o tym myśleć.

– A pozostałe imiona? – naciskał Carl.

– Nie mam pojęcia. Coś odłotowego, jak już mówiłam. Coś jak Abrakadabra Hokuspokus. – Uśmiechnęła się. Zapewne miała ku temu powody.

– Więc nic więcej pani o nim nie wie? Ma pani absolutną pewność?

– Owszem, wiem tylko, że pochodził z okolic Kopenhagi. W każdym razie nie był bornholmczykiem ani jutlandczykiem, jeśli dobrze rozumiałam. No i oczywiście ten volkswagen, rozmawialiśmy o nim z Kristofferem.

– Ten tutaj? – Assad podsunął w jej stronę zdjęcie z parkingu.

Zerknęła na nie.

– W każdym razie ten sam kolor i kształt. Ale też nie widać go zbyt wyraźnie.

– Pamięta pani może jakieś szczegóły tego auta?

– Szczegóły? Widziałam je tylko od tyłu na drodze i to z pewnej odległości.

– Może jakieś większe wgniecenia czy rysy, kolor tablicy rejestracyjnej, zasłonki w oknach? Cokolwiek charakterystycznego.

Uśmiechnęła się.

– Szyby były matowe, a tablica rejestracyjna chyba taka stara, czarna z białymi numerami. No i miał jeszcze coś jakby czarną, półokrągłą smugę na boku, która wyglądała, jakby ciągnęła się od dachu. Poza tym wydaje mi się, że miał białe elementy na oponach, to znaczy szeroki, biały pasek biegnący wokół kołpaka, ale nie mam pewności. Może to inny wóz widziałam na drodze.

– Mówi pani, że półokrągłą smugę?

– Nie wiem, co to było, może brud? – zwróciła się do męża. – Pamiętasz coś takiego, Kristoffer?

Pokręcił głową.

Okej, czarne tablice rejestracyjne. Wiedzieli więc przynajmniej, że wóz zarejestrowano przed 1976, o ile na coś się to zda.

– I co powiesz, Carl? Państwo Dalby są oczyszczeni z podejrzeń?

Mørck parokrotnie zmienił bieg, zanim się odezwał.

– Jak dla mnie pytanie brzmi, kim w ogóle była ta Alberte. Właśnie o tym teraz rozmyślam. Odpowiem ci na pytanie, jak się więcej o niej dowiemy. Inge Dalby jest hardą i gniewną kobietą, ale sprawia wrażenie, że się we wszystkim odnajduje, więc jakoś specjalnie jej nie podejrzewam. Zostaje Kristoffer. To ciemiega, który pali fajki na progu i który nigdy by się nie ośmielił postawić żonie. Czy potrafiłby wykrzesać z siebie tyle namiętności, by zabić? Nie wydaje mi się.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że po tylu latach pamiętał przyciemniane szyby w aucie? A ona pamiętała, że miało białe opony, pasek na boku i czarną tablicę rejestracyjną? Ty byś pamiętał?

Carl wzruszył ramionami. Chciał wierzyć, że tak.

– Czy my aby nie jedziemy w kierunku przeciwnym niż trzeba? Nie powinniśmy kierować się do domu opieki, by odwiedzić siostrę June? – spytał Assad.

– Owszem, ale najpierw chyba powinniśmy znaleźć to całe Ølene. Może jednak spotkamy kogoś, kto wówczas tam mieszkał i pamięta tych hipisów.

– Nie sądzisz, że Habersaat zrobił w tej sprawie, co mógł?

– Na pewno tak, pytanie tylko, czy zrobił to wystarczająco dobrze. Habersaat już parę razy podsunął nam wskazówki, że powinniśmy koncentrować się wyłącznie na mężczyźnie z powiększonego zdjęcia z jego domu, prawda? Próbuję po prostu wyrobić sobie własne zdanie i zrozumieć, z kim mamy do czynienia, bo teraz tego, kurka, nie potrafię.

Droga trwała dłużej, niż Carl zakładał; słońce już gasło. Choć do zachodu brakowało jeszcze półtorej godziny, cienie wydłużały się, a barwy krajobrazu traciły na intensywności.

– Dużo tu drzew, Carl. Wiemy w ogóle, dokąd jedziemy?

Pokręcił głową.

– Zadzwoń do Jonasa Ravnå, na pewno wie, jak to znaleźć.

– Dochodzi szósta, na pewno już skończył służbę.

– Spróbuj. Masz numer jego komórki, włącz na głośnomówiący.

Widocznie w tych stronach jadano dość wcześnie, bo Ravnå nie skakał z radości, że mu przerwano. Czy nie mają nawigacji? A może by tak jej użyli?

Ale jednak zlitował się i wyjaśnił, że Carl powinien znaleźć dróżkę do rzeki Øle Å, biegnącej od Ølenevej aż do tabliczki Państwowy Rezerwat Dzikiej Przyrody, trudno jej nie zauważyć. Na rysunku jest ptak i niezbyt zachęcająca informacja po niemiecku „Wstęp wzbroniony”.

Ølenevej wiła się w górę i w dół, ale jednak znaleźli tabliczkę naprzeciwko innej, mniejszej, wskazującej kierunek do ścieżki prowadzącej do Øle Å, ślepej dróżki i na oko opuszczonego domu ze stodołą i przylegającą do niej działką, porośniętą trawą.

– Dziwne miejsce. Co z niego możesz wywnioskować, Carl? – spytał Assad, gdy już wygramolili się z kabiny.

Carl pokręcił głową. Trudno było wyobrazić sobie obóz hipisów w tym nieciekawym miejscu.

– Może tamten coś nam powie. – Carl wskazał na postać na ścieżce, która mozoliła się w ich stronę.

Czekali przez minutę, zanim ubrany w krótkie spodenki mężczyzna zdrowo po siedemdziesiątce dobrnął do nich, sądząc zapewne, że porusza się truchtem.

Nie miał ochoty przystawać, ani chybi dlatego, że czuł, że potem będzie mu trudno ruszyć, ale jednak zatrzymał się, wyciągając ręce na boki i parszając, zanim zdobył się na przyjęcie ich wyrazów uznania.

– Dobra robota, drogi panie – powiedział Carl, odnosząc się do wieku mężczyzny i jego ambicji sportowych.

– Tak, trzeba dbać o formę, zanim człowiek dobiegnie do sześćdziesiątki – odparł z silnym dialektem przy wtórze świstów płucnych.

Tylko sześćdziesiątki?! O słodki losie, to może lepiej niech biegnie dalej.

– Mieszka pan w okolicy? – spytał Carl.

– Nie, skąd, mieszkam w Hamburgu. Po prostu zanadto oddaliłem się od domu. Nie powinienem był tak późno skręcać w prawo.

Assad się roześmiał. Czyli obaj panowie doskonale rozumieli ten rodzaj humoru.

– Zakładam więc, że wie pan co nieco o historii tej okolicy.

– Co chce pan wiedzieć?

Carl wskazał na opuszczony budynek i wyjaśnił, z czym przychodzą.

– Taki nadgorliwy policjant ze Svaneke pytał nas o to ze sto razy – odparł mężczyzna. – Ale tak, przez pół roku mieszkała tu grupka młodych ludzi. Dawnemu właścicielowi było wszystko jedno, skąd płyną do niego pieniądze.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bo to była kupa hipisów, zupełnie tu nie pasowali. Kolorowe ciuchy i długie włosy. No i wyprawiali tu mnóstwo dziwnych rzeczy.

– Co na przykład?

– Latali po całym terenie i wyciągali ręce do słońca. Wieczorem palili ogniska i ganiali wokół, czasem całkiem na golasa, w jakiś taki dziwny sposób. Różne rzeczy, na które normalni ludzie by nie wpad-li. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Dziwny?

– Tak, malowali sobie jakieś symbole na ciałach i coś tam mamrotali, jakby byli katolikami. Niektórzy mówili, że to wyznawcy asatru, ale naszym zdaniem oni byli po prostu szurnięci, jak wielu innych turystów.

– Ciekawe. Co to były za symbole?

– Nie mam pojęcia. Jakies takie esy-floresy. – Rozjaśnił się. – Prawie jak Indianie!

– Zabawne.

– O tak, mieli też wielki szyld wiszący nad drzwiami do domu. Chyba było tam napisane „Sklepienie niebieskie”.

– Ale nie nawracali i nie awanturowali się po okolicy?

– Nie, nie, byli bardzo mili i spokojni. Tyle że trochę szurnięci, jak już mówiłem.

– A ten tu? Rozpoznaje go pan? – spytał Assad.

– A tak, ten policjant też za każdym razem miał ze sobą to zdjęcie. Mówiłem już, że mieli taką furgonetkę, ale nie mam pojęcia, kim jest ten człowiek. Nie widywałem tych ludzi za bardzo, prawda?

– Czyli wówczas nie parską pan tu tak jak teraz, biegając dla zdrowia?

– Skąd. Myśli pan, że dlaczego muszę teraz to robić?

Otrzymali jeszcze garść dodatkowych informacji. Owszem, tablica rejestracyjna była czarna, i tak, z dachu po obu stronach auta biegła po boku ciemna pręga, ale poza tym auto nie miało żadnych znaków szczególnych, wgnieceń, rys ani niczego takiego. I tak, na działce znajdowało się wówczas jakieś dziewięcioro, dziesięcioro młodych ludzi, mniej więcej po równo kobiet i mężczyzn, a któregoś dnia po prostu zniknęli. Tak to wyglądało i od tamtej pory właściciel przyjmował już tylko Niemców, bo z nich jest większy szmal.

– Czy pan albo ktoś inny potrafiłby podać nam datę ich wyjazdu z tego miejsca? Było to mniej więcej w dniach, kiedy rozpoczęto poszukiwania w sprawie Alberte Goldschmid?

– Nie mam pojęcia, ja na pewno nie potrafię. Często wyjeżdżam i w tamtym okresie też mnie nie było. Jestem chemikiem specjalizującym się w enzymach i przebywałem wówczas na pobycie badawczym w Groningen. Dotyczył wytwarzania mąki ziemniaczanej, skoro tak wypytujecie – roześmiał się.

Assad wytrzeszczył oczy.

– Mąki ziemniaczanej?! To świetna rzecz! Kiedy wielbłąd ma otarcia od siodła, wówczas...

– Dziękuję. Myślę, że temat wielbłądów nie dotyczy aktualnie tego pana –przerwał mu Mørck i zwrócił się do mężczyzny: – A pański dawny sąsiad, który wynajmował ten dom? Musiał przecież wiedzieć, kiedy dokładnie stąd się zabrali?

– On?! On nic nie wiedział, mieszkał na drugim końcu wyspy. Dopóki dostawał pieniądze za wynajem, to nie wtrącał się do tego, co robią lokatorzy.

Podał im swoje nazwisko, po czym zebrał się w sobie i potruchtał dalej, dysząc jak miech kowalski.

– Lepiej zacznijmy się już wczytywać w akta sprawy, o prywatnych notatkach Habersaata nie wspominając. Zdaje się, że dotarlibyśmy do wielu rzeczy, zamiast szukać wiatru w polu.

– Wiatru?

– Nieważne, to takie powiedzenie.

Dom opieki Snorrebakken, gdzie mieszkała siostra June Habersaat, onieśmiał lśniącymi szybami i szarością ścian. Rzucano się w oczy, że jest nowo wybudowany i wręcz pachnie nowością. Z zewnątrz mógłby uchodzić za siedzibę diabelnie drogiej firmy audytowej czy prywatną klinikę chirurgii plastycznej. Nie do końca tego człowiek się spodziewa, myśląc o ofercie gminy dla ludzi na ostatniej życiowej prostej.

– Karin Kofoed ostatnio zrobiła się bardziej powolna – poinformowała opiekunka, prowadząc ich do pensjonariuszki. – Niestety otępienie i choroba Alzheimera zwały szyki, ale jeśli będą się panowie trzymać jednego tematu, to można liczyć na przebłyski zrozumienia.

Siostra June Habersaat siedziała skulona w fotelu, jej ręce podrygiwały. Uśmiech na twarzy wydawał się zastygły, ale ręce żyły, jakby dyrygowała orkiestrą symfoniczną podczas

fikcyjnego koncertu.

– Zostawię panów samych, żeby jej nie rozpraszać – powiedziała opiekunka z uśmiechem.

Zasiedli naprzeciw kobiety na wąskiej sofie, czekając, aż jej wzrok sam z siebie na nich spocznie.

– Karin, chcielibyśmy porozmawiać z tobą o Christianie Habersaacie i jego dochodzeniu – odezwał się w końcu Carl.

Skinęła głową, odwracając wzrok. Siedziała przez chwilę, wpatrując się w swoje wyprostowane palce, po czym zwróciła się do nich, może nieco przytomniejsza.

– Bo... Bjarke! – stwierdziła.

Carl i Assad spojrzeli po sobie. Łatwo nie będzie.

– Tak, zgadza się, Bjarkego też już nie ma. Ale to nie z jego powodu chcielibyśmy porozmawiać o Christianie.

– Bjarke to mój siostrzeniec, gra w piłkę nożną – urwała nagle. – Nie, chyba jednak nie gra. Jak to było?

– Dowiedzieliśmy się, że Bjarke, twoja siostra June i ty mieszkaliście razem – Assad wysunął się z kąta sofy, by się do niej zbliżyć. – Było to wtedy, gdy June i Christian się rozwiedli i ona znalazła sobie innego mężczyznę. Wtedy, wiele lat temu, mieszkaliście razem, pamiętasz to?

Na jej gładkim czole pojawiła się strapiona bruzda.

– Uuu, June, ona jest na mnie strasznie zła.

– Na ciebie, Karin? Nie na Christiana? – Teraz również i Carl się przysunął.

Na chwilę znów stracili z nią kontakt. Wyjrzała za okno, kiwając głową w górę i w dół, jakby prowadziła ze sobą rozmowę, jej ręce drżały. Potem bruzda na czole wygładziła się, a ciało uspokoiło. Nic z tego nie będzie.

– Karin, pamiętasz, czy June skarżyła się na śledztwo Christiana?

Nie ulegało wątpliwości, że pytanie do niej dotarło, bo odwróciła się do nich, patrząc intensywnie. Ale odpowiedź nie padła.

– Bjarke nie żyje. On nie żyje – powtórzyła parokrotnie, a jej ręce znów zaczęły się poruszać.

Assad i Carl spojrzeli na siebie. Uzyskanie od niej sensownej odpowiedzi będzie dziełem absolutnego przypadku, więc równie dobrze można wałnąć z grubej rury. Carl dał znak Assadowi, który natychmiast wyjął zdjęcie faceta z volkswagenem.

– Słyszałaś, żeby Christian albo June mówili coś o mężczyźnie z tego zdjęcia? – spytał Carl. Ryzykowny ruch.

– O tym przystojnym z długimi włosami – dodał Assad.

Spojrzała na nich z oszołomieniem.

– Bjarke miał długie włosy. Zawsze długie włosy – powiedziała. – Jak ten mężczyzna.

– Właśnie, ten mężczyzna, słyszałaś coś o nim? – Carl próbował pociągnąć temat.

Wyglądało, jakby próbowała się skupić na tym, co pokazywał jego palec, ale nic się nie wydarzyło.

– Karin, pamiętasz, jak on się nazywał? Może Noe?

Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się, szeroko otwierając usta.

– Noe! On miał te zwierzęta, nie pamiętacie?

Carl spojrział na Assada.

– Chyba zrobimy przerwę, jak sądzisz?

Pokręcił głową z rezygnacją. Czyli żaden dowcip o wielbłądzie nie pasował do tej sytuacji.

– Dzwonimy do June Habersaat i przechodzimy od razu do informacji o gościu ze zdjęcia. Najwyżej rzuci słuchawką.

Assad kiwnął głową z namysłem, kładąc nogi na desce rozdzielczej.

– Jestem na sto procent pewny, że rzuci. Może lepiej wróćmy i skonfrontujmy ją z tym zdjęciem z zaskoczenia?

Carl ściągnął brwi. Wracać do Aakirkeby? Jeszcze nie oszalał. Wybrał numer June Habersaat i usłyszał w słuchawce głos, od którego mogłyby popękać szyby.

– Przepraszam, że znów przeszkadzam. Nie chciałbym pani niepokoić, ale właśnie wracamy z domu opieki pani siostry, pozdrawia panią. Pogawędziliśmy o dawnych czasach, wie pani, i w związku z tym chciałbym zadać pani kilka pytań na temat znajomości z młodym, długowłosym mężczyzną, który swego czasu jeździł po wyspie jasnoniebieskim volkswagenem kombi.

– Kto wam powiedział, że to mój znajomy? – warknęła. – Moja siostra? Ty patentowany durniu, nie kapnałeś się, że ona jest zupełnie zdemenciała?

Carl zacisnął oczy. Będzie musiał przywyknąć do bezpośredniości, w której celowała June Habersaat.

– Ależ oczywiście, trudno tego nie zauważyć. Widocznie nie wyraziłem się wystarczająco jasno. Nie interesuje nas, czy w tamtym czasie utrzymywała pani znajomość z innym mężczyzną, ale czy zna pani człowieka mieszkającego wówczas w komunie hipisowskiej w Ølene. Miał krótkie imię, kojarzące się z imieniem biblijnym, a poza tym pochodził z Kopenhagi. Mówi to coś pani?

– Na ten temat przesłuchiwaliście Karin? Ty gnoju, nie wolno ci się szwendać gdzie popadnie, wypytywać ludzi, kogo znałam! Właśnie straciłam syna, więc przestań już, kurwa, do mnie wydzwaniać, kapujesz?

Carl otworzył szerzej oczy. Ona naprawdę nie była smutna.

– Owszem, rozumiem. Ale czy rozmowa przez telefon nie jest o niebo lepsza niż zabranie pani na przesłuchanie na komendzie? Potrzebne nam informacje na temat tego mężczyzny, a pani jest jedną z osób, które mogły o nim coś słyszeć. Mam zdjęcie...



– Nie mam pojęcia, o jakim mężczyźnie mowa. To jakieś gówno, które wyciągnęliście z papierów Christiana. – I rzuciła słuchawkę.

– Jak tam? – spytał Assad.

Carl przełknął ślinę.

– Nic takiego. Źle mnie zrozumiała i coś pokręciła, nie mogłem się do niej przebić. Już zdążyła się na nas zjeżyć.

Assad spojrział na niego ze znużeniem.

– Jedziemy tam i podsuniemy jej fotkę pod nos?

Carl pokręcił głową. Po co mieliby to robić? June zademonstrowała już swoją gotowość do współpracy, z Karin nie było kontaktu, Bjarke zaś siłą rzeczy nie wniesie za wiele do sprawy. Będą musieli dać sobie radę bez pomocy niedobitków najbliższej rodziny Christiana Habersaata.

– To co robimy?

– Ty pojedziesz do Listed, by pomóc Rose – uśmiechnął się Carl. – Obawiam się, że ja będę musiał zostać tu, w Rønne, by przeczytać dziś wieczorem akta sprawy.

Sięgnął po teczkę Assada i w chwili nierozwagi podał mu kluczyki do auta.

– Z tej okazji wolno ci mnie podwieźć do hotelu.

Jak można było przewidzieć, chwilę później tego pożałował. To niewiarygodne, ile ryzykownych manewrów wyprzedzania można wykonać podczas krótkiej przejażdżki po Rønne.

Podczas wnikliwej lektury papierów przekazanych im przez komisarza Birkedala okazało się, że kilka kwestii zasługuje na szczególną uwagę. Informacji zawartych w dokumentach nie aktualizowano od 2002 roku, a hipoteza morderstwa z premedytacją nigdy nie zaświtała w głowach śledczych. Może stało się tak z uwagi na policyjną strategię, bo gdyby w grę wchodziło zabójstwo, sprawy nie można by było zamknąć. Ewentualnie nigdy wystarczająco dobrze nie przeanalizowano przebiegu samego wypadku.

Ale Carl wiedział, że równie dobrze powód mógł być bardzo banalny i że Habersaat przez swoją napastliwość powstrzymał wszystkich innych od działania. Przecież zrażał do siebie ludzi, przesadzając z tymi swoimi teoriami.

Carl skinął głową do swoich myśli. Na wyspie takiej jak Bornholm taka sprawa nie była chlebem powszednim, a lotnej brygady nigdy w nią nie zaangażowano, więc kto miałby zasiać ziarno wątpliwości w umysłach mniej wytrawnych miejscowych detektywów co do charakteru zgonu ofiary? Habersaat?

Nie bardzo.

Jak wynikało z lektury akt sprawy, policja w Rønne skłaniała się ku hipotezie ucieczki z miejsca wypadku, ale nigdy nie wskazano, jakiego rodzaju pojazd brał udział w wydarzeniu, nie mówiąc już o tym, kto nim kierował. Jedynie upór Habersaata i nadzwyczajna ilość

poświęconego przez niego czasu spowodowały, że sprawie w ogóle nadano bieg, ale kto powiedział, że Habersaat miał rację?

Po upływie kilku godzin Carl usłyszał, jak Assad i Rose otwierają drzwi do hotelu.

Assad wyglądał jak z krzyża zdjęty i od razu padł na swoją połowę łóżka. Dwie minuty później leżał już z rozdziawionymi ustami, chrapiąc tak donośnie, że w pokoju trzęsło się wszystko, co nie było zamocowane na stałe.

Rose też nie była szczególnie skora do relacji z przeglądania i pakowania dobytku Habersaata. Widocznie to musi poczekać, dopóki nie wyładują wszystkiego na Komendzie Głównej, bo w tej chwili chciała po prostu położyć się spać.

„Szczęśliwa kobieta” – pomyślał Carl, znów leżąc obok kędzierzawego połączenia młota pneumatycznego ze stadem galopujących gnu. Mimo ogromnej ochoty, powstrzymał się jednak od przykrycia gęby Assada poduszką i dociśnięcia.

Rozejrzał się wokół z rozpaczą i jego wzrok padł na minibarek.

„Lepsze to niż zatyczki do uszu” – pomyślał, otwierając drzwiczki.

Błony bębenkowe przestały działać dopiero po dwóch pilznerach i co najmniej dziesięciu buteleczkach mocniejszego alkoholu różnych gatunków.

## Październik 2013

Pirjo próbowała się uspokoić. Wytarła buty, a nogawki, saperkę i skuter umyła strumieniem wody z węża, stojąc w budynku o różowej barwie, zwanym przez nich Stajnią Zmysłów. Do tej części ośrodka przychodzili szczególnie nowi uczniowie, których dręczyły skłonności depresyjne i zła karma; tu się odstresowywali, głaszcząc po pyskach kucyki oraz wdychając zapach świeżo rozrzuconego siana i końskiego nawozu. Zazwyczaj panował tu ruch ze względu na szczotkowanie koni i czyszczenie boksów, ale o tej porze dnia, kiedy wszyscy siedzieli w swoich pokojach, intensywnie medytując, na pewno nikt nie będzie jej przeszkadzał.

„Zatrzymaj się, Pirjo, i zastanów, otrząśnij się z tego. To, co się zdarzyło, w ostatecznym rozrachunku jest bez znaczenia” – podszeptował jej zdrowy rozsądek.

Zaledwie godzinę temu po raz trzeci w życiu zabiła człowieka, a takie sprawy jednak odciskają pewne piętno. Przedramiona miała czerwone jak ogień, serce waliło.

„Nie mogło być inaczej” – szepnęła do siebie. Ta Wanda Phinn wtargnęła do jej życia wbrew wszystkim ostrzeżeniom, i tyle. W konsekwencji najwyższa kapłanka Akademii Absorpcji Natury powstrzymała ją raz na zawsze, zgodnie ze swoją rolą. Tym samym zadbała po raz kolejny, by jej pozycja najbliższej osoby Atu pozostała niezagrożona. Inna sprawa, że za każdym razem ponosiła jakieś koszty. Wewnętrzny spokój ulegał zaburzeniu, dusza traciła równowagę, ale czego można się było spodziewać?

Niewykluczone jeszcze, że Atu coś zauważy, jeśli nie będzie uważała.

„Pirjo, twój puls musi spowolnić” – powtarzała sobie, wdrapując się po drabinie na strych stodoły.

– Horusie, narodzony z dziewicy – wyszeptła po drodze. – Drogowskizie swoich dwunastu wyznawców, trzeciego dnia zmartwychwstały, pozwól mi uwolnić się od przygnębienia.

A gdy to nie pomogło, powtórzyła te słowa jeszcze kilkakrotnie; znów bez skutku. Wstrząsnęło to nią, bo przy poprzednich razach tak nie było. Jak będzie żyć dalej, jeśli władzę nad nią przejmą demony, a duch ją opuści? Czy nie działała, jak zawsze, w słusznej sprawie? Czy ta Wanda nie przyjechała po to, by obrócić w perzynę wszystko, co Atu i ona wspólnie zbudowali? Dlaczego więc wciąż trzęsą jej się ręce?

Zamknęła oczy, złożyła przed sobą dłonie i wzięła powolny, głęboki wdech. Wiedziała, że ochroniła wszystkich członków akademii przed złą energią Wandy Phinn. Więc również i ten czyn nie mógł być zły.

Jeszcze raz wyszeptała to samo i poczuła z ulgą, jak spada jej tętno.

Skinęła z wdzięcznością promieniom słońca, wpadającym przez okna połaciowe w dachu, podziękowała opatrności i jeszcze raz wszystko przemyślała, znów pełna sił i energii.

Kilka ostatnich godzin było szalenie intensywnych, wtedy łatwo o błąd. Można o czymś zapomnieć i przeoczyć, a w takim wypadku trzeba czym prędzej naprawić niedociągnięcia.

Pirjo zamknęła oczy i w duszy przewinęła film, by znów znaleźć się w miejscu zdarzenia. Jeśli dobrze jej się wydawało, nie popełniła błędu ani niczego nie pominęła.

Była przekonana, że ciało nagiej kobiety na razie nie zostanie znalezione, a może w ogóle do tego nie dojdzie. Leżało w zbyt odległym miejscu, także ten punkt można odhaczyć. Dno najgłębszej kałuży w Alvaret było miękkie, więc łatwo poszło wykopywanie w nim dziury, tak by grób nie otworzył się podczas ulewy. Również to było w porządku. Odhaczone!

Starannie zatarła wszystkie ślady, które mogłyby doprowadzić zagubionego botanika czy turystę do grobu. Odhaczone!

Wreszcie upewniła się, czy nikt jej tam nie widział, również kiedy opuszczała ten teren. Odhaczone!

Pirjo skinęła z zadowoleniem, odsuwając kartony na podłodze stryżku. Musi się pospieszyć. Zebranie mieszkańców akademii wkrótce się rozpocznie, jako że medytacje i rozmowy z własnym ja w pokojach wyznawców dobiegają końca. W tej chwili dziedziniec jest pusty. Tylko zdradzieckie kamery monitorujące mogłyby poświadczyć, że jej nie było i co porabiała po powrocie. Do zamontowania tych kamer na terenie ośrodka i na zewnątrz przekonała Atu osobiście.

Kiedy tylko wróci do biura, natychmiast wymaże ich zapis, więc i to nie stanowi problemu.

Zostały już tylko rzeczy tej kobiety.

Spojrzała na kupkę ubrań zdjętych ze zwłok: spódnica, bluzka, bielizna, dwubarwny pasek, apaszka, pantofle, okrycie wierzchnie, pończochy. Wszystko naturalnie zostanie zniszczone i spalone. Ale dopóki nie nadarzy się odpowiednia okazja, poleżą sobie w kartonie na stryżku pośród elementów odzieży, z której zrezygnowali nowo przybyli członkowie akademii, by cieszyć się przyszłym ascetycznym życiem.

Reszty, na którą składały się torebka wraz z zawartością, paczka kondomów, przybory do makijażu, komórka, klucze, w tym klucz do skrytki bagażowej na stacji, kilkaset euro w banknotach, dokumenty podrózne i paszport, należało się pozbyć natychmiast.

O czym jeszcze powinna pomyśleć?

Wanda Phinn pisała w swoim zgłoszeniu, że jako jedyna osoba ze swojej rodziny przed paru laty wyemigrowała z Jamajki, a teraz złożyła wypowiedzenie z pracy. Na co dzień wynajmowała pokój na obrzeżach Londynu, ale to życie chciała zostawić za sobą. Nic jej nie trzymało w Anglii, był to zamknięty etap. Rozwiązała umowy abonamentowe, w tym tę z dostawcą internetu. Sprzedała wszystkie swoje doczesne dobra: komputer, radio, telewizor, meble i część

ubrań, a gdy już, jak miała nadzieję, pomyślnie skończy kurs podstawowy w akademii, pragnęła zostać jej stałą mieszkanką.

Wydawało się więc, że Pirjo nad wszystkim panuje, nic jej nie grozi. Wybierając się w ostatnią podróż życia, Wanda nie pozostawiła po sobie żadnych wartych odnotowania śladów, a gdyby jednak okazało się inaczej, wówczas Pirjo po prostu wyprze się, jakoby w ogóle wiedziała o jej istnieniu i ewentualnych zamiarach. Jakim cudem, u licha, dałoby się dowieść czegoś przeciwnego? Przecież komputer Wandy Phinn został sprzedany. Nie miała w Anglii żadnych bliskich. Nie miała po co zostawać w Londynie, a zatem zapewne też ani zaufanych przyjaciół, ani kolegów.

Dodatkowo Pirjo jeszcze przed południem wyczyściła swój twardy dysk z wszystkich informacji, które mogłyby ją łączyć z tą kobietą, więc cóż więcej? Może ktoś je widział, gdy jechały z Kalmaru do Alvaret? Owszem, to na pewno, ale nikt, kogo Pirjo znała. A gdyby nawet ktoś przez przypadek zobaczył ją w towarzystwie Wandy, to czy obcy ludzie będą pamiętać coś tak nieistotnego za parę tygodni?

„Niemożliwe. Dziś w zachodniej części wyspy pojawiło się mnóstwo nowych twarzy” – pomyślała.

Wprawdzie ostatnia spora fala turystów już się przetoczyła przez Olandię, ale ze względu na nagromadzenie imprez artystycznych po drogach zachodniego wybrzeża przez cały dzień przewinęła się co najmniej setka odwiedzających.

Takiego dnia zdecydowanie niełatwo zapamiętać jakieś wydarzenie czy osobę, które niczym się nie wyróżniają. Nie, nie musiała się już tym kłopotać. Zapewne minie bardzo dużo czasu, zanim zaginięcie Wandy Phinn zostanie zgłoszone, a kto wówczas będzie pamiętać dzień taki jak ten?

Pirjo pokręciła głową, wkładając kilka brył piaskowca do torebki kobiety. Kiedy ją ciśnie daleko w wody Bałtyku, będzie już tylko musiała zdążyć do auli, zanim rozpocznie się zebranie.

Na szczęście wciąż jeszcze wyglądało to tak, że jeśli Pirjo nie poprowadzi spotkania, to po prostu nic się nie zdarzy.

Ubrała się na biało i w spokoju ducha weszła do auli. Przed przyjściem Atu musi wskazać wszystkim uczniom miejsce według rangi i grupy. W październiku światło wpadające do auli przez okna mansardowe wciąż było oślepiająco jasne, więc wyłożona błyszczącymi płytkami płaszczyzna podłogi, na którą wkrótce wkroczy Atu, sprawiała wrażenie ciepłozłotej i urzekającej, niemal jak sam mistrz.

Kiedy wszedł, zgromadzeni ludzie jak zwykle siedzieli w milczeniu na podłodze z wyczekiwaniem malującym się na twarzach. Wszyscy żyli i oddychali dla tych sesji, bo słowo Atu było najważniejszym momentem dnia, bez względu na to, czy przekazywał je tu,

czy na plaży o wschodzie słońca. W obecności Atu Abanshamasha Dumuziego znajdowało się odpowiedzi na wszelkie wątpliwości i pytania, a wyznawcy do niego lgnęli.

„To wciąż niesamowite uczucie być częścią tego wszystkiego” – pomyślała Pirjo.

Kiedy do auli wchodził Atu, ubrany w szafranowy kaftan o pięknie zdobionych rękawach, można było odnieść wrażenie, że nagle światło rozbłyskało w mroku, jakby jaśniała aura energii i życia. Kiedy rozpościerał ramiona w stronę zebranych, zabierając ich do swego świata, równało się to niemal kontemplacji samego sensu istnienia.

Niektórzy z grupy mawiali, że traktują te spotkania jak koniec swojego pielgrzymowania, podczas którego doznawali całkowitego oczyszczenia ciała i duszy. W tej chwili otwierały się przed nimi nowe, najważniejsze ścieżki życiowe. Inni byli mniej konkretni i obiektywni i po prostu zatracali się, pozwalając, by w ich duszy dokonał się cud, bo tak to nazywali.

Bez względu na to, jaki Atu wywierał na nich wpływ, łączyło ich jedno: wszyscy drogo zapłacili za to, by siedzieć po turecku na podłodze, i za to, że to Pirjo nadzorowała, kogo przyjąć i gdzie potem ma zasiąść. I choć Pirjo tak jak pozostali czciła Atu, to jednak w inny, bardziej totalny sposób niż reszta.

Dla niej Atu symbolizował przede wszystkim mężczyznę i żywiciela, wcielenie seksualności, przewodnika, bezpieczeństwo i wreszcie duchowość w jednej osobie. Było tak, odkąd go poznała. Może z upływem lat stała się nieco mniej entuzjastyczna w odniesieniu do statusu proroka i przewodnika duchowego, którego Atu się dorobił. Ale zdecydowanie nie zawsze tak było.

To była długa droga.

Uznawane za snobistyczne miasto Kangasala leżało w dobrej odległości od Tampere, drugiego co do wielkości miasta w Finlandii; było też zlokalizowane dość blisko wioski, w której rodzice Pirjo się osiedlili i postanowili wychować dzieci. Wiązali duże nadzieje na przyszłość z tym baśniowym i słynącym z poezji miejscem, gdzie dobrze sytuowani turyści i olśniewająca natura tworzyli harmonijny krajobraz. Miało być pięknie, ale nie było, bo ani ojciec, ani matka Pirjo nie posiadali umiejętności, by owe nadzieje spełnić.

Marzenia skończyły się na małym, kiepsko wyposażonym sklepiku. Sklepiku o nielicznej klienteli, niekorzystnie położonym – w zwykłej szopie zbudowanej podczas pierwszej wojny światowej z desek i materiałów, których nie dało się użyć gdzie indziej. Lodowate zimy i duszne lata, kiedy komary z pobliskich stawów nie dawały im żyć. Tak to wyglądało.

Właśnie to podłe miejsce było całym ich światem. Tu rodzice i troje dzieci mieli znaleźć źródło utrzymania, osiągnąć status oraz zdobyć to, co od biedy można by określić kulturalnym wychowaniem i ogólnym obyciem.

Dlatego w monotonnym życiu Pirjo wielkie wydarzenia i ciekawe perspektywy miały szansę pojawić się jedynie za sprawą kolorowych czasopism ze sklepiku. To dzięki nim otwierały się możliwości na przyszłość, ale pod jednym warunkiem: że się stamtąd wyjedzie. I Pirjo

marzyła, co mogłaby robić w życiu, tylko że jej marzenia z dnia na dzień wzięły w łeb, gdy ojciec wyciągnął ją ze szkoły, by sprzedawała w sklepiku, bo on sam nie dawał rady.

Nic natomiast się nie zmieniło w wypadku dwóch młodszych sióstr Pirjo, które rodzice kochali znacznie mocniej, więc ich ograniczenia nie dotyczyły. Mogły chodzić na tańce do miasta, musiały uczyć się gry na instrumentach muzycznych i ładnie wyglądać. Wszystko to za pieniądze, które ciułała Pirjo. Ta rzeczywistość dzień w dzień ją nękała i frustrowała, czy mówiąc wprost: wkurzała, sprawiając, że Pirjo kipiała z zazdrości i chęci odwetu.

Czara goryczy się przelała, gdy któregoś dnia jej najmłodsza siostra wróciła do domu z kociakiem i pozwolono go jej zostawić.

– Zawsze odmawialiście, kiedy to ja chciałam mieć zwierzątko! – zawołała Pirjo. – Nienawidzę was wszystkich! Idźcie w cholere!

Zapłata za szczerłość było kilka siarczystych policzków; kociak został.

Gdy tydzień później skończyła szesnaście lat, nie dostała ani jednego prezentu. Właśnie tego dnia uznała ostatecznie, że jest jej wszystko jedno, bo bez względu na marzenia i aspiracje, i tak ważne wydarzenia w jej życiu będą miały niższą rangę i będzie ich jak na lekarstwo.

Powodowana po części nudą, a po części nienawiścią do siebie i sióstr, zaczęła jeszcze tego wieczora zadawać się z wyrzutkami z Kangasali. Rezultat był nieco zadziwiająco ekscytujący.

Gdy ojciec znalazł ją za sklepikiem palącą hasz w towarzystwie gości z marginesu, pobił ją tak mocno i brutalnie, że przez wiele dni nie mogła się położyć.

I kiedy rany na ciele i duszy się goiły, podsłuchiwała, jak matka ostrzega jej rodzeństwo, by nigdy nie stało się takie, jak ich starsza siostra.

– Ale przecież takie nie będziecie. Na szczęście w porządnym serwisie znajdzie się tylko jedna obtłuczona filiżanka. Wasza starsza siostra to niedobra dziewczyna, nie to co wy, moje aniołki. – Wbiła na końcu nóż.

– To może wyrzucimy tę filiżankę? – zaśmiała się młodsza.

„Wyrzucić filiżankę?” – to o niej rozmawiały.

Gdyby Pirjo potrafiła, rozplakałaby się, ale już dawno się przekonała, że wrażliwość do niczego się nie przydaje. Jakoś jednak musiała zareagować, inaczej by zwariowała.

Ich zuchwałość sprawiła, że Pirjo tej samej nocy wstała z łóżka i zabiła kotka siostry, po czym położyła go na ladzie w sklepiku. Następnie zabrała z kasy tyle, na ile, jej zdaniem, ją oszukano, zostawiając resztę dla przypadkowych przechodniów, i z torbą przewieszoną przez ramię, zostawiwszy za sobą otwarte drzwi, opuściła swój dom z zamiarem, by nigdy doń nie wrócić.

Przez krótki czas pomieszkiwała z kilkoma Anglikami i grupką szalonych dekadentów z Helsinek w wynajętej chacie po drugiej stronie miasta. A że jej nowi, starsi przyjaciele żyli w sposób bardziej eksperymentujący, niż mieściło się to w głowach lokalnym mieszkańcom, oni i młodzianka Pirjo stali się szybko przedmiotem rozmów w miasteczku.

Od tych kontestujących postaci z komuny nauczyła się doceniać ową nierealną łunę, którą zostawiała na niebie zorza polarna. Niezmacone wiatrem jeziora. Oszołomienie wywołane mieszanką bimbru i przypadkowego seksu. I choć był to na swój sposób szczęśliwy czas, to jednak odczuwała ze smutkiem, jak rozstaje się z ostatnimi, niewinnymi chwilami dzieciństwa.

W końcu Urząd ds. Nieletnich otrzymał tyle jadowitych zgłoszeń od sąsiadów komuny, a nawet od samych rodziców, że urzędnicy poczuli się w obowiązku podjąć jakieś działania.

Gdy przybyli do komuny, było już za późno, bo Pirjo zdążyła ją opuścić, oczyściwszy uprzednio wspólną kasę.

Z tą minifortuną w kieszeni, ze ślepą wiarą, że szczęście czeka na nią za rogiem, dotarła do Danii, do najbardziej tolerancyjnego miasta w Skandynawii, Kopenhagi.

Tam na parę miesięcy osiedliła się w komunie młodzieżowej na Nørrebro, gdzie kręciło się mnóstwo szemranych typów, i wkrótce wypróbowała praktycznie wszystkie środki odurzające, które można wypalić i zażyć.

Po paru burzliwych sprzeczkach z kilkoma dziewczętami, które wiodły tam prym, o to, z którymi facetami można uprawiać seks, Pirjo została wyrzucona, więc nie pozostało jej nic innego, jak żyć na ulicy. Miesiąc włóczyła się bez grosza przy duszy, musiała żebrać, by się upić lub odurzyć, aż poznała nieco starszego mężczyznę, który miał swoje mieszkanie. Był miły, miał łagodny uśmiech, na imię mu było Frank. Powiedział jej, że największą siłą napędową w życiu wcale nie jest alkohol ani seks, lecz czczenie duszy i jej wędrówki z jednego poziomu na wyższy. Brzmiało to dziwnie, ale może było to jakieś wyjście z bagna, w którym tkwiła, więc go słuchała.

To, co mówił, brzmiało prosto. Jeśli tylko człowiek postara się uszanować świadomość, że ciało można wyzwolić z jego potrzeb, pracując nad duchowością i medytując, wówczas będzie wolny i szczęśliwy.

Dlaczego nie? Nie dostawała lania i nie budziła się z głową pełną pełzających zwierzątek i nienawiści do siebie.

Pirjo się wzmocniła i powoli poczuła się lepiej ze sobą, eksperymenty z badaniem duszy i jej energii były zaś liczne i różnorodne. Za dnia pracowali oboje w Burger Kingu na Placu Ratuszowym, ubrani w małe, lekkie czapeczki i mundurki uperfumowane fryturą i aromatami fast foodu i słodkich napojów, bo przecież z czegoś musieli żyć. Resztę czasu spędzali na wszystkim, co mogło poszerzyć ich świadomość, od jasnowidzenia, kursów jogi i spotkań z jasnowidzami po stawianie horoskopów i rozkładanie kart tarota. Ogólnie rzecz biorąc, niewiele było aspektów świata mistyki, których by w tamtym czasie nie wypróbowali.

Przez pierwsze lata, wbrew pożądanemu Pirjo, żyli w celibacie, by dać duszy nieograniczoną ilość miejsca na pożytkowanie wszelkich dostępnych jej energii. A jednak nadszedł czas, gdy Frank poczuł, że planety, psychodynamika i przyszłość skierowały się ku innym celom, i zszedł z tej drogi.



– Teraz jestem gotów, by doświadczać mego ciała w kontakcie z innymi – oświadczył. Transformacja była zarezerwowana dla niego, więc Pirjo musiała się w tym odnaleźć. Tyle że po co miałyby uprawiać seks z innymi, skoro chciała mieć tylko Franka?

Właśnie ta zmiana świadomości legła u podstaw alter ego Franka, Atu Abanshamasha Dumuziego i westalki Pirjo Abanshamash Dumuzi.

Od tamtej chwili Pirjo w ich układzie pełniła przede wszystkim rolę giermka i sługi Atu. I choć była to pożądana pozycja w odniesieniu do wielu innych, to w rzeczywistości była też pełna obostrzeń.

Nierówna relacja, nad którą w miarę możliwości zamierzała pracować.

Bo Pirjo miała ambicje.

Sobota 3 maja, niedziela 4 maja i poniedziałek 5 maja 2014

Poranna pobudka okazała się nagła i nieprzyjemna; ból ociężałej głowy jasno dawał Carlowi do zrozumienia, że z minibarków należy korzystać z pewną powściągliwością.

Gdy wjechali na pokład promu, transport Rose już czekał, a niewielka bagażówka aż się ugięła od załadunku. Niech to licho, że też to wszystko musi wylądować w ich piwnicy. Carl nie potrafił sobie tego wyobrazić, a na dodatek Rose zarezerwowała im miejsca w kafeterii między dwoma krzepkimi osiłkami z firmy przeprowadzkowej.

Carl skinął im nadzwyczaj ostrożnie. Lepiej zanadto nie potrząsać pękającą z bólu głową.

– Wieje – stwierdził jeden z kierowców. Taki wstęp z łatwością mógł się przerodzić w bezkresną gadaninę o niczym.

Carl uśmiechnął się wymuszenie.

– On ma kiciokwik – wyjaśnił Assad.

Mørck nie miał siły go poprawić.

– Kiciokwik, ha, ha! – ryknęli ci od przeprowadzek, pochłaniając fastfoody składające się po równo z nasyconych kwasów tłuszczowych i białej mąki. – Pewnie chodzi ci o kociokwik, kolego. – Zaśmiał się jeden, klepiąc Assada przyjacielsko po plecach z siłą, która mogłaby poruszyć głaz.

– Uch! – wyrwało się Assadowi, a jego zazwyczaj godna pozazdroszczenia, południowa karnacja nabrała niuansów kolorystycznych, które odejmowały mu nieco czaru. Spoglądał na fale, już teraz gotów złożyć broń.

– Masz skłonności do choroby morskiej? – spytał jeden z nich. – Bo jeśli tak, to na szczęście mam przy sobie cudowny lek.

Wyjął buteleczkę i wlał płyn do pustej szklanki.

– Trzeba to wypić duszkiem, inaczej nie zadziała. Pomoże na żołądek i poczujesz się lepiej.

Assad skinął głową. Był gotów zrobić wszystko, co mogłoby go uwolnić od drogi krzyżowej do toalet po torebki na wymioty.

– No to chlup! – zawołali bagażowi, gdy Assad odchylił głowę do tyłu i zgodnie z ich instrukcjami wlał w siebie płyn.

Nie minęła sekunda, a biedak chwycił się za gardło; oczy zrobiły mu się jeszcze okrągłejsze niż zazwyczaj. Następnie karnacja zmieniła mu się na karmazynową, jakby nie mógł złapać tchu.

Bagażowi zaśmiewali się, aż wszystko się trzęsło, a Assad bezskutecznie próbował im wtórować.

– He, he, to tylko osiemdziesięcioprocentowa śliwowica – wyjaśnił mężczyzna z butelką.

– Czyś ty oszalał? – Carl w drodze wyjątku srodze się oburzył w cudzym imieniu. Co za skończeni idioci. – Assad jest muzułmaninem, nie wolno mu pić alkoholu.

Mężczyzna z butelką położył rękę na ramieniu Assada.

– O kurczę, sorki, wybacz, przyjacielu. Na co dzień nie myśli się o takich rzeczach.

Assad uniósł rękę. Przebaczenia już udzielono.

– Spokojnie, Carl – powiedział, odzyskawszy głos. Był zaskakująco chwacki, choć wiatr przybierał na sile, a zastawa kafeterii tańczyła fandango na stołach. – Przecież nie wiedziałem, co to jest.

Carl zwrócił zniechęcony wzrok na fale i nagle poczuł, że zawartość żołądka się buntuje. Parę tego typu godzin i źle się to skończy.

– Czyli dobrze się czujesz? – spytał ostrożnie.

Assad skinął głową, zapewne ze źle zrozumianą ulgą.

Rose spojrzała znad gazety.

– Bo jeśli chcesz wiedzieć, kolor twarzy masz taki sobie – stwierdziła bez współczucia.

Assad poklepał Carla po rękę; spojrzenie miał zamglone.

– To przejdzie, spójrz na mnie. Myślę, że zaczynam się uczyć sztuki żeglowania. Może też powinieneś spróbować tej... śliwicy.

Carl przełknął ślinę. Już sama myśl robiła swoje.

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedział i wstał z Assadem depczącym mu po piętach.

Carlem wstrząsnęły torsje i akurat zdążył na pokład rufowy, zanim puściły mu wszystkie tamy, i to bardzo.

– Wielkie dzięki – jęknął Assad, oceniając bezmiar szkód. – Chyba nie znasz tego przysłowia, Carl: mądry człowiek nie rzyga pod wiatr.

Musiał minąć cały weekend, nim Carl ośmielił się pomyśleć o czymś innym niż chlebek chrupki i mikroskopijne szklaneczki wody. Gdyby nie codzienne odwiedziny Mortena u Hardy'ego w salonie, na pewno by sobie odpuścił. Odkąd on i Mika parę lat temu się wyprowadzili, dom już nie tętnił radością. Potrafił nawet zatęsknić za swoim przybranym synem Jesperem, ale tęsknota na szczęście szybko mu przechodziła.

W niedzielę koło północy położył się spać znużony własnym towarzystwem i jałowymi czynnościami. Głęboki sen potrafi działać cuda dla ciała i ducha, nikt w domu nie będzie mu przeszkadzać, niespokojny żołądek też, po prostu błogość i spokój.

Telefon zadzwonił o piątej i Carl zerwał się, jakby jednocześnie rozdzwonił się alarm pożarowy i zawyły syreny.

– Co, do kurwy nędzy! – wypalił oszołomiony, gdy zegarek cyfrowy wyświetlił godzinę. Jeśli to nie wiadomość o czyjeś śmierci lub przynajmniej o stanie wyjątkowym z inwazją wojsk, to już on się odgryzie.

– Carl Mørck! – krzyknął, chcąc uprzedzić o swoim stanie ducha.

– Ej, zamknij się, ty durniu. Czego wrzeszczysz?

Głos brzmiał znajomo. Na pewno nie należał do głosów, które miało się chęć usłyszeć.

– Sammy, ty kretynie, wiesz, która godzina?

Minęła chwila.

– *What's the clock, honey?* – spytał w tle. – Jest dziesiąta! – odpowiedział bełkotliwie.

– Do twojej wiadomości, tu jest piąta.

– Carl, noż kurwa, to do ciebie... – beknął, więc impreza albo dopiero się zaczęła, albo właśnie skończyła.

– Mówiłem, że to do ciebie Ronny wysłał swój jebany testament. Myślisz, że się nie domyśliłem? – rozległo się szuranie słuchawki. – *No, honey, not now. Take your hands away. I am ringing the bell.*

Carl policzył do dziesięciu.

– Gdybym miał ten jebany testament, to wepchnąłbym ci go prosto do pyska, żeby raz na zawsze skończyć z tym twoim pierdoleniem. Dobranoc, Sammy!

Przerwał połączenie. Zastrany Ronny, zastrany Sammy, zastrany testament. Na samą myśl o tym wszystkim źle się poczuł.

Wtedy telefon zadzwonił powtórnie.

– Nie rzucaj mi no słuchawką, Carl, dobrze ci radzę. A teraz wszystko wyśpiewasz, ty głupi gliniarzu. Co Ronny napisał w testamencie? Całe jego gówno przypadnie tobie?

– Przestań wreszcie! Powiedziałeś „głupi gliniarzu”? To oznacza pięć dni bezwzględnego więzienia. A to nie pierwszy raz, co?

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie i śmiech dziewczyny.

– *Yeah, Diamond, but wait just a couple of times, okay?* Przepraszam, Carl, ta dziewczyna...

– zachichotał. – Ech, daj spokój, dobrze wiesz, jak jest. Chciałem ci tylko powiedzieć, że porządny z ciebie gość. A sprawę z testamentem jakoś razem ogarniemy, prawda? *My God, Diamond...* – i połączenie zostało przerwane.

To teraz miał o czym myśleć.

Właściwie to myślał przez całą resztę nocy.

Kiedy przyszedł do piwnicy Komendy Głównej chwilę przed jedenastą, nie miał nastroju ani czytać akt sprawy, ani skonfrontować się z zatrważającym widokiem, który objawił mu się w piwnicznym korytarzu.

Nie zostawiono nawet centymetra kwadratowego, przez który przezierałby kolor ścian. Po obu stronach dużej tablicy z materiałami do bieżących spraw i ciągnącymi się między nimi

sznurkami stały rzędem regały niczym prężąca się, koreańska parada wojskowa, a Assad i Rose byli pochłonięci ich zapełnianiem.

– Inspekcja przeciwpożarowa dozna szoku – brzmiały jego pierwsze słowa.

– W takim razie dobrze, że dopiero co tu byli i przez jakiś czas się nie zjawią – rozległo się z głębi kartonu, w który Rose wetknęła górną część ciała.

Carl z trudem dostał się na swoje miejsce i walnął nogi na biurko.

– Czytam! – zawołał na wszelki wypadek, żeby nie zamierzali prosić go o pomoc przy wypakowywaniu.

Siedział przez chwilę, zastanawiając się, co będzie dla niego najlepsze. Parę papierosków czy drzemka?

– Lepiej od razu zabierz to do siebie – rozległ się głos Rose, jeszcze zanim weszła do gabinetu Carla.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jak udało jej się unieść tak wielki stos. W każdym razie wylądował on między nogami Carla, grożąc zarwaniem blatu.

– To są ksera, posegregowane. Po prostu zacznij od góry. Dobrej zabawy!

Nawet jeśli Carl nie chciał się do tego przyznać, lektura, którą Rose wydobyła ze spuścizny po Habersaacie, była całkiem ciekawa. Wręcz aż nazbyt ciekawa. Jeśli chciałoby się choć powierzchownie zorientować w materiałach zebranych przez bornholmskiego policjanta, trzeba by mieć mózg chłonny jak gąbka albo cholernie dużo miejsca na ścianach, by pozawieszać to wszystko i zdecydować, co jest bezwartościowe, a co wręcz przeciwnie.

Carl rozejrzał się po rozgardiaszu, który nazywał swoim gabinetem. Zgromadził niewiarygodną liczbę przedmiotów, których obecność tutaj bynajmniej nie była konieczna. Będąc w szczególnym nastroju, Rose określała cały ten bałagan i brud Carlowym „smakiem życia”, a w normalniejszych chwilach nazywała jedynym barwnym i ciekawym wyposażeniem tego pokoju, do którego to wyposażenia zaliczała również Mørcka.

– Gordon! – zawołał. – Chodź no tu na chwilę, ty długa tyko! – Każe mu pozbyć się tego dziadostwa.

– Gordon ma focha – odezwał się z korytarza Assad.

Focha? Tak jakby to było coś szczególnego, kto, do cholery, nie ma focha w miejscu pracy? Byłoby gorzej, gdyby postawili jego biurko pośród kartonów.

Wstał, przywłókł z korytarza pusty karton i załadował go zbędnymi rupieciami z gabinetu. Rose zapewne dostanie udaru na widok bezładnej mieszanki dokumentów z zakończonych spraw, brudnej zastawy stołowej, świstków z nieaktualnymi wnioskami, teczek, akt spraw, połamanych ołówków i wypisanych długopisów.

Cofnął się o krok, kiwając z zadowoleniem głową. Widać było kawałek blatu biurka i nieco więcej ściany nad regałem po przeciwnej stronie.

Zaczął od przyklejania kserokopii na samej górze ściany, tak by znalazło się miejsce dla większości tego, co przyniosła Rose.

Jak pomyślał, tak zrobił. W niecałą godzinę na ścianie przyklejone było wszystko, co się dało, i to według jakiegoś porządku. A jednak trudno się połapać w tym materiale, pomyślał, cofając się o kilka kroków, by podziwiać swoje dzieło. Oczywiście, Rose dopilnowała, by znalazły się tu najważniejsze papiery, takie jak zdjęcie mężczyzny z volkswagena busa, raport z miejsca znalezienia ciała, protokół z sekcji zwłok i zdjęcie grupowe semestru jesienno 1997. Ale były tu też papiery, które, delikatnie mówiąc, wydawały się nie na miejscu. Na przykład ksera broszur o terapiach i ruchach alternatywnych, rachunki ze sklepów i wywiady z różnymi miejscowymi mieszkańcami, wymieniając pierwsze z brzegu.

Pośrodku tego wszystkiego wisiała dość duża kolorowa kopia zdjęcia Alberte. Niczym anioł, niewinna, o różowych policzkach i zdrowych, mocnych rysach i zębach, królowała pośród wszystkich tych luźnych wątków, wpatrując się prosto w Carla, jakby jedyny na świecie posiadał kamień mądrości. Bez względu na to, w którym miejscu gabinetu się znajdował, spoglądały na niego jej piękne, świetliste zielone oczy. „Carl, rozwiąż tę sprawę” – błagały.

Nie było wątpliwości, że Rose starannie wybrała tę fotkę.

– Rose, Assad! Chodźcie zobaczyć! – zawołał z cieniem dumy w głosie.

– Okej – odparła Rose, podpierając się pod boki i patrząc na jego dzieło. – Nagle widać kurz, który zalegał tu od miesięcy. Ładnie, Carl. – Demonstracyjnie pociągnęła palcem po regale i pokazała im go.

– Super, Carl – przyszedł mu w sukurs Assad, kiwając głową na widok ściany.

– Poszedłbyś ze mną? – Rose zniecierpliwiona chwyciła Carla za rękaw i pociągnęła go do pomieszczenia, w którym parę dni temu Assad smarował po ścianach.

– Spójrz. – Przesunęła palcem po regałach na korytarzu. – Udało się nam znaleźć miejsce na wszystkie najważniejsze materiały. Właśnie je układamy według tego samego systemu, jakiego w domu używał Habersaat, choć z domieszką profesjonalnego zmysłu logicznego – ciągnęła, wlokąc go w głąb korytarza. – Natomiast tutaj znaleźliśmy miejsce na coś, co Assad nazwał pokojem sytuacyjnym. Pierwotnie pokój miał być przeznaczony dla Gordona, ale Assad zaproponował, by Gordon przeniósł się do niego i oto jest! – Rozłożyła ramiona w stronę jaskrawożółtych ścian, do których poprzyklejali nie tylko oryginały dokumentów, których ksera otrzymał Carl, ale też mnóstwo załączników.

Mørck pokręcił głową, kiedy do środka wszedł Assad. Dlaczego, do kurwy nędzy, nie powiedzieli mu, że nie musi u siebie harować przy tym jak wół?

– My, to znaczy Assad i niżej podpisana, jak również do pewnego stopnia Gordon, pracowaliśmy nad tym przez cały weekend. Mamy tu najważniejsze notatki i wskazówki z materiałów Habersaata. Jesteś zadowolony? Przyda się to do czegoś?

Powoli pokiwał głową, choć marzyło mu się, by wrócić do domu.

– Myśleliśmy, żeby wstawić tu kilka krzeseł biurowych, żeby można było na nich siedzieć i kręcić się w kółko, rozmyślając – oświadczył Assad.

– Owszem, a dla każdej kategorii dokumentów sprawy istnieje dodatkowa opcja, by podejść do regałów i nie tylko zerknąć w cały materiał Habersaata, ale też, mam nadzieję, zrozumieć strategię, cel i wnioski z jego śledztwa – dodała Rose.

– Dziękuję – odparł Mørck. – Naprawdę doskonale. A gdzie jest Gordon? Krzyczałaś, że ma focha?

Tym razem to Assad z nim wyszedł.

Z jego gabinetu dobiegało szuranie, więc ten tyczkowy gamoń pewnie się właśnie tam urządził.

– Dzień dobry, Carl – odezwał się Gordon nieśmiało zza drugiej strony Assadowego biurka. Rzeczywiście miał focha. Nieszczęsny dryblas miał tam tak mało miejsca, że kolana wystawały mu nad blatem, a reszta długich odnóży zapewne gięła się niemiłosiernie pod stołem. Właściwie to miejsca między Gordonem a regałem za jego plecami, gdzie znajdowały się zdjęcia starych ciotek i stryjenek Assada, było tak niewiele, że aby w ogóle wstać, musiał wbijać się w krawędź biurka.

Niejeden nazwałby to miejsce klaustrofobicznym, ale Carl wolał je określić torturą w czystym wydaniu. Przy takiej budowie ciała facet jednak zapewne już się do tego przyzwyczaił.

– Pięknie się urządziłeś u Assada, Gordon – stwierdził ze skąpym uśmiechem pocieszenia na ustach. – Masz szczęście, że trafił ci się taki dobry współlokator, prawda?

Może to przez nacisk blatu, może przez zmęczenie, ale czy jego głos nie zabrzmiał o pół oktawy wyżej, gdy falsetem próbował potwierdzić?

– Postanowiliśmy nazwać Gordona menadżerem sprawy – odezwała się Rose. – Chodzi o to, by zapoznał się z wszystkimi aktami sprawy Habersaata, tak byśmy mogli wszystko u niego sprawdzić jak w leksykonie. Nasza trójka będzie mogła skoncentrować się na podążaniu tropami, które mogą się pojawić, a potem Gordon spróbuje wyłonić z tego system, według którego wszystko się ze sobą wiąże.

– Doskonale. A gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla mnie, jeśli wolno spytać? – chciał wiedzieć Carl.

– Ty jesteś oczywiście bossem, jak zawsze – zaśmiał się Assad.

Bossem! Czyżby to słowo zyskało nową definicję?

Tu, w pokoju sytuacyjnym szybko się okazało, że liczne i nierzadko nieporadne wątki śledztwa wyłonione przez Habersaata wymagają dodatkowego posortowania, zanim ekipa na dobre weźmie się do roboty.

– Można zadać sobie pytanie, dlaczego strony ze zjawiskami okultystycznymi zajmują tu tyle miejsca? Czy to nas w ogóle interesuje? – spytał Carl.

– Może Habersaat próbował wszystkiego, żeby się lepiej poczuć – rzucił Assad. – Kiedy ludzie źle się czują, wymyślają dużo głupot.

Rose ściągnęła brwi.

– A skąd wiesz, czy to są głupoty? Może sam osobiście kontaktowałeś się z prorokami? Nie, pewnie nie, prawda? A jednak mocno w nich wierzysz i moim zdaniem to całkiem w porządku. Bo nie ma w tym nic złego, co?

– Nie, ale...

– Dobrze. Tak więc rzeczy typu hinduska mistyka, uzdrawianie, jasnowidzenie i tak dalej nie można całkowicie odrzucić, prawda?

– Nie, ale...

– Ale co?

– Chodzi mi o te wszystkie dziwne słowa, które według mnie brzmią wariacko. Trudno to traktować poważnie.

Carl przesunął wzrokiem po oblepionych ścianach, na których znajdowało się mydło i powidło.

„Aktywacja DNA przy pomocy archaniołów”, „dźwiękowa terapia wedyjska”, „wykłady transformujące”, „psychiczne mapy” i wiele więcej w tym stylu.

Większość brzmiała, łagodnie mówiąc, osobliwie, więc musiał przyznać rację Assadowi.

– Już o tym rozmawialiśmy – przejął inicjatywę. – Ale jeśli pytacie mnie o zdanie, to nie uważam, by człowiek tak pragmatyczny jak Habersaat uciekał się do takich rzeczy. Powiedziałbym raczej, że to była część jego śledztwa. – Okręcił się na krześle i spojrzał na zdjęcie człowieka z volkswagenem. – Wiemy, że ten facet mieszkał w jakiejś hipisowskiej komunie, która miała swoje własne rytuały i nocne seanse z tańcowaniem na golasa, malowaniem ciała i tak dalej. No i nad ich drzwiami wisiała tabliczka, wspominał o tym ten stary biegacz. Co tam było napisane, Assad?

Wezwany przekartkował swój notes; musiał cofnąć się o co najmniej dwadzieścia stron, więc chwilę to zajęło.

– „Sklepienie niebieskie” – oświadczył sucho.

– Posłuchaj, Rose. Wydaje mi się, że ten materiał jest na swój sposób ważny, dlatego chciałbym, żebyś się za to zabrała. Podzwoń ewentualnie do tych wszystkich bornholmskich stowarzyszeń, czy jak je zwał, które zajmują się takimi rzeczami, i spróbuj podrażnić, czy może ktoś miał kontakt z choćby jedną osobą z tej komuny w dziewięćdziesiątym siódmym. W tym czasie Assad przyswoi sobie co nieco wiedzy z materiałów znajdujących się w tym pokoju i może przy okazji umówi się z tym artystą, który gwizdnął rower Alberte?

Assad uniósł kciuk w górę.



- Może zorganizujemy tu jeszcze stoliczek, na którym można by postawić herbatę? Carla przeszły ciarki. Czy już nigdy nie uwolni się od tego dławiącego smrodu?
- Skoczę pogadać do Tomasa Laursena, jak namówić techników z Rødovre, by ponownie zajęli się sprawą i zerknęli na kilka rzeczy.
- Przy okazji zabierz to. – Rose zdjęła kartkę ze ściany.
- Okej, co to jest? – Carl wziął skrawek papieru z luźno zanotowanymi zdaniem i taśmą klejącą, pod którą znajdowała się cienka drzazga o długości niecałych dwóch centymetrów. „Drzazga znaleziona w linii prostej między rowerem zlokalizowanym w krzakach i miejscem, gdzie najprawdopodobniej na niego najechano” – było napisane pismem Habersaata.
- Rose zdjęła kilka notatek wiszących pod kartką z drzazgą.
- Tutaj masz historię związaną z tą drzazgą – powiedziała.
- Notatka odnosiła się do daty cztery dni po zniknięciu Alberte i trzy po jej znalezieniu przez Habersaata. Carl przeczytał na głos:

### *Raport do użytku własnego*

*Poniedziałek 24 listopada 1997, godz. 10.32*

*Po opuszczeniu terenu przez techników niżej podpisany znajduje drzazgę z przetworzonego drewna, leżącą sześć metrów na północ od roweru Alberte Goldschmid. Uznaje się więc, że miejsce znalezienia znajduje się mniej więcej w linii prostej od miejsca najechania na rower do miejsca jego upadku.*

*Następnie drzazga zostaje poddana oględzinom przez miejscowy zespół techników. Najprawdopodobniej materiał to brzoza, ale pozostałości kleju wskazują na to, że może pochodzić ze sklejki.*

*Jako że w miejscu wypadku nie znaleziono podobnych fragmentów, technicy orzekli, że drzazga nie ma nic wspólnego z zajściem.*

*Zdaniem niżej podpisanego jest to ocena nietrafna, dlatego zgłasza to prowadzącemu śledztwo komisarzowi Jonasowi Ravnå, wnosząc o szczegółową analizę drzazgi przez techników policyjnych z centrali w Kopenhadze. W wyniku wezwania na kontrolę pojazdów znajdujących się na wyspie nie natrafia się jednak na materiał, który można połączyć ze znaleziskiem, i wniosek zostaje oddalony.*

*W wyniku wywiadu przeprowadzonego ze mną w lokalnej stacji telewizyjnej, w którym poszukuję ewentualnych znalezionych uszkodzonych fragmentów sklejki, otrzymuję dwadzieścia zgłoszeń, przede wszystkim od osób miejscowych, które znajdują płyty ze sklejki pochodzące z budowy. Wszystkie płyty są z drewna świerkowego.*

*Po tym nie ma już żadnych tropów.*

*Christian Habersaat, Listed*

Carl skinął głową. Osiemdziesiąt procent harówki, dwieście pięćdziesiąt procent tropów prowadzących donikąd. Takie właśnie jest życie detektywa.

– Ale spójrz tutaj. – Rose ściągnęła trzecią kartkę.

Były to kolejne akta z prywatnej teczki Habersaata.

*Środa 2 sierpnia 2000*

*Znaleziono płytę drewnianą, która utkwiała na skałach przy Hammerknuden.*

*Dziesięcioletni chłopiec, Peter Svendsen, podczas zabawy wyciąga zaklinowaną płytę ze sklejki przy Wielbłądzich Głowach.*

*Płyta jest ciężka, chłopak zostawia ją na ziemi. Jego ojciec, miejscowy strażnik, Gorm Svendsen, z którym niżej podpisany pracował przy znalezieniu ciał rozbitków z kutra „Piana Morska”, kontaktuje się z niżej podpisanym. Gorm Svendsen przypomina sobie wywiad ze mną w lokalnej telewizji, w którym poszukuję płyt ze sklejki, z których ewentualnie mogłaby pochodzić drzazga.*

*Znaleziony przy skałach fragment płyty jest częścią większej, prawdopodobnie wysokiej na metr i szerokiej na dwa. Jest mocno zniszczony, ale przypuszczalnie pierwotnie odporny na działanie wody, bo miejsce klejenia między kilkoma warstwami pozostało nienaruszone.*

*Na jednej stronie płyty widać nawiercone otwory i ciemniejsze ślady po jakimś przedmiocie, który do płyty przylegał.*

*Wnoszę o wnikliwą analizę rodzaju drewna, którą w końcu udaje się uzyskać po perturbacjach z przełożonymi wydziału.*

*Materiał również jest wykonany z drewna brzoźowego, ale dokładna analiza nie pozwala ustalić ze stuprocentową pewnością, czy drzazga pochodzi z tej samej płyty.*

*Zważywszy że płyta powstała w wyniku sklejenia licznych warstw, wysnuwam teorię, że drzazga pochodzi z wierzchniej powłoki, która w wyniku upływu czasu i działania słonej wody została z niej zdarta.*

*Wraz z technikami oceniamy, że prawdopodobnie chodzi o płytę o szerokości od 20 do 24 mm, z czego wewnętrzna część o szerokości 18 mm wciąż jest nienaruszona.*

*Następnie wnioskuję o analizę porównawczą kleju z drzazgi i sklejki, której dotychczas nie wykonano, lecz wniosek zostaje odrzucony.*

*Podsumowując: jestem przekonany, że płyta ma związek z wypadkiem, ale jednocześnie przyznaję, że znaleziska pochodzące z zatonięć są na wyspie tak codzienną sprawą, że muszę przyjąć do wiadomości, że zbieżność rodzajów drewna jest kwestią przypadku.*

*Christian Habersaat*

Pod spodem zaś dodano czerwonym długopisem:

*Płyta ze sklejki, znaleziona 2 sierpnia 2000, zaginęła.*

*Prawdopodobnie uległa zniszczeniu.*

– Jak się nazywały te skały, o których pisał? – spytał Assad.

– Wielbłądzie Głowy.

Skinął głową ucieszony. Niewiele mu było trzeba.

Carl zwrócił się do Rose.

– Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że daleko z tym nie zajdziemy. Skoro drzazgę przeanalizowano tak dokładnie, a płyta zniknęła, to nad czym, twoim zdaniem, technicy mieliby pracować?

– Nad tym, by znaleźć cokolwiek, co pozwoliłoby potwierdzić, że drzazga pochodzi z tej płyty.

– Mamy choćby zdjęcie tej sklejki?

– Sprawdzę! – zawołał Assad i zniknął na korytarzu.

– Ale jeśli nie znajdą tego związku, na którym tak ci zależy, to o czym chciałbyś rozmawiać z technikami, Carl?

Siedział przez chwilę, wpatrując się w drzazgę.

– Habersaat podejrzewa, że płyta została użyta podczas wypadku, więc jest to jakiś punkt wyjścia. Wiesz może, czy w którymś momencie wyrysowano przypuszczalną trajektorię ruchu ciała od miejsca uderzenia do gałęzi drzewa? I przy okazji: trajektorię lotu roweru?

Wzruszyła ramionami.

– Przeczesanie tego wszystkiego zajmie nam dobrych parę godzin, ale mam nadzieję, że znajdę taki rysunek. Co myślisz?

– To samo, co ty i Habersaat. Że płytę przymocowano na przodzie volkswagena. Właśnie dlatego muszę zobaczyć jej zdjęcie i umiejscowienie tych nawierceń. Czy to w ogóle możliwe, że płytę przymocowano do tego dziwaczego zderzaka?

Minął Assada, stojącego przy regałach, kiwając do niego głową. Jeśli ktoś ma w ogóle znaleźć rysunek w tym totalnym rozgardiaszu, to będzie to on.

W stołówce na czwartym piętrze zastał zaskakująco bladego i wychudzonego Tomasa Laursena, którego sylwetka jeszcze parę tygodni temu wyglądała całkiem dostatnio.

– Co z tobą, chłopie? Chorujesz? – spytał z troską.

Laursen, niegdyś najlepszy technik w policji, obecnie zaś menadżer stołówki na Komendzie Głównej, pokręcił głową.

– Żona jest na diecie pięć na dwa, mnie też do niej zmusiła.

– Dieta pięć na dwa? Co to takiego?

– Przez pięć dni jesz bardzo mało, a przez dwa dni poćsisz, ale moim zdaniem wygląda to inaczej. Poćsisz przez pięć dni, a przez dwa dni jesz tyle co nic. Nie jest to łatwe dla kogoś, kto ma obwód w pasie jak Święty Mikołaj.

– A co z tym wszystkim? – Carl wskazał na kuszące talerze z daniami lunchowymi, wystawione na ladzie za szybą. – Nie możesz próbować własnych dań?

– Oszalałeś?! Jak tylko wrócę z pracy, każe mi stawać na wadze.

Carl poklepał przyjaciela po ramieniu. Parszywy los.

– Nie skłoniłbyś swoich dawnych przyjaciół z technicznego w Rødovre, by wyciągnęli z szuflady pewną starą analizę i jeszcze raz się jej przyjrżeli? Dobrze by było, gdyby mieli fotki tych przedmiotów. To zajmie chwileczkę.

Laursen skinął głową. Dusza technika ciągle w nim żyła.

– A jeśli istnieje takie zdjęcie, czy mógłbyś poprosić ich, by ocenili, skąd mogły się wziąć ślady po jednej stronie płyty? Chciałbym się też dowiedzieć, czy analizowano, jak długo płyta przebywała w wodzie.

Laursen spojrział na Carla ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem, dlaczego tych dokumentów miałyby tam już nie być. W Danii morderstwa nie ulegają przedawnieniu.

– Właśnie w tym tkwi problem, Tomas. Tej sprawy nigdy nie traktowano jako morderstwo.

– Assad, znalazłeś zdjęcie płyty? – spytał Carl w drodze do garaży.

– Nie. – Kolega pokręcił głową. – Za dużo półek, za dużo papierów.

– Umówiłeś nas z tym artystą-szrociarzem?

– Tak, za półtorej godziny będzie w swojej pracowni. – Assad spojrzął na zegarek. – Może w międzyczasie zajrzemy do rodziców Alberte? Mieszkają w Hellerup na Dyssebakken.

Carl zmarszczył czoło.

– Aha. Jak zareagowali na informację, że sprawa została wznowiona?

– Matka się popłakała.

Właśnie tego się spodziewał. Nie zanosì się na wesołą wizytę.

Pięć minut później skręcili w willową uliczkę, po czym Assad wskazał na dobrze utrzymany bungalow pomalowany na czerwono. Było tam wszystko, co być powinno, by stworzyć porządne i pożądane warunki dla zdrowego, duńskiego życia rodzinnego. Furtka do ogrodu z nieobrobionego drewna, brzoza o zwisających gałęziach i ligustrowy żywopłot przed domem, pokryta mchem ścieżka z ułożonych malowniczo płytek, pośrodku zaś ogrodu maszt z wciągniętą duńską flagą.

Czyli ktoś jeszcze pamiętał o dniu wyzwolenia Danii w 1945. W Allerød nie widział tych flag zbyt wiele. Ale czy on sam by o tym pamiętał, gdyby miał maszt?

– Proszę wejść – powiedziała kobieta o oczach pozbawionych blasku. – Mój mąż nie za bardzo chce rozmawiać, więc ja będę mówiła – dodała po chwili.

Przywitali się z pulchnym mężczyzną z wysoko podciągniętymi spodniami; widać było, że to nie po nim Alberte odziedziczyła urodę. Kiedy usiadł i przechylił głowę, jego jarmułka nieco się zsunęła. Czyżby nie mocowało się ich wsuwkami?

Carl rozejrzał się wokół. Gdyby nie jarmułka i siedmioramienny świecznik, nigdy by nie pomyślał, że przyszedł do domu ortodoksyjnych Żydów. Może przede wszystkim dlatego, że nie miał zielonego pojęcia, jak takie domy wyglądają.

– Odkryliście coś nowego w sprawie? – spytała pani Goldschmid bezbarwnym głosem.

Opowiedzieli jej pokrótce o samobójstwie Habersaata i stworzeniu pokoju sytuacyjnego w piwnicy Komendy Głównej.

– Christian Habersaat przysporzył nam więcej smutku niż radości – odezwał się z fotela tubalnym głosem mężczyzna. – Wy też macie taki zamiar?

Carl zaprzeczył. Chciał stworzyć pełny obraz Alberte, choć dobrze wiedział, że opowiadanie o niej samo w sobie może być dla nich trudne.

– Chcecie wiedzieć więcej o naszej córce? – Pani Goldschmid pokręciła głową, jakby w tej kwestii nie potrafiła już dodać nic nowego i sprawiało jej to ból. – Habersaat też chciał. Najpierw policja kryminalna z Bornholmu, potem Habersaat.

– Sugerował, że nasza córka była dziwką – przejął inicjatywę jej mąż. Ton jego głosu nie wyrażał złości, lecz raczej nienawiść.

– Eli, wcale tak nie mówił, bądźmy sprawiedliwi. Przecież ten człowiek nie żyje. Może się zabił z powodu naszej córeczki... – zamilkła, próbując się opanować. Jej ręce złożone na kolanach zrobiły się niespokojne, szalik na szyi jakby nagle zaczął ją dusić.

Mężczyzna skinął głową.

– Zgoda, tego słowa akurat nie użył. Ale i tak sugerował, że Alberte zaangażowała się w jakiś związek, a to naszym zdaniem nieprawda.

Carl spojrział na Assada. Wprawdzie ciało nie nosiło śladów przemocy seksualnej, ale czy była dziewicą? Wyjął koledze notes z ręki, napisał w nim „dziewica?” i oddał.

Assad pokręcił głową.

– To chyba możliwe, że miała romans – rzucił Carl. – Nie byłoby w tym nic dziwnego w przypadku dziewiętnastoletniej dziewczyny, nawet wówczas. Wiemy w każdym razie, że się z kimś spotykała, jak to mówią. Zapewne państwo też o tym wiedzą.

– Oczywiście, że Alberte miała zalotników, była bardzo piękną dziewczyną, przecież dobrze wiem... – Tym razem to mężczyźni załamał się głos.

– Jesteśmy zupełnie zwyczajną, żydowską rodziną – przejęła inicjatywę żona. – Wierzymy, że Alberte była porządną dziewczyną, więc nie myślimy o niej nic złego, nie możemy i nie chcemy. Ale Habersaat posuwał się coraz dalej. Twierdził, że Alberte nie była dziewicą, więc mu powiedziałam, że nie można tego stwierdzić, bo intensywnie uprawiała gimnastykę, a wówczas może się tak zdarzyć, że... tak, że...

Słowa „błona dziewicza” po prostu nie mogły jej przejść przez gardło.

– Właśnie dlatego nie chcieliśmy rozmawiać z Habersaatem, bo naszym zdaniem mówił mnóstwo brzydkich rzeczy – ciągnęła. – Wiem, że na tym polega praca policjanta, by patrzeć na te sprawy właśnie w taki sposób, ale był taki wulgarny. Za naszymi plecami wypytywał też rodzinę i przyjaciół, jaka była Alberte, ale nic nie wskórał.

– Czyli w tamtym czasie nic nie wzbudzało państwa niepokoju, jeśli chodzi o zachowanie Alberte i jej pobyt na uniwersytecie ludowym?

Spojrzeni po sobie. Nie byli starymi ludźmi, zapewne tuż po sześćdziesiątce, ale sprawiali wrażenie sędziwych. Ich nawyki i przekonania nie uległy zmianie od lat, co było widać najlepiej, gdy na siebie patrzyli. „Znów to samo” – zdawały się mówić ich spojrzenia i raczej nie miało to związku z ograniczeniami i restrykcjami płynącymi z ich ortodoksyjnego spojrzenia na życie, lecz z goryczą, która jest następstwem wstrząsu.

– Widzę, że to dla państwa trudne, ale Assad i ja niczego nie pragniemy bardziej niż postawienia przed sądem osoby odpowiedzialnej za śmierć Alberte. Dlatego pewnych teorii nie możemy wykluczyć, podobnie jak nie możemy przyjmować stanowiska ani państwa, ani Habersaata w kwestii poczynań państwa córki. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

Tylko kobieta skinęła głową.

– Alberte była państwa najstarszym dzieckiem?

– Mieliśmy Alberte, Dawida i Sarę. Została nam tylko Sara. Jest wspaniałą dziewczyną. – Uśmiechnęła się z przymusem. – W samą Rosz Haszanę dała nam cudownego wnuka. Lepiej nie mogło się złożyć.

– Rosz...?

– Żydowski Nowy Rok – mruknął Assad.

Pan domu skinął głową.

– Jest pan może Żydem? – spytał ze wzmożonym zainteresowaniem.

Assad się uśmiechnął.

– Nie. Takie rzeczy się wie, jak się jest światłym człowiekiem.

Na twarzach obojga pojawiło się pełne olśnienia „ahaaaa”. Światły człowiek, proszę, proszę.

– Wspomniała pani Dawida. To starszy brat Alberte? – spytał Carl.

– Był jej bratem bliźniakiem. Owszem, był starszy, ale tylko o siedem minut. – Pani Goldschmid znów próbowała się uśmiechnąć, ale nie było to łatwe.

– I Dawida już nie ma?

– Nie, nie mógł się pogodzić ze śmiercią siostry i po prostu usechł.

– Bzdura, Rachel. Dawid zmarł na AIDS – wyznał hardo jej mąż. – Proszę wybaczyć mojej żonie, ale wciąż jest nam trudno zaakceptować sposób życia Dawida.

– Rozumiem. Ale on i Alberte byli sobie bliscy?

Pani Goldschmid uniosła dwa splecione palce.

– Tak, nierozłączni. – Zwróciła się do męża. – Eli, jego to złamało, przecież wiesz.

– Szanowni państwo, czy mogę spytać o coś zupełnie innego? – wtrącił Assad.

Z ulgą przystali na zmianę tematu. Światłym ludziom się ot, tak nie odmawia, szczególnie jeśli człowiek sam uważa się za jednego z nich.

– Dostawali państwo pocztówki od Alberte? Albo listy czy coś takiego? W końcu przebywała poza domem przez ponad cztery tygodnie, może nawet pierwszy raz w życiu, zgadza się?

Pani Goldschmid się uśmiechnęła.

– Owszem, dostaliśmy kilka. Oczywiście z lokalnymi osobliwościami. Wciąż je mamy, chcą je panowie zobaczyć? – Spojrzała na męża, jakby szukając aprobaty. Nie uzyskała jej. – Nie pisała zbyt dużo. Po prostu o szkole i o tym, co robią. Doskonale śpiewała, potrafiła też rysować. Mogę panom pokazać, czym się przedtem zajmowała.

Mężczyzna już chciał zaprotestować, ale jego żona opamiętała się i utkwiała wzrok w podłodze. Carl odniósł wrażenie, że z tych dwojga to ojciec dziewczyny bardziej się pogodził z jej śmiercią.

Poprowadziła ich wąskim korytarzem z trojgiem drzwi.

– Zostawili państwo paniński pokój Alberte nietknięty? – spytał Carl ostrożnie.

Pokręciła głową.

– Nie, urządziliśmy go dla Sary i Benta oraz oczywiście dla maluszka, kiedy przyjeżdżają nas odwiedzić. Mieszkają w Sønderborgu, a dobrze mieć gdzie się przespać, gdy przyjeżdża się do miasta. Nie, rzeczy Alberte leżą tutaj.

Otworzyła drzwi do pomieszczenia gospodarczego, gdzie piętrzył się stos kartonów, w każdej chwili grożący zawaleniem.

– To przede wszystkim ubrania, ale w pudle na samej górze znajdziecie wszystkie rysunki i pocztówki.

Zdjęła karton i uklękła przy nim na podłodze. Carl i Assad zrobili to samo.

– Te wisiały u niej na ścianie. Jak panowie widzą, nie była zwyczajną dziewczyną.

Rozwinęła kilka plakatów z idolami popu i celebrytami z tamtych czasów. Prawdę mówiąc, bardzo zwyczajne.

– A tu są rysunki.

Położyła je na kupce na podłodze i zaczęła powoli kartkować, aż rozboleły ich kolana. Pod względem technicznym były świetne: delikatne, ostre pociągnięcia ołówkiem i wyraźne kontury, ale jeśli chodzi o motywy, aż biła z nich niedojrzałość. Unoszące się w powietrzu dziewczęta o długich nogach i w przebraniu wróżek, udekorowane gwiazdnym pyłem i serduszkami. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowała się w fazie wzmożonej fascynacji romantycznością.

– Nie są datowane. Czy narysowała je na Bornholmie?

– Nie, nie odesłali nam jej prac. Myślę, że były na wystawie – powiedziała z dumą w głosie.

– Tu są pocztówki – odgarnęła rysunki i wyjęła z plastikowej koszulki trzy kartki, po czym z pietyzmem podała je Carlowi.

Assad czytał mu nad ramieniem.

Były to trzy lśniące i zaczytane widokówki z motywami z rynku w Rønne, twierdzy Hammershus i letniego widoczku ze Snogebæk – z wędzarnią, mewą w locie i kawałkiem morza. Alberte wypisała je drukowanymi literami, długopisem. Zawierały krótkie i treściwe opisy wrażeń z paru wycieczek po wyspie, nic poza tym.

„Czuję się dobrze, uściski” – brzmiało zakończenie wszystkich trzech.

Pani Goldschmid westchnęła, z twarzą ściągniętą bólem.

– Spójrzcie, ostatnia jest datowana zaledwie trzy dni przed jej śmiercią. Straszne, jak się o tym pomyśli.



Wstali, masując kolana i podziękowali.

– Co znajduje się za pozostałymi drzwiami, jeśli wolno zapytać, pani Goldschmid? – spytał Assad, spoglądając na korytarz. Jasny gwint, jaki się nagle zrobił uprzejmy!

– Och, nasza sypialnia i pokój Dawida.

Carla zatkało.

– Więc w pokoju Dawida nie urządzili państwo pokoiku dziecięcego?

Znów sprawiała wrażenie zmęczonej.

– Dawid wyprowadził się z domu, kiedy miał raptem osiemnaście lat, zostawiając po sobie straszny bałagan. Mieszkał na Vesterbro, dodam, że w nie najlepszym miejscu, a gdy umarł w dwa tysiące czwartym roku, jego przyjaciel przysłał nam wszystkie rzeczy po nim. Wstawiliśmy je po prostu do pokoju.

– A więc nigdy ich państwo nie przeglądali?

– Nie, nie mieliśmy siły. To już było dla nas za dużo.

Carl spojrzał na Assada, który odpowiedział mu skinieniem.

– Wiem, że to może wydawać się dziwne i nie na miejscu, ale czy możemy rzucić okiem na te przedmioty?

– Sama nie wiem... W jakim celu?

– Mówią państwo, że Dawid i Alberte byli sobie bliscy. Może miała z nim kontakt podczas swojego pobytu na uniwersytecie ludowym? Może do niego też pisała?

Coś się stało z jej twarzą. Jakby bolesna prawda próbowała przebić się do jej świadomości, a ona na to nie pozwalała. Naprawdę nigdy o tym nie pomyśleli?

– Muszę najpierw spytać męża – odparła, uciekając wzrokiem.

W pokoju Dawida, gdzie pod ścianą i na łóżku stało mnóstwo kartonów, widać było liczne dowody na żydowskie pochodzenie rodziny, czego nie dało się powiedzieć o reszcie domu. Na ścianie wisiała gwiazda Dawida, plakat z przerażonym chłopczykiem z żydowskiego getta w Warszawie, zdjęcia z bar micwy samego Dawida w brązowej ramce z drzewa sandałowego, szal, który nosił na ramionach przy tej okazji. Wszystko to przybito do ściany gwoździkami. Nad biurkiem znajdowała się półeczka z drewna tekowego z literaturą pisarzy żydowskiego pochodzenia, takich jak Philip Roth, Saul Below, Singer, oraz pisarek Janiny Katz i Pii Tafdrup. Trudno to było nazwać typową biblioteczką młodego mężczyzny. Ale w pokoju rzucało się w oczy coś jeszcze. Stanowił on mianowicie barwny konglomerat buntu i niechęci wobec środowiska przedmieść i bezpiecznej sztampy. Na parapecie stały figurki z Warhammer Fantasy-Battle, na ścianach widniały plakaty z festiwalu w Roskilde i kilka z George'em Michaeliem i Freddie'm Mercurym. Na małej wieży grającej leżało kilka płyt CD, począwszy od takich grup jak Judas Priest, Kiss, AC/DC, a skończywszy na Cher i Blurze. Ba, na ścianie wisiała nawet zardzewiała maczeta parang na krzyż z niezłą kopią miecza samurajskiego. Niewątpliwie dużo dzieliło Dawida od pulchnego taty Eliego siedzącego w fotelu.

Zaczęli przeszukiwanie pudeł od jednego końca i już przy wypakowywaniu pierwszego zyskali dowód alternatywnego stylu życia Dawida Goldschmida. Wyjęli z niego mnóstwo kolorowych koszul, dopasowanych płaszczy i drogich garniturów. Świeżo wyprasowanych i wypranych, jakby były zupełnie nowe. Oto mężczyzna, który miał styl i gust, a także dość gruby portfel. Zobaczyli jego dyplomy z uczelni ekonomicznej z fantastycznymi ocenami i referencjami oraz umowę o pracę w renomowanym przedsiębiorstwie. Zdecydowanie był synem, z którego rodzice powinni być dumni.

Przy wypakowywaniu trzeciego kartonu Assad na coś natrafił.

Większość pocztówek w pudełku po cygarach przysłał mężczyzna, Bendt-Christian, który słał pozdrowienia między innymi z Bangladeszu, Hawajów, Tajlandii i Berlina. Tekst zaczynał się zawsze od „Najdroższy Dawidowiczu” i tu i ówdzie zawierał różne czułe uwagi, ale poza tym był dość neutralny w tonie. Gdy dotarli do pocztówek od Alberte, okazało się, że przypominały te wysłane do rodziców. Po prostu krótkie i rzeczowe opisy dnia, do którego odnosiła się widokówka, i mnóstwo zapewnień, że tęskni za bratem.

– Wiele tu nie wskóramy – zdążył stwierdzić Assad, gdy Carl wyciągnął kartkę z kościołem Østerlars Rundkirke na odwrocie, gdzie krzyż na kopule budowli został zamalowany czerwonym serduszkiem.

Odwrócił kartkę i przesunął wzrokiem po tekście.

– Czekaj, Assad, nie tak prędko – powiedział. – Posłuchaj, co tu jest napisane:

*Cześć, braciszku. Byliśmy w Østerlars Rundkirke. Niby taki fantastyczny, templariusze i te sprawy, ale najlepsze było to, że poznałam tam fajnego faceta. Wiedział więcej o tym kościele niż człowiek sprzedający bilety, no i był TAKI przystojny. Spotykam się z nim jutro przed szkołą. I wtedy napiszę więcej. Uściski i buziaki, Albertynka*

– Carl, ale numer! Jaka jest data?

Obrócił pocztówkę i przyjrzał się jej, ale daty nie znalazł.

– Potrafisz odczytać stempel na znaczku?

Zmrużyli oczy, lustrując znaczek pod każdym kątem. Prawdopodobnie widniała tam jedenastka. Więcej nie dało się odczytać.

– Czyli musimy spytać dyrektorostwo, kiedy byli na tej wycieczce.

– Carl, tak sobie myślę... Przecież ktoś ze szkoły musiał przy tej okazji zrobić jakieś zdjęcia.

Mørck powątpiewał. W porównaniu z dzisiejszą rzeczywistością cyfrową, kiedy wszystko dokumentowano do znudzenia i kiedy każdy choć trochę szanujący się człowiek miał smartfon lub aparat cyfrowy w gotowości, by uchwycić wszelkie błahostki tego świata i zrobić sobie selfie, rok 1997 był epoką kamienia łupanego.

– Cóż, miejmy nadzieję. I że facet, o którym mowa, załapał się na jakieś zdjęcie.

Grzebali w pudłach jeszcze przez półtorej godziny, ale nie znaleźli nic, co mogłoby im się przydać. Żadnego imienia, pocztówki wysłanej później, która mogłaby zawierać kolejny rozdział tej katastrofalnej historii, nic.

– I jak poszukiwania? – spytał pan domu, odprowadzając ich do drzwi.

– Dowiedzieliśmy się, że miał pan syna, z którego może być pan dumny – odparł Carl.

Skinął głową w milczeniu. Wiedział o tym dobrze i właśnie to było jego przekleństwem.

Dotarli do atelier Stefana von Kristoffa z co najmniej godzinnym opóźnieniem, ale widać facet nie przywiązywał zbytnej wagi do takich drobiazgów jak konwenanse.

– Witam w mroku – powiedział, naciskając gigantyczną klamkę zapalającą światło w warsztacie, w którym dawno, dawno temu co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn kuło żelazo.

– Wielka rzecz – stwierdził Carl zgodnie z prawdą.

– I ładna nazwa – dodał Assad, wskazując na kutą tabliczkę powitalną, wiszącą pod migającymi świetłówkami. Napis głosił „Stefan von Kristoff – Universitopia”.

– Cóż, skoro Lars von Trier może się stroić w cudze piórka, to czemu ja nie mogę? Nazywam się Steffen Kristoffersen, „von” to dla szpanu.

– Miałem na myśli nazwę atelier.

– Ach, to. Wszystko w moim świecie kończy się na „topia”. Jak rozumiem, chcecie zobaczyć „Przeznaczeniotopię”.

Zaprowadził ich na sam koniec hali, gdzie kilka reflektorów oświetlało tylną ścianę i podłogę do poziomu, na który nie sięgało światło słoneczne.

– Tu ją mamy – powiedział, zrywając płachtę z instalacji wysokości człowieka.

Carl przełknął ślinę. Stała przed nim zapewne najbardziej nieprzyjemna dla oka rzeźba, jaką miał okazję widzieć. Dla niewtajemniczonych zapewne nic szczególnego, ale dla ludzi znających Alberte i jej los, widok był trudny do zniesienia. Gdyby państwo Goldschmid dowiedzieli się o tym gnioście, pozwom nie byłoby końca.

– Piękne, prawda? – spytał ten dureń.

– Skąd ma pan te wszystkie przedmioty i jak zdobył pan informacje o tym, jakie elementy są konieczne, by wykonać tę rzeźbę?

– Przebywałem na wyspie, kiedy to się stało. Mam domek letniskowy i warsztat w Gudhjem. Możecie sobie wyobrazić, ile o tym pisano i mówiono. Kontrolowano wszystkie samochody, w tym mój, więc trudno było tak po prostu zignorować cały ten szum. Nawet w małym Gudhjem wszyscy miejscowi stróże prawa biegali przez okrągły tydzień z latarkami, nie wiedząc, czego szukać. Zresztą, prawdę mówiąc, reszta z nas też to robiła.

Carl przesunął wzrokiem po szkaradzieństwie. Całość skonstruowano z roweru damskiego o powykrzywianych kołach i wykręconej kierownicy. Do stelaża przyspawano pręty zbrojeniowe, tak by wskazywały we wszystkie strony jak promienie, a na końcu każdego pręta wisiał symbol konkretnego zdarzenia i inne nieprzyjemne przedmioty.

Nawet nie było to źle wykonane, ot, pozbawiony gustu zlepek przeróżnych technik. Wokół roweru, pośrodku instalacji, widniały akwaforty z żelaza i mosiądzu, przedstawiające różne rodzaje wypadków samochodowych. Oprócz tego kolorowe przedstawienie w emalii kontroli na promie oraz sztychy rozpikselowanej twarzy Alberte, prawdopodobnie wykonane na podstawie zdjęcia z lokalnej gazety. Były też odlewy fragmentów kości, gałęzi i liści, a przede wszystkim dłoni, wyciągniętych w obronnym geście. Ale nie to było najgorsze. Pod akwafortą z uśmiechniętą twarzą Alberte znajdowała się plastikowa wanna wypełniona krwią.

– Niestety, nie jest to krew ludzka – zaśmiał się Kristoff. – To świńska krew, specjalnie spreparowana tak, by się nie psuła. Jak zaczyna słodkawo załatywać, muszę ją wymienić.

Gdyby człowiek nie był funkcjonariuszem państwowym na służbie, najchętniej wsadziłby mu ten roześmiany pysk do tej wanny.

Assad obfotografował rzeźbę z każdej strony, Carl zaś podszedł bliżej i przyjrzał się rowerowi.

Był to tani produkt, zapewne chiński. Duże koła, spora podpórka i wysoka kierownica. Rdza wyżarła większość złotej farby, a bagażnik obluźował się i zwisał. Nie był to zbyt dobry pojazd.

– Robił pan coś przy nim? Wówczas też tak wyglądał?

– Tak. Gdy go znalazłem, wyglądał dokładnie tak jak teraz. Postawiłem go tylko pionowo.

– Gdy go pan znalazł? Raczej gdy go pan skradł z magazynu policyjnego w Rønne, co?

– Nie, znalazłem go na kupie złomu w kontenerze stojącym w drodze na komendę. Nawet wszedłem do budki wartowniczej, by zapytać, czy mogę go zabrać, i faceci z biura powiedzieli tylko, że jeśli zrobię sobie krzywdę, wyciągając go, to na własną odpowiedzialność.

Carl i Assad chłonęli wrażenia. W ostatnim dniu swego życia Alberte siedziała na tym siodełku, wyobrażając sobie pewnie, że będzie to dzień szczęśliwy.

„Dobrze, że człowiek nie zna dnia, w którym słońce zajdzie dla niego po raz ostatni” – pomyślał Carl. Widok był smutny. Równie makabryczny, co ciała poddane plastynacji, które ostatnio można sobie było pooglądać niemal wszędzie za śmieszne pieniądze.

– Wygląda na to, że macie ochotę kupić instalację – powiedział Kristoff z chytrym uśmiechem na twarzy. – Dla was cena po znajomości. Co powiecie na siedemdziesiąt pięć tysięcy koron?

Carl odwzajemnił uśmiezek.

– Nie, wielkie dzięki. Zastanawiamy się właśnie, czyby jej nie skonfiskować.

## Październik 2013

– Wyczuwam was wszystkich – zaintonował Atu nad głowami ludzi zebranych w świetlicy. – Wyczuwam was wszystkich, a wy wyczuwacie mnie. Dziś współodczuwamy z Maleną, czujemy jej ból i koncentrujemy się na tym, by pomóc jej się go pozbyć.

Pirjo osłupiała, rozglądając się po grupie za Maleną. Nie było jej.

„Czujemy jej ból?” Co, do cholery, Atu chciał przez to powiedzieć? Czy to oznaczało, że to krówsko leży sobie w pokoju Atu, drząc z pożądania? Czy to zapowiedź, że ich dwoje zbliży się do siebie bardziej, niż na to pozwalała Pirjo? Więc może to jednak błąd, że nie pozwoliła tej Murzynce wystawić ich związku na próbę?

Stała przez chwilę z przymkniętymi oczami, rozmyślając.

Pokręciła głową w milczeniu. Nie, to nie był błąd, Wanda Phinn musiała zniknąć, nie mogło być inaczej.

– Spójrzcie na moje ręce – powiedział Atu i wszyscy unieśli wzrok. – Tych z was, którzy pomimo odbytych godzin dla duszy wciąż odczuwają wewnętrzny niepokój, proszę o wyciągnięcie rąk do góry i przygotowanie się do oczyszczenia.

Zareagowało jakieś dziewięć, dziesięć osób.

Wtedy Atu zaczął kiwać się w przód i w tył, trzymając ręce nieruchomo przed sobą.

– Ci, którzy są gotowi, proszę was, skanalizujcie wasz lęk, gniew i zablokowane meridiany waszych ciał na moje ręce. Zachowajcie spokój. Kiedy poczujecie ogarniające was ciepło i spokój, wyzwólcie się i poddajcie.

Osoby, do których się zwracał, zaczęły kiwać się w tę i z powrotem, oddychając ciężko, po czym jedna po drugiej zaczęły padać na ziemię.

– Abanshamash, Abanshamash, Abanshamash, Abanshamash... – rozległo się z ust kilku osób, stojących ze zwieszonymi głowami. Czyli cud znów stał się ich udziałem.

Atu opuścił ramiona, uśmiechając się łagodnie do wszystkich zgromadzonych. Potem zwrócił dłonie w stronę padających na niego promieni słonecznych; zazwyczaj oznaczało to, że seans dobiega końca. Czasami trwały one dziesięć minut, czasami pół godziny. Tego nigdy nie było wiadomo.

– Teraz wróćcie do swojego azylu, by zgromadzić najlepszą energię i posłać ją Malenie, która tak bardzo jej potrzebuje – powiedział w końcu. – Później będziecie odkrywać drogę prowadzącą do głębokiej, niewzruszonej równowagi i spokoju duszy, kierując się standardowymi wskazówkami. Róbcie to z pokorą i dumą w sercu, a zostanie wam dane

wszystko, co może wam dać natura. Chłońcie cząstki wszechświata. Chłońcie wszystko to, z czego powstaliście i czym się staniecie. Niech światło wypali w was smutek i zło. Niech mrok utuli wasze niekontrolowane myśli, by szczyły i was uwolniły. Niech zapanuje słońce i jego energia.

Rozłożył ramiona do błogosławieństwa i ze schyloną głową przyjął ich pożegnanie.

– Jesteśmy gotowi, Abanshamash, widzimy. Widzimy i czujemy. Abanshamash, Abanshamash, Abanshamash.

Pirjo skinęła głową, gdy zgromadzenie się uspokajało i w ciszy zwracało do niej. Za każdym razem wiele osób, w szczególności wyznawców płci męskiej, ceniło sobie to tête-à-tête z Pirjo, a i ona czerpała z niego satysfakcję. Skoro Atu nie potrafił okazać jej fizycznego zainteresowania, to jednak zawsze coś, że robili to inni. Ale Pirjo doskonale wiedziała, że z jej wyglądem jest wszystko w porządku, a mieszanka władzy i urody zawsze stanowiła najskuteczniejszy koktajl, jeśli chodzi o wzbudzanie pożądania. Jej problem polegał na tym, że pragnęła tego, który nie pragnął jej.

– Moim zdaniem wyglądasz dziś pięknie i promieniejesz – odezwał się z tłumu kobiecy głos.

Pirjo dostrzegła twarz Valentyny. Ta kobieta była istnym kameleonem, a w dodatku geniuszem komputerowym. Czasami pogrążona w depresji, innym razem w stanie ekstatycznego szczęścia, czasem krótkowłosa, czasem długowłosa, czasem rozczochrana – lub wręcz przeciwnie – najpiękniejsza istota płynąca po płomiennej podłodze świetlicy. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że jest w szczytowej formie. Koło niej stał mężczyzna z grupy świeżo przybyłych, i trzymał rękę na jej ramieniu, więc najwyraźniej miały tu miejsce nowe, zmysłowe vibracje. Dobrze dla Valentyny, choć w akademii nie pozwalali na wzajemne stosunki cielesne, nim ich aury się ku sobie nie skierują, a potem zjednoczą w słońcu.

– Wyglądasz tak promiennie i czysto – ciągnęła Valentina. Zawsze miała tendencję, by wyróżniać się z tłumu, ale z jej przeszłością to w sumie nic dziwnego.

Pirjo wyprostowała się i odruchowo odwzajemniła uśmiech.

– Idźcie w pokoju – powiedziała jak zawsze. – Kiedy odbędziecie już absorpcję, grupa kuchenna z Domu Ognia może przejść do domu jadalnego i wszystko przygotować.

Jak kot podkradający się do ofiary stanął nagle tuż za jej plecami.

Pirjo doznała szoku.

Zaledwie dziesięć sekund wcześniej złapałby ją na gorącym uczynku, jak wymazuje wszystkie dzisiejsze nagrania z kamer monitorujących wjazd i Stajnię Zmysłów. Gdyby padły jakieś pytania, Pirjo nie wiedziałyby, co mówić.

Uspokoiła się i powoli obróciła na fotelu biurowym, patrząc na niego z wyrzutem.

– Atu, przyprowadzisz mnie zawsze o zawał serca, kiedy się tak zakradasz, już ci to mówiłam.

Podniósł dłonie do góry; był to nawyk, który wiele lat temu zupełnie świadomie w sobie wyrobił, by nie przepraszać.

– Pirjo, dzisiejszego popołudnia brakowało nam ciebie, gdzie byłaś? Szukaliśmy cię.

Potworne pytanie. Nie dlatego, że nie obmyśliła sobie na nie odpowiedzi, lecz dlatego, że zadawał je Atu, który miał rentgen w oczach i czytał jej w myślach. Była dla niego otwartą księgą, więc istniało ryzyko, że przejrzy nawet najprostsze kłamstwo.

„Muszę coś wymyślić, żeby nie zaczął drążyć” – pomyślała. „Może najwyższy czas, by powiadomić go o moich życzeniach”.

– Musiałam po prostu opuścić Akademię – odparła. – Dlaczego pytasz? Nie miałaś dość zajęć?

Westchnął.

– To był nieciekawy dzień, nic nie wiesz? Parę godzin temu Malena poroniła, a ciebie nie było, gdy cię potrzebowałem. Powinnaś pojechać z nią karetką do szpitala.

– Poroniła? – Pirjo uciekła wzrokiem. Co ma myśleć? Atu zrobił jej dziecko? Jej? Malenie?

Siedziała przez chwilę, próbując przyswoić tę informację. To niemożliwe, nie teraz. Nie może na to pozwolić, czuła, że to już nie przelewki. Ma się nim dzielić z innymi, podczas gdy mija czas jej własnej płodności, a zegar tyka coraz szybciej? Nie, już nie. To ona ma urodzić dziecko Atu. Dziecko, które zostanie jego następcą. Dziecko, które będzie nowym zbawicielem.

– Poroniła i miała silny krwotok – usłyszała jego słowa.

Pirjo wzięła się w garść, próbując zachowywać się naturalnie.

– Naprawdę?

– Sprawa była poważna, naprawdę cię potrzebowaliśmy, Pirjo. Gdzie byłaś?

Zamrugła parę razy, nim skierowała na niego wzrok. Nie ma mowy, by udawała skruszoną, a już na pewno nie z powodu Maleny. Atu musi po prostu odnieść wrażenie, że jest jej smutno.

– Wyczuwam twoją energię. Nie czujesz się dobrze – powiedział. Czyli komunikat przyjęty.

– Cóż, zgadza się, nie czuję się dobrze. Dlatego pojechałam dziś na Nordodden. Czasem tak robię, gdy mam gorszy nastrój.

– Gorszy nastrój? – powtórzył to tak, jakby była to ostatnia rzecz, do której miała powód.

– Tak, kiedy jestem przybita. Ale nie chcę tego teraz z tobą omawiać, Atu. Szczególnie po tym, co mi powiedziałeś.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz.

– My dwoje nie możemy mieć przed sobą tajemnic, prawda?

I mówi to akurat teraz!

– Od kiedy to?

– Co sugerujesz, moja przyjaciółko?

– Nie powinieneś mi przynajmniej powiedzieć, że gotów jesteś zapłodnić jedną ze swoich wyznawczyń? Przecież umawialiśmy się, że gdy podejmiesz taką decyzję, będę pierwszą osobą, której to powiesz.

– Umawialiśmy się też, że jeśli coś cię gnębi, to natychmiast przychodzisz do mnie, prawda, Pirjo?

Zawahała się na chwilę.

– Jak sądzisz, dlaczego pojechałam dziś na cypel? Nie domyślasz się?

Sięgnął do klamki, prowadzącej do jego pokoi.

– Pirjo, jesteś moją westalką, strzegę tego i chcę, by tak pozostało. Jutro pojedziesz do szpitala w Kalmarze i odwiedzisz Malenę, zgoda? – Uścisnął ją i zniknął u siebie.

Pirjo powoli pokiwała głową. I tak miała jechać do miasta, by wyjąć ze skrytki walizkę Wandy Phinn. Będzie miała okazję, by pobyć sam na sam z tą francuską poszukiwaczką przygód.

Siedziała przez chwilę, obmyślając, jakiej użyć artylerii. Będzie to ją kosztowało sporo zaoszczędzonych środków, ale jakie to ma znaczenie wobec perspektywy pozbycia się tej baby?

Złapała się na tym, że się głośno roześmiała.

Czyżby właśnie teraz bogini szczęścia postanowiła się do niej uśmiechnąć?

Czy naprawdę uda jej się uwolnić od swoich dwóch największych rywalek w ciągu jednej doby?



Wtorek 6 maja 2014

– Witamy na spotkaniu, panie i panowie, podano do stołu – powiedział Assad, nalewając do filiżanek miksturę, która nie pachniała ani jak kawa, ani jak mięta, lecz raczej jak kozia sierść, albo i nawet coś gorszego.

Carl odwzajemnił zatroskany wzrok Gordona, co Assad skwitował uśmiechem.

– To nie moja receptura, tylko Rose – zapewnił. Gordon wetknął nos do filiżanki i jakoś uszedł z życiem.

Uspokojony tym Carl wziął łyk płynu, co sprawiło, że lotem błyskawicy wróciły do niego bolesne wspomnienia wycieczek jego i Viggiego na spotkania pierwszomajowe w etnicznych kawiarniach.

– Herbata pai-mu-tan – oznajmiła Rose bezwstydnie, kładąc swój notatnik na bollywoodzką tacę na nóżkach. Brakowało jeszcze butów z podkręconymi noskami.

Carl dyskretnie odsunął filiżankę na bezpieczną odległość.

– Cóż, skoro dorobiliśmy się tak zwanego pokoju sytuacyjnego, to kryje się za tym myśl, że od czasu do czasu będziemy się tu spotykać, by zdawać sobie relacje. Może więc od razu przejdźmy do rzeczy?

Stał przez chwilę, zastanawiając się nad kolejnością działań.

– Jutro minie tydzień od samobójczej śmierci Christiana Habersaata – zagaik. – I choć posunęliśmy się naprzód w stosunku do jego prywatnego śledztwa, to postęp jest, prawdę mówiąc, niewielki, ale trzymajmy się go.

Skinął do Assada, jako że i on miał trudności z przełknięciem naparu Rose. Niech się przekona na własnej skórze, jak to jest, gdy się nad człowiekiem pastwią.

– Przede wszystkim wiemy dokładnie, kiedy Alberte po raz pierwszy zetknęła się z mężczyzną z volkswagenem vanem, o ile oczywiście to właśnie jego spotkała, ale możemy tak zakładać, prawda? Zaraz zadzwonię w tej sprawie do dawnego kierownictwa szkoły i mam nadzieję, że dowiemy się, którego dnia odbyła się wycieczka do Østerlars Rundkirke. Na podstawie wybrakowanego stempla datownika na kartce Alberte do brata podejrzewamy, że było to 11 listopada 1997, ale nie mamy pewności.

Poza tym poproszę byłego dyrektora i jego żonę, by mi powiedzieli, co się stało z rysunkami Alberte. Nie sądzę, że powinniśmy je obejrzyć jako śledczy, ale nigdy nie dotarły do rodziców, więc za jednym zamachem wykażemy się delikatnością i zaspokoimy ciekawość. – Chciał

przez chwilę ponapawać się swoją zdolnością empatii, ale widocznie nie zrobiła na nikim większego wrażenia.

– No! Zobaczzymy, co się będzie działo. Wreszcie, chcę też rozmówić się z Larsem Bjørnem.

– Nie sądzisz, że to ja powinienem kontaktować się z Bjørnem? Czy to nie mega krejzolskie? – zaprotestował ostrożnie Gordon.

Carl pokręcił głową. Niech sobie Gordon nie wyobraża nie wiadomo czego. Może i Bjørn wcisnął im tego gościa, ale ten na pewno nie zostanie jego szpiegiem i kapusiem.

– No dopsz – skapitulował Gordon z wahaniem. – W takim razie może mam zadzwonić do tego automobilklubu, który organizował zlot starych samochodów?

– Nie, tym też się zajmę. Nie, Gordon, tobie przypadnie ważniejsze zadanie. Chciałbym mianowicie, żebyś odszukał aktualne adresy i numery telefonów wszystkich słuchaczy semestru jesiennego dziewięćdziesiąt siedem tej szkoły.

Rozległo się sapnięcie. W desperacji facet wlepił wzrok w filiżankę, widocznie chcąc się czymś wzmocnić, ale szybko porzucił tę myśl. Najwyraźniej i on miał już dość.

– Ale Carl, przecież kursantów było pięćdziesięcioro!

– No i?

Jego twarz wyglądała jeszcze gorzej niż zazwyczaj.

– A pośród nich czworo pochodziło z Estonii, dwoje z Łotwy, czworo z Litwy, a dwoje było Rosjanami.

– Owszem, sam widzisz, jaki jesteś dobrze zorientowany. Naprawdę nadajesz się do tego zadania.

Biedak sprawiał wrażenie, jakby miał się rozplakać.

– Nie mówiąc już o tym, ilu z nich zmieniło nazwiska. *Oh dear, oh dear!*

– Dobra, Gordon, przestań już o tym gadać – przerwała Rose ze złością. Przecież też nie chciał wypić jej herbaty.

– Okej – powiedział Carl. – Spośród uczniów szkoły rozmawialiśmy już przecież z Kristofferem i Inge Dalby, a Alberte siłą rzeczy nie możemy wliczać, więc zostało ci tylko czterdzieści siedem osób.

Czyżby usłyszał ciche „alleluja” z ust Gordona?

– Jak wygląda sprawa z technikami? – spytał Assad.

– Włączyłem w to Laursena, ujedzie z nimi dalej niż ja. Ale ty, Assad, dalej niuchaj po regałach, żeby sprawdzić, czy nie leży gdzieś zdjęcie sklejki, którą ten chłopak znalazł przy Wielbłądzich Głowach.

– Niuchaj?

– Niuchaj, szukaj, przetrząsaj, jak zwał, tak zwał. Takie powiedzenie, Assad.

Kolega skinął głową i Carl zwrócił się do Rose.

– A ty pewnie obdzwaniaasz różne bornholmskie stowarzyszenia zajmujące się zjawiskami paranormalnymi?

Potwierdziła.

– Musimy założyć, że ludzie parający się takimi rzeczami mają jakąś inną pracę, by mieć z czego żyć, więc całkiem możliwe, że trafi ci się wieczorna fucha. Ale wykorzystaj na to najbliższe dni, Rose. Zobaczymy, czy trafi się ktoś, kto pamięta cokolwiek na temat komuny hipisów w Ølene i ewentualnie udzieli nam informacji o mężczyźnie z ogórkiem.

To zdumiewające, ale wydawała się zadowolona z tego zadania. W każdym razie poczęstowała ich drugą kolejką pai-mu-tan.

– Dzień dobry, panie Mørck. Wprawdzie dzwonił pan do przewodniczącego klubu, ale musi się pan zadowolić mną, bo przewodniczący wybrał się w podróż.

Mężczyzna przedstawił się jako Hans Agger, zastępca przewodniczącego Bornholms Motor Veteraner.

– Widzi pan, to ja jestem właściwą osobą do tej rozmowy, bo sprawuję pieczę nad archiwami klubu, i to odkąd ustąpiłem z funkcji przewodniczącego.

Carl podziękował.

– Otrzymał pan zdjęcie, które wysłałem do pańskiego kolegi? – spytał.

– Tak, jego żona mi je podesłała. Mogę panu powiedzieć, że policjant nazwiskiem Christian Habersaat pytał mnie o to samo parę lat temu. Niestety nie wiem, kto zrobił tę fotkę. Dlatego mówię panu to, co wówczas mówiłem jemu, a mianowicie, że miejsce, w którym zaparkował, było zarezerwowane dla uczestników konkursu, a volkswagen van z lat siedemdziesiątych raczej nie należał do tej kategorii, prawda? – Roześmiał się tak serdecznie, że Carl musiał odsunąć słuchawkę od ucha.

– I co się z tym wiązało? – spytał.

– Trzeba było grzecznie poprosić tego człowieka, by przestawił auto, ale problem był w tym, że on nie mógł tego zrobić, bo, mówiąc oględnie, silnik nie działał jak należy.

Carl dosunął się do biurka.

– Okej, skoro pamięta pan taki szczegół, to może pamięta pan też tego mężczyznę?

Znów się zaśmiał.

– Nieee, nie za bardzo. Ale pamiętam, że pomógł mu Sture Kure. Coś tam miał z rozdzielaczem zapłonu, prawie zawsze o to chodzi.

– Sture?

– Tak, Sture Kure, śmiesznie się nazywa, nie? Ha, ha. Był naszą złotą rączką, wspinały mechanik z Olsker, ale niestety wkrótce potem zmarł, może dlatego człowiek to pamięta.

Do kurwy nędzy, czy wszyscy ci ludzie muszą umierać, zanim Carl z nimi pogada? Westchnął.

– A Habersaat oczywiście nie zdążył z nim porozmawiać, jak się domyślam?

– Z tego, co wiem, nie.

Głupio się czuł, odkładając słuchawkę, a jego samopoczucie wcale się nie poprawiło po telefonie do dyrektora szkoły i jego żony.

Owszem, dobrze pamiętają wycieczkę do Østerlars, bo wizyta pana Mørcka i jego asystenta pobudziła ich ciekawość i przeczytali na ten temat wszystkie zapiski w dzienniku Kariny – powiedział dyrektor. Wycieczka odbyła się siódmego listopada 1997 i obejmowała większą liczbę kościołów rotundowych. Ale oprócz tego Karina nie zapisała niczego szczególnego. Tego typu objazdówki po zabytkach Bornholmu organizowano dla praktycznie każdego rocznika, więc z upływem lat ekscytacja nowością malała.

Potem Carl rozmyślał przez chwilę o tym, co mu powiedziano. Czyli Alberte poznała tego mężczyznę siódmego, a nie jedenastego listopada, jak podejrzewali. Te dwie jedynki na znaczku musiały odnosić się do miesiąca, a to by oznaczało, że w chwili śmierci znała go od zaledwie czternastu dni. Ale co takiego mu zrobiła, skoro wybrał taki dramatyczny sposób na zakończenie ich związku? Zakładając, że podejrzania Habersaata mają w ogóle jakieś podstawy.

I kim w ogóle była ta dziewczyna? Ta, która nagle zaczyna prowokować otoczenie swoją seksualnością. Ta, która śpiewała jak anioł i rysowała niemal równie dobrze.

Pacnął się w czoło. Rysunki! Zapomniał o nich.

Ponownie zadzwonił do dyrektora i jego żony, już z lepszym rezultatem.

Tak, potwierdził były dyrektor. Jest pewien, że rysunki Alberte znajdują się gdzieś w szkole. Jeśli dobrze pamięta, w przeddzień jej zniknięcia miała się odbyć wystawa prac słuchaczy, ale mieli wizytę ze Szkoły Rytmiki, która nadzwyczaj się udała. Z tego też powodu odłożono wystawę, a potem nigdy do niej nie doszło.

– Myślę, że rysunki muszą leżeć w teczce gdzieś w szkolnej piwnicy, ale o tym lepiej porozmawiać z sekretarką.

– Assad, idę do Bjørna – oznajmił Carl pięć minut później. – Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Robiłeś takie maślane oczy do tej sekretarki ze szkoły na Bornholmie, zadzwoń do niej, proszę, i poproś, by poszukała rysunków, które powinny być znaleźć się na wystawie prac uczniów dziewiętnastego listopada dziewięćdziesiąt siedem. Powiedz, że chcielibyśmy zobaczyć prace Alberte, pokryjemy koszty wysyłki i zwrócimy je, jak już się z nimi uporamy. Zajmiesz się tym?

– Yyy, tak, może. Ale co to są „maślane oczy”?

Na górze w Wydziale Przepiękstw przeciwko Życiu i Zdrowiu atmosfera nie była już taka sama, jak za rządów starego, dobrego Marcusa Jacobsena. Szef Wydziału Zabójstw Lars Bjørn niby próbował stworzyć coś na kształt przytulnego miejsca za pomocą całkowicie abstrakcyjnych malowideł Annette Merrild i kilku kubków w kolorowe kropki, ale zdaniem

Carla nie zmieniało to faktu, że szef wydziału jest zasadniczo chamem, wobec którego tylko najbliższa rodzina może żywić cieplejsze uczucia.

– A to kto, do cholery? – spytał szeptem Lis ulubioną sekretarkę, odnosząc się do nowej twarzy za kontuarem.

– To siostrzenica Bjørna. Zastępuje panią Sørensen pod jej nieobecność.

– Wiedźma wybyła? – Dziwne, ale nawet tego nie zauważył. – Dlaczego jej nie ma?

– Och, wiesz, okres przejściowy. Ma ostatnio uderzenia gorąca i trochę histerycznie się zachowuje. Ustaliliśmy, że nazwiemy to grypą.

Carl doznał szoku. Naprawdę pani Sørensen aż do tej pory była płodna? Nie było to wcale takie oczywiste.

Wskazał na drzwi Bjørna, w których pokazało się kilka nowych osób.

Mijając go, rozmawiali szeptem. Miał to gdzieś.

Bez pukania pchnął drzwi do gabinetu szefa.

– Byliśmy umówieni, panie Mørck? Nie przypominam sobie – powiedział Bjørn, gdy Carl gwałtownym ruchem położył przed nim zdjęcie mężczyzny z volkswagenem.

Mørck postanowił zignorować zarówno pytanie, jak i ton szefa.

– Oto zdjęcie mężczyzny, który najprawdopodobniej zamordował na Bornholmie młodą dziewczynę. Proszę o twoją zgodę, byśmy mogli wszcząć jego poszukiwania w programie Station 2 w TV2.

Szef Wydziału Zabójstw obnażył swe irytująco białe zęby w czymś pośrednim między grymasem a uśmiechem.

– Dzięki, Carl, dobrze ci idzie – powiedział. – Usłyszałem już wystarczająco dużo. Nie chodzi przypadkiem o sprawę z dziewięćdziesiątego siódmego roku, którą policja na Bornholmie zarzuciła piętnaście lat temu? Bo jeśli tak, to nie ma mowy ani o zabójstwie, ani o podejrzeniach wobec konkretnych osób. Więc dziękuję, Carl, widzimy się na odprawie.

Okej, czyli ten skarżypyta Gordon jednak go ubiegł.

– Pojąłem przekaz, Bjørn. Pewnie Gordon tu był popłakiwać nad nadmiarem roboty? W takim razie możesz go sobie zabierać, wystarczy słowo.

– Mørck, Gordon nic nie zrobił. Ale musisz zrozumieć, że jako szef Wydziału Zabójstw regularnie rozmawiam z kolegami z Bornholmu. Jeśli nie pamiętasz, to wciąż są ściśle związani z naszym wydziałem.

Jadowity ton, wspaniale.

– Dzięki za informację. Skoro odczuwasz taką potrzebę, by być na bieżąco na każdy temat, to ci powiem, że trafiliśmy w sprawie na nowe tropy, na które nie wpadli twoi serdeczni przyjaciele z Bornholmu, i że bez względu na to, co powiesz, ja zamierzam te tropy zbadać i nie odpuszczę, dopóki nie wsadzimy za kratki osoby odpowiedzialnej albo za zabójstwo, albo nieumyślne spowodowanie śmierci i ucieczkę z miejsca zdarzenia.

– No cóż, Mørck, znów ten ton. Udzielę ci jednej odpowiedzi: nie postawisz całej Danii na nogi zapytaniem, kim jest ten człowiek. Mężczyźni na tym fatalnej jakości zdjęciu nigdy nie przedstawiono zarzutów, poza tym to może być ktokolwiek. Otrzymamy tysiące bezużytecznych zgłoszeń, zmarnujemy setki osobogodzin, a prawdę mówiąc, panie Mørck, mamy tu na drugim piętrze pod dostatkiem poważniejszych spraw.

– Świetnie, no to role rozdzielone. Przełączaj wszystkie rozmowy do naszego niepoważnego Departamentu Q, panie szefie. Nie chcielibyśmy zakłócać waszego snu Śpiącej Królowy.

– Dziękuję, Carl. – Bjørn machnął w stronę drzwi. – I zapomnij o apelach w telewizji. Może przypominasz sobie w miarę bieżącą sprawę, w której część bulwarówek uznała człowieka za winnego zabójstwa i wkrótce potem musieli to wszystko odszczekiwać. Postępowania odszkodowawcze, mówi ci to coś?

Carl zamknął za sobą drzwi z takim hukiem, że wszyscy ludzie znajdujący się w sekretariacie wybałuszyli na niego oczy.

– No żeż kurwa, Mørck! – rozległo się za drzwiami. Przynajmniej było się z czego pośmiać.

– Carl, ty to nigdy nie należałeś do ulubieńców Bjørna – powiedziała Lis na tyle głośno, by wszyscy w pomieszczeniu na chwilę wstrzymali oddech. – Ale z innej beczki. Czy zesłicie się z Moną Ibsen?

Carl ściągnął brwi. Dlaczego, u licha, Lis o to pyta?

– Pytam, bo dziś o ciebie dopytywała. Zajrzała tu na pięć minut i popędziła do aresztu.

– Czyli już wróciła?

– Tak, misja skończyła się w kwietniu. Potem spędziła urlop na zachodnim wybrzeżu i wróciła do domu.

– Hm. Pewnie pytała tylko po to, by mieć się na baczności, czy do niej nagle nie wpadnę – zawyrokował Carl.

Ale było to dziwne. Podobnie jak ściśnięcie w żołądku, które ukradkiem go naszło.

– Carl, nie znalazłem zdjęcia tej sklejki, a wydaje mi się, że przeszukałem wszystkie półki. – Assad padał na pysk. Jedna krzaczasta brew jakby się poddała, przesłaniając pół oka. – Wiem, że powinienem sprawdzić jeszcze raz, ale nie sądzę, bym je znalazł.

– Dobrze się czujesz, Assad? Masz jakieś zapuchnięte oczy.

– Po prostu niezbyt dobrze spałem. Zadzwoił do mnie wujek, są spore problemy.

– W Syrii?

Spojrzał przed siebie pustym wzrokiem.

– On jest teraz w Libanie, ale...

– Mogę jakoś pomóc, Assad?

– Nie, nie możemy nic zrobić. W każdym razie nie teraz.

Carl skinął głową.

– Jeśli potrzebujesz paru dni wolnego, jakoś to załatwimy – powiedział.

– To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, ale dzięki. Myślę, że powinniśmy po prostu dalej pracować. Chodźmy do pokoju sytuacyjnego, Rose chce nam coś powiedzieć.

Czyli jak zwykle. Jak miał lepsze dni, Assad potrafił być bezpośredni i zaangażowany, ale w chwilach takich jak ta okazywał zdystansowanie i nieprzystępność. Carl właściwie nie miał pojęcia, co się dzieje w jego głowie. Kiedy wypytywał o sytuację w Syrii, Assad odpowiadał wymijająco. Z drugiej strony wszystkie poważne zdarzenia w jego kraju jakby go do końca nie dotyczyły. Nigdy nie dyskutował ani na temat Syrii, ani wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Czasami wyczuwało się, że nieopatrznie rzucone słowo może rozdrapać jakąś ranę, innymi razy spływało po nim jak woda po kaczce.

Carl poklepał go po ramieniu.

– Wiesz dobrze, że możesz do mnie przyjść ze wszystkim, prawda?

Gdy weszli do środka, Rose czekała już przy tablicy magnetycznej, a Gordon właśnie się mościł na krześle. Zabawne, że nagle wszyscy zrobili się tego samego wzrostu.

– Spokojnie – brzmiało pierwsze słowo Rose na widok wyczekującej miny Gordona. Pewnie miał nadzieję, że oto nastąpił przełom i nudne jak flaki z olejem zadanie kontaktowania się z wszystkimi dawnymi słuchaczami uniwersytetu ludowego stało się zbędne.

– Nie w minutę Rzym zbudowano, co? – podsumowała błędnie, ściągając ze ściany kilka broszur Habersaata z sercami, kryształami i słońcami.

– Dotychczas udało mi się skontaktować z reprezentantami tych trzech odłamów medycyny alternatywnej. Cała trójka pracuje na pełen etat, zajmując się leczeniem, i to odpowiednio od dziewiętnastu, dwudziestu pięciu i trzydziestu dwóch lat. Ale tylko Beate Vismut z Serca Umysłu, która zasadniczo zajmuje się symbiozą ciała i przyrody, pamiętała tego młodego faceta z ogórkiem. Powiedziała mi, że Christian Habersaat wypytał ją o wszystko i ona nie ma już nic do dodania. – Uśmiechnęła się. – A jednak wyciągnęłam od niej coś nowego.

– Dobrze, Rose. Może nazwisko tego gościa? Jego rysopis? Coś o jego środowisku? – badał Carl.

– Nie, nazwiska nie pamiętała, prawdopodobnie nigdy go jej nie podał, a o pozostałych kwestiach nie rozmawialiśmy. Beate Vismut nie chce nic wiedzieć na temat przeszłości, nie chce też znać danych swoich klientów. Tłumaczy to tym, że urodziła się niewidoma i dlatego pracuje w innym wymiarze niż osoby widzące.

– Nasz najlepszy świadek jest ślepy? – Carl pokręcił głową. Tego już za wiele.

– Tak, mówi, że chce wyczuć swoich klientów. Mimo wszystko podsunęła mi pewien pomysł, co ten człowiek reprezentował.

– Reprezentował?

– Tak. Beate zachęca swoich klientów, czy uczniów, jak woli ich nazywać, by pozbyli się wszystkiego, co może separować ich od natury. Powiem wam, że jej wymagania są dość

radykalne. Sama nie ogrzewa własnego domu, bo nie podoba jej się, że zima i lato zlewają się w jedno. Stroni od nieorganicznych elementów budowlanych, więc mieszka w domu zbudowanym z bali słomy, i to od dawna, a nie odkąd zrobiło się to modne.

– Przecież ma telefon.

– Tak, podobnie jak inne rzeczy pomocne osobom niewidomym. Mimo wszystko jest zależna od otoczenia. Ale do rzeczy.

Samozadowolenie aż biło z wypacykowanej na białą twarz Rose.

– Facet zgadzał się z nią w wielu punktach, też był zaabsorbowany naturą jako czymś boskim i uzdrowicielskim, ale pamiętała, że dyskutowali nad stopniem poświęcenia. On na przykład uważał, że nie mógłby się obejść bez swego volkswagena, a to dlatego, że... – uśmiechnęła się, robiąc dłuższą pauzę – ...odczuwa dużą potrzebę wolności i jeżdżenia w te miejsca, gdzie ludzie od dawna czcili słońce, żywiły i zjawiska nadprzyrodzone, a nie mógłby tego robić bez środka transportu.

– Okej, no to wiemy, że to on miał tego volkswa...

– I – przerwała Rose – z tego powodu przez ostatnie lata bardzo dużo jeździł po Europie z kilkoma innymi zapaleńcami. Byli między innymi na Gotlandii, w Irlandii i na Bornholmie. Odwiedził tam wiele świętych miejsc, a tych na wyspie nie brakuje. Interesował się bornholmskimi petroglifami z epoki brązu, kamiennymi statkami z Troldekskoven, menhirami przy Hjortebakken, miejscami kultu w okolicach Rispebjergu i Knarhøj...

Knarhøj? Carl już gdzieś słyszał tę nazwę.

– ...nie mówiąc już o mitach związanych z templariuszami i kościołem Østerlars. No i co wy na to?

– Super. Wreszcie udało się nam połączyć volkswagena, tego faceta i Alberte – powiedział Assad.

– Tak, jasne – zgodził się Carl. – Świetnie, Rose, tylko co teraz? Nadal nie znamy tożsamości tego koleśka, nie wiemy, skąd pochodzi i dokąd potem pojechał. Wiemy tylko, że lubi być w ruchu, więc może znajdować się gdziekolwiek, o ile w ogóle żyje. Może jest na Malcie albo w Jerozolimie, tam gdzie byli templariusze. Może siedzi przy Stonehenge i wydaje z siebie dziwne dźwięki, albo w Nepalu czy mieście Inków Machu Picchu. Nic nie wiemy. A może wyrósł już z tych bzdur i jest urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych z dziesięcioletnim stażem pracy i emeryturą w dalszej perspektywie.

– Beate Vismut powiedziała, że był prawdziwym kryształem, więc raczej nie obawiaj się o to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

– Prawdziwym kryształem? Co niby miała na myśli?

– Że widział prawdziwe światło, przeglądał się w nim i na pewno nie będzie potrafił bez niego żyć.

– O rany, robi się coraz dziwniej. I co to wszystko ma znaczyć?



– Zdaniem Beate, on wciąż bawi się w te klocki, i to intensywniej niż kiedykolwiek.

Październik, listopad i grudzień 2013

Shirley była zawiedziona. Zawiedziona Pakiem Lopezem, przystojnym Hiszpanem, który obiecał jej złote góry, przez cały tydzień przychodził do niej do domu, by delektować się domowym jedzeniem i seksem, a na koniec wyjął z kieszeni wytartą obrączkę ślubną, podziękował i się pożegnał. Zawiedziona swoim pracodawcą, który wylał ją, a nie nową pracownicę stołówki, zatrudnioną zaledwie trzy miesiące temu. Zawiedziona dietą, która gwarantowała jej dziesięciokilogramowy spadek wagi, a zadziałała wręcz odwrotnie. Zawiedziona Wandą Phinn, która wbrew swoim obietnicom nie pofatygowała się, by przysłać jej choćby zwykłą pocztówkę.

Przez miesiąc martwiła się trochę o zdradziecką przyjaciółkę, ale potem dała sobie z tym spokój, jak z wszystkim innym.

Tak wyglądało jej życie.

„Jest wstrętną krową, jak cała reszta” – zbywała te myśli, próbując obliczyć, jak długo uda się jej przeżyć bez pracy na nędznym zasiłku i z zaledwie tysiąc sześćset sześćdziesięcioma funtami w banku.

Perspektywy na przyszłość nie były bynajmniej świetlane, choć jej stopa życiowa już wcześniej znajdowała się na poziomie *nada*, jak to mawiał Paco, i nic nie wskazywało, by miało się to zmienić.

– Nie, za późno się pani zgłasza, wczoraj kogoś zatrudniliśmy – brzmiała zazwyczaj odpowiedź, gdy w końcu na coś trafiała.

Dlatego Shirley była bliska podjęcia najbardziej rozpaczliwej i upokarzającej decyzji, jaką może podjąć czterdziestoparoletnia, niewykształcona i samotna kobieta z nadwagą, mianowicie powrotu do mieszkania w Birmingham, gdzie się urodziła i gdzie wciąż mieszkali jej starzy.

Zadzwoiła do rodziców, by wybadać teren. Co powiedzieliby na to, by przyjechała na parę miesięcy do domu? Tak bardzo się stęskniła.

Tęsknota niestety nie okazała się odwzajemniona, widocznie zorientowali się, co się święci: Shirley wcale nie chodziło o spędzenie z nimi świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

I w ten sposób utknęła w paskudnym kompleksie wynajmowanych mieszkań w najtłoczniejszej dzielnicy Londynu, na nic nie czekając, gdy bożonarodzeniowe ozdoby migotały w witrynach sklepów, a wszystkie dzieci się uśmiechały.

„Powinam była postąpić tak jak Wanda” – pomyślała. Wandzie musi być dobrze tam, gdzie przebywa, skoro nawet się nie odezwała. Im więcej Shirley nad tym rozmyślała, tym wyobrazenie przyjaciółki na tajemniczej wyspie, gdzie rządzi Atu, stawało się coraz bardziej bajkowe.

Czy wyjeżdżając, Wanda miała może więcej pieniędzy niż ona? Wcale nie, o ile Shirley się orientowała. Czy ją tam zapraszano? Też nie.

„Więc dlaczego nie ja?” – zadrezczała się przez kolejne dni i noce.

Gdy Shirley zadawała sobie tego typu kluczowe pytania, siadała przy pokrytym ceratą blacie obok kuchenki gazowej i tasowała swoje sfatygowane karty, by udzieliły jej odpowiedzi. Ulubiony pasjans nie należał do najłatwiejszych, ale za to gdy wyszedł, jego wynik miał większą wagę.

„Jeśli pasjans wyjdzie, muszę na poważnie rozważyć wyjazd” – zdecydowała w duchu. A gdy faktycznie wyszedł, uruchomiło to łańcuch kolejnych pytań. Bo co w takim razie? Ma poinformować najpierw Wandę czy Akademię Absorpcji Natury? Jak będzie lepiej? Po prostu spakować walizkę i pożegnać się ze wszystkim?

Kiedy w połowie weekendu wyszło jej kilka pasjansów po kolei, doszła w końcu do najbardziej zasadniczego pytania: „Okej, wiem, że mam wyjechać. Ale mam poczekać czy jechać od razu?”.

I wtedy to się stało: pasjans wyszedł jej po raz siódmy z rzędu.

Teraz już wiedziała, że musi uciec od swego dotychczasowego życia i ma to zrobić od razu.

Przez całą drogę wyobrażała sobie, jak ją przywitają w Akademii Absorpcji Natury. Była pewna, że przyjaźni ludzie, których poznała w Londynie, przyjmą ją z otwartymi ramionami, ale czy Wanda też? Czy nie dała jej dobitnie do zrozumienia, że ich przyjaźń należy do przeszłości?

Shirley wyobraziła sobie reakcję Wandy. Oto przyjeżdża ta baba z Londynu i wtryna się w jej życie z bezsensownymi problemami i paplaniną o dawnych czasach. Nie, Shirley nie miała złudzeń co do powitania, ale to jej nie powstrzyma. Skoro Wanda zdobyła się na odwagę, to Shirley też. W końcu nie można zapomnieć, że to ona wprowadziła Wandę w boski świat Atu Abanshamasha Dumuziego.

Gdy dotarła na miejsce, wsiadła do autobusu na dworcu w Kalmarze, pojechała w głąb wyspy tak daleko, jak tylko się dało, a ostatni odcinek pokonała piechotą.

Powitał ją imponujący widok: skupisko nowo wybudowanych domów, schylających się ku morzu.

Już z pewnej odległości akademia sprawiała wrażenie magicznego miejsca: liczne białe budynki, stożkowaty dach z wstawionymi kolorowymi szybami, lśniące panele słoneczne na kilku budynkach i ogromne okna. Kompleks zaskoczył ją swoim ogromem. Z drogi odnosiło się wrażenie, że kiedy człowiek już się tam znajdzie, nie będzie potrzebował niczego innego.

Shirley niewiele w życiu widziała, w każdym razie nigdy nie widziała czegoś podobnego. Jakby cały teren kipiał energią. Jakby przez tę krainę egzotycznych roślin, dzieła ludzkich rąk i tajemniczych znaków przepływał strumień energii całego świata.

Pierwszym znakiem, obwieszczającym, gdzie się przybyło, była duża, emaliowana tablica z napisem:

Akademia Absorpcji Natury  
Ebabbar

Barwna ścieżka z płytek w ciepłych kolorach prowadziła do kilku mniejszych domów i dwóch połączonych pawilonów z widokiem na wodę, które nowe, starannie pomalowane tabliczki nazywały w wielu językach „Wspólnym Sercem Akademii”.

W recepcji ośrodka pracowano w ciszy; odziani na biało ludzie, pogrążeni w wewnętrznym spokoju, jakby płynęli po ziemi, kiwając do niej przyjaźnie głowami.

Poprawiła spódnicę w kwiaty i wygładziła bluzkę. W tej stylowej czystości trzeba było sprawiać wrażenie godnej zaufania.

„Tu na pewno znajdę szczęście” – pomyślała, podchodząc do drzwi z napisem:

Przyjazd i rejestracja  
Pirjo A. Dumuzi

\*\*\*

Gdy Pirjo nagle stanęła w nogach jej łóżka, Malena miała twarz bielszą niż fartuchy pielęgniarek na położonym na czwartym piętrze sterylnym oddziale ginekologicznym szpitala w Kalmarze.

Pirjo uśmiechnęła się do siebie. Oczywiście ta kobieta miała nadzieję, że Atu ją odwiedzi, okazując jej troskę i uwagę, ale widocznie jednak nie znała go wystarczająco dobrze.

– Jak się czujesz? – spytała.

Malena odwróciła twarz do ściany.

– Lepiej. W nocy powstrzymali krwawienie, więc dziś powinnam już zostać wypisana.

– Całe szczęście, to dobra wiadomość.

Na twarzy Maleny pojawił się grymas dyskomfortu, gdy Pirjo chwyciła ją za rękę. Przez chwilę chciała jej ją wyrwać, ale ona na to nie pozwoliła.

– Czego chcesz? – Malena odwróciła głowę, gdy milczenie między nimi stało się zbyt dokuczliwe. – Co takiego chcesz powiedzieć, Pirjo? Przyszłaś napawać się tym, co się stało? Jest ci to na rękę, prawda?

Pirjo z namysłem ściągnęła brwi, nie za mocno ani nie za lekko. Gra już się rozpoczęła.

– Nie, tak sądziłaś? W takim razie mylisz się, Maleno, wcale tak nie jest. Jest mi naprawdę przykro, że tak się stało. – Opuściła nieco głowę, zacisnęła mocno usta i odwróciła wzrok, jakby skupiając się na czymś, co leży jej na sercu. Zauważyła, że Malenę to zdezorientowało. Wszystko zgodnie z planem.

Pirjo puściła jej rękę i kilkakrotnie zaczerpnęła powietrza, nim zwróciła twarz do leżącej kobiety.

– Maleno, musisz stąd wyjechać. Kiedy cię wypiszą, masz się wynieść, gdzie pieprz rośnie, słyszysz?

Sięgnęła do torebki po portfel i wyjęła z niego plik banknotów.

– Spójrz! Osiem tysięcy euro powinno wystarczyć ci na parę miesięcy. Spakowałam twoje rzeczy do walizki, stoi na korytarzu.

Trudno było odgadnąć, co maluje się na twarzy Maleny, być może mieszanka obrzydzenia i nieufności.

– Okej! Czyli naprawdę próbujesz się mnie pozbyć, ty głupia babo! Tego się nie spodziewałam. Naprawdę myślisz, że tak łatwo ci pójdzie? – Odsunęła pieniądze. – Atu jest mój, rozumiesz? On cię nie chce znać. Jesteś dla niego tylko wyrobniczką. Osobą, która płaszczy się i robi wszystko pod jego dyktando, sam mi to mówił. Więc zabieraj swoje żałosne pieniądze, Pirjo. Za parę godzin zobaczysz mnie w ośrodku dokładnie w miejscu, które sama sobie wywalczyłam. Dostanę się tam na własną rękę.

Bywają chwile, w których człowiek w głębi serca wie, że jedna zmarszczka nie w tę stronę lub jeden nieostrożny uśmiech mogą mieć nieprzewidywalne konsekwencje. Dlatego Pirjo chroniła uczucia, które Atu do niej żywił, żywił od zawsze, ona o tym po prostu wiedziała. Dlatego najlepszym antidotum było dla niej zignorowanie słów Maleny i zachowanie kamiennej twarzy. Jeśli ma się udać, a musi, to Malena musi jej ślepo uwierzyć. Musi być przygotowana na to, że jej świat zaraz legnie w gruzach.

– Wiem lepiej niż ktokolwiek, jakim Atu darzył cię uczuciem, Maleno, i cieszyłam się z waszego szczęścia, musisz mi uwierzyć. Oczywiście słusznie zauważyłaś, że ja też jestem zafascynowana Atu, ale z upływem lat moje uczucia się zmieniły i przekształciły, więc od dawna się w tym odnajduję. Musisz jednak wiedzieć, że przez cały ten czas z Atu widziałam więcej niż jakakolwiek inna osoba i że Atu ma też swoją ciemną stronę, przed którą muszę cię ostrzec i która cię, obawiam się, zaszokuje.

Kobieta się uśmiechnęła. Z jej pociągającej twarzy aż biła przekora. Delikatne usta, zbyt białe zęby, wysokie kości policzkowe.

– I co to niby jest? – spytała z nieufnością.

– Trudno o tym mówić, gdy lubi się Atu tak bardzo jak ja, ale spróbuję to powiedzieć wprost. Jesteś, Maleno, trzecią kobietą, której ciąża z nim kończy się poronieniem. On jest z tego powodu zdruzgotany i wściekły. Fakt jest taki, że Atu nie ma dzieci, choć przekroczył

już czterdziestkę. Nie dziwiło cię, że jest bezdzietny, skoro tyle kobiet zrobiłoby dla niego wszystko? Chyba nie myślisz, że on nie chce mieć dzieci, bo mogę cię zapewnić, że chce. Niczego nie pragnie bardziej. A teraz po raz kolejny czuje się oszukany i zdradzony. Tak, dokładnie te słowa: oszukany i zdradzony. – Pirjo zacisnęła ręce. – Atu postrzega twoje poronienie jak otchłań negatywnej energii i jest nim wstrząśnięty, naprawdę wstrząśnięty. Powiem ci, że on się na to nie godzi, wiem to z doświadczenia.

Kobieta w łóżku wykrzywiła do niej twarz.

– Cóż, w takim razie niech sam tu przyjdzie i mi to powie.

W oczach Pirjo pojawiło się coś twardego.

– Jeśli nie rozumiałaś tego, co powiedziałam, to powiem ci to wprost. Jeśli wrócisz do ośrodka, Atu złoży cię w ofierze.

Malena podparła się na łokciach, uśmiechając półgębkiem.

– Złoży w ofierze? Naprawdę nie mogłaś nic lepszego wymyślić?

– Ofiaruje cię morzu, Maleno. Utopi cię tak jak pozostałe, które straciły jego potomstwo. Jeśli tu zostaniesz, twoje nagie, spuchnięte ciało znajdą na jakiejś plaży daleko stąd, zapewniam cię.

Zmarszczyła nos, ale słowa mocno ją dotknęły, zgodnie z zamierzeniem. Zasiąły wątpliwości, wywołały szok. A gdy do wątpliwości i szoku dołączą jeszcze bezradność i strach, niewiele już potrzeba, by wbić sztylet po samą rękkojeść.

– Jedną z dziewczyn, Claudię, morze wyrzuciło aż na polskim wybrzeżu... – Pirjo zamilkła, jakby znów musiała zebrać siły na to, co miała powiedzieć. – Och, Maleno, nie wiem, co stało się z drugą, ale nigdy jej nie odnaleziono.

Dziewczyna pokręciła głową, może odruchowo. Może po prostu nie chciała dłużej tego słuchać. Ale milczała.

– Nie sądzę, by Atu uważał, że zrobił coś złego. W każdym razie był zupełnie spokojny, gdy mi się zwierzył, że pierwsza kobieta zasilila odwieczny cykl natury, skoro nie potrafiła wypełnić ich cielesnej misji. Próbowałam ostrzec tę drugą, Lonny, ale mnie nie posłuchała. Ale ty posłuchasz, prawda?

Nad nosem Maleny pojawiło się kilka pionowych zmarszczek. Próbowała je rozmasować, ale nie chciały zejść.

– Wiedz, że bardzo ryzykuję, mówiąc ci to. Boję się, że Atu zrobiłby to samo ze mną, gdyby dowiedział się, że tu jestem i ci to wszystko opowiadam, rozumiesz, Maleno? Rozumiesz, co mówię?

Pokręciła głową. Ale rozumiała.

Po misji zakończonej sukcesem Pirjo wróciła do ośrodka i zakomunikowała Atu, że Malena czuje się lepiej i że lada dzień zostanie wypisana. Dziewczyna zyska trochę czasu.

Malena oczywiście nigdy nie pojawiła się w akademii, co bardzo dziwiło Atu. Dlaczego nie mógł otrzymać odpowiedzi na pytanie, czemu wyszła ze szpitala i dokąd się udała? Przez kilka tygodni próbował ją odszukać, uruchamiając wszelkie kontakty, ale zapadła się pod ziemię.

Pirjo uraczyła go autentycznymi historiami o depresji, którą może wywołać poronienie, i irracjonalnych decyzjach, jakie może podejmować kobieta, którą dotknęło to nieodwołalne i nieszczęśliwe zdarzenie. Atu wysłuchał, smutny i bezsilny, ale ostatecznie pogodził się z tym. W końcu był pragmatykiem.

Pewnego poranka, gdy zgodnie ze swoim zwyczajem wyszedł nad morze, by śpiewać, patrząc w wodę, przyszła do niego Pirjo. Wzięła ze sobą ciepłą herbatę i wilgotny ręczniczek i bez słowa umyła go i wymasowała delikatnie, po czym zdjęła mu spodnie i usiadła na nim okrakiem. Takie to było proste, kiedy w końcu nadarzyła się okazja.

Może to zaskoczenie obudziło w nim żądzę, może jej zapach, może przekonanie, że jest jej to winien. W każdym razie porwany namiętnością dał jej to, czego chciała.

Kiedy dochodził, patrzył jej prosto w oczy i Pirjo zadrżała. Nie był to zwykły orgazm, to było coś głębszego. W spojrzeniu, którym go obdarzyła, kryło się spełnienie wieloletnich pragnień. I jeszcze coś.

Pirjo od zawsze miała całkowitą kontrolę nad swoim cyklem menstruacyjnym. Owulacja zawsze następowała bardzo regularnie, a gdy Pirjo wiedziała, że ma najpłodniejsze dni, odczuwała to tak wyraźnie, że wręcz ją to przerażało. Takie dni potrafiły być piekłem, ale tym razem czuła coś odwrotnego.

Zbliżało się Boże Narodzenie, gdy w końcu zebrała się na odwagę, by poznać przyczynę braku miesiączki. Dużo czytała o tym, co może zrobić z ciałem kobiety samo pragnienie ciąży, więc chciała mieć całkowitą pewność. Test kupiony w aptece dał wynik pozytywny, co przyprawiło ją niemal o omdlenie. Chciała jednak, by lekarz sprawdził, czy zdarzyło się to, czego najbardziej pragnęła, i powiedział, jakie środki ostrożności powinna w takim razie przedsięwziąć. W końcu miała trzydzieści dziewięć lat.

Gdy wróciła z tego samego oddziału ginekologicznego, na którym przed dwoma miesiącami odwiedziła Malenę, jej ciało wypełniało poczucie wewnętrznego szczęścia.

Atu będzie zaskoczony, ale uradowany, była tego pewna. Koniec końców już dawno dowiodła, że jest godna, by urodzić jego dziecko, i że to właśnie ona posiada odpowiednie geny.

Stojąc pod drzwiami Wspólnego Serca Akademii, musiała na chwilę się zatrzymać, by oprzytomnieć i by uczucia nie wzięły nad nią góry. Nie chciała stać przed Atu, szlochając ze wzruszenia; chciała mu to powiedzieć z uśmiechem i w spokoju ducha. Był przyzwyczajony do takiej Pirjo i takiej jej sobie życzył. W ciąży czy nie, Pirjo to jednak Pirjo.

A jednak, mijając uczniów w recepcji w drodze do swego gabinetu, uśmiechnęła się, i to nieco zbyt szeroko. Chciała zadzwonić do niego od siebie i poprosić, by na chwilę do niej

zajrzał.

Jak wielkie było jej zdumienie, gdy zobaczyła, że Atu już znajduje się w gabinecie i że naprzeciw niego siedzi kobieta w butach na płaskim obcasie, mocno umalowana i w nieco zbyt obcisłej i krzykliwej sukience, która nie potrafiła zatuszować ani wieku kobiety, ani jej nadwagi.

– Jesteś, Pirjo, to dobrze – rzekł z uśmiechem, ruchem głowy wskazując kobietę. – Shirley przyjechała niezapowiedziana z Londynu. Latem uczestniczyła w jednej z naszych sesji i chciałaby dołączyć do którejś z grup. Chyba znajdzie się dla niej miejsce, jak sądzisz?

Pirjo kiwnęła głową. Wprawdzie nie tak sobie wyobrażała spotkanie z Atu z okazji tej niesamowitej wieści, ale to może poczekać. Jej radość została zmaćcona, ale nie na tyle, by nie dało się tego naprawić.

– Shirley, powtórz Pirjo to, co powiedziałaś mnie.

Uśmiechnęła się i przywitała angielszczyzną z dość płaskim akcentem cockneyowskim.

– No więc byliśmy z przyjaciółką na waszym kursie w Londynie i obie zafascynowałyśmy się absorpcją natury. Właściwie tak bardzo, że przyjaciółka przyjechała tu przed paroma miesiącami. W każdym razie tak sądziłam, ale od tamtej chwili nie miałam od niej wiadomości, a Atu Abanshamash Dumuzi... – zamilkła na chwilę. Już samo wypowiedzenie jego imienia przyprawiło ją o rumieniec. – ...i dowiedziałam się w recepcji, że nigdy tu nie dotarła. To bardzo dziwne; muszę powiedzieć, że naprawdę się zmartwiłam.

Atu skinął z powagą.

– Owszem, to dziwne, ale mówiłem, że jej tu nie ma. Dobrze ją pamiętam, Shirley, to bardzo piękna dziewczyna. Czy nie była Mulatką?

Kobieta wruszyła ramionami, a skóra Pirjo zrobiła się lodowata.

– Nigdy o tym nie myślałam, ale w każdym razie była brązowawa. Pochodziła z Jamajki, a tam ludzie mają wszystkie możliwe kolory skóry.

Atu uniósł głowę.

– Mówi ci to coś, Pirjo? Podobno ta dziewczyna tu pisała. Shirley, jak ona się nazywała?

Pirjo nie słyszała odpowiedzi, bo już ją znała.

Myślała wyłącznie o tym, co musi teraz zrobić.



– Mam odjechany problem z dawnymi studentami ze szkoły, Carl – powiedział Gordon. Niesamowite, jak potrafił się garbić, chcąc wyrazić swoje cierpienie. – Kiedy w końcu udało mi się skontaktować z kilkorgiem z nich, to nie mogli sobie nic przypomnieć, a nawet jeśli próbują, wszystko im się miesza. Jeden z nich od czasu Bornholmu uczył się de facto w pięciu uniwersytetach ludowych i nie mógł odróżnić jednego od drugiego. Inny, to znaczy jedna z tych z Litwy i, co zabawne, jedyna, która wciąż mieszka w domu rodzinnym, nie znała ni w ząb angielskiego, więc jest dla mnie zagadką, jakim cudem udało jej się spędzić pięć miesięcy na Bornholmie. No i te adresy! Oprócz tej Litwinki ani jedna osoba nie mieszka pod swoim pierwotnym adresem. Dotyczy to też większości rodziców. – Westchnął. – Przydzieliłeś mi, Carl, totalnie beznadziejne zadanie. Ta garstka, z którą jakimś cudem się skontaktowałem, pamięta coś głównie dlatego, że Habersaat był wkurzający, ale poza tym przypominają sobie tylko imię Alberte i to, że znaleziono ją martwą, nic więcej. Prawdę mówiąc, jeśli mam wyrazić się obcesowo, jej śmierć nikogo znanadto nie obeszała.

Carl ocknął się z niechęcią. Paplanina młodziutkiego współpracownika miała osobliwą zdolność kierowania ludzkich myśli na inny temat.

– Gordon – powiedział na tyle głośno, że ten drgnął. – Masz po prostu znaleźć choćby jedną osobę, która coś pamięta i chce rozmawiać. A kiedy już ją znajdziesz, przekieruj ją do Rose, która ma zapisy wszystkich dawnych rozmów ze studentami. To ona ma sobie wyrobić opinię, okej? Więc bierz się do roboty, człowieku. Oczywiście, że ich znajdziesz.

Zostawił Gordona z głową leżącą na brzegu biurka i Assadem ostrożnie poklepującym go po plecach. Jeśli chce dołączyć do ich zespołu, niech lepiej szybko podnosi ten łeb.

W gabinecie Rose sprawy wyglądały inaczej. Mnóstwo notesów z zapiskami, mnóstwo pomiętych papierów w koszu, mnóstwo zmarszczek na czole. Nie trzeba było dogłębnego studium, by domyślić się, że jest zajęta.

– Jakież wieści ze świata nadprzyrodzonego? – ośmielił się spytać.

Pokręciła głową.

– Podzwonię wieczorem, Carl. Jak już mówiłam, zdecydowana większość tych ludzi ma normalną pracę. Ale przeglądałam zapisy z przesłuchań dawnych studentów i natrafiłam na takich, których moim zdaniem Gordon powinien odnaleźć i się z nimi umówić. Sam przeczytaj. Tu masz wydruk z przesłuchania.

– Nie możesz przeczytać na głos?

– Carl, po prostu przeczytaj. Idź do swego gabinetu, zapal sobie fajkę i weź się za lekturę. Tylko pamiętaj, by zamknąć drzwi. Wszystkie papiery od Habersaata już i tak śmierdzą

dymem.

Mørck pociągnął nosem, mijając regały w drodze do gabinetu. Nie czuł nic poza perfumami Rose, od których kręciło go w nozdrzach i piekły go oczy.

Położył kartkę przed sobą na biurku, zgodnie z sugestią posłusznie wziął papierosa i przeczytał wydruk od Habersaata.

*9/12 1997. Przesłuchanie Synne Veland, 46 lat, studentki semestru jesiennego. Nauczycielka w szkole podstawowej z gminy Hvidovre. Numer osobowy 161151-4012*

*Skrócona wersja zapisu 10/12 1997*

Carl się zatrzymał. Przyszła mu do głowy pewna myśl, ale czy naprawdę facet mógłby być aż tak głupi? Spróbował wyobrazić sobie Gordona w akcji. Rany, oczywiście, że by mógł.

Wcisnął przycisk interkomu.

– To tutaj dzwoni – odezwał się Assad po drugiej stronie korytarza, zagłuszając siebie samego.

– Assad, to nie z tobą chcę rozmawiać. Gordon, słuchasz? Jesteś tam?

Coś zaskrzypiało. Czy było to krzesło, czy potwierdzenie?

– Rozumiem, że zrobiłeś sobie listę z numerami osobowymi wszystkich uczestników kursu na uniwersytecie ludowym, prawda? – złapał się na tym, że kiwa głową, choć wiedział, że to nie może być prawda.

– Nie – potwierdził jego przypuszczenia Gordon. – W szkole powiedzieli, że nie mogą mi udzielić takich informacji.

Carl zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Co za tuman, czy ten koleś naprawdę jest taki nedorobiony?

– Ty cholerny idioto! – wrzasnął. – To pierwsza rzecz, jaką się robi. Kurwa mać, Assad, powiedz mu, że ma bezpośredni dostęp do rejestru osób i że po pierwsze to właśnie on, jeśli ktokolwiek, ma prawo uzyskać takie informacje od szkoły, a po drugie, że jeśli poszuka, to wszystkie numery osobowe ma w zapisach z przesłuchań Habersaata. Powiedz mu, żeby brał się do roboty, i to już!

– Muszę to zrobić, skoro ty to wszystko powiedziałaś, szefie? – stęknął Assad w głośniku.

Carl zaciągnął się głęboko i zakaszłał.

– A co takiego robisz, Assad?

– Siedzę nad czymś, co właśnie znalazłem. Za chwilę z tym przyjdę.

Carl zwolnił przycisk. Dlaczego, do diaska, nikt nie myśli samodzielnie?

Pokręcił głową i wrócił do lektury papierów Habersaata.

*161151-4012*

*Skrócona wersja zapisu 10/12 1997*

*(Wypowiedź Synne Veland na temat Alberte:)*

Cóż, nie znałam jej tak dobrze, jak wiele innych osób, bo my seniorzy nie spędzamy tyle czasu z młodymi. Średnia wieku w tym roczniku wyniosła dwadzieścia sześć i pół, a i tak zawyżały ją osoby po czterdzieście, do czego oczywiście i ja się przyczyniłam, więc w stosunku do innych czujemy się trochę przekwitli. Poza tym proszę zauważyć, że Alberte była najmłodsza. Właściwie nawet młodsza od mojej własnej córki i niewiele starsza od uczniów, z którymi się żegnam, gdy kończą dziesiątą klasę. Ale oczywiście rozmawiałam z nią i oczywiście zwróciłam na nią uwagę, wszyscy zwróciliśmy, bo była taka piękna i pełna życia. Zauważyłam też, że sporo innych dziewczyn sprawiało wrażenie zazdrosnych o nią, bo wszyscy chłopcy, mężczyźni zresztą też, ciągle na nią zerkali, ale moim zdaniem to nie było nic poważnego, bo w tym wieku to naturalne.

*Pamiętam też, że w dniu jej zniknięcia mieliśmy wizytę ze Szkoły Rytmiki, a że Alberte interesowała się muzyką i miała przepiękny, uroczy głos, to dziwiłam się, że późnym popołudniem była nieobecna i nie pojawiła się też na wieczornej imprezie.*

*Jeden z chłopaków, z którymi flirtowała, ma na imię Kristoffer, powiedział w pewnym momencie, że Alberte ma adoratora spoza szkoły i faktycznie zauważyłam, że w ostatnich dniach była nieco nieobecna duchem. Wie pan, jak potrafi wyglądać zakochana dziewczyna (śmieje się). No i była też dosłownie nieobecna. Chodziłyśmy razem na warsztaty ze szkła, ale przez większą część ostatniego tygodnia nie pojawiała się na zajęciach.*

*(Pyt.: Widziała pani kiedykolwiek tego mężczyznę czy też chłopaka?)*

*Nie, ale któregoś dnia moją uwagę przykuły słowa Alberte, że poznała najbardziej tajemniczego i fascynującego człowieka na ziemi. Nie mówiła wprost, że się zakochała, ale widać było, że jest nim zafascynowana. Oczywiście pytaliśmy, kto to taki, ale tylko chichotała, często to robiła, i mówiła, że to po prostu ktoś, kogo poznała i że czasami po zajęciach podjeżdża pod szkołę.*

*(Pyt.: Nie pytała pani, czy spotykają się, by porozmawiać na drodze, czy gdzieś razem jeżdżą?)*

*Nie, niestety. (Synne Veland sprawia wrażenie poirytowanej, może też smutnej).*

*(Pyt.: Przychodzi pani do głowy, kto mógłby wiedzieć o tym coś więcej?)*

*Potem o tym rozmawialiśmy. Może Kristoffer, ale nikt poza tym.*

*(Pyt.: Ale czy o takich rzeczach dziewczęta nie rozmawiają w swoich pokojach?)*

*Oczywiście, ale wydaje mi się, że Alberte wiedziała, że inne dziewczyny mają już dość jej flirtowania. Sądzę, że milczała, może by dodatkowo ich nie prowokować.*

*(Pyt.: Czyli dla niej to mogła być zabawa z tym facetem? Potajemna zabawa?)*

*Tak, niewykluczone.*

Carl czytał dalej. W przesłuchaniu nie było niczego odkrywczego.

Wcisnął przycisk interkomu.

– Rose, pozwól tutaj!

– Sam tu pozwól! – krzyknęła z korytarza.

Carl zajrzał na korytarz: siedziała na podłodze z rozłożonymi nogami, pomiędzy którymi leżał stos papierów.

– Chyba przyjemniej było czytać w gabinecie? – rzucił, ale nie otrzymał odpowiedzi. – Dlaczego uważasz, że to przesłuchanie jest wyjątkowe? Nie licząc tego, że uświadomiło mi niedojrzałość Gordona, nie widzę w nim nic, czego nie wiedziałbym już wcześniej. Może chcesz, żebyśmy porozmawiali z tą panią? Bo na podstawie tego, co tu mamy, nie sądzę, by się to na coś zdało. Teraz ma ponad sześćdziesiątkę, w końcu minęło prawie dwadzieścia lat. Dlaczego miałyby przypomnieć sobie coś, co się nam przyda, a co nie wyszło na jaw wtedy?

– Mówisz tak dlatego, że jesteś mężczyzną, a mężczyźni bywają ślepi. Zwróć uwagę, jakie proste pytania zadawał jej Habersaat. Gdybyś to ty był na jego miejscu, zapytałbyś ją o to samo?

– Tak, on wprawdzie nie był detektywem, ale zasadniczo pytałbym o to samo.

– Ale szczegóły, Carl, co z nimi?

– Jakie szczegóły?

– Posłuchaj: gdyby to była twoja sprawa i gdyby była świeża, dopytywałbyś się o mnóstwo rzeczy, które w tej chwili nie przychodzą ci do głowy, ale o których kobieta oczywiście pomyśli nawet sporo czasu po fakcie.

– Szczegóły? Dotyczące osoby Alberte, to masz na myśli? – Carl spojrzał na ciasno upakowane regały. Jakby nie miał dość szczegółów, do których musi się odnieść. – Westchnął.

– Chodzi ci o buty, ubrania, włosy?

– Tak, i mnóstwo innych rzeczy. Nowe gesty, inny makijaż. Wszystko, co mówi nam o uczuciach młodej kobiety. To się może wyrażać przez takie właśnie rzeczy.

Kiwnął głową: to prawda. Zdarzały mu się sprawy, w których kobiety pamiętały wyskubane brwi innych pań, ale nie potrafiły sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach je widziały.

– Hm. Chcesz, żebyśmy odszukali Synne Veland i zapytali ją o takie rzeczy sprzed siedemnastu lat?

– Oczywiście, że tak. Synne Veland miała artystyczną naturę. Spełniała się twórczo na uniwersytecie ludowym, znała się na muzyce, tworzyła dzieła ze szkła. Musiała zwrócić uwagę na takie sprawy.

– Nawet jeśli, to co? Może uzyskamy potwierdzenie przypuszczeń, że Alberte była zakochana albo po prostu chciała się zabawić, ale co to teraz ma za znaczenie? Moim zdaniem to lichesy trop.

– Jasne. Ale możemy o tym porozmawiać później.

– Dobrze. Musisz sprawdzić jeszcze jeden trop. Odkąd wczoraj wspomniałaś o Knarhøj w kontekście faceta, którego szukamy, nie przestaje mnie to męczyć. Już się na tę nazwę natknęliśmy, ktoś tam kopał.

– Hm, faktycznie, coś mi świta...

Assad wystawił rozwichrzoną głowę z gabinetu. W objęciach trzymał stos papierów i niestety też parującą filiżankę. Zapowiada się niezły ubaw.

– Carl, znalazłem to – oznajmił, gdy usiedli w gabinecie Mørcka. – Czy to nie pasuje do toku naszych poszukiwań?

Położył przed nim kartkę z wyrysowanymi krzywymi i liczbami, stawiając obok parującą filiżankę.

– Pomyślałem, że powinienes się wzmocnić.

O losie! Czyli filiżanka była dla niego.

– Co to takiego? – Zapach był inny niż zazwyczaj. Prawdę mówiąc, lepszy.

– To czaj. Superfajna receptura. Herbata indyjska z imbirem, dobra na wszystko. – Wskazał na swoje krocze, uśmiechając się znacząco.

– Czyżbyś miał problemy z oddawaniem moczu? – rzucił Carl z ironią.

Assad dał mu kuksańca i puścił oko.

– Podobno Mona o ciebie dopytywała.

Boże drogi, jak te plotki się roznoszą! To teraz jego libido trzeba stymulować herbatą o dziwnym zapachu?

– Zapomnij, Assad. Mona to zamknięty rozdział.

– A co z tą Krynoliną, chyba tak miała na imię ta ostatnia?

– Masz na myśli Kristine. Co ona ma do tego? Wprowadziła się z powrotem do eksmęża. Nie wydaje mi się, by twoja herbatka mogła coś na to poradzić.

Wzruszył ramionami.

– Spójrz. Christian Habersaat narysował schemat z drzewem, drogą i rowerem w krzakach. Jest dość dokładny, więc pewnie sam go nie sporządził. Raczej technicy.

Carl obrócił rysunek i przyjrzał się mu. Tak, mniej więcej tak to sobie wyobrażał.

Assad wyjął kolejną kartkę.

– Ale to na pewno narysował sam. Ma przedstawiać rzut pionowy miejsca wypadku i otoczenia.

Wskazywał poszczególne elementy, komentując je.

– Jak widzisz, Alberte musiała zostać uderzona mniej więcej w tym miejscu, by wylądować na gałęziach. – Przesunął palcem po krzywej narysowanej przez Habersaata. Wyglądało to prawdopodobnie, może linia biegła bliżej pionu, niż Carl to sobie wyobrażał.

– Tu, na trzecim rysunku, dodał to coś, co jego zdaniem wyrzuciło ją w powietrze. Spójrz na kąt tego przedmiotu. Jest ukośny i znajduje się tylko siedem, osiem centymetrów nad asfaltem.

Carl kiwnął głową.

– Tak, pług, który wyrzucił Alberte do góry, musiał być skierowany pod mniej więcej takim kątem, tu mu przyznaję rację. Ale dlaczego od tego zginęła? Moim zdaniem nie zadałby śmiertelnego uderzenia.

– Może zabił ją szok. Kiedy ludziom strzela się w serce, umierają natychmiast od szoku. Tu pewnie było tak samo.

Carl pokręcił głową.

– Taaa, może, ale jakoś wątpię. Jeśli jednak rysunek Habersaata jest zgodny z prawdą, a jestem skłonny podejrzewać, że tak, to Alberte została wręcz wrzucona na koronę drzewa. Oczywiście, człowiek byłby od tego poturbowany i miałby sporo obrażeń, ale znów: czy to by go zabiło?

– Chwileczkę. – Assad zniknął za drzwiami, a Carl spojrział na filizankę. Od połączenia słów „libido” i „Mona” nagle zachciało mu się pić. Łyczek mu przecież nie zaszkodzi.

Powąchał parę znad filizanki i poczuł zapach dalekich, egzotycznych wybrzeży. Wziął solidny łyk. „Nawet delikatnie smakuje” – pomyślał, zanim herbata zaczęła działać.

Arterie na szyi nagle się otworzyły, przełyk się skurczył, jęczyczek podniebienny odrętwiał, struny głosowe zaczęły go cholernie piec – cały ten zestaw objawów sprawił, że jedną ręką odruchowo ścisnął się za gardło, drugą zaś chwycił się blatu biurka. Gdyby do gardła wiano mu kwas, różnica byłaby niewielka.

Chciał przekląć, ale nie mógł z siebie wydobyć słowa. Łzy spływały mu po policzkach, toczył ślinę z ust i całkowicie owładnęło nim marzenie o zemście i wiadrach lodowatej wody.

– Co się dzieje, Carl? – spytał Assad, wracając z raportem. – Za dużo imbiru?

Zgodnie z deklaracjami komisarza Birkedala, raport z sekcji zwłok potwierdzał, że ciało Alberte nosiło ślady złamań i krwotoków wewnętrznych, które jednak nie były na tyle poważne, by można je było uznać za bezpośrednią przyczynę zgonu.

Carl podsumował:

– Na podstawie wyników sekcji zwłok wyciągnięto wniosek, że po wylądowaniu na drzewie Alberte żyła jeszcze dobrą chwilę. W obu nogach doznała złamania kości piszczelowych i strzałkowych, pęknięcia pojawiły się też w kilku innych miejscach, ale żadne z obrażeń nie było na tyle poważne, by spowodować zgon. W każdym razie nie od razu. Przez cały czas zwisała z drzewa głową w dół, więc straciła sporo krwi. Nie jakieś hektolitry, ale jednak.

Odłożył raport na biurko. Alberte Goldschmid wisiała tam dosyć długo, nim umarła. Biedna dziewczyna.

– I co ty na to, Carl? – spytał Assad.

– Powiem tylko, że z dużym prawdopodobieństwem rysunek Habersaata można uznać za dokładny. Została z dużą siłą wrzucona na drzewo, a przy uderzeniu odniosła obrażenia

wewnętrzne i złamania, plus głębokie rany na łydkach, które sporo krwawiły. Czyli zabiło ją połączenie tych wszystkich obrażeń. I oczywiście czas.

– Straszne – powiedziała Rose w drzwiach. – Gdyby tylko ktoś trochę wcześniej zobaczył, że tam wisi, może udałoby się ją uratować.

Stała przez chwilę, namyślając się, jakby przyszła jej do głowy nowa możliwość.

– Co jest? – spytał Carl.

– Sama nie wiem. Czyli może jednak jakieś przesłanki przemawiają za wypadkiem?

– Dlaczego?

– Gdyby to było morderstwo z premedytacją, morderca upewniłby się, czy Alberte aby nie przeżyła i nie będzie w stanie złożyć obciążających go zeznań. Gdyby to któreś z was chciało się jej pozbyć, nie dopilnowalibyście tego?

– Ja bym dopilnował – rzucił Assad skwapliwie.

Mørck ściągnął brwi.

– To tylko taka speku... yyy. Znaczący tak to sobie wyobrażam, Carl.

– Dzięki, Assad, rozumiemy. Ale samochód nie zahamował na miejscu zdarzenia, Rose, więc mogło się zdarzyć mnóstwo rzeczy, o których nie wiemy. Może kierowca zaparkował auto na drodze i wrócił, by sprawdzić, czy ona nie żyje. Może stwierdził to w lusterku wstecznym. Może zabójca znajdował się w sytuacji, w której wyłącza się logiczne myślenie. Zabójcy rzadko myślą racjonalnie, Rose, przecież wiesz, więc nie możemy pozwolić sobie na takie konkluzje.

Zebrał rysunki Habersaata.

– Assad, zeskanuj je, poślij technikom i powiedz, że jutro zadzwoni do nich Laursen i wszystko zreasumuje. Pogadaj z Laursenem, potrafi przyspieszyć bieg spraw. Nie licząc zadanych już pytań, niech technicy sprawdzą, co mają w archiwach na temat analizy tej płyty ze sklejki. No i chcielibyśmy też wiedzieć, o ile przyjąć za pewnik teorię Habersaata o pługu, jak gruba musiałaby być taka płyta, by można ją było przymocować do maski samochodu takiego jak ten volkswagen ze zdjęcia bez pozostawiania śladów na karoserii. Na podstawie rysunku Habersaata i zakładanej prędkości samochodu powinni nam powiedzieć, czy to w ogóle możliwe, by podczas wypadku ciało Alberte zostało odrzucone tak, by nie spaść na przednią szybę i jej nie rozbić. No i spytaj, czy mogą zwiększyć ostrość zdjęcia tego faceta. Oczywiście ciągle będziemy szukać fotografa i ewentualnie negatywu, ale powiedz im, że mają na to nie liczyć. Laursen został już poinformowany o większości tych spraw, ale w międzyczasie pojawiło się więcej tropów, więc powiedz mu, co i jak.

– Czemu tak stoisz? – Zwrócił się do Rose. – Masz do mnie coś jeszcze?

– Znalazłam to, czego szukałeś.

Pewność siebie aż z niej biła.

– Co znalazłaś? Zeznanie pod przysięgą z ust mordercy z jego nazwiskiem i przyznaniem się do winy? – zaśmiał się.

– Chodzi o Knarhøj!

– Aha, to znaczy?

– To właśnie tam młody drużynowy Bjarke Habersaat chodził kopać w ziemi z jakimś mężczyzną. Pewnie pamiętasz, że ten pomyleniec z ławki w Listed mówił, że przy tej samej okazji June Habersaat poznała tam jakiegoś faceta. Przy labiryncie, chyba tak to nazywał?

Assad kiwał głową jak opętany; pewnie wówczas też zapisał to w swoim notesie.

– Zgadza się, właśnie tak było. Ale wyglądasz, jakby twoim zdaniem nie szykowali miejsca pod ognisko. Niech zgadnę. Myślisz, że spotkali tam kolesia z Ølene? Może znalazłaś jego pamiętniki?

– Bardzo śmieszne, Carl. Po prostu teraz wiem, że to może być ten sam człowiek i tyle.

Carl nachylił się nad stołem.

– A skąd to niby wiesz?

– Sprawdziłam Knarhøj w Google i nic nie wyskoczyło. Dowiedziałam się za to, że na Bornholmie jest sporo labiryntów, a jeden z nich znajduje się na zachód od Listed. Zadzwoiłam więc do galerii, która się tam znajduje, i powiedziano mi, że labirynt wykonał właściciel tejże galerii, ale dopiero w dwa tysiące szóstym roku. Wzgórze, na którym znajduje się ten labirynt, nazywa się Knarhøj, właściciel galerii wybrał zaś to miejsce ze względu na ciekawą historię tego regionu. Mianowicie w tym miejscu w epoce żelaza mieściła się osada, którą teraz nazywa się Sorte Muld. Dokonano tam wielu ciekawych znalezisk, między innymi odkryto kilka tysięcy *guldgubber*.

– *Guldgubber*?

– Tak, malutkie złote figurki, używane jako dary ofiarne. A właściciel galerii sam znalazł kamień słoneczny. Nigdy wcześniej nie słyszano o takim znalezisku. Zbadałam sprawę i wszystko się zgadza. To naprawdę wyjątkowe miejsce.

– Kamień słoneczny, powiadasz. Co to, u licha, jest?

Uśmiechnęła się. Czyli spodziewała się też i tego pytania.

– To rodzaj kryształu, którego Wikingowie używali, by określić dokładne położenie słońca na niebie w pochmurną pogodę. Ma to coś wspólnego z polaryzacją promieni słonecznych. Czytałam, że dziś w okolicach polarnych używa się czegoś podobnego. Widać ci Wikingowie nie byli tacy głupi.

– Kamienie słoneczne, Wikingowie, *guldgubber* – Carl musiał zebrać myśli. – Czyli twoim zdaniem nie tylko mamy połączenie między June Habersaat a tym gościem, ale też między zainteresowaniem zjawiskami okultystycznymi Christiana Habersaata i mężczyzną z Ølene, uprawiającym nocne tańce na golasa i tym podobne. To właśnie próbujesz mi powiedzieć?



– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, Carl, zresztą to chyba byłoby niemożliwe. W końcu to też ty wyłapałeś ten szczegół o Knarhøj. Jeśli to ten sam człowiek, którego poznała Alberte, to przybywa argumentów przemawiających za tym, by June Habersaat powiedziała nam wszystko, co o nim wie.

Carl znów westchnął.

– Ech, to i wiele więcej. Znacznie więcej. Już czuję, w którą stronę to zmierza, Rose, masz całkowitą rację. Ale nie zaciągniesz mnie na Bornholm, bym wykręcał June Habersaat rękę na plecy. Może ty masz ochotę tam pojechać? Albo ty, Assad?

Nie wydawali się rozentuzjzmowani.

Rose wzruszyła ramionami.

– W porządku. W takim razie będzie musiała pofatygować się do nas.

– Jakim cudem ją do tego skłonisz? Nic na nią nie mamy, by można było ją zmusić.

– Ale to już twój problem, Carl. Przecież jesteś szefem.

Mørck pacnął się w czoło; do tego w drzwiach pojawił się Gordon, pukając we framugę. Mogą równie dobrze zaprosić chór policyjny i orkiestrę Armii Zbawienia, i tak człowiek nigdzie nie może zaznać spokoju.

– Przepraszam, Carl – zaczął Gordon. – Zupełnie zapomniałem ci powiedzieć, że dzwonił ktoś imieniem Morten. To chyba ten, co kiedyś u ciebie mieszkał. Mówił, że nie ma Hardy’ego.

– Nie rozumiem?

– Hardy zniknął. – Ten dureń miał tak barani wygląd, że brakowało tylko beczenia.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? – spytał Assad, który wyglądał na zmartwionego.

– Prawie dwie godziny temu.

Carl wziął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Dźwięk był wyciszony, a miał od Mortena co najmniej piętnaście SMS-ów i nieodebranych połączeń.

Prawie stracił oddech.

Szukali wszędzie – twierdził Morten, stojąc przed szeregowcem Carla z zaczerwienioną twarzą noszącą widoczne ślady łez. Hardy odjechał swoim elektrycznym wózkiem inwalidzkim, gdy Morten wszedł do domu, by sprawdzić prognozę pogody. Od tej pory przebywał na dworze w ulewie, a miał na sobie krótki rękaw.

Mimo dezorientacji, nerwów i szczykania zębami, udało mu się mniej więcej zreferować, gdzie z Miką szukali Hardy’ego.

– Byliśmy wszędzie w promieniu półtora kilometra od domu, Carl. Po prostu zapadł się pod ziemię.

– A co z komórką? Chyba może ją odebrać?

– Nie ma jej ze sobą. Zawsze wychodzimy razem, więc moja wystarczy.

– Może jest w Kvickly albo w Expert Radio? Ciągłe słucha muzyki, więc może pojechał tam poszukać jakichś nowości?

– Carl, on ma iPoda, używa Spotify. Wkładam mu słuchawki w uszy i może tak spędzić kilka godzin, nim poprosi mnie o ich wyjęcie.

Carl skinął głową. Spotify? Gdzieś już słyszał tę nazwę, ale nie miał pojęcia, co to takiego.

– A bateria w wózku? – spytał Assad.

– Ech, ma gigantyczną pojemność – odparł Morten. – Na jednym doładowaniu da radę przejechać stąd do Frederikssundu i z powrotem. – Zaczął pociągać nosem.

– Myślę bardziej o deszczu.

– Assad, to nie ma znaczenia. Bateria jest dobrze zabezpieczona – wyjaśnił Carl, po czym zwrócił się do Mortena: – Minęły już ponad trzy godziny, a w trybie marszu wózek rozwija prędkość dwunastu i pół kilometra na godzinę. Dzwoniliście do jego byłej żony, Morten?

– Chyba nie sądzisz, że pojechał aż do Kopenhagi? – Morten zadrżał na całym ciele.

– Idź do środka i zadzwoń, musimy to sprawdzić. Zadzwoń też do szpitala w Hillerød, czy go tam nie przywieziono.

W Rønneholtparken jeszcze nikt nigdy tak uroczo nie drobił. Mortena już nie było, zanim Carl zdążył dokończyć zdanie.

– Assad, musimy się rozdzielić. Ja wezmę samochód i pokręcę się po okolicy.

– A ja?

– Możesz pojechać tym, ale lepiej włóż pelerynę przeciwdeszczową. Leży z tyłu w bagażniku. Że też tej wiosny musiało się nagle zrobić tak piekielnie zimno.

Wskazał na skuter Jespera. Dobrze naoliwiony pojazd o pojemności pięćdziesięciu centymetrów sześciennych, na którym Jesper nie jeździł, odkąd wyprowadził się z domu.

Assad uśmiechnął się półgębkiem.

Odkąd działania państwowej opieki zdrowotnej nabrały rumieńców, a codzienność w Rønneholtparken stanęła na głowie, Carl nie odbywał już takich długich rozmów z Hardym jak kiedyś. Morten został jego dziennym opiekunem, chłopak Mortena, Mika, coachem i fizjoterapeutą, przysyłana przez gminę pomoc domowa im pomagała, a wózek inwalidzki dbał o mobilność. Nagle Carl znalazł się na bocznym torze i teraz się zastanawiał, czy stało się to aby z pożytkiem dla Hardy'ego.

„Gdzie się podziałeś, stary druhu?” – myślał, gdy wycieraczki miotały się w tę i z powrotem, a wszystkie uroki Allerød migwały mu za oknami.

Hardy miał władzę w kciuku, potrafił też nieznacznie poruszyć nadgarstkiem i szyją. Dzięki tym wyjątkowo ograniczonym narzędziom zyskał zupełnie inne życie i swobodę nieporównywalną z wieloletnim przykuciem do łóżka, które odeszło już do przeszłości. Początkowo był wniebowzięty z powodu odzyskanej możliwości poruszania się, ale ostatnio rosła w nim świadomość własnych ograniczeń.

– Przedtem litowałem się nad sobą, ale jednocześnie czułem się kimś szczególnym, bo znosiłem własne życie. Teraz czuję, że dla osób mi najbliższych stałem się po prostu kulą u nogi – powiedział kiedyś, po czym wyjaśnił, że doskonale wie, ile mają z nim kłopotu i w jak nieznacznym stopniu może się odzwajemnić.

O ile jednak podczas każdych odwiedzin Carla w klinice urazów rdzenia kręgowego Hardy mówił o samobójstwie, to po przeprowadzce do jego salonu już nigdy o tym nie wspomniał. Pytanie tylko, czy to wyjście znów nie zaczęło chodzić mu po głowie.

– Widzieliście może, czy przejeżdżał tędy mężczyzna na elektrycznym wózku inwalidzkim? Ubrany w krótki rękawek – wołał raz po raz przez okno. Ludzie sprawiali wrażenie zaskakująco obojętnych.

Zatrzymał się na parkingu na końcu Tokkekøbbevej i z zatroskaniem zajrzał do lasu. W sumie podjęli się karkołomnego zadania. Przecież ludzie znikają, jeśli nie chcą, by ich znaleziono. Może Hardy też?

Wybrał numer Mortena.

– Co tam, jakieś wieści?

W słuchawce rozległo się chlipnięcie.

– Nie ma go w żadnym z miejsc, do których dzwoniłem. Mika poprosił policję o wszczęcie poszukiwań. Zazwyczaj nie robią tego tak szybko, ale zrobili wyjątek, gdy usłyszeli, że to kolega po fachu, sparaliżowany w wyniku akcji na służbie.

– Dobrze. Podziękuj Mice.

Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie cokolwiek, co mogłoby go naprowadzić na trop, dokąd Hardy mógł się udać. Nie miał absolutnie żadnego pomysłu.

Zabrzęczała komórka, więc rzucił się ją odebrać. Dzwonił Assad.

– Tak?! – krzyknął. – Znalazłeś go?

– Yyy, nie, właściwie to nie.

– To znaczy?

– Tam, gdzie kiedyś był ratusz, spotkałem rowerzystę, który widział wózek inwalidzki na Nymøllevej, jadący w stronę Lyнге. Więc przygazowałem.

– Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłeś?

– No właśnie, w tym problem. Zatrzymała mnie policja. Stoją tu koło mnie na Rådhusvej i twierdzą, że jechałem sto piętnaście kilometrów na godzinę po ścieżce rowerowej. Przyjedziesz tu?

Przekonanie kolegów, by puścili Assada, zajęło Carlowi dobrą chwilę. Właściwie obaj panowie w mundurach jeszcze nigdy nie widzieli, by skuter, który powinien wyciągać maksymalnie trzydzieści kilometrów na godzinę, osiągał takie wyniki. Cóż, nie było tu żadnych okoliczności łagodzących i to bez względu na to, z której strony spojrzeć, jak to ujęli. Jeden z funkcjonariuszy zapowiedział konsekwencje prawne, a już na pewno problemy z uprawnieniami Assada do kierowania samochodami osobowymi.

Carl zastanowił się nad konsekwencjami. Czyli Assad straci prawo jazdy! To wręcz cudownie.

– Kto jest właścicielem skutera? – spytał policjant.

– Ja – odparł Assad mężnie.

Jesper na to nie zasłużył.

– Właśnie dostaliśmy zgłoszenie od dyżurnego – odezwał się jego kolega z wozu patrolowego. – Poszukiwany Hardy Henningsen został zlokalizowany przez pracowników kina Lyнге Drive in Bio. Jedźcie prosto, mińcie zwirownię i wjedźcie na szosę. Wasz kolega siedzi w swoim wózku na parkingu kina i patrzy w biały ekran.

Puścili Assada, ale skuter skonfiskowali. I choć Carlowi zaimponował spryt techniczny przybranego syna i jego znajomość zasad tuningu pojazdów mechanicznych, to trudno było polemizować z karą za nielegalne.

Wyższy funkcjonariusz postukał Carla w ramię.

– Proszę – powiedział, wciskając mu do ręki strzępki kartki. Carl spojrzął na nie. Był to mandat wystawiony na nazwisko Assada. – Znamy sprawę Hardy’ego Henningsena, więc człowiek, który go szuka, nie będzie za to karany. Ale nie mów mu tego od razu, niech się trochę pomartwi.

Zasalutował na pożegnanie.

Dotarcie na miejsce nie zajęło im nawet pięciu minut.

Kino samochodowe bez samochodów, szczególnie zaś w ulewny deszcz, stanowi przygnębiający widok. Było to największe w Europie kino na wolnym powietrzu, więc wózek inwalidzki Hardy’ego na tle gigantycznego ekranu wydawał się nieskończenie mały.

Carl już dawno nie widział tak przemoczonej istoty, nawet pomimo wełnianego koca, którym Hardy był opatulony.

– Co się dzieje, Hardy? – brzmiały pierwsze słowa, jakie przysły mu do głowy.

Oczy przyjaciela nie poruszyły się nawet o milimetr, ale jego usta ich uciszyły. Stali więc kolejnych pięć minut, wpatrując się w niego, dopóki Hardy w końcu nie odwrócił głowy i nie powiedział:

– Aha, jesteście!

Zabrali go do domu transportem dla niepełnosprawnych, wycierając go po drodze tak mocno, że skóra o barwie larwy przybrała kolor miedzianej czerwieni.

– Hardy, co się tam wydarzyło? Musisz nam powiedzieć.

– Postanowiłem zmienić swoje życie, na tyle, na ile mogę.

– Okej, nie bardzo wiem, o czym w ogóle mówisz. Ale jeśli zamierzasz nadal postępować tak, jak dziś, to długo to nie potrwa.

– Tak, Hardy, nie wolno ci już nigdy tak zrobić – dołączył Morten. Takie pulchne stworzenie z wyjątkowym trudem znosiło ogromne emocje.

Hardy zmusił się do uśmiechu.

– Dziękuję wam. Ale przerwaliście mi przeżywanie na nowo filmu, który trzydzieści lat temu widziałem tam z Minną. Wyobrażałem sobie właśnie, że trzymam ją za rękę, jak wtedy, rozumiecie?

– Ja rozumiem – powiedział Assad. Mniej żywiołowo niż zazwyczaj.

– Mówisz, że oglądałeś film, którego nie było, i trzymałeś za rękę kobietę, która nie dość, że była nieobecna, to prowadzi swoje, osobne życie. To krok w niebezpiecznym kierunku, Hardy.

Parokrotnie stuknął głową w oparcie. Zły nawyk, który w sobie wyrobił, kiedy nauczył się siedzieć.

– Łatwo powiedzieć. Ale co ja niby mam robić? Czekać na śmierć? Przecież nie mam się czym zająć! – odwrócił wzrok. – Gdy leżałem na łóżku w salonie, mogłem przynajmniej rozmyślać nad twoimi sprawami. Teraz już mi nic nie opowiadasz.

Półtorej godziny po tym, jak słońce schowało się za grubą powłoką szarych chmur, Assad i Carl zadbali, by zaradzić zaniedbaniom tego ostatniego. A gdy włączyli światło w salonie, dało się wyraźnie odczuć, ile zreferowanie sprawy Alberte Goldschmid dało ich niepełnosprawnemu przyjacielowi. Jego ciało wciąż wyglądało jak solna figura, ale oczy były ożywione i gotowe przekroczyć ograniczenia.

– Czyli ta June Habersaat, która teraz nazywa się Kofloed, może być dla was kluczem do uzyskania nazwiska i opisu głównego podejrzanego, a może nawet czegoś więcej?

– Tak, niewykluczone. W każdym razie Rose tak uważa.

– I ja też – skinął głową Assad.

– Ale ona nie chciała z wami gadać, więc następnym razem też pewnie nie zechce.

– Rose sądzi, że możemy jej zagrozić, ale ja tak nie uważam.

– I teraz utknęliście z tą sprawą. – Uśmiechnął się. – Jak to się mówi? Kiedy sprawa utknie w martwym punkcie, trzeba wprowadzić do niej jednoroźca, wtedy ruszy z miejsca. Albo latającego słonia, z braku lepszych opcji.

Assad skinął głową.

– Tam, skąd pochodzę, mówi się, że jeśli nie można inaczej, trzeba jechać na wielbłądzie w piąty sposób.

Carl na moment zgubił wątek. Nie był pewny, czy aby na pewno chce usłyszeć wyjaśnienie, na czym polegają cztery pierwsze i piąty.

– Coś tam, że przed, między, za albo na garbach – powiedział Hardy. – Słyszałem to.

Assad skinął głową.

– A piąty sposób to ze stopą w jego pupie. Zwierzę pędzi jak szalone.

Carl myślami był w innym miejscu.

– Assad, powtórz, co takiego June Habersaat recytowała na ulicy w Aakirkeby.

Przekartkował notes.

– Nie zapisałem tego od razu, ale wydaje mi się, że coś w tym stylu: „Chciałabym mieć rzekę, by móc stąd odjechać na łyżwach. Ale śnieg nie pada, jeszcze jest zielono”. – Spojrzał na Hardy’ego z dziwnym wyrazem twarzy. – Zgadza się?

Po twarzy Hardy’ego przebiegł skurcz.

– Wydaje mi się, że prawie się zgadza – odparł. – Znam tylko tekst oryginalny, to Joni Mitchell.

Carl wybałuszył oczy.

– Znasz to?

– Mika, proszę, podejdź tu i mi pomóż – poprosił Hardy.

Morten niechętnie wypuścił z objęć swojego umięśnionego chłopaka. Wreszcie cała gromadka była razem ku zadowoleniu wielkiej eksmamy całego domostwa.

– Hardy, jaki to tytuł? – spytał Mika.

– Piosenka nazywa się *River*. Znajdziesz ją na playliście w iPodzie. Podłącz go do stacji dokującej, żeby wszyscy mogli posłuchać.

Carl wyszukał piosenkę w Google, kiedy Mika przeczesał playlistę z kilkoma tysiącami piosenek.

– Mam ją – oznajmił po chwili. – Joni Mitchell, *River*, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt.

– Tak, to ta – odparł Hardy. – Ma dość zabawny początek.

Po kilku sekundach rozległy się pierwsze takty *Jingle Bells*, trochę jazzujące, trochę niestandardowe, ale jednak *Jingle Bells*.

Carl i Assad słuchali intensywnie. Gdy zabrzmiał właściwy fragment, Assad podniósł kciuk w górę.

*Oh, I wish I had a river I could skate away on...*

Utwór zaśpiewano delikatnym głosem z melancholijnym akompaniamentem na fortepianie. Całe cztery minuty o tęsknocie i wyrzeczeniu.

Mørck skinął głową do swoich myśli. To zapewne nie przypadek, że Hardy znał ten utwór.

– Carl, wyszukaj jakąś stronę z interpretacją piosenek. Robi się to na wielu forach – powiedział Hardy.

Carl wpisał tytuł i spojrział na stronę z linkami. Już piąta była sensowna.

Przeczytał, co na niej napisano.

„Joni Mitchell jest Kanadyjką, ale przeprowadziła się do Kalifornii, by zostać hipiską i rozwijać karierę muzyczną. Piosenka *River* opowiada o spędzaniu świąt Bożego Narodzenia z dala od domu w obcym miejscu o innych obyczajach – bez śniegu i jazdy na łyżwach. Krótko mówiąc, jest to piosenka o pragnieniu zostawienia za sobą dnia dzisiejszego i powrotu do prostych, niewinnych czasów”.

Patrzyli na siebie, dopóki Hardy nie przerwał milczenia.

– Śpiewa pięknie, no i sama piosenka jest wymowna i trafia prosto w serce, pewnie to rozumiecie. Nie wiem tylko, co mówi akurat w tym przypadku, nie znam tej June Habersaat. O czym rozmawialiście, kiedy zaczęła ją recytować?

Carl wyduł dolną wargę. Jak, do licha, miałyby to zapamiętać?

– Powiedziała mi, że nie znam jej marzeń i nie wiem, jak walczyła, by je spełnić – odparł Assad. – Gdy to powiedziała, zrozumiałem oczywiście, co ma na myśli.

Znów zapadło milczenie. Nikt właściwie nie wiedział, jakie znaczenie należy temu przypisać. Gdyby była tu Rose, toby się jej gęba nie zamykała.

– Czy ktoś chce zupy? – zaszczebiotał z kuchni Morten. Mørck się ocknął.

– Jak człowiek się dobrze zastanowi, to June Habersaat nie spełniła w życiu aż tylu marzeń.

– Aż tylu nie, ale kto spełnił? – spytał Hardy. – Sądysz, że romans z tym młodym facetem się do nich nie zalicza?

– Ależ zalicza. Po prostu nie zgadza mi się, dlaczego nagle wypala z tym tekstem. June Habersaat nie wygląda mi na osobę, która słuchałaby Joni Mitchell.

– Na półkach miała tylko znane duńskie piosenki – dodał Assad. – Absolutne hity 1–1000 i tym podobne.

– *River* to przecież bardzo poetycki, eteryczny utwór – zauważył Hardy. – Jeśli June nie należy do ludzi, którzy słuchają takiej muzyki na co dzień, to ktoś inny musiał jej ją wbić do głowy. Można założyć, że nauczyła się jej od tego faceta? On, zdaje się, też wzdychał do minionych czasów, prawda? Miejsca okultystyczne z epoki brązu, kamienie słoneczne, kościoły rotundowe i templariusze, długie włosy i hipisowskie płasy wiele lat po czasie.

– Gdyby rzeczywiście tak było, to co byś zrobił?

– Spróbowałbym pojechać na wielbłądzie w sposób numer pięć – odparł Hardy.

Assad uniósł kciuk w górę. Kiedy mowa o wielbłądach, zawsze był na tak.

Pięć minut później trójka siedziała wokół wózka Hardy'ego z wytrzeszczonymi oczami. Zupa Mortena musiała poczekać.

– Wybierz numer June Habersaat, Mika – poprosił Hardy. Jak powiedział, tak się stało. – Masz iPod w gotowości?

Skinął głową.

Wtedy Mika wcisnął ikonkę połączenia, trzymając telefon pięć centymetrów od ucha Hardy'ego.

– June Kofoed – powiedział głos w słuchawce. Wtedy Mika włączył iPod i głos Joni Mitchell znów wypełnił pokój.

Mika powoli przysunął komórkę do ust Hardy'ego.

Przez chwilę sparaliżowany mężczyzna siedział wpatrzony w dal, nawet nie mrugając. Teraz był policjantem wykonującym swoją pracę w pełnej koncentracji. Człowiekiem, który doskonale wiedział, kiedy nadarza się idealny moment, kiedy ton jest właściwy, a głos odpowiednio anonimowy.

– June – powiedział po prostu z muzyką grającą w tle.

Nastąpiła pauza, podczas której inni by się poddali, ale nie Hardy.

Wtedy w słuchawce coś się wydarzyło, a spojrzenie Hardy'ego poszybowało w górę.

– Tak – odparł po prostu.

Wówczas po drugiej stronie znów coś się wydarzyło.

– Okej, przykro mi to słyszeć, nie wiedziałem. Jak się czujesz? – spytał.

Nastąpiła dalsza wymiana zdań, po czym Hardy wzruszył ramionami.

– Rozłączyła się – powiedział. – Na koniec mnie przejrzała, albo po prostu nie chciała z gościem rozmawiać.

– No dawaj – ponaglił Carl. – Chcę usłyszeć całą rozmowę najdokładniej, jak tylko się da. Assad, notujesz.

– Wypowiedziałem po prostu jej imię, June, a ona odpowiedziała: „To ty, Frank?”. No to potwierdziłem. Wtedy zaczęła głęboko oddychać. To było bardzo dziwne, bo sądziłem, że jest wzruszona, że z nim rozmawia, ale jej kolejne zdanie było osobliwie szorstkie: „W dziwny sposób się ze mną kontaktujesz po siedemnastu latach. Nigdy w życiu nie sądziłam, że jeszcze się odezwiesz. Może słyszałeś, że Bjarke nie żyje? Odebrał sobie życie, to dlatego dzwonisz?”. Odparłem, że przykro mi to słyszeć i że o tym nie wiedziałem. Wtedy ją zapytałem, jak się czuje, ale zapytała, gdzie jestem. Odpowiedziałem „Jak sądzisz?”, a ona na to: „Bawisz się w cudotwórcę, co?”. No i wtedy chyba się wygłupiłem, ale przecież słyszeliście, że zapytałem ją, jak według niej się teraz nazywam. To było wyjątkowo niezdarne.

– Po prostu się rozłączyła?



– Tak. Ale teraz wiemy, że ten człowiek miał na imię Frank, że był Duńczykiem i że od lat nie miał z nią kontaktu.

– Pozostaje pytanie, czy to ten sam, którego szukamy – stwierdził Carl z namysłem. – Może to wcale nie przypadek, że ich pomyliła, gdy dzwoniłem, by wypytać ją o faceta z volkswagenem ogórkiem.

– Carl, to na pewno on – zawyrokował Assad. – Nawiał z wyspy po sprawie z Alberte. To ten sam człowiek, którego szukał Habersaat i który chodził do łóżka z jego żoną i z Alberte, i pewnie mnóstwem innych. Kristoffer trafił w sedno, nazywając go don juanem.

– A June nazwała go cudotwórcą, to też pasuje do naszego typka. Dobrze, więc trzymamy się tej wersji.

Carl jeszcze raz wpisał coś w wyszukiwarce.

– Miał na imię Frank. Jak sądzicie, ile w królestwie Danii mamy Franków w wieku około czterdziestu pięciu lat?

– Ja nie znam zbyt wielu – odparł Assad. Niezbyt przydatna uwaga w kontekście danych statystycznych.

– Ja też tego nie wiem. Ale w obecnej chwili mamy w Danii zarejestrowanych jedenaście tysięcy trzysta dziewiętnaście osób o tym imieniu. Według barometru imion<sup>4</sup> około pięćset osób otrzymało to imię po roku osiemdziesiątym siódmym, więc nie jest już zbyt popularne. Nie znamy wprawdzie dokładnego wieku człowieka, którego szukamy, ale zakładając na przykład, że wówczas miał od dwudziestu pięciu do trzydziestu paru lat, to raczej nie miniemy się z prawdą. I kolejne pytanie: na ile to imię było popularne w latach sześćdziesiąt osiem–siedemdziesiąt trzy? Nie możemy sobie pozwolić na zgadywanie, więc spytaj o to w Danmarks Statistik, Assad. Sądzę, że uzbiera się ich kilka tysięcy. Co zrobimy, jeśli faktycznie tak jest? Przecież nie możemy ich wszystkich wezwać na przesłuchanie, prawda?

Pytanie było retoryczne, ale Hardy, zdaje się, nie do końca tak myślał.

– Możemy po prostu zakasać rękawy. To znaczy wy możecie, bo domyślam się, że odpuścicie mi kwestię przesłuchań. – Zaśmiał się.

Uśmiech, który Carl przesłał mu w odpowiedzi, był nieco jadowity, ale mimo wszystko wieści były pozytywne. Mieli imię. No i Hardy poniekąd wrócił do gry.

Poniedziałek 17 marca 2014

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Pirjo uważała na siebie, regularnie zmieniała częstotliwości swojej energii za pomocą metod absorpcji natury i na wszelkie sposoby dbała o zdrowie, tak by mały człowiek, który w niej rósł, miał optymalne warunki do rozwoju. Dokładnie tak jak zawsze brała udział w zebraniach wspólnoty i spotkaniach ze słońcem na plaży. Pracowała pilnie, zajmowała się administracją, dbała o stan budynków i o to, by nowi goście szybko aklimatyzowali się w akademii. Chciałaby kiedyś znowu zająć w ciężę, więc Atu nie mógł mieć powodu, by sądzić, że to odbija się na jej codziennych obowiązkach.

Wigilia Nowego Roku rozpoczęła się tak jak zawsze – Atu wielbił cykl corocznych zmian pod gołym niebem. Zebrali się na plaży wokół ogniska, każdy na własny sposób wyrażając wspólną świadomość, że życie zawsze może im zaoferować coś nowego. Rok, który się rozpoczyna, będzie początkiem ich wszystkich przyszłych czynów.

Pirjo skinęła głową do własnych myśli, wiedząc, że w jej wypadku trudno o prawdziwsze stwierdzenie. Od tej pory nie tylko ona będzie o tym wiedzieć. Dlatego gdy taniec wokół ogniska się zakończył i każde z nich udało się do swojego pokoju na pierwszą cichą medytację w nowym roku, Pirjo chwyciła Atu za rękę i podziękowała mu za to, kim jest, i za to, kim wkrótce zostanie.

Potem przyciągnęła jego rękę do swojego brzucha i powiedziała mu wprost, jak się mają sprawy.

W chwili gdy jego twarz się rozjaśniła, Pirjo poczuła, że nic na tym świecie nie jest w stanie zagrozić jej odzyskanej harmonii i szczęściu.

Czuła się tak przez dwa i pół miesiąca, po czym równowaga wewnętrzna przeszła do historii.

Stało się to w poniedziałek; Pirjo miała sporo telefonów na linii Światła Wyroczni. Na konto wpłynęło kolejnych parę tysięcy.

Podczas rozmowy z ostatnim klientem tego dnia spojrzała na zegarek.

– Wyczuwam po barwie twego głosu i po tym, co do mnie mówisz, że stanowisz istotny element metamorfozy świata – powiedziała co najmniej po raz dziesiąty tego dnia. – Czuję, że twoja osobowość dysponuje niezwykłymi perspektywami rozwoju. Wyczuwam w tej chwili, że tak wyjątkowa osoba jak ty skorzysta, jeśli odeślę cię do Kręgu Holistycznego. Tam zadbają o to, by odkryć wszystkie twoje możliwości i wskazać ci drogę do osiągnięcia mentalnej siły i stabilności koniecznych, byś w pełni wykorzystywała swe rozliczne talenty.

Właśnie takie deklaracje ludzie pragnęli słyszeć. Kiedy zaś już się ich złapało, byli nienasytzeni, a z biegiem czasu do kasy wpływała mamona.

Pirjo czerpała z tego przyjemność. Na co dzień jej zdolności oratorskie ograniczały się zasadniczo do komunikatów natury praktycznej i drobnych negocjacji cen z lokalnymi dostawcami artykułów codziennego użytku, ale tutaj była w swoim żywiole.

– Pytasz, które z twoich perspektyw na przyszłość chciałabym zaakcentować, ale nie jest to łatwe pytanie. Widzisz...

W tym momencie na ścianie nad biurkiem Pirjo pojawił się cień znajomej sylwetki. Kształt Shirley był zdecydowanie rozpoznawalny pośród wszystkich uczniów o ascetycznym wyglądzie, więc Pirjo odwróciła się do niej z jednym ze swoich typowych, dyskretnych uśmiechów na ustach, choć Shirley znów nie omieszkała zignorować kartki „Nie przeszkadzać”. Właśnie taki ton przyjmowała w wypadku tej kobiety już od kilku miesięcy. Im mniej między nimi kontaktów, tym mniej powodów do zadawania pytań.

Ale tym razem uśmiech Pirjo nie został odwzajemniony.

– Pirjo, czegoś tu nie rozumiem – powiedziała Shirley ciszej niż zazwyczaj.

Pirjo uniosła rękę, by chwilę poczekała, i zakończyła rozmowę przeprosinami i obietnicą, że chętnie przedstawi wszystkie interesujące rzeczy, o których rozmawiały, odpowiednim osobom w Kręgu Holistycznym. Będą wtedy mogli od tego zacząć, gdy zadzwoni do nich w środę. Następnie życzyła kobiecie szczęścia i odwróciła się do Angielki.

– Czego nie rozumiesz, Shirley?

– Tego. – Wyciągnęła jakiś ciemny przedmiot i podała go Pirjo.

Był to pasek w ukośne białoszare paski.

– Okej, pasek? – Pirjo wzięła go do ręki, jakby był grzechotnikiem gotowym do ataku. – Co z nim? – usłyszała własny głos, koncentrując wszystkie zmysły na zachowaniu równowagi i próbując pojąć, co się wydarzyło.

Już tydzień po zabójstwie Wandy Phinn opróżniła pudło z wszystkich jej rzeczy i je spaliła. Czyżby przeoczyła pasek? Naprawdę?

– O co chodzi z tym paskiem, Shirley? Jest twój? Może uważasz, że przytyłaś lub schudłaś bardziej, niż zamierzałaś? – Jej własny głos dobiegał z oddali.

Czy to ten sam pasek? Nie pamiętała. Może nawet dobrze mu się nie przyjrzała.

– Nie, nie jest mój, ale go rozpoznaję – odparła Shirley.

Czy pasek mógł zsunąć się na samo dno kartonu? Ale co Shirley w ogóle robiła na strychu Stajni Zmysłów? To nie miało sensu.

Myślała, aż szły iskry. Przecież spaliła pasek, przecież w popiele była sprzączka, gdy wyrzucała go do morza? A może nie było?

– Mówisz, że rozpoznajesz ten pasek. Czy to jakaś szczególna marka? – Pirjo obróciła go parę razy, kręcąc głową. – Mnie ten pasek nic nie mówi. Może oprócz tego, że jest naprawdę

piękny.

– Tak, rozpoznaję go – powtórzyła Shirley. Wyglądała na mocno poruszoną. – Kupiłam go, ale nie dla siebie. Był prezentem urodzinowym dla mojej najlepszej przyjaciółki tuż przed jej wyjazdem z Londynu. Tej, o której mówicie, że nigdy tu nie dotarła. Wandy Phinn, nie pamiętasz, że o nią pytałam po swoim przyjeździe?

Pirjo skinęła głową.

– Może nazwiska nie pamiętam, ale owszem, wspominałaś o przyjaciółce, która rzekomo miała tu być. Tylko że paski są do siebie podobne, Shirley, prawda? – Uśmiechnęła się z ogromnym trudem. – Wprawdzie nie znam się za bardzo na ubraniach, bo nie chodzimy zbyt często w... sama wiesz... – Przesunęła ręką po swojej nijakiej tunice.

Shirley przyciągnęła pasek do siebie.

– Był bardzo drogi, normalnie nie mogłabym sobie na niego pozwolić, więc nigdy nie kupiłabym go dla siebie, ale bardzo chciałam podarować go Wandzie i udało mi się go kupić taniej ze względu na to. – Wskazała długą rysę.

Pirjo pokręciła głową.

– Nie rozumiem, jak miałyby się tu znaleźć. Skąd go masz?

– Od Jeanette.

– Jeanette? – Pirjo poczuła, jak wzbiera w niej desperacja; musi się bardzo pilnować. Nie mogły jej zdradzić uciekanie wzrokiem czy nadprogramowe mrugnięcia. – Ale Shirley, przecież jej tu nie ma. Jeanette wyjechała dziś przed południem. Wiesz, jej siostra jest ciężko chora, dlatego nas opuściła, by się nią opiekować. Prawdę mówiąc, sądzę, że Jeanette nie wróci.

– Wiem, mówiła mi o tym. Wyjmowała swoje stare ubrania z kartonu na stryszku, gdzie włożyła je trzy lata temu. Wtedy zauważyła, że nie ma jej paska, za to w kartonie leżał właśnie ten. Dlatego go wzięła. Pomagałam jej się pakować i gdy pochylała się nad walizką, moją uwagę przykuły kolory paska, sprzączka i rysa.

– Nie sądzisz, że to przypadek? Takie rysy...

– Nie było tam paska Jeanette, była tego pewna. Jej pasek był czarny, a ten jest dwukolorowy. Marka się zgadza z tą, którą kupiłam. I sprzączka, zobacz. Jest bardzo charakterystyczna. No i dziurki. – Wskazała na przedostatni otworek. – Spójrz, ta dziurka jest szersza, więc to jej właśnie używano. Gdy Jeanette go włożyła, musiała zapiąć się na co najmniej dwie dziurki dalej, ale Wanda Phinn była bardzo szczupła w talii. – Skinęła głową, zaciskając usta. – Po prostu wiem, że to pasek Wandy.

Cera Shirley, zazwyczaj bardzo jasna, pociemniała. Kobieta była najwyraźniej sfrustrowana, poirytowana i przestraszona jednocześnie. Bardzo niebezpieczny koktajl.

Pirjo zaczęło burczeć w brzuchu. Nerwy i złe przeczucia skryły się w jakimś niewidzialnym miejscu, ale dało się je wyczuć. Wydeła wargi i zaczęła myśleć. Nie o tym, skąd pasek wzięła

się w ośrodku, jak upierała się Shirley, ale o tym, jak ma rozwiązać ten problem, a jeśli nie da się tego zrobić, jak w najpewniejszy sposób pozbyć się tego groźnego stworzenia.

– Pirjo, czy ty to rozumiesz? – spytała Shirley, nagle zagubiona.

Skorzystała z okazji i chwyciła Shirley za rękę.

– Słuchaj, musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. Jesteś pewna, że Jeanette znalazła ten pasek w ośrodku?

Wskazała za siebie.

– Tak, mówiła, że w pudle w Stajni Zmysłów. Na pewno.

– Widziałaś, jak go znajdowała?

Shirley odsunęła się trochę. Może ton był zbyt ostry. To nie może brzmieć jak przesłuchanie.

– Nie. Ale dlaczego miałyby kłamać?

– Nie wiem, Shirley, naprawdę nie wiem.

– Czyli uważasz, że Shirley ma jakieś nieczyste plany? – spytał Atu. Przysunął się do Pirjo i głaskał ją po delikatnym, jasnym puszku wokół pępka.

Pirjo położyła mu rękę na policzku. Kiedy tak ze sobą leżeli, chodziło wyłącznie o wspólnotę wokół jej dziecka. Choć Pirjo pragnęła tego bardziej niż cegokolwiek, po tym jednym razie, gdy się kochali, Atu już nigdy więcej nie wszedł z nią w intymną relację. Miast jej pożądać, traktował ją jak kruchy kryształ, niemal świętość. Teraz Pirjo była nie tylko jego westalką i posłańcem, ale też wcieleniem płodności, które ma zapewnić mu życie i bliskość, ale nie seks.

Tylko że Pirjo miała własne plany. Gdy urodzi dziecko, poprosi go, by znów ją zapłodnił, a wtedy dopilnuje, żeby nie stało się to od razu, tak by mogła sobie poużywać. Najpierw jednak trzeba wyeliminować zagrożenia.

– Wydaje mi się, że to wszystko wielka ściema – powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę. – Jeanette musiała coś źle zapamiętać z tym paskiem, a Shirley skorzystała z okazji. Właściwie to co o niej wiemy? Przecież ona kryje się za maską jowialności i słodkimi uśmiechami. Myślmy sobie, że jest kobietą, która próbuje odnaleźć nowe oblicze swojego charakteru, ale ona jest inna niż pozostali, Atu. Nie ma uduchowionej osobowości. Może być kimkolwiek, może być wyrachowana, a my się nie zorientowaliśmy. Przebiegła krętaczka, która ma swój plan. Może przypadek z paskiem Jeanette jest tylko okazją, której szukała od samego przyjazdu. Słyszałam o innych ośrodkach spirytualistycznych, które padały ofiarą grózb i szantaży, więc dlaczego nam miałyby się to nie przytrafić? Ona przecież wie, że w tym przedsięwzięciu są pieniądze.

– Nie wydaje ci się, że mimo wszystko jest na to zbyt naiwna? Postrzegam ją nieco inaczej.

– Obawiam się, że Shirley będzie chciała nam zagrozić, jak się da – nie ustępowała Pirjo. – Kiedy skończy kurs, poprosi, by przyjąć ją w charakterze wyznawcy. Sama tak mówiła, a teraz

dodatkowo wie, że pokój po Jeanette stoi pusty. Ale będziemy po prostu musieli jej odmówić, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, zgadzasz się, Atu?

Skinął głową.

– A kiedy to będzie?

– Za niecałe dwa miesiące. Pracuje dla nas przez cały ostatni okres, więc pobyt został jej przedłużony. Pamiętasz jej wniosek o przyjęcie? To ty udzieliłeś jej zgody.

– Może zobaczymy, co czas przyniesie? Pewnie ani się spostrzeżemy, jak Shirley zorientuje się, że sprawa z paskiem to jakaś pomyłka.

Pirjo kiwnęła głową. Cały Atu. W swoim niezemskim świecie naiwnie wierzył w dobro wszystkich ludzi. Ale Pirjo wiedziała swoje, a gdy pytania zaczną się piętrzyć, dwa miesiące to cała wieczność. Mogliby wprowadzić konsekwentnie wypierać się wszystkiego przed Shirley, ale jeśli ona wmiesza w tę sprawę policję? I jeśli jednak znajdą zwłoki? Wtedy nagle z jej winy zaistnieje powiązanie między Wandą Phinn i ośrodkiem. Przecież to tu znaleziono pasek.

Wzięła głęboki wdech.

– Jeśli Shirley będzie naciskać, to moim zdaniem powinniśmy od razu zakończyć jej pobyt.

– Z jakim uzasadnieniem, Pirjo?

– Że zaburza spokój ducha. Że nie możemy znaleźć dla niej właściwej drogi. Że nie ma tego, co tutaj jest konieczne. Zresztą moim zdaniem to prawda.

– Oczywiście, słucham tego, co mówisz. – Zamknął oczy i przyłożył policzek do jej brzucha.

Sygnął, że jej pozostawia decyzję.

Dawało to pewną swobodę działania.

Czwartek 8 maja 2014

Zabudowania, przed którymi umówili się Assad, Rose i Carl, wyglądały inaczej, niżby się można było spodziewać po takiej artystycznej duszy, za jaką mieli Synne Veland. W tej oazie drobnomieszczaństwa, jaką stanowiło Vægterparken na Amager, nie widywało się graffiti na murach ani zaparkowanych rowerów christiana. Był tu za to lokalny klub bilardowy, przyszywane żywopłoty, zintegrowane zespoły edukacyjno-opiekuńcze dla dzieci, mury z żółtej cegły i ciągnące się kilometrami skupiska domów szeregowych.

Carl jeszcze nigdy tu nie był, ale wiedział, że jego kolega Børge Bak i owszem. Jeśli dobrze pamiętał, drobna utarczka z użyciem noży po jakiejś imprezce. Poza tym dzielnica cieszyła się nienaganną sławą.

– Moja córka mieszka pod numerem dwieście trzydzieści dwa – oświadczyła kobieta, niepytana, jeszcze zanim poprosiła ich o zdjęcie butów w przedsiionku. Od kiedy to funkcjonariusze na służbie musieli wystawiać na światło dzienne sprane skarpety? Był to jednak uszczerbek na autorytecie.

– Córka jest rozwiedziona – wyjaśniła. – Przeprowadziłam się tu, żeby miała choć mnie. Ale abstrahując od tego, to niezłe miejsce do prowadzenia praktyki.

„Dlaczego nazywa to praktyką?” – pomyślał Carl. Czyżby przeoczył tabliczkę przy drzwiach?

Uśmiechnęła się i wprowadziła ich do salonu. Człowiek, który przychodził tu na terapię, nie miał wątpliwości, gdzie się znalazł. Wisiały tu dyplomy, plansze z rysunkami anatomicznymi, ogłoszenia reklamowe przeróżnych preparatów homeopatycznych i innych odmian medycyny naturalnej, a przede wszystkim cennik. Ceny może nie należały do wysokich, ale w porównaniu z zarobkami doświadczonego policjanta ten fach był nawet dość lukratywny.

– Zostało mi już tylko kilku klientów, człowiekowi już się nie chce – stwierdziła ze śmiechem, jakby czytając w jego myślach. – Emerytura puka do drzwi, a ja intensywnie nasłuchuję, ha, ha, więc teraz mam tylko piętnastu, dwudziestu stałych klientów miesięcznie.

„Wcale nie tak mało” – pomyślał Carl. Kto, do licha, w ogóle uczęszcza do takich gabinetów?

– Określa się pani mianem terapeutki holistycznej? – spytała Rose, która oczywiście była lepiej przygotowana niż Carl.

– Tak, kształciłam się w Niemczech i od dwunastu lat praktykuję między innymi irydologię i homeopatię.

– Przedtem była pani nauczycielką w szkole podstawowej?

– Tak! – zaśmiała się. – Ale potrzeba zmiany środowiska sprawia, że i ludzie, i zwierzęta od czasu do czasu muszą ruszyć tyłek, prawda?

„Irydologia?” Carl podrapał się po brwi. Na czym to ma niby polegać? Spojrzał na brązowe tęczęwki Assada. Gdyby miał wyczytać cokolwiek na temat jego organizmu i kondycji z tych prawie czarnych plam, musiałby mieć sokoli wzrok. Nie, wystający przez dziurę w skarpecie duży palec u nogi zdradzał na temat kolegi znacznie więcej.

– Rose Knudsen mówiła, że przyszlście porozmawiać o Alberte. Minęło już sporo czasu, więc wam, policji, należą się wyrazy uznania. Rzeczywiście nie odpuszczacie tak łatwo.

– Więc może pani wie, że śledczy, z którym swego czasu pani rozmawiała, popełnił samobójstwo? – spytał Mørck. – Dlatego to my teraz pracujemy nad tą sprawą.

Wnioskując z jej wyrazu twarzy, ta wiadomość nie poruszyła jej szczególnie. Może słabo go pamiętała.

Rose również dostrzegła jej reakcję, więc zreferowała sprawę i opowiedziała o zainteresowaniu nią Habersaata, po czym odniosła się do przesłuchania kobiety. Najwyraźniej jej pamięci nic nie dolegało, bo kiwała głową praktycznie co dwie sekundy i robiła wrażenie tak zaangażowanej, że pod koniec Carl musiał wbić wzrok w podłogę, by nie zacząć kiwać razem z nią.

– Więc o co chcecie mnie zapytać? Widzę, że wówczas powiedziałam tamtemu policjantowi wszystko, co wiedziałam.

– Dwie rzeczy – odparła Rose. – Może pamięta pani, jak Alberte się ubierała? Czy po jej spotkaniu z tym człowiekiem coś się w tym zakresie zmieniło, pamięta pani?

Wzruszyła ramionami, spoglądając na krople deszczu płynące po szybie.

– Po siedemnastu latach tego akurat chyba nie pamiętam najdokładniej.

– Zrobiła się bardziej hipisowska? Jakieś swetry w kolorowe wzorki? Może zaczęła inaczej się czesać? Może nagle sprawiła sobie parę rastafariańskich dreadów albo jakąś dużą afrykańską biżuterię? Tego typu rzeczy.

– Hipisowska? Nie, moim zdaniem była dosyć zwyczajna.

Rose westchnęła, dość otwarcie, co miała w zwyczaju, gdy znalazła się w kropce. Carl też nie wiedział, do czego to ma zmierzać. Oczywiście radykalna zmiana stylu ubierania mogła zdradzać, że młoda kobieta znalazła się pod silnym wpływem młodzieży z Ølene. Ale czy wiedza na ten temat mogła ich zbliżyć do człowieka, którego szukali? Wątpliwe.

– Szukamy nawet najdrobniejszych tropów, które powiedzą nam coś o tym człowieku. Zasadniczo wiemy o nim tylko tyle, że ma na imię Frank.

– Frank?

– Tak, to właśnie drugie pytanie. Mówi pani coś to imię? Słyszała pani może, żeby Alberte wspominała o kimś o tym imieniu?



– Nie, niestety. Ale co do tego pierwszego pytania, mogę powiedzieć, że Alberte w pewnym momencie zaczęła nosić przypinkę.

– Przypinkę?

– Tak, takie małe metalowe plakietki z agrafką z tyłu, które można przypinać do ubrania.

Okej. To może być pierwszy trop prowadzący do mężczyzny z volkswagenem, który przecież też nosił przypinki. Może nieco lichego tropu, ale zawsze...

– Tak, wiemy, o co chodzi. Z czym była ta przypinka?

– Z pacyfką.

– Czyli to była przypinka „Nie dla energii atomowej”?

– Nie, nie o to chodzi. To było logo z demonstracji opowiadającej się za rozbrojeniem. Symbol pokoju. Okrąg z pionową kreską pośrodku, od której odchodzą dwie krótsze, skierowane po skosie w dół. – Narysowała znak w powietrzu.

Carl skinął głową. Już sporo czasu minęło, odkąd ludzie na poważnie demonstrowali pod tym symbolem.

– I z początku nie chodziła z tą przypinką? – spytała Rose, patrząc jej prosto w oczy. Można by pomyśleć, że to ona analizuje tęczę, nie tamta.

– Nie, wydaje mi się, że tylko przez ostatnich kilka dni.

– Myśli pani, że mogła dostać tę przypinkę od mężczyzny, z którym zaczęła się spotykać poza szkołą?

– Skąd mam to wiedzieć? Ale jeśli dobrze pamiętam, nikt inny w szkole takiej nie nosił. Oczywiście całkiem możliwe, że przywiozła ją ze sobą z domu.

Carl kiwnął głową. Akurat taka opcja brzmiała dość nieprawdopodobnie, ale naturalnie należy to sprawdzić.

– Jeszcze jedno – odezwała się Rose. – Powiedziała pani kiedyś Habersaatowi, że Alberte dobrze śpiewała. Nie nuciła przypadkiem piosenki Joni Mitchell pod tytułem *River*? Mówi to coś pani?

– Nie, nie bardzo.

Rose wyjęła swój pomarańczowy iPod i włączyła.

– To ta – powiedziała, podając Synne Veland słuchawki.

Przez chwilę kobieta słuchała w bezruchu, oczarowana pięknym głosem. Potem zaczęła poruszać głową z boku na bok, a bruzdy w kącikach ust się pogłębiły.

– A niech mnie! – zawołała, wciąż ze słuchawkami na uszach. – Nie dam głowy, ale moim zdaniem właśnie tę piosenkę nuciła!

Zadzwonił telefon Mørcka. Odszedł na bok; jego matka.

– Carl, chyba przyjeżdżasz w sobotę, prawda? – spytała bez wstępu.

Mørck zaczerpnął powietrza.

– Ależ tak, oczywiście.

– Myślałam, czyby nie zaprosić Inger.

– Inger? ... Inger, kto to jest?

– No przecież córeczka sąsiadów. Hm, w sumie już nie córeczka, przecież ma swoje lata. Ale to ona prowadzi gospodarstwo, więc...

– Mamo, nie zapraszaj Inger. Nie mam pojęcia, kim jest, nigdy jej nie poznałem. Jestem policjantem i nie mam zamiaru zostać rolnikiem czy kimkolwiek innym u was na wsi. Ojciec na to wpadł?

– Aha, ale przyjedziesz w sobotę, nie?

– Tak, mamo, na pewno przyjadę, pa.

O Boże, przerażające, czym to się może zakończyć.

Ronny, Ronny, Ronny. Nie mogłeś po prostu zostać w tej Tajlandii?

W pokoju sytuacyjnym czekał na nich wyraźnie stłamszony Gordon. Wnosząc z jego czerwonego ucha, musiał przez wiele godzin trzymać przy nim słuchawkę telefonu. Próbował wykazać się odrobiną werwy, gdy naprzeciwko usiadła Rose, rozsuwając nogi pod kątem prostym, ale i ta resztką energii po chwili wywietrzała.

– Chyba nie jestem w tym zarąbście dobry – oświadczył.

A niech to, najwyraźniej gość jednak wykazuje się uznaniem dla siebie.

– Zadzwoiłem pod co najmniej sto różnych numerów komórek i póki co porozmawiałem z zaledwie siedmioma, ośmioma słuchaczami ze szkoły.

Carl przysunął się bliżej na krześle.

– I?

– Nie dowiedziałem się niczego nowego, bo ludzie powtarzają to samo. Wszyscy nie cierpieli Habersaata, wygląda na to, że był dość nachalny. O Alberte zaś mówili, że była ładną dziewczyną, która flirtowała z chłopakami, i że któregoś dnia zaczęła z flirtować z kimś spoza szkoły. Kilka osób, do których zadzwoniłem, mówiło, że Alberte chwaliła się, że był bardziej interesujący od facetów w szkole i że wiele potrafił.

– Wiele potrafił? To znaczy?

– Nie wiem. Po prostu tak mówili.

Carl pokręcił głową. Czy Gordon naprawdę oczekiwał, że ktoś wsadzi mu rękę w tyłek, niby pacynce, i będzie zadawał pytania w jego imieniu, jak jakiś brzuchomówca?

– Masz listę?

Skinął głową, a Carl wyrwał mu ją z ręki. Na marginesie widniały jedynie wyjątkowo lakoniczne notatki.

– Sprawdź ich, Rose, po prostu ich przyciśnij. Musimy się dowiedzieć, co potrafił ten gość spoza szkoły. – Coś nowego w kwestii imienia? – zwrócił się do Assada. – Ile osób imieniem Frank mamy w latach, które nas interesują?

– Przed rokiem osiemdziesiątym dziewiątym nie rejestrowano tego rok w rok, więc musimy zadowolić się sprawozdaniami dziesięcioletnimi. No i tu robi się trudno.

– Dlaczego?

– Bo chcesz wiedzieć, ile osób o imieniu Frank urodziło się od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego trzeciego? Było ich pięć tysięcy dwieście dwadzieścia pięć w latach sześćdziesiątych i trzy tysiące pięćdziesiąt trzy w siedemdziesiątych. No więc trzeba dodać te dwie liczby i wynik podzielić przez cztery, bo zależy ci tylko na tych pięciu latach, i tak dochodzimy do liczby dwa tysiące siedemdziesiąt, ale przecież może być ich więcej, jeśli urodził się przed sześćdziesiątym ósmym.

Gdyby się leciało na Marsa, to na starcie błąd obliczeniowy wielkości paru centymetrów mogłby oznaczać, że minęłoby się planetę w odległości kilku tysięcy kilometrów, co oczywiście nie byłoby zbyt fortunne, Carl wiedział o tym doskonale. I z szacunku do znaczenia takich istotnych liczb nie zamierzał zostawać astronautą, gdyby ktoś go o to poprosił. Natomiast jeśli chodzi o liczbę Franków w Królestwie Danii, to niewiele go obchodziło, czy trzeba dotrzeć do ośmiuset dwunastu czy kilku tysięcy więcej Franków. Część z nich na pewno zmarła, część wyemigrowała, ale bez względu na to, z której strony na to spojrzeć, było ich po prostu za dużo.

– Dzięki, Assad. Zostawmy tę część śledztwa. Nie uwiniemy się z tym, zanim wszyscy z nich odejdą na wieczną wartę.

– Dokąd, Carl? – kąciaki ust Assada opuściły się pięknie.

– Tak się mówi, kiedy ktoś wyciągnie kopyta.

– Czyje?

– Co czyje?

– Kopyta.

Carl wziął głęboki wdech i z rezygnacją schował ręce do kieszeni.

– Nieważne, Assad.

Nagle osłupiał. Co to za gryzmoły zaplątały się w tkaninę podszewki? Wyciągnął puzzle z kieszeni i przyjrzał się im. Ach, to właściwie należy do Assada.

Podał swojemu kudłatemu asystentowi strzępki papieru.

– Proszę. Sprawa już zapomniana, piracie drogowy. Podziękuj za to tym z patrolu.

Assad spojrział na podarty mandat i się uśmiechnął.

– Pewnie się z tego cieszysz, Carl, bo teraz mogę poprowadzić wóz, kiedy tylko się zmęczysz.

Nawet jeśli musiałby zeżreć garść tabletek z kofeiną, by nie zasnąć, Carl nigdy nie dopuści, by doszło do takiej sytuacji. Teraz trzeba tylko szybko zmienić temat.

– Dodzwoniłeś się do rodziców Alberte? – spytał zatem.

– Tak. Nigdy nie widzieli w domu takiej przypinki.

– A piosenka Joni Mitchell?

– Zanuciłem ją im, ale jej nie rozpoznali.

– Słucham?

– Zanuciłem ją im, ale jej...

– Dzięki, Assad, zrozumiałem. – Ci nieszczęśni starsi państwo naprawdę musieli stawić czoło wielu przeciwnościom. Nawet marcujący kot śpiewał lepiej od Assada.

– Aha, czyli zacięcia pacyfistycznego Alberta nie wyniosła z domu. Załóżmy, że dostała tę przypinkę od koleśka, którego poznała poza szkołą, a to, że kilka osób nuciło piosenkę Joni Mitchell w tym samym czasie, jest kwestią przypadku. Może puszczano ją często w radiu? Może nagle po kilkuletniej przerwie trafiła na listy przebojów, kto wie? Może Joni Mitchell miała koncert gdzieś w okolicy? Powodów, dla których Alberta i June Habersaat nuciły tę piosenkę, może być wiele.

Assad skinął głową.

Z telefonu Carla rozległ się trył, czyli przyszedł SMS, co nie zdarzało się tak często. Sięgnął po niego z lekkim łaskotaniem w brzuchu. Może to od Mony?

Przy pierwszym słowie już wiedział, że to nie od niej.

Kalle, myszko, kiedy odwiedzisz moją mamę? Znowu zalegasz i doskonale o tym wiesz. Pamiętaj o naszej umowie! Buziaczki, Vigga

Zatkało go. Nie dlatego, że SMS napisała jego ekszona, nie ze względu na jego treść, choć dobrze nie wróżyła, nie dlatego, że na zawsze utknął ze swoją eksteściową i jej wybuchową i dość nieprzewidywalną demencją, lecz z powodu formy wiadomości.

Przez chwilę patrzył przed siebie, rozważając myśl, która nagle mu zaświtała. Dziwne; zapamiętanie takich rzeczy graniczy z niemożliwością, choć przecież są tak powszednie.

Spojrzał na Assada.

– Pamiętasz, kiedy w Danii ludzie zaczęli ze sobą SMS-ować? – spytał. – Przed dziewięćdziesiątym siódmym?

Kudłacz słusznie wzruszył ramionami. Skąd ma to wiedzieć? Zgodnie z własnymi deklaracjami przyjechał tu przecież dopiero w 2001.

– Rose! – krzyknął w stronę korytarza. – Pamiętasz, kiedy dostałaś pierwszą komórkę?

– Tak! – rozległ się głos przypominający odgłos ostrzałki do noży. – Kiedy moja mama wyprowadziła się ze swoim nowym facetem na Costa del Sol. To było w dziewięćdziesiątym szóstym roku, dokładnie piątego maja, więc było naprawdę wiele powodów, by zawiesić flagę na maszcie.

– Jakich powodów? – odkrzyknął i w tej samej chwili tego pożałował.

– Rocznicą wyzwolenia<sup>5</sup>, głupku – odparowała zgodnie z oczekiwaniem. – A także moje urodziny. Tamtego dnia dostałam komórkę od taty. Wszystkim moim siostram też wtedy

sprezentował telefony.

Rose miała urodziny piątego maja? Okej, o tym nie wiedział. Właściwie to nigdy nie myślał o swoich kolegach jak o ludziach, którzy mogą obchodzić jakieś uroczystości. Przez sześć, siedem lat wpadali na siebie w piwnicy, ale nigdy niczego nie świętowali. Może już czas?

Spojrzał na Assada, który wyduł dolną wargę, wzruszając ramionami. Widać na kwestię urodzin też nie zwrócił uwagi.

Carl wstał i wyszedł na korytarz, gdzie Rose analizowała spuściznę po Habersaacie.

– Czyli w poniedziałek miałaś urodziny?

Przezesła włosy dłonią ruchem włoskiej diwy wychodzącej z basenu. „Doskonała kalkulacja, ćwoku” – mówiły jej oczy.

Do czarta, co oni robili w poniedziałek i dlaczego nic nie powiedziała? Carl czuł się niezręcznie. Co się robi w takich sytuacjach?

– *Happy birthday to youuuuu* – przestraszył Mørcka głos dobiegający zza pleców. Odwrócił się do Assada, który gestykułował niczym jakiś śpiewak operowy, wykonując wymachy nogami, kojarzące się mgliście z czymś, co Vigga nazywała zorzą.

Ale Assad jednak rozśmieszył Rose. Chwała niebiosom.

„Dzięki” – pomyślał Carl, próbując sobie przypomnieć, po co w ogóle tu przyszedł.

– Właśnie! – zawołał, jakby chodziło o coś, na co czekała reszta. – A co z SMS-ami, Rose? Pamiętasz, czy się ich używało, kiedy dostałaś telefon?

Zmarszczyła czoło.

– SMS-y? Nie, nie wydaje mi się.

Stała przez chwilę, patrząc przed siebie. Widocznie nic nie było w stanie pobudzić jej pamięci do działania.

– A tak przy okazji, Rose, chyba poleciłem ci obdzwonić studentów, z którymi dziś rozmawiał Gordon?

„Owszem, ale mi się nie chciało. Mam co innego do roboty” – powiedziały tym razem jej oczy.

Pomyśl o słońcu, a niebo się otworzy, bo oto w tej samej sekundzie z gabinetu Assada wypadł Gordon, triumfując całą swoją wysoką osobą.

– Potrafił wyginać łyżeczki! – zawołał niczym konferansjer w cyrku.

Potem w wąskim korytarzu Departamentu Q zapadła ogłuszająca cisza.

– Podsumujmy wydarzenia ostatniej godziny – zaczął Carl, podczas gdy Rose ściągała jedne broszury o uzdrowicielach alternatywnych ze ściany i wieszała inne. – Assad, ty zaczynasz.

– Rozmawiałem z mamą Alberte. Ona mówi, że córka nie miała komórki. Potem się popłakała i powiedziała, że gdyby ją miała, może nigdy nie doszłoby do wypadku. Że może wówczas więcej rozmawiałaby z Alberte i może wyczułaby, że coś jest nie tak albo że dziewczyna powinna na coś uważać.

Carl pokręcił głową. Ci ludzie do końca życia nie przestaną robić sobie wyrzutów. Straszne.

– Ale przecież mogła pożyczać komórkę od jakiegoś studenta ze szkoły – zauważyła Rose.

Assad skinął głową.

– Owszem, ale dowiedziałem się, że SMS-y dotarły do Danii w dziewięćdziesiątym szóstym i że obsługiwała je sieć o ograniczonym zasięgu, na Bornholmie zaś zasięg był wówczas słaby, więc to nie w ten sposób Alberte komunikowała się z facetem spoza szkoły.

– Dzwonić przecież mogła, jeśli pożyczła komórkę – upierała się Rose.

„Niby ma rację, a jednak nie” – pomyślał Carl. „Wówczas właściciel komórki na pewno powiedziałby policji coś więcej, przecież mogliby sprawdzić billingi”.

Rose westchnęła.

– Rozumiem, że dostawca usług telekomunikacyjnych udostępnił policji listę wszystkich numerów, na które dzwoniło ze szkolnego telefonu stacjonarnego.

Assad dość przekonująco skinął głową. Czyli Alberte i jej facet musieli rzeczywiście kontaktować się w inny sposób. Pytanie tylko, w jaki i jak często. Rozmawiali ze sobą dzień w dzień? Mieli jakieś rytuały?

Wreszcie nadeszła kolej Gordona, o czym on sam niecierpliwie przypomniawszy, informując, że jedna z dziewczyn, która nazywa się Lisa W., aktualnie mieszka we Frederikshavn i jest nauczycielką w liceum, dostarczyła mu trzech informacji, a on uznał, że warto się nimi zainteresować.

– Przede wszystkim super się złożyło, bo na wycieczce robiła zdjęcia Østerlars Kirke. Nie miała pojęcia, gdzie się podziały, ale ich poszuka. Po drugie powiedziała mi, że właśnie przy okazji tej wycieczki facet, którego tam spotkali, przechwalał się, że potrafi wyginać łyżeczki. Jej zdaniem to z nim zaczęła spotykać się Alberte. Śmiała się, gdy mu nie wierzyli, a on twierdził, że jest drugim Urim Gellerem, ale ona nadal nie wie, dlaczego. Może wy wiecie?

Carl pokręcił głową. Czy ten człowiek naprawdę nie może zrobić nic porządnie i do końca? Gdyby tylko sprawdził to nazwisko w Google, to... Westchnął.

– To koleś, który kiedyś w latach siedemdziesiątych potrafił zginać łyżki siłą woli. Demonstrował to na antenie, podobnie jak mnóstwo innych tricków. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek został zdemaskowany jako oszust, ale w każdym razie tak właśnie się nazywał.

– Zginał łyżki? To dziwne – wtrącił Assad. Widać było, że gdyby dysponował podobnymi zdolnościami nadprzyrodzonymi, to raczej nie zacząłby od masakrowania sztucców.

– Ostrożnie chwycił łyżkę dwoma palcami i lekko ją pocierał – zademonstrował Carl. – I siup! Tam, gdzie jej dotykał, łyżka robiła się miękka i wyginała się. Jeśli nasz człowiek to potrafił, to może i faktycznie był cudotwórcą. Ale to dziwne, że Habersaat niczego na ten temat nie zanotował. Nie zadawał właściwych pytań czy jego natarczywość zamykała ludziom usta?

- Okej, a co z trzecią informacją? – zwrócił się do Gordona.
- Powiedziała, że jeszcze jedna osoba robiła zdjęcia przy Østerlars Kirke.
- Dobra, kto taki?
- Inge Dalby.

Cała trójka spojrzała na niego w osłupieniu.

- Jesteś pewien? Spytałeś ją, czy jest na sto procent pewna?

Skinął głową, uśmiechając się półgębkiem. „Błagam, za kogo wy mnie macie?” – mówiły jego oczy. Może jednak czegoś się uczy.

- Była pewna, bo pamiętała, że gość rozmawiał z Inge Dalby, zupełnie jakby już się znali – dodał.

Carl pstryknął palcami na Rose, która po zaledwie dziesięciu minutach wróciła z wiadomością, że Inge Dalby nie ma w domu, bo jest na wyjeździe szkoleniowym.

Mørck poczuł, jak napinają mu się mięśnie zuchwy.

- Cholera, do jakiego kraju?

– Do Danii, a do jakiego? Zdaniem Kristoffera Dalby aktualnie zdobywa wykształcenie asystentki pedagoga tu, w Kopenhadze. Myślę, że nasza rozmowa o dawnych czasach rozjątrzyła jakąś ranę, której nie należało ruszać, bo wygląda na to, że ona chyba chce zostawić Kristoffera. W każdym razie sprawiał wrażenie przybitego.

- W Kopenhadze? Nie mogła zrobić tego kursu na Bornholmie? A co z dziećmi, którymi się opiekuje?

– Jeśli go dobrze zrozumiałem, to od pierwszego maja nie ma już dzieci pod opieką. W każdym razie ten fakt wstrząsnął nim równie mocno, jak to, że zdecydowała się opuścić wyspę. Nie sądził, że ma to tak zaplanowane. Ale teraz Inge mieszka u brata w tej nowej dzielnicy w Sluseholmen na Dexter Gordons Vej. Szkoła mieści się na Sydhavns Plads, oddalonym od mieszkania brata tylko dziesięć minut rowerem.

- A niech mnie! – Carl próbował wyobrazić sobie Kristoffera Dalby’ego zupełnie samego w małym domku pośród oceanu zabawek. Ależ musiał doznać szoku.

– Okej, teraz jest u brata, powiadasz. Domyślam się, że ma na nazwisko Kure, bo zdaje się tak Inge nazywała się w dzieciństwie?

- Tak, Hans Otto Kure. Właściciel Kures Advanced Automobiles.

– Nic mi to nie mówi.

– To największy w mieście warsztat samochodów vintage, z tych droższych. Ferrari, maserati, bentleye i tak dalej. Jest z wykształcenia mechanikiem, tak jak jego ojciec i wuj.

Rose długo wpatrywała się w Carla, nim dotarło do niego, o czym myśli.

- Naprawdę sądzisz, że...? – spytał.

– Oj – odezwał się Assad. Czyli on też zrozumiał.

Twarz Gordona przypominała zaś jak zwykle kurzy kuper.

– Czyli mówisz, że wychowała się w rodzinie, w której majstruje się przy samochodach?  
Brwi Rose wykonały kilka niekontrolowanych podskoków.

– Yes. A potem zapytałam oczywiście Kristoffera Dalby’ego, czy jego żona też coś w tym kierunku potrafi, a on odpowiedział, że urodziła się z kluczem francuskim w ręku i że potrafi spawać niczym Polak. Mówi, że do chwili rozpoczęcia kursu pracuje jako pomocnik mechanika w warsztacie brata. Czyli ta kobieta to większa zagadka, niż sądziliśmy, co, Carl?

– Owszem, pytanie tylko, jak duża jest ta zagadka. Widzę po was, że się zgadzamy. W każdym razie w tej chwili nie możemy zlekceważyć opcji, że byłaby w stanie przymocować pług śnieżny do zderzaka w aucie i może nawet je poprowadzić wczesnym listopadowym rankiem dziewięćdziesiątego siódmego roku. Wiemy, czy uczniowie mieli samodzielnie zdać relację ze swoich poczynań tamtego poranka? Co mamy w raportach?

– Nic. Spytano ich, czy coś słyszeli i czy mieli jakieś szczególne podejrzenia, ale nie było mowy o tym, co robili.

Assad skinął głową.

– No więc ona wędruje na górę listy podejrzanych, prawda, Carl?

Siedzący obok dryblas patrzył na nich z głupim wyrazem twarzy.

– Przepraszam, ale nie nadążam. Podejrzanych pod jakim względem? Mówicie o tym, czy była na tym zjeździe starych samochodów na Bornholmie?

Spojrzeni po sobie.



Mieszkańcy Kopenhagi zyskali fantastyczną nową dzielnicę. Przynajmniej raz architekci odłożyli na bok swoje przyzwyczajenia i stworzyli coś jednolitego i stosunkowo ładnego. Słońce miało tu dostęp z wszystkich stron, a szkło i beton stapały się z widokiem mostów i kanałów, wychodzących prosto na teren portu. Choć dzielnica miała już kilka lat, Carl nigdy wcześniej tu nie był. Podobało mu się tu. Gdyby nie godna pożałowania sytuacja finansowa, byłoby to coś dla niego. Może powinien pogadać z Hardym, czyby się do tego nie dołożył.

– Wróć za pięć minut – oznajmiła kobieta o wyjątkowo śniadej cerze i całkowicie jutlandzkim akcencie, prowadząc ich przez miniaturową kuchnię po schodach na dół do salonu. Odległość do sufitu wynosiła tu minimum sześć metrów, a przez wielkie oszklone połączenie widać było, że mieszkanie oddziela od jednego z kanałów tylko pomost dla łódek. Trzy nieduże piętra jedno nad drugim, wszędzie schody. Na pewno nie dla człowieka na wózku inwalidzkim, jak Hardy. To tyle w kwestii marzeń.

– Tak, woda podeszła dość blisko podczas grudniowego sztormu, co nie? Jeszcze kawałek, a sięgnęłaby okna. – Pokazała palcami wysokość najwyżej pięciu centymetrów.

Carl skinął głową. Kolejny argument, by pozostać w Allerød. Tam człowiek znajduje się co najmniej sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza, więc jeśli nadejdzie kataklizm, a przecież kiedyś nadejdzie, to musiałoby nim być tsunami lub stopienie lodowca.

– To dobrze, że nic się nie stało – powiedział, zerkając na telewizor o płaskim ekranie i inne sprzęty. – Gdy wróci Inge Dalby, czy możemy z nią tu w spokoju porozmawiać?

Uniosła kciuk do góry. Mogą wtedy wyjść z mężem na spacer, nawet się nie zawahała.

Inge Dalby nie wyglądała na zachwyconą, widząc, że ich trio czeka na nią u podnóża schodów w salonie.

– Proszę wybaczyć, że przychodzimy bez zapowiedzi, ale byliśmy w okolicy i mamy kilka kwestii, w których mamy nadzieję na pani pomoc – powiedział Carl, podczas gdy jej brat przywitał się z nimi uściskiem przypominającym imadło. Przyjazny człowiek, którego powitanie zostało odwzajemnione równie imponującym chwytem, gdy doszedł do Assada. Aż chrupnęło.

Po pięciu minutach mieli już odpowiedzi na część pytań.

– Tak, zgadza się – powiedział Hans Otto Kure dialektem. Ciekawe, czy taki Bornholmczyk jest w ogóle w stanie nauczyć się prawdziwej duńszczyzny. – Mój ojciec zajmował się silnikami, a stryj Sture wszystkim innym poza elektryką, bo do tego miał fachmana. Byłem na wielu zjazdach starych samochodów, zresztą ty, Inge, też – zwrócił się do siostry.

Potem wyszli z żoną.

– Idziemy do Irmy na zakupy – powiedziała wprost, żeby było wiadomo.

Inge Dalby oparła się o okno panoramiczne, pocierając czoło spracowaną dłonią, która jeszcze teraz wyglądała na pobrudzoną smarem i rdzą. Czy w ogóle wiedziała, do czego to wszystko zmierza?

Gdy ich spojrzenia się spotkały, sprawiała wrażenie spokojnej, ale pulsująca tętnica na nadgarstku mówiła co innego. Najbliższe pół godziny zapowiadało się ciekawie.

– Może i macie pytania, ale ja już nie będę rozmawiać o tamtych czasach. Wałkowaliśmy to z Kristofferem do znudzenia. Dla mnie to przeszłość.

– Rozumiem – kiwnął głową Carl. – Ale dla policji niestety nie, pani Dalby. Mamy podstawy przypuszczać, że zataiła pani przed nami część informacji, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, dlatego mam kilka pytań i prosimy, by odpowiedziała pani na wszystkie. Jeśli pani tego nie zrobi, będziemy musieli zabrać panią na przesłuchanie na Komendę Główną, rozumie pani?

Zero reakcji.

– Jesteś gotów, Assad?

Kudłacz wyjął notatnik i długopis; dziwne, ale to zazwyczaj rozwiązywało ludziom języki.

– Pytam więc: czy ma pani fotografię człowieka, z którym chodziła Alberte? Wiemy już, że robiła pani zdjęcia na wycieczce do Østerlars Kirke, gdzie go poznała, i że najprawdopodobniej jest wśród nich fotka mężczyzny, którego szukamy. Wiemy też, że kontaktował się z kilkorgiem słuchaczy, a pani jest jedną z tych osób. Dlatego drugie pytanie brzmi, dlaczego nam pani tego nie powiedziała. Panią też coś z nim łączyło? Czy to dlatego tak szybko przywróciła pani do łask swojego chłopaka po jego wysoku z Alberte? Bo każde z was miało coś do ukrycia?

Trzecie pytanie jest równie ważne. Ma pani zdolności manualne, interesuje się pani samochodami. Jak pani brat raczył nas uprzejmie poinformować, uczestniczyła pani nawet w zjeździe, podczas którego sfotografowano tego mężczyznę z volkswagenem ogórkim. Jesteśmy przeświadczeni, że poznała go pani jeszcze przed wycieczką do Østerlars Kirke, może to pani potwierdzić? I wreszcie: czy to nie tak, że była pani wściekła, że Alberte podkrađła pani właściwie dwóch facetów? Najpierw Kristoffera, z którym chodziła pani od pół roku, a potem też tamtego kolesia, z którym miała pani romans latem przy okazji tego zlotu. Wie pani, co o tym sądzą takie chore umysły, jakimi dysponuje policja kryminalna? Naszym zdaniem to pani doposażyła samochód i wjechała w Alberte. Po prostu nie potrafiła pani znieść dwukrotnej klęski i to pani jest zabójcą. A teraz czmychnęła pani od męża, bo zanadto zbliżył się do prawdy, nie mam racji? Przepraszam, to było jednak sześć pytań.

Podczas swojej tyrady Carl obserwował ją wnikliwie. Nie zareagowała nawet przez chwilę, ani na hipotezę, że wcześniej już знаła tego faceta, ani nawet na oskarżenie, że jest zabójcą. Po prostu nic. Tylko te czarne ręce, zasłaniające połowę twarzy. Czyżby za szybko to rozegrał?

Carl skinął do Rose, a ta przysunęła się bliżej.

– Słuchamy, pani Dalby – powiedziała.

– Tak – dodał Assad. – Zamieniamy się w uch.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała prosto na niego.

– Mówi się: zamieniamy się w słuch, przyjacielu. Jesteś z innej planety?

Czyżby miała siłę, by się nawet uśmiechnąć?

Rose położyła rękę na ramieniu Inge.

– Odpowie pani, czy jedziemy na komendę?

– Róbcie, co chcecie. I tak mi nie wierzycie, cokolwiek bym, kurwa, mówiła.

– Proszę dać nam szansę – odparł Carl.

Przez kilka dobrych minut siedzieli w milczeniu, zanim kobieta wreszcie zebrała się w sobie. Wbrew oczekiwaniom, sprawiała wrażenie zdumiewająco obojętnej, choć też skoncentrowanej, jak przy przechodzeniu przez ruchliwą jezdnię, po której samochody śmigają we wszystkie strony. Co tak wzmogło jej czujność? Strach, że ją źle rozumieją, czy że powie za dużo?

– Wiem, że wiele rzeczy mogłam powiedzieć już wtedy Habersaatowi, lecz tego nie zrobiłam. Znalście go?

– Nie – odparł Carl.

– W takim razie powiem wam, że był dziwny. W ogóle mi się nie podobał, i to od samego początku. Zachowywał się, jakby za wszelką cenę chciał nas skłonić do wskazania kogoś z nas, kto mógłby to zrobić Alberte. A gdy za pierwszym razem się nie udało, to nie było wątpliwości, że wróci. Zrobił to zresztą, wielokrotnie.

Gdybym powiedziała wówczas wszystko, co wiedziałam, toby się do mnie przyczepił, mówię wam. Miał świra na punkcie znalezienia kogoś, kogo mógłby oskarżyć o zabicie Alberte.

– Czego takiego mu pani nie powiedziała? Czy dotyczy to któregoś z naszych pytań?

– Nie wszystkich, ale niektórych tak.

– Których nie dotyczy? – wmieszał się Assad, jak zawsze niecierpliwy.

– Kto to zrobił. Bo nie byłam to ja.

– Poznała pani Franka zanim zaczęła pani studiować w tej szkole, zgadza się? – spytał. Posunięcie z imieniem.

Inge wessała do ust połowę dolnej wargi i zaczęła ją przygryzać, odwracając wzrok. Znów ta czujność, która, jak mówi doświadczenie, najczęściej towarzyszyła kłamstwu. Carl obserwował bacznie.

– Skąd to wiecie? – spytała.

Tu musiała zadowolić się milczeniem. Mieli pospieszyć z wyjaśnieniem, że to wszystko jest zgadywanką? Że nie mają nawet pewności co do imienia tego gościa?

Zyskali ją w kolejnej chwili.

Wzięła głęboki wdech.

– Poznałam Franka na początku lipca, na dzień przed zlotem starych samochodów. Gdyby to zdjęcie zrobiono dziesięć sekund później, byłoby na nim widać, jak nadchodzę z drugiej strony. Tak, powiem wprost, uprawialiśmy seks w samochodzie, tak było przez jakiś czas. To był mój pomysł, żebyśmy zaparkowali na samym końcu tego trawnika, bo było tam zacisznie. Nie sądziłam, że nas stamtąd wyrzucą ani że zlot się zacznie tak wcześnie. Ale kwestię parkowania Frank musiał wyjaśnić sam, bo ja się po prostu wymknęłam. Nie mogłam dopuścić, by wujek zobaczył mnie w towarzystwie tego hipisa.

– Ale w którymś momencie przyjechała tam pani z Kristofferem, prawda? – spytał Carl.

– Tak. Tylko że Frank potrafił coś, czego Kristoffer nie umiał ani się nie nauczył. Potrafił kochać się tak, że człowiek o niczym innym nie myślał.

„Lepiej tego nie komentować” – pomyślał Carl.

– Czyli nie zgadywała pani, opisując volkswagena. Ta czarna, łukowata pręga, schodząca z dachu, co to było?

– Na dachu była namalowana pacyfa, a jej okrąg zachodził trochę na boki auta.

– Coś jeszcze? Czy we wnętrzu samochodu znajdowało się coś, co może naprowadzić nas na ślad tego mężczyzny?

– Niewiele widziałam, poza nim samym. Ale na ścianach przyklejono plakaty, proszę mnie nie pytać, co na nich było. Coś związanego z tym szumem wokół pokoju. Właściciel wozu zawiesił je tam dawno temu.

– I jest pani pewna, że nie pamięta, jak Frank się nazywał, gdy zaczął spotykać się z Alberte?

– Kiedy byliśmy razem, używał imienia Frank. Dlatego musiało minąć parę dni, żebym się zorientowała, że to z nim widuje się Alberte. Nie wiem, dlaczego będąc z nią, używał innego imienia. Był dość specyficzny.

– Specyficzny?

– Tak, chyba miał mnóstwo pomysłów, ale łączył nas tylko seks.

Patrząc na nią, trudno było w to uwierzyć.

– Proszę o nim opowiedzieć, pani Dalby. Gdzie go pani poznała i jak to się potem potoczyło?

– Poznałam go w Rønne. Już wówczas wiedziałam, kim jest, bo kiedyś byłam w Ølene z koleżanką, popatrzeć na dom hipisów. Chodził tam z nagim torsem i wyglądał niesamowicie przystojnie. Byłyśmy ciekawe, bo wówczas na Bornholmie niewiele się działo, zresztą nadal tak jest. A po spotkaniu w Rønne on i ja zaczęliśmy spędzać razem czas. Kristoffer o tym nie wiedział. Liczyłam się z tym, że przygoda z Frankiem może się nagle skończyć, więc dobrze było mieć w odwodzie kogoś takiego jak Kristoffer. Kogoś z wyspy.

„Mieć w odwodzie” – Carl zastanowił się nad tym zwrotem. Czasami sam czuł się jak taki ktoś. Nie miał ochoty być taką osobą w przyszłości.

– I Kristoffer nigdy się nie dowiedział?

– Myślę, że zaczął coś podejrzewać dopiero po waszej wizycie.

– Jak to?

– Chodziło o tego volkswagena. Jego zdaniem tych pasków nie było widać z boku. W każdym razie nie z tej odległości, którą podałam, no i miał rację. Nie powinnam była o tym wspominać, a Kristoffer zaczął drążyć. Strasznie mnie to wkurzyło. Nienawidzę, jak ktoś podważa moje słowa.

To się dało wyczuć.

– I co działo się potem między panią a tym człowiekiem?

– Po prostu dalej się spotykaliśmy, dopóki nie stało się to z Kristofferem i Alberte. Wówczas sądziłam, że może to i dobrze. W każdym razie to nie ja z nim zerwałam, choć prawdę mówiąc, wcale nie chciałam zrywać.

A niech to! Carl spojrział na Rose, która tylko uniosła brwi, jakby nic jej nie dziwiło. Może takie postępowanie to u kobiet normalna praktyka, co on tam wiedział?

– Potem Frank zaczął spotykać się z Alberte i nagle z dnia na dzień znalazła się pani na lodzie, zgadza się?

– Owszem, i Kristoffer, i ja – wyjęła z torebki papierosa i zapaliła. Widać koniec z paleniem na dworze. Czyżby uśmiechała się ironicznie zza kłębow dymu?

– Rzucili nas oboje jednocześnie i zostaliśmy oboje z ręką w nocniku – zaśmiała się otwarcie. – Ale Kristoffer był tak skruszony, że uznałam, że potrzymam go w tym stanie przez lata. Miałam nad nim kontrolę, a on nie miał pojęcia, że byłam znacznie gorsza niż on. Biedny Kristoffer. Gdybym tylko miała możliwość, czmychnęłabym z Bornholmu z Frankiem.

Carl skinął głową. Faktycznie, biedny Kristoffer.

– Ale to przecież nieprawda, że nie mogła pani nic zrobić, zgadza się? – spytał Assad. – Ja to widzę tak, że była pani chora z zazdrości i zraniona i dlatego ją pani zabiła. Zrobiła pani to coś ze sklejki, używając czegoś z warsztatu ojca, przymontowała to pani do samochodu i ją przejechała. Kiedy już jej nie było, można było dalej kręcić z tym facetem. Ale nie przekonała go pani, by ją zabrał ze sobą z wyspy, bo, o ironio, zniknął. Może pani równie dobrze od razu się

przyznać.

Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego, marszcząc z pogardą nos i wskazując na niego dymiącym papierosem.

– Naprawdę super się z tobą rozmawia po latach, Habersaat – powiedziała. – A nie mówiłam? – zwróciła się do Carla. – Właśnie dlatego wówczas nic o tym nie wspomniałam

Habersaatowi. Nie chciałam, by mnie oskarżał o coś, czego nie zrobiłam, tak jak to teraz robi ten Mustafa.

– Nie mam na imię Mustafa, ale znam kogoś o tym imieniu – sprostował Assad oschle. – A to porządny gość, więc proszę śmiało.

Tych dwoje jakoś nie zapałało do siebie wielką miłością.

– Dobrze, rozumiemy, z jakich powodów nie chciała pani nic wtedy mówić – uciął Carl. – Teraz zadam pani szereg pytań, a pani udzieli krótkich odpowiedzi, rozumiemy się?

– Tak.

– Jak miał na nazwisko ten Frank?

– Nie wiem. Znaliśmy się tylko z imienia. – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Potrafi pani powiedzieć, skąd pochodził?

– Wspominał coś o Hellerup i Gentofte, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Wie pani, dokąd wyjechał?

– Próbowałam odszukać go w Google, ale nie wiem.

– Ma pani jakieś jego zdjęcie, które mogłoby się nam przydać?

– Mam, ale nie jest lepsze od tego, które już macie. To był naprawdę główniany aparat. Ale rzeczywiście, ustrzeliłam go pod tym kościołem.

– Okej, skoro już o tym mowa. Musiała pani zauważyć, że Alberte go sobie upatrzyła już przy pierwszym spotkaniu. Co pani z tym zrobiła? Próbowała pani temu zapobiec?

– Jak miałabym to zrobić? Ale ją gnębiłam, a ona była za głupia, by się w tym połapać. To prawda, że nie znosiłam tej panienki z Kopenhagi, ale jej nie zabiłam. Mieszkałam w pokoju obok niej i słyszałam, jak gada do siebie po zgaszeniu światła. To było żalosne, ona zachowywała się jak dzieciak. Leżała, zabawiała się ze sobą i udawała, że on tam jest, choć go nie było.

– Gnębiła ją pani?

– Tak. Prałam jej rzeczy z czymś, co farbowało. Radziłam jej, by się cienko ubrała, kiedy byliśmy na dworze, żeby się przeziębiła. Dosypywałam jej soli do jedzenia, gdy nie patrzyła. Była naprawdę bardzo naiwna.

„Suka” – pomyślał Carl.

– Ale to przecież nie odwiodło ich od spotykania się?

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, jak często się spotykają.

– W jaki sposób ten Frank zakończył wasz związek?

– Zazwyczaj spotykaliśmy się w określonych miejscach i umawialiśmy się ze spotkania na spotkanie. Zanim poszłam na uniwersytet ludowy, spotykaliśmy się na rynku w Rønne. A kiedy już się uczyłam, widywaliśmy się w Ekkodalen, zanim mnie rzucił. Można tam dojść w pięć minut, wychodząc na tyłach szkoły. Któregoś dnia po prostu nie przyszedł na spotkanie. Chodziłam tam jeszcze parę razy, ale nigdy się nie pojawił.

– Myśli pani, że to tam umawiał się z Alberte?

– Głupie pytanie. Przecież bym się o tym dowiedziała, nie? Nie wiem, gdzie i jak się spotykali. Wiem tylko tyle, że ciągle wystawała przy drodze.

– Myśli pani, że Frank ją zabił? – spytała Rose.

Wzruszyła ramionami, jakby zupełnie jej to nie obchodziło.

– Nie mam pojęcia.

– Czy byłby do tego zdolny? – drążyła Rose.

Znów to wzruszenie ramionami.

– Nie wydaje mi się, ale kto wie. W każdym razie miał bardzo silną osobowość.

– Co ma pani na myśli?

– Potrafił wręcz hipnotyzować ludzi wzrokiem. Miał piękne oczy i ciekawe pomysły. Był też silny i przystojny. Można powiedzieć, że był charyzmatyczny.

– A potrafił zginać łyżeczki?

– Nigdy tego nie widziałam, to pewnie plotki.

– Powiedziałyby pani, że miał cechy psychopatyczne? – spytał Carl.

Zawahała się na moment.

– A kto ich nie ma?

To było wyznanie czy co?

– Proszę nam powiedzieć coś, co mogłoby nas naprowadzić na jego ślad. Znaki szczególne, zwyczajny rysopis, numery rejestracyjne, coś, co powiedział? Coś na temat środowiska, z którego pochodził, albo marzeń na przyszłość?

– Marzeń? Tylko tyle, że miał pewność, że zostanie kimś wielkim, kto będzie w stanie dokonywać zmian na lepsze w życiu ludzi.

– Okej, czyli nie należał do tych, co kryją światło pod korcem. Zmian pod jakim względem?

– Uważał, że potrafi uzdrawiać. Że ma jakieś szczególne moce i energię i ja w to wierzę. W każdym razie dawał mi takie orgazmy, że dotąd się po nich nie otrząsnęłam.

Rose się uśmiechnęła, ale była w tym odosobniona.

– Obawiam się, pani Dalby, że i tak musimy zabrać panią na komendę.

Drgnęła.

– Dlaczego? Przecież mówię wszystko, co wiem.

– Za długo to trwa. Może się pani zastanawiać, a to daje pani czas, by zmyślać, a nie powinno tak być. Jeśli chce pani uniknąć regularnego przesłuchania, to musi pani po prostu wyrecytować nam wszystko, co przychodzi pani do głowy na temat tego człowieka, rozumie pani? Proszę pamiętać, że powiedziała pani, że widziała go w Ølene, więc liczymy na więcej spostrzeżeń, które pomogłyby nam w śledztwie. Więc proszę się streszczać.

Wyglądała na poruszoną; Carl doskonale to rozumiał.

– Byłam w nim zakochana. A wtedy człowiek nic nie dostrzega. Potem dużo o tym myślałam, ale naprawdę mało pamiętam.

Zapaliła kolejnego papierosa, kiwając głową do szwagierki i brata, którzy właśnie weszli, dzierżąc pełne siatki.

– Miał na imię Frank, był dość przystojny i miał delikatne, ale charakterystyczne rysy twarzy. Jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, sześć, siedem lat starszy ode mnie, trochę zdarty, ale ciepły głos. Był opalony, ale skórę pod ubraniem miał dość bladą. Długie włosy, sięgające do ramion, taki popielaty blond, nie rudawe, jak można by pomyśleć. No i miał dołeczek w brodzie, który było widać przy odpowiednim świetle – wskazała z uśmiechem na własny podbródek. U niej w każdym razie żadnego dołeczka nie było.

– Jakieś widoczne blizny czy znaki szczególne na ciele? Owłosienie, tatuaże?

– Nie, choć faktycznie mówił, że chciałby sobie zrobić parę tatuaży, ale nie wiedział, czy powinien. Wtedy to nie było takie rozpowszechnione jak teraz.

Carl skinął głową. Kiedyś ludzie się bardziej zastanawiali, co z punktu widzenia detektywa jest dość irytujące.

– A co z oczami i okolicami oczu?

– Oczy miał niebieskie, brwi bardzo ciemne. Szerokie przednie zęby, a na jednym z nich widać było jasną plamkę. Nazywał to plamą słoneczną. Tak ogólnie to był bardzo zaabsorbowany wszystkim, co ma związek ze słońcem. Mówił, że to dlatego przyjechał na Bornholm.

Carl spojrział na Assada. Odblokowała się, nie można tego zaprzepaścić.

– Mówił, że w odstępie tygodnia znalazł dwa różne kamienie słoneczne. Strasznie był na to nakręcony. Najpierw taki, jak ten używany przez wikingów podczas żeglugi, tak mówił. A potem taki, jakie znajdowano w miejscach kultu słońca w Rispebjerga w pobliżu Dueodde.

– Kult słońca, powiada pani! Proszę powiedzieć coś więcej.

– Niewiele o tym wiem. To po prostu miejsce na Bornholmie, gdzie wzniesiono coś w rodzaju ołtarza ofiarnego.

Carl zobaczył, że Rose już ruszyła do roboty z iPadem.

– Ma pani jakieś pojęcie, z czego utrzymywał się ten człowiek?

– Myślę, że z pomocy socjalnej. W każdym razie samochód nie należał do niego, pożyczył go od jakiegoś znajomego. Kogoś, kto dawno temu był zaangażowany w ruch pacyfistyczny i tym podobne. Frank nosił takie różne symbole pokoju, wiecie, przypinki.

– Co lubił nosić?

Uśmiechnęła się.

– Jak byliśmy razem, to niewiele.

*Touché!* – wyrażały wytrzeszczone oczy i uniesione brwi Assada.

Brat Inge pojawił się przy poręczy oddzielającej położoną wyżej część kuchenną od salonu.



– Inge, o kim rozmawiacie? Chyba nigdy o nim nie słyszałem, co?

Machnęła na niego ręką. Widać ci dwoje mieli swój własny język, którego inni nie mogli lub nie powinni rozumieć. Carl odnotował, że Rose też to zauważyła.

– Nazywał się Frank, panie Kofoed – odezwał się Assad. – Może go pan poznał?

Uśmiechnął się, kręcąc głową. Dlaczego nie był zaskoczony? Czyżby Inge Dalby była bardziej doświadczona, niż można by przypuszczać? Czy brat maczał palce w sprawie tego Franka?

– Patrząc na pani brata, wnioskuję, że oprócz Franka byli też inni. Mylę się?

Odchyliła głowę do tyłu, wzdychając.

– Jesteśmy wyspiarzami. Kiedy tylko do brzegu zawita świeża krew, człowiek chce posmakować towaru, nie? W dawnych czasach robiło się to, by urozmaicić DNA. Wystarczy pomyśleć o Wyspach Owczych i Islandii. Dziś robi się to dla zabawy i rozrywki. Więc tak, oczywiście, że byli inni.

Rose pokręciła głową. Tym tropem nie warto podążać.

– Mówiliśmy o jego strojach – przypomniała.

– A tak. Trochę nie pasowały do tamtych czasów, ale właściwie były bardzo fajne. Perły na szyi, luźne chłopskie koszule i dzinsy. Buty z dość wysoką cholewą, nie kowbojki, ale takie ręcznie szyte z dość szeroką podeszwą. Nie były specjalnie eleganckie, ale na nim wyglądały tak surowo. Czasami przypominał Kozaka.

Słuchali jej jeszcze przez dwadzieścia minut, zanotowali parę drobiazgow. Wymiany zdań między Frankiem a nią. Co robili, gdy przebywali poza samochodem. Wszystkie trywialne rzeczy, które w terminologii policyjnej trudno było nazwać wątkami. Ale opis mężczyzny zyskał na wyrazistości.

– Prosimy, by nas pani powiadomiła w razie wyjazdu, pani Dalby. – Carl podał jej wizytówkę. – Nie jest pani bezpośrednio podejrzana w sprawie, ale może odegrać w niej bardzo ważną rolę, gdybyśmy później trafili na pytania, na które nie będziemy w stanie odpowiedzieć. Ewentualnie może też być mowa o identyfikacji, jeśli go znajdziemy. I jeszcze jedno. Chcemy, by poprosiła pani męża o znalezienie zdjęcia z wycieczki do Østerlars Kirke, dobrze? Bo chyba nie wraca pani od razu na Bornholm, prawda? Myślałem, że może wybiera się tam pani, by zobaczyć się z dziećmi.

Dziwna sprawa: ściągnęła brwi w sposób, który wykluczał niechęć, sceptycyzm i inne negatywne przyczyny. Ściągnęła je, jakby miała się rozpląkać.

– Nie widuje już pani dzieci? – rzucił Carl.

– Nie, oczywiście, że je widuję. Oboje są w szkole z internatem w Slagelse. Już w weekend będziemy razem.

– Jest pani smutno? Zaniepokoiłiśmy czymś panią?

Pokręciła głową.

– Smutno? Nie, po prostu myślę, że Frank nie zrobił tego, o co go podejrzewacie. A jeśli go znajdziecie, to chcę się z nim znów spotkać. Naprawdę chcę!

Gdy już wychodzili, Carl odwrócił się i użył ostatniej amunicji. Skoro działało w przypadku Columbo, to w jego przypadku też może.

– Jeszcze jedno pytanie, pani Dalby. Czy Alberte miała komórkę?

Pokręciła głową.

– Nie, mało która z dziewczyn miała.

– A Frank?

– O ile wiem, to nie miał. Nie był materialistą, powiedziałabym, że wręcz przeciwnie.

– Okej. Wróćmy jeszcze do imienia Franka. Gdy byliśmy u pani na Bornholmie, mówiła pani, że Alberte nazwała Franka jakimś imieniem, którego nie może sobie pani przypomnieć. Coś kojarzącego się z Biblią, krótkiego jak Noe czy Eli. Pamięta pani tę sytuację?

– Yyy, tak, oczywiście.

– Dobrze – spojrzał na Rose. – Co możemy z tego wniesć, Rose?

– Że bardzo trudno uwierzyć, by Inge Dalby nie wiedziała, jak nazywa się jej facet. A jeśli z niejasnych powodów słyszała to imię od Alberte, to byłoby to wysoce nieprawdopodobne, by je zapomniała. Właśnie na to zwróciłabym szczególną, gdybyś mnie o to spytał.

Carl odwrócił się do Inge Dalby. Wyglądała na przypartą do muru, jakby złapano ją na gorącym uczynku.

– I co pani na to?

Czwartek 8 maja i piątek 9 maja 2014

– Carl, przełącz na głośnomówiący – powiedziała Rose.

Mørck się zawahał – już on ich zna.

– Będziemy siedzieć cicho, prawda, Rose? – obiecał Assad, jakby czytając mu w myślach.

Rose z namaszczeniem pokiwała głową, aż dotykając brodą klatki piersiowej.

Carl wybrał numer. Było już późnawo, ale doświadczenie podpowiadało mu, że wszyscy dyrektorzy muzeum to dziwacy, którym trudno opuścić miejsce pracy. A już na pewno tacy jak ten.

– Mówicie, że jest wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie kultu słońca na Bornholmie?

Assad skinął głową.

– Jest archeologiem, Carl. On to wszystko wykopał.

Carl uniósł kciuk do góry. Osobliwie szary dzień jednak okazał się całkiem niezły. Inge Dalby rozwiązał się język i wreszcie dokonali jakiegoś przełomu. W miarę wiarygodnie wyjaśniła, dlaczego nie zna pseudonimu Franka. Łączył ich seks, nic poza tym. Że Alberte wkroczyła do jego życia w inny sposób i wiedziała rzeczy, których nie wiedziała Inge, co było dla niej cierniem w oku.

Ogólnie rzecz biorąc, ta cała Inge nie była osobą o pięknym wnętrzu.

– Muzeum Bornholmu, Filip Nissen – rozległo się w słuchawce. Czyli jadą z tematem, facet wciąż tkwi na posterunku.

Carl spojrzał na jego zdjęcie na ekranie komputera. Trochę zbyt krągły, trochę zbyt zmierzwiona broda, trochę zbyt mocne szkła okularów. Jeśli o niego chodzi, typowy nerd.

– Nie, niestety nie mogę teraz rozmawiać. Muzeum jest już zamknięte, proszę poczekać do jutra. Proszę zrozumieć, idę na deskorolkę z synami. Czekają już na ulicy.

A jednak nie powinno się oceniać książki po okularach w rogowej oprawie. Ta deskorolka musi być wyjątkowo wytrzymała. Może robiona na zamówienie.

– Chcielibyśmy się tylko dowiedzieć, czy pamięta pan może hipisa, który w dziewięćdziesiątym siódmym roku interesował się pańskimi znaleziskami i pasjonował kultem słońca i kamieniami słonecznymi – wyrecytowała Rose. Jak długo udało jej się nad sobą panować? Jakies dwadzieścia sekund?

– Nie, niestety – odrzekł dyrektor z sapnięciem. Czyżby schodził już po schodach, taszcząc deskorolkę i całą resztę? W takim razie musiał przekierować rozmowę na komórkę i nie uznaje czegoś takiego jak godziny urzędowania.

– Miał na imię Frank! – zawołał Assad.

Wówczas nastąpiła przerwa w sapaniu. Czyżby zatrzymał się, by pomyśleć? A może wywalił się z tą deskorolką?

– Okej, Frank, powiadacie! Może Frank Skotte? To o niego wam chodzi?

Rose przybiła Assadowi piątkę, a następnie złożyła w kółko palec wskazujący i kciuk. Zaraz potem podeszła do komputera stojącego w kącie. Teraz dysponowała już właściwym nazwiskiem.

– Wysoki gość z długimi włosami i rowkiem na brodzie? – dopytywał Carl.

– Tak, tak, to ten. Ale dlaczego nazywacie go hipisem, przecież nim nie był?

– Ze względu na jego ubiór.

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

– Nosił takie same brzydkie łachy jak my wszyscy. Myśli pan, że ktoś leży w błocie ze szpachelką w ciuchach od Armaniego?

– Nie, raczej nie. Czy od tamtego czasu miał pan z nim do czynienia? Zależy nam bardzo, by się z nim skontaktować.

– Cześć, chłopaki – rozległo się po drugiej stronie. – Muszę już kończyć, dobrze? – Ale jego rozmówcy nie sprawiali wrażenia, by im to odpowiadało. – Czy miałem z nim do czynienia? – podjął na nowo. – Tak, chociaż niezobowiązująco. Zniknął z wyspy, ale pisywaliśmy do siebie przez jakiś czas. Wydaje mi się, że trwało to parę miesięcy. Frank miał milion teorii i bardzo poważnie podchodził do kwestii kultów słonecznych, które łączył z hipotezami, jakoby wszystkie religie pochodziły z jednego źródła: od słońca, pór roku i dwunastu znaków zodiaku.

– Pisaliście do siebie. W jaki sposób? Listy? Mejle?

– Listy. Był dość staroświecki. Ale zapewniam was, że już ich nie mam. Mam dość starych papierów na co dzień.

– Żadnych mejli?

– Nie. Może raz, gdy był w odwiedzinach u kolegi gdzieś w dalekim świecie. Proszę mnie nie pytać, gdzie i u jakiego. Zdaje się, że mieli krótkie pytanie i uznali, że na nie odpowiem. Chyba chodziło o jakiś szczegół dotyczący kręgów solarnych.

– Mam nadzieję, że wciąż ma pan ten mejl?

– Byłoby to bardzo dziwne, jako że już trzykrotnie wymienialiśmy komputery. Oczywiście, że już go nie mam.

– Wydruki?

– Należę do tej wąskiej grupy, która stara się maksymalnie ograniczyć zużycie papieru w epoce cyfrowej, tak więc nie.

– Może pamięta pan adres Franka?

– Niestety, nie. Wiem, że mieszkał w okolicach Kopenhagi. Tam mógł zdobyć większość informacji.

– Jakich informacji?

– Zbiory Muzeum Narodowego. Biblioteka Królewska. Kursy Otwartego Uniwersytetu i tak dalej. Chłonał wiedzę jak gąbka. Miał ogromny głód informacji związanych z początkami kultu słońca na Bornholmie i innych tego typu wydarzeń, co jest oczywiście absolutnie zrozumiałe.

– Absolutnie – zgodził się Carl.

Nawet Gordon się uśmiechnął. Taki nastrój w pokoju sytuacyjnym mógłby panować mniej lub bardziej permanentnie.

– Możemy porozmawiać jutro? Chłopcy ciągną mnie za rękę, trochę się niecierpliwia – upierał się mężczyzna.

Carl odruchowo pokręcił głową. Jeszcze czego!

– Ma pan zdjęcia tego człowieka? Musieliście robić dużo fotek, dokumentując pracę w tym miejscu.

– Nie mam pojęcia. Może i mam kilka, ale jest na nich w tle. Minęło już sporo czasu, a nawet archeolog nie hołubi wszystkiego, co stare, prawda? – zaśmiał się głośno, ale zamilkł nagle, gdy usłyszał kolejne zdanie Carla.

– To sprawa o zabójstwo – poinformował oschle. – Proszę poprosić synów, by sobie sami pojeździli. Musimy dotrzeć do sedna.

– Co za pieprzone gówno! – zawołała Rose dobrą chwilę później. – Według rejestru ludności w Danii nie mieszka żaden Frank Skotte. Jasna dupa.

Carl sięgnął po papierosy do kieszeni na piersi, ale zamarł, gdy Rose wskazała na tabliczkę wiszącą na ścianie, gdzie wielkimi literami napisano:

„PALENIE ZABIJA NIE TYLKO CIEBIE, ALE TEŻ TWOJE OTOCZENIE, TY PIERDOLONY MORDERCO!”

Ładniej tego nie można było ująć.

Wsunął papierosy z powrotem.

– Dyrektor muzeum musiał przekręcić nazwisko albo źle je zapamiętał – orzekł.

– Tak, albo facet na stałe zmienił sobie nazwisko lub wyjechał za granicę – zasugerował Gordon.

Rose spojrzała na niego z rezygnacją.

– Jeśli w jakimś momencie historii najnowszej mieszkał w Danii człowiek o nazwisku Frank Skotte, to idę o zakład, że bym go znalazła.

– Nie o to chodziło, ja... – rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu odrobiny współczucia. Boże drogi, co za dureń.

– Może nie jest obywatelem Danii i nigdy nim nie był – rzucił więc. – Mógł ewentualnie należeć do mniejszości duńskiej w Szlezwiku. Albo być Szwedem czy kimś w tym stylu.

Carl skinął głową do Rose. Oczywiście jest to jakaś możliwość, więc poklepał Gordona po plecach na tyle wysoko, na ile sięgnął w pozycji siedzącej. Rose zaczęła stukać w klawiaturę jak opętana.

– W tym dyrektorze muzeum było coś dziwnego – mruknął Assad. – Pamiętał Franka i mnóstwo szczegółów o tym, jak mu pomagał w wykopaliskach i w ogóle dużo różnych rzeczy, o których rozmawiali, ale nie pamiętał Alberte.

– Ci fachowcy często tacy są, Assad. Widzą tylko czubek własnego nosa.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby był czubkiem nosa, przecież pamiętał tyle różnych rzeczy. Jaka była pogoda, jak wyglądał samochód Franka, jak dyskutowali o wielkości poszczególnych elementów kręgów solarnych i dawnych miejscach kultu słońca, gdzie prowadzili wykopaliska. Pamiętał, że Frank był wegetarianinem i że potrafił posługiwać się w równym stopniu prawą, jak i lewą ręką. Pamiętał też, że kiedyś zabrał ze sobą na wykopaliska dziewczynę z ich obozu i że mówiła po szwedzku z fińskim akcentem. Moim zdaniem miał doskonałą pamięć, a przecież sprawa z Alberte była głośna. Sprawdzano wszystkie pojazdy na Bornholmie, zapewne włączając tę terenówkę z Muzeum Bornholmu, której używali przy wykopaliskach.

– Assad, do czego zmierzasz?

– Ja wiem! – oświadczył Gordon, podnosząc palec do góry jak uczeń. Czyżby nie wiedział, że prosi się o głos dopiero po podniesieniu palca?

– Moim zdaniem, on w tym okresie na bank nie przebywał na Bornholmie.

Znów został poklepany po plecach, tym razem przez Assada.

– Otóż to, szefie – powiedział Assad. – Zapomnieliśmy go o to zapytać. Można pomyśleć, że ten Frank pożyczył rovera należącego do muzeum i wykorzystał go do potrącenia Alberte, skoro ten muzealnik zostawił mu go do dyspozycji podczas swojej nieobecności.

Carl pstryknął na Assada, który natychmiast wycofał się do kąta i wybrał numer w komórce.

– Jak tam, Rose, znalazłaś coś?

Pokręciła głową.

– Myślę, że Frank lepiej sobie radził z używaniem wszystkich możliwych nazwisk poza swoim własnym.

– Czyli znów prawie nic nie wiemy – stwierdził Carl. – Kiedy docisnęliśmy Inge Dalby, uznała, że zmienił imię na jakieś bardzo krótkie, które zdaje się zaczynało się na A, a reszta imienia brzmiała jakiś wschodnio. I na co nam się to, cholera, zda? Teraz zaś Filip Nissen mówi, że Frank miał na nazwisko Skotte, ale ktoś taki oczywiście nie istnieje. W jakim promieniu szukałaś, Rose?

Narysowała kółko w powietrzu. Zapewne znaczyło to, że we wszystkich liczących się krajach ościennych.

Assad skończył rozmowę.

– Filip Nissen mówi, że tamtej jesieni sporo podróżował. Ale wozu należącego do muzeum na pewno nie pożyczano. – Westchnął, a po nim pozostali.

– Podzwonię jeszcze raz po tych alternatywnych uzdrowicielach – zapowiedziała Rose. – Może ktoś skojarzy Franka z tymi dwoma kamieniami słonecznymi.

Gdy Carl przyszedł do pracy następnego poranka, Rose była już na miejscu. Potargane włosy, te same ubrania, co wczoraj, a z gabinetu Assada dobiegało głośne chrapanie, którego sprawcą na pewno nie był Assad. Nie trzeba wielkiego detektywa, by można było się ubawić, jaki był powód takiej sytuacji.

– No, no – powiedział Carl. – Widzę, że niektórzy spędzili noc w pokoju sytuacyjnym.

– Tak – odparła Rose, nie odwracając się. – Musimy przecież dokonać jakiegoś przełomu, więc dorwałam Bornholmczyków jeszcze w łóżkach, zanim wyszli do pracy.

„Zdaje się, że ten przełom był wyczekiwany nie tylko w śledztwie” – pomyślał, uśmiechając się półgębkiem. I nie tylko Bornholmczyków dorwała w łóżkach, zanim wyszli do pracy.

– A Gordon?

– Widocznie potrzebuje więcej snu niż ja.

Biedny facet. Pewnie wydrenowała tego chudego zdechlaka z całej energii.

– Jakież rezultaty?

Wtedy się odwróciła. Trudno było o bardziej triumfującą Rose. Nawet rozmazany, kruczoczarny tusz do rzęs jakby promieniał.

– I to ile! Podzwoniłam po jeszcze innych uzdrowicielach i wreszcie udało mi się ich rozgryźć. Połowa z nich jest za młoda, by podać mi informacje na temat wydarzeń sprzed prawie dwudziestu lat, jedna czwarta jest, delikatnie mówiąc, zbyt ześwirowana, żeby można było z nich wyciągnąć coś konkretnego i sensownego, ostatnia zaś ćwierć naprawdę bardzo się starała, bo ci ludzie są we właściwym wieku, mają wiedzę, a także głowę na karku.

– No i? – spytał niecierpliwie.

– Tym razem udało mi się dwa razy. Z astrologiem ezoterycznym i terapeutką aura-soma. Oboje pamiętają Franka, jego kamienie słoneczne i wielkie zainteresowanie kultem słońca.

Carl triumfalnie zacisnął pięści. No to są w grze.

– Mamy nazwisko i adres?

– Nie.

– Tak myślałem. – Poluzował uścisk pięści i pomasaował się po karku. – Więc co masz?

– Oboje byli zgodni, że opis pasuje do podanego przez Inge Dalby. Do tego doszło sporo innych szczegółów. Na przykład ten Frank całkowicie uniezależnił się od nowoczesnych technologii.

– Żadnych komórek?

– Żadnych komórek, żadnych komputerów. Wszystko pisał ręcznie, do tego piórem wiecznym. Samochód, którym się przemieszczał, był pożyczony. Nigdy nie używał karty kredytowej, zawsze gotówki.

– I z tego samego powodu nie pozostawił nigdzie żadnych śladów, zgadza się?

Wymierzyła w niego palec.

– Bezpośrednio nie zostawił. Ale jednak...

– Co masz na myśli?

– Ten jeden uważał, że jego szczególne zainteresowanie kultami na Bornholmie to tylko wierzchołek góry lodowej. Że miał też sporą i bardziej ogólną wiedzę na temat astrologii, teologii, astronomii i historii starożytnej. Bardzo interesował się religiami w poszczególnych epokach i tym, co z nich pozostało. Dlatego zawsze był skory do dyskusji na takie tematy. Astrolog ezoteryczny określił nawet jego teorie jako przełomowe.

– A w jaki sposób może nam to pomóc? I kto to, do cholery, astrolog ezoteryczny?

– Chodzi o odnalezienie siły, by odkryć ukrytą intencję duszy w jej obecnym wcieleniu. O pomoc duszy, by osiągnęła pełny cel wcielenia.

Carl usiłował znaleźć odpowiedni grymas, ale widocznie znajdował się poza jego zasięgiem.

– No dobrze, ale dlaczego to takie ważne, że te jego teorie są... jak to ujęłaś... przełomowe?

– To znaczy, że jego entuzjazm udzielał się innym. Ci, którzy mieszkali w obozie w Ølene, wszyscy stanowili pod jakimś względem część jego duchowej rodziny, coś w rodzaju apostołów. Terapeutka aura-soma też tak uważała. W którymś momencie, kiedy Frank przyszedł do niej, by wzmocnić swoją aurę, towarzyszył mu jeden z uczniów.

– Jak to uczniów? Skąd wiadomo, że był uczniem?

– Spokojnie, Carl, zaraz do tego dojdę. Powodem tego, że Frank odwiedzał tylu alternatywnych uzdrowiaczy, było oczywiście to, że chciał się od nich czegoś nauczyć, poznać ich tajemnice. Zupełnie jakby chciał połączyć w jedno całą możliwą alternatywną wiedzę i techniki i znaleźć dla nich wspólny mianownik. Dla uzdrawiania, religii, wszystkich dawnych nauk, alchemii, astrologii, kanalizowania energii, promieniowania, jasnowidzenia i tak dalej. Nie dopytuj, do czego dążył, bo chyba to samo w sobie było jakąś sztuką i właśnie w tym rzecz. – Znów znacząco wymierzyła w niego palec.

– W czym?

– Że Frank tworzył własną filozofię duchowości. Chciał zebrać wszystko, co użyteczne, i połączyć w jedno. A człowiek, który mu towarzyszył, był, jak to sam określał, jego świadkiem prawdy.

– Daj spokój, co za dziwactwa. Ale stworzył tę swoją filozofię?

– Oboje uważali, że tak. A terapeutka aura-soma pamiętała nawet nazwisko człowieka, który przyszedł z Frankiem. Nazywał się Simon Fisker. Wszyscy się z tego śmiali, bo już bardziej



symbolicznie być nie mogło, nie<sup>6</sup>? Czyli Frank był mesjaszem, a ten gość po prostu jego towarzyszem. Jedna z tych terapeutek powiedziała, że Simon Fisker interesował się żywo jej ogrodem i ziołami leczniczymi. Mówił, że sam takie chciałby mieć. I teraz ostatnia rzecz, Carl! – Znow pojawił się palec. Człowiek niemal miał ochotę chwycić za nożyczki i go odciąć.

– No gadaj już, do cholery. Jaka ostatnia rzecz?

– Człowiek, który nazywał się Simon Fisker, faktycznie dorobił się własnej szkółki! Znajduje się w pobliżu Holbæk, w miejscu nazywanym Tempelkrogen, Zakątkiem Świątynnym.

– Zakątek Świątynny? Tak, oczywiście, że się tak nazywa, dlaczego mnie to nie dziwi? Jeszcze ostatnie pytanie. Czym się zajmuje terapeuta aura-soma?

– Hm, to dość dziwne. Nie chciałam jej o to pytać, więc sprawdziłam sama. Chodzi między innymi o jakieś butelki, które zawierają uzdrawiające wibracje kolorów, ale chyba nie do końca to zrozu-miałam.

Carl sięgnął po papierosy. W tym wypadku naprawdę trzeba stąpać ostrożnie, nim człowiek dotrze do sedna, jeśli można to tak ująć.

– Nie wyszło źle, że nie zabraliśmy ze sobą Rose, Carl? W końcu to ona znalazła tego człowieka. – Mięśnie żuchwy Assada siłowały się z gumą do żucia włożoną do ust pięćdziesiąt pięć kilometrów temu.

– Pilnuj GPS-a. Wydaje mi się, że za mostem Munkholmbroen musimy wjechać w Eriksholmvej, co ty na to?

– A ja na to, że niedobrze się stało, że nie wzięliśmy ze sobą Rose. I owszem, kiedy przejedziemy przez wodę, musisz skręcić w lewo.

Carl spojrział na południe w migoczące wody zatoki usianej między wysepkami i cyplami. Jeśli dobrze zgadywał, muszą dojechać na przeciwną stronę, gdzie na półwyspie biały dom w majestatycznej samotności niemal płożył się pośród niskich pastwisk.

– Zobaczysz, nic jej nie będzie, dopóki ma Gordona, który z nią... – Skierował wzrok na sklepik, przy którym robili sobie z Viggą przystanek, jeżdżąc w weekendy na motocyklu na łono natury. To były piękne dni, kiedy człowiek nie mógł sobie pozwolić na nic innego. Do czego doszedł w życiu od tamtych czasów?

– Zaczynam myśleć o odejściu ze służby, Assad – powiedział pod wpływem impulsu. – Lars Bjørn będzie piał z zachwyty, ale co tam.

Nie musiał patrzeć na kolegę, by się zorientować, że zaprzestał żucia. Dało się to usłyszeć.

– To byłoby najgorsze, co mogłoby mi się przytrafić – oświadczył kudłacz tak porażająco bezbłędną duńszczyzną, że Mørck raptownie odwrócił głowę. – Carl, musisz tu skręcić. – Akcent wrócił. – Nie rozumiem, co chcesz zrobić?

– Chcę otworzyć z tobą syryjską kawiarnię, gdzie będziemy serwować wyłącznie twój klajster o smaku mięty i gliniaste ciastka. Klajster i arabska muzyka na pełen regulator.

Assad wrócił do żucia. Czyli uznał, że szef nie mówi poważnie. Trochę szkoda.

Jadąc wąskimi drózkami, minęli kilka gospodarstw, po czym przemknęli przez wieś i pojechali w kierunku domu.

– Zupełna prowincja – skonstatował Assad, gdy rozpostarł się przed nimi pejzaż skąpany w strugach deszczu. Widać nigdy nie był w rodzinnych stronach Carla, Vendsyssel.

Carl podjął błyskawiczną decyzję.

– Assad! Nie miałbyś ochoty przejechać się ze mną jutro na pogrzeb mojego kuzyna w okolicy Brønderslev? Poznałbyś moich rodziców i resztę parszywej rodziny.

– Parszywej? Kto choruje? – spytał Assad, kiedy przed nimi ukazał im się dom. Woda po obu jego stronach, w tle most, poza tym las i droga. Cudowny widok pośród rzadkiego na ziemi krajobrazu.

Miejsce sprawiało wrażenie przyjaznego i otwartego, ale jeśli chodzi o Holistyczną Szkołę Roślin, nie należało ufać pozorom. Dwa warczące potwory, jakimi na pewno szczerzo nieszczęsnych chrześcijan w Koloseum w starożytnym Rzymie, drapały o ziemię, jakby w każdej chwili miały wziąć rozbieg i sforsować płot.

„Birtemaja & Simon Fisker. Proszę dzwonić” – głosił zwięzły napis na tabliczce, więc Carl wcisnął guzik do oporu, ani myśląc go puszczać.

– Hate, Skoll, do nogi! – zawołał głos na podwórku. Lawirując między głębokimi kałużami, zmierzał do nich mężczyzna w spodniach wpuszczonych w buty z cholewami i workowatej, chłopskiej koszuli.

– Mamy klientów! – krzyknął w stronę domu.

Carl wsunął rękę do kieszeni, by wyjąć z niej odznakę policyjną, ale Assad położył mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać.

– Piękne miejsce – zagaił do mężczyzny, podając mu rękę przez płot. – Przyszliśmy uzyskać pomoc w różnych sprawach.

Gdy mężczyzna otworzył furtkę, psy zaczęły warczeć na Assada.

– Nie są przyzwyczajone do śniadej skóry.

– Żaden problem, zajmę się nimi – odparł Assad, po czym dominujący pies doskoczył do niego, kłapiąc.

Carl odskoczył na bok, ale jego kolega nie ruszył się z miejsca i w chwili gdy gość od roślin próbował powstrzymać stwora, Assad wydał z siebie piekielny wrzask, od którego oba psy ugięły nogi jak szczenięta i zsikały się pod siebie.

– O, tak – oświadczył Assad, klepiąc się po udzie i przywołując je do siebie.

Gdy przyczołgały się i pozwoliły poklepać, zarówno plantator, jak i Carl patrzyli na niego w zupełnym osłupieniu.

– O czym rozmawialiśmy? – spytał Assad, kiedy psy ustawiły się po jego bokach, jakby był ich nowym panem. – A, tak. Potrzebujemy pańskiej pomocy. Po pierwsze, musimy kupić coś,

co pomoże mi lepiej spać.

Carl nie wierzył własnym uszom. Gdyby Assad zasnął mocniej niż wówczas w hotelu w Rønne, to chyba nigdy by się nie obudził.

– Poza tym potrzebujemy czegoś, co ożywiłoby mojego kolegę w ciągu dnia. Potem chcielibyśmy zadać panu parę pytań, jeśli to nie problem.

Odznaka pozostała w kieszeni Carla.

– Dobrze to rokuje, te zioła powinny pomóc na bezsenność – powiedział Simon Fisker do Assada. – Teraz zajmiemy się pańskim przyjacielem.

Podszedł do narożnika pokoju, który przypominał relikwiarz z minionych czasów i w którym nic do siebie nie pasowało. Meble, których nie przyjęto by nawet na pchli targ, dywany w połowie składające się z psiej sierści, filizanki z niedopitą kawą, a przede wszystkim miriady barwnych plakatów z bóstwami indyjskimi w towarzystwie zdjęć duńskiej natury oprawione w złote ramki. Otworzył szufladę wciśniętego w róg sekretarzyka, stanowiącego klon mebla stojącego niegdyś w zakładzie krawieckim u dziadka Carla w Risskov.

Już miał go pytać, skąd ma ten sekretarzyk, gdy mężczyzna podał Assadowi wahadełko i krótko poinstruował, jak ma go użyć.

– Proszę robić to samo, co kolega – zwrócił się do Carla. – Proszę spokojnie trzymać wahadełko w ręce i skalibrować je ze swoją energią. Potem proszę umieścić je nad roślinami, z których ma pan parzyć herbatę. Zobaczymy, czy dobrałem właściwe zioła.

Carl ujął sznurek w dłoń, próbując nie stroić min. Niech lepiej to całe wahadełko przyzwyczaj się zachowuje, żeby mogli ruszyć dalej z tematem.

Pociągnął za sznurek w górę i w dół, by mu pomóc.

– Nie, nie, proszę się nie ruszać. Ono samo zdecyduje. Wahadełko chłonie energię z otoczenia – pouczył mężczyzna, za którego plecami wsunęła się do środka kobieta ubrana na szaro. Skinęli do niej, ale nie raczyła odpowiedzieć.

Carl spojrzał sceptycznie na nieruchome wahadełko. Widać w roślinach, które mu wynalazł, nie było zbyt wiele energii.

– Nie, to na nic. Musimy jeszcze raz skalibrować wahadełko. Proszę postępować tak, jak pański przyjaciel. Proszę najpierw przytrzymać dłoń pod wahadełkiem i poprosić, by zareagowało wychyleniem się na tak.

Carl odwrócił do niego głowę. Oszalał czy co?

– Proszę to zrobić.

Carl pozwolił, by wahadełko zakołysało się nad jego wolną ręką.

– Zareaguj wychyleniem się na tak – wyszeptał, ale wciąż nic się nie wydarzyło. Oczywiście.

– Proszę mi je podać – polecił właściciel szkółki, po czym przysunął wahadełko do ust i zaczął drobnymi haustami zasysać powietrze wokół niego. Zrobił to kilkakrotnie, głęboko skoncentrowany, a następnie zawiesił je sobie przed oczami i dmuchnął mocno, wzięwszy głęboki oddech.

– Już! Teraz jest oczyszczone – stwierdził. – Proszę spróbować jeszcze raz.

Carl czuł się żałośniej tylko wtedy, gdy jako chłopak próbował zaimponować Lise, skacząc na główkę z pięciometrowej trampoliny, i nim dotknął wody, spodenki miał w kolanach. Czy naprawdę próbuje przekonać ten stożek, by zaczął się ruszać?

I wtedy wahadełko drgnęło.

– Okej, dobrze – powiedział właściciel szkółki. – Teraz proszę przytrzymać je nad roślinami i spytać, czy są dla pana właściwe.

Zrobił to tylko dlatego, że siedzący obok Assad trącał go pod stołem w udo.

– Tak sądziłem. Nie są dla pana dobre. Musi pan dostać coś słabszego, inaczej będzie pan zasuwiał jak z motorkiem w dupie.

Carl skinął głową, mówiąc, że właśnie tego mu potrzeba. Przynajmniej nie będzie musiał znów się bawić w doktora Mesmera.

– Okej, proszę pamiętać, że pana ostrzegalem – rzekł mężczyzna.

Czy ten człowiek naprawdę myślał, że Carl w ogóle ma zamiar gotować zupę z tych jego śmierdzących badyli?

– Proszę schować wahadełko do kieszeni, przyda się innym razem, gdy będzie go pan potrzebował. Doliczam pięćdziesiąt koron do kwoty za rośliny, tyle to mniej więcej wyniesie.

Carl uśmiechnął się z przymusem i podziękował.

– Właściwie przyszliśmy porozmawiać z panem o czasach, gdy przebywał pan z Frankiem na Bornholmie w obozie nieopodal Ølene.

Zmarszczył brwi.

– Z Frankiem?

– Tak. Pod takim imieniem go znamy.

– A dlaczego panowie pytają?

– Interesuje nas jego filozofia związana z kultem słonecznym i tym podobne rzeczy – wmieszał się Assad. – Chcielibyśmy porozmawiać z nim osobiście, ale nie wiemy, gdzie się znajduje. Może pan się orientuje?

Szara dama, kręcąca się w tle, zbliżyła się o parę kroków, co nie uszło uwagi mężczyzny,

– Jak mnie znaleźliście? – spytał ze wzrokiem utkwionym w żonie.

– Poprzez jedną z uzdrowicielek, którą obaj odwiedzaliście. Pamiętała pańskie nazwisko, kupowała też coś u pana.

Skinął głową, gdy Carl podał mu jej nazwisko.

– Rzeczywiście, zgadza się. Przez całe lato mieszkałem w obozie Ølene. To był piękny czas. Frank i ja mieliśmy odmienne zdania, ale nasze dyskusje były niesamowite.

– O czym dyskutowaliście? – spytał Carl. – Kult słońca, różne religie i tak dalej?

– Tak, o tym i o wielu innych rzeczach. Braliśmy udział w wykopaliskach w Rispebjergu, a Frank miał szczególnie sentyment do tego miejsca ze względu na ofiary składane słońcu

i liczne dowody istnienia silnych kultów sprzed wielu tysięcy lat. Ukradł nawet jeden z kamieni słonecznych, które wykopaliśmy, ale o tym się głośno nie mówi.

Zaśmiał się, ale zamilkł zgromiony wzrokiem przez żonę.

– Wie pan, w jaki sposób zaczął się tym interesować?

– Myślę, że zawsze go to frapowało. No i oczywiście z kursów Otwartego Uniwersytetu. Mówił mi, że rok czy dwa wcześniej, kiedy pracował w Kopenhadze, chodził na kilka kursów.

– Wie pan jakich?

– To były wykłady gościnne wykładowcy z Wydziału Teologicznego w Kopenhadze. Nie wiem, jak się nazywał, ale Frank mówił, że jest profesorem. To było podobno coś przełomowego, coś o początkach archeoastronomii i religii.

– Archeoczego?

– Archeoastronomii, o znaczeniu gwiazdozbiorów dla ludów prehistorycznych.

Assad zanotował.

– Ma pan może kontakt z którymś ze znajomych z Ølene? – spytał.

– Nie, tylko z Sørenem Mølgårdem, ale ostatnio bardzo się stoczył.

– Aha, Søren Mølgård. Ma pan jego adres?

– Minęło już trochę czasu i prawdę mówiąc, zerwałem z nim kontakt. Za dużo prochów, rozumiecie. To nie harmonizuje zbyt dobrze z naszą działalnością, prawda, Birtemaja?

Ściągnęła usta, kręcąc głową. Dobrze, że to nie ją muszą maglować.

– Podobno przeprowadził się do jakiejś komuny wyznawców Asatru na południe od Roskilde. Pewnie tylko dlatego zupełnie nie zszedł na psy.

– A kim jest ten Søren?

– Nikim szczególnym, po prostu jednym z ludzi, którzy przez jakiś czas mieszkali w Ølene. Jeśli dobrze słyszałem, wielu z nas wylądowało w środowisku medycyny alternatywnej i nieźle im się wiedzie, ale Søren nie posiadał szczególnych talentów. Był po prostu hipisem, który się tam przypałętał. Owszem, próbował swoich sił jako numerolog, jak Birtemaja, ale nigdy nie zrozumiał istoty numerologii. My lubimy, by nasz obraz świata cechował porządek, rozumie pan, a to nie była jego bajka. – Zaśmiał się.

Carl skinął głową. Jeśli go wzrok nie mylił, porządek ich obrazu świata nie dotarł jeszcze do salonu.

– A panowie? Skąd panowie przychodzą? – spytał.

Carl wyjął z kieszeni odznakę mimo gromiącego spojrzenia Assada.

– Przychodzimy z kopenhaskiej policji i chętnie porozmawialibyśmy z Frankiem o wypadku, który miał miejsce podczas waszego pobytu na Bornholmie. Sądzymy, że jest jedyną osobą, która potrafi nam pomóc zrozumieć, co właściwie się wydarzyło.

Simon Fisker wbił wzrok w odznakę. Tego się nie spodziewał.

– O jakim wypadku? – spytał z nieufnością malującą się na twarzy. – Kiedy tam byliśmy? Nic nie wiem o żadnym wypadku.

– Rozumiem, ale to nie o nim przyszliśmy z panem porozmawiać. Mamy po prostu nadzieję, że może nam pan powiedzieć, jak Frank ma na nazwisko i jakim się obecnie posługuje. Wie pan, gdzie teraz przebywa?

– Niestety nie – odparł krótko.

– Assad, błagam, wywal te ziółka przez okno! Śmierdzą, aż się człowiekowi robi niedobrze.

– Zapłaciłem za nie pięćdziesiąt koron, Carl.

Mørck westchnął, otwierając okno po stronie pasażera.

– Jest za zimno i leje, nie możesz go zamknąć? Zaraz siedzenie zamoknie.

Mørck go zignorował. Albo rośliny wylatują, albo Assad musi się dostosować. A gdy już dotrą na miejsce, to będzie się trzymał z daleka od wszystkiego, co Assad zamierza z nich wyczarować.

Carl wybrał numer stacjonarny Rose na panelu w samochodzie i poprosił, by znalazła człowieka, który miał wykłady w ramach Otwartego Uniwersytetu w Kopenhadze przed 1997 rokiem, był teologiem i którego pasją było zestawianie religii z gwiazdozbiorami.

Przez kolejnych dwadzieścia kilometrów siedzieli w milczeniu. Naprawdę przyjemna sprawa, kiedy jedzie się autostradą, na której, mogłoby się wydawać, połowa Zelandii postanowiła obrać kurs na Kopenhagę.

Kiedy w żółtym tempie mijali Roskilde, stojąc w kolejce samochodów jadących dziesięć kilometrów na godzinę, otoczeni przez rozeźlonych kierowców, Assad położył nogi na desce rozdzielczej i spojrzął w bok.

– W tym domu panowała niedobra atmosfera – wypalił.

Carl właśnie tego się spodziewał. Żadnych zbędnych wyjaśnień.

– Widziałeś przecież, że ta żona nas przejrzała, Assad. Już się szykowała, by go uciszyć. Wyczułeś, że oni wcale nie chcą nam pomóc? I tak nie uzyskaliśmy żadnych informacji, więc musimy postawić na tego Søren Mølgårda. Ale jeśli coś jest na rzeczy, to na pewno ktoś dał mu cynk.

– Co na rzeczy, Carl? Nie zawsze rozumiem, co masz na myśli. Dlaczego ktoś miałby mu dawać cynk?

– Tak się mówi, kiedy ktoś daje drugiemu o czymś znać.

– Dlaczego cynk? Myślałem, że cynk to...

– Nie wiem, Assad.

– I dlaczego dawać? Po co komuś dawać...

– Słyszysz, co mówię? Nasze podejrzania, że w tej sprawie coś nie gra, mają silne podstawy. Całe te kultury słońca, kamienie słoneczne, coś mi tu nie gra.

– Nie gra?

– Przestań wreszcie! Nie mogę myśleć, kiedy cały czas mi przerywasz. Nie podoba mi się to, okej?

Wówczas odezwał się telefon. Dzwoniła Rose.

– Kurs nosił nazwę „Od gwiazdnych mitów do chrześcijaństwa” i odbył się jesienią dziewięćdziesiątego piątego roku. Wykładowca pochodził z Wydziału Teologicznego w Kopenhadze, a obecnie jest emerytowanym profesorem zamieszkałym w Pandrup. Nazywa się Johannes Tausen.

Johannes Tausen. Chyba bardziej teologicznie się nie dało<sup>7</sup>.

– Pandrup w Vendsyssel?

– A są inne?

– Okej, wyślij mi pełny adres SMS-em, pojedę tam jutro po pogrzebie w Brønderslev. Dzięki, Rose.

Rozłączyła się, nim zdążył mrugnąć.

– Chcesz jutro porozmawiać z tym profesorem? – spytał Assad.

Carl skinął głową. Wciąż rozmyślał nad wrażeniem, jakie zrobił na nim Simon Fisker. Dlaczego on i jego żona nie byli skłonni do współpracy? Czy może czegoś nie rozumiał, jeśli chodzi o ludzi takich jak ci z Ølene?

– To wybiorę się z tobą.

Carl spojrział na Assada z roztargnieniem.

– Dobrze, dzięki.

– Widzę, że jesteś rozkojarzony. Myślisz nad motywem, prawda?

– Oczywiście. – Carl zasunął okno, co Assad skwitował głębokim westchnieniem ulgi. – Coraz bardziej mi się wydaje, że jesteśmy na właściwym tropie. Habersaat miał rację. Obawiam się, że ten Frank cierpiał na manię wielkości. Postrzegał się jako jakiś mesjasz i wszystko się ładnie kręciło, dopóki nie pojawiła się Alberte i nie zaczęła mu zawadzać.

– Co masz na myśli?

– Że stała się dla niego kulą u nogi. Ale moim zdaniem jest jeszcze inna, bardziej makabryczna możliwość. Może Alberte została złożona w ofierze. Skojarzenie tego morderstwa z Ølene byłoby dla Franka i pozostałych niepożądane. Ofiara kultu słonecznego, którą zapewne złożono o wschodzie słońca.



Piątek 9 maja 2014

Ból nachodził ją falami. Dziwne skurcze, podczas których brzuch się spina, jak podczas długotrwałego siedzenia lub wówczas, kiedy jedzenie, które zjadło się poprzedniego dnia, zaczyna pęcznić w żołądku. Oczywiście zaniepokoiło ją to, podobnie jak inne nieregularności w funkcjonowaniu ciała, ale poprzedniego dnia była na kontroli i wszystko było w najlepszym porządku. Ginekolog ze znanstwem pokiwał głową, nazywając ciężę podręcznikową, a Pirjo ogarnęło poczucie szczęścia i ulgi. Minął już szósty miesiąc, dziecko zostało uznane za zdrowe i dobrze rokujące, więc uznała dolegliwości za epizodyczne i nieszkodliwe.

Gdy bóle zaczęły już ustępować, zadzwonił telefon.

Głos brzmiał znajomo, ale dopiero gdy nastąpiła oficjalna prezentacja, Pirjo się uśmiechnęła.

– Simon! Simon Fisker! Kopę lat – zawołała, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mieli ze sobą kontakt. Pięć lat temu? Dziesięć?

– Wszystko u was w porządku, Pirjo? – spytał.

Zaskoczył ją ton jego głosu. Simon nie wykazywał szczególnych talentów percepcyjnych, więc dlaczego nagle dzwoni i zadaje takie pytanie? Czyżby Birtemaja coś wyczuła?

– Dlaczego dzwonisz tak nagle, by o to spytać? – zagała ostrożnie.

– Przez Birtemaję.

Wiedziała.

Pirjo spojrzała na ręce i stwierdziła, że już drżą. Skąd Birtemaja by wiedziała? Skąd by wiedziała, że cały świat Pirjo mógłby w jednej chwili lec w gruzach, gdyby ktoś wywęszył, co zrobiła tej całej Wandzie Phinn?

– Była tu policja, wypytywali o Atu. To znaczy policjant i jakiś emigrant, który był jego asystentem. Znali go tylko jako Franka, ale to na pewno o nim mówili. Chodziło o jakieś dawne zdarzenie na Bornholmie.

Przez chwilę poczuła ulgę, ale potem dotarł do niej sens jego słów. Nie chodziło o Wandę Phinn, tylko o coś gorszego.

– Na Bornholmie?

– Tak. Prowadzą śledztwo w sprawie jakiejś zaginionej dziewczyny. Birtemaja, jak ona się nazywała? – spytał gdzieś w przestrzeń.

Pirjo doskonale знаła odpowiedź. Ale co się w ogóle dzieje? Przecież minęło prawie dwadzieścia lat. Tę sprawę już dawno powinna przykryć warstewka kurzu.

– Birtemaja mówi, że nazywała się Alberte. Kiedy tu byli, Birtemaja wyczuła, że to może mieć dla was poważne konsekwencje. Poczula to tak mocno, że musieliśmy was ostrzec, właśnie dlatego dzwonię. Mówi ci to coś?

Pirjo wzięła głęboki wdech.

– Bornholm, mówisz? Hm, jeśli chodzi o tę dziewczynę... mówisz, że miała na imię Alberte? Zupełnie nic mi to nie mówi, to na pewno jakaś pomyłka. Powiedziałaś im, gdzie mieszkamy?

– Dlaczego miałbym to robić? Odesłałem ich do Sørena Mølgårda, żeby się ich pozbyć.

Pirjo pokręciła głową. Idiota odesłał ich do jeszcze większego idioty. Niedobrze.

– Hm, chyba niczym to nie grozi, jak sądzisz? – spytała z dozą sceptycyzmu.

– Nie, nie sądzę – odparł. – Facet jest przecież tak upalony, że ledwie pamięta, co robił wczoraj.

W tle dało się słyszeć mamrotanie, brzmiące jak głos kobiety.

– Birtemaja pyta, jak leci, Pirjo. Zapewne fantastycznie, prawda?

Przez chwilę zamierzała potwierdzić, powiedzieć im, że spadkobierca dziedzictwa Atu jest już w drodze, ale nagle jej lędźwie przeszył ból promieniujący aż do podbrzusza. Na moment odsunęła telefon od ust, by zapanować nad bólem za pomocą kilku głębokich wdechów.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Simon – powiedziała po chwili, uspokoiwszy oddech. – Nie myślcie o tym, to strzał na oślep. I owszem, wszystko u nas dobrze. Pozdrów Birtemaję i pociesz ją w moim imieniu. Tym razem musiała źle zinterpretować swoje przeczucia.

Odłożyła słuchawkę szybciej, niżby należało, i oparła się o fotel. Bóle pojawiły się w okolicach mostka, a wraz z nimi zakiełkowały w niej złe przeczucia.

Przez chwilę modliła się do Horusa i sił wyższych. Najpierw za dziecko, potem za siebie i dopiero na końcu za Atu. Cięża tak bardzo wpłynęła u niej na priorytety. Po paru minutach ból zelżał.

„To nic takiego” – przekonywała samą siebie, czując ruchy dziecka. „To nic. Po prostu ciało próbuje się dostosować. W końcu nie jestem już najmłodsza. Może niektórzy tak mają”.

„Søren Mølgård” – powiedział Simon. Ma do niego zadzwonić, by zamknąć mu usta? Czy w ogóle da radę to zrobić?

Pokręciła głową. Ryzyko, że gość wypaple, że dzwoniła, było zbyt duże. Søren Mølgård był najsłabszym ogniwiem w ich komunie. Zawsze ulegał pokusie i z tego powodu poszedł na dno. Co ktoś taki jak on może powiedzieć? Zupełnie nic. Czy nie była jedyną, oprócz Atu, osobą w komunie w Ølene, która w ogóle wiedziała o Alberte? Owszem.

Jeszcze raz pokręciła głową i zaczęła się rozluźniać, w miarę jak ból ustępował.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

Poprawiła tunikę.

– Proszę wejść! – zawołała.

W progu stała Valentina, która przepaszając, że żyje, trzymała się drzwi, jakby w ogóle nie miała zamiaru wchodzić, ale Pirjo przywołała ją gestem. Matkowała wszystkim wyznawcom i jej gabinet pełnił funkcję zarówno konfesjonału, centrum doradztwa, jak i ośrodka spraw socjalnych. Nie został stąd odprawiony nikt, kto miał problemy, a Valentina je miała, co było po niej widać.

– Coś cię trapi? – spytała Pirjo, zanim kobieta zdążyła usiąść. Chciała mieć to szybko z głowy, by móc sobie w spokoju pomyśleć. Dlatego stosowała tę samą technikę wypytywania, jak w swoich telefonach z poradami: ostro i bez owijania w bawełnę. – Jesteś czymś rozczarowana? A może jakieś siły, które próbują udaremnić działanie miłości w twoim otoczeniu, są powodem bruzd na twojej twarzy, Valentino?

Pokręciła głową. Gdy Pirjo widziała ją po raz pierwszy, kobieta głęboko w duszy nosiła rany wynikające z drastycznego mobbingu kolegów i przemocy fizycznej ze strony partnera, który traktował ją jak dziwkę czy zwierzę. Kiedy w końcu zdecydowała się przyjść do ośrodka, postrzegała siebie jako przedmiot o ograniczonym stopniu użyteczności, który po jakimś czasie można wyrzucić. Wówczas kierowały nią wyłącznie dojmujące poczucie niższej wartości i rozpaczliwa potrzeba dowartościowania.

Gdy siedziała tu teraz ze spuszczonym wzrokiem, sprawiała wrażenie, jakby niespełna dwóch i pół roku, które u nich spędziła, w ogóle nie było. To nie była ta Valentina, którą znali w ośrodku.

– Zaczęło się od snu, Pirjo – odezwała się, wzięwszy się w garść. – Którejś nocy śniło mi się, że nad moim pokojem unosi się anioł o czarnych skrzydłach. Po jakimś czasie przebił się przez dach, przyleciał do mnie i zakrył mi oczy ręką. Paliło mnie mocno, ale nie tak, jakby mi to miało zaszkodzić, w każdym razie dopóki nie poczułam, że muszę się obudzić. Ale po chwili anioł uleciał w powietrze przez dziurę w dachu, nad którym unosiła się gigantyczna hala, oświetlona reflektorami. Czułam się, jakby cały budynek wibrował, gdy anioł w nim zniknął. Jakby miał eksplodować od samej obecności tej istoty. Sekundę potem nagle ściany hali zniknęły i widać było, że jej wnętrze wypełnione jest żółtymi plamami. Wówczas się obudziłam.

Pirjo się uśmiechnęła.

– Okej, to naprawdę wyjątkowy sen. Ale przecież wiesz, Valentino, że odczytywanie snów nie jest moją najmocniejszą stroną. Jestem pewna, że ten sen zostanie lepiej i dokładniej zinterpretowany przez inną osobę z akademii. Odnoszę wrażenie, że jesteś nim przybita, ale ten sen może być całkiem pozytywny. Moim zdaniem nie powinnaś się nim przejmować.

– To nie snem się przejmuję – odpowiedziała, powoli unosząc wzrok, spojrzała Pirjo prosto w oczy. – Opowiedziałam go już kilku osobom i niektórzy uważali, że ten sen mówi wiele o moich własnych problemach, inni natomiast uznali, że ma charakter wskazówki, która

podpowiada mi coś na temat mojego sposobu postępowania i nierozwiązanych konfliktów. Dopiero kiedy rozmawiałam o nim z Shirley, zrozumiałam, że ten sen może być ostrzeżeniem.

Pirjo z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy.

Ach, kiedy rozmawiała z Shirley!

– Teraz już wiem, że sen został wywołany przez konkretne wydarzenie i właśnie to mnie dręczy. Dlatego przyszedłam do ciebie, Pirjo.

– Że ten sen może być ostrzeżeniem? Przed czym, Valentino? Czy w ośrodku zdarzyło się coś szczególnego? Bo jeśli tak, powinniśmy poprosić Atu, by wziął udział w tej rozmowie. Teraz to niemożliwe, bo jest...

– Moim zdaniem Atu nie powinien przy tym być – padła niespodziewanie ostra odpowiedź.

Pirjo przychyliła głowę, nie spuszczając z niej wzroku. Paliły się już wszystkie światełka ostrzegawcze. O co chodzi Valentinie? Skoro Atu nie może uczestniczyć w rozmowie, czyżby chciała coś wynegocjować? Ale czego mogłaby zażądać i w zamian za co?

– Dlaczego tak uważasz? – spytała głosem na tyle autorytatywnym, na ile wymagała tego sytuacja. W akademii nie można było ot, tak wykluczać Atu z czegokolwiek, Valentina powinna to wiedzieć.

Kobieta otarła z grzbietu nosa kropelkę potu i wyprostowała się.

– Shirley nie rozumiała snu. Zauważyłam, że ogólnie rzecz biorąc, ona niewiele rozumie. Ale przypomniała mi o czymś ważnym i uświadomiła, że widziałam coś, co może mieć większe znaczenie, niż początkowo mi się wydawało.

– Valentino, nie wiem, o czym mówisz. Co widziałaś?

– Jak teraz sobie pomyślę, to całkiem sporo – odparła, odrywając wzrok od taksującego spojrzenia Pirjo i wbijając go w ścianę za jej plecami. – Tuż przed tym, jak opowiedziałam sen Shirley, ona opowiedziała mi o przyjaciółce z paskiem, z czasów, kiedy Jeanette musiała nas opuścić. I gdy wtajemniczyła mnie w tę historię, powiedziała coś, co przykuło moją uwagę właśnie dlatego, że dopiero co śniłam ten sen.

– Co takiego powiedziała, Valentino? – uśmiechnęła się Pirjo. Była to jedyna broń, którą w tej chwili dysponowała. Ból w brzuchu pulsował tuż pod powierzchnią, najpierw telefon od Simona Fiskera, teraz to.

– Shirley powiedziała mi coś o swojej przyjaciółce, Wandzie, co ma związek z dniem, w którym Malena trafiła do szpitala.

Pirjo pokręciła głową, lekko unosząc brwi, co miało wyrażać niewiedzę i zdziwienie, dlaczego te dwie sprawy miałyby mieć ze sobą coś wspólnego.

– To bardzo dziwne, że Malena zniknęła w dzień po przyjęciu do szpitala. Przy okazji, wiedziałaś, że była moją bratnią duszą? Owszem, Pirjo. Łączyło nas tyle rzeczy, Malenę i mnie. Więc dlaczego nie dała mi znać, zanim zniknęła? Czasami sobie myślę, że po prostu nie była w stanie.

– Valentino, myślę, że rzeczywiście nie była. Lekarze mówili, że kazała się wypisać i wyjechała, przed czasem. Może była to jakaś trauma porodowa, choć oczywiście trudno tu mówić o prawdziwym porodzie. Nie wiem, Valentino. Ale jaki to ma związek z twoim snem? To ona jest aniołem?

– Początkowo tak myślałam, ale skrzydła były czarne, a skrzydła Maleny nie mogłyby takie być. – Znow spuściła wzrok, ale wciąż był utkwiony w ścianie. – To zdarzało się już wcześniej.

– Co się zdarzało, Valentino?

– Że któreś z nas zniknęło bez ostrzeżenia.

– Tak, niestety. Zapewne myślisz o Claudii? Ale ona się utopiła. Wiemy przecież, że znaleziono ją na wybrzeżu w Polsce. Dopadła ją taka depresja, że nie byliśmy w stanie jej z tego wyciągnąć, choć bardzo się staraliśmy.

– Nie, nie myślę o niej, ale o dziewczynie, która była w tej samej grupie, co ja. Iben Karcher. Taka Niemka, którą Atu bardzo lubił.

– Wiesz co, Valentino, nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Iben była dziwną dziewczyną. Musimy pogodzić się z tym, że ściągają do nas przeróżni ludzie. Możemy dać naszym uczniom spokój ducha i nowe spojrzenie na świat, ale to tyle. Niektórym ludziom nie możemy pomóc, a Iben odeszła z własnej woli.

– Tak mówisz, ja też tak zawsze myślałam, ale ten sen...

Pirjo westchnęła.

– Powiedz, o co chodzi. Co cię trapi, Valentino?

– Shirley wspomniała o epizodzie z paskiem, który Jeanette znalazła na strychu w Stajni Zmysłów. Ten budynek nie jest taki jasny, jak pozostałe, tylko ciemniejszy.

– Yyy, tak. Ale nie rozumiem, do czego zmierzasz. Jest blad różowy, prawda? Biały czy różowy, jakie to ma znaczenie? Jestem już zupełnie zdezorientowana.

– Właśnie w takiej jasnej, czerwonej hali zniknął ten anioł, to dokładnie ta sama, o której śniłam. A aniołem o czarnych skrzydłach byłeś ty, Pirjo. Widziałam cię tego dnia. Zobaczyłam cię na nabrzeżu, jak jechałeś swoim żółtym skuterem do Stajni Zmysłów. To właśnie on zostawił te żółte plamy, gdy ściany we śnie zniknęły. To był ten sam dzień, w którym Malena poroniła, wiem, bo wielu z nas cię szukało, choć trwała godzina medytacji, bo Atu chciał, byś pojechała z Maleną do szpitala. Ucieszyłam się, widząc, że wracasz, bo wiedziałam, że wszystko jest jak należy i Atu odetchnie z ulgą. Potem w sali spotkań tak pięknie wyglądałaś. Czułam, jakby powrócił do nas anioł-zbawca. Od tej chwili wiedziałam, że pomożesz Malenie podczas jej pobytu w szpitalu. W każdym razie tak sądziłam.

– Co masz na myśli, mówiąc, że mnie widziałaś? Chyba nic w tym dziwnego? Doskonale pamiętam ten dzień, Valentino. Czułam się podle i pojechałam do Nordodden, by pomedytować, i mi to pomogło. Potem zaparkowałam skuter w stajni, bo tknęło mnie, że

trzeba by podładować baterię, i to wszystko. I tak, oczywiście, że pomogłam Malenie, gdy była w szpitalu, jak mogłaś pomyśleć inaczej? Przedstawiłam jej, jakie ma możliwości. Mogła albo szybko wrócić do nas, byśmy się nią zaopiekowali, albo po prostu zostać w szpitalu, dopóki nie wydobrzeje.

– Wiesz, Pirjo, co jest dziwne? Teraz dochodzimy do sprawy przyjaciółki Shirley. Bo Shirley powiedziała mi, którego dokładnie dnia ta Wanda wyjechała z Londynu. Dlatego domyśliłam się, że musiała dotrzeć tutaj dokładnie tego samego dnia, gdy Malena poroniła. Tego samego dnia, którego jechałaś na skuterze i byłaś w Stajni Zmysłów. Wiem to na pewno, Pirjo, bo nigdy nie zapomnę tej daty.

Pirjo skinęła głową, robiąc poważną minę.

– Dziwny zbieg okoliczności. – Zacisnęła usta, namyślając się przez chwilę. – Ale przecież nie wiemy, co ta Wanda Phinn tak naprawdę zrobiła. Skłaniam się ku temu, że opowiedziała Shirley bajeczkę i teraz przebywa w...

– Ty byłaś aniołem, hala to była Stajnia Zmysłów, a czarne skrzydła stanowiły znak, że zdarzyło się coś, co nie ujrzało światła dziennego. Mam rację, Pirjo? Mówię ci to, bo zawsze potrafiłaś mnie pocieszyć, gdy tego potrzebowałam.

Pirjo się uśmiechnęła.

– Dziękuję, Valentino, bardzo to cenię. Sama nie wiem, co mam myśleć. To bardzo dziwny sen. Mogę się nad nim zastanowić? Może bym z kimś o nim porozmawiała, bo podobnie jak ty uważam, że jego znaczenia nie można zlekceważyć. Mogę ci powiedzieć, że ja też miałam podobny sen. Ale to nie był anioł, lecz wielki ptak o dwubarwnych skrzydłach. Czerwonych po wewnętrznej stronie, szarych na czubkach.

Valentina spojrzała na nią sceptycznie, mrużąc oczy i unosząc głowę.

– Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o dziwnym zbiegu okoliczności. W noc po poronieniu Maleny rzucałam się na łóżku, śniąc ten sen, i obudziłam się zlnana potem, wszystko pamiętając. Że ten czerwono-szary ptak krakał nad Stajnią Zmysłów, że przeleciał nad naszymi kręgami i zniknął nad wodą. Kiedy opowiedziałaś o swoim śnie i Shirley, przyszło mi do głowy, że kolory ptaka odnosiły się do kolorów tego paska. Jak sądzisz, może tak być? Czy ona mówiła coś, co można nazwać negatywnym napięciem? Energią, która nie współgra z naszą?

Valentina pokręciła głową, zupełnie skołowana.

– Czy historia o przyjaciółce może być wyssana z palca? Jak sądzisz? Przecież tak naprawdę nic o niej nie wiemy, prawda, Valentino?

Znów pokręciła głową, tym razem wolniej.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, Pirjo. Jestem zupełnie zdezorientowana. Przepraszam cię za to wszystko. Chyba po prostu jestem wciąż wzburzona tym, że Malena tak nas wszystkich zawiodła. A gdy przyśnił mi się sen, a Shirley opowiedziała mi o tej Wandzie, która...

Pirjo wstała, obeszła biurko i uspokajającym gestem dotknęła dłonią ramienia Valentyny. Kobieta drżała.

Gdy już wyszła z gabinetu, Pirjo usiadła ciężko, przytrzymując się biurka. Dłonie miała zaciśnięte.

Jeśli policja w Danii do nich dotrze, a na pewno tak będzie, to tylko kwestia czasu, wówczas nawet najmniejszy drobiazg w akademii nie może budzić ich wątpliwości, że wszystko, co się dzieje w ośrodku, wynika z czystości ducha i refleksji etycznych. Że ludzie, którzy nim kierują, ona sama, Atu i ich najbliżsi pomocnicy, nie tylko teraz, ale zawsze pracowali dla dobra ludzi. Pod żadnym pozorem nie może im nawet zaświtać myśl, że ktokolwiek z nich, nawet w odległej przeszłości, mógł przyłożyć rękę do krzywdy jakiegokolwiek człowieka.

I właśnie z tego powodu ani Shirley, ani Valentina nie mogą być na miejscu, gdy przyjedzie policja. Choćby nie wiadomo co.

Wyprostowała się i w pociesycielskim geście położyła ręce na swym ciężowym brzuchu.

– Mama czuwa nad tobą i tatą, kochanie, przyrzekam – powiedziała. – Nie zbliży się do was żaden wróg, już mama tego dopilnuje.

Bo Pirjo wiedziała doskonale, jakie byłyby konsekwencje, gdyby nie dopilnowała. Na jej nos Valentina nie stanowiła realnego problemu, można ją zawsze wysłać za granicę w jakiejś sprawie. Gorzej z Shirley, szczególnie jeśli wciąż będzie zdobywała przyjaciół i trzymała się swoich teorii i podejrzeń.

Uniosła wzrok, gdy znów rozległo się pukanie do drzwi.

Elektryk, który przyszedł, by zajrzeć do sterowni paneli słonecznych znajdującej się w pomieszczeniu na końcu korytarza, spojrzał na nią zatroskany.

– Nieźle gównie – podsumował i de facto miał ku temu powody, bo sam był za system odpowiedzialny, a sprzęt wciąż obejmowała gwarancja. Już trzeci raz musiał wymieniać falownik. Na podłodze leżały jeszcze narzędzia i mnóstwo kabli z poprzednich napraw.

Wsunął narzędzia pod ławkę przymocowaną do drewnianej ściany, by nikt się o nie nie przewrócił. Do czego w ogóle mógł mu być potrzebny klucz francuski? I gumowy młotek?

– To urządzenie tak naprawdę w ogóle nie powinno stać w tym pomieszczeniu. Wie pani może, dlaczego aż trzy ściany są metalowe?

– Owszem, wiem. W tym pokoju kiedyś mieściła się chłodnia. Wisiały tu na hakach tusze, więc myślę, że metalowe ściany powstały ze względów higienicznych.

Skinął głową.

– Całkiem możliwe, ale powinniśmy je stąd usunąć, bo jakimś dziwnym trafem są uziemione. W każdym razie dzieje się tu coś dziwnego.

– Co jest nie tak ze sprzętem?

Wyjaśnił co nieco na temat instalacji na ścianie. Tkwił w niej jakiś defekt – albo szafka z kablami od wszystkich urządzeń, albo konwertor.

– Przez cały czas odbieramy stąd komunikaty o awarii, zupełnie tego nie rozumiem – powiedział. – W każdym razie konwertor przepuszcza i przesyła przez waszą sieć tyle prądu, że błąd w ogóle nie jest rejestrowany. Oczywiście w taki szary dzień jak dziś, kiedy generowanie prądu nie jest zbyt wysokie, nie jest to największy problem – wskazał na okno dachowe, przez które widać było płynące po niebie ciemne chmury – ale za parę dni pogoda się znacznie poprawi i wtedy pani zobaczy. Obawiam się, że będziemy musieli obmyślić tę instalację od nowa. Muszę pogadać z majstrem.

Odkręcił wieka szafki i konwertora i przyjrzał się ich zawartości, drapiąc się po karku.

– Nie widzę, by coś tu było nie tak. W każdym razie wasze urządzenie produkuje prąd jak szalone, choć słońca w zasadzie nie widać – stwierdził. – Zawsze coś. Ale następują duże wahania napięcia produkowanego prądu. Co nieco tu podreguluję, żeby prąd aż tak nie szalał, ale w żadnym wypadku sami w tym nie grzebiecie.

Jakby ktokolwiek miał wpaść na taki pomysł.

– Nietrudno, by komuś stała się krzywda, jeśli lampa boża na niebie rozkręci się na dobre.

– Co mogłoby się zdarzyć?

– Taaa, dobre pytanie. Słońca i prądu płynącego prosto z urządzenia nie da się wyłączyć, więc co może się zdarzyć? To zależy od tego, ile czasu ktoś zamierza trzymać kable w ręku. – Zaśmiał się.

Pirjo skinęła głową i spojrzała przeciągle na szafki i liczniki. Kto wie, może wtajemniczenie Shirley w tę kwestię to nawet niezły pomysł. Rozwiązałyby to wiele spraw, kiedy człowiek pomyśli, jaka potrafi być niezdarna i nieporadna.

Uśmiechnęła się do siebie, obserwując ciało i silne ręce pracującego fachowca. Spojrzała na miernik, zauważyła wzrost napięcia. Czyli pojawiło się słońce. Stwierdziła, że temperatura też musiała powędrować w górę, patrząc na ciemne plamy, które pojawiły się między łopatkami elektryka.

Przesunęła wzrokiem po plamie ciągnącej się wzdłuż kręgosłupa aż do jego wąskiego pasa.

– Ma pan na sobie wyjątkowy pasek. Gdzie się takie kupuje? – spytała, by skierować rozmowę na inne tory.

Odwrócił się i z uśmiechem chwycił za sprzączkę.

– Ten tu? Znalazłem go w internecie. Podobało mi się, że wygląda jak duży zamek błyskawiczny, odpowiada mojemu poczuciu humoru. Nawiasem mówiąc, prawie całe ubranie i sprzęt do pracy kupuję w sieci.

Pirjo się uśmiechnęła.

Nagle pojawiło się przed nią tyle możliwości.



Dojazd polną drogą do gospodarstwa stanowił duże wyzwanie dla zdezelowanego wozu służbowego, nie mówiąc już o żuchwie Assada, podskakującej w górę i w dół jak niesforne jojo.

Wzdłuż wypełnionych deszczówką głębokich kolein w równych odstępach ustawiono menhiry z wyrytymi napisami runicznymi oraz symbolami celtyckimi i nordyckimi. Tutaj człowiek nie miał wątpliwości, że wkracza do świata równoległego względem rzeczywistości, w której politycy stroją się w cudze piórka, a ludzie łykają każde, nawet najgorsze kłamstwo.

Dlatego samo gospodarstwo zasadniczo rozczarowywało. Składało się z tradycyjnych czterech skrzydeł. Żadnych wikińskich wrót, drewna dębowego czy innych staronordyckich rekwizytów. Tylko tabliczka na bramie sugerowała, że mogą się spodziewać nie do końca zwyczajnych rolników.

„Gród Einherjerów”.

– Cześć, co to znaczy? – spytał Carl jakąś kobietę, przechodząc przez podwórze. Już sporo czasu minęło, odkąd widział kogoś jakby żywcem wziętego z lat siedemdziesiątych: z piersiami nieskrępowanymi biustonoszem pod koszulką i sfilcowanymi, niesfornymi włosami.

– Cześć – uśmiechnęła się i podała im rękę. – Einherjerzy byli wojownikami w Walhalli, którzy bronili bogów przed olbrzymami. Trudno o lepszą nazwę dla nas, bo wszyscy byliśmy żołnierzami lub małżonkami żołnierzy w Afganistanie z bazy Camp Bastion. Przy okazji, mam na imię Gro. Wiedziałam, że przyjedziecie, bo dzwonili z Holistycznej Szkołki Roślin, cokolwiek to jest. Bue, mój mąż, już tu idzie.

Bue był roslym i krzepkim osiłkiem, ale oprócz cienkiego, długiego warkoczyka na brodzie i paru rozległych tatuaży, pnących mu się po ramionach i sięgających na szyję pod postacią płomieni, pod żadnym względem nie spełniał wyobrażeń Carla na temat przywódcy tak zwanego blotlaugu, wspólnoty. Nie nosił ani rogów wikińskich, ani owczych skór, lecz codzienny strój mieszkańca wsi, ogrodniczki kansas i nieodłączne zielone gumki.

– Nie, nie znam osobiście człowieka, o którym mówicie – odrzekł, gdy wyłuszczyli mu cel wizyty. – Ale Søren Mølgård oczywiście opowiadał mi nieco o czasach, gdy przebywał na Bornholmie, na ile pozwalał mu na to zmęczony mózg. Wywnioskowałem w każdym razie, że był to interesujący czas i sam chciałbym być częścią tego wszystkiego, gdyby wówczas pozwalał mi na to wiek. – Roześmiał się i poprowadził ich przez podwórze na zewnątrz gospodarstwa.

Carl się rozejrzał. Trudno było się połapać, jak naładowane symboliką kamienie wzdłuż drogi do gospodarstwa mają się do tej skądinąd zupełnie zwyczajnej części Danii. Wszystko tutaj było wręcz banalnie nudne: beczka na gnojówkę, obornik, poobijane maszyny rolnicze obsługiwane przez mężczyzn, którzy nie przypominali ani Rambo, ani boga piorunów Tora.

– Ci wszyscy ludzie należą do naszej wspólnoty. Nie jesteśmy związani z Forn Sidr, jeśli wiecie, co to takiego, ale zachowujemy zasady asatru, kierując się własnymi zasadami. I choć jestem ich „godim”, przywódcą, to tutaj wszyscy jesteście sobie równi.

Carl próbował się uśmiechnąć, choć nie miał pojęcia, o czym facet mówi.

– Ale organizujecie tutaj blót? – odezwał się Assad.

Mørck obrócił się do niego. On też zaczyna?

Bue skinął głową.

– Tak, cztery razy do roku przy równonocach i przesileniach. Wypijemy sobie wówczas po parę rogów miodu, który sami warzymy. Może chcecie parę butelek?

Carl bardzo ostrożnie skinął głową. Wiedział, czym jest miód pitny; smakował naprawdę paskudnie.

– To zupełnie inna sprawa niż te sikacze, które można kupić w sklepach – ciągnął Bue, jakby czytając Carlowi w myśli. – Widział ktoś z was Sørena? – zawołał do swoich ludzi.

Ktoś wskazał małą zapadającą się chałupę położoną wśród krzewów.

– Z komina unosi się dym, więc jest u siebie, zazwyczaj tam siedzi – wyjaśnił Bue.

Carl skinął głową.

– Ale dlaczego mieszka u was? Przecież nie był w Afganistanie, jak reszta z was, prawda?

– Nie, ale Søren jest ojcem Rolf, który był z nami w Camp Bastion. Rolf był świetnym żołnierzem, ale nie miał farta i był zuchwały. Zabiła go mina-pułapka. Kiedy wróciliśmy do domu, zrozpaczony Søren się do nas zwrócił. Musicie wiedzieć, że jest dość specyficzny.

Assad spojrział na ludzi na polu. Znów zaczęło mżyć, ale zupełnie się tym nie przejmowali.

– Jak rozumiem, wszyscy jesteście byłymi żołnierzami. Ale dlaczego tutaj mieszkacie?

Widać było, że Bue nasłuchiwał się już podobnych pytań.

– Utworzyliśmy blotlaug już w Camp Bastion, więc była to naturalna kolej rzeczy. Wyznaję asatru od dziecka, a tam, w strefie wojny, rytuały stanowiły dla mnie pocieszenie. Widać było, że na co dzień radzę sobie lepiej niż większość, więc nie minęło dużo czasu i spora grupka ludzi odnalazła spokój w tej wierze. Kiedy człowiek stawia czoło ruchowi opierającemu się o tak silne przekonania, jak działalność talibów, to szczerze mówiąc, można się poczuć ubogim, szczególnie tak daleko od domu i w stanie zagrożenia. Dlatego zakotwiczyliśmy się w przeszłości, którą przecież my z Północy posiadamy. Rozumiecie to?

Wskazał na deski prowadzące przez bagnisty rów do rudery Sørena Mølgårda, po czym zwrócił się do Carla:

– Jestem przekonany, że bez tej wiary i wspólnoty niektórzy z nas nigdy nie wróciliby do domu, w każdym razie nie w jednym kawałku. Teraz tworzymy rodzinę, a rodzina wyznawców asatru rośnie w siłę w całym kraju. Za parę dni będę mówić o tym w Radio24syv. Czuję, że należy pan do tej części duńskiego społeczeństwa, która ma kłopot z takimi jak my, więc może zechce pan wziąć udział w audycji. Wówczas ludzie dzwoniący do studia będą mogli zapytać pana o zdanie, pan też może ich o coś spytać. Może się panu poszczęści i zgłosi się ktoś, kto pomoże panu odszukać tego człowieka, gdyby Sørenowi się nie udało.

– Ach, nie sądzę. – Carl grał na zwłokę. Występ w audycji radiowej razem z wyznawcą asatru, by zdobyć policyjne informacje? Już sobie wyobrażał miny kierownictwa Komendy Głównej, gdyby na to poszedł.

– Czyli jesteście żołnierzami zawodowymi? – skonstatował Assad.

– Tak, większość z nas. Ja byłem kapitanem, jest tu też paru innych oficerów, choć większość w gospodarstwie to starsi szeregowi.

– Kapitan! Domyślałem się, że musiał pan znajdować się w wielu punktach zapalnych? – wydedukował Assad.

Bue skinął głową.

– Tak, zgadza się – posłał mu przyjazny uśmiech, ale nagle na jego czole pojawiła się bruzda, jakby widok Assada z czymś mu się kojarzył.

Assad spojrzał na dom Sørena Mølgårda.

– Stoi w oknie i się nam przygląda. Uprzedził go pan o naszej wizycie?

– Nie, niestety nie zdążyłem, przepraszam.

Carl najprawdopodobniej jednak wolałby, by czerwonoooki, aż nadto zrelaksowany Søren Mølgård został uprzedzony o ich przyjeździe. W każdym razie Mølgård doznał znacznie większego szoku, niżby się można spodziewać, gdy Bue przedstawił ich jako detektywów z Komendy Głównej w Kopenhadze.

Wyraźnie zażenowany całą sytuacją, rozejrzał się po swej małej, śmierzdzącej haszem izdebce o niskim sklepieniu, zapewne sprawdzając, czy gdzieś na widoku nie leżą narkotyki.

– Widzę, że od czasu do czasu lubi pan sobie zapalić skręta – stwierdził Carl oschle. Trzeba wywabić bestię z klatki.

– Tak, ale nimi nie handluję, jeśli to właśnie podejrzewacie. Uprawiam sobie trochę za domem, z tym że nie tak dużo, by...

– Hej, Søren, spokojnie – wtrącił się Bue. – Oni nie są z wydziału narkotykowego, tylko z wydziału zabójstw w Kopenhadze.

Wprawdzie facet sprawiał wrażenie niezbyt przytomnego, będąc pod potężnym wpływem własnych upraw, ale słowa „wydział zabójstw” przyprawiły go niemal o zawał serca. Jak się człowiek zastanowi, nic w tym dziwnego.

– Z wydziału zabójstw? – spojrzął przed siebie i kiwnął głową, jakby w olśnieniu. Jego twarz przybrała poważny wyraz. – Chodzi o Rolfa? – spytał z drżącymi ustami. – Zabił go ktoś ze swoich?

Carl zmarszczył czoło. Facet nie ma kontaktu z rzeczywistością.

Poprosili go, by usiadł, i wyjaśnili, z czym przychodzą, co wcale go nie uspokoiło.

– Nie rozumiem. Nie znam nikogo o imieniu Alberte, oprócz tej piosenkarki. Dlaczego mnie o to pytacie?

– Pytaliśmy też, czy wie pan, gdzie dziś przebywa i co porabia Frank.

Zwrócił twarz do Buego i wzruszył ramionami.

– Dziś chyba nie wyjdę na pole. Mam coś z płucami, rozumiesz.

– W porządku, Søren, ale może odpowiedz na pytania policjantów.

Wyglądał na zdezorientowanego.

– O Franka? Tak, tak miał na imię. I chyba był dupkiem, choć jeszcze nie zdecydowałem.

– Co ma pan na myśli? – Carl skinął do Assada, który dał mu sygnał, że notes już czeka.

– O wszystkim musiał decydować, nie odpowiadało mi to, więc nawiałem.

– Kiedy pan nawiał?

– Kiedy wróciliśmy na Zelandię. On chciał pojechać do Norwegii lub Szwecji, żeby robić coś, co przyniosłoby mu pieniądze. Taki jakby ośrodek szkoleniowy. Wyobrażacie sobie? Ja gdzieś w lesie albo na pustkowiu? Ha!

– Ośrodek szkoleniowy? Jak to rozumieć?

– Takie miejsce, gdzie mógłby o wszystkim decydować.

– Wie pan, jak się teraz nazywa i gdzie się osiedlił?

Pokręcił głową i spojrzął na sreberko i papierosy leżące na biurku.

– Myśli pan, że pamięć się panu poprawi po skręceniu jointa i paru sztachach? – spytał Assad, ale Bue pokręcił głową. Widocznie na to nie powinni liczyć.

– Frank interesował się wyłącznie sobą – stwierdził starzec. – Wszystko inne miał w dupie.

– Kobiety też?

Mężczyzna westchnął głęboko. Widać uważał, że to wystarczy za odpowiedź.

– Był w związku z którąś z dziewczyn na wyspie, pamięta pan?

– W związku?! – zachichotał. – On je wszystkie posuwał, ze związkami nie miało to nic wspólnego. Tak to wyglądało.

– Pamięta pan jakieś imiona?

Zmrużył oczy. Trudno było zgadnąć, czy się zastanawia, czy po prostu marzy, by zapalić i pogrążyć się w krainie marzeń.

– Miały różne główniane imiona – wybełkotał, po czym odleciał.

– Cóż, przykro mi – powiedział Bue, podając im na pożegnanie plastikowe butelki po napojach gazowanych wypełnione złotobrazowym trunkiem. – Był to jeden z nielicznych momentów,

kiedy slyszalem, by Soren udzielił odpowiedzi na choć niektóre z zadawanych mu pytań. Najprawdopodobniej ma ciężkie uszkodzenie mózgu. Zastanawialiśmy się, czy to od tych wszystkich jointów, czy innego dziadostwa, którego używa, i skłaniamy się ku temu drugiemu. Po prostu większość jego szarych komórek przestała działać.

Carl skinął głową. Z jakiegoś powodu słowa o niedziałających szarych komórkach skojarzyły mu się z Sammym i Ronnym. Pogrzeb już przecież jutro. Czeka ich długa jazda do jego rodziny w Vandsyssel i do profesora, który dawno temu uczył Franka.

– Serdecznie zapraszam do wzięcia udziału w moim programie radiowym, jeśli ma pan ochotę – dodał olbrzym. – Może trafi pan na jakiś ślad. Zdziwiłbym się, gdyby choć jedna osoba nie znała odpowiedzi na pańskie pytanie.

Sobota 10 maja 2014

W pierwszym rzędzie siedziały dwie zapłakane kobiety. Nie żona Ronny'ego, bo tej w ogóle nie było na miejscu, ani jego siostra, ani nawet dziewczyna z sąsiedniego gospodarstwa, która całe życie z jakiegoś niezrozumiałego powodu marzyła, by należeć do Carla. Obie panie w regularnych odstępach czasu spoglądały na trumnę i równie regularnie i mechanicznie brały chusteczki z kolan i ocierały oczy.

– Kto to w ogóle jest? – pytał Carl ludzi z ławek przed sobą, z boku i z tyłu, ale nikt nie wiedział. Wiadomo było tylko, że w kościele nikt poza tym nie płakał, ani podczas psalmu, ani nielicznych, za to osobliwie zestawionych, sentymentalnych zdań o czasie spędzonym z Ronnym, który bezpowrotnie minął, a które pastor przeczytał zgodnie z zapisem testamentowym poczynionym przez samego Ronny'ego.

– To płaczki – odparł szeptem Assad. – Sam o to zapytałem. Zaciekawilo mnie, że siedzą w pierwszym rzędzie.

Carl zmarszczył czoło. Płaczki?

– Tak. Powiedziały, że w testamencie Ronny'ego widnieje zapis, żeby wynająć kogoś, kto będzie płakał w kościele. Napisał, że tak to powinno być. No to są.

Carl skinął głową i spojrzał na trumnę. Była czerwono-brązowa, egzotyczna i na pewno w cholerę ciężka. Przykryta kwiatami tylko do połowy. W przejściu też żadnych kwiatów. Dwadzieścia parę osób w kościele, w tym dwie wynajęte i jedna towarzysząca Carlowi.

„Wynajęcie płaczek to przejaw iście starotestamentowej staranności” – rozmyślał Carl. „Dobrze to wymyśliłeś, Ronny, bo kto inny miałby po tobie płakać? Sam twierdziłeś, że zabiłeś swego ojca. Przez całe życie wszystkich miałaś za nic. Oszukiwałeś, kłamałeś i wpędzałeś ludzi w kłopoty, więc kto miałby płakać? Twoja matka? Ona również od dawna nie żyje, czyżby to też twoja sprawka? Może twój strzaskany na brąz brat z martwicą mózgu, który myśli tylko o tym, jaką korzyść przyniesie mu ta cała szopka? Inni członkowie rodziny? Nie, słusznie postąpiłeś, zatrudniając płaczki, Ronny. Dobrze pomyślane. Należą ci się słowa uznania”.

Carl siedział przez chwilę, wpatrując się przed siebie. Organista zmienił rejestr i uderzył w donośniejsze tony, co natychmiast przełożyło się na dokonania płaczek.

A gdyby kiedyś stanęła tu jego trumna? Kto by płakał? Jego zobojętniały przybrany syn Jesper? Była partnerka Mona? Ekszona Vigga? Rodzice, którzy zapewne zmarliby przed nim?

Nie, prawda? A może jego pozbawiony jakichkolwiek uczuć starszy brat z którąś ze swoich pańienek? Raczej nie.

Może Hardy? Gdyby jeszcze żył i ktoś wyświadczyłby mu przysługę, załatwiając transport, może on by przyjechał? Może chociaż on wyraziłby coś w rodzaju smutku? Najprawdopodobniej również Morten. Na sam widok trumny zaniósłby się głośnym łkaniem i ocierałby czerwone oczy. Z drugiej strony reagował tak również na widok puszystego kociaka lizanego przez szczeniaka na YouTube, więc w pewien sposób to się nie do końca liczyło.

No i oczywiście Assad.

Spojrzał na kolegę, który z ufnością próbował włączyć się do pieśni. Poruszony tym Carl położył odruchowo rękę na ramieniu swego towarzysza i poklepał go ostrożnie. Tak, może tylko on przyszedłby na jego pogrzeb.

Assad właśnie przerwał próby.

– Co tam, Carl, czemu klepiesz mnie po ramieniu? Chcesz coś powiedzieć? – wyszeptał.

Mørck poczuł, że się uśmiecha. Powiedział już to, co mógł i chciał.

To właśnie w restauracji Hedelund Carl wygłosił swoją pierwszą i jedyną przemowę. Tuż po confirmacji, jakże rozmijając się z określeniem „prawie dorosły”, z włosami ułożonymi wielkim wysiłkiem i brylantyną, drżącym głosem zwrócił się do rodziców i podziękował im za przyjęcie i magnetofon. Uśmiechnęli się, matka nawet uroniła łzę i na tym się skończyło.

Dziś, po wielu latach, tego szarego dnia siedzieli w tym samym lokalu przy kanapkach leżących na półmiskach i alkoholem *ad libitum*, udając, że czas wcale nie upłynął, a okazja nie jest odstręczająca.

Ronny’ego zawieziono już do krematorium, zapewne z zastrzeżeniem, że z Ronnym nigdy nic nie wiadomo, nieważne, żywym czy martwym.

Carl rozejrzał się po zgromadzonych. Którego z nich upatrzył sobie Ronny, by zdetonować bombę? Kto za chwilę wstanie, by z kartką w dłoni odczytać na głos przebiegłe oskarżenie przeciwko tym, którzy zostali? Kiedy ten pomiot będzie śmiać się do rozpuku ze swojej siedziby w zaświatach, gdy ktoś z rodziny, najprawdopodobniej Carl, znajdzie się pod pręgierzem?

– Bardzo sympatyczny młody człowiek z tego twojego nowego kolegi – oświadczyła później jego matka, ruchem głowy wskazując Assada wciśniętego między ciotkę Addę i jej równie leciwą przyjaciółkę. – Mówisz, że nazywa się Assad? Czy to nie dziwne, wzięwszy pod uwagę to, co się dzieje w Syrii?

Carl pokręcił głową.

– Mamo, z tego, co wiem, to bardzo popularne imię na Bliskim Wschodzie. Ale to prawda, jest w porządku. Pracujemy razem już od... – policzył na palcach – ...od prawie siedmiu lat.

Ze wszystkich stron kiwano głowami. Siedem lat to szmat czasu nawet w Vendsyssel, więc Assad faktycznie musiał być w porządku. Dlatego nikt nie nawiązywał do jego pochodzenia ani koloru skóry, choć wielu korciło takie posunięcie. Ale tacy są mieszkańcy tego zakątka, nadzwyczaj powściągliwi.

Gdy otwarto pierwsze piwo, wstał jeden z kuzynów matki Carla. W żadnym razie nie należał do znajomych Ronny'ego, więc zapewne zaproszono go tylko dlatego, by robił sztuczny tłok.

– Adwokat rodziny zobowiązał mnie do odczytania krótkiego pisma dołączonego do testamentu Ronny'ego.

Więc jednak. Jakżeby inaczej.

Rozerwał kopertę.

– Jest naprawdę krótkie. Ronny zapewne nie zamierzał nam zanadto przeszkadzać w tej skądinąd świetnej fecie. Może wzniesmy toast i podziękujmy obsłudze Hedelund za wyśmienitą ucztę oraz wypijmy za Ronny'ego, który z tej okazji wykazał się szczodrością.

Większość ludzi zaśmiała się uprzejmie i wzniosła toast. Carl nie.

– Ronny pisze tak:

*Drodzy przyjaciele i rodzinno. Chciałbym ze swojej świeżo zasiedlonej świątyni buddyjskiej podziękować za waszą obecność. Zawsze byłem facetem uwielbiającym imprezki, więc kieliszki w dłoń i wzniescie toast.*

Nastąpiła krótka pauza. Nieco za krótka, by zastosować się do tego życzenia.

*Jak zapewne niektórzy z was wiedzą, z całego serca nienawidziłem swego ojca. Każde słowo, które padło z jego ust, potwierdzało tylko, że jego bliskim lepiej by się wiodło, gdyby wylądował prosto w piekle.*

Ludzie zaczęli kręcić się na krzesłach, szczególnie ojciec Carla, który dźgał widelcem obrus, nie odrywając wzroku od czytającego.

*Ktoś może pomyśleć, że to pobożne życzenie. Ale chciałbym się pochwalić, że osobiście dopilnowałem, by tak właśnie się stało. Owszem, zabiłem go: powiedzmy to sobie wprost w naszym zamkniętym gronie.*

– Nie czytaj tego draństwa! – zawołał ojciec Carla, podczas gdy reszta zgromadzonych wyraziła niezadowolenie mamrotaniem i utyskiwaniem.

– Wysłuchajmy do końca! – odezwał się głos z innej strony. Należał do Sammy'ego, brata Ronny'ego, który uniósł się z krzesła. – Cholera, mam prawo się dowiedzieć, o co w tym chodzi. To był też mój ojciec!



– Cóż, w takim razie chyba będę kontynuował – odparł nerwowo krewniak, spoglądając na ojca Carla. – Dobrze, Gunnar? Skoro Sammy o to prosi.

Oczy wszystkich spoczęły na starszym mężczyźnie. Człowieku wsi, twardym i steranym, ale wciąż wyprostowanym i nieugiętym. Carl zobaczył, że jego starszy brat kładzie rękę na zaciśniętej pięści ojca – gest, na który on sam nigdy by się nie odważył. Ale też ci dwaj mężczyźni, siedzący u szczytu stołu, byli ulepieni z tej samej gliny, hodowca norek i rolnik, który nigdy nie prosił nikogo o przysługę, a i sam nimi nie szastał. Uroczy alians.

Carl szykował się do walki. Za chwilę nastrój zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni i Carl znajdzie się na celowniku. Do tego nie trzeba było intuicji, po prostu to wiedział.

– Czytam dalej – powiedział krewniak. – Ronny pisze tak:

*W testamencie opisałem dokładnie okoliczności, więc nie będę was tym męczył, ale z całego serca chciałem podziękować mojemu kuzynowi Carlowi za to...*

Wiedział, że tak będzie. Teraz wszystkie oczy skierowały się na niego.

*...że byłem w stanie usunąć tatuśka z gry. Z tego samego powodu chciałbym prosić was wszystkich o wzniesienie toastu za Carla. Jestem przekonany, że ciocia Tove zatroszczyła się, by był tutaj w takim dniu jak ten. Bo Carl wyświadczył mi w życiu dużą przysługę.*

Carl pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia, do czego on nawiązuje. Miał guza mózgu czy jak?

– Jest tam coś jeszcze? – krzyknął Sammy.

– Tak, już czytam – odparł czytający i podjął:

*Carl był moim najlepszym przyjacielem. Nauczył mnie karate, więc wiedziałem dokładnie, jak i gdzie mam unieruchomić ojca jednym ciosem tak, żeby nie było tego widać. Zostawiłem go miotającego się w strumieniu, to było bardzo proste. Carl odwrócił głowę, za co mu dziękuję. Właśnie z tego względu zapisuję mu wszystko, co zostanie po tym, jak moja żona odbierze to, co jej się należy.*

Na chwilę temperatura w pomieszczeniu spadła znacznie poniżej zera. Nikt nie odchrząkiwał, nie było słychać niczyjego oddechu. Była to nieprzyjemna cisza przed burzą. Tornado wokół niego już się rozpętywało. Za chwilę nie znajdzie się bynajmniej w oku cyklonu, lecz poczuje, jak ze zdwojoną mocą uderzą w niego piekielne moce. Ani myślał na to czekać.

– To totalna bzdura i straszne świństwo! – zawołał, przesuwając wzrokiem po szokowanych, ogorzałych twarzach wujków, ciotek i osób, o których nie miał pojęcia, kim są.  
– Pamiętam tamte wydarzenia, jakby to było wczoraj. To oczywiste, bo dla nas wszystkich był

to naprawdę smutny dzień. Nic nie widziałem, bo pędziłem już do dwóch uroczych dziewczyn, które stały z rowerami przy drodze. Od niczego się nie odwracałem, w ogóle nie patrzyłem w tamtą stronę. Jestem tym zszokowany w równym stopniu, co wy.

– Czekajcie! – krzyknął krewniak. – Jest coś jeszcze:

*A jeśli Carl twierdzi coś innego, to kłamie. Mieliśmy w tym taki sam udział, co zresztą będzie wynikało z pamiętników, które wysłałem do kilku sporych wydawnictw.*

Carl opadł z powrotem na krzesło. Czysty nokaut. Jak w ogóle można bronić się przed słowami nieboszczyka? I jakie będą konsekwencje, jeśli temu nie sprostą? Rodzina odwróci się do niego plecami, z tym jakoś można żyć. Ale taka publikacja zniszczy jego karierę, a co gorsza – naznaczy go na zawsze. Człowiek, który wstąpił do policji, będąc współwinnym morderstwa. Detektyw ani o jotę lepszy niż ci, których wsadził za kraty.

– Chodź – usłyszał za plecami.

Carl spojrział w górę i zobaczył Assada, ładnie uczesanego i ubranego w czarną marynarkę. Ostrożnie pociągnął za krzesło kolegi.

– Chodź, Carl, idziemy. Nie musisz tego słuchać.

Ale w momencie, gdy Mørck odsunął krzesło i wstał, bezwzględny brat Ronny'ego rzucił się do niego i staranował go bokiem. Od uderzenia masywnego ramienia Carlowi aż żebra zaklekotały. Cios pięścią o wytatuowanych palcach padł od dołu i trafił go prosto w żuchwę. I gdy nieco zamroczony osunął się do tyłu, poczuł za plecami rękę, która chroniła go przed upadkiem, i drugą, która świsnęła mu koło ucha i trafiła Sammy'ego w strzaskane na brąz czoło z dźwiękiem, którego ot, tak się nie zapomina.

Słyszał za plecami odgłosy niezadowolenia i krzyki, kiedy Assad włókł go za rzędem krzesel, podczas gdy pod półprzytomnym Sammym załamał się stół, z którego zastawa spadła na podłogę.

W ciągu kilka sekund w lokalu zapanowała szalona wrzawa. Czego innego miałyby się spodziewać?

– Co teraz, Carl? – spytał Assad, jadąc po Bredgade i mijając kościół, w którym odbyła się konfirmacja Carla i nabożeństwo pogrzebowe Ronny'ego.

– Nie mogę tak po prostu wyjechać. Muszę porozmawiać o tym z bratem albo z rodzicami. Nie mogę pozwolić na to, by podejrzenia zaczęły się rozprzestrzeniać w niekontrolowany sposób.

Na rondzie na Aalborgvejen wskazał szosę prowadzącą na północ.

– Jak miniesz szpital dla nerwowo chorych po prawej, skręć w pierwszą ulicę w lewo. Nie jedziemy prosto do gospodarstwa. Poczekamy sobie na polnej drodze, żebym sam mógł zdecydować, co chcę zrobić, gdy nadjadą pozostali.

Spojrzał ze smutkiem w stronę gospodarstwa, gdy Assad zatrzymał się na poboczu. Tu się wychował, tu się ukształtował. Stąd wywodzi się jego poczucie sprawiedliwości i chęć walki z niegodziwością. Tu wbił sobie widły w udo i tu wpoił bratu, że najmłodszy wcale nie musi oznaczać najsłabszego. Tu dostał swego pierwszego psa i tu ojciec go zastrzelił.

Tu doznał pierwszego orgazmu na balotach słomy ze starym numerem „Variete” na kolanach.

Johannegården. Tam zaczął się jego świat.

Czekali w milczeniu przez pół godziny, zanim w lusterku wstecznym zobaczyli fontanny wody wzbite przez pędzącą przez kałuże terenówkę.

– Idę o zakład, że mnie miną – powiedział, wysiadając z samochodu i stając pośrodku drogi.

Słyszał ostrzegawcze okrzyki Assada, gdy wyciągnął rękę w stronę nadciągającego pojazdu rodziców. Słyszał też złorzeczenia płynące z ich kabiny, gdy auto w końcu zatrzymało się o parę centymetrów od jego pischeli.

Udał natomiast, że nie słyszy prośb matki, by wracał do siebie, gdy gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy. Po prostu nie miał takiego zamiaru.

– Powiem krótko, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Nie mam nic wspólnego z tym, co Ronny sugeruje w tym swoim ohydny liście. Jestem równie wzburzony jak wy, przede wszystkim z tego powodu, że kochałem jego ojca bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. Dlatego powiem teraz, jak było i jest, skoro zmusiła mnie do tego sytuacja. Birger Mørck wpoił mi więcej wiary i szacunku do siebie niż wy i za to kochałem go i szanowałem. Twój brat był wesołym człowiekiem, który znał się na ludziach, tato. Mogłeś się tego od niego nauczyć. Pewnie wówczas nasze stosunki nie byłyby tak dziwaczne, jak są teraz.

– Zawsze taki byłeś – odparł jego ojciec drwiącym głosem. – Zawsze na przekór, nikt nie mógł ci nic nakazać. Zawsze tylko chciałeś prowokować.

Carl powstrzymał się z kolejnym wybuchem.

– Tylko dlaczego? – powiedział tak cicho, że prawie nie było go słychać. – Dlaczego, tato? Czy to nie jasne? Bo nie otworzyłeś przede mną drogi do samodzielności. Zrobił to stryj Birger i ciągle go oplakuję. To moja forma obrony. I jeśli w ogóle masz w sobie choćby krztę zdrowego rozsądku, to powinieneś mi odpuścić.

– Kosiłeś łąkę, choć ci zabroniłem, biłeś się z bratem, odrzuciłeś propozycję prowadzenia gospodarstwa.

Carl skinął głową.

– A uważasz, że mój braciszek Bent tego nie zrobił? Pamiętaj, że hodowca nerek z Frederikshavn raczej nie zostanie gospodarzem w Brønderslev. A jeśli sądzisz, że mój starszy brat jest gotów objąć po tobie schedę, jak już wyciągniesz kopyta, to moim zdaniem powinieneś się z nim o tym rozmówić, zanim mama zostanie sama z tym problemem.

Dlaczego wtedy miałem je przejąć? Pytałeś mnie o to kiedykolwiek? Może mnie poprosiłeś? Z tego, co mi wiadomo, to nie.

– Pytałem po swoim, rozumiesz? Akurat policjant powinien się domyślić.

– Jedzie ten brat Ronny’ego! – krzyknął Assad z auta.

Carl spojrział na drogę. Pikap najklasycyniejszy z możliwych. Wszędzie światła przeciwmgielne, szerokie opony i zatrzęsienie chromu na starym rzęchu, którego można kupić za mniej niż połowę pieniędzy, jakie wyłożył na wyposażenie dodatkowe. Kompleks niższości pełną gębą.

– Mamo, zadzwonię. – Zatrzasnął drzwi. Jeśli się pospieszą, dadzą radę wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i pognać do Serritslev, nim Sammy zajedzie im drogę.

Wówczas zdarzyło się coś dziwnego. Jakies pięćdziesiąt metrów od nich Sammy zahamował tak ostro, że woda zachlapała mu dach, wyskoczył z wozu i wrzasnął najgłośniej, jak potrafił:

– Ha, ha, Ronny nic nie miał! Wszystko zapisane na żonę, więc ty, Carl, gównie odziedziczysz! Jedź sobie do tej swojej zaszranego Kopenhagi i żałuj, ty paskudny psie.

Zaniósł się rechetem, zginając się wpół, i o mało nie upadł na pobocze.

Gdyby Carl miał siłę, aresztowałby go za jazdę pod wpływem alkoholu.

– To było bardzo dziwne. Twój tata cię podejrzewał! Wiesz, dlaczego? – spytał Assad.

– Obawiam się, że zawsze mnie podejrzewał. Może czasem tak po prostu łatwiej?

Assad długo kiwał głową, ale się nie odezwał.

– Tu skręcamy – powiedział Carl, dziwiąc się, jak gładko przebiega podróż. Assad ani razu nie okazał niepewności, ani razu nie zahamował w niewłaściwym miejscu, nie zmienił biegu w nieodpowiedni sposób.

– Powiedz mi, Assad, wykupiłeś sobie ostatnio lekcje jazdy?

– Wielkie dzięki za komplement – odparł z uśmiechem.

Komplement?! Kolejne słowo, którego Carl jeszcze nigdy nie słyszał z jego ust.

Sobota 10 maja 2014

Gdy Shirley zwierzyła się Valentinie, a ta odwzajemniła się opowieścią o swoim śnie, oddaliły się od siebie, zdecydowanie wbrew woli Shirley.

– Możemy się spotkać wieczorem i pogadać? – nagabywała Valentinę w kolejnych dniach, ale gdy kilka razy została spławiona, pojęła przekaz.

Sen Valentyny zrobił na niej wrażenie; zaczęła spoglądać na parapet, gdzie leżał pasek Wandy, z nową, silniejszą podejrzliwością. Czy to naprawdę niemożliwe, by pasek należał do Wandy? Podczas ich ostatniej rozmowy Valentina wspominała o innych epizodach w Akademii Absorpcji Natury, które wydawały się podejrzone i nienaturalne.

I dlaczego Valentina tak nagle się od niej odsunęła? W oczach Shirley do tej raptownej zmiany ktoś się przyczynił.

Czyżby rozmawiała z Pirjo? Czy to naprawdę możliwe po tym, jak Valentina miała sen, który oskarżał właśnie ją? I skoro wszystko, co wiązało się ze zniknięciem Maleny, tak bardzo ją absorbowало?

Czyżby Valentina i Pirjo coś razem knuły? Shirley skłaniała się ku takiemu przekonaniu, odkąd Valentina nagle zapragnęła siedzieć w przeciwnej części sali, jak najdalej od niej i dokładnie w miejscu, gdzie do pomieszczenia wchodziła Pirjo.

Relacja nawiązana przez te dwie kobiety wydawała się zaskakująco intensywna i znacznie wykraczała poza normalne układy między prawą ręką Atu a szeregowymi wyznawcami.

Jednocześnie Shirley czuła, że Pirjo patrzy na nią inaczej, gdy ich drogi się krzyżowały. To spojrzenie rejestrowało, ale nie szukało kontaktu. Pirjo w ogóle z nią nie rozmawiała. Potrafiła kiwnąć głową, a czasem nawet zamarkować uśmiech, ale na tym koniec.

Shirley wielokrotnie zastanawiała się, czy powinna o tym porozmawiać z Atu, ale przecież wszystkie tego typu inicjatywy przechodziły przez Pirjo, więc jak to zrobić?

Czasem bała się, że Pirjo źle jej życzy. A gdyby tak było, Shirley nie mogłaby zostać w Akademii Absorpcji Natury.

Dlatego znajdowała się w potrzasku. Bo bez względu na swoją obecną sytuację i środki, jakie podejmie Pirjo, by zaznaczyć swoją pozycję, chciała za wszelką cenę pozostać w ośrodku. Co innego miałyby zrobić ze swoim życiem?

Wracać do Londynu, do swojego bezrobocia, mizernych warunków mieszkaniowych, dawnych nawyków i złych przyzwyczajzeń, przypadkowego seksu z obcymi mężczyznami, z którymi nawet nie miała ochoty się budzić? Nie, wykluczone. Za żadne skarby. Czy ktoś

w ogóle płakałby, gdyby nie wróciła? Nie, też nie. Właściwie oprócz rodziców nie przyszła jej do głowy ani jedna osoba, która w ogóle mogłaby zauważyć jej nieobecność. A gdyby miała spojrzeć prawdzie w oczy, przyznałaby, że nawet jej rodzice nie chcieli mieć z nią do czynienia, wyrazili to dość dobitnie. Podczas pobytu w ośrodku pisała do nich co najmniej dziesięć razy i jedyną odpowiedzią była pocztówka, w której krótko i konkretnie informowali ją, że ma do nich nie pisać, dopóki przebywa w tym bezbożnym miejscu.

Podjąwszy tę decyzję, Shirley próbowała pochwycić spojrzenie Pirjo przy sobotnim spotkaniu, tak by tamta zrozumiała, że muszą porozmawiać. Na chwilę jej się udało, gdy Pirjo spojrzała prosto na nią, nie wykazując niechęci.

Może nawet na sekundę na jej ustach pojawił się pojednawczy uśmiech.

Ale gdy zastygł, ciało Shirley zalała fala chłodu.

Czyżby patrzyła na pajęczycę, która poczuła wibracje swojej pajęczyny?

Dom leżał po drugiej stronie miasta tak blisko brzegu, że nie trzeba było wielkiej zmiany klimatu i podwyższonego poziomu wód, by zabrało go morze. Wyglądał na opuszczony i niezdatny do całorocznego użytkowania, więc nie byłaby to znacząca strata.

– Śmierdzi tu wielbłądzią kupą – brzmiał komentarz Assada na temat tego miejsca.

– To Morze Północne i wodorosty, Assad. Teraz to i tak nic.

Wskazał na zgarbioną postać, która pojawiła się w drzwiach, ze wszystkich sił starając się sprawiać godne wrażenie.

– Johannes Tausen, Assad. Tak wygląda najprawdziwszy profesor emeritus w dziedzinie teologii.

– Emeritus?

– Czyli dawny profesor. Innymi słowy: na emeryturze.

– Przepraszam, że witam się lewą ręką. – Profesor podał im dłoń wykrzywioną i poskręcaną gościem stawowym. W dotyku kojarzyła się z zaciśniętą pięścią. Carl spojrział na drugą rękę; wyglądała jeszcze gorzej, zupełnie nie nadawała się do użytku. Na ten widok aż ścisnęło się serce.

– Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego oprócz bólu – powiedział mężczyzna, zapraszając ich do środka.

Drżącą ręką nalał im herbaty, pachnącego przyjemnie earl greya, i zasiadł przed nimi, obdarzając ich taką uwagą, jakby zamierzali zgłębiać zagadki wszechświata. A gdy chwilę potem się odezwał, kiedy już wyjaśnili mu, z czym przychodzą, Carl zdał sobie sprawę, że rzeczywiście w tym wypadku w grę wchodzi wszechświat.

– Owszem, wygłosiłem cykl wykładów w ramach Otwartego Uniwersytetu jesienią dziewięćdziesiątego piątego roku, każdy mógł wziąć w nich udział.

– Nosił tytuł „Od gwiazdnych mitów do chrześcijaństwa”, prawda? – spytał Carl.

– Tak, właśnie. Ze względu na bardzo kontrowersyjny temat kurs był wyjątkowo oblegany. W dzisiejszych czasach istnieje wiele różnych opracowań o tych zagadnieniach, więc nie rozpowiada się już o tym na lewo i prawo. Początkowo zainteresowały mnie teorie, które w tamtym czasie wysnuła pewna młoda Amerykanka. Podała w wątpliwość uznane badania, budząc spore kontrowersje w amerykańskim pasie biblijnym. W sumie było to dość odświeżające. Mówiono mi, że na YouTube można znaleźć audycję, która nieco przypomina moje wykłady. Nazywa się „Zeitgeist”, jeśli są panowie zainteresowani. Osobiście jej nie widziałem, bo nie mam tu internetu, ale jakoś sobie radzę.

Podsunał cukierniczkę Assadowi i śledził z uwagą, jak ta powoli pustoszeje.

– W kuchni mam więcej – powiedział głosem pełnym szacunku.

Assad uniósł rękę, uzyskawszy pożądane stężenie.

– Wydaje mi się, że pamiętam człowieka, o którym mowa. Muszą panowie wiedzieć, że choć ten temat nie wywołał wówczas w Danii większego poruszenia, to jednak kurs tego rodzaju zawsze przyciąga wielu wątpiących, ale nie tylko. Taki temat potrafi szybko stać się dogmatyczny sam w sobie. Sądzę, że tak właśnie mogło się stać w wypadku tej młodej kobiety, o której mówiłem, i niestety również Franka.

– Pamięta pan jego nazwisko?

Uśmiechnął się.

– Niech się pan cieszy, że w ogóle pamiętam imię. Nie, nie posługiwaliśmy się nazwiskami. Oczywiście miałem je na liście studentów, ale do niej nie zaglądałem.

– Lista? Ma pan ją jeszcze?

– O, nie. Nie mam w zwyczaju przechowywać papierów.

– Myśli pan, że Otwarty Uniwersytet zachowuje listy?

– Na pewno nie. Jeśli przechowują je dziesięć lat, to cud. Powiedziałbym, że wyrzucają je wcześniej, pewnie po pięciu latach.

– Mówi coś panu nazwisko Frank Skotte?

– Skotte? – zastanowił się chwilę. – Nie, nie Skotte. Tak właśnie miałyby się nazywać?

Carl wzruszył ramionami.

– Tylko takie nazwisko słyszeliśmy. Ale w Danii nie ma nikogo o nazwisku Frank Skotte.

Profesor się uśmiechnął.

– Cóż, czyli musi być błędne.

Carl pokiwał głową. Logiczne.

– Jaki on był, pamięta pan?

– Tak, pamiętam, bo ów Frank był inny niż większość. Myślę, że spokojnie mogę powiedzieć, że dla niego kurs był przebudzeniem, jeśli dobrze pamiętam. I zapewne z tego właśnie powodu był najbardziej dociekliwym studentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Takich się nie zapomina, bo my, wykładowcy, lubimy mieć z kim poodbijać piłeczkę.

– Czy to ten? – spytał Assad, podając mu zdjęcie mężczyzny z volkswagenem ogórkiem.

Profesor zmrużył oczy, jeszcze zanim sięgnął na stół po okulary i włożył je na nos.

– Tak, minęło już ponad osiemnaście lat, ale to całkiem możliwe.

Nie popędzali go, kiedy siedział, kiwając głową.

– Tak, to pewnie on. W każdym razie lepiej sobie teraz przypominam tamtego człowieka, więc musi być tego powód. Jak powiedziałem, niewykluczone, że to on.

– Poszukujemy go w związku z wypadkiem na Bornholmie i bylibyśmy bardzo wdzięczni za informacje, które naprowadziłyby nas na jego trop. Co pan pamięta na temat Franka?



Delikatna skóra wokół brwi Johanna Tausena ściągnęła się lekko. Z troską, że powie coś niewłaściwego, co mogłoby bez powodu komuś zaszkodzić; Carl widział to już tysiące razy.

– Proszę po prostu powiedzieć, co przychodzi panu do głowy. Zaręczam, że dokonamy selekcji przekazanych nam informacji – dodał Carl, doskonale wiedząc, że nie da się tego zrobić. Kiedy coś się już powie, nie sposób tego odkręcić.

– Aha. – Profesor kilka razy z trudem przełknął ślinę. – Wydaje mi się, że w którymś momencie mi powiedział, jak moje wykłady zmieniły jego życie. Że po ich wysłuchaniu zyskał jasność, jaka ścieżka została mu wytyczona.

– I jaka?

– Chyba będziemy musieli zrobić krótkie wprowadzenie na temat głównych założeń moich wykładów – stwierdził. – Będą sobie panowie mogli sami wydedukować, co tam chcą. Sporo z tego to nieco zuchwałe interpretacje. Od tamtej pory nie zgłębiałem tego tematu, ale wówczas było zabawnie.

Jego oczy rozbłysły. Może dlatego, że choć raz znów mógł być wykładowcą, a może to, co zamierzał im opowiedzieć, miało dla niego szczególne znaczenie.

– Znacie znaki zodiaku, prawda? Lew, Skorpion, Panna i tak dalej. Dwanaście znaków, z których każdy związany jest z konkretną porą roku, ale też z ruchem ziemi. Znakom zodiaku przypisuje się szczególne znaczenia w horoskopach, trochę taki hokus-pokus moim zdaniem, ale jednak z pewnym odniesieniem do ziemskich realiów, szczególnie w wypadku półkuli północnej. Na przykład Wodnik, który wiosennym deszczem reprezentuje czas urodzaju.

– Ja jestem Lwem – wtrącił Assad. – I co śmieszniejsze, moje imię też znaczy „lew” – dodał.

Profesor się uśmiechnął.

– Wszystkie te astrologiczne, gwiazdne znaki tworzą razem krąg wokół Ziemi zwany zodiakiem lub kręgiem zwierząt. W ciągu roku Słońce porusza się pozornie wokół Ziemi po krzywej zwanej ekliptyką, podążając wzdłuż owego kręgu. A jako że Ziemia się obraca wokół własnej osi, w każdej dobie rozgrywa się również krótki cykl przebiegający pomiędzy czterema punktami: wschodem słońca, zenitem, czyli najwyższą pozycją słońca na niebie, zachodem słońca i nadirem, najniższym punktem. Rozumiecie?

Carl skinął głową; przecież to podstawy.

– Ja to nazywam porankiem, południem, wieczorem i nocą – zauważył oschle.

Profesor się uśmiechnął.

– Z astronomicznego punktu widzenia odpowiada to przesileniu letniemu i zimowemu oraz równonocy wiosennej i zimowej. Jeśli narysuje się dwie osie między zenitem i nadirem oraz wschodem i zachodem, czy w znaczeniu astronomicznym między obydwoma przesileniami

i równonocami, na okręgu przemierzonym przez słońce powstanie krzyż, który na całym świecie nazywany jest krzyżem słonecznym.

Schylił głowę i uniósł brwi. Czyli zapewne za chwilę nastąpi coś w rodzaju puenty.

– Niektórzy nazywają ten krzyż „ukrzyżowanym słońcem”. Takie wyobrażenie można znaleźć wyryte w kamieniach pochodzących z pradawnych czasów. Stanowi to podstawę dla wielu religii i tez, które za punkt wyjścia obierają słońce i gwiazdozbiory.

Nieporadnie wygrzebał pastylkę z paczki cukierków lukrecjowych Gajol i chwilę ją żuł, by nawilżyć wnętrze ust.

– Krótko mówiąc, wiele religii można zdefiniować, wychodząc od historii, do których zachęcają układy ciał niebieskich, i właśnie to stanowiło trzon moich wykładów. Słońce, okrągłe jak sam Zodiak, już od pradawnych czasów dzięki swoim życiodajnym mocom przedstawiano jako Stwórcę i Boga, światło świata i zbawcę człowieka. W licznych religiach światowych znaki zodiaku i słońce stały się podstawą opowieści o słonecznych bóstwach i innych postaciach mitologicznych. W swoich wykładach dowodziłem, że wszystkie te opowieści w przeważającej części są identyczne na przestrzeni wieków, bez względu na religię.

– Egipcjanie mieli boga Horusa – wtrącił Assad.

Starzec skierował w jego stronę sękaty palec.

– Otóż to, przyjacielu, trafia pan w sedno. Trzy tysiące lat przed Chrystusem czczono boga Horusa reprezentującego światło i Seta symbolizującego mrok. Według legendy każdego ranka Horus, dobry bóg, będący światłem, zwycięża wieczną walkę z Setem, który, upraszczając sprawę, jest złym bogiem, ciemnością. W odniesieniu do innych religii mówi się o Bogu i Szatanie i mnóstwu innych przedstawieniach. Ale hieroglify, które nam o tym opowiadają, już piętnaście wieków przed Chrystusem również opisują nad wyraz szczegółowo inne wydarzenia, które was zaskoczą. Wygląda to tak, że podania o z grubsza wszystkich postaciach ze Starego Testamentu już wówczas istniały i były bardzo dokładnie opisane. Na przykład Mojżesz w wiklinowym koszu, który w Egipcie nazywał się Mises, w Indiach nosi miano Manu, na Krecie zaś nazywany jest Minosem. Hieroglify przekazywały też historię o Noem i potopie, o którym można również przeczytać w najstarszym dziele ludzkości, babilońskim *Eposie o Gilgameszu*, dwa tysiące sześćset lat przed Chrystusem. Wyznawcy judaizmu powiedzieliby zapewne, że mają patent na takie opowieści, ale tak się zabawnie składa, jeśli można to tak ująć, że hieroglify opowiadają też wiele historii nowotestamentowych.

– Mówi pan o historii proroka Chrystusa? – zaryzykował Assad. – Że pojawili się Trzej Królowie, gwiazda, która ich prowadziła i tak dalej?

Carla zatkąło. Owszem, jak się dorastało w Vendsyssel, człowiek szybko musiał poznać historie biblijne, ale fakt, że Assad jako muzułmanin też był zorientowany w historii chrześcijaństwa, to jednak coś szczególnego.

Profesor znów uniósł w stronę Assada lewy palec wskazujący. Widać było, że wyrobił sobie ten gest podczas długiego życia w roli wykładowcy.

– Zgadza się! Wspomniany już Horus urodził się z dziewicy dwudziestego piątego grudnia. Jego narodziny przepowiedziała gwiazda na Wschodzie. Złożyło mu hołd trzech królów. Jako dwunastolatek zaczął nauczać, w wieku trzydziestu lat przyjął chrzest, potem zyskał dwunastu uczniów czy, można powiedzieć, apostołów, z którymi podróżował i czynił cuda. Został zdradzony przez Tyfona, ukrzyżowany, pogrzebany i zmartwychwstał po trzech dniach. – Profesor zwrócił się do Mørcka: – Brzmi znajomo, prawda?

– A niech to lichy! – odparł Carl odruchowo.

– W tym kontekście to może nie do końca fortunne sformułowanie, powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – rzekł starzec z uśmiechem.

– Ale co to ma wspólnego z tym Frankiem? – spytał Mørck.

– Cierpliwości, jeszcze nie skończyłem. Jeśli spojrzeć na najważniejsze postaci różnych religii na przestrzeni wieków, od razu rzuca się w oczy, że we wszystkich przypadkach istnieje wiele wspólnych cech charakterystycznych. Wspominałem o podobieństwach między życiem Horusa a Chrystusa i dokładnie te same elementy powtarzają się w wielu innych religiach: czas narodzin, królowie, gwiazda, która ich prowadziła, apostołowie, cuda, zdrada, ukrzyżowanie, śmierć i zmartwychwstanie, a to tylko te najważniejsze. Wszystkie te podania znajdziemy w niezmienionej formie w wypadku greckiego boga Adonisa i perskiego Mitry już tysiąc dwieście lat przed Chrystusem, w wypadku Krysny w Indiach – dziewięćset lat przed Chrystusem, Dionizosa w Grecji – pięćset lat, no i w licznych innych krajach takich jak Hindustan, Bermudy, Tybet, Nepal, Tajlandia, Japonia, Meksyk, Chiny i Włochy, a to tylko niektóre. W każdym wypadku ta sama historia z niewielkimi modyfikacjami.

– Modyfikacjami? – Assad przypominał jeden wielki znak zapytania.

– Zmianami, korektami, rozumie pan.

Assad skinął głową z miną tak nieodgadnioną, że Carl nie wiedział, jak ją interpretować.

– Odniosłem wrażenie, że ten Frank, którego szukamy, był wyznawcą słońca lub kimś w tym rodzaju – rzucił Carl. – Może się mylę. Ale co on ma do tego?

Profesor znów uniósł swój zdeformowany palec.

– Cierpliwości, panie Mørck, dojdę do tego.

Wygrzebał sobie kolejną pastylkę.

– Przepraszam, ale usunięto mi śliniankę po jednej stronie, wiecie, rak, więc muszę posiłkować się czymś, co pobudzi pozostałe ślinianki do pracy, by zaledwie nie schło mi w ustach. A cukierki lukrecjowe świetnie się do tego nadają. Proszę się poczęstować.

Podsunał pudełko w ich stronę, ale tylko Carl był na tyle uprzejmy, by pójść w jego ślady.

– To skomplikowane sprawy i mógłbym o nich opowiadać godzinami – roześmiał się; nie było co do tego wątpliwości. – Ale spokojnie. Zmierzam do tego, że wspólnym mianownikiem

dla historii różnych religii są zjawiska astronomiczne, a w wielu wypadkach również astrologiczne. Spójrzmy chociażby na sekwencję związaną z narodzinami: narodzony z dziewicy dwudziestego piątego grudnia, odwiedziny trzech mędrców kierujących się gwiazdą na Wschodzie. I tu następuje wyjaśnienie natury astronomicznej. Najjaśniejszą gwiazdą na niebie półkuli północnej jest Syriusz znajdujący się w jednej linii z trzema gwiazdami z Pasa Oriona, zwanymi...?

– Trzema Królami – podsunął Assad.

Sękaty palec znów powędrował do góry.

– Właśnie. Czyli ci Trzej Królowie znajdują się w jednej linii z najjaśniejszą gwiazdą. Jednocześnie Trzej Królowie wskazują w dół, bezpośrednio ku wschodowi słońca dwudziestego piątego grudnia. Dlatego królowie „idą” za gwiazdą na Wschodzie podczas przesilenia zimowego, symbolu życia i ludzkiego zbawiciela. Nad tym wszystkim jaśnieje gwiazdozbiór Panny, zwany też „domem chleba”. I to nas wreszcie naprowadza na miejsce narodzin Jezusa w naszej wierze chrześcijańskiej, Betlejem, którego nazwa w tłumaczeniu z hebrajskiego oznacza właśnie...

– Dom chleba? – ubiegł Carl Assada.

– Tak, tak to właśnie wygląda. Jeśli spojrzymy na inny wspólny mianownik dla tych różnych religii, krzyż i ukrzyżowanie, to znów dostrzeżemy pewne wyjaśnienia astronomiczne. Jak wiemy, dwudziestego drugiego, trzeciego i czwartego grudnia słońce znajduje się na niebie najniżej w całym roku. Wiemy o tym szczególnie my na Północy, gdyż właśnie te dni są najciemniejsze i w dawnych czasach upatrywano w nich samej śmierci, bo czy było wiadomo, że słońce znów się podniesie? Jednocześnie dwudziestego drugiego grudnia ponad dwa tysiące lat temu gwiazdozbiór Krzyża Południa był wyjątkowo wyraźnie widoczny na niebie i po trzech dniach w takiej właśnie konstelacji Słońce zaczyna, powiedzielibyśmy, że na szczęście, znów kierować się na północ. Czyli samo Słońce, symbol boga, wisiało przez trzy dni jakby umarłe pod krzyżem, po czym zmartwychwstało. Nasz Jezus Chrystus dzieli ten los z większością bóstw solarnych.

– Czy o tych sprawach dyskutuje się otwarcie na Wydziale Teologii? – spytał Carl.

Zdrowsza ręka Johanna Tausena lekko się zakołysała.

– Naturalnie większość z tych rzeczy to żadna nowość, ale dogłębne interpretacje astronomiczne nie są domeną teologii.

– Bardzo dziwne – stwierdził Carl, nie wiedząc, do czego ta wiedza jest mu potrzebna. Może kiedyś byłoby zabawnie zaserwować coś takiego podczas przygotowań do konfirmacji, choć pastor bynajmniej nie byłby mu za to wdzięczny.

– Istnieje wiele innych zjawisk, które wskazują na związek między ciałami niebieskimi a opowieściami, które znamy z Biblii i wielu innych religii. Ale już nie przedłużam. – Tausen zamknął oczy, jakby chciał się upewnić, że ujął w swoim wywodzie to, co najważniejsze. –

Mogę tylko powiedzieć, że jeśli spojrzeć na Jezusa jako na źródło życia, na syna Słońca na Ziemi – ciągnął z wciąż zamkniętymi oczami – to w ikonografii z dawnych czasów oddaje się to w ten sposób, że głowa Jezusa, otoczona okrągłym nimbem, na którym widnieje krzyż, do złudzenia przypomina krzyż słoneczny. Jezus jest synem Boga, światłością świata, która walczy z mocami ciemności. A gdybyśmy chcieli wchodzić w detale, to korona cierniowa jest po prostu cieniem, padającym, gdy słońce przebija się zza koron drzew.

Zrozumiem, jeśli trudno to panom pojąć – dodał. – Przyznaję, że ja sam mam z tym trudności jako teolog i człowiek wierzący. Pod wieloma względami to twarde orzech do zgryzienia. Ale jak już mówiłem, to tylko referat wielu wykładów, może jednak w zbyt skondensowanej formie.

Assad nawet okiem nie mrugnął, ale tak to już jest ze sceptycyzmem, że ma niejedno oblicze.

– To brzmi zupełnie... niewiarygodnie – zagaił ostrożnie Carl. – Te teorie mogłyby wstrząsnąć praktycznie wszystkimi społecznościami religijnymi.

Stary profesor się uśmiechnął.

– Wcale nie. Bo można by to również ująć w ten sposób, że to jedyna istotna opowieść ludzkości. To, że bezustannie się pojawia, jest naturalną sprawą, ponieważ ludzkość zawsze potrzebuje zbawiciela i odkupiciela. Dzisiaj też tak jest. Naprawdę dobra i pod wieloma względami porządnie uzasadniona historia na wieczne czasy.

– Wyobrażam sobie, że ten Frank też musiał tak uważać, nie sądzi pan? – spytał Assad.

– Ależ tak, absolutnie, właśnie w tym rzecz. Skoro tyle znanych religii pochodzi od astronomicznych zjawisk takich jak słońce i gwiazdy i kieruje się występującymi w nich wzorami, to pewnie dlatego, że życie na ziemi i we wszechświecie jest wynikiem owych konstelacji i że prędzej czy później dzięki temu zyskamy wyjaśnienie egzystencji wszechświata, czy jak kto woli, samego Boga.

Siedział przez chwilę, patrząc przed siebie, jakby dzięki ostatniemu zdaniu doznał kolejnego przebudzenia.

– A skoro już o tym mowa, to wydaje mi się, że pamiętam to i owo z naszych ostatnich rozmów.

Carl wstrzymał oddech.

– Powiedział mniej więcej coś takiego: „Jeśli chce się wyznawać jednocześnie to, co nadprzyrodzone, wszystko, czego się nie rozumie, to należy oddać się jedynej rzeczy, którą wiemy naprawdę: że słońce jest nam dane jako życie, a natura jako chleb. Horus jest pierwszym bóstwem słonecznym na świecie i dlatego to właśnie Horus jest nazwą tego pierwotnego instynktu w człowieku, który każe nam czcić słońce i naturę z szacunkiem i roztropnością. Czyli to, czego dziś nie robimy, a co powinniśmy zacząć robić”. I dodał, zdaje się: „I to szybko”.

- I to były jego ostatnie słowa? – spytał Carl, lekko rozczarowany.
- Tak oraz oczywiście mi podziękował.
- Sądzi pan, że sprzyjał jakimś ruchom neoreligijnym? – spytał Assad.
- Tak, to niewykluczone.
- Słyszeliśmy już to kilka razy – zwrócił się Assad do Carla.

Mørck skinął głową. Ludzie na Bornholmie ciągle się na to natykali. Człowiek, który znalazł kamień słoneczny. Niewidoma Beate Vismut również to wyczuła.

- Assad, co takiego Beate Vismut mówiła na ten temat Rose, pamiętasz może?

Asystent przez pół minuty kartkował swój notes, a Carl i profesor się temu przyglądali.

– Mam. Powiedziała, że Frank był „czystym kryształem” i że widział prawdziwe światło, i przeglądał się w nim, i że już potem nie potrafił bez niego żyć.

– Sami widzicie. – Profesor pokiwał głową. – Musicie szukać człowieka, który właśnie w ten sposób żyje: czci słońce, naturę i Horusa jako ich symbol.

– Jeszcze zanim rozpoczął pan swój zajmujący referat, zadaliśmy pytanie, co ten człowiek zamierzał zrobić ze swoim życiem. Sądzi pan, że odpowiedź na nie może brzmieć tak, że chciał zostać nowym mesjaszem i że znalazł ku temu odpowiednie narzędzia w pańskich wykładach? Jest taka opcja? – spytał Carl.

Starzec ściągnął brwi.

- Kto to wie... – odrzekł. – Przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Niedziela 11 maja 2014

Pirjo obudziła się ogarnięta złymi przecuciami, jak przed egzaminem, do którego się nie przygotowała, albo nazajutrz po kłótni, której nie da się już cofnąć.

Spojrzała na zegarek, wiedząc, że równie dobrze może wstać i mieć to za sobą. Za niecałą minutę budzik i tak zadzwoni. Była 3.59, trzy kwadranse przed wschodem słońca.

Słyszała kroki Atu na korytarzu; szedł jak zwykle na plażę, gdzie mimo deszczowych chmur witał modlitwą pierwsze promienie słońca.

Pirjo też miała swoje nawyki.

Najpierw musiała obudzić nowo przybyłych uczestników kursu, potem prowadziła ich pod prysznicę w wewnętrznej części ośrodka, gdzie przechodzili zwyczajowy, osobisty proces oczyszczania podczas wspólnych ablucji, a następnie schli na werandzie ze wzrokiem skierowanym w aure słońca, powoli pnącego się ponad linię horyzontu.

Następnie wracali do swoich domków, gdzie miało miejsce krótkie, acz spokojne ćwiczenie polegające na cichym śpiewie wznoszonym do sklepienia niebieskiego.

Stali mieszkańcy i tymczasowi pomocnicy już pracowali w swoich podgrupach, a Pirjo miała za zadanie przejść od domu do domu, by sprawdzić, czy wszyscy mieszkańcy są gotowi. Od czasu do czasu zdarzało się, że ktoś zasnął lub zachorował, więc jeśli Pirjo nie zadbała o to, by to sprawdzić i im pomóc, ład tak zwanej godziny przebudzenia mógł zostać zaburzony przez śpiochów, którzy nagle pojawiali się podczas ceremonii. Wprawdzie Atu podkreślał, że lepiej, by tacy aroganci zajęli się w tym czasie czymś innym, ale zdarzały się osoby niesubordynowane.

Tego ranka trzy osoby się pochorowały. Przez całą noc męczyły je torsje, więc powietrze w ich pokojach wypełniała ciężka jak ołów woń wymiocin i wyziewów z chorych żołądków. Pirjo przyniosła herbatę ziołową dwóm osobom, a trzeciej pozwoliła odespać, jako że sen sam w sobie często bywa najlepszym lekarstwem. Dlatego gdy wbrew codziennej rutynie wyszła na korytarz łączący poszczególne domki dopiero w chwili, gdy zgodnie z oczekiwaniami powinna już zmierzać do kręgu solarnego, zasłyszała rozmowę, która nie była przeznaczona dla jej uszu.

Mężczyźni wyszli od siebie dobrą chwilę przed zebraniem, dlatego teraz sunęli korytarzem powoli i niespiesznie. Pomimo przytłumionego światła rozpoznała ich kroki i głosy; należały do dwóch z najstarszych wyznawców. Jeden doglądał upraw w szklarni, drugi pracował

w ekipie stawiającej nowy krąg solarny na północy. Nic dziwnego, że się nie spieszyli, bo potem czekał ich długi, pracowity dzień.

– Powinniśmy iść z tym do Atu? – spytał jeden.

– Sam nie wiem – padła odpowiedź.

– Przecież nie możemy iść do Pirjo, bo to by oznaczało, że bierzemy czyjąś stronę.

– No tak, ale jeśli wciąż będą się tu działy rzeczy, które dzieć się nie powinny, a Pirjo może odgrywać w tym jakąś rolę, to gdzie zaznamy spokoju?

– Nie sądzę, by Pirjo miała z tym coś wspólnego. To Shirley psuje atmosferę tego miejsca, nie Pirjo.

– Tak, pewnie masz rację. Czyli uważasz, że nie powinniśmy iść do Atu i prosić go, by położył kres plotkom?

– Nie, po co? Shirley tu nie pasuje. Wszystko samo się ułoży, kiedy stąd zniknie.

Pirjo przystanąła, by jej nie dostrzegli, skręcając za rogiem przy drzwiach prowadzących na zewnątrz.

„Wszystko samo się ułoży, gdy stąd zniknie” – powiedzieli. Z punktu widzenia Pirjo, owo zniknięcie nie może nastąpić zbyt gwałtownie.

Skręciła do swojego biura, mijając drzwi do pokoi Atu, i otworzyła kolejne, prowadzące do pomieszczenia, w którym znajdowała się sterownia paneli słonecznych.

Zdjęcie pokrywy szafki i konwertora oraz odsłonięcie kabli zajęło jej zaledwie parę minut.

Czyli jednak dobrze zapamiętała.

Poranek był wilgotny, ale zanim słońce wyjrzało zza linii horyzontu, chmury się rozstały i zrobiło się niezwykle pięknie.

Atu czekał na nich jak zwykle siedem metrów nad ziemią na platformie znajdującej się na kręgu solarnym. Miał mokrą głowę i wpatrywał się we wschód słońca, pochłonięty łuną nad morzem. Z włosami połyskującymi jak złoto i w żółtych szatach powiewających w porannej bryzie był piękny jak bóg.

Gdy obrócił się do nich, zapadła cisza.

– Przywitajmy słońce, wyciągając ręce – poprosił.

Trzydzieści pięć par rąk uniosło się w stronę morza i stali tak nieruchomo, czekając, aż każde im dwanaście razy zaczerpnie oddech, po czym opuścić ręce wzdłuż ciała, by aktywizować drzemiacą w nich nocną energię.

– Wyczuwam was i widzę was. Abanshamash, Abanshamash – wyszeptał, wyciągając przed siebie ramiona, aż załopotwały rękawy żółtej tuniki. – Widzę was – szeptał. – Widzę was i wasze dusze, które się ze mną witają. Jesteście gotowi. Dzisiaj jest sto trzydziesty pierwszy dzień roku, dłuższy od najkrótszego o dziewięć godzin i dwadzieścia dwie minuty. Za trzy dni będziemy mieć pełnię, a wraz z nią moc słońca przybierze na sile. Dookoła kwitną posłonki,



pięciornik<sup>8</sup> i orchidee. Nasze szklarnie pełne są roślin strączkowych, cebuli i ogórków. Na nasze stoły niedługo zawitają młode ziemniaki i szparagi. Zanieśmy podziękowania.

– Horusie, Horusie z gwiazd powstały, przez słońce nam dany – zaintonowali chórem zebrani. – Bądźmy twoimi sługami i nieśmy świadectwo siły, którą nam dajesz. Podążajmy twoimi drogami i czcimy je, by nasi potomkowie mogli pożywić się u twego łona. Bądźmy przygotowani, gdy pogrążasz się w letargu, i nigdy nie zapomnijmy powodu i znaczenia twej obecności.

I zamilkli równie gwałtownie, jak rozpoczęli. Dokładnie tak jak zawsze.

Atu rozpostarł ramiona.

– Pamiętajmy, że „gwiazda wiodąca” oznacza coś, za czym powinniśmy się udać. Ale wystrzegajmy się tak zwanych bóstw. Żyjmy w wiecznym przeświadczeniu o naszej niewiedzy o uniwersum i w dbałości o to, co bliskie. Skupmy się na tym, by miast ciągle czegoś się domagać, nauczyć się zadowalać. Zadowalać się dotykaniem natury i oddawaniem się jej. Zadowalać spostrzeżeniem, że człowiek jest tylko niewiele znaczącą częścią całości, a konkretna jednostka znaczy coś tylko wtedy, gdy w pokorze będzie koegzystować z innymi.

Skierował wzrok prosto na zgromadzonych.

Gdy jego spojrzenie napotkało wzrok Pirjo, widać w nim było wielką tkliwość, a ona obejmowała swój brzemienisty brzuch, wiedząc, że powinna odczuwać szczęście, ale zamiast tego czuje bezsilność i niepokój – uczucia, których nigdy przedtem nie zaznała podczas ich zgromadzeń.

Jeśli nie przejdzie do działania, do reszty straci kontrolę.

Po kolei taksowała wzrokiem nowo przybyłych. Wszystkich tych ufnych ludzi, którzy już na pierwszym spotkaniu oddychali ciężiej i głębiej, bo prosił ich o to Atu, i czuli, jakie to cenne. Nie można narazić na szwank ich zaufania i szacunku. Kiedy za pół roku stanie tu przed nimi z dzieckiem Atu na rękach, musi tak jak teraz sprawiać wrażenie niewzruszonej, ba, ikony! Matki potomka Atu, Syna Odkupiciela.

Atu uśmiechał się teraz do nich z wysokości jak ojciec do swoich dzieci.

– Wam, nowo przybyłym, chciałbym powiedzieć, że doszliśmy właśnie do momentu, w którym wykonamy razem kilka ćwiczeń z absorpcji natury. Kiedy je skończycie, poproszę, byście przyszli tu do mnie na górę ze swoimi tutorami. Zapewne zdążyliście się już zorientować, że drogi duchowe, którymi wielu z was zdecydowało się podążać, nie mają tu żadnego znaczenia. Nie przyjechaliście do nas, by zrozumieć samych siebie czy skupiać się na tym, co akcentują inne ruchy duchowe. Nie jesteście tu też po to, by wielbić własną duszę czy świadomość, czy oddawać się dogmatom i konkretnym wyznaniom. Jesteście tu po to, by nauczyć się po prostu być. Dla nas Horus jest wszechświatem, ale tylko dlatego, że pod wieloma względami reprezentuje poglądy wielu mądrych ludzi na przestrzeni tysiącleci i namysł nad tym, skąd przychodzimy i właściwie dlaczego. Może sądzicie, że znajdziecie u

nas równie wiele bajeczek, co w innych zgromadzeniach, ale pamiętajcie, że to, co na co dzień tu odbywamy, to tylko rytuały. Naszym zadaniem tu, w ośrodku, jest dostarczyć wam niezbędnego i pożądanego spokoju ducha za pomocą prostych i trwałych sposobów, nic więcej. Posługując się imieniem Horusa, wyrażamy tylko podziękowanie za życie i dary natury, i świadomość, że to samo w sobie nam wystarcza. Jeśli zrobi się to na sto procent, człowiek odkryje w sobie cechy, które najlepiej nam służą: empatię, miłość bliźniego, spokój ducha, który pozwoli ocenić nasze przyszłe wybory i da siłę, by przeanalizować dzień wczorajszy bez żalu i zniechęcenia.

Następnie poprosił ich, by usiedli na ziemi.

– Cała nauka opiera się na porównywaniu tego, co znane, z tym, co nieznanne, dlatego też...  
– podjął.

Gdy ta część seansu dobiegła końca, nowo przybyli, pełni oczekiwania, wspięli się po schodach na platformę na kręgu solarnym, a stali mieszkańcy udali się do swoich obowiązków, Pirjo odciągnęła Valentinę na bok.

– Tak? – Valentina ewidentnie nie chciała, by Pirjo ją gdzieś ciągnęła.

– Mam dobre wieści, Valentino. Malena się odezwała.

Kobieta rozchyliła usta, przykładając rękę do piersi.

– Malena? – spytała z dużym sceptycyzmem.

– Tak. Dzwoniła dziś rano tuż przed naszym zgromadzeniem. Chyba nie pomyślała, która godzina jest na Olandii, ale przecież nic się nie stało. Mówiła, że mieszka w Kanadzie w miasteczku o nazwie Dutton. To mała miejscina w Quebecu z jedną główną ulicą i starym sklepem z delikatesami, gdzie może kupić wszystkie francuskie smakołyki, za którymi tak przepada. Mówiła, że jest ciągle w drodze, jeździ z miejsca w miejsce i żyje z pisania różnych tekstów. Chciała nam tylko przekazać, że wszystko u niej dobrze. Rzeczywiście miała zadowolony głos.

– Tak?! – Widać było, że Valentina miała nadzieję na coś więcej, może jakieś osobiste pozdrowienie.

– Wiem, o czym myślisz – uśmiechnęła się Pirjo. – Prosiła, by ci przekazać pozdrowienia. Chciała ci podziękować za twoją przyjaźń i za wszystko, czego ją nauczyłaś, tak to właśnie ujęła. Mówiła, że jest bardzo szczęśliwa, i zależało jej, byś o tym wiedziała.

– Przyjaźń? Użyła tego słowa?

– Tak, a kiedy je wypowiadała, w jej głosie słyhać było dużo ciepła.

W końcu kobieta się uśmiechnęła.

– Wróci do nas?

– Nie pytałam jej. Może jeśli będzie tego potrzebowała, ale myślę, że jeszcze ją usłyszymy, kiedy pojawi się taka potrzeba.

Valentina stała przez chwilę, patrząc przed siebie i starając się, by poruszenie ustąpiło miejsca uldze.

– Choć nie jestem do końca szczerą i choć pewnie już nigdy jej nie zobaczę, to chyba najlepsza wiadomość: że po prostu sobie radzi, prawda?

Pirjo ujęła ją za ramię. Udało jej się zdobyć jej uwagę i zaufanie. Opłaciło się wczorajsze pięciominutowe grzebanie w internecie, w wyniku którego znalazła informacje o przypadkowej, francuskojęzycznej mieścinie gdzieś w dzikiej głuszy.

– To nie koniec dobrych wiadomości – dodała.

Valentina przesunęła ręką po szyi. Naprawdę mogło być coś jeszcze?

– Mamy dla ciebie zadanie. Wybierasz się w podróż.

– Shirley, chodź ze mną. Chciałabym zamienić z tobą parę słów. Zdaje się, że doszliśmy do momentu, w którym trzeba porozmawiać, co teraz, prawda?

Kobieta przyglądała sobie tunikę na brzuchu i po bokach. Gest, który wyniosła ze swojego dawnego życia; oznaczał, że człowiek mimo nadwagi chce wypaść jak najlepiej.

– Brzmi... ciekawie – stwierdziła.

„To mogę ci zagwarantować” – pomyślała Pirjo, rozglądając się. Korytarz prowadzący do jej gabinetu był pusty, podobnie jak położona z boku recepcja, a co ważniejsze, przez okna wpadały promienie słoneczne.

„Każę jej pójść przodem, ciekawe, ile na to potrzeba czasu?” – pomyślała. „Jeśli porazi ją za pierwszym razem i padnie na podłogę, to oczywiście nie będę mogła jej podnieść. Ale może wówczas przyniosę kabel z garażu i ją do niego podepnę. To chyba powinno załatwić sprawę?” – ciągle miała wątpliwości. Może wyskoczą bezpieczniki, może zrobi się zwarcie?

Zawahała się i zwolniła kroku. Nagle cały ten pomysł wydał jej się szaleństwem, ale jakie ma inne wyjście? Przecież trzeba się pozbyć tej kobiety.

– Chodź ze mną do gabinetu, Shirley, powiem ci, jakie wiążemy z tobą plany. Proszę, wejdź pierwsza.

Wskazała na krzesło po drugiej stronie biurka tuż przy otwartych drzwiach do przejścia i sterowni paneli słonecznych.

– Och, znów ktoś zapomniał zamknąć drzwi, stąd to brzęczenie. Mogłabyś je zamknąć?

– Co tam w ogóle jest? – spytała Shirley, unosząc brwi. Czy to podejrzliwość, czy zainteresowanie?

– Tylko system sterujący naszymi panelami słonecznymi.

– Naprawdę? – spytała ze zdumiewającą ciekawością i puściła oparcie krzesła, na którym właśnie miała zamiar usiąść.

Pirjo odczekała chwilę i ruszyła za nią.

– Tak, mogę ci pokazać, jak to wszystko działa – powiedziała, wkładając na jedną rękę gumową rękawiczkę.

Shirley weszła do środka. Pirjo sprawdziła miernik. Choć godzina była jeszcze młoda, produkcja prądu zdążyła już znacznie wzrosnąć. Widziała przez okno dachowe, że niebo też się rozjaśniło i zrobiło bardziej niebieskie.

– Cóż, przyznaję, że niezły tu bałagan. Nasz elektryk odkręcił pokrywę od szafki, więc trzeba zachować ostrożność – przestrzegła, szykując się do wepchnięcia ręki Shirley w płataninę kabli.

– E tam, co się może stać? – odparła nieporuszona. – Moc nie jest zbyt wysoka, a od prądu stałego człowiek tak łatwo nie umiera. W każdym razie trzeba by stracić przytomność i mieć po obu stronach ciała przyczepione kable z plusem i minusem. Wówczas człowiek zagotowuje się w środku, tak jak w kuchence mikrofalowej.

Powiedziała to w chwili, gdy Pirjo już wyciągnęła rękę, by wepchnąć jej dłoń prosto w pułapkę.

Opuściła rękę. Powiada, że najpierw trzeba stracić przytomność? Kable po obu stronach ciała?

Shirley spojrzała na nią ze znawstwem.

– Wiedziałaś, że pierwsze krzesło elektryczne miało działać na prąd stały i że Thomas Edison ostrzegał przed tym rządzących, mówiąc, że taka śmierć będzie poprzedzona niekończącą się torturą? To właśnie on zaproponował użycie napięcia zmiennego, pokręcone, co? Sam Edison! Nie, porażenie prądem stałym może co najwyżej powodować uczucie szczypania. Może później w ciągu dnia wyglądałoby to inaczej, kiedy słońce będzie mocno prażyć, ale teraz nie. Mam przykręcić te pokrywy? Jakies tam ryzyko w końcu istnieje, o wypadek nietrudno.

Pirjo zatkanęło.

– Yyy, tak, poproszę. Skąd w ogóle wiesz takie rzeczy, Shirley?

– Mój ojciec był instalatorem. Jak sądzisz, jakimi historiami zabawiał nas przy obiedzie, kiedy już zdarzyło mu się pobyć z rodziną, a nie z kumplami z pubu?

Pirjo przechyliła głowę. Ojciec Shirley był elektrykiem. Wspominała o tym w ogóle, wypełniając wniosek o przyjęcie do ośrodka?

– Nie, zostaw je tak, jak są. Elektryk się tym zajmie, kiedy się zjawi. Zamknę drzwi na klucz, żeby w międzyczasie nikt nie zrobił sobie krzywdy.

Usiadły w gabinecie, a Pirjo musiała sięgnąć po plan B.

– Posłuchaj, Shirley – powiedziała po chwili. – Niestety postanowiliśmy, że nie przyjmujemy cię do nas jako stałej rezydentki akademii. Przykro mi, bo wiem, jaka musisz być rozczarowana. – Liczyła się z odruchowym protestem, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Wręcz przeciwnie: Shirley siedziała po prostu z wzrokiem utkwionym w Pirjo, zastygłym wyrazem twarzy i wykręcała na kolanach swe pulchne ręce. Wnioskując z drżącej dolnej wargi, ta wiadomość była dla niej zupełnie niespodziewana.

– Wiem, że to nieprzyjemne, ale nie mamy po prostu wolnych miejsc, inaczej byłaby szansa. Więc teraz nic z tego nie wyjdzie, Shirley, przykro mi.

– Nic nie rozumiem, przecież pokój Jeanette stoi pusty – odpowiedziała z cieniem nadziei w głosie.

– Owszem, zgadza się, ale przecież Jeanette wróci.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, dłonie już się uspokoiły, wzrok stracił zagubiony wyraz.

– To jakaś bujda, Pirjo – warknęła nagle ostro.

Pirjo już miała zacząć wyjaśniać obecną sytuację Jeanette, ale słowa uwięzły jej w gardle. Miała zamiar dodać, że istnieje cień szansy na ewentualne przyjęcie jej w późniejszym czasie, jeśli Shirley uzbroi się w cierpliwość, ale oto właśnie rzucono jej rękawicę.

– Nie wiem, dlaczego się unosisz, mówiąc, że kłamie, Shirley. Sprawia mi to przykrość – powiedziała. – Chyba powinnam ci przypomnieć, że jestem dyrektorem administracyjnym akademii, więc decyzja o twojej przyszłości w ośrodku należy do mnie, bez względu na to, co powiesz i zrobisz. Dlatego teraz...

– Niewykluczone, ale kłamiesz, a ja się nigdzie nie wybieram! – Ostatnią część zdania wykrzyczała.

– Aha. Udam, że tego nie słyszałam – odparła Pirjo lodowatym tonem. – Ale mamy dla ciebie propozycję...

– Ludzie ci nie wierzą, Pirjo. Potrafią dodać dwa do dwóch. Sprawiasz wrażenie takiej uczynnej, ale wodzisz nas za nos. Teraz czuję się z tobą tak jak z facetem, który odsuwa kobiecie krzesło i uważa, że tym samym ma prawo złapać ją za cycki. Człowiek jest tym zupełnie zdruzgotany, ale to nie wszystko. Czuje się też straszliwie zmanipulowany. Oczywiście mogę mówić tylko za siebie, ale nienawidzę tego.

– Shirley, zasadniczo mówisz tylko za siebie. Może to właśnie jeden z powodów, dla których tak trudno będzie znaleźć miejsce dla ciebie.

Shirley wstała raptownie i oskarżycielskim gestem wymierzyła palec w Pirjo, aż jej bujne kształty zafalowały.

– Jeśli sądzisz, że mnie powstrzymasz, gdzieś mnie wysyłając, to się grubo mylisz.

Pirjo zmrużyła oczy.

– Nie rozumiem, jak to: powstrzymam cię?

– Znów to samo. Znów manipulujesz. Powstrzymasz mnie przed wyjawieniem wszystkim, że wiesz, co stało się z Wandą Phinn, oczywiście. – Zaciśnęła wargi, próbując się opanować, ale pod wpływem złości i wszystkich myśli, z którymi się zmagала, rozplakała się.

Pirjo odetchnęła z ulgą. Wystarczy parę łez i już wiedziała, że zyskała kontrolę nad sytuacją.

– Ależ Shirley, znów ta historia z paskiem? Podejdz tu na moją stronę biurka, coś ci pokażę. Zobaczysz, że mylisz się co do mnie i całej tej sytuacji.

Gdy widać było, że Shirley ani myśli jej słuchać, Pirjo przekreśliła ekran w jej stronę.

– Zobacz, co znalazłam w sieci. Czuję, że będę musiała to zrobić po naszej ostatniej rozmowie o tym pasku. – Kliknęła na pierwszy link i na ekranie pojawiła się strona o nazwie Fashion Belts.

– Zobacz, ile pasków wygląda jak ten, o którym mówiłaś, że Jea-nette znalazła go na strychu. – Wskazała na kilka. – Spójrz, ukośne szaro-czerwone paseczki. – Kliknęła na inny link. – Ta firma też ma kilka modeli, które można pomylić z tym, który Wanda Phinn od ciebie dostała. Pół roku temu widocznie taka właśnie musiała panować moda w dziedzinie akcesoriów. To był zupełnie zwyczajny pasek.

Shirley zachichotała, jej oczy rozbłysły. W tej chwili obie balansowały na cienkiej linie i obie mogły spaść, więc Pirjo musiała zachować szczególną ostrożność, by utrzymać je w równowadze. Utrzymać tę kobietę w wierze, że obie walczą w dokładnie tej samej sprawie.

– Wiem, o czym teraz myślisz – mówiła dalej. – Paski w internecie są nieużywane, więc ryski na sprzączce i miejsca odciśnięcia na pasku nie da się tym wytłumaczyć. Ale zobacz, co jeszcze znalazłam.

Kliknęła w kilka linków do stron, na których kobiety wyprzedawały zawartość swojej garderoby. Dwa linki, gdzie sprzedawano używane paski mniej więcej takie same jak ten, o którym mówiła Shirley.

Znalezienie ich kosztowało ją całą noc.

– Spójrz, Shirley. Jeden pasek ma ryskę, na obu widać większe zużycie jednej dziurki, identyczne jak to, które mi pokazywałaś. Widzisz podobieństwo? Cztery dziurki nieużywane, kolejna trochę sfatygowana, dokładnie tak jak na pasku, który twoim zdaniem należał do Wandy. To zupełnie zwyczajne ślady zużycia, rozumiesz?

Po policzkach Shirley popłynęły łzy, gdy stała ze wzrokiem utkwionym w ekran, odczuwając smutek i ulgę jednocześnie.

Pirjo pozwoliła jej się wypłakać, zastanawiając się nad kolejnym krokiem.

W tej chwili kobieta jest rozczarowana i zdezorientowana, ale problem w tym, że za parę dni przestanie być zdezorientowana, a rozczarowanie pozostanie. Może będzie siedzieć w Londynie, zastanawiając się, czy by w jakiś sposób nie udało się jej wytropić Wandy. To stanie się jej celem. A gdy minie kolejny miesiąc czy dwa, zdąży porozmawiać z każdym po kolei, w tym z rodzicami Wandy, i w końcu się przekona, że dziewczyna rzeczywiście zniknęła, a wówczas znów pojawią się ponure myśli.

I co wtedy? Czy podejrzenia nie wrócą ze zdwojoną siłą? Na pewno tak.

Oczywiście konieczne będą mocne dowody na poparcie oskarżeń wobec Pirjo i akademii, ale jeśli akurat trafi to na najgorszy moment? Jeśli kobieta przypuści atak, kiedy będzie się tu kręcić duńska policja? Oczywiście prawdopodobieństwo nie jest duże, ale dziecko w łonie Pirjo rosło i kopało nóżkami, a ona złożyła mu uroczystą obietnicę.

Nic nigdy nie może go skrzywdzić.

Przez dłuższy czas patrzyła na Shirley i położyła jej dłoń na rękę.

– Jestem dokładnie taka, jak ty – powiedziała. – Też nie lubię, gdy ludzie odwracają się do mnie plecami. Kiedy nagle ukazują się nam z nieznanej strony. Kiedy wyrzucają nas ze swojego życia tak zimno i cynicznie, jakbyśmy nigdy nie stanowili jego części. Tak, Shirley, doskonale cię rozumiem. – Ich oczy się spotkały. – Ale posłuchaj. Może zapomnijmy o tym, co między nami zaszło? Wiem, jak bardzo jesteś rozczarowana naszą decyzją, że nie możesz tu zostać i że nie jesteśmy w stanie przyjąć cię do naszego kręgu. Ale i tak mamy dla ciebie propozycję. Widzisz, właśnie dziś Valentinie powierzyliśmy pewne zadanie. Pojedzie do naszego biura w Barcelonie, by werbować nowych, miejscowych kursantów. Może ty zrobiłabyś to samo w Londynie? Interesowałoby cię to? Byłoby wspaniale, bo uważam, że świetnie się do tego nadajesz.

Pirjo uśmiechnęła się ostrożnie. Jeśli ta prostolinijna osoba miałaby się na to nabrać, to właśnie teraz.

– Wiem, że po powrocie do domu byłabyś bezrobotna, a praca, o której mówię, jest płatna. Owszem, to system prowizyjny, ale zazwyczaj mamy w Londynie sporo chętnych, więc wyjdiesz na swoje. Nie zapominajmy też, że mamy na miejscu mieszkanie w pakiecie z tym stanowiskiem. Może to coś dla ciebie, jak sądzisz?

Shirley milczała.

– Ale zanim będziemy mogli to zrobić, musiałabyś przejść przez nasz proces oczyszczania, tak jak Valentina prawie rok temu. Polega to na tym, że przez miesiąc pozostajesz w odosobnieniu, by odciąć się od świata doczesnego i skoncentrować energię na kumulowaniu sił absorpcji natury. W ten sposób poddajesz się neutralizacji, jak to tu nazywamy. Jeśli jesteś na to gotowa i chciałabyś podjąć tę pracę, to nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy od razu przystąpili do dzieła.

Pirjo dokładnie przyglądała się twarzy rozmówczyni. Często kolejność reakcji poszczególnych części twarzy zdradzała, czy odpowiedź jest szczerą, czy nie. Na przykład zmarszczki przy oczach wydłużały się nieznacznie przy chłodnej spekulacji, podobnie sprawa się miała z uśmiezkami półgębkiem, więc na tego typu reakcjach nie można było polegać w stu procentach, podobnie zresztą jak na zbyt krótkich odpowiedziach takich jak „okej” czy „tak”. Ale gdy twarz zdradzała jakiś rodzaj wzruszenia, nim pojawi się uśmiech lub padnie krótka odpowiedź, to można było sobie pogratulować sukcesu.

W tym momencie twarz Shirley była wyprana z emocji. Nie dało się stwierdzić, co się dzieje w jej głowie. Czy kolejna wypowiedź będzie wybuchem złości czy kapitulacją?

Pirjo zaczęła, aż zadziała jej czas i powaga. Ich spojrzenia trwały jakby połączone w symbiozie. Przez chwilę myślała, że Shirley wstanie i trzaśnie drzwiami, ale jednak kąciki jej ust powoli powędrowały w dół, jakby znów zbierało jej się na płacz.

Wtedy Pirjo już wiedziała, że wygrała tę walkę.

– Czy Atu wie o tych ustaleniach? – spytała ostrożnie Shirley.

Pirjo skinęła głową.

– Tak, oczywiście. Długo o tym rozmawialiśmy. Moim zdaniem będziesz potrafiła zwerbować nam wielu nowych ludzi dzięki swojej delikatnej, łagodnej naturze i szczeremu uśmiechowi.

Na ustach Shirley pojawił się uśmiech. Nie za duży, nie za mały, ale we właściwym momencie.

– W takim razie się zgadzam – powiedziała po prostu, odrywając wzrok od oczu Pirjo. Trudno było zgadnąć, co to oznaczało, może wstyd za ataki i oskarżenia. Choć niewykluczone, że próbowała zapamiętać widok miejsca, którego przez jakiś czas nie będzie oglądała.

Pirjo się uśmiechnęła.

Jeśli chodziło o to drugie, to nawet nie ma pojęcia, ile w tym prawdy.

W każdym razie tego pomieszczenia już nigdy nie zobaczy.

Cóż, ani tego, ani żadnego podobnego.



Poniedziałek 12 maja 2014

Carl oglądał telewizję, gdzie ta sama co zawsze ekipa roześmianych prowadzących i miotających się w szaleństwie hałaśliwych kucharzy próbowała zademonstrować Danii, jak zrobić sałatkę z kapusty stożkowej z ziarnem sezamu, elegancko udrapowaną wokół małego, zamarynowanego w occie balsamicznym *filet mignon au pimientos*, czy jak to tam, cholera, nazywają. Carl spojrział z niechęcią na swoją bladą jajecznicę i paciowatą owsiankę Hardy'ego. Dlaczego, u licha, ci z TV2 uparli się, by o siódmej rano epatować biednych kawalerów i innych nieszczęśników tego typu utopiami?

W każdym razie Hardy łypnął ze złością na łyżkę, którą karmił go Morten.

– Ależ Hardy, owsianka dobrze wpływa na perystaltykę, więc otwórz buzię i nie rób takich min.

Hardy przełknął pacię, po czym wziął głęboki oddech.

– Gdybyś przez ostatnich siedem lat zjadł tyle owsianki, co ja, panie Holland, inaczej byś śpiewał. I tu zacytuję Assada: smakuje jak pędzlowanie się z wielbłądem.

– Pędzlowanie się z wielbłądem?

– Jakbyś całował się z języczkiem z namiętym wielbłądem. – Próbował się roześmiać z reakcji Mortena, ale brakło mu oddechu.

Carl odłożył gazetę i spojrział na wyświetlacz komórki. Jakiś numer z Komendy Głównej.

Zerknął parę razy na Hardy'ego, odsłuchując wiadomość. Nie miał wątpliwości, że jego dawny kolega zrozumiał, o co chodzi.

– Nasza sprawa, prawda? – spytał, gdy Carl odłożył telefon.

Mørck skinął głową.

– Tak. Jest postęp w sprawie gwoździarki.

Morten położył dłoń na ramieniu Hardy'ego. Wszyscy wiedzieli, jak trudna jest dla niego ta sprawa.

– Wiele wskazuje na to, że znaleziono broń, z której zastrzelono Ankera i o mały włos nie zabito nas – mówił dalej Carl. – Wygląda na to, że stało się to podczas przeszukiwania jakiegoś miejsca, a że za pomocą tej broni zabito duńskiego policjanta, Lars Bjørn zwołał konferencję prasową.

Hardy nic nie powiedział.

– Za półtorej godziny – dodał Carl.

Kolega wciąż milczał.

– Cholera, no, Hardy. – Mørck widział ból w jego oczach. Choć myśl o tej przeklętej broni była przykra, to dobrze, że jednak został choć cień nadziei, że ta sprawa wkrótce się skończy, a winny stanie przed sądem.

Obszedł wózek inwalidzki Hardy’ego i objął kolegę.

– Przyślą samochód, możesz się ze mną zabrać. Chcesz?

Hardy cicho pokręcił głową.

– Nie, dopóki się to nie skończy – odparł. – Nie jestem obwoźnym eksponatem.

Lars Bjørn wskazał Carlowi rzecznika prasowego Janusa Staal, który podziękował za przybycie i przedstawił program spotkania, po czym usiadł i nachylił się do Carla.

– Nie wzięłeś ze sobą Hardy’ego?

Mørck pokręcił głową.

– Rozumiem go, ale taki był pomysł Bjørna. Ktoś taki jak Hardy to gwarancja dobrych zdjęć.

– O co w tym wszystkim chodzi? – wyszeptał Carl, rozglądając się wokół. Zebrali się tu dosłownie wszyscy reporterzy kryminalni, a ekipa z TV2 już zaczęła nagrywać. Ekspert ds. kryminalnych kanału Danmarks Radio stał z wyciągniętym mikrofonem. Ba, pojawiło się nawet kilka gazet plotkarskich z „Gossip” na czele.

– Przecież to już nie jest moja sprawa, dlaczego musiałem się stawić? Co się stało, Janus?

Staal podniósł rękę, wskazując na zegar.

– Zaczynamy za dwadzieścia sekund, Carl, wtedy wszystkiego się dowiesz. Dobrze, że zdążyłeś.

Czyżby? Mørck położył teczkę przy krześle na podłodze.

– Dziękujemy za tak liczne przybycie – zaczął Lars Bjørn. Potem przedstawił zebranyemu Carla Mørcka, rzecznika prasowego oraz podkomisarza policji Terjega Plouga, który przejął śledztwo po postrzeleniu Carla i jego zespołu.

Następnie zwrócił się do mężczyzny, którego Mørck wprawdzie rozpoznawał, ale nie pamiętał ani jego imienia, ani gdzie go ostatnio widział.

– Przedstawiam państwu Hansa Rinusa, który prowadził dochodzenie w podobnej sprawie na przedmieściach Rotterdamu w Holandii. Carl Mørck był naszym obserwatorem w tej holenderskiej sprawie i teraz państwu opowie o jej przebiegu. Proszę, Carl.

Teraz sobie przypominał. Policjant, który przeleciał po miejscu zdarzenia w obuwiu o podeszwie jak na górskie wyprawy, nie mając o niczym pojęcia, jak duński polityk, który ma swój „dobry” dzień. Co się, kurwa, stało i dlaczego ten dupek tu przyjechał?

– Oczywiście – odparł i szybko zreferował przebieg wizyty w Holandii, opisując obu mężczyzn, którzy zostali zamordowani dziewięćdziesięciomilimetroowymi gwoździami paslode, a całe usta mieli wypchane kokainą żenująco niskiej jakości. – Nie udało nam się ustalić związku między przestępstwami dokonanymi w Danii i w Holandii, dlatego

zostawiliśmy sprawę z Schiedam naszym holenderskim kolegom, którą mieli potraktować jak sprawę lokalną.

– I to był błąd – dodał Terje Ploug ze źle skrywaną satysfakcją, że nie był to jego błąd. – Ale o tym więcej powie nam Hans Rinus. Właśnie dlatego dziś tu państwa zaprosiliśmy. Morderstwo Anker Høyera, trwałe okaleczenie Hardy’ego Henningsena, który niestety nie był w stanie tu dziś przybyć, ponieważ tamte wydarzenia zbyt tragicznie odmieniły jego życie, oraz postrzelenie Carla Mørcka dnia dwudziestego szóstego stycznia dwa tysiące siódmego roku, czyli siedem lat temu, są wynikiem użycia jednej i tej samej broni, broni, w której posiadanie właśnie weszliśmy.

Gdy wziął z kolan ciężki samopowtarzalny pistolet i uniósł go do góry, w szeregach reporterów podniósł się szum. Carl powoli zwrócił oczy na broń, czując rosnący ucisk w głowie. Wówczas kilku dziennikarzy wstało.

– Panie Mørck, jak się pan czuje, widząc ten pistolet? – krzyknął jeden z nich. Lars Bjørn poprosił ludzi, by się uspokoiли i usiedli.

Jak się czuł? W tej chwili wylot lufy skierowany był prosto na niego. Był to ten sam wylot, z którego wystrzelono pięć dziewięciomilimetrowych pocisków, niszcząc życie wielu ludzi, w tym jego. Jak miał się czuć?

Dotknął lewą ręką wylotu i palcem wskazującym odsunął lufę od siebie. W tej samej sekundzie rozległo się co najmniej dwadzieścia pięć trzasków migawek aparatów.

Terje Ploug ciężko odłożył pistolet na stół.

– Jest to pistolet marki PAMAS G1, wariant powszechnie znanej beretty 92, wyprodukowany dla Francuskiej Żandarmerii Narodowej. Automatyczny, o średniej ciężkości. Numer seryjny został spiłowany, a jako że z arsenałów wojskowych zginęło już sporo takiej broni, nie możemy nic powiedzieć na temat historii tego egzemplarza. Natomiast wiemy z całą pewnością dzięki przeprowadzonej przez nas analizie balistycznej, że jest to ta sama broń, z której strzelano do naszych trzech kolegów w dwa tysiące siódmym roku.

W tym momencie Janus Staal nacisnął przycisk komputera i na ekranie nad ich głowami wyświetliła się prezentacja w Power Poincie ze zdjęciem i specyfikacją pistoletu.

Gdyby ramiona i ręce Carla mogły o tym same decydować, toby się trzęsły. Czoło miał lodowate, ale wewnątrz wręcz się gotował. Naprawdę mogli mu tego oszczędzić.

Głos przejął Lars Bjørn.

– Powodem zwołania dzisiejszej konferencji prasowej jest oczywiście poinformowanie społeczeństwa i podkreślenie, że zabójstwo funkcjonariuszy na służbie zawsze będzie miało bardzo wysoki priorytet wśród prowadzonych przez nas dochodzeń i że nigdy nie spoczniemy, dopóki winni nie zostaną postawieni przed sądem. Poza tym chcemy państwu przekazać, że z dużym prawdopodobieństwem głośne od kilku lat sprawy zabójstw gwoździarką w Schiedam

w Holandii oraz u nas na Amager i w Sorø są jednak powiązane. Oddaję głos Hansowi Rinusowi.

Mężczyzna odchrząknął kilka razy. Carl już go sobie przypomniał. Jego angielski był gorszy niż duńszczyzna Assada podczas ich pierwszego spotkania.

– Dziękuję – powiedział niby po duńsku, po czym natychmiast przystąpił do kaleczenia języka, który teoretycznie był angielskim.

– Jestem policja w Holandii Południowej. Zabójstwa w Schiedam to moje. Długi czas nie wiadomo, kto zabił i teraz też nie. Ale teraz wiemy, że, hm, jak to nazywa, że trup to ten sam, co go chce policja w Dania.

Trudno było o większy bełkot.

Lars Bjørn uśmiechnął się przyjaźnie, kładąc rękę na rękawie Hansa Rinusa.

– Dziękujemy serdecznie za waszą doskonałą pracę – powiedział po angielsku i przeszedł na duński. Bogu dzięki.

– Trzy dni temu dwunastoletni chłopiec, Daniel Jippes, jadąc na rowerze po Vriesland, południowo-zachodnich przedmieściach Rotterdamu, wzdłuż kanału i po terenie parku, znalazł ciało. Zwłoki leżały w kanale, przepływającym rurą ściekową pod ścieżką rowerową.

Wskazał na rzecznika prasowego, który znów wcisnął przycisk. Tym razem zobaczyli zrzut ekranu z Google Maps z dokładną lokalizacją. Drzewa parkowe, kanał przepływający przez rurę, gdzie znaleziono zwłoki, ścieżka rowerowa biegnąca przez groble, pod którą znajdowała się rura. Wokół mnóstwo zieleni. „Park Brabrand” – głosił napis pod spodem.

– Zwłoki należały do mężczyzny. Znalaziono go z grubym sznurem przewiązanym wokół prawej stopy. Sznur przeciągnięto górną przez ścieżkę rowerową aż na drugą stronę, gdzie wciągnięto go z powrotem do rury ściekowej i przywiązano mężczyźnie do lewego nadgarstka.

Janus Staal wyświetlił zdjęcie, na którym widać było niewyraźnie sznur na ścieżce rowerowej i coś, co prawdopodobnie było ciałem tkwiącym w rurze ściekowej. Duńska prasa nie miała co liczyć na lepsze zdjęcia nieboszczyka.

– Ślady na ciele mężczyzny świadczą o tym, że się bronił. Technicy ocenili, że związano go, gdy znajdował się na ścieżce rowerowej, po czym sznur wciągnięto do rury i przeciągano ofiarę w tę i z powrotem, aż się utopiła.

Carl ściągnął brwi. Dlaczego nie wybrali prostszego rozwiązania, skoro i tak chcieli go zabić?

– Nie można wykluczyć, że został przeciągnięty wiele razy, nim oprawcy pozwolili mu umrzeć.

– Zapewne chcieli coś z niego wyciągnąć – wtrącił Terje Ploug. Lars Bjørn spojrzał na niego ostro.

– Owszem, jak Terje słusznie zauważa, należy to zapewne interpretować jako próbę zmuszenia mężczyzny do wyjawienia jakichś informacji.

Dziennikarze zaczęli podnosić ręce, ale rzecznik prasowy zastopował ich, nim zaczęły się piętrzyć pytania.

– Dziś nie będzie okazji do zadawania pytań, ale każdy z państwa otrzyma wydruk z wszystkimi dostępnymi informacjami.

Rozległ się pomruk. Carl doskonale ich rozumiał. Jak, do cholery, mają sprzedać tę historię, skoro wszyscy startują w dokładnie tym samym, kiepskim punkcie.

– Mężczyzna został zidentyfikowany – powiedział Terje Ploug, wyświetlając kolejny slajd; na ekranie pojawiło się zdjęcie łysiejącego człowieka po czterdziestce o niebieskich oczach i charakterystycznym irytującym uśmiechu.

Był dobrze ubrany. Raybany nasunięte na głowę, gładko wyprasowana biała koszula i marynarka Hugo Bossa sygnalizowały, że ten oto mężczyzna chce całym sobą podkreślić, że wszystko ma pod kontrolą. Pewnie nie do końca tak się czuł, gdy wciągnęli go do rury ściekowej.

– Jest to obywatel duński zamieszkały w Holandii. Nazywa się Rasmus Bruhn, ma czterdzieści cztery lata, był wielokrotnie karany, przez ostatnie lata pracował jako dziennikarz pod pseudonimem Pete Boswell.

Carl ściągnął brwi. Co on powiedział?

Ploug spojrział na zgromadzonych.

– Zapewne część z państwa pamięta, że to nazwisko przewijało się w związku z poćwiartowanymi zwłokami, które znaleźliśmy zakopane w skrzyni na Amager przy wyburzaniu baraku, w którym swego czasu strzelano do trzech duńskich policjantów.

Zarówno Carl, jak i dziennikarze byli zdezorientowani.

– Dlaczego wówczas sądziliście, że ciało na Amager należy do Pete’a Boswella? – krzyknął któryś z nich.

– Anonimowe zgłoszenie – wmieszał się Bjørn. – Otrzymaliśmy wiele tropów, ale sprawę przesądził fakt, że na prawym ramieniu miał wypaloną francuską lilię, *fleur-de-lis*. Z różnych powodów nie zdecydowaliśmy się opublikować tej informacji. Poza tym medykom sądowym potwierdzenie tego faktu zajęło kilka dni ze względu na zaawansowane stadium rozkładu zwłok. Oczywiście była to hipoteza, ale naszym zdaniem wyjątkowo dobrze uzasadniona. Niestety tak to jest z anonimowymi zgłoszeniami. Zapewne państwo jako dziennikarze znają to lepiej niż ktokolwiek inny. Zawsze trzeba traktować je z dozą sceptycyzmu, prawda? Tym razem zgłoszenie okazało się niestety zwodnicze.

Carl chwycił papierosy spoczywające w kieszeni na piersi. Wiedzieć, że wciąż tam są, to lepsze, niż nic. Do diaska, o ilu rzeczach miał do pogadania z Bjørnem i Plugiem? Tylko po prostu brakowało mu sił.

– Nasi holenderscy koledzy sprawdzili tego mężczyznę. Kilka spraw wychodzi tu na pierwszy plan. Po pierwsze, z racji pracy w charakterze korespondenta miał wyjątkowo

dogodne warunki, by prowadzić działalność kurierską. Mowa tu w szczególności o kamieniach szlachetnych, ale jego sieć była na tyle rozbudowana, że bez problemu mógł kontaktować ze sobą ludzi i w ten sposób przekazywać również informacje. Jeździł do wielu krajów Dalekiego i Bliskiego Wschodu, ale też do Afryki i na Karaiby.

Bjørn skinął głową do holenderskiego kolegi.

– A teraz nasz kolega Hans Rinus poda nam wyniki z oględzin zwłok oraz z rewizji mieszkania Rasmusa Bruhna.

Wyjaśnienia były długie i zagmatwane, ale przekaz nie pozostawiał wątpliwości. Zwłoki znajdowały się w wodzie przez kilka dni. Wystający język nie był już niebieski, tęczęwki straciły swoją barwę. Po wewnętrznej stronie rury widniały ślady drapania, po szlamie na jej dnie znać było, że mężczyzna usiłował się wydostać. Jak na swój wiek, ubrany był w młodzieżowym stylu. Nie miał przy sobie nic prócz wizytówki, która, choć mocno ucierpiała w wodzie, dała się odczytać i doprowadziła prosto do miejsca jego zamieszkania na Haverdreef w dzielnicy De Akkers na północ od miejsca odkrycia zwłok. W mieszkaniu znaleziono pistolet z pełnym magazynkiem, na którym znajdowały się jego odciski palców, ćwierć kilo kokainy słabej jakości i parę notesów z nazwiskami. Kilka z nich należało do jego krewnych w Danii. Mówiąc dokładniej, krewni mieszkali w Sorø, a jeszcze dokładniej – jeden z nich to młodszy z dwójki mężczyzn, których zamordowano gwoździarką w miejscowym warsztacie samochodowym. Był on bratankiem człowieka, którego Carl, Anker i Hardy znaleźli zamordowanego na Amager z gwoździem pasłode tkwiącym w skroni.

Carl spojrział na Larsa Bjørna, który bez mrugnięcia okiem pozwalał rzecznikowi prasowemu przełączać slajdy ze zdjęciami znalezionych przedmiotów.

Niby wszystko to powinno mu przynieść ulgę. Ciąg informacji, które jakoś się ze sobą łączyły i dawały nowe możliwości prowadzenia śledztwa. A jednak Carl czuł wyłącznie niechęć, mięśnie jego żuchwy żyły własnym życiem.

Jak długo Lars Bjørn dysponował tą wiedzą? Ile razy zdecydował się nie poinformować Carla? Dlaczego to do niego nie przyszedł w pierwszej kolejności?

I kiedy siedzący obok niego mężczyźni robili przegląd potencjalnych motywów i scenariuszy, o których przecież gównu mogli wiedzieć, w Carlu narastał bunt.

Podają tu sobie niczym niepoparte hipotezy, żeby nastukać sobie punktów w wielkiej loterii osiągnięć? Czy to w ten sposób Lars Bjørn chciał zademonstrować, że chociaż jest praktycznie nierozpoznawalny, ma cechy przywódcze, energię do działania i jest dobrze zorientowany? Człowiek, który nie pozwolił Carlowi na parominutowe przedstawienie sprawy w którymś z programów w telewizji na temat raportów policyjnych.

– Macie coś do dodania? – spytał Lars Bjørn nagle, zwracając się do kolegów. Carl musiał na chwilę odpłynąć, bo Holender zdążył się już podnieść.

Carl schylił się po teczkę leżącą na podłodze.

– Tak – odparł. – Ja mam.

Chwilę szperał w teczce, zanim znalazł właściwe papiery.

– Prowadzę właśnie inną sprawę i poszukujemy mężczyzny w związku z wypadkiem komunikacyjnym. Ma sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, dołek w brodzie, zachrypnięty głos, niebieskie oczy, regularne rysy twarzy, ciemne brwi, szerokie zęby przednie, na jednym jasną plamkę. Mówi płynnie po duńsku.

Starał się nie patrzeć na Bjørna, ale odnotował, że Terje Ploug posłał mu zatroskane spojrzenie, gdy Carl podniósł ksero zdjęcia mężczyzny przy volkswagenie prosto do kamery TV2 News.

– Oto on. Proszę zwrócić uwagę na jasnoniebieskiego volkswagena o szerokich zderzakach. Nie widać tego, ale na jego dachu namalowana jest pacyfka. Wiemy, że mężczyzna ma na imię Frank i że zmienił je na inne o egzotycznym brzmieniu.

Bjørn chwycił go za ramię od spodu. Dość mocny uścisk jak na takiego gryziopórka.

– Dziękujemy, kolego Mørck – powiedział z naciskiem. – Wystarczy! Dzisiejsze spotkanie dotyczy innej...

Carl wyswobodził rękę.

– W roku dziewięćdziesiątym siódmym przebywał na Bornholmie, gdzie uczestniczył w wykopaliskach kręgów rytualnych. To takie platformy podtrzymywane przez grube pale, gdzie czczono słońce, składano w ofierze kamienie i kości zwierząt. Wiemy z całą pewnością, że jest wyznawcą kultu słońca. Niewykluczone, że wciąż praktykuje. Wszystkie zgłoszenia dotyczące...

– Mørck, przestań natychmiast! – Bjørn podniósł ręce w stronę dziennikarzy. – Z tą sprawą wolelibyśmy poczekać, dopóki nie będziemy mieli więcej danych. Na dziś państwu dziękujemy. Wrócimy do sprawy morderstw gwoździarką, gdy śledztwo dotyczące duńskiej strony posunie się do przodu. Tymczasem...

– Można zgłaszać się bezpośrednio do Departamentu Q. Numer telefonu znajduje się pod zdjęciem – wskazał Carl. – Pracujemy pełną parą i czekamy tylko na twoje zgłoszenie. – Mørck wyciągnął palec wprost do kamery i podsunął zdjęcie jak najbliżej obiektywu.

Gdyby miał taką możliwość, toby pokazał znacznie więcej z zawartości swojej teczki, ale mimo wszystko są jakieś granice, jeśli człowiek chce zachować posadę.

Zostawił ksero zdjęcia na stole w sali briefingowej, ale Bjørn je zabrał, nim sięgnęli po nie dziennikarze.

– Marsz do mojego gabinetu – rozkazał Carlowi.

Niedziela 11 maja 2014

– O czym tak rozmyślasz, Shirley? – powiedziała Pirjo. Ujęła ją pod rękę i nachyliła się do niej. To było miłe. – Jesteś zadowolona? – spytała.

– Zadowolona? Chyba tak – skinęła głową.

Dziwnie się z tym wszystkim czuła. Zaledwie niecały roku temu wspinała się po schodach jednego z najbardziej efektownych domów w modnej dzielnicy Chelsea z Wandą u boku, podekscytowana jak dziecko przed Bożym Narodzeniem. To, czego wtedy doznała, było wspaniałe i stanowiło w jej życiu duży krok naprzód. Tamtego dnia naprawdę czuła, że tym razem nie trafiła na naciągactwo w stylu kursu radzenia sobie ze stresem, rozmów z duchami czy czegoś w tym stylu. Tym razem podjęła decyzję, że na serio postawi sobie wyzwanie i posłucha słów i wskazówek mądrego człowieka, jak radykalnie zmienić swoje życie. Potem zaś siedziała w domu z Wandą, plotąc o tym, jakie bajeczne wrażenie zrobił na niej Atu. Naprawdę poczuła ciałem i duszą, że spotkanie z jego światem wzbudziło w niej oczekiwania, ale w wypadku Wandy sprawy poszły jeszcze dalej. Wanda przepadła z kretesem.

I teraz to właśnie ona, Shirley z Birmingham, będzie codziennie wchodzić po tych schodach. To ją osobiście wybrał Atu, by zajmowała się rekrutacją nowych uczniów, takich jak Wanda. To ona będzie nadskakiwać Atu i pomagać mu, kiedy przyjdzie kolej na jego biuro w Londynie.

Czy powinna czuć się z tego powodu dumna i zadowolona? Tak, czemu nie? A jednak ważne pytania wciąż pozostały bez odpowiedzi. Bo gdzie jest Wanda? Co się stało z jej marzeniami o trwałej przemianie?

I co z nią samą? Czy właśnie tego pragnęła najbardziej przed zaledwie kilkoma godzinami? Miała przecież nadzieję, że zostanie przyjęta na stałe do ich kręgu w Akademii Absorpcji Natury, ale czy Pirjo nie miała racji, z bólem sugerując, że nie jest do tego właściwą osobą?

Jak człowiek pomyśli o wszystkich tych bezpodstawnych podejrzeniach, słowach i całej tej truciznie, którą wniosła w to promienne miejsce, to nie sposób się było z nią nie zgodzić.

A mimo to przyjęli ją do siebie i wykazali się ogromnym zaufaniem, powierzając jej to zadanie. Czy naprawdę na to zasługiwała?

Wydęła dolną wargę i spojrzała na Pirjo. Stała tam, taka delikatna i nieskazitelna, więc jak Shirley mogła w ogóle pomyśleć, że zrobiła to, co ona sugerowała? I tak naprawdę co niby zrobiła? Nawet tego nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Wanda zniknęła i że w ośrodku



znaleziono pasek podobny do jej paska. Po co w ogóle obarczała tych cudownych ludzi swoimi niedorzecznymi, strasznymi hipotezami? Po co obarczała samą siebie?

A teraz odpłacali się jej tym wymagającym zaufania zajęciem.

Shirley podniosła torbę, którą razem spakowały, obejrzała się za siebie i pożegnała ze swoim pokoikiem. Wyszły ramię w ramię na zewnątrz, otoczone zapachem morza, i udały w stronę miejsca, w którym miało dokonać się oczyszczenie umysłu Shirley.

Odtąd zrobi wszystko, by okazać się godną zaufania Atu i Pirjo i ze wszystkich sił spróbuje dorosnąć do powierzonego zadania. Odtąd będzie tak niewzruszona i lojalna jak najlepsi z najlepszych w ośrodku, ni mniej, ni więcej. Tak postanowiła.

Położyła rękę na ramieniu Pirjo.

– Tak, jestem zadowolona, choć to za małe słowo. Po prostu nie potrafię znaleźć właściwego.

Pirjo się uśmiechnęła.

– Więc go nie szukaj, Shirley, widzę to po tobie.

Wskazała na grupkę domów o szpiczastych dachach, budowanych w pewnej odległości na łąkach. Na tym terenie powstanie centrum numer dwa z własnym kręgiem solarnym, świetlicą i jadalnią. Pirjo wyjaśniła, że w ten sposób będzie można ponad dwukrotnie zwiększyć liczbę kursantów. Docelowo uczniowie i stali mieszkańcy starej części ośrodka mieliby spotykać się z tymi z nowego tylko przy porannym zebraniu. To projekt zakrojony na szeroką skalę.

– Wkrótce skończą budowę kręgu solarnego – oświadczyła Pirjo, wskazując do połowy zbudowaną platformę górującą nad porośniętą trawą łąką.

Skinęła głową zadowolona.

– A kiedy skończą za miesiąc z kawałkiem, ekipa zabierze się do wykańczania domów i świetlic. Jeśli chodzi o nową część, to w tej chwili właściwie tylko dom oczyszczeń jest gotowy. Zdradzę ci, że to bardzo piękny budynek. W każdym razie nikt jeszcze nie narzekał. Może dlatego, że to ty będziesz miała zaszczyt dokonać jego inauguracji. – Roześmiała się.

Shirley poczuła, że to faktycznie przywilej. A jednak musiała przystanąć na chwilę, by ochłoniąć, gdy Pirjo otwierała drzwi do domu o wysokich stropach i ścianach pokrytych drewnem.

– Proszę – powiedziała Pirjo. – Światło wpada przez dach, trzy jasne gatunki drewna, piękne, wielobarwne płytki i fantastyczne wykończenie, nie uważasz? Dom jest też izolowany, więc trzyma temperaturę w zimie.

– Tak, jest naprawdę bardzo piękny – odparła cicho Shirley. Dostrzegła wszystko, o czym wspomniała Pirjo, ale również to, że światło wpadało do domu wyłącznie przez partię okienną w dachu, jakieś sześć, siedem metrów od podłogi. Czyli spędzi tu kilka tygodni, nie widząc, co dzieje się na zewnątrz. Nie mając na co dzień innych kolorów niż te żółtawe ściany i nakrapiane szaro płytki.

– Trochę tu surowo – stwierdziła, nieco zafrasowana.

Pirjo poklepała ją po ramieniu.

– Poradzisz sobie, Shirley, jestem pewna. Dasz odetchnąć zmysłom. Kiedy twój pobyt dobiegnie końca, będziesz myśleć o tym czasie jako o najlepszym doświadczeniu w twoim życiu. Więc wycisz się, czytaj teksty, medytuj na temat pełnych mądrości zdań i słów Atu i rozmyślaj nad swoim życiem. Zobaczysz, że czas minie ci szybciej, niż sądzisz.

Shirley skinęła głową i odstawiła torbę na wąską kozetkę. Oprócz niej w pokoju znajdowały się tylko twarde krzesło i okrągły dębowy stół. Ale przynajmniej jest miejsce, by stawiać pasjansa.

– Tam masz toaletę i prysznic, skąd również możesz nabierać wody – powiedziała Pirjo, wskazując na drzwi. – Raz w tygodniu przyniesiemy ci odzież na zmianę, czyste ręczniki i pościel. I tak jak cała reszta, trzy razy dziennie będziesz otrzymywała posiłki. Najprawdopodobniej ja będę ci je dostarczać, ale może się zdarzyć, że przyniesie je ktoś z sekcji kuchennej, to się jeszcze okaże. – Uśmiechnęła się, ujmując Angielkę za rękę i wkładając w nią niebieski, ręcznie zapisany notesik.

Shirley ostrożnie go otworzyła i musnęła palcem jedną ze stroniczek.

– To nie wygląda na pismo Atu – stwierdziła.

– Bo nim nie jest, ale on mi wszystko podyktował, każde słowo. Znajdziesz tu wszelkie jego wskazówki odnoszące się do rytuałów okresu oczyszczania – odparła Pirjo. – Bardzo łatwo się je czyta, ale tak to zawsze jest z myślami Atu. Jeśli z jakiegoś powodu będziesz miała do nich pytania, to czasami Atu osobiście tu przychodzi, by ułatwić drogę do pełnego zrozumienia.

Shirley odchyliła głowę do tyłu, oszołomiona tą informacją. Atu naprawdę tak robił?

– W takim razie na pewno czegoś nie zrozumiem. – Potrząsnęła lekko głową, uśmiechając się z własnego żartu.

Pirjo też się uśmiechnęła.

– Myślę, że możemy zaczynać, jak uważasz?

Shirley nieco się ociągała.

– Tak, ale jeśli nie będę potrafiła przeprowadzić oczyszczania? Mogę je przerwać?

– Shirley, nie martwmy się na zapas. Jestem pewna, że będziesz potrafiła. Inaczej Atu by cię nie wybrał, a on wie takie rzeczy. On cię widział, Shirley.

Uśmiechnęła się. Naprawdę ją widział? Jakie to miłe uczucie.

– Oddaj mi zegarek. W przeciwnym razie przez pierwszą dobę będziesz na niego spoglądać co kwadrans. Chcę ci tego oszczędzić.

Shirley wykonała polecenie. Poczuła się obnażona, gdy zabrano jej nawet czas.

– Tak sobie myślę, Pirjo... a jeśli się rozchoruję? Nie żebym zamierzała... – uśmiechnęła się. – Ale będę mogła wówczas kogoś tu poprosić? Będzie mnie słychać na zewnątrz, jeśli krzyknę, gdy ktoś będzie przechodził?

Pirjo włożyła zegarek do kieszeni i pogładziła ją po policzku.

– Na pewno tak, kochana. No to trzymaj się, do kolejnego spotkania!

Pożegnała się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Klucz przekręcił się w zamku dwukrotnie, co wydawało się lekką przesadą.

Shirley została sama.

Poniedziałek 12 maja 2014

– Czy ty już do reszty zwariowałaś, Carl? – Ataki zaczęły się już w sekretariacie.

Oczy wszystkich kolegów utkwione były w Mørcku. „Dobrze, że nie jestem na jego miejscu” – można było wyczytać na niektórych twarzach. „Idiota” – wyrażało jeszcze więcej, a siedząca za kontuarem siostrzenica Bjørna otwarcie się śmiała. Ale z nią policzy się, jak już wyjdzie.

– Tyle cię dzieli od zawieszenia – oświadczył na dzień dobry szef Wydziału Zabójstw Lars Bjørn, gdy Mørck wszedł do jego gabinetu. Swoją wypowiedź zilustrował, zbliżając do siebie długie, sękaty palce, między które ledwie dałoby się włożyć kartkę papieru.

Potem nastąpiła długa tyrada o nielojalności, braku wyczucia, niesubordynacji i lekceważeniu świetnej roboty kolegów. Carl nie odezwał się nawet słówkiem. Myślał tylko o tym, ile ludzi może wgapiać się w TV2 News o tak nieludzko wczesnej porze.

– Słyszysz, co mówię, Carl?

Mørck uniósł wzrok.

– Tak. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy gdyby ciebie bez ostrzeżenia zawleczono tu wczesnym rankiem, usadzono w świetle reflektorów i skonfrontowano z bronią, która zniszczyła życie twoim kolegom, o tobie samym nie wspominając, to czy poczytałbyś to jako wyraz szacunku, lojalności i wyczucia sytuacji?

– Nie wykręcaj kota ogonem. Zignorowałaś polecenie służbowe i zastanawiam się, co mam w tej sytuacji zrobić.

– Mógłbyś na początek dać mi lepsze warunki do pracy i podziękować za to, że tak poważnie podchodzę do rozwiązywania spraw powierzonych komendzie – odparł Carl, kierując się do drzwi. I tak nie miał ochoty słuchać tego durnia.

– Stój! – Lars Bjørn pobladł, ale głos miał lodowaty. – Relacja między nami nie jest symetryczna. To ja wydaję polecenia służbowe, a twoim zadaniem jest tylko je wykonywać. Jeśli jeszcze raz publicznie mnie upokorzysz albo odezwiesz się do mnie tak jak przed chwilą, to wracasz na wygwizdowo, z którego przybyłeś, rozumiemy się? Słyszałem, że w Zadupiewie Górnym czekają miejsca pracy.

Gdy Carl w końcu został wyproszony, siostrzenica wciąż szczyrzyła zęby i prezentowała dołeczki na policzkach.

Mørck podszedł do kontuaru i spojrział na nią martwym wzrokiem.

– Mój ty miły trollu. Zakładam, że ukazujesz swoje idealne, pokryte porcelaną uzębienie, by zademonstrować, że show ci się podobał. Że widok wujaszka Bjørna, który traci nad sobą kontrolę, sprawił ci radość. Że miałaś ubaw, gdy zrzucił maskę, zgadza się? Bo jeśli nie, to...

– Dokładnie tak. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Ale komedia. Moja mama się ucieszy, jak o tym usłyszy. Też go nie znosi.

Brwi Carla wykonały szpagat.

– Twoja mama?

– Tak, mój tata jest bratem Larsa i jest zupełnie taki jak on. To dlatego mama się z nim rozwiodła.

Lis, niekoronowana królowa kontuarowej krainy, poklepała dziewczynę po ramieniu.

– Louise, w takim razie możesz iść pomagać im tam na dole. Słyszę, że Catarina, ta, którą zastępujesz, jest na schodach.

Zarówno bratanica, jak i Lis posłały Carlowi szerokie uśmiechy. W ten sposób sztywne nogi uginają się pod człowiekiem jak rozgotowane szparagi.

Za to koniec zastępstwa i powrót etatowej sekretarki bynajmniej nie był radosnym wydarzeniem. Miejsce bohaterki *Słonecznego patrolu* za kontuarem zajęła Wilczyca Ilse o lśniącym czole, wilgotnych rzęsach, przylizanych włosach i oczach, które potrafiły zabić w człowieku radość z odległości stu metrów. „Nie gap się tak na mnie” – mówiły. Już lepiej skoczyć na bungee z beczką na głowie, niż wdawać się w pojedynek werbalny z podenerwowaną panią Catarina Sørensen podczas uderzenia gorąca, więc Carl od razu zrezygnował z obowiązkowego flirtu z Lis i dał sobie spokój.

– Myślisz, że miło się czuć tak, jak teraz się czuję, ty brzuchaczu? Lepiej idź do naszej drogiej psycholożki i sam ją o to spytaj.

Carl ściągnął brwi. Czyżby Mona się tak czuła? To menopauza?

Spojrzał na siebie. Brzuchaczu? Czyżby była nieuprzejma? A może po prostu koszula jest za luźna?

Wtedy poczuł wibracje w tylnej kieszeni spodni. Wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz: Hardy.

– Widziałem wszystko na TV2 News – powiedział.

– Jasne – odparł Carl. – Potem dostałem niezły opierdół, ale przynajmniej pojawiła się szansa, by odnaleźć faceta, którego szukamy.

– Tak, oczywiście, podjąłeś ryzyko i teraz musisz ponieść konsekwencje. Ale mi chodzi o samą konferencję prasową. Ten zamordowany gość w kanale, Rasmus Bruhn, mówi ci to coś?

– Nie, gównu mi to mówi. – Spojrzał na panią Sørensen, która skomentowała jego słownictwo, wywracając oczami.

– Nie rozumiem, Carl, i to mnie niepokoi.

– O co ci chodzi?

– Zdziwiłem się, że nic nie powiedziałaś, gdy wyświetlili zdjęcie zamordowanego na ekranie.

Carl odsunął się od kontuaru.

– Że nic nie powiedziałem? Niby co miałem mówić? Nigdy przedtem go nie widziałem, Hardy.

– Owszem, widziałeś. Spaliłeś mu prawo jazdy na ulicy.

– Co zrobiłem? – Carl pomachał obu paniom za kontuarem i zniknął na schodach. – Przypomnij mi, Hardy, pamiętam jak przez mgłę. To było podczas zatrzymania?

– Oj, daj spokój, Carl. Ty, ja i Anker siedzieliśmy w Montparnasje i obżeraliśmy się smażoną wieprzowiną. To były twoje urodziny w dwa tysiące piątym roku. Chcieliśmy poświętować, ale twoja Vigga właśnie się wyprowadziła. Kiedy biadoliłeś, przysiadł się do nas naprany facet i zaczął szarpać Ankera.

– Coś mi świta. I co było potem?

– Był pijany jak bela i opowiadał jakieś głupoty, które rozumiał tylko Anker. Wtedy Anker mu przywalił, a ty wszedłeś między nich. Ty, ja i kelner wywlekliśmy go na ulicę; facet zaczął się do nas rzucać i groził nam kluczykami do samochodu.

– Tak, i ja mu je zabrałem, coś tam pamiętam. Dałem kluczyki kelnerowi.

– Owszem, żeby ten neptek mógł je odebrać, jak już wytrzeźwieje.

– I wtedy uderzył mnie w oko. Cholera, wszystko powoli do mnie wraca.

– To dobrze, Carl. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. – W jego głosie pobrzmiwał sarkazm, co Mørckowi się nie podobało. Czyżby sądził, że kłamie z rozmysłem? – Chcąc go ukarać, zabrałeś mu prawo jazdy i podpaliłeś swoim ronsonem.

– To ten facet? Jesteś pewien?

– Całkowicie.

Carl skinął głową do Bente Hansen, jednej z najzdolniejszych śledczych komendy, gdy mijała go na schodach. Po ostatniej ciąży poszerzyła jej się pupa, pomyślał z pewną nostalgią. Kiedyś miała słabość do Ankera. To było dawno temu. Wszystko było dawno.

Spróbował się skupić.

– Hardy, dawno temu mówiłeś o swoich podejrzeniach wobec Ankera, jakoby miał coś wspólnego ze strzelaniną na Amager.

– Tak, i teraz jestem tego pewien bardziej niż kiedykolwiek. Trzeba jeszcze dodać jeden szczegół do tej historii.

– To znaczy?

– Przecież wiesz.

– Skąd!

– Gdy spaliłeś jego prawo jazdy, to ten Rasmus Bruhn wskazał na ciebie, nie pamiętasz, co powiedział?

– Nie.

– Groził ci i krzyczał „Zapamiętam to sobie... Carl!”. Znał twoje imię, a wiem, że ani razu nie padło podczas całego zajścia.

Carl zamknął oczy, opierając się o ścianę. Do kurwy nędzy, dlaczego Hardy dopiero teraz o tym mówi? Gdyby zrobił to wtedy, on na pewno podałby jakieś wyjaśnienie.

– Posłuchaj, Hardy. Jeśli Anker i ten facet mieli ze sobą do czynienia, to przecież nasze imiona, jako kolegów, mogły paść podczas rozmowy.

– Mojego imienia nie znał. Kazał mi się trzymać z daleka. „Nie mieszaj się w to, wieśniaku!” – krzyczał.

– Hardy, słuchaj no. Chyba cierpisz na jakieś omamy. Nie znam gościa i dziś go nie rozpoznałem, okej? Minęło już dużo czasu i w przeciwieństwie do ciebie, cały czas jestem bombardowany nowymi...

Rozległo się westchnienie i połączenie zostało przerwane.

Cholera jasna, że też musiał z tym wypalić!

– Boże wszechmogący, oto mój bohater! – brzmiały słowa, którymi Rose przywitała go na korytarzu. Rzuciło jej się na mózg? Może kadzidełka Assada, namiętność Gordona i jej własne, dziwaczne pomysły spowodowały spięcie przekaźników w jej osobliwych szarych komórkach? Bo to chyba nie był... podziw?

– Postąpiłeś odważnie, Carl. Dzięki twojemu występowi mieliśmy już parę telefonów. Jeden całkiem obiecujący. Assad właśnie rozmawia z tą panią. – Wskazała na otwarte drzwi do gabinetu, gdzie siedział Assad ze słuchawką przyklejoną do ucha.

– Okej, to dobra wieść. Rozpoznała faceta?

– Nie, ale chyba rozpoznała volkswagena.

– To znaczy? Przecież są ich setki.

– Ale nie z pacyfą namalowaną na dachu.

Carl wszedł do gabinetu Assada i Gordona.

– Daj mi z nią porozmawiać – wyszeptał, ale Assad opędzał się od niego wolną ręką. Naprzeciwko niego Gordon nachylał się nad blatem biurka.

– Carl, podłączyłem nasze telefony do komputerów – powiedział ściszym głosem. Wskazał na cienki kabel, biegnący z wyjścia audio telefonu do komputera. – Wystarczy, że naciśniesz strzałkę na dole ekranu, o tu, i możesz odebrać połączenie. – Pokazał na swoim ekranie. Wyglądało to stosunkowo łatwo, więc Carl kiwnął głową z uznaniem.

– Mam dla ciebie jeszcze to – powiedział, podsuwając mu kartkę.

Jej treść głosiła:

1. Targi zdrowia i uzdrawiania, wtorek 13.05.2014 – piątek 16.05.2014, Frederiksborghallen w Hillerød
2. Laursen przyjdzie do ciebie, jak po niego zadzwonisz.

Carl kiwnął głową; w tym samym momencie Assad odłożył słuchawkę.

– Hej, co robisz? Chciałem z nią porozmawiać.

– Niestety, jest pielęgniarką operacyjną i w tej chwili jest w pracy, więc nie da rady, Carl. Nazywa się Kitte Poulsen, śmiesznie, nie? Mieszka w Kuala Lumpur i jedyną telewizją, jaką tam ogląda, jest TV2 News w internecie. Zazwyczaj ogląda ją w przerwie na lunch. Czyli mieliśmy farta.

W Kuala Lumpur? Gdzie tu fart?

– Korniszon prawdopodobnie należał do jej ojca. Mówiła, że do połowy lat osiemdziesiątych był bardzo aktywnym działaczem na rzecz pokoju. Nazywał się Egil Poulsen. Od dawna nie żyje, ale jego żona wciąż mieszka w ich starym domu. Kitte mówiła, że ostatnio widziała furgonetkę, jak była w domu na Boże Narodzenie. Stoi w ich ogrodzie w Brønshøj ze zdjętymi blachami.

„Na wszystkie święte przepisy i hierarchie Komendy Głównej, przecież to fantastyczne!” – pomyślał Carl. Czego w ciągu siedemnastu lat nie udało się dokonać połowie populacji Bornholmu i większości policjantów wyspy, Departament Q dokonał w niecałe dwa tygodnie. Zaledwie niecałą godzinę po konferencji prasowej już są pierwsze efekty. Zaprezentowanie ich Bjørnowi będzie po prostu wyborne.

Carl mało nie wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ta córka wiedziała coś o Franku? – spytał.

– Nie, ale o ile się orientuje, to wszystkie teczki z informacjami o przyjaciółach jej ojca z ruchów pacyfistycznych i o wszystkich wydarzeniach, w których uczestniczył, leżą na którejś półce w jego dawnym gabinecie, więc sami możemy sprawdzić.

– To ruszamy, masz adres, Assad?

– Tak, ale wstrzymaj się, Carl. Musimy poczekać do jutra.

– A to dlaczego?

– Bo ta pani właśnie była z wizytą u córki w Malezji i wraca do domu samolotem British Airways. Ląduje na lotnisku w Kastrup jutro za dziesięć pierwsza, możemy ją odebrać.

– Okej, Assad, w porządku. Gordon, zadzwoń do Laursena i powiedz mu, że jestem u siebie. Niech wpada, kiedy mu pasuje.

Wtedy rozdzwoniły się naraz telefony Gordona, Assada i wszystkie pozostałe aparaty w całej piwnicy. Prawdziwe oblężenie.

Wyśmienicie!



Sto osiemdziesiąt telefonów i półtorej godziny później Carl nie był już takim chojrakiem. Rose też nie.

– Do niczego to wszystko – orzekła, stojąc w drzwiach, gdy jej telefon znów się rozdzwonił.

– Dzwonią wszystkie możliwe ciotki, doprowadzają mnie już do szału. Niektórzy chcą kupić volkswagena, kiedy go znajdziemy, inni dzwonią, bo na pierwszym planie zobaczyli jakiś superfajny zabytkowy samochód i chcą poznać jego markę. Ludzie nie mają skrupulów, są durni i wkurzający. Carl, nie możemy po prostu odłożyć słuchawki?

– Czyli nie trafiło się absolutnie nic sensownego? – spytał.

– Nic.

– Okej. W takim razie przekieruj wszystkie rozmowy do Gordona i przyprowadź mi Assada.

Po upływie dwudziestu sekund z gabinetu Assada dobiegł ryk. Czyli Gordon wiedział już, że znalazł się w potrzasku.

– Mam dla was kilka zadań – oznajmił Carl, gdy pojawiła się przed nim niedobrana para jego współpracowników. – Przed chwilą zostało nagrane zgłoszenie potwierdzające, że volkswagen z Brønshøj to rzeczywiście ten z pacyfą na dachu. Posłuchajcie. – Włączył nagranie z komputera.

Niski kobiecy głos odchrząknął.

– Halo, nazywam się Kate Busck, nie Kate Bush, choć śpiewam równie dobrze – zaśmiała się chrapliwym głosem, pasującym raczej do kolesi w stylu Roda Stewarta czy Bryana Adamsa. – Dobrze pamiętam to auto z pacyfą. Było między innymi na demonstracji przy amerykańskiej ambasadzie w osiemdziesiątym pierwszym. Pamiętam, że pełniło funkcję sekretariatu. Wydaje mi się, że jego właścicielem był niejaki Egil, Egil Poulsen. Ale on pewnie już nie żyje. To on namalował pacyfę na dachu. Jeśli macie ochotę, możecie zobaczyć ją na zdjęciu z lotu ptaka, na którym uwieczniliśmy amerykańską i rosyjską ambasadę. Zabawnie się składa, no i też symbolicznie, że obie ambasady oddziela tylko cmentarz – zaśmiała się.

Carl zatrzymał odtwarzanie.

– Całe nagranie trwa pięć minut i jest zupełnie nie na temat. Widać dobrze się bawiła – stęknął. – Assad, poproszę cię, byś do niej zadzwonił. Musimy sprawdzić, czy może nie wie czegoś więcej. Może ten Frank był wolontariuszem przy którejś demonstracji, a nuż poznał tam Egila Poulsena. Na początku lat osiemdziesiątych był dość młody, więc to raczej nieprawdopodobne, ale nie zaszkodzi spytać.

Assad kiwnął głową.

– Ja też miałem telefon. Nagrałem go tu. – Uniósł swój smartfon. To tak można?

Gdy wcisnął przycisk „play”, rozległ się kwaśny jak ocet kobiecy głos, z tych, których nie sposób słuchać dłużej niż minutę. Carl ostatnio słyszał podobny koncert wyrzekania, kiedy jego matka musiała wytłumaczyć ojcu, dlaczego siadanie do stołu z gołym torsem nawet w trzydziestostopniowym upale nie jest dopuszczalne.

– Czy wiem coś na temat tego paskudnego samochodu? – zaskrzeczała. – Owszem, stoi tu, granicząc z naszym żywopłotem od Bóg wie jak dawna. Człowiek jest przez cały rok skazany na widok zardzewiałego metalu i brudnych szyb. W kółko powtarzałam Egilowi, że ma się pozbyć tej kupy złomu, ale czy zrobił to, zanim umarł? Oczywiście, że nie! Bo właśnie taki był w większości spraw: było mu wszystko jedno. Ale teraz wy go usuniecie, bo jak rozumiem, ten samochód ma związek z jakąś sprawą kryminalną. Dlaczego mnie to nie dziwi? Ale to wy jesteście od tego, by zrobić z tym porządek, od czego w końcu mamy policję. A, i plandeka, którą był nakryty, zerwała się podczas burzy i wylądowała na żywopłocie, oczywiście tak, że nie można jej osiągnąć. Stało się to jeszcze zanim... nie wiem dokładnie, ile to czasu, czy to było w dwa tysiące trzecim? Czy może po tym, jak...

Assad zatrzymał nagranie.

– Ryczy jak wielbłąd, który najadł się piasku.

Carl zastanowił się, co, u licha, mogłoby skłonić wielbłąda do takich poczynań.

– Proszę, byś pojechała do Hellerup, do rodziców Alberte – zwrócił się do Rose. – Dzwonili niedawno do sekretariatu z wiadomością, że przysłano im rysunki Alberte z tej wystawy na uniwersytecie ludowym, do której nigdy nie doszło. Nie rozumiem, dlaczego sekretarka ze szkoły postanowiła wysłać je do rodziców, skoro to my ją o nie prosiliśmy. Podobno państwo Goldschmidowie byli tym bardzo poruszeni i prosili, by jak najszybciej je odebrać. Przekaż im, że zrobimy kopie rysunków, gdyby jednak w którymś momencie zechcieli je odzyskać.

Spojrzała na zegarek.

– Jeśli mam się tym zająć, to dziś już nie wrócę.

Carl jakoś to przeżyje.

Kiedy już poszli, Mørck cichutko odłożył słuchawkę i oparł nogi o blat biurka. Nieobecność Rose oznaczała automatycznie czas na papieroska.

Włączył telewizor, odszukał TV2 News i w pierwszej kolejności zobaczył na ekranie własną głowę reklamującą sprawę, dzięki której Lars Bjørn barwą oblicza przypominał rudzielca po przypadkowej drzemce na tropikalnej plaży.

„Bardzo dobrze wyglądasz, Carl” – pomyślał na swój widok. Może należałoby poszukać pracy w charakterze prezentera telewizyjnego.

Przesunął wzrok na tablicę z wszystkimi sensownymi i niedorzecznymi wątkami. Wycinki z gazet, różne zdjęcia i fragmenty map Bornholmu – wszystko poprzipinane kolorowymi pinezkami.

Zapowiadało się tak prosto: zdjęcie z wypadku, świetlicy w Lis-ted, lokalizacja szkoły i innych istotnych dla śledztwa miejsc, informacje na temat osób związanych ze sprawą. Zwyczajna historia wypadku drogowego i człowieka, który po prostu chciał się dowiedzieć, kto to zrobił.

Szkopuł w tym, że kiedy próbowało się zrozumieć tę sprawę, to nasuwały się pytania, z których każde wskazywało w innym kierunku. Zastanawiające, że Alberte tak wczesnym rankiem pojechała rowerem boczną drogą, dość oddaloną od szkoły. Widocznie było to miejsce dla niej ważne. Ale dlaczego pojechała tam o tej porze? W sposób oczywisty nasuwała się myśl o umówionym spotkaniu, podobnie jak to, że miała się tam spotkać z facetem, w którym była zakochana. W przeciwnym razie po co bladym świtem pędzić na złamanie karku? A może to nie takie oczywiste?

Skąd wiedziała, kiedy przyjechać? Czy umówili się poprzedniego dnia? A może po prostu zawsze spotykali się w tym samym miejscu o tej samej porze?

Carl sięgnął do szuflady po cyrkiel i wstał.

Alberte sporo jeździła na rowerze, ktoś powiedział, że kochała tamtejszą przyrodę. Kto to był, do licha? Zaciągnął się głęboko papierosem, zazwyczaj pomagało. A skoro nie pomogło, zaciągnął się powtórnie. Czy to nie woźny ze szkoły? Skinął głową. Owszem, to on. To również on mówił, że Alberte często potrafiła zniknąć na pół godziny. Facet jest wyjątkowo spostrzegawczy.

Carl spojrzał na zdjęcie urodziwej dziewczyny. Piękna, młoda i silna, więc zasadniczo nic w tym dziwnego, że potrafiła jechać na rowerze w tempie minimum dwudziestu kilometrów na godzinę.

Jeśli miałyby zdążyć w tę i z powrotem w ciągu pół godziny, aby załatwić to, co chciała, to odległość do miejsca spotkania lub punktu, gdzie zostawiali sobie wiadomości, nie mogła przekraczać pięciu kilometrów, zakładając, że chwilę tam jednak spędziła.

Wziął cyrkiel, odmierzył pięć kilometrów, posługując się skalą mapy, po czym wbił igłę w miejsce, gdzie mieścił się uniwersytet ludowy, i nakreślił pięciokilometrowy okrąg.

Owszem, drzewo mieściło się w obrębie okręgu; mogło się tam znajdować miejsce schadzek i zostawiania sobie wiadomości. Całkiem romantyczny zakątek, dopóki nie wydarzyła się tragedia.

Podrapał się po karku. To tylko domysły, prawda mogła być zupełnie inna. Pytanie brzmiało przecież, co tam robiła. Jeśli zamierzała się z kimś spotkać, musieli to ustalić wcześniej – ustnie lub pisemnie. Oczywiście mogła też tego ranka pojechać pod drzewo, by sprawdzić, czy tajemniczy kochanek nie zostawił dla niej karteczki. W takim razie jechała na próżno, bo policja niczego nie znalazła. Chyba że wiadomość została zabrana później, ale nie przez Alberte, bo przecież wisiała na drzewie.

Nie, zbyt wiele tu możliwości. Nie ma sensu się z tym zmagać. Spojrzał z westchnieniem na okrąg wyrysowany wokół szkoły. „Alberte, co, do diabła, robiłaś tam tak wcześniej?”

– Cześć, grubasku – rozległo się w drzwiach.

Carl się odwrócił. Był to Tomas Laursen dzierżący w ręku dwie filiżanki.

– Dlaczego odłożyłeś słuchawkę? Nie można się do ciebie dodzwonić.

Carl umieścił słuchawkę na widełkach i po pięciu sekundach telefon się rozdzwonił.

– Dlatego! – odparł. – Jest przełączony do Gordona i Assada. Ten tutaj nagrywa zgłoszenia, których Gordon nie zdąży odebrać.

– Są jakieś efekty?

Carl zakołysał ręką.

– Owszem, coś tam jest. Nawet sporo.

– Powiedz Assadowi, żeby już nie szukał zdjęcia tej sklejki.

– Aha, czyżby techniczni je znaleźli?

– Nie. – Laursen usiadł i podsunął Carlowi filiżankę. – Nie jest już gorąca, ale to jamaica blue mountain. Nigdy nie kosztowałeś nic podobnego.

Kawa pachniała obłędnie. Carl wziął łyk i z rozkoszy wzniosł oczy do sufitu. Świeża, słodkawa, aromatyczna, bez cienia goryczy. A niech to, o niebo lepsza od wielbłądzich szczyń Assada.

– Nie uzależniaj się, to tylko próbka. Kosztuje kupę kasy, więc na pewno nie będę jej serwować naszym burakom – zaśmiał się. – Ale do rzeczy. W dziale technicznym odszukali wszystkie stare analizy. Mogą potwierdzić, że znaleziony odłamek pochodzi ze sklejki. Ale w wyniku dyskusji stwierdzili z całą pewnością, że znaleziona w wodzie płyta nie mogła być tą, która uderzyła Alberte Goldschmid. Za pomocą nawiertów opisanych przez Habersaata nie można było jej przymocować do auta typu ogórek. Nie miałyby to sensu, chyba że w tych wylotach umieszczono haki. Ale do czego by je przymocowano? – pytają techniczni. Jeśli do tego wyżłobienia pod wycieraczkami, to podczas zderzenia roztrzaskałaby się i szyba, i płyta, a w takim razie technicy znaleźliby odłamki, nawet gdyby na miejscu wypadku gruntownie posprzątano, a nic na to nie wskazuje.

Poza tym technicy mówią, że nie dałoby się odrzucić kobiety na drzewo za pomocą samego zderzaka volkswagena. Mówią, że trzeba by do tego odpowiednio przystosowanego pługu.

Krótko mówiąc, nie wierzą, że użyto do tego znalezionej płyty, choć oczywiście może być jeszcze zupełnie inne rozwiązanie.

– Ech, no to jesteśmy w punkcie wyjścia – odparł Carl.

Zapalił sobie papierosa na pocieszenie i poczęstował Laursena.

Wreszcie można sobie z kimś pogrzezyć.

Niedziela 11 maja i poniedziałek 12 maja 2014

Przez pierwszą godzinę Shirley miała wątpliwości co do swojej nowej sytuacji.

Mimo że większość dorosłego życia spędziła we własnym towarzystwie, zawsze była istotą społeczną. A nawet gdy człowiek jest sam, ma do dyspozycji wiele sposobów, by nie czuć się samotnym, więc kiedy Shirley siedziała w domu, a Wanda i inne koleżanki nie miały czasu, chętnie słuchała radia, oglądała opery mydlane w telewizji, rozmawiała przez telefon i wyglądała przez okno. Tu w ośrodku również miała kilkoro przyjaciół, z którymi raz na jakiś czas spędzała miłe chwile. Może nie było to ekscytujące życie, ale wiele osób miało gorzej.

Tu w pokoju oczyszczeń nie było absolutnie nic, co mogłoby dostarczyć jej rozrywki. Brak kontaktu z kimkolwiek, żadnych bodźców z zewnątrz, tylko mała niebieska biblia Akademii Absorpcji Natury, talia kart i okno wychodzące na niebo, po którym płynęły chmury. Do tego trzeba się będzie przyzwyczaić.

I właśnie w tej próżni Shirley zupełnie niespodziewanie zaczęła rozmyślać. Nie o codziennych czynnościach, nie o palących problemach, lecz o tematach abstrakcyjnych i niezwykłych, które pojawiły się w pakiecie wraz z poczuciem uprzywilejowania.

„Zostałam wybrana” – docierało do niej powoli. „Wybrali mnie na swojego ambasadora w Londynie, to wielka sprawa”.

Zgodnie z pierwszą stroną podręcznika Atu, już dziesiątego dnia zacznie czuć się wolna od wszelkich doczesnych pokus i wszystkiego, co zbędne. W dwudziestym dniu poczuje się oczyszczona, a gdy minie cały przeznaczony na to okres, odrodzi się jako nowa osoba, żyjąca w zgodzie z naturą i życiową mądrością Atu.

To przecież dlatego siedzi teraz w tym pustym, wyłożonym drewnem, mdłym pomieszczeniu, musi o tym pamiętać. Została wybrana! Wybrana! To takie piękne słowo, nigdy przedtem się tak nie czuła. Wytykana, owszem, kiedyś tak! Wytykana, wyszydzana, bo była za gruba, za głupia, niestosownie się ubierała, a bywało, że też zbyt stosownie.

Wybrana i wytykana – ile dzieli te dwa słowa.

I ku własnemu zdumieniu przez dobrą chwilę Shirley czuła się wręcz szczęśliwa. Stan ten trwał, dopóki nie zaczęło jej burczeć w brzuchu, a słońce już dawno przestało wpadać przez szyby w dachu.

Czy kilka godzin temu nie powinna była dostać jedzenia? Szkoda, że nie ma zegarka. Bo chyba już dawno po czasie, w którym wyznawców wzywano na popołudniowy posiłek i wspólną medytację? Czuła to zarówno w duszy, jak i w żołądku.

Gdzie więc podziewa się Pirjo?

Pod wieczór doszła do wniosku, że musiała coś źle zrozumieć. Pewnie Pirjo miała na myśli, że dopiero drugiego dnia Shirley będzie zaopatrywana w jedzenie tak jak pozostali. Że na wstępie powinna przejść krótki post.

Zdawszy sobie z tego sprawę, sięgnęła po biblię Akademii i powoli i dokładnie przeczytała, co zdaniem Atu wyznawca powinien osiągnąć podczas okresu oczyszczania oraz jakie rytuały należy przejść, by zyskać maksymalne korzyści z dobrowolnej izolacji.

Dobrowolnej! Zatrzymała się na dłużej nad tym słowem. Owszem, to się chyba zgadzało. W każdym razie nikt siłą jej tu nie zaciągnął. Zrobiła to z własnej woli.

Wróciła więc do lektury, ale we wskazówkach Atu nie znalazła opisu rytuału przypominającego ten, który sama ma przejść. Ani słowa o poście, o wyżywieniu, praniu i praktycznych sprawach.

Najpierw ją to zdziwiło.

Potem zmartwiło.

A gdy dotarła do trzydziestej piątej strony, miała już pewność, że coś tu nie gra.

„Teraz wracają z rytuału porannego nad morzem” – pomyślała, gdy promienie porannego słońca wpadały rykoszetem przez szybę w dachu.

Czyli ekipa budowlana, stawiająca nowy krąg solarny, za kilka minut się tu stawi. Wprawdzie kilkaset metrów stąd, ale jeśli wrzaśnie odpowiednio głośno, to powinni ją usłyszeć.

Siedziała na kozetce, kiwając głową. Pytanie tylko, jak właściwie interpretować to, co się dzieje. Przecież oskarżyła Pirjo o brzydkie rzeczy, a teraz tu siedzi. Można by pomyśleć, że to coś w rodzaju zemsty lub może próby, takich jak te, na które Bóg wystawił Abrahama czy Mojżesza? Czy to próba siły, jak czterdzieści lat wędrowania przez pustynię, czy niedole Hioba? Chcą sprawdzić jej lojalność i wiarę w to, co Akademia Absorpcji Natury może dla niej zrobić?

Zmarszczyła czoło. Dlaczego powiedziała „oni”? Czy to raczej nie wygląda na sprawkę Pirjo? Czy nie była to przypadkiem jej suwerenna decyzja i samodzielne posunięcie?

Shirley odchyliła głowę, spoglądając w płynące chmury i kołysząc się na boki. Największe pocieszenie podczas wszelkich prób zawsze było takie samo: pieśni flisaków harujących na Donie jak woły. Gospel czarnych niewolników i blues na polach bawełny, czy śpiew matki pocieszający chore dziecko.

– Śpiew odgania wszelkie troski – mamrotała zawsze jej matka, pokłóciwszy się z ojcem Shirley. – A jeśli śpiewa się wystarczająco głośno, to odgoni i męża – dodawała zazwyczaj. I miała rację.

Shirley się uśmiechnęła.

„Ten, kto nie płaci podatków, może sobie śpiewać, rzekł chłop do skowronka” – odparowywał często ojciec, kiedy był w jakim takim nastroju.

I któregoś pięknego dnia w ich domu śpiew ustał.

Shirley przez kwadrans siedziała, nucąc i nasłuchując odgłosów życia. Ale gdy nie usłyszała ani uderzeń młotki, ani pokrzykiwania z budowy kręgu solarnego, doszła do wniosku, że i oni jej nie usłyszą.

A może za wcześnie jeszcze podnosić larum? Pewnie tak.

„Głód zagłuszaj śmiechem i piosenką” – mawiał jej ojciec, gdy miała szlaban i nie dostawała kolacji do pokoju. Potem śpiewała bez skrępowania i pełnym głosem przez jakąś godzinę.

Piła litrami wodę, nabierając jej w umywalce, i próbowała zignorować głód. Musiała zrobić wszystko, by nie dać się czarnym myślom. Przeczytała kilkakrotnie podręcznik. Przeprowadzała codzienne rytuały, wypowiadała mantry, zanosila modły do Horsa, powtarzała mądrości Absorpcji Natury i próbowała zanurzyć się tak głęboko w medytacji, że zastąpiło jej to sen.

Gdy w ten sposób minęło półtorej doby, zaczęła wołać o pomoc.

A gdy struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa, dała sobie spokój.

Poniedziałek 12 maja 2014

– Rozmawiałem z tą Kate Busck!

Carl parokrotnie zamrugął. Czyżby przysnął?

Spojrzał po sobie: jedna noga w szufladzie, druga w koszu na śmieci. Owszem, musiał uciąć sobie drzemkę.

– Kate Busck? – zmrużył oczy i kiwnął głową do Assada, próbując oprzytomnieć. Czyżby śniła mu się Mona? I kim, do cholery, jest Kate Busck?

– To ta pani, która знаła faceta od volkswagena ogórka, Egila Poulsena. Ta z ruchu pacyfistycznego – wyjaśnił Assad spontanicznie.

Czytał w myślach czy jak?

– Powiedziałem jej, że odszukanie mężczyzny ze zdjęcia jest dla nas bardzo ważne. Wysłałem jej skan ksera, więc widziała go na ekranie komputera podczas rozmowy.

– Dobry pomysł. I co?

– Pamiętała jakiegoś chłopaka, który pomagał przy rozdawaniu folderów na demonstracjach. Mówiła, że przystojny gość, który w kółko nawijał o pokój. I owszem, chyba miał na imię Frank, ale nazywali go Skotte, Szkotem. Nie wiedziała dlaczego, bo mówił doskonale po duńsku. – Assad zrobił dłuższą pauzę dramatyczną, żeby informacja dotarła do Carla. Rzeczywiście w pogłoskach na temat nazwiska było jednak nieco prawdy.

– Mówisz, że rozpoznała go na zdjęciu, choć widziała go jako chłopca. Czy to w ogóle możliwe?

– Tak, w każdym razie z dużą pewnością stwierdziła, że jej zdaniem może to być osoba ze zdjęcia Habersaata.

Carl się przeciągnął.

– Super, Assad, dzięki. Pozostaje mieć nadzieję, że dowiemy się czegoś od wdowy po Egilu Poulsenie. – Sięgnął po paczkę papierosów. – Poprosisz tu Gordona?

Siedział przez chwilę, ćmiąc papierosa, by się przebudzić.

Może drobnymi kroczkami dokonają przełomu? Może nagle stanie przed nimi ten facet?

I co wtedy?

Gordon wyglądał na wykończonego, kiedy podszedł do biurka Carla. Był tak zmęczony, że ugięły się pod nim kilometrowe nogi. Dla Carla było zagadką, jak, u diabła, malutkie serce jest w stanie pompować krew po całym jego organizmie? Nic dziwnego, że mózg był niedotleniony, a nogi ciężkawe.



– Siadaj i gadaj, Gordon. Co dla nas masz?

Pokręcił głową, zwijając się na krześle.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. – Wyjął notatki. – Może zacznę od tego, że skontaktowałem się z kolejnymi czterema czy pięcioma słuchaczami z uniwersytetu ludowego i że nie powiedzieli nic więcej ponad to, co już wiedzieliśmy. Wszyscy odsyłali do Inge Dalby, która ich zdaniem wie coś więcej, jako że jej pokój sąsiadował z pokojem Alberte.

Carl spojrział na okno. Na niewiele się zdało to jego obdzwanianie. Czy Gordon był aby właściwą osobą do tego zadania?

– A reszta uczniów? Do ilu się jeszcze nie dodzwoniłeś?

Zrobił nieszczęśliwą minę.

– Zdaje się, że do ponad połowy.

– Okej, Gordon, odpuśćmy to – powiedział krótko i może trochę za ostro. – Co tam jeszcze masz? Telefon wydzwaniał przez cały dzień.

Patyczak wziął głęboki wdech, próbując wydać z siebie coś na kształt umęczonego westchnienia.

– Rozmawiałem z... – wyjął swój notes i zaczął liczyć linijki za pomocą ołówka.

– Nieważne – przerwał Carl. – Dało to coś?

Gordon wciąż liczył. Nawet go nie słuchał, więc pewnie czas ogłosić fajrant.

– Łącznie czterdzieści sześć telefonów. – Podniósł głowę, licząc na odrobinę współczucia. Może myślał, że jest pierwszą osobą na świecie, która się naharowała tylko po to, by zyskać mizerne rezultaty?

– W każdym razie rozmawiałem z jedną osobą, która miała coś do powiedzenia. Mam jej numer telefonu, więc możecie do niej przedzwonić, jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej.

– Podał Carlowi kartkę. Oprócz numeru telefonu zapisał na niej nazwisko: Karen Knudsen Ærenpris.

– Znała faceta, którego szukamy – dodał ku zaskoczeniu Carla.

– Assad, do mnie! – krzyknął Mørck.

– Mieszkali w tej samej komunie – wyjaśnił Gordon, gdy Assad zjawiał się przy biurku. – Znajdowała się w Hellerup i stanowiła coś w stylu późnohipisowskiej komuny z jedzeniem makrobiotycznym, wspólną skarbonką i ciuchami. Nazwali ją Ærenpris i wszyscy przyjęli tę nazwę jako nazwisko. Jeśli dobrze ją zrozumiałem, chyba tylko ona je zachowała. Ta komuna nie była jakimś wielkim sukcesem.

– Została rozwiązana?

– O tak, jakieś piętnaście, szesnaście lat temu.

Carl westchnął. Zaczynało mu brakować spraw, które toczą się tu i teraz.

– I kiedy ten facet tam mieszkał?

– Nie była pewna, bo mieszkał tam krótko, ale chyba w dziewięćdziesiątym czwartym albo piętym. To by nawet pasowało, bo mówiła, że obchodzili razem jego dwudzieste piąte urodziny.

Carl i Assad spojrzeli po sobie. Czyli dziś miał około czterdziestu pięciu lat, dokładnie tak, jak wyliczyli.

– Dalej, Gordon, jak on się nazywał? – spytał Assad, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

Dryblas się skrzywił, co bynajmniej nie dodało mu urody.

– Ech, właśnie tego nie umiała sobie przypomnieć. Ustaliliśmy, że miał na imię Frank, ale nie była pewna nazwiska. Właściwie pamiętała tylko, że nie było duńskie. Może zaczynało się od „Mac”, bo nazywali go Szkotem, ale czy to dlatego, że używał apple’a, a nikt inny tego nie robił, czy rzeczywiście miał szkockie nazwisko, tego nie potrafiła powiedzieć. Może nigdy tego nie wiedziała.

– Kurwa! – krzyknął Carl. Chwycił kartkę i wystukał jej numer. – Jasna cholera, oby tylko była w domu.

Była, więc Carl przedstawił się i przełączył telefon na tryb głośnomówiący. Zasadniczo przekazała im jeszcze raz te same informacje, więc raczej nie da się z niej wyciągnąć niczego przełomowego, o ile w ogóle coś takiego istniało.

– Czym zajmował się ten człowiek, miał jakąś pracę?

– Wydaje mi się, że studiował. Może dostawał stypendium, nie wiem.

– Co i gdzie studiował? W trybie dziennym czy wieczorowym?

– W każdym razie nie rano, bo wówczas zazwyczaj obracał którąś z nas.

– Co ma pani na myśli? Chodzi o seks?

Zaśmiała się, podobnie jak Assad. Carl machnął do niego ręką: ma zachowywać się spokojnie, dopóki trwa rozmowa.

– Oczywiście, że o seks. Był dość przystojnym facetem, więc wyrywał po kolei większość dziewczyn, ze mną włącznie. – Znów się zaśmiała. – Gość, z którym wówczas się spotykałam, niby nic na ten temat nie wiedział, ale i tak wyszła z tego niezła awantura i kwasy. Dlatego Frank wyleciał. Z tego samego powodu odszedł mój chłopak i ostatecznie komuna została rozwiązana.

Carl poprosił ją, by dokładniej go opisała i opowiedziała, jaki był, ale nic nowego nie usłyszeli. Inge Dalby opisała go w identyczny sposób. Był mężczyzną bez znaków szczególnych i widocznych skaz, był piękny i wysoki, wyjątkowo miły i charyzmatyczny.

– Cóż, obecnie w Danii takiego ze świecą szukać, więc na pewno z łatwością go odszukamy – stwierdził zgryźliwie Carl. – Może nam pani powiedzieć coś o jego zainteresowaniach? O czym rozmawialiście?

– Był całkiem niezły w rozmowach z nami, dziewczynami. Pewnie dlatego tak łatwo mu z nami szło.

– O czym na przykład rozmawiał? – spytał Carl, myśląc: „Dalej, babo, daj mi coś”.

– Wówczas wszyscy rozmawiali o sytuacji na Bałkanach, a wielu chłopaków interesowało się sportem. Tour de France i tak dalej – odparła. – Ale Frank mówił równie dużo o tym, jakie to straszne, że Francja zaczęła testować broń jądrową na Mururoa, rozmawiał też na dziewczęce tematy, jak na przykład ślub księcia Joachima i księżniczki Aleksandry. O tym ostatnim pewnie z chłodną kalkulacją, ha, ha.

Carl pstryknął palcami do Gordona. „Atol Mururoa” – powiedział bezgłośnie. Gordon odwrócił laptop Carla i zaczął stukać w klawiaturę.

– Testy broni jądrowej na Mururoa! Jest pani pewna, że o tym mówił?

– Całkowicie. Malował jakieś transparenty i próbował namówić całą komunę do demonstracji przed ambasadą francuską w Kopenhadze.

„1996” – powiedział Gordon bezgłośnie.

Bingo! Mają dokładny rok.

– Odniosłem wrażenie, że interesował się teologią, mam rację?

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Zastanawiała się czy jak?

– Jest tam pani? – spytał Carl.

– Tak, kiedy pan o tym wspomniał, to rzeczywiście, doprowadzał nas do szału swoimi teoriami, że prawie wszystkie religie mają to samo źródło. Gadał o gwiazdach, słońcu, gwiazdozbiorach i tego typu rzeczach. To była komuna holistyczna, a nie ośrodek duchowy, więc w końcu zaczęło nas to irytować i nudzić. To się pewnie wzięło z kursu na uniwersytecie, w którym uczestniczył. Tak się zafiksował, że w kółko o tym gadał. Jeśli dobrze pamiętam, chciał nawet zbudować świątynię słońca w ogrodzie. – Zaśmiała się. – Gdy zaczął wstawać razem ze słońcem i mamrotać coś w ogrodzie, któryś z pozostałych chłopaków, który miał pracę i nie chciał, by ktoś tak wcześnie go budził, postanowił spuścić mu manto. Ale powiem wam, że nie uszło mu to na sucho. Okazało się, że Frank ma nie lada temperament i sprawił tamtemu niezły łomot. Naprawdę mocno go pokiereszował. Nie można było podnieść na niego ręki.

– Okej, myśli pani, że miał cechy psychopatyczne?

– Co mam na to odpowiedzieć? Nie jestem psychiatrą.

– Dobrze pani wie, o co mi chodzi. Czy był zimny, wyrachowany, skupiony na sobie?

– Zimny nie był. Ale co do reszty, to pewnie tak. Kto nie jest w dzisiejszych czasach?

Już drugi raz otrzymał tego rodzaju odpowiedź na swoje pytanie.

– Może ma pani na myśli, że miał powody, by stawiać opór? Wie pani, czy przy innych okazjach też się tak zachowywał?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy mieszkający tam lokatorzy podpisywali umowę wynajmu?

– Nie, nic z tych rzeczy. Nawet nie wiem, kto był głównym najemcą. Wydaje mi się, że ktoś, kto mieszkał tam parę lat wcześniej. Wpłacaliśmy pieniądze do wspólnej kasy i co miesiąc robiliśmy przelew. Ludzie przychodzili i odchodzili, tak było najpraktyczniej.

Mało brakowało, a Carl poprosiłby Assada, by zrobił mu mokkę lub herbatę na wzmocnienie. To przecież jakieś bagno. Jak w ogóle dał się w to wciągnąć? Skoro szykuje się taka wędrówka przez pustynię, to mogą równie dobrze dać spokój z odbieraniem telefonów, które wciąż wydzwaniały w gabinecie Gordona.

– Carl, ale mamy rok urodzenia – powiedział Assad, siadając na brzegu biurka. – Urodził się w siedemdziesiątym pierwszym, więc dziś ma czterdzieści trzy lata.

– Tak, tak, zgadza się. Wiemy też, że ma około metra osiemdziesiąt pięć wzrostu, i mamy mnóstwo szczegółów na temat jego wyglądu, które pasują do tysięcy ludzi na ulicy. Dysponujemy też jako takim profilem i wiemy nawet, czym się kieruje i co go interesuje, więc jeśli będziemy mieli dużo szczęścia, to mimo nikłych szans może go znajdziemy. Ale wiecie co? Musimy zadać sobie nieuniknione, wielkie pytanie: i co wtedy?

– I co kiedy? – zainteresował się Gordon.

– Wiemy całe mnóstwo, znamy mniej więcej jego rysopis, może nawet wkrótce poznamy nazwisko. Jutro w Brønshøj możemy dowiedzieć się czegoś, co da nam ostatniego kopa, ale co wtedy?

– Kopa? – zdziwił się Assad.

– Coś, co nas zmobilizuje. Tak się mówi w moich stronach.

Assad pokiwał głową z ustami w podkówkę.

– Masz rację, Carl.

– Nie rozumiem, o czym mówicie? – spytał Gordon.

– O tym, że jeśli jakimś cudem go znajdziemy, to co w ogóle możemy mu udowodnić? – pokręcił głową. – Odpowiem ci: gówno! Bo raczej sam z siebie się nie wygada, że potrafił Alberta, prawda?

– Chyba że połamiemy mu ręce – wtrącił Assad.

Wszyscy westchnęli, wstając. Czas do domu.

Carl odłożył słuchawkę na miejsce i oczywiście telefon znów zadzwonił. Patrzył na niego chwilę, zanim odebrał. Intuicja mu podpowiadała, że akurat tym razem to może być coś ważnego.

Głos był irytująco znajomy.

– Dzień dobry, panie Mørck. Tu Martin Marsk z „Formiddagsposten”. Po dzisiejszej konferencji prasowej chcielibyśmy się dowiedzieć, czy znów pana przydzielono do sprawy gwoździarki.

– Aha. Nie przydzielono.

– Nie powinni pana przydzielić, by dzięki panu sprawiedliwości stało się zadość, może nawet by pan pomścił swoich przyjaciół?

Carl nie odpowiedział. Pomścić? Co on jest, Clint Eastwood?

– Widzę, że nie ma pan ochoty odpowiadać. W takim razie jakie będą dalsze losy sprawy?

– Jeśli chodzi o mnie, to żadne. Proszę porozmawiać z kimś z drugiego piętra. Sprawą zajmuje się Terje Ploug, dobrze pan o tym wie, panie Marsk.

– Więc może powie mi pan, co słytać u Harry’ego Henningsena?

– Jeśli następnym razem będzie pan miał ochotę wykazać się choćby odrobiną charyzmy i dociekliwości, panie tak zwany dziennikarzu Marsk, to powinien pan odrobić lekcje. On ma na imię Hardy, a nie, kurde, Harry. A jeśli chce pan wiedzieć, jak się miewa Hardy Henningsen, to proszę go pytać osobiście. Nie jestem centralą informacyjną ani dla ludzi o zdrowych zmysłach, ani tym bardziej dla tych bez piątej klepki.

– Czyżby uważał pan, że Hardy’emu Henningsenowi brak piątej klepki?

– Ech, stul pysk, idioto. Żegnam.

– Hola, hola, spokojnie, panie Mørck. O co chodzi z tą sprawą z volkswagenem kombi? Jeśli zależy panu na pomocy mediów, to musi nam pan zdradzić więcej szczegółów. Czy wyznaczono nagrodę?

Chyba żaden ze współpracowników Carla nie odłożył telefonu, bo dzwoniły już wszystkie. Jakby to wyglądało, gdyby jeszcze prasa rozdmuchała tę sprawę?

– Nie, nie wyznaczono nagrody. Jeśli w sprawie pojawi się coś nowego, skontaktuję się z panem.

– I tak pan tego nie zrobi, więc może pan równie dobrze od razu to powiedzieć.

Gdyby nie Lars Bjørn, Carl nawet by to zrobił.

– Okej, skoro pan nalega, to usłyszy pan słowa pożegnania: miłego dnia, panie Marsk.

Jadąc autostradą w kierunku Hillerød, przez większość drogi miał przed oczami twarz Hardy’ego. Twarz, która zapomniała, co to uśmiech, twarz poraną nieszczęściem i przeciwnościami losu. Jeśli ma się to zmienić, będzie musiał go wysłuchać i porozmawiać z nim o tej przeklętej sprawie, a nie było mu to na rękę. Wiedział, że powinien, ale rzeczywistość wyglądała tak, że kto, jak Hardy, na co dzień konfrontuje się z przeszłością, jest do tego lepiej wyposażony niż ten, kto próbuje ją zignorować. A Carl właśnie to robił.

Za każdym razem gdy wywlekano to wydarzenie, przez ciało Carla przechodził jakby impuls elektryczny, nad którym nie potrafił zapanować. Kilka razy przeżył z tego powodu kryzys, który Mona nazwała nieleczonym zespołem stresu pourazowego, ale Carl miał gdzieś, jak to się nazywało. Byleby się od tego uwolnić.

A teraz on i Hardy muszą znów o tym rozmawiać, dla odmiany w innym tonie. Było to konieczne, ale nie cieszył się z tego powodu.

Wtedy zadzwoniła komórka. Już miał odrzucić połączenie, ale na wyświetlaczu pojawiło się imię Viggi.

Carl wypełnił usta powietrzem i powoli je wypuścił, zanim włączył tryb głośnomówiący.

Ekszona trajkotała już od pierwszego słowa. Niestety nie wiedział, o czym mówi.

– Wczoraj byłam odwiedzić mamę i personel mi powiedział, że już od dawna u niej nie byłeś. Powinieneś się wstydzić.

Znał tylko jeden zwrot gorszy niż „powinieneś się wstydzić”. Brzmiał on „sprawiasz mi tym wielką przykrość”, czyli już zabierała się, by go zapędzić w kozi róg.

Nie miał na to ochoty.

– Widocznie muszę przypomnieć ci o naszej umowie, Carl – mówiła.

– Nie, Vigga, nie musisz.

– W takim razie tego nie zrobię, ale powiem ci, że...

– Stoję na parkingu przed domem opieki.

Spojrzał na autostradę. Zjazd na Bagsværd znajdował się tuż przed nim, więc ma sporo szczęścia.

– Niemożliwe, Carl. Zaraz do nich zadzwonię zapytać.

– Proszę bardzo, nie mam nic do ukrycia. Mam nawet ze sobą czekoladki. Oczywiście, że dotrzymuję umowy. Po prostu ostatnio byłem na Bornholmie, przepraszam, że cię nie uprzedziłem.

– Czekoladki?

– Tak, te nadziewane Anthon Berg. Najlepsze na świecie.

Może je przecież kupić w supermarkecie.

– Zaskakujesz mnie, Carl.

Czyli nadszedł czas na zmianę tematu.

– Ten Ogórkemal dobrze cię traktuje? – spytał. – Już od jakiegoś czasu nie widziałem Jespera, więc nie mam okazji usłyszeć żadnych plotek o tobie i twoim sprzedawczyku.

– On nie jest żadnym sprzedawczykiem i ma na imię Gurkamal. I nie, nie jest dobrze i nie mam ochoty o tym z tobą rozmawiać, w każdym razie nie teraz. A jeśli jesteś taki głupi, by czekać na wieści od Jespera, to powiem ci, że do mnie też nigdy się nie odzywa.

– Przecież ma dziewczynę, wtedy człowiek schodzi na drugi plan.

– Właśnie! – Jej głos brzmiał nieco ochryple, więc powinien dać sobie spokój. Nie chce mieszać w jej życiu.

– No, Vigga, zbliżam się do drzwi Bakkegården. Trzymaj się, a sprawy z Ogórke... z Gurkamalem jakoś się ułożą. – Carl zjechał z autostrady. – Pozdrowię od ciebie twoją mamę. Cześć!

Przez kilka sekund czuł się całkiem dobrze. Udało mu się zachować spokój i zbyć Vigę. Ale gdy kupił czekoladki i obrał kurs na dom opieki, znów ogarnęło go poczucie, że wszystko

mogło być inaczej. Że przygniata go przeszłość, która wyciska z niego powietrze. Zasadniczo niezbyt przyjemne uczucie.

Dawna teściowa Carla wyglądała tak jak zawsze, nie licząc faktu, że tylko połowa jej kruczoczarnych niegdyś włosów wciąż była czarna. Może personel dał sobie spokój z farbowaniem, może w końcu zrozumiała, że nie ma już trzydziestki i nie stanowi łakomego kąska dla płci przeciwnej.

– A ty to kto? – spytała, gdy przed nią usiadł.

Czyli do tego już doszło. Demencja się posunęła.

– Carl. Jestem twoim byłym zięciem, Karla.

– Tak, widzę, idioto. Ale dlaczego tak się zakamuflowałeś? Zazwyczaj nie jesteś taką baryłą. Już drugi raz tego dnia słyszy podobną uwagę. Ale skoro zauważyła to nawet na wpół ślepa, stara jak świat przekupa, która ma nierówno pod kopułą, to coś w tym musi być. Cholera, no!

– Co dla mnie masz? – spytała wprost, wyciągając rękę. Można by pomyśleć, że jest bileterką.

– Czekoladki. – Wyjął pudełko z reklamówki.

Spojrzała sceptycznie na jego wielkość.

– Phi! Opakowanie ekonomiczne. Nigdy w życiu bym czegoś podobnego nie kupiła, a co dopiero komuś podarowała.

„Dlaczego ja tu w ogóle przychodzę?” – pomyślał, choć znał odpowiedź. Gdyby tego nie zrobił, to zgodnie z podpisaną umową, musiałyby zrekompensować to Vidze pieniędzmi. Niemałymi.

– Oczywiście, Anthon Berg – dodała z lekką urazą. Jej chciwe ręce szybko zabrały się do roboty i dziesięć minut później już jadła.

Pochłonawszy trzy czekoladki, postawiła pudełko między nimi na stole, co Carl odczytał jako zachętę do poczęstunku i wziął sobie jedną. A gdy pudełko wciąż tam stało, upatrzył sobie jeszcze marcepan w ciemnej czekoladzie, ale natychmiast cofnął rękę, gdy mocno zdzieliła go po niej palcami.

– Za opróżnienie pudełka nie ma nagrody – powiedziała. – Co jeszcze dla mnie masz?

Jak to dobrze, że nie przychodzi tu za często.

Pogrzebał w kieszeni marynarki, gdzie zazwyczaj znajdowało się coś choćby trochę świecącego. Dziesięciokoronówka czy otwieracz do butelek. Czego się nie robi, by była teściowa z demencją dobrze się o człowieku wyrażała?

Na dnie kieszeni leżała drewniana figurka wystrugana przez Bjarkego; będzie musiał odstawić ją na półkę do innych przedmiotów z domu Habersaata, ale tuż obok znajdował się przedmiot, którego nie mógł odszyfrować.

Wyciągnął go i rozpoznał wahadełko z Holistycznej Szkołki Roś-lin Simona Fiskera. Mogłoby się trochę bardziej świecić, ale pewnie da się to zrobić.

– Proszę, Karla, wahadełko. Mały magiczny instrument, który...

– Dobrze wiem, co to. Do przywoływania duchów i takich tam, ale do czego mi ono? Rozmawiam ze zmarłymi bez pomocy takich pierdół, i to codziennie. Dziś w nocy rozmawiałam na przykład z Winstonem Churchillem i wiesz co, był wyjątkowo atrakcyjny. Znacznie miłszy, niż można by pomyśleć.

– Yyy, to wspaniale, ale to wahadełko potrafi znacznie więcej. Może na przykład powiedzieć ci, co się zdarzy w przyszłości. Pytaj, o co chcesz, a ono udzieli ci odpowiedzi. Należy je trzymać tak i zadać pytanie. Trzeba tylko trochę poćwiczyć.

Sprawiła wrażenie sceptycznej, gdy demonstrował jej działanie wahadełka, pytając je, czy nazajutrz będzie ładna pogoda. Jak można było się spodziewać, to dziadostwo nie chciało z nim współpracować, więc trzeba było mu trochę pomóc.

– Wiesz, jak pięknie się kręci. To znaczy, że jutro będzie ładnie. Teraz sama spróbuj, Karla. O co chcesz zapytać?

Wzięła wahadełko niechętnie i zawiesiła nad dłonią.

Po trwającym minutę namyśle padło pytanie:

– Czy w przyszłym tygodniu dadzą nam gołąbki?

Zgodnie z oczekiwaniem, a ku Carlowej irytacji, nic się nie zdarzyło.

– Nie działa, co ty mi za szmelc przynosisz, Carl?! Zobaczysz, wszystko powiem Vidze.

– Nie, Karla, spróbuj z innym pytaniem. Wydaje mi się, że nie można pytać o jedzenie. Spytaj na przykład, czy jutro odwiedzi cię Vigga.

Przez chwilę patrzyła przed siebie ze wzrokiem przysłoniętym zaćmą starczą, po czym się uśmiechnęła.

– To zapytam, czy ten nowy pielęgniarz mnie tak przeleci, że będę cała obolała.

Wahadełko nawet zaczęło się ruszać.

Czyżby oszukiwała?

Gdy Carl wszedł do domu, Hardy siedział w półmroku.

Na ladzie w kuchni leżała kartka od Mortena. Jej treść głosiła:

„Jest w złym humorze. Próbowałem rozweselić go drinkiem, ale zamyka się w sobie. Pokłóciliście się?”

Mørck westchnął.

– No to jestem, Hardy – powiedział Carl, trzymając mu przed oczami kartkę od Mortena. – Czy to znaczy, że nie chcesz sobie golnąć?

Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– Mów, Hardy.

Lepiej od razu mieć to z głowy.

Jego głos brzmiał, jakby dawno go nie używał.



– Nie rozumiem cię. Trafiła się szansa, by znów otworzyć tę sprawę, Carl, a ty z niej nie korzystasz. Dlaczego? Chyba wiesz, ile dla mnie znaczy?

Mørck chwycił joystick wózka i obrócił go tak, by siedzieli naprzeciwko siebie.

– Hardy, sprawę prowadzi Terje Ploug. Przecież jest otwarta, sam widziałeś.

– Uważam, że masz dziwne priorytety, i nie podoba mi się to. Dlaczego sprawa dziewczyny potrąconej prawie dwadzieścia lat temu przeszkadza ci w tym, by zająć się naszą? Boisz się, że coś wyjdzie na jaw? – Uniósł wzrok na przyjaciela. – Boisz się konsekwencji, o to chodzi? Przecież widziałem cię w telewizji, było ci zupełnie wszystko jedno. Ledwie spojrzaleś na pistolet, z którego do nas strzelano. Dlaczego, Carl?

– Hardy, to może zabrzmieć obcesowo, ale tobie sparaliżowało ciało, a mnie duszę. Po prostu nie radzę sobie z tą sprawą. W każdym razie nie teraz.

Hardy odwrócił wzrok.

Siedzieli naprzeciw siebie przez kilka minut, po czym Carl darował sobie dalszą rozmowę z Hardym, a właściwie ze sobą. To nie był dobry dzień.

Wstał z westchnieniem. Może Hardy ma rację. Może powinien zostawić sprawę Alberte Assadowi i Rose, a sam dołączyć do zespołu Terjego Plouga, o ile ten by go przyjął.

Zrobił sobie w kuchni drinka i przewiesił marynarkę przez oparcie krzesła. Kiedy usiadł, poczuł, że coś uwiera go w plecy. Sięgnął do tyłu i wyciągnął to coś z kieszeni.

Była to drewniana figurka, którą znalazł na ławie Habersaata. Figurka, którą według słów Wuja Sama, samodzielnie wystrugał Bjarke.

Im dłużej się jej przyglądał, tym nabierał większego przekonania, że prawdopodobnie znalazła się na stole nieprzypadkowo.

Owszem, im dłużej ją obracał i przyglądał się jej z bliska, tym bardziej był pewny, że figurka ma wiele cech poszukiwanego przez nich mężczyzny.

Tego Franka, którego niektórzy nazywali Szkotem.

– Dzięki, dzięki, Simon! Miło z twojej strony, że mi o tym mówisz. Ale nie, nie mam pojęcia, dlaczego policja chce rozmawiać z Atu i dlaczego to takie ważne, że poszukują go przez telewizję. Jesteś całkowicie pewien, że to jego rozpoznałeś na fotografii? – Przycisnęła rękę do piersi; ledwie mogła oddychać.

– Tak, Pirjo. Ten policjant, który był w naszej szkółce roślin, podetknął je prosto do kamery. Oczywiście, że rozpoznałem i Atu, i volkswagena.

Ach, to auto. Boże drogi, jeszcze i to!

– Podał dość trafny rysopis. Ma jeszcze tę jasną plamkę na jedyńce?

– Nie, już wiele lat temu ją usunął.

– Aha, w każdym razie wolałem cię ostrzec. Mam nadzieję, że to nic takiego. W każdym razie ode mnie niczego się nie dowiedzieli. Jestem wam to winien.

– Dziękuję, Simon.

Powoli odłożyła słuchawkę. Czyli są na tropie, tylko jak daleko się posunęli? Czy to możliwe, że za chwilę zapukają do drzwi?

„Weź się w garść, Pirjo, nie masz się czego obawiać. Co oni w ogóle mogą mieć?”

Jeszcze raz się zastanowiła. Co mogli udowodnić? Przecież nie było czego udowadniać. Może wiedzieli, że dziewczyna miała romans z Frankiem, ale jeśli nawet, to co z tego, to przecież nie jest zabronione? Owszem, przez parę miesięcy przebywali w Ølene, ale potem wyjechali. Nie ma tu żadnego powiązania.

Pirjo spojrzała na drzwi prowadzące do pokoi Atu. Powiedzieć mu coś czy lepiej się z tym wstrzymać? Jeśli mają podejmować wspólne decyzje, to lepiej zrobić to teraz.

Pokręciła głową. Po co w ogóle go z tym konfrontować, po co zakłócać mu spokój, skoro wszystko tak dobrze funkcjonuje? Przecież nigdy o tym nie rozmawiali, więc dlaczego teraz? Był mężczyzną, który dbał o swoje, więc Pirjo też zadba o siebie.

Miała na względzie przede wszystkim rosnące w niej dziecko. Dziecko, które przyjdzie na świat, by stać się kimś wielkim i uwielbianym. Nic nie może pokrzyżować tych planów, żadna policja ani Shirley. Gdyby do ośrodka zawitała policja, szybko mogłyby paść tu słowa budzące podejrzliwość.

Pirjo spojrzała za okno. Aktualnie panował tu spokój, trwała jeszcze godzina medytacji. Ale za dziesięć minut wszyscy zbiorą się w świet-licy, by usłyszeć wskazówki Atu na nadchodzący tydzień. Wówczas powie zgromadzonym o Malenie, Valentinie i Shirley. O Malenie powie im to samo, co mówiła Valentinie, i poprosi wszystkich o wyrażenie radości, że kobieta dobrze się miewa. Potem przekaże im pozdrowienia od Valentyny, która znajduje się na kopenhaskim

lotnisku Kastrup, a już kolejnego dnia pokieruje ich filią w Barcelonie, by podejmować tam najważniejsze decyzje. Wyjaśni, że nagle zwolniło się miejsce w tamtejszym biurze i że postanowili dać jej szansę, o ile wyjedzie od razu.

Powie, że w przyszłości na pewno przybędzie tego typu zadań, w miarę jak nauka o absorpcji natury zyska na popularności. W każdym razie będzie mogła ich poinformować, że doktryna Atu tłumaczona jest na włoski i że prawdopodobnie otworzą biuro w Asyżu lub w Ankonie, skąd niedaleko do Chorwacji, stanowiącej ich dalszy, potencjalny cel.

Zgromadzeni kiwali głowami, atmosfera była sprzyjająca.

Mówiąc do wyznawców, Pirjo wypinała swój ciężowy brzuch, a na zewnątrz świeciło słońce. W ogrodzie zebrano pomidory, wykład Atu był wręcz bajeczny. Jego powodzenie w skali światowej stanowiło przecież sukces ich wszystkich i utwierdzało każdego w przekonaniu, że jego wybór życiowy był właściwy i nastąpił w odpowiednim czasie.

Pirjo uśmiechnęła się do Atu, który zasłuchany siedział spokojnie na swoim podwyższeniu. Nie rozmawiali ani o mianowaniu Valentyny, ani o przekładzie na włoski, ani też o umieszczeniu ewentualnego punktu werbunkowego nad Adriatykiem, ale nie było to konieczne. Pirjo była inicjatorką, a on czuwał nad wszystkim duchem. Widać było, że to, co usłyszał, mu się podoba.

– Pirjo, zyskaliśmy możliwość szerzenia pokoju dzięki naszej nauce – mawiał często. – Wszystkie religie połączą się w jedno, a ludzkość skupi się na tym, by pracować dla siebie i stanowić jedność z naturą, jej kapryсами i błogosławieństwem.

Im szybciej wyśle wyznawców w świat, tym bardziej umocni się pozycja Atu, z korzyścią dla dziecka, które energicznie kopało w jej brzuchu.

– Chcę wam też przekazać pozdrowienia od Shirley – powiedziała cicho, patrząc na kilka twarzy, które często widywała w jej towarzystwie. – Opuściła nas wczoraj, kiedy powiadomiłam ją, że niestety nie możemy jej przyjąć do naszej rodziny jako stałego członka.

Przez szeregi wyznawców przeszedł szmer. Może dziwili się bardziej, niż należało, może chcieli zadawać pytania, ale nie będą mieli ku temu okazji.

– Shirley jest pięknym, ciepłym i wyjątkowym człowiekiem. Będzie nam jej bardzo brakować. Wczoraj zadałam jej sporo pytań i przedstawiłam kilka potencjalnych zadań na przyszłość przed podjęciem tego tematu na forum. Ale podczas wywiadu okazało się nieoczekiwane, że Shirley miała wyjątkowo konkretne plany dotyczące pozostania w ośrodku. Wytworzyło się u niej silne pragnienie, by objąć funkcje, które piastują już niektórzy z was, i uważała, że nadaje się do tego lepiej niż wy. W trakcie rozmowy okazało się, ku mojemu zdumieniu, że Shirley wykazuje się ambicjami i egoizmem, które zupełnie nie harmonizują z naszą akademią. Dlatego zaproponowałam jej czas oczyszczenia, ale odrzuciła ten pomysł i wpadła w złość. Może ktoś z was słyszał jej krzyki w moim gabinecie. W pewnym momencie już miałam wzywać pomoc, bo we wzburzeniu groziła, że mnie uderzy, ale udało mi się ją

uspokoić i namówić, by natychmiast się spakowała i wyjechała. Dostała z powrotem część wpisowego, w przeciwnym razie nie wiem, czy poszłoby tak łatwo.

Spojrzała po zgromadzonych, którzy zgodnie z jej życzeniem wyglądali na zszokowanych.

– Bardzo żałuję, że nie pożegnała się jak należy i w duchu Akademii Absorpcji Natury z tymi z was, z którymi medytowała, ale była nieprzejednana i chciała po prostu wyjechać. Tak się rozgniewała, że nie chciała nawet, by odwieźć ją na ląd. Widocznie tak wolała.

– Cieszymy się z troskliwości Pirjo – rozległ się głos za jej plecami. To był Atu, który właśnie wstał. – Cieszymy się też z jej odwagi.

Podszedł do niej i położył rękę na jej brzuchu.

– Wiele ci zawdzięczamy – powiedział, po czym zwrócił się do zgromadzonych: – Jeśli ktoś ma pytania o wybór Shirley i nowe drogi w jej życiu, możecie je zadawać.

Ale nikt się nie odezwał.

Przez dobrą chwilę Pirjo stała przed nowym kręgiem solarnym, wyęzając wszystkie zmysły i przyglądając się pracy mężczyzn. Od tego miejsca do domu, w którym już drugi dzień siedziała uwięziona Shirley, odległość wynosiła paręset metrów. Zgodnie z jej oceną, było to wystarczająco daleko. Aby jakiś dźwięk przeniknął przez ściany domu i dotarł aż do kręgu, musiałyby to być syrena przeciwmgielna. Dopóki robotnicy nie opuszczali miejsca pracy, dopóty nie było mowy o niebezpieczeństwie. Jeden z nich natomiast oddalił się w kierunku domu za potrzebą, a jeśli zrobił to jeden, to również inni mogą pójść jego śladem.

Przez głupi przypadek czujne ucho złowi rozpaczliwe wołanie o pomoc, a do tego nie można dopuścić. Według jej oceny, muszą minąć kolejne cztery, pięć dni, nim Shirley na tyle opadnie z sił, by jej krzyki przyniosły wymierny efekt. Cóż, zanim umrze, minie co najmniej dwadzieścia dni. To długo. Wiedziała już, że to za długo.

Klasnęła w dłonie i robotnicy rozluźnili napięte mięśnie. Wszyscy spojrzeli na nią.

– Mam dla was nowe zadanie, a to oznacza, że musicie zostawić tę pracę na jakiś tydzień. Pójdziemy na przeciwległą stronę ośrodka, bo mam taki plan, byśmy wszyscy dostali rowery. Będziemy rozsyłać ludzi w głąb wyspy, by prowadzili misje. Dotarcie do tutejszych mieszkańców może nam przynieść spore korzyści, rowery już zamówiłam. Jutro rano przyjadą materiały potrzebne do budowy szop. – Spojrzała na nich pytająco. – Co wy na to? Mogę na was liczyć?

Uśmiechnęła się szeroko, a jej uśmiech się im udzielił.

Trzymając rękę na brzuchu, spokojnym krokiem ruszyła przez wysoką trawę do domu, w którym miała umrzeć Shirley. Zastanawiała się, czy nie przyspieszyć procesu i jej nie otruć. Myślała też o tym, by ją ogłuszyć i podciąć jej żyły. Ale co będzie, jeśli zwłoki jakimś cudem zostaną odkryte, zanim się ich pozbędzie? Jeśli Shirley zostawi gdzieś w domu jakieś informacje, których Pirjo nie zauważy, a które będą ją obciążać? Taka możliwość przecież istnieje i to było jej główne zmartwienie.

No i waga Shirley. Wprawdzie umrze z głodu, ale i tak nadal będzie tęga, a Pirjo będzie musiała przeciągnąć ją spory kawałek, aby się pozbyć zwłok. Jak ma to zrobić w swoim obecnym stanie i kiedy miałyby się tym zająć, nie zwracając na siebie uwagi?

Plan zakładał, że żywa Shirley nie zostanie odnaleziona i że Pirjo nie da się powiązać z jej śmiercią. Dlatego w pierwszym odruchu sądziła, że poczeka, aż Shirley umrze z głodu, a wtedy ona otworzy drzwi i włoży jej klucz do ręki, tak by wyglądało na to, że popełniła samobójstwo, głodząc się na śmierć.

Problem w tym, że długo to trwało. Właśnie dlatego szła teraz do domu. Nie żeby tu i teraz ją zabić, ale by zakręcić dopływ wody.

Jeśli dobrze pamiętała, główny zawór znajdował się za domem, a jeśli go zakręci, to na dłuższą metę będzie to miało dwa zasadnicze plusy. Po pierwsze, przyspieszy śmierć Shirley. Po drugie, Pirjo będzie miała większe szanse powodzenia, jeśli zastosuje plan B.

Bez wody bowiem Shirley nie będzie mogła zgasić ani zdławić ognia, jeśli wybuchnie pożar, a może właśnie to będzie konieczne, by rozwiązać ten problem. Odrobina spirytusu i zapałka, kiedy wszyscy znajdą się poza ośrodkiem. To tylko kwestia odpowiedniej pory.

Ani policja, ani mieszkańcy akademii nie znajdą śladów wskazujących na Pirjo.

Wszystko po to, by ochronić dzieło, które udało im się zbudować.

Wtorek 13 maja 2014

– O rany, Gordon, co się stało? Spadłeś z roweru czy jak?

Gordon odruchowo dotknął pokiereszowanej twarzy. Wyglądała makabrycznie, mieniąc się wszystkimi kolorami. Gdyby prawa powieka jeszcze bardziej spuchła, groziłoby to eksplozją.

– Nie! – Zdrowe oko Gordona spojrzało na szefa przepraszająco. – Pobiłem się – wyznał bez cienia dumy.

– Ty? – Carl powiódł wzrokiem po cienkich ramionkach, zgarbionych plecach i zapadniętej klatce piersiowej. Jeden cios w brzuch i byłoby po bójce. – Jak w ogóle do tego doszło?

– Zaczęło się od tego, że tamten oddał.

Carl próbował się uśmiechnąć ze starego jak świat dowcipu. Czy on jest poważny?

– Było to tak, że po pracy przechodziłem koło Byens Bodega na Niels Brocks Gade. Na zewnątrz było mnóstwo flag, a przy stolikach siedziało kilku naszych kolegów i dobrze się bawiło, więc spytałem, czy któryś ma urodziny.

– Pozornie nieszkodliwe.

– Tak, dopóki nie zaczęli cię obsmarowywać i kpić z Departamentu Q. Mówili, że jesteś dupkiem i zakażą komendy przez to wystąpienie w telewizji i że rozumieją, dlaczego nie chciałeś rozmawiać o sprawie gwoździarki, bo już wtedy, siedem lat temu, zachowałeś się jak tchórz.

Zabolało.

– I co wtedy zrobiłeś? – rozległo się w drzwiach. Stała w nich Rose, splatając ręce. Jej postawa wyrażała nadmierne wyluzowanie, więc zapewne albo zaszalała w nocy z jakimś facetem, albo ma w zanadru jakąś ciekawą wiadomość.

– Walnąłem gościowi w pysk, co mi pozostało? Przecież mówił o moim departamencie i moim szefie!

A niech to! Carl spojrzał na Rose. Ona też uśmiechała się półgębkiem.

Oto Gordon dołączył do świata mężczyzn.

Rose rzeczywiście miała coś w zanadru, a mianowicie cztery szkice spod, jak to ujęła, stosunkowo utalentowanej ręki Alberte.

– Dostałam też ksero listy wszystkich rysunków, które miały znaleźć się na wystawie w szkole, ale ją odwołano z powodu śmierci Alberte. Uczniowie ponumerowali i podpisali swoje prace. Te wykonane przez nią noszą numery od dwadzieścia trzy do dwadzieścia sześć.

Carl przemknął wzrokiem po kartce. Sporo rysunków nosiło takie tytuły jak *Skały na wschodnim wybrzeżu*, *Słońce nad Gudhjem* i *Mgła w Almindingen*.

– Oooo-keeej – powiedział Carl, gdy przeczytał tytuły prac Alberte. Już dobrze rozumiał, dlaczego Rose z tym przysłała. Zmrużył oczy.

– Jak dla mnie, dość erotyczne te tytuły – stwierdził, myśląc o jej rodzicach. Musiał to być dla nich szok.

– Rysunki też takie są – odparła Rose, kładąc je przed nim.

Ten znajdujący się na samej górze, zatytułowany *Czuły dotyk skóry*, przedstawiał zbliżenie czubka języka dotykającego sutka.

– Wydaje mi się, że to sutek mężczyzny – stwierdziła Rose, wskazując na okalające go kręcone włoski.

– No, no. Jak na dziewiętnastoletnią żydowską dziewczę to mało niewinny motyw. – Carl wziął kolejny rysunek. – Oj, to też nie.

Szkic też był zbliżeniem. Rozchylone, całujące się usta ze śliną płynącą z kącików. Zatytułowany był *Uległość*.

– Nie ma wątpliwości, że znajdowała się w fazie, w której coś ją stymulowało – stwierdził, wyciągając trzeci. Tym razem był to akt kobiety wpatrującej się w obserwatora intensywnie i trzymającej szkicownik w jednej, a ołówek w drugiej ręce.

– Czyżby to Alberte patrząca na siebie w lustrze? – rzucił. Rysunek był tak szczegółowy, że zaparło mu dech. – Gdyby to zawisło na tej wystawie, to zostałaby zlinczowana przez wszystkie kobiety w szkole – ciągnął. Naprawdę rozumiał, dlaczego Kristoffer Dalby, woźny i cała reszta z taką uwagą się za nią oglądali.

– Hm, kto powiedział, że tak właśnie się nie stało? – odparła Rose.

Przyjrzał się jej twarzy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ona mówi poważnie.

– Nad ostatnim rysunkiem zatrzymasz się dłużej – powiedziała, podsuwając mu szkic.

Mørck wstrzymał oddech, bynajmniej nie dlatego, że praca była w zasadzie identyczna jak ta przedstawiająca nagą Alberte przed lustrem, lecz dlatego, że za jej postacią narysowano twarz mężczyzny. Był to zdecydowanie najwyraźniejszy portret Franka, jaki dotąd widzieli.

Carl spojrział na ksero wiszące na ścianie. Wreszcie mają zbliżenie tej twarzy.

– Ten rysunek nosi tytuł *Przyszłość*, Carl. Zwróć uwagę na twarz Alberte.

Rzeczywiście, była różnica. Wyraz twarzy wydawał się łagodniejszy niż na poprzednim szkicu, ale też sytuacja była inna.

– Może te pierwsze rysunki powstały, zanim poznała Franka?

Rose skinęła głową.

– Owszem. Na czwartym rysunku na jej twarzy widać zaspokojenie, a ten, który ją zaspokoił, jest jej wybrańcem, stojącym za jej plecami. Jak na kogoś tak młodego, sprawia też wrażenie niezwykle zdecydowanej.

– Właśnie. Jakby była gotowa związać się z tym mężczyzną.

– Oczywiście musimy liczyć się z tym, że narysowała jego twarz z pamięci, więc nie możemy mieć stuprocentowej pewności, że tak wówczas wyglądał – zastrzegła.

– To prawda. Ale może też być tak, że zaczęła od narysowania własnego odbicia w lustrze, a potem dorysowała jego, kiedy jej pozował. Mogła to zrobić przy okazji któregośkolwiek spotkania. W każdym razie podobieństwo jest duże.

Oboje spojrzeli na zdjęcie Alberte na tablicy Carla. Była zdolną rysowniczką; nie było co do tego wątpliwości, zważywszy na ogromne podobieństwo między rysunkiem a zdjęciem.

– Tak czy owak moim zdaniem zyskaliśmy naprawdę porządny materiał na temat tego człowieka – podsumowała Rose. – Nie rozumiem tylko, dlaczego jej na to pozwolił. Myślisz, że wiedział, że rysunek znajdzie się na wystawie?

Carl wzruszył ramionami.

– Pozostaje też opcja, że nigdy go nie widział.

– W każdym razie fatalnie się składa, że już wystąpiłeś w tej telewizji, bo teraz moglibyśmy pokazać ten rysunek. A, jeśli dobrze rozumiem, podobna szansa w najbliższym czasie raczej się nie przytrafi.

Carl i Assad poczekali w Terminalu 3 kopenhaskiego lotniska zaledwie dziesięć minut, nim w wyjściu z kontroli celnej pojawiła się elegancka, mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta z fryzurą na pudła. Pasowała dokładnie do opisu wdowy po właścicielu ogórka, Egilu Poulsenie.

Wyglądała na wykończoną brakiem snu po dwudziestogodzinnym locie, ale zatrzymała się, gdy się do niej odezwali.

– Dagmar Poulsen? – spytał Carl, po czym nastąpiło pięciominutowe wyjaśnianie, skwitowane podejrzliwym spojrzeniem kobiety, która w końcu zgodziła się przyjąć ich propozycję bezpłatnego transportu do Brønshøj.

– Cóż, mogliście mnie uprzedzić, więc żebyście się nie dziwili, co zastaniecie – powiedziała, wpuszczając ich do domu, w którym unosił się kwaśny zapach więdnących roślin, a warstwa kurzu na płaskich powierzchniach była grubsza, niżby to usprawiedliwiała dwudziestodniowa nieobecność gospodyni.

– Owszem, Egil chciał nawet pozbyć się tego gruchota, ale pod koniec nie dało się go nawet przetoczyć na tych kołach.

Wskazała przez drzwi tarasowe na zarośnięty i butwiejący płot z desek.

– Po drugiej stronie tych krzaków – doprecyzowała.

Trudno było dostrzec w zaroślach wrak, który wciąż zakrywały strzępy plandeki, więc sąsiadka nie do końca miała rację.

– Może będziemy ciągnąć losy, kto wejdzie do środka?



Assad wskazał na stłuczoną przednią szybę; na tym, co kiedyś musiało być siedzeniem kierowcy, leżała sterta butwiejących liści przyniesionych przez wiatr.

– Ciągnąć losy? – uśmiechnął się Carl. – Znasz historię o wielbłądzie, który myślał, że potrafi latać, i skoczył ze skały?

– Nie, co z nim?

– Nie był zbyt mądry.

Assad zmarszczył nos.

– Czyli uważasz, że to ja mam wczougać się i zajrzeć do środka, a ty sprawdzisz bagażnik. Zgadza się?

Carl poklepał go po ramieniu. Aż taki głupi jednak nie był.

Mørck szarpnął za odsuwane drzwi, próbując zignorować przekleństwa i złorzeczenia Assada gramolącego się przez hałdy gnijących liści.

„Przydałaby się ekipa sprzątająca” – pomyślał, gdy drzwi ustąpiły z hukiem.

Wewnątrz było ciemnawo ze względu na szyby – matowe, a do tego potwornie brudne. Gdy w końcu przyzwyczał się do mroku, powoli jego oczom ukazał się pejzaż składający się z mnóstwa kartonów. Otworzył kilka z nich i zajrzał do środka; w ich wnętrzach mysie matki wydały już na świat kilka pokoleń. Były tam tylko ulotki z różnych demonstracji pacyfistycznych, tematycznie zbliżone do plakatów przyklejonych do ścianek samochodu. Dokładnie tak, jak to opisała Inge Dalby.

„Mityng pacyfistyczny” – głosił napis na plakacie wiszącym nad skórzaną torbą przypominającą tę, z którą Carl poszedł pierwszego dnia do szkoły.

Otworzył ją. Również i tu myszy nie próżnowały, ale mały segregator z broszurami o wszelkich możliwych wydarzeniach, takich jak kongres Światowej Rady Pokoju w Bella Center i marsze wielkanocne z różnych lat, był nietknięty.

Carl go przewertował. Żadnych nazwisk aktywistów.

– Assad, znalazłeś tam coś? – zawołał.

Usłyszał stęknienie.

– I jak, na coś się to zdało? – spytała Dagmar Poulsen z tarasu.

– Nie, niespecjalnie. Zrobiliśmy tylko zdjęcia samochodu. Ale jedyne, co znaleźliśmy, to gniazda myszy, a w schowku to. – Dał znak Assadowi, by ten pokazał znalezisko.

Zszokowana pani Poulsen chwyciła się za serce. Taki długi, zasuszony zaskroniec potrafi wystraszyć człowieka na śmierć.

– Leżał w schowku, żywiąc się zapewne mysimi oseskami, ale któregoś dnia się przeżarł – powiedział Carl, po czym zmienił temat: – Myśli pani, że mąż miał gdzieś listę aktywistów z tamtych czasów? Pani córka tak uważa.

Pokręciła głową.

– Wszystko wyrzuciłam po śmierci Egila. W pewnym momencie uznałam, że praca w organizacji pozarządowej zajęła w naszym życiu zbyt dużo miejsca.

Assad dyszał ciężko. Jeszcze nie doszedł do siebie po epizodzie z zaskrońcem.

– Wyrzuć go w krzaki, Assad – poradził Carl, po czym zwrócił się do kobiety: – Może przypadkiem znała pani młodego faceta z tamtych czasów, któremu pani mąż pożyczył samochód? Miał na imię Frank i nazywano go Szkotem.

Ku ich zdumieniu Dagmar zeszywniała i kolejny raz chwyciła się za serce.

Czyżby się zarumieniła?

– Nazywał się Brennan, Rose. Frank Brennan. Dagmar Poulsen o mało nie wykitowała, podając jego nazwisko. Ona też miała z nim romans. Widać nie próżnował, nawet jak był zupełnie młody.

– Fantastycznie! – odparła Rose, ale jakoś bez przekonania. – Oczywiście już go sprawdziliście i pewnie znaleźliście, co? – dodała jadownicę.

Carl ugryzł się w język. Ludzie, jaka przenikliwa.

– Hm, pracujemy nad tym. Poza tym Dagmar Poulsen powiedziała nam to, co już o nim wiemy, zarówno odnośnie do wyglądu, jak i jego sposobu bycia. Potwierdziła, że miał do dyspozycji volkswagena vana od wiosny dziewięćdziesiątego siódmego. Nie pożyczył go, tylko podnajął. Zdaniem pani Poulsen stało się tak dlatego, że jej mąż dowiedział się o romansie i nie był już tak przychylnie nastawiony wobec tego młodego człowieka. Ale nie ma pewności, bo o tym nie rozmawiali.

– Kiedy zwrócił samochód? – spytała.

– W okolicach Bożego Narodzenia tego samego roku. Poulsen był na niego wściekły, bo okazało się, że przedni zderzak jest wgnieciony. Dagmar powiedziała, że wówczas się pokłócili i od tej pory go nie widzieli.

– Okej, ale sprawdziliście przód samochodu? Rzeczywiście widać wgniecenie?

Carl podsunął jej pod sam nos swojego samsunga i przewinął wszystkie zdjęcia. Dwadzieścia fotek przodu, całkowicie skorodowanego, i zderzaka walającego się po ziemi. Odwrócili go i rzeczywiście znaleźli nieduże wgniecenie, ale który wóz w Kopenhadze go nie miał?

– Guzik nam to pomoże – stwierdziła – więc dobrze się składa, że Gordon i ja coś mamy.

Pociągnęła ich do siedzącego za biurkiem Gordona, który przypominał zaklinowanego człowieka-węża.

Chłopak spojrział na nich rozkojarzonym wzrokiem. Czyli Rose na bank skorzystała z okazji i pod nieobecność Assada i Carla nagrodziła go za limo i walkę o honor wydziału.

Niech żałują ci, co o nim źle mówili.

– Jak tam, Gordon? – spytał Assad, którego brwi tańczyły fandango. Ale tamten go zignorował. Naprawdę nabrał pewności siebie.

– Dzwonił facet, który wtedy fotografował imprezę automobilistów na Bornholmie. Jest entuzjastą starych samochodów; nawijał jak katarynka i upierał się, że pokaże nam swoją kolekcję zdjęć starych aut.

„Jeszcze czego” – pomyślał Carl.

Rose uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

– Przy tej okazji zrobił cztery zdjęcia, więc mamy wszystkie. Szukał ich przez wszystkie te lata i chciałby dostać je z powrotem. Nie wie, jak znalazły się w posiadaniu Habersaata, ale widocznie facet zapomniał ich na wystawie w Rønne Teater, zorganizowanej przez klub miłośników starych samochodów. Zgodnie z naszymi przypuszczeniami, wszystkie fotki zrobił aparatem instamatic, a negatywy wyrzucił. Dlatego też Gordon grzecznie odrzucił propozycję spotkania.

Uff, całe szczęście.

– Jak widzę, mieliście tyle samo szczęścia, co my – stwierdził Carl, ale jego słowa nie zrobiły na nich wrażenia.

– Znacznie ciekawszy był telefon od innego człowieka. Z nim się akurat umówiliśmy.

– *All right*. Jak rozumiem, Mr Frank Brennan we własnej osobie?

Nawet ta uszczypliwość jej nie wzruszyła.

– Facet nazywa się Kazambra, sprawdziliśmy go. – Podsunęła im drukowany folder.

„HIPNOTERAPIA!” – głosił napis wielkim, tłustym drukiem na pierwszej stronie.

Carl ściągnął brwi, otworzył broszurę i przeczytał nagłówek.

*Masz problemy z rzuceniem palenia? Brak ci wiary w siebie? Boisz się latać? Cierpisz na lęk wysokości? Nietrzymanie moczu? Nerwowość?*

Brakowało jeszcze nocnego moczenia, aquafobii, arachnofobii i kilkuset innych dolegliwości. Brzmiało to zupełnie, jakby facet potrafił uleczyć wszystko.

Czytał dalej.

*Albert Kazambra ma antidotum na te i wiele innych bolączek. Dwie lub trzy skuteczne, choć bezbolesne sesje, podczas których zostaniesz zahipnotyzowany, dotrzesz do sedna problemu i go zablokujesz – i odkryjesz najpewniejszą drogę do większej wolności osobistej. By pożegnać się z dolegliwościami, odwiedź mój gabinet, gdzie zostaniesz przyjęty z dyskrecją i spotkasz się z miłą obsługą naszej rejestratorki.*

– To on dzwonił? – Carl wskazał na zdjęcie starszego siwego mężczyzny o przeszywającym spojrzeniu. Zdecydowanie musiał tu pójść w ruch Photoshop.

Carl przyjrzał się cennikowi. Trzy półgodzinne spotkania – siedem tysięcy sto dziesięć koron. „Rezultat gwarantowany albo zwrot pieniędzy” – napisano, tyle że ani słowa o tym, czym miałby być ów rezultat.

– Cena robi wrażenie – ocenił, dziwiąc się nad stu dziesięcioma koronami. Czy siedem tysięcy by nie wystarczyło?

Oczy Rose rozbłysły.

– Carl, on może nam podać fakty o człowieku, którego szukałeś przez telewizję. Mówi, że poznał Franka i że będzie na targach uzdrowicieli Alternatywny Kosmos we Frederiksborghallen w Hillerød. Jesteśmy z nim tam umówieni późnym popołudniem.

Carl uśmiechnął się półgębkiem. Hipnoza?! Kazambra?! Co to w ogóle za nazwisko! Od chwili, kiedy trzydzieści lat temu siedział w hali w Øster Brønderslev, patrząc na człowieka nazwiskiem Humboldt, który utrzymywał, że potrafi wprowadzić w trans całe audytorium jednocześnie, Carl nie spotkał nikogo, kto uważał, że potrafi hipnotyzować.

Fakt, facet z Øster Brønderslev rzeczywiście nie potrafił. Najpierw chciał, by wszyscy zaczęli skakać na zawołanie, więc Carl skakał najwyżej, jak umiał, bo nie chciał być jedyną osobą, która pozostała na krześle. Gdy mężczyzna chciał sprawić, by wszyscy słuchacze zasnęli, Carl nie miał na to ochoty i siedział tylko, rozglądając się i sprawdzając spod przymkniętych powiek, czy jest jedyną osobą, na którą to nie działa.

Świat po prostu chciał być oszukiwany.

Odwrócił się do Assada z uśmiechem.

– Może zechcesz opróżnić skarbonkę i sprawdzić, czy przy tej okazji nie uda ci się pozbyć lęku przed zasuszonymi zaskrońcami.

Dziwne, ale nie wyglądał, jakby ta oferta go kusiała.

Natomiast Rose była gotowa na wszystko.

– Jest rabat targowy. Dwie sesje za dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt koron. Wychodzi dokładnie pięćdziesiąt procent zniżki. Gordon rozważa, czyby się też nie wybrać. Mówi, że ma jakieś fobie egzystencjalne.

Fobie egzystencjalne? Cóż, nawet pasuje. Carlowi uśmiech nie chciał zejść z ust.

Przed Frederiksborghallen w Hillerød stał człowiek, wymachując tabliczką z napisem „Alternatywny Kosmos to oszustwo. Nie dajcie się zwieść!”.

– Zostaniecie wykorzystani, zamydlą wam oczy. Ta czarna magia odsunie was od Boga! – krzyczał, wolną ręką rozdając broszury.

Nieliczni je przyjmowali, a następnie wyrzucali bez czytania do kosza na śmieci stojącego przy wejściu.

Powinien był wiedzieć, że w takim miejscu nie będzie popularny.

Pokazali swoje odznaki policyjne, ale kontrolerzy i tak nie chcieli wpuścić ich do środka bez biletu.

– Powtórzcie to, a może się zdarzyć, że załatwimy wam kilka dni gratisowego pobytu w pewnym miejscu o chlebie i wodzie – zaszarżowała Rose.

Kontrolerzy pomarudzili, ale jednak pozwolili im wejść.

Frederiksborghallen wewnątrz wydawała się większa niż od zewnątrz, stało w niej mnóstwo chaotycznie rozmieszczonych stoisk.

– Jest na stoisku 49E – poinformowała Rose. – Mamy wizytę dopiero za dwadzieścia minut, więc najpierw sama się przejdę.

Carl spojrzął na nią z rezygnacją. Dwadzieścia minut to cała wieczność.

Ruszyli z Assadem między rzędami stoisk, patrząc na przechadzających się wokół ludzi o rozmarzonych i głodnych spojrzeniach. Nie było wątpliwości, czego poszukują: szybkiej, prostej i najlepiej taniej drogi na skróty do lepszego, poukładanego życia. Drogi na przełaj do wielkiego szczęścia, satysfakcji osobistej, większej harmonii i zdrowia, nie mówiąc już o poprawie samoświadomości i bliskości z zaświatami oraz tajemnicami wszechświata. Pytanie tylko, na którym stoisku je znajdą, bo wybór był spory.

Mijali wolnym krokiem pełnych nadziei ludzi, którzy zdążyli już pozasiadać w niewielkich boksach, robiąc przedziwne rzeczy. Było to nie lada przeżycie dla człowieka, który dorastał w wiejskim gospodarstwie w Vendsyssel i wiedział, że „Kosmos” to nazwa traktora sąsiada, a czytanie z dłoni to rozmowa głuchoniemych.

Natomiast Assad dobrze się bawił, wskazując raz po raz na coś, co przykuło jego uwagę.

Na jednym ze stoisk wisiał napis „Poul-cudotwórca”, gdzie nalany mężczyzna w średnim wieku demonstrował swoje umiejętności, nakładając ręce na klienta. Informacja przy jego boksie głosiła, że w ciągu półgodziny poradzi sobie ze wszystkim, a sam klient również wyglądał na gotowego na wszystko, poczynwszy od leczenia wzdęcia, po boskie porady.

Byli tu też ludzie, którzy siedzieli, mrużąc „hummm, hummm”, ludzie wydający gardłowe dźwięki, które wystraszyłyby niejednego, tacy, którzy siedzieli, trzymając ręce w powietrzu w odległości około dwudziestu centymetrów od siebie, i wyczuwali swoje aury, energie duchowe, spektra kolorów i możliwości duchowe.

Były tu kanalizowanie transowe, terapia bębnami, doświadczenia reinkarnacji, taniec aniołów w połączeniu z kursem tarota, kanalizowanie wibracji mistrzowskich, uzdrawianie i setki innych, niezrozumiałych rzeczy, z których każda z osobna dysponowała własnym rozwiązaniem licznych problemów oraz głębokim przekonaniem, że proponowana droga jest tą właściwą. Człowiekowi kręciło się od tego w głowie.

Kiedy Carl dostrzegł dystrybutor z piwem, który na oko działał zupełnie bez zarzutu, zjawiała się przed nimi Rose i poinformowała, że nadszedł czas na spotkanie z Kazambłą.

Stoisko 49E z imponującą podobizną Kazambry świeciło pustkami, ale dzieliła je z nim wyjątkowo przyjemna i energiczna młodsza kobieta, której specjalnością było określanie promieniowania ziemskiego i cieków wodnych za pomocą gałązek oraz wahadełka.

Carl przypomniał sobie eksteściową.

– Szkoda, że nie widzieliście, jak moja teściowa wczoraj używała takiego wahadełka. Chciała się dowiedzieć, czy przeleci ją pielęgniarka, przynajmniej tak twierdziła. Wahadełko

chyba nawet drgnęło.

Carl roześmiał się, zbyt późno dostrzegając starszą panią, która pojawiła się za nim z urazą malującą się na twarzy. Czyżby klientka tej od wahadełka?

– Widziałam, jaką scenę zrobiliście przy wejściu, by was wpuścili za darmo, widziałam te spojrzenia, którymi nas obrzucacie. W ogóle nie powinno was tu być – powiedziała aż nazbyt cicho. – Co wy wiecie o tym, ile te rzeczy dla nas znaczą? Jestem chora i byłabym niczym bez swoich kryształów i metafizyki.

Spojrzała na Rose.

– Jest pani młoda i zdrowa, ja jestem schorowana i dzięki kryształom udaje mi się oszukać śmierć. Proszę spróbować postawić się w naszej sytuacji.

– Ja mam do tego inne podejście niż... – próbowała protestować Rose, ale kobieta jej przerwała.

– Mam wam to przekazać od Alberta. Ostatnio nie czuje się zbyt dobrze, więc nie mógł przyjść. Adres jest zapisany na wizytówce. Czeka na was.

Świeżo wyremontowany dom Kazambry w Tulstrup był zdecydowanie najładniejszy w miasteczku. Nic w tym dziwnego, zważywszy na niebotyczne ceny jego usług.

– Po kolei – polecił mężczyzna, który wpuścił ich na korytarz. Oczy miał zupełnie zwyczajne.

Carl pokręcił głową.

– Chyba źle się zrozumieliśmy. Przyszliśmy się dowiedzieć, co pan wie o Franku Brennanie.

– To później – odparł, kaszląc. Było to nie było coś zaraźliwego. – Ale umówiłem się z tą oto młodą damą, że to nie będzie gratis.

– No cóż, duńska policja nie płaci za informacje – zaprotestował Carl, patrząc na Rose z wyrzutem. Co ona sobie wyobraża?

– Za informacje nie, rozumiem doskonale. Zapłacicie za półgodzinną hipnozę dla każdego z was, a potem możemy porozmawiać o Franku. Czy nie tak się umawialiśmy, Rose? Bo tak pani na imię?

Skinęła głową.

– Tak, cała nasza trójka zмага się z czymś, czego chętnie by się pozbyła. Twój lęk wysokości, Carl. Moje złe wspomnienia. A jeśli chodzi o ciebie, Assad, to sam wiesz najlepiej, z czym powinieneś się uporać. Osobiście uważam, że z lękiem. Spokojnie – zwróciła się do Carla. – Znalazłam lukę w budżecie, więc sam nie będziesz musiał za nic płacić.

To było po prostu niesłychane.

Na pierwszy ogień poszła Rose, potem Carl.

Przez dobrą chwilę on i pokaszający Albert Kazambra siedzieli w spowitym półmrokiem pokoju o ścianach wypełnionych dębowymi regałami od podłogi do sufitu i przyglądali się

sobie sceptycznie. Rozgrywała się między nimi irytująca walka o władzę przy wtórze szeptów i pomrukiwania Kazambry, który świdrował Carla wzrokiem. W żadnym wypadku nie była to sytuacja komfortowa dla podkomisarza policji z ponad dwudziestoletnim stażem. I nagle – wszystko to zniknęło.

Potem, gdy on i Rose siedzieli w poczekalni Kazambry, czekając na Assada, Carl czuł dziwną ulgę, zupełnie jakby z jego ramion zdjęto jakiś ciężar.

Powinno mu to odpowiadać, ale prawdę mówiąc, czuł, że jego duszy zadano gwałt. Do kurwy nędzy, co się w ogóle działo? Co ten człowiek z nim zrobił? O czym rozmawiali?

Próbował porozumieć się z Rose, ale ona siedziała w całkowitym milczeniu, wyglądając przez okno.

– Jak sądzisz, co się właściwie stało? – spytał ją parokrotnie, zanim odwróciła się do niego z taką ociężałością, jakby znajdowała się pod wpływem leków lub czegoś podobnego.

– A co się stało? – spytała niemal w transie.

Assad wrócił w niewiele lepszym stanie. Krótko mówiąc, oboje wyglądali, jakby najlepiej im zrobił powrót do domu i porządna drzemka. W każdym razie Carl ocenił, że on sam wyszedł z sesji znacznie bardziej zwawy niż koledzy.

– Mam zamówić taksówki, byście mogli wrócić do domu? – spytał Kazambra, gdy Carl chciał się dowiedzieć, jak długo jego kumple będą się tak czuć.

Co już samo wystarczało za odpowiedź.

– Do widzenia, Rose i Saidzie – powiedział, gdy przyjechały taksówki. – Dzwońcie do mnie, jeśli się gorzej poczujecie. Dzisiejszej nocy możecie mieć koszmary, ale nie ma się czym martwić. Jutro wszystko powinno być normalnie, oprócz tych spraw, które dziś wyregulowaliśmy.

– Za to pan gładko przeszedł przez sesję – dodał, gdy znów siedzieli naprzeciwko siebie.

Carl skinął głową. Właściwie czuł się dziwnie beztroski i zadowolony. Prawie jak za starych, dobrych czasów, kiedy spędzał letnie popołudnia u cioci, a na stole stał dzbanek z sokiem domowej roboty. Bezpieczeństwo, radość i wolność.

Wyjaśnił Kazambrze, że to nostalgiczne, niemal surrealistyczne uczucie.

Tamten skinął głową.

– Proszę nie liczyć na to, że uniknie pan reakcji, ale do tego przecież zawsze możemy wrócić. W końcu sprawy, z którymi musiał się pan uporać, nie należały do drobnostek. Ale zmierzamy we właściwą stronę, tego jestem pewien.

W normalnych okolicznościach Carl dopytywałby, o czym rozmawiali i co ten mężczyzna z nim zrobił, ale w obecnej chwili było mu to obojętne. Liczyło się tylko dobre samopoczucie.

– Chciał pan wypytać o Franka Brennana, którego, jak rozumiem, poszukujecie, więc lepiej od razu panu powiem, że od wielu lat nie mam z nim kontaktu. Przyszedł do mnie jako młody człowiek i wówczas wzbudził we mnie lęk, dlatego tak dobrze go pamiętam.

– Pamięta pan, kiedy to było?

– Tak, latem dziewięćdziesiątego ósmego roku. Właśnie zmarła moja małżonka Helene, więc był to rok pełen bólu, tego się nie zapomina.

Carl rozumiał.

– Bardzo mi przykro. Od tamtej pory jest pan sam?

Skinął głową.

– Każdemu coś jest pisane.

– Co prawda, to prawda. Powiedział pan, że Frank wzbudził w panu lęk. Dlaczego?

– Z kilku powodów. Przede wszystkim był jedyną osobą, której w swojej długiej karierze nie mogłem zahipnotyzować. Ale też zorientowałem się, że ma ukryte zamiary. Przychodząc do mnie, ludzie zazwyczaj chcą się czegoś pozbyć. A ten Frank Brennan chciał tylko chłonąć. Zrozumiałem to, dopiero kiedy przyszedł do mnie drugi raz. Zjawił się, by po prostu przyjrzeć się arkanom mojej sztuki, ale wyczułem, że nie ma dobrych zamiarów. Coraz intensywniej czułem, że przyszedł nie po to, by po prostu nauczyć się hipnozy, lecz by znaleźć narzędzie, dzięki któremu podporządkuje sobie ludzi. W każdym razie nigdy nie miałem do czynienia z osobą, która potrafiła manipulować tak jak on. Zresztą dało się to zaobserwować po kobiecie, która mu towarzyszyła. W jego towarzystwie zachowywała się jak szczenię, zupełnie jakby już ją zahipnotyzował.

– Kobieta. Mógłby ją pan opisać?

– Tak, jej też nie da się tak łatwo zapomnieć. Mówiła po szwedzku z fińskim akcentem, była lekka i zwiewna, choć żyłasta i odrobinę koścista. Wydaje mi się, że jej naturalne włosy miały kolor blond, ale wówczas były przyciemnione henną. Miała głębię w spojrzeniu, jakby w jej świadomości toczyła się wewnętrzna walka. Czułem, że nie jest w zgodzie ze sobą.

– Ale jej pan nie hipnotyzował?

– Nie, nie było o tym mowy.

– I co się stało potem?

– Kiedy przyszedł do mnie trzeci raz, odmówiłem mu i przestałem go przyjmować. Wtedy miałem już pewność, że przez cały czas podczas naszych sesji odgrywał komedię, udając, że jest w transie. Wiedziałem też znacznie więcej o tym, czym on się zajmuje, i nie chciałem się z tym konfrontować. Działam przecież w świecie terapii niekonwencjonalnych, a dzięki temu poznaje się wielu ludzi, którzy mają jak najlepsze chęci. Można tak określić zdecydowaną większość. Bardzo często pomagają ludziom, by ci poczuli się lepiej. Nieraz sam nie rozumiem, jak to w ogóle jest możliwe, ale czy to nie wszystko jedno, jeśli wynik jest pozytywny? Jednak to, czego on chciał od świata terapii naturalnych, budziło mój niepokój. Czasami spotyka się ludzi, którzy pragną założyć nowy ruch religijny i zebrać wokół siebie grupę zwolenników, a kiedy to się udaje, ci ludzie z reguły są zadowoleni z efektu. Czasem będzie to dziesięć osób, czasem sto, ale nie więcej. Zazwyczaj na tym się kończy. Ale u Franka



Brennana widziałem ogromne ambicje. Był wręcz nienasycony w swoim pragnieniu, by wywierać na innych wpływ. Opowiadał o kryzysie wielkich religii, o nowych drogach dla ludzkości. Oczywiście człowiek słyszał o tym już wcześniej, ale w porównaniu z innymi Frank był niesamowicie metodyczny i z wielką determinacją brał się do dzieła. Sądzę, że gdyby tak nie było, nie przyszedłby do mnie trzy razy. Z premedytacją zbierał narzędzia pomocne w realizacji planu i nie dałby się powstrzymać. Dlatego nasza współpraca zakończyła się na moją prośbę.

Starszy pan patrzył teraz na niego zupełnie innym wzrokiem niż zawodowy. Odnosiło się wrażenie, że wręcz mu ulżyło, jakby się wypowiedział ze swojej wiedzy i uczynków.

– Intensywnie go poszukujemy i musimy się dowiedzieć jak najwięcej, by go odszukać – powiedział Carl.

– Wiem. Jak już mówiłem, od tamtej pory go nie widziałem, ale przez jakiś czas śledziłem jego poczynania. Wiem w każdym razie, że założył jakąś akademię, która obecnie mieści się w Szwecji.

Wziął z biurka karteczkę i podał ją Carlowi.

„Akademia Absorpcji Natury Atu Abanshamasha Dumuziego. Główna siedziba na Olandii, Szwecja” – głosił napis wykonany starannym pismem starszego człowieka.

O mały włos Carl rzuciłby mu się na szyję. Nigdy nie wydał lepiej pieniędzy niż te, z których Kazambra ich dzisiaj oskubał.

Westchnął z radości. Nazywał się Atu. To właśnie były te trzy litery.

Stary hipnotyzer opadł na oparcie. Misja wypełniona.

Carl podał mu rękę.

– Niesamowicie nam pan pomógł – powiedział. – Ale skoro już mowa o imionach, dlaczego zwrócił się pan do Assada Said?

Starszy pan utkwiał wzrok w podłodze.

– Cóż, popełniłem błąd. Przekroczyłem swoje kompetencje, bo przecież w mojej profesji obowiązek milczenia jest podstawą, inaczej to nie ma sensu. Ale tego właśnie imienia używał podczas seansu. Imienia Said i nazwiska, którego nie zapamiętałem.

Środa 14 maja i czwartek 15 maja 2014

Po upływie trzech dni Shirley skończyły się sensowne wyjaśnienia.

Oczywiście zrozumiałaby, że pierwszego i nawet drugiego dnia Pirjo była chora. Ale potem na pewno postarałaby się o zastępstwo, by Shirley dostała, co jej potrzeba. A jeśli jednak nikt nie wie, że ona tu jest? Pirjo mogła o tym zapomnieć albo była tak chora, że na przykład po prostu cały czas leży i śpi. Bo chyba niemożliwe, że Pirjo nic nie dolega, tylko wystawiła ją do wiatru, prawda? Czy możliwe?

– Człowiek jest w stanie wytrzymać trzy tygodnie bez jedzenia, więc nic ci nie grozi – pocieszała się początkowo. Nagle jednak zabrakło wody w kranie, a to już zupełnie co innego.

Najpierw sądziła, że woda się znowu pojawi, że to tylko kwestia czasu. Ale z upływem godzin zaczęła się nad tym intensywniej zastanawiać i obleciał ją strach. Wielki strach.

Wody zabrakło nagle. Nie że strumień się osłabił albo rury się zapowietrzyły. Dopływ został przerwany w jednej chwili, a drogocenne krople zniknęły w umywalce w łazience, podczas gdy ona tylko się przyglądała.

Odczekała pół godziny i znów odkręciła kran z zimną i ciepłą wodą, ale nic się nie zmieniło.

Może jakaś awaria na budowie? Może przypadkowo uszkodzili rurę wodociągową? Słabe odgłosy uderzeń młota i krzyki z budowy ustały w każdym razie w mniej więcej tym samym czasie, kiedy skończył się dopływ wody. Czy między jednym a drugim istniał jakiś związek?

Parokrotnie próbowała wzywać pomocy tak głośno, jak tylko umiała, choć wiedziała, że to na nic. Przecież już to robiła, a teraz jej gardło jest tylko bardziej podrażnione i wysuszone.

Ogarnięta poczuciem bezsilności, wpatrywała się w swoje karty do pasjansa i podręcznik, dzięki któremu miała stać się lepszym, pełnym harmonii człowiekiem. Ale bez względu na to, jak bardzo jej dusza łaknęła ulgi i jaki jej zdaniem był cel pobytu tutaj, to odczuwające pragnienie ciało brało nad wszystkim górę. Jeśli w ciągu paru dni nie dostanie wody albo ktoś jej nie pomoże, to nie da rady, wiedziała to. W każdym razie nigdy nie łudziła się, że jest pod tym względem silna, bo nie była.

Na co dzień nawet kilka godzin bez jedzenia i picia wpędzało ją w rozpacz, bo jeśli kogoś można nazwać niewolnikiem nawyków, to właśnie ją. Woda w szufladzie, batonik energetyczny w torebce – i Shirley czuła się bezpiecznie.

Jej wzrok jeszcze raz przesunął się po masywnych, drewnianych ścianach. Choć naprawdę usilnie się starała, nigdzie nie mogła wypatrzeć ani dziur po śrubach, ani główek gwoździ. Najprawdopodobniej główki zostały zakryte, a deski wbijano jedną na drugą, ale gdyby udało

się jej odłamać choćby jedną, mogłaby dostać się do kolejnej i a nuż potem dotarłaby aż do materiału izolacyjnego i go usunęła. Wtedy ludzie na dworze na pewno by ją usłyszeli. W najlepszym wypadku zniszczyłyby wierzchnie deski na tyle, by zrobiła się dziura.

Już tysięczny raz tego dnia spróbowała połknąć ślinę, ale ta nie napływała jej do ust. Włożyła paznokcie pod deskę profilową, gdzie szpara była największa, i szarpnęła.

Skończyło się na dwóch złamanych paznokciach. One też nie należały do najmocniejszych, co już dawno uświadomiła jej ekspedientka z drogerii Liberty.

Potem kolejny raz przeszukała torbę. Miała w niej parę butów z klamrami, a w kosmetyczce kilka przedmiotów, których mogłaby użyć zamiast paznokci.

Po trwających minutę poszukiwaniach usta Shirley zaczęły drżeć, a ręce poruszały się coraz bardziej gorączkowo. Przeszukała każde zagięcie, każdą kieszonkę torby, aż w końcu zrzuciła ją na podłogę i usiadła zrezygnowana, trzymając ręce na kolanach.

Nie mogła tego pojąć, a jednak tak właśnie musiało się stać: Pirjo pomagała jej pakować torbę, teraz zaś nie ma w niej ani butów z klamrami, ani nożyczek i pilniczka do paznokci. To nie mógł być przypadek. Zresztą tam, gdzie w grę wchodzi Pirjo, nie ma miejsca na przypadki.

Wniosek był druzgocący. Zrozumiała, że ma nie wyjść stąd żywa.

Kiwnęła głową do swoich myśli. Trzeba było słuchać wewnętrznego głosu. Tak jak przypuszczała, Wanda Phinn dotarła do Akademii Absorpcji Natury, a Pirjo dopilnowała, by stąd zniknęła. Tylko jak? I gdzie Wanda jest teraz?

Spotkanie tych dwóch kobiet mogło mieć fatalne skutki. Wanda nie należała do ludzi, którzy się wycofują, ani do tych, którzy położą się brzuszkiem do góry na zawołanie Pirjo.

Ale co się stało? Co Pirjo z nią zrobiła?

Czy doszło do najgorszego? Czy ciało Wandy gnije teraz w którymś z innych domków? Czy jej nieszczęsna przyjaciółka cały czas znajdowała się na terenie ośrodka, podczas gdy Shirley kręciła się po nim, naiwna, niczego nie przeczuwając?

W niektóre dni już miała udać się ze swoimi podejrzeniami do Atu. Teraz zżymała się, że tego nie zrobiła. Była pewna, że Atu coś by z tym zrobił. Owszem, Pirjo miała tu dużą władzę, również nad nim, szczególnie skoro nosiła jego dziecko. Ale Atu sprawiał wrażenie takiego otwartego i rozbijającego przez to swoje głębokie, mądre spojrzenie. Wiedziała, że wysłuchałby jej ze zrozumieniem.

I co z Valentiną? Przecież też tak nagle zniknęła.

Shirley naszła straszliwa myśl. A jeśli ściągnęła na Valentinę niebezpieczeństwo? Przecież wygadała się przed nią o swoim podejrzeniu na temat Wandy. Co jeśli Valentina powiedziała o tym Pirjo? Czy to dlatego ona siedzi teraz w tej pustej chatce? Czy dlatego Valentina tak się od niej odsunęła, a teraz już jej tu nie było?

Shirley ukryła twarz w dłoniach. Nie mieściło się jej to w głowie, tak przerażająca była ta myśl. Gdyby miała w organizmie wystarczającą ilość płynów, toby się popłakała, ale jak

można płakać bez łez?

Czuła też, jak zalewa ją gniew z siłą, jakiej dotąd nie znała. Złość, z której udusiłaby Pirjo, gdyby tylko mogła. Wściekłość, której tak jej brakowało, gdy ją drażniono, dręczono, odstawiano na boczny tor, wykorzystywano.

Zagryzła zęby i z całych sił docisnęła pięści do ust. Uszczypnęła się tak mocno, że skóra zaczęła jej krwawić, drapała się po twarzy do utraty tchu.

Musiała przynajmniej poczuć ból, by wiedzieć, że żyje, bo przecież żyła i miała zamiar utrzymać ten stan. Pirjo jeszcze pożałuje.

Shirley odchyliła głowę do tyłu i przez szybę w dachu dostrzegła kilka gwiazd.

Za parę godzin w tym samym miejscu znajdzie się słońce, które nagrzeje pokój oczyszczeń. Wprawdzie przez ostatnich kilka dni pogoda była zmienna i wilgotna, ale jeśli teraz słońce zaświeci ze zdwojoną siłą? Pragnienie przybierze na sile, jeśli temperatura w środku wzrośnie o kilka stopni.

Obudziła się, kiedy słońce paliło już mocno, a temperatura w domku była wyższa o jakieś osiem, dziesięć stopni niż poprzedniego dnia.

Jeśli otworzą się pory w jej skórze i zacznie się pocić, jak długo wytrzyma, skoro i tak gospodarka płynami w jej organizmie znajdowała się w stanie krytycznym? Czy powinna już teraz uciec się do ostatniego rozwiązania?

Wstała, poszła do toalety i po raz enty spojrzała na głowicę prysznic, z której już dawno wyszała ostatnią kroplę wody.

Przez chwilę oczyma wyobraźni zobaczyła stół nakryty do śniadania: chleb, sok i kawę. Nie, właściwie nie. Sam sok.

Otrząsnęła się z tej fatamorgany i poczuła, jak gorąco ogarnia ją niczym dławiący uścisk. Naprawdę za nic w świecie nie powinna dopuścić do tego, by się spocić. Nie pocić się, nie pocić.

Myślała o schłodzonych drinkach. O wieczornych kąpielach w Brighton, w których nie chciała brać udziału, bo było za zimno, bo źle wyglądała w stroju kąpielowym, bo była sama, a wszyscy pozostali zajmowali się partnerami. Marzyła o chłodnej bryzie i mżawce delikatnej jak puch.

Wtedy podjęła decyzję, by rozebrać się do naga. Odłożyła ubranie na kupkę przy umywalce i z satysfakcją stwierdziła, że jej skóra znów oddycha.

Przesunęła wzrokiem po swoim bladym, obwisłym ciele. Co za ironia, że ona, która zawsze walczyła z nadwagą, teraz jest bliska śmierci z głodu i pragnienia.

Pokręciła głową. Nie może do tego dopuścić, już zdecydowała. Nie chce umierać, nie zemściwszy się. Będzie regulowała ciepłotę ciała, wkładając i zdejmując odzież, tak żeby utrzymywała się na stałym poziomie bez względu na temperaturę na dworze. A jak przyjdzie co do czego, ma jeszcze ostatnie wyjście, choć nie należało ono do subtelnych.

Spojrzała w głąb muszli klozetowej, próbując zebrać się w sobie. W klozecie wciąż była woda, a pojemnik do splukiwania też nie został jeszcze do końca opróżniony. Odkąd odcięto dopływ, postępowała z rozmysłem i nie załatwiała się do ubikacji. Jeśli będzie oszczędzać wodę w muszli i pojemniku i załatwiać swoje potrzeby na podłogę, tak jak w ciągu ostatnich dwóch dni, to zostanie jej jakieś osiem litrów wody na przeżycie.

Ale było to jednak obrzydliwe. W miejscu, gdzie woda styka się z muszlą, widać było ślady po wypróżnieniu i moczu.

„Nie ma sensu udawać mimozy” – pomyślała, zanurzając rękę w wodzie i podnosząc ją do ust.

Na początku miała odruch wymiotny, ale gdy dotknęła ustami wody, wiedziała już, że da radę.

Przełknąwszy, znów spojrzała w głąb muszli i odruch wymiotny powrócił.

– Przestań, Shirley, dasz radę! – krzyknęła, uderzając się mocno w bok głowy. Zabolęło, ale to dobrze.

Jeszcze nie koniec.

Przez większą część czwartku słońce świeciło coraz bezlitośniej, a Shirley drapała w deskę na ścianie. Udało jej się ją obluzować może o jakieś półtora milimetra, ale nie więcej. Wcześniej podziwiała ekipę pracującą przy kręgu solarnym za ich kunszt, ale dziś ich za to przeklinała. Deski zbito aż nazbyt solidnie. Nie uda jej się ich obluzować.

Wówczas wpadła na pomysł, żeby wyłamać rurę odpływową spod umywalki. Taką metalową rurą mogłaby przebić dziurę w desce, jeśli będzie uderzać wystarczająco mocno i precyzyjnie.

Chwyciła ją oburącz, zapała się nogami o ścianę i szarpnęła, ile sił w rękach.

Rura zaskrzypiała, jakby wykonano ją z papieru, co było bliskie prawdy. Dokładniej rzecz biorąc, był to cieniutki plastik, powleczony warstewką imitującą chrom.

– Cholera! – wrzasnęła, ciskając ją o ziemię w czystej frustracji.

Odlamki rozsypały się po podłodze.

Po kilkugodzinnej bezowocnej pracy nad deską, poddała się i przysiadła w kącie, by się wysikać. Chciała wcześniej położyć się spać i tym sposobem oszczędzać siły.

Pojawiło się tylko kilka kropli moczu, więcej się nie dało; miały mocny, kwaśny zapach. W ciągu ostatniej doby również zapach ciała się zmienił. Shirley zdecydowanie się to nie podobało.

Spała mocno przez kilka godzin, a gdy się obudziła, oszołomiona i półprzytomna poczuła, że chce jej się siku.

Dopiero gdy spuściła wodę w toalecie zdała sobie sprawę, że siedzi na muszli.

Przeżona wstała w ciemności i spojrzała w głąb klozetu. Co ona zrobiła? Teraz został jej zaledwie litr.

Wtedy naprawdę się rozplakała, choć łzy nie popłynęły.

Wtorek 13 maja, środa 14 maja i czwartek 15 maja 2014

Noc była koszmarna, a kolejny dzień niewiele lepszy.

Carl spał mocno, znacznie mocniej niż zazwyczaj, co niby było dobre, ale po przebudzeniu serce łomotało mu w takim tempie, że myślał, że umiera.

Przez dłuższy czas leżał z ręką na piersi, wpatrując się w komórkę na szafce nocnej i zastanawiając się, czy nie zadzwonić do lekarza dyżurnego, ale jaki, kurwa, był ten nowy numer? Przez ostatnie długie miesiące nie rozmawiało się o niczym innym niż o fatalnym funkcjonowaniu tego rozwiązania, a on nawet nie potrafił go zapamiętać! On, policjant, który powinien ten numer znać najlepiej. Naprawdę żałosne! Człowiek zdąży wykitować, nim wystuka ten numer.

Zaczął mierzyć puls, ale dał sobie spokój, doliczywszy się stu uderzeń przed upłynięciem minuty. O wiele za szybki, prawie jak wtedy, gdy dopadł go jego pierwszy atak paniki. Ale to teraz nie było żadnym atakiem paniki; czuł, że to coś innego. Coś, co kręciło mu się po głowie i nie chciało odpuścić.

Najprawdopodobniej koszmar.

Klapnął głową na poduszkę, zupełnie ją spłaszczając.

– Hummm, hummm – zamruczał, naśladując to, co wczoraj usłyszał podczas targów. O dziwo, pomogło. Ludzie powinni wiedzieć takie rzeczy, to zaoszczędzą trochę grosza. Potem znów zapadł w niebyt, w którym sen i jawa toczą ze sobą walkę i skąd biorą się zupełnie niekontrolowane marzenia senne.

– Halo, Hardy – usłyszał z oddali własny szept. Zobaczył sam siebie, jak trzyma w ręku komórkę i domaga się, by kolega odpowiedział. Widocznie usilnie potrzebował jego rady i szczerą opinię. „Dlaczego Anker i ja cię nie wtajemniczyliśmy, Hardy?” – szumiało mu w głowie. „Dlaczego?” Czy miał odwagę o to spytać? Czy miał odwagę zwierzyć się Hardy’emu z czegokolwiek? Zwierzyć się, ale z czego?

„Na strychu stoi trumna, Carl” – zaśmiał się Jesper gdzieś z tyłu, a Mørck wyłączył komórkę, ale zaraz włączył ją znów i zadzwonił do Mony. Nic się nie wydarzyło.

Wtedy się obudził.

Powlókł się do kuchni, otumaniony i z ciężką głową, jakby spał tylko godzinę albo miał gorączkę.

Może Morten i Hardy się z nim przywitali, nawet nie wiedział. Wiedział tylko, że jedyną rzeczą, na którą ma ochotę, są płatki owsiane, które Jesper zostawił w spiżarni podczas

ostatniej bytności w domu. Musiał też ściszyć tę cholerną telewizję śniadaniową, w której hiperaktywni prowadzący paplali o jakichś błahostkach, opychając się wyjątkowo pięknie wyeksponowanymi wytworami sztuki kulinarnej.

Kiedy posypał owsiankę cukrem i kakao i wziął do ust pierwszą łyżkę, smak niezrównanych poranków z dzieciństwa niemal poraził mu podniebienie. Zmysły oszalały, powonienie płątało mu figle, powróciły do niego wonie starych wujków i ciotek. Zwielokrotnił się chrzest rozgryzanych twardych płatków. Widok opakowania zlał się w jedno z obrazem rodziny siedzącej w zapiekłym milczeniu i duszącej w sobie niewypowiedziane słowa.

Nagle przypomniał sobie czasy, gdy on i Ronny stali o poranku nad strumieniem Nørreå i błaznowali za plecami wędkującego taty Ronny'ego. Przypomniał sobie, jak wyskakiwał do góry, boksował w powietrzu i naśladował Bruce'a Lee, wykonując szalone kopnięcia karate i ciosy bokiem dłoni.

Zapowietrzył się i o mały włos owsianka wylądowałaby nie w tej dziurce, co trzeba. Co się stało, dlaczego to do niego wraca? Traci rozum czy co? Czy w jego mózgu następowało jakieś wielkie zwarcie, czy może dzieje się coś jeszcze innego? W każdym razie nie było to w najmniejszym stopniu przyjemne.

– Carl, dzwoniła jakaś Kristine – powiedział Gordon, którego usta były dziwnie skrzywione, a poobijana facjata mieniła się całą paletą barw.

Kristine? Nie, nie ma siły się z nią mierzyć, na pewno nie teraz. Co ma w ogóle robić z kobietą, która go zostawiła, by wrócić do eksmęża? Absurdalna myśl.

– Nie zostawiła wiadomości, ale powiedziała, że jeszcze zadzwoni. – Na tej części twarzy Gordona, która była w stanie coś wyrazić, zmieniła się mina. – Rose jeszcze nie przyszła, mam do niej zadzwonić?

W jego głosie słychać było troskę.

Carl skinął głową.

– A gdzie Assad? – spytał. – Też nie przyszedł?

– Owszem, był już. Powiedział, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale to dziwne, bo jak przyszedłem, też go nie było. Chyba już trzeci raz wychodzi dziś na dziedziniec, a jest dopiero kwadrans po dziesiątej.

„Okej, więc nie ja jeden jestem dziś niepozbierany” – pomyślał Carl. Przypomniał sobie Kazambkę, który z ufnością zapewniał, że efekty uboczne hipnozy będą nieznaczne. Może powinien do niego zadzwonić.

– Ale skoro już rozmawiamy, Carl, chciałbym pokazać ci coś dziwnego, co ma związek z Assadem. Kiedy o siódmej rano przyszedłem do pracy, jego komputer był włączony, a na biurku wałało się mnóstwo różnych rzeczy świadczących o tym, że spędził tu całą noc. Trzy filiżanki po herbacie, kilka pustych opakowań po orzeszkach, parę po chałwie, no i mejl od ciebie o tym Atu coś tam, coś tam. Pewnie gadał na Skypie. Wiem, że nie powinno się



szpiegować kolegów, ale nie mogłem się powstrzymać i zerknąłem na ekran. Były tam arabskie znaczki, ale zrobiłem zdjęcie i wysłałem je do tłumacza z arabskiego z naszej komendy, by się dowiedzieć, co tam było napisane.

– Hm – mruknął Mørck. Nie miał pojęcia, o czym ten człowiek plecie. Assad poszedł na dziedziniec zaczerpnąć świeżego powietrza? Tego jeszcze nie grali.

– To było po arabsku, Carl, ale niektóre wyrażenia nie były typowo syryjskie, raczej iraakijskie, tak mówił tłumacz.

Mørck podniósł głowę; wreszcie się obudził.

– Czekaaj, co ty powiedziałeś? Myszkowałeś po komputerze kolegi? Powtórz, co wcześniej mówiłeś, powiem ci, co o tym myślę.

Gordon wyglądał na podenerwowanego.

– Po prostu pomyślałem, że skoro jesteśmy w pracy, to te sprawy musiały mieć z nią związek. A to może leżeć w interesie całego wydziału. Czy...

– No dawaj, Gordon, powtórz to.

Carl słuchał. Jeśli ten pętaak może to zrobić koledze z pokoju, to zrobi to każdemu. Prawdę mówiąc, nie bardzo mu się to podobało. Szkopuł w tym, że jeśli ktoś w ich piwnicy odczuwa potrzebę, by dowiedzieć się o Assadzie czegoś więcej, to jest to on sam. A skoro mają wśród siebie szpiega, to lepiej trzymać nerwy na wodzy. Zawsze można go objechać później.

– Tłumacz nie zrozumiał do końca, co tam było napisane, ale tu masz jego wersję przekładu. Podsunął kartkę Carlowi.

*Daj sobie spokój, Said. Nikt już nie jest zainteresowany przeciąganiem sprawy. Jesteś dla nas jak pióro na rybie. Pogódź się z tym.*

Znów to imię. Said.

– Jak myślisz, Carl, dlaczego ktoś zwraca się do niego Said?

Wzruszył ramionami, ale w głowie uruchomiła mu się właśnie reakcja łańcuchowa pytań, na które nie znał odpowiedzi.

– Nie wiem, czy faktycznie się tak zwraca – odparł. – Tylko tyle tam było napisane?

Carl zerknął na ekran Assada. Nie licząc loga policji, pulpit był pusty.

– Gdy wróciłem, wylogowałem się ze Skype'a, a potem musiał skasować korespondencję. Sprawdziłem.

– Posłuchaj no, Gordon. Postąpiłeś niezgodnie z zasadami, którymi się tu kierujemy i będziesz miał przesrane, jeśli się to powtórzy. Tym razem skorzystam z prawa łaski, ale jeśli następnym razem zrobisz coś podobnego, to już ja dopilnuję, żebyś stąd wyleciał na zbity pysk. Zrozumiano?

Skinął głową.

Czyli ten most już za sobą spalił.

Assad stał na końcu Izby Pamięci w niszy z „Zabójcą węży” – figurą z brązu, która na czubku penisa miała wyrytą swastykę; podczas wojny nielekający się śmierci policjanci drażnili tym nazistów. Gdyby człowiek nie wiedział, można by pomyśleć, że Assad śpi na stojąco, ale oczy miał otwarte. Nieobecne, ale otwarte.

– Dobrze się czujesz? – spytał Carl.

Kolega powoli się odwrócił.

– Wytropiłem adres tego Atu Abanshamasha Dumuziego – odparł. – Kieruje ośrodkiem na Olandii. Rozpytywałem o niego.

Carl skinął głową. Przecież to najważniejsza informacja, jakiej szukali! Dlaczego więc stoi tu, wyglądając jak kupka nieszczęścia, bez ikry i wigoru?

– Assad, co się z nami dzieje? – spytał Carl.

Tamten wzruszył ramionami.

– A dzieje się? U mnie nic, poza tym że pracowałem prawie całą noc.

– Dlaczego tu stoisz? Gordon mówi, że cały ranek chodzisz tylko w tę i z powrotem.

– Jestem po prostu zmęczony, Carl, i próbuję się obudzić, żebyśmy mogli jechać.

Carl zmrużył oczy. Pytać o to imię?

– Rose nie jest w formie, Carl, nie przyjdzie dziś. Wydaje mi się, że ta hipnoza nie zrobiła jej dobrze. W taksówce cały czas dygotała, a gdy ją odstawiliśmy do domu, kołysała się tylko w tę i z powrotem. Minutę temu do niej dzwoniłem, ale nie odbiera.

– Okej, mnie też ta hipnoza nie pomogła. W nocy miałem koszmary, a dziś głowę zaprzątają mi rzeczy, o których nie myślałem od lat.

– To przejdzie, Carl. W każdym razie tak mi powiedział.

Mørck miał wątpliwości.

– A co z Rose?

Assad nabrał powietrza do płuc.

– Z Rose? Niech posiedzi kilka dni w domu i dojdzie do siebie.

– Dzwon do niej – nakazał Carl Gordonowi. – Musimy dopilnować, by stanęła na nogi. Jak już się z nią skontaktujesz, spytaj, czy możesz coś dla niej zrobić. I nie mam tu na myśli tego, co mógłbyś zrobić dla siebie, Gordon, kapujesz? – Spojrzał na niego surowo.

Gordon kiwnął głową.

– Widzę, że do Akademii Absorpcji Natury na Olandii jest trzysta sześćdziesiąt pięć kilometrów. GPS mówi, że dotarcie tam zajmie wam jakieś cztery i pół godziny, więc jeśli pojedziecie teraz, będziecie tam o piętnastej. Mam zadzwonić i uprzedzić, że przyjedziecie?

Gdzie on był, gdy rozdzielano mózgi?

– Absolutnie nie, dziękuję. Ale pojedziemy dopiero jutro, Gordon. Dziś nie jesteśmy w formie.

– Okej. Przy okazji, dzwonili z bornholmskiej policji. Podobało im się twoje wystąpienie w telewizji.

– Niech to lepiej powiedzą Larsowi Bjørnowi. Chyba im nie wygadałeś, że znaleźliśmy volkswagena?

– *My God*, nie! Za kogo ty mnie uważasz?

Ze szczerzej odpowiedzi pewnie by się nie ucieszył.

– Ten policjant mówił jeszcze, że rozmawiali o tej sprawie podczas przerwy na lunch i że jeden z kolegów sobie przypomniał, że ktoś z rodziny tego nauczyciela, co zmarł w szkole, tego od pistoletu, który buchnął Habersaat i którym się zastrzelił, mówił, że ten zmarły nauczyciel faktycznie miał dwa identyczne pistolety. – Gordon zaczerpnął powietrza. Nic dziwnego, to była niezła tyrada. – I że tego drugiego pistoletu nigdy nie znaleziono, w rzeczach Habersaata też.

Carl pokręcił głową. Co to za różnica, jeden pistolet w tę czy we w tę w dzisiejszej Danii, gdzie nawet przygłupi gangster czy rockers ma przynajmniej jeden?

Świat zupełnie oszalał.

Głowa Carla też.

Dowlókł się do łóżka o czwartej po południu, a gdy następnego ranka obudził się, wciąż czując, że jest nie w sosie, zadzwonił na komórkę Assada i odwołał wyjazd.

– Carl, to pewnie tylko skutki uboczne hipnozy – próbował pocieszać go kolega. – Wiesz, że kiedy spogląda się wielbłądowi zbyt głęboko w oczy, to dostaje zeza?

Mørck podziękował za porównanie i opadł z powrotem na poduszkę. Wszystko wokół niego spowijała mgła, wydawało się, że nawet myśli i ruchy przebiegają w zwolnionym tempie. I choć próbował je kontrolować, żyły własnym życiem. Kiedy usiłował myśleć o sprawie Alberte, pojawiał się przed nim obraz brata Ronny’ego, pracującego przy frezarce na drodze prowadzącej do gospodarstwa rodziców. Kiedy zaś chciał skupić się na tym epizodzie, powracały do niego wspomnienia Hardy’ego i Ankeru w drodze do altany na Amager, gdzie przypieczętowały się ich losy. A gdy próbował dogłębnie przeanalizować tę straszną, fatalną sytuację, przepełniło go uczucie niespodziewanej tęsknoty. Nagle pojawiły się przed nim Vigga, Mona, Lisbeth i Kristine – i znów Mona. Jakieś zupełne szaleństwo. Nie miał kompletnie nad niczym kontroli.

Rozległo się delikatne pukanie i nim zdążył się odezwać, Morten pchnął drzwi do pokoju, niosąc tacę z parującym śniadaniem.

– Nawet nie pamiętam, kiedy cię ostatnio widziałem w takim stanie – powiedział. Podciągnął go do pozycji siedzącej i podparł poduszkami. – Może powinienem do kogoś zadzwonić?

Mørck spojrzał na tacę trzymaną przez Mortena na kolanach. Gapily się na niego dwa jajka sadzone, obok których leżały płaskie tosty. Przecież Morten wiedział, że Carl ich nie znosi.

– Proteiny, Carl. Moim zdaniem za mało ich pobierasz. To ci powinno pomóc.

Pomóc w czym? Żeby się jeszcze bardziej zakręcił? I co potem? Dzwonić po pomoc czy stoczyć walkę z tym ogromnym, orgiastycznym śniadaniem w stylu angielskim? Ciekawe, co jeszcze? Mleko z miodem? Termometr w tyłku?

– Zabieram Hardy’ego do Kopenhagi – oznajmiła pulchna twarz Mortena. – Nie czekaj na nas.

Co za ulga.

Gdy Carl się obudził, jego kołdra przypominała krajobraz księżycowy składający się z jajek sadzonych, tostów oraz kawy, układającej się w deltę.

– Kurwa mać! – zawołał, odbierając telefon, który go obudził. Dzwonił Assad.

– Chciałem tylko powiedzieć, że Rose przyszła do pracy. Nie wygląda zbyt dobrze, ale nie miałem odwagi jej tego powiedzieć. Porządkuje właśnie ostatni regał. Przysłali nam też z Rønne komputer Bjarkego. Rose już opróżnia twardy dysk. Kazała przekazać, że mnóstwo na nim odważnych zdjęć mężczyzn w skórzanych spodniach bez kroku. Wróci do tej roboty jutro, ale w domu, kiedy nas i tak nie będzie. Obliczyłem, że jeśli odbierzesz mnie o szóstej, to wcześniej tam dojedziemy. Jak tam, lepiej się już czujesz?

O szóstej rano?! Jajka sadzone rozciapane po całym łóżku, potop kawy, spływający mu pod kołdrę. Jak ma się czuć lepiej?! Co, do cholery, ma na to odpowiedzieć?

Piątek 16 maja 2014

Kiedy omyłkowo wcisnęła spłuczkę w toalecie, a drogocenna woda spłynęła do rury odpływowej, Shirley straciła ostatnią rzecz, jaka trzyma człowieka przy życiu: nadzieję. Nie mogąc się jej chwycić, była niczym. Przecież w całym jej życiu, cokolwiek robiła, zawsze tliła się choćby isierka nadziei. Nadzieja, że rodzice ją docenią. Że schudnie. Że mimo wszystko znajdzie sobie partnera, co potem przerodziło się w mniej ambitne pragnienie znalezienia sobie dobrego przyjaciela lub przyjaciółki. Albo nawet pracy, która miałaby jakiś sens.

Ale musiała przyznać, że po zsumowaniu wszystkich tych niespełnionych nadziei wynik i tak nie wyszedłby właściwy. Nadzieję na jedno natychmiast zastępowała nadzieja na drugie, i tak w kółko. A teraz straciła już tę ostatnią. W muszli pozostała zaledwie garstka wody, a przecież i tak oszczędzała, więc skąd ma czerpać otuchę?

Wiedziała, że choć ten koszmar trwa niespełna od tygodnia, to nie potrwa już długo. Wszystkie statystyki dotyczące ludzi, którzy radzili sobie tygodniami bez jedzenia i jeszcze dłużej na niewielkiej racji wody, zupełnie jej nie dotyczyły. Ale co dziwne, nie przerażało jej to.

Pomimo skrajnej suchości w ustach i nieprzyjemnego zapachu odchodów i samego ciała, z godziny na godzinę czuła się coraz lepiej. Przez ostatnią dobę odczuwała wręcz swego rodzaju euforię, której powód zapewne był związany z tym, że narządy nie musiały już zużywać energii na trawienie i pewnie też na mnóstwo innych rzeczy, o których nie miała pojęcia.

Od brzemiennnej w skutki nocnej wizyty w toalecie nie odczuwała już potrzeby wydalania. Organizm był słaby i zmęczony, za to głowa pracowała świetnie. Shirley myślała rzeczowo i racjonalnie. Wyciągała wnioski bez sentymentów i zahamowań: umrze. Chciała już tylko zawalczyć o to, by jej odejście nie odbyło się w ciszy i żeby skierować oskarżenia na Pirjo.

Spędziła wiele godzin na próbach podważenia deski, by utworzyć dziurę sięgającą do warstwy zewnętrznej, ale gdy w końcu udało się jej poluzować ją na tyle, by przez szparę zobaczyć, co się za nią kryje, zarzuciła ten pomysł. Tkwiła tam bowiem płyta aluminiowa; nie wiedziała, dlaczego, ale pewnie miało to coś wspólnego z właściwościami termicznymi domku, o których mówiła Pirjo. Zgasła kolejna isierka nadziei, bo nie sforsuje tej płyty za pomocą tych nędznych narzędzi, którymi dysponowała.

Oczywiście na pewien czas zbiło ją to z nóg, bo alternatywą była tylko śmierć. A potem znów poczuła się lepiej; stan ten wynikał zapewne z procesów chemicznych zachodzących

w jej ciele.

Uciekła się więc do kolejnego planu i odszukała w kosmetyczce okulary do czytania, paskudztwo, które kupiła w sklepie Tiger w Southside Shopping Centre w Wandsworth w płońskiej nadziei, że będzie w stanie wykonywać dzięki nim lepszy, bardziej twarzowy makijaż.

Jako że słońce stało wysoko na niebie, czas był odpowiedni. Pytanie tylko, czy jej pomysł uda się zrealizować dzisiaj, czy konieczny będzie jeszcze dzień jutrzejszy.

Uklękała, próbując złapać promienie słoneczne przez soczewkę, tak by skupić je na punkcie na ścianie.

Na pewnym etapie młodości Shirley wyobrażała sobie, że będzie pracować charytatywnie jako ratowniczka medyczna, i w tym celu ukończyła kilka kursów pierwszej pomocy. Dzięki temu przekonała się, że nie toleruje widoku krwi, więc porzuciła ten plan. Dowiedziała się jednak, że ofiary pożarów rzadko odczuwają ból, bo tracą przytomność wskutek zatrucia dymem.

Miała nadzieję, że kiedy za chwilę uda jej się rozpaść ogień dzięki zabiegowi z okularami, pobiegnie do łazienki, łudząc się, że nim płomienie na dobre się rozszaleją i ją dosięgną, ludzie podniosą alarm i przybiegną do domku. A jeśli tak się nie stanie, niech sprawy toczą się swoim biegiem. Toaleta jest niewielkim pomieszczeniem i tlenu na długo jej nie wystarczy.

Następnie wzięła niebieski notes Pirjo ze złotymi myślami Atu i wyrwała stronę po stronie, dopóki pod ścianą nie utworzyła się kupka zmiętego papieru, która miała służyć jako rozpałka.

Przesiedziawszy tak pięć minut, stwierdziła, że rozgrzany punkt w życiu nie osiągnie takiej temperatury, jak w wypadku stosowania szkła powiększającego, więc spojrzała w górę na okna dachowe. Za niecałą godzinę słońce przesunie się na tyle, że do domku nie będą już wpadały jego promienie, a wówczas będzie musiała odłożyć swoje przedsięwzięcie do jutra. A kiedy głębiej się zastanowiła, pojawiło się pytanie, czy w ogóle się uda, nawet przy silnym słońcu. Może zasadniczy problem polegał na tym, że szyby w oknach załamywały światło na tyle, że traciło moc.

Zacisnęła usta. Nie może tak być. Ma po prostu tu usychać? Czy Pirjo któregoś pięknego dnia przyjdzie, by usunąć stąd jej lekkie jak piórko, zmumifikowane zwłoki, nie ponosząc odpowiedzialności za morderstwo?

Shirley zacisnęła zęby, próbując obliczyć odległość do okien dachowych. Wcześniej wydawało jej się, że wynosi jakieś sześć, siedem metrów, ale może nawet nie są tak wysoko.

Kosmetyczka znów została wybebeszona.

Zważyła w rękę pastę do zębów, puderniczkę i dezodorant, dochodząc do wniosku, że żaden z tych przedmiotów nie jest tak ciężki jak słoiczek kremu przeciwzmarszczkowego. Był on pozostałością z czasów, gdy sądziła, że jego zawartość jest w stanie zdziałać cuda. Że oznaki

starzenia i zwiotczała skóra przejdą do historii, jeśli tylko będzie pamiętała, by codziennie się nim smarować.

Kiedy po miesiącu stwierdziła, że jedynym efektem stosowania kremu jest cieńszy portfel, schowała go na dno kosmetyczki. Nie wyrzuca się ot, tak kremu, który kosztował ją dwie dniówki, o ile nie więcej.

Teraz wreszcie do czegoś się przyda.

Ale jedna rzecz to podrzucić coś na sześć, siedem metrów mniej więcej w linii prostej – to żaden problem, choć Shirley niczym nie rzucała, odkąd była dzieckiem. Sprawy przedstawiały się inaczej, jeśli trzeba podrzucić coś pionowo do góry z taką precyzją i siłą, by stłuc szybę, która wyglądała na odporną na nawet wyjątkowo silne gradobicie.

Na dodatek słoiczek Shirley był ze szkła. Jeśli nie uda jej się za pierwszym razem, drugiej szansy nie będzie.

Przez chwilę siedziała, myśląc o swoim ojcu, instalatorze z Birmingham, który zawsze miał gotową odzywkę, chyba że chodziło o prawdziwą wiedzę, bo z tą akurat było u niego kiepsko.

– Spróbuj swoich sił! – mawiał. – Kurde, dziewczyno! Jeśli nie jesteś pewna, to poeksperymentuj!

Shirley się uśmiechnęła. Nie był zachwycony, gdy przypomniała mu akurat tę sentencję, przyprowadzając w jednym tygodniu trzeciego chłopaka. Chwyciła puderniczkę i wycelowała. Całkiem możliwe, że lustro w środku się stłucze, spadając na ziemię, ale w tej chwili miała inne zmartwienia niż perspektywa żalonych siedmiu lat nieszczęścia.

Za pierwszym razem trafiła w sufit w odległości ponad dwóch metrów od okien. Za drugim – metr obok. Przy trzecim razie w ogóle nie udało jej się dorzucić puderniczki tak wysoko, a poza tym już rozboleł ją bark.

Kiedy w dzieciństwie chciały z kuzynką się pośmiać, chodziły do starej ciotki i ujmowały ją pod ramiona, udając, że chcą jej pomóc gdzieś dojść albo wstać. Szczypiąc jej obwisłą, trzęsącą się skórę, chichotały z tego godzinami. Wówczas było to śmieszne, ale w obecnej chwili zdawała sobie sprawę, że jej sytuacja bynajmniej nie jest lepsza, niż wtedy ich starej ciotki. W każdym razie mięśni nie miała żadnych.

Zrobiła sobie przerwę i postanowiła wypić reszkę wody z muszli klozetowej. Wytarła usta i spojrzała groźnie na okno w dachu.

„Musisz po prostu dużo serca włożyć w cel, a resztę w piłkę, wówczas trafisz” – brzmiała mantra każdego nauczyciela krykieta w jej dawnej szkole.

Podzieliła więc serce na dwie części, po czym z całych sił cisnęła puderniczką w stronę okna sufitowego.

Pod dachem rozległ się trzask, czyli wcelowała. Zachęcona sukcesem chwyciła słoiczek z kremem i zrobiła dokładnie to samo. Trudno było określić, czy brzęk, który rozległ się

w całym domku, został spowodowany przez szybę czy słoiczek. Dość, że w oknie została wybita dziura i promienie słońca wpadały teraz prosto do środka, pieszcząc jej twarz.

Zamknęła oczy:

– Horusie, Horusie z gwiazdy zrodzony, słońcem wypieszczony, bądź moim sługą i ukaż mi dowód siły, którą nas obdarzasz. Pozwól mi podążyć twoją drogą i wcielać ją w życie i nigdy nie zapominać o znaczeniu twojej bliskości – modliła się.

Potem wrzasnęła najgłośniejszym, jak potrafiła, w ostatniej nadziei, że ją usłyszą, skoro udało jej się wybić szybę w oknie. Ale po dziesięciu minutach zamilkła. Widocznie dom był na tyle dobrze izolowany, że nikt niczego nie usłyszał.

Z logicznego punktu widzenia powinna odczuwać smutek i strach, ale tak się nie stało. Właściwie przez chwilę się z tego śmiała. To jakieś zupełne szaleństwo. Gdyby kiedyś wiedziała, jakie szczęście daje głodówka i pragnienie, jak lekki, wolny i silny człowiek się czuje, to z pewnością chętniej by z niej skorzystała.

Uklękła, po raz kolejny wzięła okulary i skoncentrowała promienie słoneczne w małym, intensywnie błyszczącym punkcie najpierw na samej ścianie, a potem na zmiętych kartkach z niebieskiej książeczki, które z wolna, lecz stanowczo i pewnie stawały się coraz ciemniejsze.

\*\*\*

Gdy Pirjo miała niecałe sześć lat, nastąpiło idealne lato na zbieranie jagód. W lasach było ich zatrzęsienie, ojciec zwęszył nagle szansę dodatkowego zarobku. Jak wiadomo, jagody w lasach są gratis, a jeśli ten stuprocentowy zysk pomnożyć przez oczekiwaną dzienną sprzedaż jagód turystom z Tampere, to w ciągu jednego sezonu można zarobić wiele marek fińskich. Ojciec obliczał co wieczór, ile da się zarobić, jeśli do rzeszy turystów z Tampere dorzucić tych z Turku i wszystkich Szwedów, którzy czasem się tu zapuszczali. Zysk byłby gigantyczny, powiadał, marząc o furgonetce, a nawet własnym supermarkecie. Ojciec fantazjował, a wszystkie jagody miały mu zebrać Pirjo i jej matka.

Nazbierały wiele wiader, mimo dotkliwych ukąszeń gzów, bąków oraz hord komarów, ale turystów nie było, więc jagody tylko fermentowały.

– Zrobimy z nich sznaps i dzemy – stwierdził ojciec, wysyłając córkę samą, by nazbierała więcej, bo matka musiała przecież zająć się zaprawami.

Kiedy dziewczynka wróciła do domu z kolejnym wiaderkiem, zrezygnowana matka siedziała w kuchni z opuszczonymi rękami. Po prostu nie nadażała, a cukier za dużo kosztował.

W rezultacie w kolejnych dniach Pirjo zapadła na chorobliwe zaparcie, które nie dość, że kosztowało rodzinę wizytę u lekarza, to przysporzyło jej nieopisanego bólu.

Choć porównanie nie było w pełni uprawnione, to obecne samopoczucie Pirjo przypominało nieco właśnie tamtą dolegliwość. Bóle brzucha były nieokreślone, ale niepokojące. Jeśli nie



przejdą w ciągu dnia, będzie musiała pojechać do szpitala.

Dotknęła brzucha, próbując wyczuć, czy kopnięcia dziecka zmieniły charakter. Wydawało jej się, że nie, choć w ciągu ostatnich paru dni nieco się uspokoiło. „Może nic w tym dziwnego, w końcu ma coraz mniej miejsca” – pomyślała, wyglądając przez okno.

Na zewnątrz na pustym placu graniczącym z szosą ekipa budowlanców stawiających szopy na rowery uwijała się przez całe przedpołudnie. Materiały dotarły na czas, a pod koniec tygodnia spodziewała się dostawcy z pierwszymi pojazdami.

Ciekawe, czy pomysł prowadzenia misji na wyspie przyniesie jakieś rezultaty. W przeciwieństwie do swego ojca, Pirjo nie była fantastką, ale gdyby udało im się zwerbować choćby pięćdziesiąt osób z Olandii, które przyłączą się do ich misji, uznałaby to za sukces.

Odkąd odcięła dopływ wody do domku, gdzie przebywała zamknięta Shirley, minęły cztery doby. I choć, wybrawszy się tam na przeszpiegi, słyszała słabe odgłosy drapania w ścianę, nie było w tym nic niepokojącego. Za kilka dni dźwięki ucichną, a od dziś za tydzień Shirley powinna już nie żyć, zgodnie z założeniami Pirjo.

Tymczasem musi tylko uważać na siebie i cierpliwie czekać.

Podniosła się z posłania, spoglądając na mężczyzn, którzy jeden po drugim kończyli pracę. Zbliżał się czas spotkania.

Skinęła głową, zadowolona. Pod wieloma względami konstrukcja będzie stanowiła piękne i efektowne wykończenie kompleksu, graniczące z szosą w miejscu, gdzie jej zdaniem było nieco zbyt pusto. Jeśli przy szopach posadzi się jeszcze dziką różę, widok z jej pokoiku będzie piękny i pełen harmonii, a w dodatku hałas z pobliskiej drogi zostanie znacznie wytłumiony.

I kiedy tak stała, rozmyślając, po szosie powoli przejechał samochód na duńskich blachach. Kierowca spoglądał z uwagą na budynki, ale auto się nie zatrzymało.

Takie rzeczy nie należały do rzadkości, jako że takie ośrodki jak ich potrafią przyciągnąć wiele ciekawskich spojrzeń ze względu na szczególną konstrukcję budynków, nazwę i ludzi ubranych w białe tuniki. A jednak spojrzenie tego mężczyzny było nietypowo intensywne. Nie przypominał zwyczajnego turysty, podobnie jak jego pasażer, więc kim byli?

Poczuła ukłucie w boku, wzrosło jej tętno.

Czyżby to ci ludzie z duńskiej policji, przed którymi ją przestrzegano? W każdym razie mężczyzna za kółkiem wyglądał na kogoś w tym stylu.

Stała przez pięć minut, zaniepokojona, sprawdzając, czy ma się czego bać i czy wóz zawróci.

Już miała opuszczać pokój, by udać się do świetlicy, czując ulgę, że to tylko jej własna wyobraźnia płata jej figle, gdy po drugiej stronie szosy zobaczyła dwie zbliżające się pieszo postacie.

Tym razem poczuła wyrzut adrenaliny, który postawił organizm w stan najwyższej gotowości. Nie ulegało wątpliwości, że wyższy z nich to kierowca auta, a towarzyszący mu

mężczyzna jest imigrantem.

Byli to ci dwaj policjanci, przed którymi ostrzegał ją Simon Fisker. Teraz zyskała pewność.

„Doigracie się” – pomyślała.

Choćby nie wiadomo co.

Trzeba ich jak najszybciej powstrzymać.

Przez cały poranek niebo nad Skanią i Blekinge zasnuwane było chmurami; szwedzka policja została już poinformowana o sprawie, więc pod tym względem wszystko szło zgodnie z planem. Carl i Assad nie zamienili zbyt wiele słów, zupełnie jakby ciężkie chmury wisiły nie tylko nad nimi, ale też w ich duszach.

Carl myślał przede wszystkim o Monie, ale również o tym, czy przypadkiem nie nadszedł czas, by poszukać sobie innej pracy. O ile to w ogóle możliwe w jego wieku, jeśli nie chce skończyć jako pracownik ochrony przeganiający z centrów handlowych podpitych gówniarzy.

– O czym tak rozmyślasz, Assad? – spytał wreszcie po przejechaniu trzystu kilometrów. Widział przed sobą Most Olandzki.

– Czy ty w ogóle wiesz, dlaczego na pustyni mieszkają wielbłądy, a nie na przykład żyrafy? – spytał Assad.

– Ma to pewnie związek z pożywieniem, prawda?

Kolega westchnął.

– Nie, Carl. Myślisz za bardzo kwadratowo. Musisz czasem myśleć trochę na ukos, to pójdzie ci lepiej.

Boże drogi, czyżby czekały go jeszcze wykłady z geometrii mózgu?

– Odpowiedź jest prosta: gdyby na pustyni mieszkaly żyrafy, toby umarły ze smutku.

– Aha! Niby dlaczego?

– Bo są takie wysokie, że wiedziałyby, że jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko piach. Na szczęście wielbłąd tego nie wie, więc po prostu wlecze się przed siebie, licząc na to, że za rogiem będzie oaza.

Carl kiwnął głową.

– Rozumiem. Czujesz się jak żyrafa na pustyni, tak?

– Tak, troszkę. Ale tylko teraz.

Akademia Absorpcji Natury zlokalizowana była w miejscu o imponującej urodzie, tuż nad morzem. Rząd architektonicznie wyrafinowanych budynków emanował porządkiem i dostatkiem. Spomiędzy skupisk domów, zwieńczonych szklanymi kopułami, tuż przy plaży dostrzec można było otwartą przestrzeń, a pośrodku niej krąg rytualny, który, jeśli nie liczyć wielkości, przypominał im kręgi na zdjęciach z Bornholmu.

Grupka mężczyzn tuż przy szosie właśnie kończyła pracę nad stawianiem konstrukcji jakichś zabudowań; policjanci minęli ich wolnym tempem.

– Zaparkujmy dalej przy drodze, Assad. Jak dla mnie, ci wszyscy ludzie ubrani na biało robią zbyt sekciarskie wrażenie. Jeśli nie przyjmą nas miło, zawsze będziemy mogli się szybko ulotnić.

– Jaki mamy plan?

– Myślę, że na początek musimy potraktować Franka Brennana jak najzwyczajniejszego świadka. Ponieważ znał Alberte przez jakiś czas przed jej śmiercią, poprosimy, by opowiedział nam o tym coś więcej. Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy zasugerujemy wprost, że maczał palce w wypadku. Sprawdźmy, czy wpadnie w tę pułapkę. Póki co wyjawiamy o sprawie jak najmniej.

– A jak nie wpadnie w pułapkę?

– Cóż, to trochę potrwa, zanim wrócimy do domu.

Assad kiwnął głową na znak zgody. Muszą się przyłożyć.

Obaj uznali, że dłuższy pobyt na odludnej wyspie to jednak przesada.

Kobieta w recepcji, siedząca za stołem nakrytym białym obrusem, poprosiła ich ławym do zrozumienia i wyraźnym szwedzkim, by wyłączyli komórki i zdeponowali je u niej.

– W naszej akademii mieszkańcy muszą odciąć się od świata zewnętrznego, jeśli właśnie tego potrzebują. Przypilnujemy waszych telefonów – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wyjaśnili, z czym przychodzą: że są z duńskiej policji i że chcieliby porozmawiać z Atu Abanshamashem Dumuzim w związku z wypadkiem sprzed lat. Żadnych wyjaśnień, że nie chodzi o rutynową sprawę.

– Doskonale. Tylko że nasz dumuzi właśnie prowadzi spotkanie. Natomiast mamy w świetlicy balkonik dla gości, więc mogą panowie wziąć udział w zebraniu, pod warunkiem że będziecie się cicho zachowywać. Zaprowadzę was.

– Dziękujemy, bardzo chętnie. A tak na marginesie, myślałem, że dumuzi to nazwisko? – odezwał się Carl.

Uśmiechnęła się. Widać nie po raz pierwszy słyszała to pytanie.

– Wszyscy mamy jedno lub kilka imion wywodzących się z sumeryjskiego. Na przykład ja nazywam się Nisiqtu, „Ceniona”, z czego jestem nieskończenie dumna i wdzięczna. Podobnie Atu Abanshamash Dumuzi to słowa oznaczające to, czym dla nas jest Atu. Atu oznacza strażnika. Aban to kamień. Shamash znaczy słońce lub ciało niebieskie. Dumu to syn, a zi oznacza ducha, życie lub energię życiową. Tym samym pełne imię oznacza: „Strażnik kamienia słonecznego, syn energii życiowej”.

Znów się uśmiechnęła, jakby podzieliła się z nimi mądrością, która tchnie siłą i która wzniesie ich dusze ku nieskończoności.

– Ale pierdolenie – szepnął Carl do Assada, gdy kobieta zaprowadziła ich na małą, wewnętrzną galerię, skąd można było obserwować pełnych oczekiwania trzydzieścioro czy

czterdzieścioro ubranych na biało ludzi, siedzących na podłodze niczym płatki śniegu na asfalcie.

Przez kilka minut trwali w milczeniu i nabożnym nastroju, po czym wystąpiła przed nich kobieta, która przygotowywała ich na to, co ma nastąpić, słowami: „Ati me peta babka”.

– To znaczy „strażniku, otwórz mi swe wrota” – wyjaśniła szeptem kobieta.

Mørck uśmiechnął się do Assada, ale ten był nieobecny duchem. Carl podążył za jego wzrokiem do drzwi, które powoli się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna ubrany w żółtą, zdobioną szatę.

Carla przeszły ciarki.

Mężczyzna był wysoki, miał ciemne brwi, jasną skórę, długie popielatoblond włosy i rowek w podbródku.

Assad i Mørck spojrzeli po sobie.

Mimo upływu lat nie mieli cienia wątpliwości. To właśnie jego szukali.

Wśród zebranych przeszedł szmer, gdy rozłożył ku nim ramiona i zaczął kiwać się w tę i z powrotem, intonując: „Abanshamash, Abanshamash, Abanshamash”. Trwało to kilka minut; najpierw mówił to sam, a na znak kobiety prowadzącej w seans włączyli się wszyscy.

Carl spojrział na nią z dziwnym uczuciem w ciele, gdy, jakby wiedziona szóstym zmysłem, zupełnie niespodziewanie pochwyciła jego wzrok. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Jej oczy były mądre, ale spojrzenie miała intensywne i chłodne.

– Kim ona jest? – spytał szeptem kobietę, która im towarzyszyła.

– To Pirjo Abanshamash Dumuzi, prawa ręka Atu, nasza matka. Nosi jego dziecko.

Carl skinął głową.

– Jest z Atu od wielu lat? – spytał.

Nisiqtu skinęła głową i uciszyła ich, kładąc palec na ustach.

Carl szturchnął Assada w ramię i wskazał na kobietę. Też ją zobaczył.

Zasadniczo seans był jednym wielkim monologiem po angielsku. Atu dawał zebrany wskazówki, jak mają żyć w symbiozie z naturą i jak powinni wyrzec się wszelkich dogmatów i wyznań religijnych, by oddać się wszechświatowi i życiodajnemu słońcu.

Potem zwrócił się do kobiety, która otwierała spotkanie.

– Dziś służyłem Zini, ducha wiatru, dzięki któremu dowiedziałem się, jak będzie miało na imię nasze dziecko.

– Kiedy ona rodzi? – wyszeptał Carl do kobiety.

Pokazała mu trzy palce. Znaczy w sierpniu, jest w szóstym miesiącu.

– Jeśli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Amaterasu – powiedział, a ludzie wzniesli do góry splecione ręce.

– Pięknie pomyślane – wyszeptała Nisiqtu. – Amaterasu jest boginią słońca w religii shinto. Całe imię brzmi Amaterasu Omikami, „Wielki sierpniowy bóg świecący na niebie”.

Kobieta sprawiała wrażenie bardzo podekscytowanej.

– Ciekawe, jak nazwiesz dziecko, jeśli okaże się chłopcem.

Carl skinął głową. Raczej nie nazwie go Frankiem.

– A jeśli obdarzysz nas synem, Pirjo, będzie nosił imię Amelnaru. Pieśniarz, który śpiewem obwieści swą nowinę całemu światu.

Poprosił, by weszła do niego na podwyższenie, a gdy stanęła przed nim ze spuszczoną głową, podał jej dwa małe kamienie, które trzymał w rękach.

– Od dziś będę cię prosił, Pirjo Abanshamash Dumuzi, byś w moim imieniu strzegła kamienia z Knarhøj, który ma moc poprowadzić człowieka nawet w najjaskrawsze światło, i słonecznego amuletu z Rispebjerg, który łączy nas z naszymi przodkami i ich wiarą.

Następnie zdjął szatę i stanął przed nimi z nagim torsem, po czym okrył nią jej ramiona.

Kobieta stojąca obok Carla zasłoniła usta dłonią. Widocznie ten gest poruszył i ją, i resztę zgromadzonych.

– Co oznacza to, co on właśnie zrobił? – wyszeptał Carl.

– Oświadczył się jej.

– Patrz na jego ramiona – szepnął Assad.

Carl zmrużył oczy. Tatuaze na nagich ramionach Atu nie były zbyt duże, ale na jednym dało się dostrzec słońce, a na drugim słowo „RIVER”. Jakby historia zatoczyła koło.

Kobieta na podwyższeniu zwróciła się do zebranych, którzy zaczęli kołysać się rytmicznie w tę i w tę, śpiewając chórem. „Horus, Horus, Horus” – rozlegało się bez przerwy; było to równie irytujące, co pomarańczowe grupki wyznawców Hare Krysna, drące się na pełny regulator na kopenhaskim deptaku Strøget.

Na twarzy kobiety odmalowała się cała paleta uczuć, gdy drząc, przyjęła hołd wyznawców. Jej uśmiech powoli stawał się coraz szerszy, twarz coraz bardziej się otwierała. Widać było, że czuła się oszołomiona spełnieniem swojego największego na świecie marzenia.

Ale potem znów uniosła wzrok na Carla i Assada.

Wyraz jej oczu zmienił się ze stanu najwyższego szczęścia w niepokój, który w swoim życiu zawodowym Carl bez przerwy widywał u ludzi w trudnych chwilach. Jak u oskarżonego, który jest pewny, że zostanie uniewinniony, a dostaje surowy wyrok. Jak przy otrzymaniu najgorszej wieści, jak u kogoś, kto gorąco kocha i nagle odkrywa, że jego miłość jest nieodwzajemniona.

Już sam widok mężczyzny na balkonie sprawiał jej ból. Cała radość i błogosławieństwo, które właśnie otrzymała w darze, jednym gestem zostały jej odebrane.

Carl zmarszczył czoło. Z jego punktu widzenia był to jednoznaczny sygnał, że kobieta traktuje ich jak wrogów, że wie, kim są, co reprezentują i dlaczego przyjechali.

Ale skąd mogła to wiedzieć? I czy naprawdę była na tyle zamieszana w wydarzenia z przeszłości, że obawiała się konsekwencji, jeśli dowiedziona zostanie wina Atu alias Franka?

Słyszeli o kobiecie, która towarzyszyła Atu od wielu lat. Teraz Carl miał wręcz pewność, że to o niej mowa i że ona coś wie.

Po dziesięciu minutach wyprowadzono ich na zewnątrz, jako że nadszedł czas, by Atu skupił się na kilkorgu wybrańcach z grupy. Zakończenie jego występu było pokazem demagogii podobnym do tych w wykonaniu polityków, chcących przekonać ludzi o wyższości ich wizji świata nad wizją innych. Wydawało się, że atrakcyjność Atu wykorzystywana jest tylko w dobrym celu, ale nigdy nie wiadomo, w którą to pójdzie stronę. Historia dysponowała wieloma nieciekawymi przykładami na to, jak źle wszystko może się potoczyć, jeśli taka osoba będzie chciała przeforsować swoje zdanie za wszelką cenę.

Ale jego sposób działania miał sens. Może Alberte pokrzyżowała mu plany? Może nagle stała się dla niego przeszkodą, której należało się pozbyć?

Zawsze chodziło o znalezienie motywu. Gdyby tylko go poznali, ich ofensywa byłaby bardziej sprecyzowana i skuteczna.

W każdym razie Carl wyrobił już sobie zdanie, jakim człowiekiem jest Atu, i zrozumiał, że przyjechali tu najprawdopodobniej po to, by go zaaresztować za niewybaczalny uczynek z odległej przeszłości.

– Poczekajcie tu. Pirjo przyjdzie i zajmie się wami – kiwnęła głową Nisiqtu. – To ta, której oświadczył się Atu.

Zaprowadziła ich do gabinetu, z którego prowadziło kilkoro drzwi; okno wychodziło na wodę i podwórze. Ten kult słońca to widać nie najgorszy interes, jeśli porównać widoki z tym, co oglądał Carl przez okno piwnicznego gabinetu w Komendzie Głównej.

– Nie podoba mi się ta Pirjo – stwierdził Assad niepytany, gdy zostali sami.

– Co masz na myśli?

– Wygląda na taką, co potrafi człowieka oszukać i skrzywdzić, nie czułeś tego?

– Może nie aż tak.

– Carl, widziałem już w swoim życiu silne kobiety, które potrafiły wywrócić świat do góry nogami. Tak dla twojej wiadomości.

Wstali obaj, gdy kobieta, o której mówili, weszła do gabinetu. Zdążyła już zdjąć z siebie nakrycie, ulotnił się też spokój i nastrój podniosłości, który jeszcze przed chwilą od niej bił.

Podążyła im rękę i zwróciła się do nich po szwedzku z akcentem, który sprawił, że brwi Assada wykonały woltę.

– Nasze gratulacje – rzucił Carl.

Podziękowała i poprosiła, by usiedli.

– Czemu zawdzięczamy tę wizytę? Nisiqtu z recepcji powiedziała mi, że są panowie policjantami z Kopenhagi.

„Już to wiedziałaś, jędzio, przecież to się czuje” – pomyślał Carl. Naprawdę nic w tej kobiecie nie było w stanie złagodzić jego wrażenia po tym spojrzeniu, którym go obdarzyła.

– Przyjechaliśmy porozmawiać z Atu.

– Ale o czym? Atu jest bardzo wycofaną osobą, która prawie cały czas spędza w ośrodku, więc o czym miałyby rozmawiać z policją?

– Obawiam się, że jest to sprawa między Atu a nami, jeśli pani pozwoli.

– Jak już panowie widzieli, Atu jest wyjątkowo otwartą istotą i przez to bardzo wrażliwą. Nie możemy pozwolić, by doznał niepotrzebnej krzywdy. To się odbije na duchu akademii.

– Pani też mieszkała w Ølene na Bornholmie? – spytał Assad znienacka, zupełnie wbrew umowie.

Spojrzała na niego, jakby oblał ją kubłem zimnej wody. Poirytowana i przestraszona.

– Proszę posłuchać, nie mam pojęcia, z czym przychodzicie, ale jeśli mam odpowiadać na wasze pytania, to chyba wolno mi też samej je zadawać.

Carl rozłożył ręce. Niech próbuje. I tak już mleko się wylało.

– Chciałabym zobaczyć wasze dokumenty.

Pokazali je jej.

– Prowadzicie jakieś śledztwo, które ma związek z Atu?

– W sprawie wypadku na Bornholmie.

– Wypadku? – spojrzała sceptycznie na Carla. – Nie prowadzi się dochodzenia w sprawie wypadków, tylko przestępstw. O co chodzi?

– Czasem trzeba prowadzić śledztwo w sprawie wypadku, by wykluczyć, że w grę wchodzi przestępstwo. Właśnie teraz to robimy.

– Z mojego punktu widzenia jesteście zbyt daleko od domu, by zajmować się błahostkami, więc o jakiego rodzaju wypadku mówimy?

Carl podrapał się w brodę. Dziwny obrót sprawy. Czy to naprawdę możliwe, by o niczym nie wiedziała? Czyżby źle zinterpretował jej spojrzenie?

Spróbował wyczuć, w jakim stanie znajduje się Assad. On też wydawał się zdezorientowany.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie ucieczki z miejsca wypadku. Z osobą, która w nim ucierpiała, Atu, czy raczej Frank Brennan, bo tak się wówczas nazywał, miał sporo do czynienia.

– Miał do czynienia? W jakim sensie?

Jej klatka piersiowa pulsowała, widać było, że jest spięta. Myślała, że tego nie zauważą?

– Cóż, niezręcznie mi o tym mówić akurat w dniu, w którym Atu zadeklarował, że chce dzielić z panią życie, ale możemy zdradzić, że chodziło o związek natury romantycznej, prawda, Assad?



Kudłacz kiwnął głową. Jak kot, który nie spuszcza oka z myszy wychodzącej z nory, obserwował każdy najmniejszy ruch kobiety. Nie ulegało wątpliwości, że potem będzie w stanie zrelacjonować cały przebieg rozmowy i zachowanie Pirjo w najdrobniejszym szczególe.

Mørck spróbował się przymilić:

– Proszę nam wierzyć, przybyliśmy do tego miejsca... co tam było napisane na tabliczce? Ach, Ebbabar. Co to w ogóle znaczy?

Kobieta była zimna jak lód.

– „House of the Rising Sun”. Dom wschodzącego słońca, jeśli panowie wolą.

Oczywiście, jakie to pretensjonalne! Carl skinął głową i kontynuował ze zdawkowym uśmiechem na ustach:

– ...przybyliśmy do Ebbabar po dość długich poszukiwaniach Atu. Chciałbym podkreślić, że zainteresowaliśmy się jego osobą w wyniku rutynowego postępowania. Mamy wiele innych tropów, ale perspektywa wizyty w tak pięknym miejscu była, prawdę mówiąc, zbyt kusząca.

„A jeśli zaraz nie pozwolisz nam poczekać na Atu w świętym spokoju, to perspektywa przywalenia ci będzie jeszcze bardziej kusząca” – pomyślał. Miał nadzieję, że wkrótce czeka ich przesłuchanie i zatrzymanie Atu, więc ta pani z pewnością się rozeźli. Lepiej uporać się z nią już teraz, bo będzie bronić swojego partnera jak lwica.

– Proszę zrozumieć, że nasza praca ma wiele aspektów. Można powiedzieć, że jesteśmy ekspertami w odróżnianiu tajemnic od tego, co niewypowiedziane. Bo te dwie rzeczy wcale nie są jednym i tym samym, prawda?

Uśmiechnęła się do nich półgębkiem. Carlowi się to nie podobało; czuł, że go po prostu przejrzała.

– A zatem czego szukamy? Tajemnicy czy tego, co niewypowiedziane? – spytała. – Potraficie w tym wypadku odróżnić te dwie sprawy?

– Myślę, że tak, ale potrzebujemy więcej informacji, dlatego chciałbym się dowiedzieć, czy czekając, możemy rozejrzeć się po pokojach Atu – wmieszał się Assad.

A ten co zamierza?

– Nie, oczywiście, że nie możecie. Nawet ja nie mam do nich wstępu bez wyraźnej zgody i życzenia Atu.

– Tak właśnie sądziłem – odparł Assad. – Bywają tu w ogóle u was szwedzkie władze?

Zmarszczyła czoło.

– Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza, zadając te idiotyczne, bezsensowne pytania.

– Cóż, w takim razie zasugeruję, że Atu może ukrywać coś przed panią i władzami, czego się pani nie spodziewa, właśnie dlatego, że Atu jest, jaki jest. To może być wiele różnych rzeczy: oszustwa podatkowe, molestowanie seksualne kobiet z ośrodka, paserstwo. Nigdy nie wiadomo, co dzieje się w takim miejscu, dopóki się tego nie sprawdzi, prawda?

W spojrzeniu, które mu posłała, błysnęło coś, czego nie mógł rozszyfrować. Zazwyczaj przy takich okropnych oskarżeniach, jakie wysunął Assad, człowiek by się zerwał, bez względu, czy jest winny, czy nie. Ale ona po prostu siedziała, patrząc na nich, jakby byli gorsi niż kurz, po którym się stąpa. Pozornie zupełnie obojętna.

– Chwileczkę – powiedziała. Wstała, otworzyła drzwi na korytarz i zniknęła.

– Assad, co ty wyprawiasz? Zupełnie nie trafiłeś z tą taktyką – wyszeptał Carl.

– Nie sądzę – odparł Assad też szeptem. – Próbuję ją zestresować, przecież jest zimna jak ryba. Skoro ona taka jest, to Atu na pewno też. Inaczej za godzinę pojedziemy do domu z niczym i co wtedy? Sam mówiłeś, Carl. Nic nie mamy! Żadnych konkretnych dowodów ani świadków. Musimy ją zestresować i pewnie Atu też, jeśli on w ogóle przyj...

Carl zarejestrował najpierw cień, który zamachnął się wielkim, gumowym młotkiem w głowę Assada.

Chciał rzucić się na pomoc, ale nie zdążył, bo kolejny cios dosięgnął jego.

W ciągu kilku sekund zdążył zobaczyć, że kobieta nachyla się nad nim i coś podnosi.

Gdy zbliżyła do twarzy drewnianą figurkę, którą miał w kieszeni, przed oczami zrobiło mu się czarno.

Pirjo drżała na całym ciele.

Wiedziała dobrze, że zrobiła najgłupszą rzecz na świecie. Przesadziła i zapędziła się w kozi róg. A jednak nie mogła mieć sobie tego za złe.

Za drzwiami do sterowni leżało dwóch nieprzytomnych mężczyzn, którzy właśnie zepsuli najcenniejszą chwilę w jej życiu. Najpiękniejszą. Dwóch bluźnierców, którzy targnęli się na świętość, gdy kształtowała się przyszłość Pirjo. Może jedno radykalne wydarzenie pociągnęło za sobą drugie. Przez całe życie marzyła o takiej właśnie przyszłości, jaką teraz miała w zasięgu ręki. Nie pokrzyżują jej planów.

Ale co ma robić? To przecież nie byle kto. Zniknięcie tych mężczyzn to co innego niż zniknięcie jakichś bezbronnych, naiwnych kobiet. Byli policjantami prowadzącymi dochodzenie, którego zakresu nie знаła, nie wiedziała, kto jest w nie zaangażowany. Musi po prostu zdobyć wiedzę na ten temat, zanim oceni skalę zagrożenia, i będzie wiedziała, jak ma dalej postąpić.

Na pewno trzeba ich powstrzymać. Pytanie tylko jak.

Stwierdziła, że na przedramionach wykwitają jej zdradzieckie, ciemnoczerwone plamy; zaczynały ją piec. To efekt adrenaliny i frustracji, znała to na wylot.

Za godzinę Atu skończy szkolenie i przyjdzie do niej, spodziewając się, że Pirjo obsypie go czułościami, źle skrywając radość.

Za godzinę.

„Muszę ich zmusić, by mi wyśpiewali, czego się mogę spodziewać. Muszę wiedzieć, kto tu przyjedzie, ile osób. Muszą mi zdradzić, ile wiedzą i ilu ludziom o tym powiedzieli” – pomyślała. „No i muszę udać, że przytrafił im się wypadek. Wprawdzie dziwny, ale niebudzący wątpliwości”.

Spojrzała na drzwi sterowni. Raz na jakiś czas odczuwała skurcze w brzuchu, a mężczyźni byli wysocy i krzepcy, więc jak ma ich unieszkodliwić przy takim nierównym układzie sił? W lepszych okolicznościach najlogiczniejszym rozwiązaniem byłoby zabicie ich cięższym narzędziem niż gumowy młotek. Na przykład kluczem francuskim, który znajdował się w środku. Ale takie ciosy zostawią głębokie ślady i będzie widać, że zadała je osoba trzecia. To nie przejdzie.

– Och, gdyby nie byli tacy natarczywi – prychnęła sfrustrowana. Za bardzo naciskali. Nie tak miało to wyglądać. Spodziewała się pytań i odpowiedzi, które z łatwością zbędzie. Istnieje przecież tyle sposobów, by się wyślizgać z takich pytań, szczególnie przy takiej starej sprawie. Ale byli zbyt natrętni. Ten śniady na pewno posunąłby się do skrajności, które nie podobałyby

się cywilizowanemu policjantowi. Miała też pewność, że Atu zmiękłby w konfrontacji z nimi. Gdyby im się to udało, prawda wyszłaby na jaw i wszystko zostałoby zaprzepaszczone w tym skądinąd cudownym dniu.

Spojrzała na drewnianą figurkę, która wypadła z kieszeni duńskiego funkcjonariusza, i ściągnęła brwi. Ktoś wiele lat temu wystrugał w drewnie podobiznę mężczyzny, który właśnie jej się oświadczył. Podobieństwo było uderzające.

„Ale w jaki sposób tych dwóch policjantów weszło w jej posiadanie i dlaczego jeden z nich miał ją w kieszeni?” – pomyślała. Taką mieli taktykę? Że jak grom z jasnego nieba rzuca figurkę na stół pod nos Atu w nadziei, że go zszokują i wyprowadzą z równowagi?

Już słyszała te pytania: „Zaprzeczy pan, że figurkę wystrugano na pańskie podobieństwo? Zaprzeczy pan, że znał osobę, która oglądała pana z tak bliskiej odległości?”.

Próbowaliby zmiękczyć go tą figurką, kto wie, może z powodzeniem.

Pirjo nie miała wątpliwości, kim był artysta. To ta suka Alberte, która wówczas zatruwała Atu życie. Był to specjalny rodzaj laleczki voodoo, za jej pomocą chciała go zaczarować i złowić w sieć warunków i żądań, z których nie mógłby się wyplątać.

Tak, to na pewno ona za tym stała. Dobrze więc się stało, że zrzucili z siebie zaklęcie i pozbyli się jej. Bo jeśli nie chodziło o nią, to co się wydarzyło?

Im więcej myślała o czasach, kiedy to się stało, tym bardziej nienawidziła ludzi, przez których wspomnienie o Alberte powróciło.

Ścisnęła figurkę i chciała nią rzucić o podłogę, ale potem przyjrzała się dokładnie ładnie wyrzeźbionej twarzy i pięknym ustom. Zupełnie jakby powrócił Frank w młodości. Wszystko było wtedy takie proste i nieskomplikowane.

A jednak na tyle skomplikowane, że źle się potoczyło.

Wszystko przez Alberte.

Przyłożyła sobie figurkę do policzka, obróciła ją i pocałowała w usta na pamiątkę niewinności minionych czasów.

Wówczas usłyszała dźwięk w korytarzyku za plecami i odłożyła figurkę na stół. Jeden z mężczyzn jęczał.

W mgnieniu oka podjęła radykalną decyzję i postanowiła wcielić ją w życie. Gdy znalazła się w sterowni, zobaczyła, że mężczyźni wciąż leżą na ziemi, ale imigrant próbuje unosić głowę. To nim musi się zająć w pierwszej kolejności.

Przysunęła bęben z nieizolowanym kablem, naciągnęła rękawy koszuli mężczyzny aż do samych nadgarstków i owinęła je co najmniej dziesięć razy przewodem, tak że jego ręce były mocno związane razem. Później wciągnęła go na ławkę i ciasno do niej zamocowała. Najpierw obwiązała kostki, potem przywiązała go za uda do siedziska, wreszcie przytroczyła całe ciało do jednego ze starych haków rzeźniczych na ścianie. Następnie dokładnie to samo zrobiła z drugim mężczyzną. Pomimo różnicy w gabarytach, nie ważył dużo więcej od imigranta, ale

jego bezwładność utrudniała zadanie, a Pirjo już i tak czuła się fatalnie. Dlatego powstała przez chwilę, opierając się o metalową ściankę i dochodząc do siebie, dopóki dziwne, niepokojące poczucie w brzuchu nie minęło.

Następnie związała ich ciała za pomocą kabla i cofnęła się o krok, by ocenić efekt swojej pracy.

„Czy zrobiłam coś niewłaściwie? Przeoczyłam coś?” – pomyślała, przerabiając w myślach różne scenariusze.

Pewnie można namierzyć obu mężczyzn dzięki sygnałowi z komórek, ale prawdopodobnie telefony zostały zdeponowane i wyłączone w recepcji. Jeszcze ten samochód, którym mijali ośrodek. Był zaparkowany nieco dalej przy szosie, ale nie może tam zostać: za blisko.

Odszukała kluczyki od samochodu w kieszeni wyższego i jeszcze raz sprawdziła, czy wszystko jest jak trzeba. Siedzieli ciasno związani, a do pomieszczenia nie wejdzie nikt oprócz niej. Elektryk wróci dopiero za kilka dni, więc czasu ma dość. Jest jeszcze Nisiqtu, która ich przyjmowała, ale przecież to sama Pirjo nadała jej imię „Ceniona”.

Owszem, dziewczyna na pewno uwierzy Pirjo, jeśli ta jej powie, że mężczyźni sami ściągnęli na siebie nieszczęście.

Imigrant zaczął już odzyskiwać świadomość, więc nie ma chwili do stracenia. Oceniała odległość do szafki, po czym odcięła dwa kawałki kabla długości trzech metrów i owinęła jeden wokół nasady kciuka imigranta, a drugi wokół kostki policjanta.

Spojrzała na szafkę, w której kłębiły się wszystkie kable do systemu solarnego i odkręciła pokrywę. Najpierw elektryk, a potem Shirley bezwiednie doradzili jej, jak ma przeprowadzić tortury, a nawet coś znacznie gorszego. Prąd stały spowoduje tylko szczypanie u osoby, którą porazi, jeśli promienie słońca będą słabe, ale im mocniejsze słońce, tym zrobi się niebezpieczniej. W końcu od tego umrą.

Skinęła głową, sięgając do sterty narzędzi pod ławkę i wyciągając śrubokręt z izolowanym uchwytem, po czym obluzowała dwa zaciski doprowadzające prąd do konwertera. Moc prądu stałego pochodzącego z wszystkich paneli solarnych kumulowała się w zaciskach, więc było to optymalne rozwiązanie. Jeśli tylko słońce zaświeci w miarę mocno, napięcie będzie ogromne.

Następnie pociągnęła końcówkę kabla obwiazanego wokół kciuka imigranta do szafki i podpięła do plusa; postąpiła identycznie z przewodem prowadzącym od kostki wyższego funkcjonariusza i podpięła go do minusa.

W chwili gdy podpięła drugi kabel, mięśnie twarzy obu mężczyzn napięły się, a ich nogi nagle się wyprostowały. Noga imigranta uderzyła przy tym Pirjo w brzuch, aż ta się skuliła.

Chwyciła się za brzuch, unosząc wzrok na obu mężczyzn, którzy siedzieli z otwartymi oczami, drżąc. Wszystko w niej krzyczało, że musi jak najprędzej się stąd wynosić.

Wpadła do swojego gabinetu i przysiadła przy biurku, jęcząc, dopóki ból nie minął sam z siebie. Przez chwilę się bała, ale zaraz skoncentrowała się na tym, co ma się wydarzyć,

spojrzała na zegarek i wstała.

– Nisiqtu, wychodzę na dziesięć minut zaczerpnąć świeżego powietrza – poinformowała kobietę w recepcji. – Dziś już nic się nie będzie działo, więc możesz iść do siebie. Podam panom herbatę po powrocie.

Uśmiechnęły się do siebie. Z tej strony żadnego zagrożenia.

Samochód policjantów stał w odległości kilkuset metrów, wprawdzie na poboczu szosy, ale i tak był bardzo widoczny.

Przeszukała schowek, otworzyła bagażnik i sprawdziła kabinę, ale nie znalazła nic, co by jej zdradziło cokolwiek na temat dochodzenia, które ich tu przywiodło.

Odpaliła wóz i zaparkowała go sto metrów dalej na przecince, której nikt już nie używał. Dała jej to większą kontrolę nad sytuacją. Jeśli w najbliższej przyszłości przyjedzie tu więcej policji, będzie mogła powiedzieć, że Duńczycy pojechali dalej, zapowiadając, że wrócą.

Nikt nie może wejść na teren akademii, dopóki żyje tych dwóch. A kiedy już umrą, Pirjo oceni, czy można to uznać za wypadek, czy musi pozbyć się ciał. W każdym razie do tego czasu wróci do samochodu i odkręci tablice rejestracyjne, po czym dopilnuje, by auto wylądowało w Polsce lub innym podejrzanym miejscu. Zaproponuje je Polakom i Bałtom, jeżdżącym po okolicy i błagającym o możliwość pomalowania domów. Powie im, że sprzeda je za bezcen, jeśli tylko od razu je zabiorą. Mogą dostać numery rejestracyjne ich starego samochodu, który i tak tylko stoi w Stajni Zmysłów i się kurzy, a jeździć już nie będzie.

Wróciła do ośrodka i spojrzała na niebo. Chmury wciąż wyglądały na ciężkie, ale bryza ze wschodu powinna je przepędzić znad wybrzeża.

„Wkrótce znów wyrzy słońce” – pomyślała, masując brzuch i zbliżając się do drzwi recepcji. Mały jakoś dawno nie kopał.

– Jak tam, kochanie – wyszeptała. – Jesteś zmęczony? To był szczególny dzień, mama też się zmęczyła. Tata wybrał ci imię, to wielka radość. A jak już się urodzisz, ochrzczimy cię tego samego dnia, w którym tata i ja zwiążemy się na zawsze pod okiem słońca w kręgu słonecznym. To będzie wielki dzień, maluszk.

Zmrużyła oczy od nagłego nieprzyjemnego poczucia, które przeszło jej ciało. Było to odstręczające wrażenie, jakby coś w jej organizmie wymknęło się spod kontroli.

„Coś jest nie tak” – pomyślała, pocąc się obficie. Musi dostać się do szpitala w Kalmarze i to sprawdzić, ale najpierw się dowie, z czym walczy. Mężczyźni odpowiedzą na jej pytania, a potem rusza do szpitala.

Gdy weszła, obaj siedzieli z drżącymi brodami i napiętymi mięśniami szyi, gapiąc się na nią.

Imigrant próbował się jej odgrażać, ale przez skurcze szyi bełkotał tylko niezrozumiale.

Wzięła śrubokręt i odłączyła jeden kabel z zacisku..

Obu równocześnie głowy opadły na piersi.

– Cieszcie się, że słońce na dobre nie wyszło – powiedziała, gdy powoli unieśli głowy.

Spojrzała w górę na okno w dachu, czując, że spojrzenia obu mężczyzn podążają za jej wzrokiem.

– Jesteś psychicznie chora – powiedział ten wyższy. – Przecież możesz nas zabić.

Uśmiechnęła się. Jego zdaniem jest psychicznie chora? Dobry Boże, w takim razie ten człowiek nie wie, jaka jest stawka. Przecież cała ludzkość czeka na to, aż z ich ośrodka popłynie nowina o zjednoczeniu wszystkich religii, tak by świat znów mógł żyć w pokoju. Co sobie wyobraża dwóch małych człowieczków, skoro pozwalają sobie stanąć temu na drodze?

Nagle jej uśmiech zastygł.

– Co wiecie? – spytała, wkładając przewód do zacisku. Mężczyźni wierzgnęli nogami, a ich ciała wygięły się w łuk. Tym razem, mądra po szkodzie, zachowała bezpieczną odległość.

– Doskonale wiem, że napięcie nie jest w tej chwili zbyt wysokie. Możecie je odczuwać jako coś w stylu wewnętrznego masażu, prawda? Ale poczekajcie, jak słońce przebije się przez chmury, zrobi się gorzej. Znacznie gorzej.

Znów wyciągnęła kabel i mężczyźni opadli, ale nie aż tak, jak wcześniej. Czy można się przyzwyczaić do niewielkiego napięcia?

– Co wiecie? – spytała ponownie.

Ten wyższy odkaszlnął parokrotnie, nim odpowiedział.

– Wiemy wszystko, zresztą nie tylko my. Wiele lat temu twój Atu śmiertelnie potrafił dziewczynę, a teraz dopadła go jego własna przeszłość. Więc nie pogarszaj sprawy. Wypuść nas, Pirjo, a my...

Znów włożyła kabel do zacisku, powtarzając cały scenariusz. Po paru sekundach ich odłączyła.

Jeśli teraz nie wyśpiewają wszystkiego, będzie to ostatnia próba.

– Jest was więcej? – spytała.

Wyższy próbował skinąć głową.

– Oczywiście. Atu już od dawna jest o to podejrzewany. W wyniku dochodzenia śmierć poniósł policjant, więc Atu zostawił za sobą ślad śmierci i tragedii. Dlaczego go bronisz? Nie jest tego wart, Pirjo. Nie ma powodu, byś...

Raptownie nabrał powietrza, gdy znów włożyła kabel do zacisku. Tym razem przykręciła go i odwróciła się do nich plecami.

Wiedziała już, że musi stoczyć tę bitwę. Mężczyźni nie powiedzieli jej nic, co by ją uspokoiło. Imigrant w ogóle zachowywał milczenie. Patrzył tylko na nią zimno, jakby mógł zabijać spojrzeniem. Nie, postąpiła właściwie.

Spojrzała w górę na przepływające chmury; wówczas znów przeszył ją ból, ale tym razem jakby ktoś wbijał jej nóż w brzuch. Czuła się, jakby dziecko w środku wykonało nagły obrót całym ciałem. Jakby prąd przeszedł przez płód, a nie przez tych mężczyzn.

Zataczając się, pokonała korytarz, zatrzasnęła za sobą drzwi i usiadła w fotelu. Kilkakrotnie nabrała powietrza głęboko do płuc, by uspokoić tętno, ale nie przyniosło to rezultatu. Ręce zaczęły jej się trząść, skóra zrobiła się chłodna; działo się coś bardzo złego. Czy to reakcja psychiczna na jej czyny? Nie robiły na niej wrażenia, ale może jednak? Czyżby dręczyło ją sumienie? Czy to coś w rodzaju próby lub kary? Nie mogła w to uwierzyć. A kiedy bóle w brzuchu przybrały na sile, wzniosła modły do Horusa, błagając go, by oszczędził jej tej próby.

– Robię to w dobrej wierze! – krzyknęła.

Wówczas wszystko skończyło się równie nagle, jak zaczęło.

Westchnęła z ulgą, chcąc wstać, ale ze strachem stwierdziła, że nogi nie chcą jej słuchać. Zaczęła masować uda, by je pobudzić, i zdziwiła się, że czuje ciepło. I wilgoć.

Wówczas zauważyła krew.

Krew na siedzeniu, krew na białej tunice.

Krew, której ciepły strumień płynął jej po nogach i kapał pod biurko.

\*\*\*

– Jeszcze chwila. – Tak brzmiały jedyne konkretne słowa, które był w stanie pomyśleć Carl. Reszta ograniczyła się do ciała. Na samym początku czuł w całym organizmie mrowienie – jak wówczas, gdy zdrętwieje ręka. Ale wtedy wszystkie grupy mięśni napięły się i już tak zostały. Nawet najmniejsze mięśnie w powiekach i nozdrzach ściągnęły się i stwardniały. Miał wrażenie, że całe ciało powoli się wypala. Nagle serce wykonało dodatkowe skurcze, w mózgu doszło do chwilowego zwarcia, a płuca w coraz większym stopniu przestały reagować na brak tlenu. I im więcej światła słonecznego przebijało się przez warstwę chmur, tym silniejsze było napięcie, a słowa „jeszcze chwila” nabierały nowego sensu.

Carl w ogóle nie wyczuwał obecności Assada. Tylko w porywach przypominał sobie, że siedzą obok siebie, związani. Tylko w przebłyskach pamiętał, gdzie jest.

Nagle napięcie zelzało. Nabral powietrza i odetchnął głębiej. Przez ciało wciąż przechodziło elektryczne drżenie, ale to było nic w porównaniu z tym, co działo się przed chwilą. Rozejrzał się zdezorientowany. W pomieszczeniu było jasno, może nawet jaśniej, niż wcześniej, więc co się stało?

Wówczas z boku dobiegł go jęk.

Przez chwilę próbował zmusić mięśnie karku do posłuszeństwa; były wciąż twarde jak kamień. Z trudnością obrócił głowę do Assada i zobaczył jego poważną, ściągniętą bólem twarz.

Carl zakaszłał, próbując coś powiedzieć; jakoś się udało.

– Assad, co się dzieje?

Czekał przez chwilę, nim padła rwana odpowiedź.



– W ścianie... jest... uziemienie.

Mørck obrócił głowę jeszcze bardziej. Początkowo nie rozumiał, o co koledze chodzi. Widział, że ściana zrobiona jest z jakiegoś metalu, ale co to oznacza?

Wtedy wyczuł lekki swąd palonego mięsa i próbował zlokalizować miejsce, z którego dochodzi.

Zobaczył drżące ramię Assada, który, na ile dał radę, przyłożył związane ręce do ściany i docisnął obwiązany kablem kciuk do metalu. Z palca unosiła się smużka dymu; to właśnie było źródło zapachu.

– Prąd... tak daleko... nie sięgnie....

Carl spojrział na kciuk, którego paznokieć powoli robił się brązowy, a czubek jeszcze ciemniejszy. Był to wstrząsający widok. Assad poświęcał dla nich swój kciuk, tyle Carl wiedział o prądzie. W tej chwili prąd z licznych paneli solarnych akumulował się w kablu owiniętym wokół kciuka oraz w metalowej ścianie.

„Prąd zawsze szuka najkrótszej drogi” – chyba coś w tym stylu powtarzał jego nauczyciel fizyki?

– Assad, nie możesz odsunąć ręki, tak by docisnąć kabel bezpośrednio do ściany? – spytał Carl ostrożnie.

Kolega pokręcił głową, spięty.

– Aaaaa – jęknął, gdy nagle słońce wyjrzało zza chmur. Pod wpływem bólu na sekundę zwolnił nacisk na metalową ścianę, a wtedy Carl uderzył głową do tyłu, jego ręce zaś zadygotały od skurczów.

I tak dopóki nie nadciągnęła kolejna chmura.

Poczuł drgnięcie Assada i prąd znów przestał płynąć przez ciało Carla.

Kolega dyszał z wysiłku; nie dało się na to patrzeć, tak dłużej nie można.

Carl wziął głęboki wdech.

– Kiedy słońce przebije się przez chmury, zwolnisz ucisk, Assad. Cierpienie skończy się... w okamgnieniu – usłyszał własny głos. Była to straszna myśl, ale jeśli nie miał racji? Jeśli nie skończy się w okamgnieniu?

– Ale zanim puścisz, muszę wiedzieć, dlaczego... – Zastanowił się przez chwilę. Czy naprawdę chce to wiedzieć?

– Wiedzieć... co? – jęknął Assad.

– Said?! Dlaczego tak cię nazwano? To twoje prawdziwe imię?

Przez chwilę obok niego panowało całkowite milczenie. Nie powinien był pytać.

– Carl... to już przeszłość... – usłyszał. – To tylko... kryptonim. Nie myśl... teraz... o tym.

Carl spojrział na podłogę, cienie się wyostrzyły.

– Słońce się przebija, puść, Assad, słyszysz!

Ciało obok niego zadygotało, ale Mørck nie odczuł żadnej zmiany.

– Proszę cię, Assad, puść!

– Dam... radę – odparł kolega prawie bezgłośnie. – Już... to... robiłem.

Oparła się o biurko i chwyciła słuchawkę telefonu. Jeśli karetka szybko się zjawi, to za trzy kwadranse Pirjo będzie leżeć na oddziale ginekologicznym szpitala w Kalmarze.

„Jeśli tylko Atu ze mną pojedzie, wszystko będzie dobrze” – pomyślała.

Już miała się uśmiechnąć do tej myśli, gdy znów przeszył ją ostry ból.

– O nie, co się dzieje? – jęknęła, gdy przy kolejnym skurczu musiała odchylić się do tyłu.

Instynktownie spojrzała w dół. Krwawienie spomiędzy nóg się nasiliło.

Przez kilka sekund drżała na całym ciele, a potem wszystko się uspokoiło. Jakoś za bardzo. Silne uderzenia tętna, ruchy w macicy – impulsy, dające jej pojęcie o ogólnej kondycji. Wszystkie te sygnały nagle ustały.

Pirjo się rozpląkała. Tak jak wówczas, gdy z dziecięcą naiwnością prosiła mamę, by kochała ją równie mocno, co jej siostry, wiedziała, że wylewa łzy na próżno i że płacz niczego nie zmieni. Los chodził własnymi ścieżkami, można było tylko mu się podporządkować, nawet jeśli to straszne i trudne. Właśnie ta świadomość jej teraz towarzyszyła. W jednej chwili wszystko nagle zobojętniało. Mała istotka w jej wnętrzu zdecydowała, że ich drogi się jednak rozejdą. Rozpoczął się poród, ale wody nie odeszły, bo dziecko było martwe i nieruchome. Nie miała co do tego wątpliwości.

Przez chwilę spoglądała na telefon, zagubiona.

Po co ma dzwonić po pomoc, po co ratować siebie, skoro wszystko stracone? Atu nie zapłodni jej kolejny raz. Nigdy nie urodzi dziecka, które przejmie po nim schedę, więc po co ma żyć? W tej sytuacji Atu nie dotrzyma obietnicy o połączeniu się z nią w kręgu rytualnym.

I jeszcze ci mężczyźni w salce z panelem sterowania. Jeśli pójdzie do szpitala, przez długi czas nie będzie mogła ich stamtąd usunąć, a elektryk przecież znajdzie zwłoki, jak przyjdzie za parę dni.

Pirjo drżała na całym ciele. Nawet w surowe fińskie zimy nie marzła tak jak teraz.

Z rozpaczny opadły jej ramiona. Nie z rozpaczny nad własnym losem, lecz nad losem Atu. Kiedy znajdą zwłoki, wyciągną wnioski, a na to ona im nie pozwoli. W którymś momencie znajdą też Shirley, a wówczas i ona, i Atu będą musieli zapłacić za swoje uczynki.

Dlatego wyjście było tylko jedno: Pirjo musi ofiarować się za Atu jeszcze raz, tym razem poświęci swoje życie. Weźmie na siebie winę za wszystko. Wszystko. A policjanci przebywający w zamknięciu nie będą mogli dowieść niczego innego. Podziela jej los. Sami zdecydowali się aż tak do nich zbliżyć.

Przez dłuższą chwilę oglądała z czułością drewnianą figurkę, którą miał ze sobą funkcjonariusz.

Potem pocałowała ją tkliwie i zaczęła pisać.

\*\*\*

„Carl, nie wpadaj w panikę. Zignoruj ból i wykorzystaj chwile, które ci pozostały, póki jeszcze żyjesz”.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, choć ostatnie porażenie prądem wywołało u niego silne kurcze rąk i nóg.

Najbardziej należało się obawiać, że Assad dłużej nie da rady przyciskać kciuka do ściany. Jeśli zwolni ucisk, ich ciała natychmiast wygną się w spazmach, a Carl wiedział doskonale, jak to się skończy. W tej chwili nie tyle bał się śmierci, co przedłużonej agonii. Że prąd, który w takim wypadku popłynie przez palec Assada, ich ciała i lewą nogę Carla, zabije ich, przysparzając potwornych cierpień. Przypominał sobie aż nazbyt wyraźnie okropne zdjęcia z egzekucji na krześle elektrycznym, na których ofiarom krwawiły oczy, a ich ciała były nieludzko powykręcane. Już w tej chwili się orientował, jakie to uczucie, gdy człowiekowi gotuje się mózg, a serce w każdej chwili może odmówić współpracy.

Ale jak znaleźć wybawienie od tego losu? Czy w ogóle mają szansę na ratunek, skoro ta diablica tak ich spętała? Kable związała wyjątkowo mocno, haki na ścianach za ich plecami były zbyt masywne. Siedzieli pod takim kątem, że nie mogli zająć korzystniejszej pozycji czy wyplątać się z przewodów.

– Jak... jak... mój palec całkiem się spali – wyjęczał obok Assad – to kabel... opadnie... na mnie, jeśli... go nie odepchnę... od siebie... na podłogę.

Carl próbował coś odpowiedzieć, ale mięśnie szyi wciąż miał tak spięte, że nie mógł z siebie wydobyć głosu. Rozpacz wycisnęła mu z oczu łzy.

„Nie możesz płakać” – pomyślał. Wilgoć na twarzy na pewno ci w tej sytuacji nie pomoże.

„Assad, pomogę ci, jak to się stanie. Będziemy się wiercić, jak się da, żeby kabel spadł na ziemię” – powiedziałby, lecz potrafił tylko skinąć głową.

„Dlaczego nie przepala się bezpiecznik? Czyżby ich nie było?” – pomyślał, wyciągając głowę i zaglądając do szafki i do paneli sterujących. Właśnie tam kobieta przykręciła oba kable. Gdyby tak choć jedną rękę miał wolną. Tylko jedną rękę. Wówczas...

Odwrócił głowę do towarzysza, słysząc okropny dźwięk. Wiedział już, że palec Assada zaczął skwierczeć. Twarz kolegi była bledsza niż twarz albinosa.

Ale wytrzymawał.

\*\*\*

Pirjo siedziała przez chwilę z rękami na klawiaturze, nieobecna duchem. Była już bardzo osłabiona, wszystko działało się niezwykle szybko.

Na ekranie widniały setki literek „n”, dopisanych po słowach, które zdążyła napisać. Widocznie jej palec zatrzymał się na parę sekund na jednym przycisku.

Zaczęła je wykasowywać.

„Za chwilę będzie tu Atu, muszę się pospieszyć” – pomyślała i w tym samym momencie usłyszała, jak otwierają się drzwi do jego pokoi.

Kiedy poczuła jego zapach, zakłuło ją w sercu. Gdyby nie przyjazd tych dwóch policjantów, byłby to najradośniejszy moment jej życia. Niemal czuła te objęcia, które nigdy nie nastąpią. Pieszczoty, do których nigdy nie dojdzie. A co najgorsze, uśmiechy i radosne szczebiotanie, którymi tak bardzo przez nich wyczekane dziecko nigdy ich nie obdarzy.

Z tego powodu Pirjo omdlewała z rozpaczy, widząc rozpromienionego Atu. Był ubrany cały na żółto, w koszulkę polo i obcisłe spodnie, wyglądał jak młody chłopak idący na zabawę. Próbowwała odwzajemnić jego uśmiech, ale twarz po prostu nie chciała jej słuchać.

„Nie widzi krwi. Błat biurka ją zasłania, to dobrze” – pomyślała.

– Atu, jak ty pięknie wyglądasz – powiedziała, chcąc unieść rękę, by go uścisnąć, ale nie starczyło jej siły. – Muszę coś dokończyć – dodała. Tym razem udało jej się lekko uśmiechnąć.

– Daj mi pięć minut i będę gotowa.

Zbliżył się o krok, przechylając głowę.

– Coś się dzieje, Pirjo? – spytał. Oczywiście, że zauważył, że coś jest inaczej niż powinno.

Instynktownie przesunął wzrokiem po biurku i zatrzymał go na drewnianej figurce, leżącej przy jej ręce.

Drgnął, a jego uśmiech natychmiast zniknął. Wyglądał, jakby ktoś go uderzył. Przeskakiwał spojrzeniem od figurki na oczy Pirjo z mieszaniną dezorientacji, niezrozumienia i szoku. Wreszcie chwycił przedmiot i przyjrzał mu się ze ściągniętą twarzą, jakby ten widok sprawiał mu fizyczny ból.

– Znam tę figurkę – powiedział głosem pełnym pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. – Skąd ją masz? – spytał nieco napastliwie.

Czuła teraz wyraźnie skutki utraty krwi. Że opuszczają ją siły, a komórkom ciała brakuje tlenu. „Musisz się skoncentrować, by mówić wyraźnie, Pirjo. Mów powoli, bo zaczniesz bełkotać” – pomyślała.

Uśmiechnęła się, co nie przyszło jej łatwo.

– Doskonale ją znasz, Atu. Zaraz o niej porozmawiamy, muszę tylko to skończyć.

– Bjarke tu był? – spytał, ku jej zaskoczeniu.

Ściągnęła brwi. O co mu chodzi?

– Nie wiem, kim jest Bjarke – odparła.

Widać było, że jej odpowiedź go zirytowała.

– Musisz to wiedzieć, skoro masz tę figurkę.

Powoli pokręciła głową. Serce zaczęło jej bić mocniej, by dostarczyć organizmowi większą ilość tlenu.

Atu ewidentnie nic nie rozumiał.

– Pamiętam ją. Wystrugał ją młody chłopak z Bornholmu – zmarszczył brwi. – Mówił, że chce mi ją dać, bo się we mnie zakochał.

Pirjo była zdezorientowana.

– Nie wiem, o kim mówisz. Nigdy o tym nie opowiadałeś.

– Powiedz, co ta figurka tu robi, Pirjo. To chyba proste pytanie. Nie jest moja, bo odmówiłem jej przyjęcia. Nie podobały mi się jego zaloty, więc bardzo cię proszę, nie zaprzeczaj, że on tu był.

– Pięć minut, Atu – powiedziała, tym razem z naciskiem. Jeśli ma uratować ośrodek i Atu, musi skończyć pisać swoje wyznanie.

– Co jest takie ważne? – Już miał obejść stół, by spojrzeć na tekst na ekranie, więc powstrzymała go.

– Dobrze, powiem ci! Biorę wszystko na siebie, Atu, i mnie nie powstrzymasz, rozumiesz? Przyznam się do tego, co zrobiłeś.

Atu spojrzał na nią tak, jak jeszcze nigdy. Pierwszym słowem, jakie przyszło jej do głowy, by opisać jego wzrok, była dezaprobata, ale mogła to również być odraza.

Odraza? Czy on nie rozumie, że Pirjo się dla niego poświęca?

– Co takiego zrobiłem, Pirjo, i co to ma wspólnego z figurką? Czy w ten sposób próbujesz mi powiedzieć, że żałujesz tego, co właśnie mi obiecałeś? Już nic nie rozumiem.

Tak bardzo chciała chwycić go za rękę, ale nie miała odwagi się nachylić, w obawie, że zemdleje. Nie może zemdleć.

– Zabiłeś Alberte – powiedziała cicho.

– Co zrobiłem?! Alberte?

– Tak, dziewczynę, z którą byłeś na Bornholmie.

Spodziewała się, że będzie zszokowany. Że wyrazem twarzy zdradzi się, że oto jego tajemnica została odkryta, ale nie tego, że oprze się o ścianę, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Alberte? Alberte nie żyje?! – Kilkakrotnie przełknął ślinę i jęknął.

Dlaczego udawał, że nic o tym nie wie? Czy naprawdę jest aż tak cyniczny?

– Nie rozumiem, dlaczego zachowujesz się tak, jakby to się nie wydarzyło. Przecież wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co się stało. Właśnie dlatego chciałeś uciec z Bornholmu, dlaczego nie powiesz po prostu, jak jest? Co się z tobą dzieje? Jesteś biały jak ściana, Atu. Co się stało?

Wciąż tam stał, jakby każde z nich znajdowało się w swoim świecie i mówiło swoim językiem. Rozgniewało ją to. Tyle lat milczenia między nimi, a kiedy wszystko w końcu wyszło na jaw, on nadal milczy. Nie spodziewała się, że jest taki słaby.

– Rozczarowujesz mnie, Atu. Wówczas cię uratowałam. Ukrywałam to, że ją przejechałeś. Domyśliłam się tego samego dnia, kiedy wyjeżdżaliśmy z Bornholmu. Myślisz, że dało się przeoczyć, że bez przerwy o niej opowiadasz? Przez kilka tygodni nie mówiłeś o niczym innym. Sądzisz może, że nie sprawiało mi to bólu? Owszem, sprawiało. A potem usłyszałam w radiu, że znaleziono ją martwą na drzewie, że ktoś ją śmiertelnie potracił. To się działo zaledwie kilka dni przed naszym wyjazdem z wyspy i od razu się domyśliłam, że to twoje dzieło, Atu, i że cię dopadną, jeśli czegoś nie zrobię. Chyba wiesz, że szukali samochodu na całej wyspie? No i znalazłam w volkswagenie tabliczkę ze śladami krwi.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, to zupełnie chore! Nie mam zielonego pojęcia o rzeczach, które mi wmawiasz. Nie wiedziałem, że Alberte nie żyje, jeśli to prawda, jest mi z tego powodu bardzo przykro. O jakiej w ogóle tabliczce mówisz?

– Mam ci wszystko wyjaśniać? O tej, która wisiała nad domem w Ølene, „Sklepienie niebieskie”! Sam malowałeś ten napis, więc nie mów, że jej nie pamiętasz!

– Oczywiście, że ją pamiętam. Skaleczyłem się o śrubę, gdy zdejmowaliśmy ją z Sørenem Mølgårdem, więc kapnęło na nią kilka kropel krwi. O co chodzi z tą tabliczką i co to ma wspólnego z Alberte?

Atu był mistrzem manipulacji, ale czy naprawdę sądził, że potrafi manipulować również nią?

– Czy to prawda? Ona nie żyje? – spytał znów. Naprawdę żałosne.

Pirjo zagryzła zęby. Napotykała już w swoim życiu opór, ale w tej chwili mógł przynajmniej być z nią szczerzy.

– Przymocowałeś tabliczkę do przedniego zderzaka volkswagena i użyłeś jej, by Alberte poleciała na drzewo, gdy ją potracił. Ale spokojnie, Atu, jej też się pozbyłam. Spaliłam ją, możesz mi podziękować.

W tym samym momencie z jego oczu zniknęły rozpacz i złość, a pojawił się w nich chłód.

– Pirjo, jestem przerażony tym wszystkim, co mówisz. Naprawdę przerażony!

Wtedy jego twarz znów zmieniła wyraz. Nagle uśmiechnął się, jakby się czegoś domyślił.

– Ach, to przecież test! – powiedział. – Wystawiasz mnie na próbę, to tylko gra! Ale skąd masz tę figurkę, Pirjo? Od dawna to przygotowywałaś? – Rzucił figurkę na biurko.

Czy on naprawdę nie rozumie, w jakiej sytuacji się znalazł?

– Uciekaj, Atu! Wyjeżdż, przecież cię ścigają – powiedziała słabym głosem. Jest mu to winna.

– Kto mnie ściga? – Wciąż tam stał, uśmiechając się, jak gdyby nigdy nic. Nie wierzył jej?

Wzięła głęboki wdech.

– Policjanci, którzy przywieźli figurkę. Oni cię ścigają. Policja szuka cię od wielu lat, wiedzą, że to ty. Ale ja wezmę winę na siebie, więc po prostu uciekaj. I tak wszystko stracone.

– Nic nie rozumiem, jacy policjanci? – Już się nie uśmiechał.

– Dobrze pamiętam, jak zacząłeś opowiadać, że chcesz zostać na Bornholmie ze względu na Alberte. Ona cię zupełnie opętała, niszczyło cię to. Gdy wracałeś do domu, nie byłeś sobą. Było zupełnie inaczej niż z innymi kobietami, i to mnie przeraziło. Ale na szczęście zrozumiałeś, że związek z nią stoi w sprzeczności z twoimi planami na przyszłość i z naszą umową. Z wszystkim.

– Tak, pamiętam tę dyskusję, pamiętam też twoją zazdrość, Pirjo. Zawsze stanowiła twoją największą słabość. Ale obiecałem ci też, że z nią skończę, choć w inny sposób, niż w tej chwili sugerujesz. W ogóle cię nie poznaję. Nigdy nie odebrałbym życia drugiemu człowiekowi, prędzej odebrałbym je sobie.

Przyłożył rękę do czoła i stał przez chwilę, zawieszony między tym, co całkowicie niepojęte, a rzeczywistością.

– Kiedy wydarzył się wypadek z Alberte?

– Już ci mówiłam. Dwa dni przed naszym wyjazdem.

– To jakieś szaleństwo. – Uderzył się w czoło zaciśniętą pięścią, jakby chciał w ten sposób poukładać sobie wszystko w głowie. – Czyli to stało się dzień po tym, jak z nią zerwałem. Płakała, ja zresztą też, ale zapewniam cię, że tak właśnie zrobiłem. Potem zmieniłem zdanie, ale było już za późno.

Pirjo zrobiło się zimno, nogi zaczęły jej drżeć, trudno jej było się skoncentrować. Co on mówi? Że zmienił zdanie? Na jaki temat?

– W takim razie gdzie byłeś tamtego ranka, dwa dni przed naszą ucieczką z Bornholmu? – spytała.

– Ucieczką? Wcale nie uciekaliśmy. Nie mieliśmy w planach dłuższego pobytu. Przecież wiesz, że wyrobiłem się z tym, po co tam przyjechaliśmy.

– Gdzie byłeś?

– Jak mam to teraz pamiętać? Byłem tak zdołowany, że pewnie poszedłem gdzieś medytować z kamieniem słonecznym, jak zawsze.

– Na zderzaku była krew, nawet sporo.

– Ale przecież wiesz, że to była krew lisa, którego przejechał Mølgård. Mówiłem ci.

Owszem, tak właśnie twierdził, ale co innego miał powiedzieć?

– Mówisz, że figurkę przyniosło dwóch policjantów. Dlaczego to zrobili? I gdzie teraz są?

Pirjo z trudem unosiła powieki, była taka zmęczona.

Atu na przemian kiwał i kręcił głową. Widać było, że jest głęboko wzburzony. Może sądzi, że otrząśnie się z tych myśli? Dlaczego po prostu nie ucieknie?

Pirjo spojrzała na ekran i zaczęła wymazywać literki „n”. Czowała, że jej czas się kończy.

Nagle pokój zmienił barwę. Czy tak właśnie wygląda śmierć? Świat staje się jasny i ciepły? Powoli zwróciła wzrok w stronę okna. Migocząca poświata sprawiła, że musiała zamrugać. Słońce przebijało się przez chmury. Jak pięknie.



Kątem oka dostrzegła, jak jego ręka sięga po figurkę.

– To on – wyszeptał Atu. – Oczywiście, że on to zrobił.

Sprawiał wrażenie przestraszonego. Wyglądało to autentycznie, ale czy mogła mu wierzyć?

– Bjarke był po prostu dużym harcerzykiem. Zachwycało go wszystko, co robię, więc pozwoliłem mu pomagać przy wykopaliskach na Knarhøj. Potem chciał mi dać tę figurkę, wyznając mi miłość. Oczywiście jej nie przyjąłem. Powiedziałem mu, że wyjeżdżam, na co on odparł, że to wszystko wina Alberte. Teraz to sobie przypominam. O Boże, to brzmiało zupełnie niedorzecznie.

Pirjo była wstrząśnięta, nie wiedziała, co ma myśleć.

– Zerwałem z nią i nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Pirjo poczuła przez chwilę ożywcze ciepło na twarzy. Słońce wyszło na dobre i wydawało się, że gabinet jest skąpany w świetle reflektorów. Otworzyła usta, próbując łapać powietrze. „Przy tak silnym słońcu tych dwóch mężczyzn zaraz umrze” – pomyślała. Wtedy rozluźniły się mięśnie jej szyi, broda opadła na piersi, drżenie ustało. Organizm nawet już na to nie miał energii.

Ale jeśli to, co Atu mówi, jest prawdą?

Gdyby to wiedziała, nie zdarzyłoby się tyle strasznych rzeczy.

W kilka sekund pojęła, co to właściwie oznacza. To rzeczywiście może być prawda.

Skoro Atu nikogo nie zabił, jak ona mogła to zrobić? W takim razie żyła w kłamstwie, reagowała na kłamstwo i sprawiła, że inni za to kłamstwo zapłacili. Zabiła trzy kobiety, licząc z Shirley – cztery. Zniszczyły ją zazdrość i nieporozumienia, strawiły ją doszczętnie.

Usłyszała ryk, ale nie wiedziała, czy wychodzi z jej gardła.

Atu zniknął, rozległ się hałas. Atu coś krzychał.

Pirjo otworzyła oczy. Wciąż kilka literek pozostało niewymazanych. Kilka nienapisanych zdań.

– Coś ty zrobiła?! – usłyszała krzyk z salki z panelem sterowania. Głos należał do Atu.

Ekran zamrugał parokrotnie.

Pirjo opadła na fotel, nie czując już własnych kończyn.

– Ty chora kobieto! – Nagle stanął przed nią Atu, krzyżąc jej prosto w twarz. – Są nieprzytomni, ale żyją! Masz szczęście – dodał, przynajmniej tak jej się wydawało.

Potem chwycił słuchawkę telefonu i gorączkowo wybrał numer. Usłyszała słowa „policja” i „karetka”.

– Masz świadomość, że rzuciłaś na mnie poważne podejrzenia za coś, co zrobił Bjarke?

Próbowała kiwnąć głową, gdy Atu wysunął szufladę i wyjął z niej wszystkie banknoty.

– Przez ciebie moje życie legło w gruzach, Pirjo, wiesz o tym? Dzieło mojego życia zostanie zniszczone, jeśli nie skłonię Bjarkego, by się przyznał.

W tej chwili chciała tylko, by ją objął. Pożegnał się i pottrzymał ją za rękę, dopóki wszystko się nie skończy. Ale on nawet na nią nie patrzył.

– Musisz ponieść za to karę, Pirjo – powiedział, odwracając się do niej plecami. – Żądam tego od ciebie. W międzyczasie muszę coś załatwić.

Tak brzmiały jego ostatnie słowa, zanim zniknął.

Natomiast ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, nim w końcu się poddała, były rozpaczliwe krzyki, dobiegające z dziedzińca.

– Pali się! – krzyczeli ludzie. – Pali się, pali!

Carl ocknął się z twarzą wciśniętą w betonową podłogę. W całym ciele pulsowało i mrowiło, a serce waliło mu tak mocno, że odczuwał mdłości i miał odruch wymiotny.

– Co się stało? – spytał, po czym zwymiotował. Nie było odpowiedzi.

Spojrzał na siebie. Ręce wciąż się trzęsły, ale nie były związane. Zobaczył kawałki kabla rozsiane po podłodze. Nieco dalej leżały też cęgi, a drzwi na korytarz stały otworem.

– Assad, jesteś tu? – spytał drżącym głosem.

– Pirjo, dlaczego nie reagujesz?! Przecież się pali! – krzyknął po szwedzku ktoś na zewnątrz.

Potem ktoś wrzasnął. Z gabinetu dobiegał odgłos gorączkowych kroków.

– Niczego nie dotykajcie! – zarządził ktoś. – Ona nie żyje!

Krzyki nasiliły się, zrobiły się bardziej natarczywe.

– Pomocy! – usiłował zawołać Carl, nie mógł jednak przebić się przez rwetes.

Próbował przewrócić się na bok, ale nie dał rady.

Na tle jaśniejszych drzwi do gabinetu mignął cień, po czym Mørck usłyszał zbliżające się kroki.

– Ratunku! – krzyknął, czując, jak grupy mięśni kolejno zaczynają się rozluźniać. Ogarnęło go ciepło, gdy krew zaczęła szybciej krążyć; sprawiało mu to niesamowity ból, zupełnie jakby wszystkie żyły i tętnice były zwapniałe i nie przepuszczały krwi.

Nagle w pomieszczeniu pojawiła się jakaś postać.

– Na podłodze w sterowni leżą dwaj mężczyźni! Coś jest z nimi nie tak, mają związane nogi! – ryknęła.

Przez jakiś czas Carl przyglądał się z lękiem swojemu nieprzytomnemu przyjacielowi, podczas gdy ktoś klęcząc, robił mu sztuczne oddychanie w pokoju, do którego ich przeniesiono.

Na zewnątrz ludzie nawoływali o większą ilość wody i prowizoryczny sprzęt do gaszenia ognia. Ktoś chciał odnaleźć Atu, ale mu się nie udało.

Mówili, że postać przy biurku to Pirjo, że nie żyje. Ktoś przykrył ją obrusem ze stołu w recepcji. Prawdopodobnie była to Nisiqtu, która płakała przy Pirjo, sparaliżowana i blada.

Wielu ludzi stało po prostu beczynn timer, przyglądając się. Odziani na białe mężczyźni i kobiety, którzy z pewnością wiedzieli już, że bajka się skończyła. Zapewne trwali w odrętwieniu, niczego nie pojmując.

– Spójrzcie na jego rękę – wyszeptała jakaś kobieta, wskazując na silnie poparzoną nasadę dłoni Assada i jego poczerńiały kciuk.

Carl z wielką wdzięcznością obserwował ludzi uwijających się przy Assadzie. Nie ulegało wątpliwości, że wiedzą, co robią, niech im Bóg błogosławi.

– On da radę – powiedział jeden z nich. – Serce bije za szybko i za mocno, ale jednak bije.

Carl odetchnął. Jeśli otoczą Assada odpowiednią opieką, na pewno z tego wyjdzie.

Wziął łyżeczek wody, którą dała mu jakaś litościwa dusza, ale miał spore problemy z przełknięciem. Przez chwilę musiał stabilizować głowę, by przestała się kiwać na boki jak wahadło zegara. Lewa kostka bolała, jakby była zraniona, płuca produkowały flegmę jak przy stanie zapalnym. Ale pomimo nieprzyjemnego uczucia, bólu i innych następstw porażenia prądem, żył i wiedział, że będzie dobrze. A już po dziesięciu minutach poczuł się lepiej.

Assad go uratował.

Byle teraz udało się uratować Assada.

Wycie syren trwało dłuższą chwilę, zanim zostały wyłączone tuż pod oknami. Karetki, policja, wozy strażackie – do akcji ruszył cały sztab służb ratunkowych.

Carl już wstał i zdawał teraz raport ze swojej wersji wydarzeń, na ile pozwalał mu na to głos. Tymczasem szwedzcy policjanci dla porządku sprawdzali przez telefon odznakę policyjną zarówno jego, jak i Assada. Oby dodzwonili się do Larsa Bjørna i oby go замуrowało.

Leżący na sofie Assad wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków, ale gdy lekarz z załogi karetki dał mu zastrzyk, ocknął się raptownie i spojrzał ze zdziwieniem na otaczający go tłum.

Kiedy dostrzegł Carla, uśmiechnął się lekko. Mørck o mało się nie popłakał.

Kwadrans później, gdy lekarz z karetki opatrzył prowizorycznie rękę Assada i kostkę Carla, obaj stali, słuchając relacji policji.

Znaleziono ich, poranionych i związanych za nogi kawałkiem kabla na podłodze sterowni paneli słonecznych. Nikt nie wiedział, kto ich uwolnił, ale na pewno nie była to kobieta, która wykrwawiła się na śmierć.

Lekarz stwierdził, że Carl i Assad powinni trafić na obserwację do szpitala w Kalmarze, ale że zapewne uda im się uniknąć trwałych obrażeń, jeśli nie liczyć kciuka Assada, który najprawdopodobniej trzeba będzie amputować. Assad na tę wiadomość zupełnie nie zareagował.

„Pewnie jest w szoku” – pomyślał Carl, obejmując kolegę ramieniem i przytulając. Nie znajdował słów, by wyrazić, co czuje. Assad się dla nich poświęcił. Musiał znieść tyle cierpienia.

– Dzięki, Assad – powiedział. Brzmiało to jakoś blado.

Kolega skinął głową.

– Carl, przecież chciałem sam siebie uratować. Nie wmawiaj sobie nie wiadomo czego – powiedział rwanymi zdaniem.

Poproszono ich, by zidentyfikowali martwą kobietę jako tę, która ich obezwładniła i związała. Potem technicy zrobili zdjęcia, lekarz wypisał akt zgonu, ale był pewien, że jej śmierć nastąpiła z powodu wykrwawienia spowodowanego przedwczesnym porodem. Przyłożył stetoskop do jej brzucha i parę sekund później pokręcił głową. Dziecko też nie żyło.

Następnie załoga karetki położyła zwłoki na nosze i wyniosła je.

Wyglądało to strasznie: tyle krwi w miejscu, w którym siedziała i pod biurkiem. To niepojęte, że tyle krwi może się zmieścić w tak drobnej kobiecie.

– Przyznała się do ataku na was, spójrzcie – powiedział jeden z funkcjonariuszy, wskazując na ekran stojący na biurku.

Carl przeczytał. Tekst napisany był po szwedzku, a jego lektura budziła grozę.

– Co tam jest dokładnie napisane? – spytał Assad z trudnością. – Niezbyt sobie radzę ze szwedzkim.

Carl skinął głową. Oczywiście, że sobie nie radził. Ile można wymagać od kogoś, kto zgodnie z własną deklaracją szesnaście lat temu nie rozumiał ani słowa po duńsku?

– Jest napisane tak: „Przyznaję się do popełnionych przeze mnie czynów. Zabiłam dwóch policjantów w sterowni paneli słonecznych. Zabiłam Wandę Phinn. Jest zakopana w Gyngø Alvar, jakieś osiemset metrów od miejsca, gdzie kończy się ścieżka, i sto metrów w prawo. Wepchnęłam pod samochód Niemkę na przystani promowej w Karlskronie. Miała na imię Iben. Utopiłam Claudię, którą potem znaleziono w Polsce. Nie pamiętam już ich nazwisk. Wszystko zaczęło się od Alberte na Bornholmie, gdzie Atu, który wówczas miał na imię Frank, zaczął...”. I jej wyznanie kończy się na ciągu liter „n” i kilku spacjach. Pewnie położyła na niej palec, gdy straciła przytomność – Carl wskazał „n” na jej klawiaturze. Akurat odległość opuszki wyżej od klawisza spacji.

– Gdzie jest Atu? – rzucił w przestrzeń.

Ludzie wzruszali ramionami. Wiele wskazywało na to, że szczur opuścił tonącą łajbę.

– Nie ma jego samochodu – powiedział ktoś.

Czyli umknął, nim grunt zaczął palić mu się pod nogami.

– Myślę, że uciekając, sam skierował na siebie poważne oskarżenie, podczas gdy jego wybranka, Pirjo, umiera, a budynki stoją w ogniu – stwierdził Carl.

– Tak, ale to, co ona pisze... można rozumieć na wiele sposobów – powiedział Assad.

Carl skinął głową.

– Owszem, można. Może to też oznaczać, że ona próbuje obciążyć go odpowiedzialnością za śmierć Alberte, trudno cokolwiek wywnioskować. Przecież nie mamy pojęcia, czym się kierowała. Może była chora psychicznie. Ale moim zdaniem to, że Atu ucieka, zostawiając swoją wybrankę i dzieło swojego życia płomieniom, mówi samo za siebie.

– Więc musimy go znaleźć, prawda?

Carl potwierdził. Ale gdzie? I kiedy? Zaraz przewiozą ich do szpitala. Obrażeń Assada nie można ot, tak zlekceważyć. Ledwie chodził, a wyglądał przy tym jak zombie. Kończyny miał zeszywniałe i cholernie obolałe, podobnie jak Carl. No i ta ręka, aż trudno o tym myśleć.

– Ogłaszamy poszukiwania Atu Abanshamasha Dumuziego i jego samochodu – powiedział jeden ze szwedzkich policjantów ubranych po cywilnemu.

– Dobrze. Proszę posłuchać, musimy znaleźć nasze kluczyki i komórki – powiedział Carl. – W przeciwnym razie...

– Teraz na pewno nie, ktoś inny może się tym zająć – wmieszał się lekarz. – Na zewnątrz czekają karetki, żeby przewieźć chorych.

Na zasnutym dymem i parą wodną placu stali ludzie w mundurach oraz mnóstwo samochodów z migającymi na niebiesko światłami. Kawalek dalej wciąż było widać unoszące się do góry czarne kłęby, ale dowodzący akcją twierdził, że ogień został już opanowany.

Carl spojrział na zwłoki, które jeszcze półtorej godziny temu były ciałem uśmiechniętej, szczęśliwej kobiety z szatą Atu na ramionach i kamieniem słonecznym w rękach. Jej blada jak płótno twarz nie została jeszcze zasłonięta i wielu ubranych na biało mężczyzn i kobiet zebrało się wokół niej, płacząc w zagubieniu.

Od strony pogorzelniska zbliżyła się ekipa z noszami. Zdezorientowani ludzie przyglądali się temu, szepcząc i dotykając dłońmi twarzy.

– Shirley! – zawołało kilkoro z nich.

Kobieta na noszach jeszcze żyła. Obok siedł mężczyzna, trzymając w górze kroplówkę, inny zaś przytykał jej do ust maskę tlenową. Parokrotnie wyciągała rękę, dotykając dłoni ludzi mijanych po drodze. Na niewiele się to zdało, choć kilkoro z nich musnęło w przelocie jej palce.

– Ona pojedzie jedną karetką, a zmarłą przewieziemy drugą. Duńscy policjanci zabiorą się transportem dla chorych – zarządził dowodzący akcją.

Kobietę poszkodowaną w pożarze położono obok noszy ze zmarłą. Zdjęto jej maskę i przeprowadzono z nią rozmowę. Kaszłała, ale była w stanie odpowiedzieć na pytania. Po chwili zbliżył się ratownik, który zaczął zmywać sadzę z okolic jej oczu. Jej włosy, podobnie jak skóra, były poczerniałe. Niewiarygodne, że wyszła z tego żywa. Ratownicy musieli do niej dotrzeć w ostatniej chwili.

Wyglądała na przeraźliwie smutną, leżąc tak na noszach. Może nie liczyła na to, że wymknie się śmierci, bo wciąż była zszokowana.

Po chwili obróciła głowę w stronę sąsiednich noszy, próbując skupić wzrok. Parę razy zamrugła, nim pojęła, co widzi.

Wówczas zdarzyła się rzecz tak osobliwie groteskowa, że Carl wiedział, że nigdy jej nie zapomni.

Ze wzrokiem wlepionym w zmarłą, kobieta zaczęła się śmiać. Śmiała się niepowstrzymanie i tak głośno, że wszyscy na placu zamarli.

Piątek 16 maja i sobota 17 maja 2014

W szpitalu w Kalmarze padła jednoznaczna diagnoza – lewy kciuk Assada trzeba było amputować. Assad się nie zgodził. Powiedział, że jeśli ma go stracić, to sam go sobie odrąbie.

Carl, którego zemdliło na samą myśl, spojrział na pokiereszowaną dłoń przyjaciela. Jeśli ma jeszcze być pożytek z tego kikuta, który z wierzchu sprawiał wrażenie zupełnie zwęglonego, to Assad musi mieć naprawdę spore chody tam na górze.

– Jesteś pewien? – spytał, wskazując jednocześnie na skorupę na skórze, sięgającą ponad nadgarstek.

Potwierdził bez wahania, twierdząc, że doznał już podobnych poparzeń i sam je wyleczył.

Potem lekarz napomniął go, co się może stać, jeśli w ranę wda się gangrena, i czego w tej przykrew sytuacji pod żadnym pozorem nie powinien robić.

Carl widział po Assadzie, że go boli, choć ten starał się tego nie okazać. Nie pozwolił lekarzowi zagrać tą kartą.

Następnie zbadano funkcje ich nerek i serca, przeprowadzono kilka badań neurologicznych, poproszono o wykonanie kilku różnych ruchów, w końcu zadano im co najmniej sto pytań, i wreszcie wszyscy dali im spokój.

– Zatrzymamy panów przez noc, bo kardiogram pana Carla pokazuje zaburzenia rytmu serca. Jeśli stan się nie pogorszy, to z naszego doświadczenia wynika, że w ciągu paru godzin rytm powinien się sam unormować, ale dla pewności chcielibyśmy wykonać jutro rano EKG.

Assad i Carl spojrzeli po sobie. Nie ułatwi im to pościgu za Atu.

Ordynator, będący archetypem eleganckiego Szweda w kwiecie wieku, nasunął na nos okulary bez oprawek.

– Widzę, że wahają się panowie, czy skorzystać z propozycji. Proszę się nie zastanawiać. Mieliście wyjątkowe szczęście. Z tego, co widzę, Assad poświęcił swój palec, co z pewnością uratowało wam życie, a już na pewno zapobiegło wielu poważnym uszkodzeniom. Gdyby to nie był prąd stały i gdybyście nie mieli szczęścia z pochmurną pogodą, nie byłoby was tu teraz. Ugotowalibyście się od środka. Wasze mózgi i układ nerwowy odmówiłyby posłuszeństwa, a w najlepszym wypadku tkanka mięśniowa uległaby znacznie poważniejszemu uszkodzeniu, powodując o wiele silniejsze dolegliwości bólowe, niż te, z którymi musicie się teraz zmagać.

Zaprotestowali, gdy kazał im włożyć szpitalne odzienie. Widok dorosłych mężczyzn w za długich koszulach, które nie zasłaniały gołych tyłków i chudych, owłosionych nóg, nie był przyjemny dla oczu.



– Muszę was uprzedzić, że przez kolejne dwa, trzy lata powinniście zachować wzmożoną czujność, gdyż mogą pojawić się późniejsze objawy uszkodzeń po takim silnym, traumatycznym przeżyciu. Możecie doświadczyć gwałtownych luk w pamięci, zaburzeń czucia, pogorszenia wzroku lub słuchu. W takich wypadkach konieczne jest zasięgnięcie porady lekarza, rozumiemy się?

Skinęli głowami. Kto ośmieliłby się sprzeciwić lekarzowi w okularach bez oprawek?

– Jeszcze jedno – powiedział ordynator na odchodnym. – Wasi szwedzcy koledzy przynieśli wasze komórki i kluczyki do auta, a samochód postawili na parkingu.

Na takie informacje właśnie czekali.

Nazajutrz trudno było wstać, organizm jednak protestował. Carl spojrzął na Assada, śpiącego na wznak na szpitalnym łóżku. Zdjął opatrunek i trzymał teraz kciuk w ustach, jak dziecko szukające pocieszenia.

Robił to samo, gdy trzy kwadranse później znaleźli się w samochodzie, jadąc do Kopenhagi. Pomimo intensywnych poszukiwań szwedzka policja nie miała żadnych wieści o Atu.

– Naprawdę uważasz, że to ci uratuje palec? – spytał w końcu Carl, gdy przejechali jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów.

Assad ostrożnie wyjął kciuk z ust, otworzył okno i splunął.

Następnie wyjął z kieszeni małą, brązową torebkę z Bodyshopu. „Tea tree oil” – głosił napis na etykiecie.

– Mam go zawsze ze sobą, Rose mnie tego nauczyła. Dezynfekuje, tylko nie można go połykać – powiedział, nalał sobie do ust kilka kropli i włożył palec z powrotem.

– To wygląda na poparzenie trzeciego stopnia, więc tkanki są obumarłe, Assad. Nic na to nie pomoże, czegokolwiek byś próbował.

Assad powtórzył procedurę, splunął i zwrócił się do Carla:

– Czuję w nim życie. Może i jest trochę czarny, ale to tylko skóra. Jeśli czegoś się nie da uratować, to tylko opuszki.

Potem znów nalał do ust kilka kropel i zaczął ssać kciuk.

– Mamy zgłoszenie od policji z Ystad – poinformował jeden z kolegów z Komendy Głównej przez radio. – Poszukiwanego widziano wczoraj, jak wjeżdża na pokład wieczornego promu z Ystad do Rønne.

Co takiego?

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy?

– Próbowali dzwonić wczoraj, ale wasze komórki nie reagowały.

– Nie mieliśmy ich, przecież sami odwieźli je do tego cholernego szpitala. Dlaczego nie zadzwonili na oddział?

– Spaliście.

– To można było zadzwonić dziś rano.

– Mørck, spójrz na zegarek! Jest dopiero siódma trzydzieści. Przecież nie rozpoczęliście nawet pracy.

Carl podziękował i się rozłączył. Atu na Bornholmie, czego on tam szuka? On na jego miejscu na pewno by się tam nie udał.

Assad znów splunął za okno.

– Myślę, że pojechał tam, by zatrzeć ślady, które przeoczyliśmy. Wie, że bez dowodów nic na niego nie mamy.

Hm. Należałoby więc tylko pokrzyżować mu plany.

Mørck wyjrzał przez okno. Decyzja, którą właśnie miał podjąć, nie należała do łatwych. Spojrzał na kolegę walczącego o kciuk poprzez trzymanie go w ustach i przez chwilę poczuł wstyd. Przecież on w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin poświęcił prawie wszystko! Może i Carl powinien ponieść drobną ofiarę?

– Załatwię taksówkę powietrzną – zdecydował.

Assad wybałuszył oczy.

– Tak, tak, jakoś dam sobie radę, może zadziałała hipnoza, kto wie? – spojrzał na nawigację.

– Mamy niedaleko do lotniska Ronneby Lufthavn, dojedziemy tam w ciągu pół godziny. Zorientuję się, czy może nam w tym pomóc Copenhagen Airtaxi.

Po dziesięciu minutach wyjątkowo uprzejmy człowiek poinformował ich, że niestety nie są w stanie załatwić samolotu w tak krótkim terminie.

– Ale proszę spytać jednego z naszych dawnych, szwedzkich pilotów, Sixtena Bergströma – zaproponował. – Ma prywatny samolot, eclipse 500 jet, na Ronneby Lufthavn. Jest w nim sześć miejsc i leci siedemset kilometrów na godzinę, więc chyba to coś dla panów? Przy tej odległości, jakieś sto dwadzieścia kilometrów, podróż na Bornholm zajmie chwileczkę.

Carl nigdy w życiu nie podejrzewał, że dobrowolnie zrobi coś podobnego. Na trzęsących się nogach wsiadł na pokład i usiadł przy oknie w wyjątkowo wygodnym, beżowym fotelu ze skóry, wpatrując się jak sparaliżowany w starszego pana szykującego się do odlotu.

– Mam potrzymać cię za rękę? – spytał z troską siedzący obok kolega, który obwiązał lewy kciuk ogromnym opatrunkiem.

Mørck wziął głęboki oddech.

– Nie martw się, już zmówiłem za ciebie modlitwę – dodał Assad.

Carl wcisnął się w fotel, czując na czole oceany potu i instynktownie unosząc ramiona.

– Nie musi pan tego robić – zauważył pilot, zerkając do tyłu. – Skrzydła już mamy, spokojnie.

Czyżby Assad zdusił śmiech? Siedzi sobie z pokiereszowanym palcem i obolałymi gnatami i rechocze?

Carl odwrócił się do niego i ze zdumieniem stwierdził, że wesołość mu się udziela. Jak się dobrze zastanowić, to rzeczywiście było komiczne.

Opuścił ręce i z ulgą wzruszył ramionami. Właściwie ani trochę się nie bał, musiał to sobie po prostu wmówić.

I wybuchnął głośnym i niespodziewanym śmiechem, o mało co nie przyprawiając pilota o zawał. Jaka byłaby to ironia losu, gdyby się teraz rozbili.

Ledwie wystartowali, a już czekało ich lądowanie. Carl posłał Kazambrze ciepłe myśli, zmierzając do czekającego na nich komisarza Birkedala.

– Jeszcze go nie zlokalizowaliśmy. Nie zakwaterował się w żadnym hotelu, na żadnym polu kempingowym też nie odnotowano, by nocował u nich ktoś pasujący do jego rysopisu.

– Czyli nocował albo w B&B, albo w samochodzie, albo u kogoś, o kim nie wiemy. Macie dla nas auto?

Birkedal wskazał na małego, czerwonego peugeota 206.

– Możecie wziąć samochód żony, i tak mnie zostawiła.

Sprawa miała wrażenie nieco rozgoryczonego. Cóż, trzeba było nie przyjmować zaproszenia Rose.

Ustalili, że przez cały dzień będą w kontakcie, bo człowiek, którego szukają, na pewno nie może wymknąć się z wyspy. Dlatego lotnisko i odprawy promowe pozostaną pod obserwacją.

– Assad, dasz radę? – spytał Mørck, gdy już wtoczyli się do samochodu. W odpowiedzi tamten uniósł do góry obandażowany kciuk.

Twarda z niego sztuka.

– Historia zatoczyła koło dla Atu czy Franka – zauważył Assad. – Wrócił na Bornholm. Tylko gdzie on może być, jak sądzisz?

– W każdym razie nie ma powodu podejrzewać, że wrócił na miejsce zdarzenia. To nie miałyby sensu. A nawet jeśli to zrobi, nie znajdzie tam nic, czego nie znaleźliby już śledczy. Skłaniam się raczej ku temu, że chce odwiedzić na wyspie kogoś, kto wie o tym wszystkim więcej, niż powinien.

– A kto powinien?

Otóż to. Na pewno nie osoba, której Atu poszukiwał. Carl podejrzewał Atu o sporą energię do działania, może nawet za dużą.

– Myślisz, że mógłby kogoś zabić?

– Przecież naszym zdaniem już kiedyś to zrobił.

Widzieli, jak czcił go tłum ubranych na biało ludzi. Zrobi wszystko, by utrzymać władzę.

– Inge Dalby jest w Kopenhadze, więc o nią nie musimy się bać. Myślę bardziej o June Habersaat, co sądzisz?

Assad skinął głową.

– Zgadza się, ona też nie chciała o nim mówić. Masz rację, coś wiedziała.

Carl odruchowo sięgnął po komórkę i wsadził palec prosto w brzuszek pluszaka z napisem: „Mummy is the best”.

Wątpił, czy żona Birkedala ostatnio rzeczywiście była tego samego zdania.

– Assad, zadzwoń do June Habersaat. Jak już się dodzwonisz, przekaż mi telefon. Coś mi mówi, że nie będzie miała ochoty na rozmowę z tobą.

Po upłygnięciu trzydziestu sekund Assad pokręcił głową. Brak kontaktu.

Zadzwonili do jej miejsca pracy, Jobolandu, gdzie dowiedzieli się, że jest na chorobowym, co wydawało się oczywiście zrozumiałe, zważywszy na to, ile zważyło się na nią nieszczęść: śmierć eksmęża i syna. Uprzejma pani podsumowała, że to nic nie szkodzi, bo sezon rozpoczyna się dopiero za pięć tygodni.

Zatem kolejnym przystankiem musiał być dom June Habersaat na Jernbanegade w Aakirkeby.

– Już dziś drugi raz ktoś pyta o tę panią – stwierdził młody facet w ogrodniczkach i z nagim torse, który wnosił wyposażenie do sąsiedniego domu.

– Kto? – spytał Carl, dziwując się jego ogromnej, potarganej brodzie, która w tej pracy nie mogła być praktyczna. Przypominał mu nauczyciela z lat sześćdziesiątych, brakowało tylko sztruksowej marynarki, pewnie założy ją po robocie. Dziwna ta współczesna moda.

– Był tu taki podstarzały koleś ubrany na żółto – zaśmiał się. – Wyglądał jak kiepska reklama biura podróży. Opalony, dołek na brodzie, normalnie ideał.

Assad i Carl spojrzeli po sobie.

– Dawno to było? – spytał Mørck.

Otarł pot z czoła, namyślając się.

– Yyy, wydaje mi się, że jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut temu.

Jasna cholera! Dwadzieścia minut wcześniej i już by go mieli.

– Ale nie wie pan, gdzie wybrała się June Habersaat? – spytał Assad.

– Nic nie wiem. Tylko powiedziała, że wybiera się po coś na grób syna. Dziwne. Chyba wpadła na ten pomysł na widok czegoś, co wnosiłem.

Spojrzał na rękę Assada.

– O proszę, pchało się palce między drzwi? – Zarechotał. Carl miał nadzieję, że Assad nie rozumiał przytyku.

– Jak pan sądzi, co mogło ją zainspirować? – spytał Assad, zacis-kając zdrową, prawą dłoń. Czyli jednak rozumiał.

Carl ujął go za ramię, by nie uległ pokusie przyłożenia gościowi.

– Yyy, nie wiem. To była jedna z pierwszych rzeczy, które wnosiłem. Normalnie na wierzchu załadunku mamy kołdry i ciuchy w czarnych workach, ale wydaje mi się, że chodziło o skrzynkę z różnymi czasopismami. Nie jestem pewny.

Carl odciągnął Assada do samochodu.

– W jakim miejscu ona może znaleźć coś należącego do Bjarkego? Może spróbujemy poszukać jej w ich dawnym domu w Listed albo u tej kobiety na Sandflugtsvej, gdzie

wynajmował pokój, co ty na to?

Assad kiwnął głową.

– Gospodyni nazywała się Nelly Rasmussen – odparł.

Nieźła pamięć.

Potem Assad wyswobodził się z uścisku Carla, obrócił na pięcie i pomaszerował prosto w stronę gościa od przeprowadzek. Pobiją się?

– Co dokładnie powiedziała? – krzyknął już z dziesięciometrowej odległości.

Zdezorientowany koleś wybałuszył na niego oczy, trzymając na barku karton.

– O czym?

– Wybierała się, by coś przywieźć. Czy nie tak to ujęła? Jest pan całkowicie pewien, że tak powiedziała?

– A co za różnica, czy powiedziała to tak, czy inaczej?

– Nie mówiła przypadkiem, że wybiera się do miasta?

– To chyba musiałbym być głuchy.

Carl już był za plecami Assada.

– Właśnie, dla nas to ważne, musimy wiedzieć, czy wybierała się do Listed, czy Rønne, by przywieźć to, co przyszło jej na myśl. Wie pan coś o tym?

– No to już prędzej Rønne. W każdym razie pokazywała w tamtą stronę, kiedy to mówiła. Baby często tak robią bezwiednie.

– Mam nadzieję, że nie powiedział pan tego gościowi w żółtym ubraniu?

Mężczyzna zmarszczył czoło. Czyli powiedział.

– Czy wyglądało na to, że wiedział, dokąd jechać? – spytał więc Carl. Przecież Bjarke się wyprowadził już po wyjeździe Franka z Bornholmu, więc Atu raczej nie znał tego adresu.

– Może i tak – odparł. – W każdym razie trzymał w ręce stronę z lokalnej książki telefonicznej. Może tam znalazł adres.

– Pospieszmy się – powiedział Carl, rzucając się biegiem do samochodu, ale Assad dotarł pierwszy.

– Cholera jasna, tu nie ma nawigacji – prychnął Carl, spoglądając na deskę rozdzielczą. Którędy najszybciej?

– Spokojnie, Carl, znajdę drogę na smartfonie. – Assad zajął się wpisywaniem danych. – Jeśli pojedziemy przez Lobbæk i Nylars, powinniśmy dotrzeć na miejsce w kwadrans.

Carl wcisnął gaz do dechy.

– Dzwon do Birkedala, niech wyślą tam wóz.

Assad wybrał numer z wyraźnym wysiłkiem, spowodowanym bólem lewej dłoni. Potem przez minutę kiwał głową, słuchając odpowiedzi.

– Powiedziałeś, że mają zachować dyskrecję? Jakoś nie słyszałem – stwierdził Carl.

Assad zmarszczył nos.

– Oni w ogóle nie przyjadą, Carl, nie chcesz wiedzieć, dlaczego. W każdym razie wszystkie dostępne wozy jednak nie są dostępne. Chodzi o monitorowanie promów i lotniska.

– Co?

– Powiedział też, że i tak dotrzemy tam przed nimi. Twierdzi, że peugeot potrafi nieźle przygazować.

– Ciekawe, czy poniesie konsekwencje, jeśli nas zatrzymają – warknął Carl, ignorując fakt, że prędkościomierz szybko przekroczył setkę na odcinku, gdzie można było jechać najwyżej osiemdziesiątką.

– Zdejmij koszulę, wywieś ją przez okno i machaj – ciągnął, wcis-kając klakson. – No już, Assad. Właśnie zrobiliśmy z tej puszki pojazd uprzywilejowany.

Dziesięć minut później, przejechawszy przez obszary o dość gęstej zabudowie i minąwszy dziesiątki osłupiałych ludzi, przemieszczając się małą, czerwoną strzałą z zieloną koszulą łopoczącą przez okno, Carl i Assad dotarli do domu na Sandflugtsvej. Gdyby spodziewali się przed nim samochodów, byłiby zawiedzeni, bo na pierwszy rzut oka nic tu nie usprawiedliwiałoby ich ryzykownej jazdy.

– Zadzwoń na komendę i zgłoś jazdę na sygnale, Assad, a ja wejdę do środka i sprawdzę, czy ktoś jest w domu. I weź ze dwie tabletki, przecież widzę, jak boli cię ten palec.

Nelly Rasmussen z wahaniem otworzyła drzwi. Na jej kryjącej się pod kapeluszem twarzy odmalowała się ulga na jego widok, a gdy otworzyła wrota na oścież, ukazał im się widok wart oczu bogów. Nawet włoska czy grecka *mamma* nosząca żałobę nie mogłaby mieć na sobie więcej czerni. Woalka kapelusza, gotowa do zasłonięcia twarzy. Rajstopy, buty, płaszcz, bluzka, spódnica, rękawiczki, naszyjnik, powieki, rzęsy i włosy – wszystko to było kruczoczarne. Rose pokochałaby ją całym sercem.

– Myślałam, że to taksówkarz – powiedziała, wyjmując czarną chusteczkę z czarnej torebki, gotowa ocierać całkowicie suche oczy. Prawdziwy talent aktorski.

– Była tu June Habersaat?

Skinęła głową bez słowa.

– Co chciała?

– Cóż, sama chciałabym wiedzieć. Naprawdę pan sądzi, że raczyła mi powiedzieć? Myślę, że chciała zabrać jakąś gazetę Bjarkego. Nie pokazała mi, ale tak to wyglądało, jak wychodziła.

– Odwiedził panią mężczyzna w żółtym ubraniu?

Kiwnęła głową, tym razem lekko przestraszona.

– Właśnie dlatego tak po prostu nie otworzyłam. Nie chciałam, by znów przyszedł.

– Kiedy był?

– Tuż przed panem, jakieś pięć minut temu. Wtedy też myślałam, że to taksówka.

– Czego chciał?

– Porozmawiać z Bjarkem. Był dość blady i tak po prostu wszedł do środka. „Gdzie jest Bjarke? Na górze? Na pewno w sobotę jest w domu!” – krzyczał. Było to bardzo nieprzyjemne, szczególnie w taki dzień. – Znow dotknęła chusteczką kącików oczu.

Zaczęła przestępować z nogi na nogę.

– Gdzie się podziewa ta taksówka? Jeszcze się spóźnię.

– Gdzie?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

– No przecież na pogrzeb Bjarkego!

– Aha. Pogrzeb jest teraz?

– Tak, przetrzymali go w Kopenhadze. Musieli mu zrobić... sekcję zwłok. – Tym razem popłynęła prawdziwa łza.

– A co z tym mężczyzną ubranym na żółto? Poszukujemy go.

– Doskonale rozumiem, rzeczywiście był wyjątkowo nieprzyjemny. Kiedy mu powiedziałam, że nie może zobaczyć się z Bjarkem, bo ten nie żyje i dziś odbędzie się jego pogrzeb, facet zbladł jak płótno. Oczy mu rozbłysły, wyglądał, jakby oszalał, i powtarzał, że to niemożliwe. Że Bjarke zabił jakąś dziewczynę i musi się do tego przyznać. Wysłuchiwanie takich podłych kłamstw o człowieku, którego się tak bardzo lubiło, było prawdziwym szokiem.

Carl ściągnął brwi.

– Bjarke! Naprawdę tak powiedział? – Potarł czoło. Parę rzeczy musiało mu się ułożyć w głowie.

– Owszem, właśnie tak. I mruknął, że musi mu pomóc matka Bjarkego. Nagle zrobił bardzo dziwną minę i spytał, czy ona też nie żyje. Już miałam powiedzieć, że żyje, ale nie miałam śmiałości.

– On na pewno pojawi się na pogrzebie. Powiedziała mu pani, gdzie się odbywa?

Kobieta potwierdziła.

– Carl! – zawołał Assad z samochodu. – Policja już wie, że nocował w B&B w Svaneke. Nasza znajoma z Listed, ta Bolette, do nich zadzwoniła i powiedziała, że widziała go dziś rano przed domem Habersaata. Do ciebie też dzwoniła.

Carl spojrzał na komórkę. Oczywiście rozładowana.

– Idziemy – powiedział Carl do damy w żałobnym stroju. – Pokaże nam pani drogę.

Zaoszczędzi na taksówce.

Assad znow musiał zdjąć koszulę, by zasygnalizować, że oto jedzie pojazd uprzywilejowany. Nelly Rasmussen aż westchnęła. Rzeczywiście jak na tak niewysokiego mężczyznę miał mocno owłosioną klatkę piersiową.

– Który kościół? – spytał Carl, wciskając klakson do oporu.

Mørck zdał Assadowi relację z tego, co mówiła o Atu i Bjarkem Nelly Rasmussen, która siedziała na tylnym siedzeniu, potakując.

– Moim zdaniem on kłamie – orzekł sucho Assad.

Carl skinął głową. Zdecydowanie istnieje taka możliwość. Atu zrobił rundę po tutejszych znajomych i zapewne było mu na rękę, że Bjarke nie żyje. Sami przecież widzieli, jak potrafi posługiwać się słowem.

– Musimy ostrzec June – dodał Assad.

Nelly Rasmussen zabrakło słów.

Przy kamiennym murze przed Østerlars Rundkirke stała garstka samochodów; dodatkowo kilka to były pikapy, należące do miejscowych robotników, którzy właśnie wciągali wielkie rusztowania na teren kościoła.

– Może zaparkowali dalej przy Kirkebogård. To przecież niemożliwe, by przyszło tak mało ludzi. No i gdzie jest karawan? – wykrzyknęła wstrząśnięta Nelly Rasmussen, gdy wjeżdżali na parking, a Assad wkładał koszulę. – Dlaczego dzwony nie dzwonią? – ciągnęła, patrząc na zegarek. Postukała w niego, potem zrobiła to jeszcze raz. – O nie, zatrzymał się! Spóźniliśmy się na pogrzeb! – Teraz była już naprawdę wstrząśnięta.

– Carl, spójrz! – Assad wskazał na niebieskie volvo. Faktycznie, miało szwedzkie numery rejestracyjne.

Wyskoczyli z auta i zostawili Nelly Rasmussen samej sobie.

Miała rację. Na końcu cmentarza kończyła się już ceremonia złożenia trumny do grobu, a nieco ponad sto metrów przed nimi mężczyzna w żółtym stroju zmierzał prosto w stronę wianuszka żałobników otaczającego grób. Był to Atu. Carl i Assad przyspieszyli. Jeśli puściliby się biegiem, Atu by się obejrzał. Nie mogli ryzykować, że znów im umknie, z drugiej strony musieli chronić June Habersaat. Kto wie, co facet zamierza?

Trzymający w ręku małą szufelkę pastor odsunął się już na bok, czyli skończyła się też ceremonia posypywania trumny ziemią. Zobaczyli June Habersaat, która podeszła do grobu i coś do niego wrzuciła.

Gdy żałobnicy zobaczyli, co to takiego, rozległy się ich głośne reakcje.

Wtedy włożyła rękę do torebki i coś z niej wyjęła.

W tej samej chwili usłyszeli, jak Atu alias Frank woła June po imieniu. W jego głosie brzmiała desperacja. Grupka otaczająca grób zamarła, po czym raptownie się rozstała.

Frank prawie już do nich dotarł. Rozłożył ręce, mówiąc do June coś, czego nie słyszeli, gdy zbliżali się do nich truchtem.

Widzieli już, co June Habersaat wydobyła z torebki. Był to pistolet kalibru, którego nie sposób zlekceważyć.

Nagle wystrzeliła cztery, pięć razy, aż dźwięk odbił się od murów. Atu najpierw się skulił, a potem upadł na krawędź wykopu. To była normalna egzekucja. Zaplanowane morderstwo.



Carl i Assad zatrzymali się gwałtownie. Carl już od jakiegoś czasu nie nosił przy sobie broni.

W tym samym momencie June ich spostrzegła. Widać było, że wydarzenia ostatnich sekund silnie ją wzburzyły, bo patrzyła tylko na zmianę to na leżącego bez życia mężczyznę, to na grób, to na orszak pogrzebowy i pastora, który mężnie zbliżał się do niej, przemawiając uspokajająco.

– Ona się zastrzeli tak samo jak mąż – wyszeptał Assad, gdy kobieta przyłożyła pistolet do skroni. Nie tylko Assad to przewidział, bo pastor właśnie do niej doskoczył i zamierzył się szufelką prosto w pistolet, jakby był wytrawnym graczem Major League Baseball.

Wrzasnęła, gdy trafił ją w rękę, a pistolet poleciał na bok, po czym nie oglądając się za siebie, rzuciła się do ucieczki, wspinając się po ławce, stojącej pod murem cmentarza. Przedostała się na drugą stronę i pobiegła w stronę drogi ciągnącej się między polami.

– Assad, ruszaj za nią, ja wezmę samochód! – krzyknął Carl, po czym zwrócił się do sparaliżowanej widowni: – A ktoś z państwa zadzwoni na policję, okej?

Patrzył przez chwilę na Atu leżącego z jedną nogą wystającą nad wykopany grobem. Oczy miał szeroko otwarte, gdy pastor sprawdzał mu puls. W eleganckiej żółtej koszuli widać było dwie głębokie dziury na wysokości brzucha i jedną na ramieniu. Wyglądał przez nią akurat fragment skóry przebitej przez kulę. Carl wiedział, że widnieje na niej napis „RIVER”.

Pastor pokręcił głową, Atu nie żył. Nie żeby Carl miał co do tego wątpliwości.

Jakie to symboliczne, że leżący tu człowiek, który pragnął być strażnikiem mistyki i synem słońca, dokonał żywota w tym najbardziej legendarnym miejscu na wyspie, w cieniu kościoła rotundowego skrywającego niezbadane tajemnice templariuszy.

Podniósł z ziemi pistolet. Był identyczny jak ten, którym zastrzelił się Habersaat. Musiała to być jedna z dwóch nigdy nieodnalezionych sztuk broni, należących do zmarłego nauczyciela z uniwersytetu ludowego. Czyli Habersaat zabrał oba, a żona jakimś sposobem jeden mu podprowadziła. Eksmąż nie mógłby przecież tego zgłosić.

Carl wstał i już miał ruszyć biegiem do auta, gdy Nelly Rasmussen, łkając jak nigdy przedtem, wskazała do wnętrza grobu.

Pomiędzy czerwonymi różami i trzema garściami ziemi leżało kolorowe czasopismo z mocno rozneglizowanymi panami na okładce. Czy w ten sposób June Habersaat chciała powiedzieć, że w końcu zaakceptowała tryb życia, który wiódł jej syn?

Tylko dlaczego?

Carl puścił się biegiem.

Carl zgarnął Assada na końcu drogi.

– June zaparkowała samochód przy tamtym gospodarstwie – wysapał, wskazując za siebie.  
– Już chwyciłem za klamkę, ale nie zdążyłem. Mam wciąż problemy z mięśniami i oddechem, Carl, przepraszam.

Mørck rozumiał. Assad nie miał najmniejszego powodu przeproszać. Wystarczyło, że sam przebiegł sto metrów, a o mało się nie przewrócił.

– Zapisałeś numer rejestracyjny? – spytał.

Pokręcił głową. No żeż jasna dupa.

– Hej, tam jedzie! – zawołał Assad, wskazując przed siebie.

Choć od wozu dzieliło ich jakieś pół kilometra, wyraźnie słyszeli, jak June Habersaat znęca się nad skrzynią biegów.

– Ten jej stary rzęch ma niezłe przyspieszenie, Carl. Ona jedzie jak wariatka, nigdy jej nie dogonisz.

– Dzwon do Birkedala. Mam nadzieję, że teraz uda im się znaleźć parę wozów, by pomóc nam w pościgu.

Carl docisnął peugeota, niemal wbijając pedał gazu w podłogę. Próbował zrozumieć, dlaczego June Habersaat chciała odebrać sobie życie nad grobem syna. Czy to depresja, spowodowana jego śmiercią, czy powód był bardziej fundamentalny? Czy coś skrywała, skoro postanowiła przez tyle lat przechować skradziony pistolet? I dlaczego zastrzeliła Atu? Ale jeśli była to samoobrona, dlaczego uciekła, czy to napraw...

– Uważaj! – wrzasnął Assad z telefonem w ręce. Przed nimi na szosie leżało mnóstwo potłuczonych butelek. Zdradzieckie denka o ostrych jak igły odłamkach, które mogłyby zatrzymać każdy pojazd na gumowych oponach.

Carl zahamował i przez kolejnych sto metrów toczył się w ślimaczym tempie. Gdyby Assad nie zauważył szkła, opony eksplodowałyby z hukiem.

– O tym też powiedz Birkedalowi, niech kogoś tu przyślą, by sprzątnął szkło.

Kolejny odcinek szosy był prosty, więc Carl dodał gazu.

Gdy dotarli do zabudowań w Gildesbo, zobaczyli czarne ślady hamowania na zakręcie prowadzącym na południe. Ulica nazywała się chyba Åsedamsvej.

– Jak sądzisz, Assad, to ona zostawiła te ślady?

Kolega skinął głową. Dodzwonił się wreszcie do dyżurnego w Rønne. Przekazanie im informacji zajęło mu kilka sekund, podczas gdy Carl pędził z prędkością stu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę na odcinku o optymalnej widoczności po obu stronach szosy.

– Tam! – zawołał Assad.

Carl już zdążył zobaczyć. Na końcu drogi czarny samochód wykonał ostry skręt w prawo. Gdy dojechali do krzyżówki, też skręcił w prawo, po czym dopadły go wątpliwości.

Jakieś sto metrów dalej miał dwie możliwości: w lewo ulicą Almindingensvej czy dalej prosto?

– Assad, tym razem nie ma śladów. Pojechać prosto?

Kolega nie odpowiedział od razu, więc Carl skierował na niego wzrok. Głowa opadła mu na piersi, mięśnie szczęk się zaciskały. Widać było, że z całej siły koncentrował się na tym, by nie jęczeć.

– Jedziemy do szpitala? – spytał Carl. W tej chwili miał gdzieś June Habersaat.

Assad mocno zacisnął oczy, po czym otworzył je, nabrawszy do oporu powietrza do płuc.

– Już mi minęło, Carl, po prostu jedź – powiedział. Ale była to nieprawda, wcale mu nie minęło. – No, jedź! – ponaglił, więc Mørck docisnął pedał gazu.

Las zrobił się gęstszy i rozleglejszy. Kusiły ich liczne boczne ścieżki, ale jechali prosto. Bez względu na wszystko, będzie to właściwa droga, jeśli się jedzie do Rønne, a właśnie tam się udadzą, jeśli ich pościg się nie powiedzie. Przynajmniej Assad dostanie jakieś sensowne środki przeciwbólowe.

Z głębi lasu dobiegł ich pisk hamulców, po którym nastąpiło ciche, głucho łupnięcie. Jeśli to samochód June Habersaat, to nie tylko wybrali właściwą drogę, ale byli też dość blisko.

Znaleźli auto czterysta metrów dalej. Leżało na boku, jakby po prostu spokojnie się przeturlało, ale dwa pasy palonej gumy na niewielkim parkingu, będącym raczej zatoczką na drodze, i mnóstwo zgniecionej trawy świadczyły o innym przebiegu zdarzenia.

– Jechała za szybko i hamulce się zablokowały, gdy chciała się tu zatrzymać – rzucił Assad. Carl rozejrzał się wokół.

– Może myślała, że wjedzie w wysoką trawę i tam się ukryje.

Stali przez chwilę, rozglądając się naokoło.

Nieopodal drogi rozciągał się piękny, choć dziwny widok. Wzniesienie pośrodku lasu w tym skądinąd dość płaskim i mokrym paśmie łąk.

Carl rzucił okiem na kilka plansz na temat zamku znajdującego się na wzniesieniu. „Lilleborg” – głosił napis na tabliczce ze strzałką, wiszącej między dwoma czerwonymi słupkami pięć metrów dalej.

Wzrok Carla podążył w kierunku wskazywanym przez strzałkę. Jeśli dobrze rozumiał, trzeba iść w górę i obejść wzniesienie.

– Myślisz, że uciekła na drugą stronę drogi i w las? – spytał Assad.

– W każdym razie nie pobiegła dołem, bo widać by było zgniecioną trawę.

Carl spojrział na łąki stanowiące rozległy pas równiny. Jeśli miała nad nimi minutową przewagę, bo większa raczej nie wchodziła w rachubę, to wystarczyło, by zniknąć w lesie i na

ścieżce wiodącej wokół wzniesienia, ale na pewno nie na to, by przebiec przez łąki.

– Jeśli podczas wypadku się potłukła, a jest to dość prawdopodobne, to na jej miejscu nie wybrałbym drogi przez las – stwierdził. – Tam człowiek ciągle o coś się obija.

Assad kiwnął głową, w pełni się z nim zgadzając, po czym ruszyli w stronę wzniesienia.

Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, odkąd ich organizmy przeszły wyjątkowo ciężką przeprawę, dlatego wspinaczka po łagodnym zboczu wzgórza stanowiła dla nich nie lada wyzwanie. Już po pierwszym zakręcie i pokonaniu kawałka gołej skały obaj zaczęli ciężko oddychać. I nie było to spowodowane zadyszką, lecz po prostu wycieńczeniem.

– Assad, oszaleliśmy. Powinniśmy nadal leżeć w szpitalnych łózkach w Kalmarze – powiedział Carl po pokonaniu kolejnego odcinka. Rozciągał się stąd widok na położony dwadzieścia pięć metrów niżej parking.

Assad uniósł obandażowaną dłoń i się zatrzymał. Carl też to słyszał. W filmach o Indianach zazwyczaj rozlegał się trzask małej gałązki. Ta tutaj musiała być znacznie większa.

– Ona chyba na nas czeka – wyszeptał Assad.

Spojrzeni w górę na kamienny mur, którego nie zdołały zasłonić trawa i krzaki. Twierdza Lilleborg, kompletnie im obca.

„Trzeba się było zorientować na dole” – pomyślał Carl, gdy zbliżali się do stoku, za którym, przy paśmie łąk, rozciągało się jezioro. Po lewej, wzdłuż muru, biegła ścieżka, ale to nie stamtąd dobiegał dźwięk. Ścieżka po prawej, ogrodzona metalową barierką, zabezpieczającą przed upadkiem w dół, prowadziła wśród głazów i skał.

Idący za nim Assad próbował ukrywać, jak wpływa na niego wspinaczka, więc dobrze się złożyło, że to Carl szedł przodem.

Nagle znaleźli się na szczycie. Wysoka trawa, skały, stół z ławkami, gdzie można było rozpakować kosz piknikowy, i liczne mury, w tym jeden ze spektakularnym widokiem na jezioro. Ani śladu June Habersaat.

– Co w takim razie wcześniej słyszeliśmy? – spytał Carl.

Assad wzruszył ramionami. Widać było, że w tej chwili ma to całkowicie gdzieś. Całą jego uwagę pochłaniała ręka.

Carl przez chwilę dochodził do siebie, opierając się dłońmi o kolana. Jakie to żałosne. Owszem, zrozumiałe, ale jednak żałosne. Miał nadzieję, że nie będą musieli długo znosić tego stanu.

Mørck w ogóle był wściekły, bo ta sprawa wygenerowała już spore koszty. Przed wszystkim palec Assada, ale też czas i wydatki. Tygodniami harowali, żeby odszukać człowieka, który dopiero co został zamordowany tuż pod ich nosem. Harowali, by wyciągnąć odpowiedź od kobiety, która o mały włos nie pozbawiła ich życia, po czym umarła. Harowali, by rozwiązać ciągnące się od lat zagadki Habersaata i by rodzice Alberte zyskali jasność, co stało się z ich córką. I dokąd to doprowadziło? Donikąd. Woda na młyn Larsa Bjørna.

Pewnie ostatecznie ktoś znalazłby June Habersaat, może nawet za jej życia, ale Carl teraz w to powątpiewał.

Wtedy zadzwonił telefon Assada.

– To Rose – stwierdził i włączył na tryb głośnomówiący.

Cholera jasna. Trzeba jeszcze będzie wszystko wyjaśniać. Carl nie miał na to sił.

– Jak się miewasz? – spytał na dzień dobry. – Mówi Carl, moja komórka padła. Assad jest obok i słucha.

– Cześć, Assad – powiedziała. – Nie będziemy rozmawiać o mnie, okej? Czuję się tak sobie, ale z tego wyjdę, więc na tym poprzestańmy. Ale co ja o was słyszę?

– Cóż, przyznaję, że mieliśmy problemy. Assad...

Kolega machnął ręką zbywająco. Lepiej nie poruszać tematu jego dłoni.

– Assad do ciebie macha. Jesteśmy na Bornholmie, a June Habersaat właśnie postrzeliła śmiertelnie Atu.

– Co takiego?

– Tak, super, prawda? Jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Dlaczego to zrobiła?

– Nie rozmawialiśmy z nią, uciekła.

– Wszystko w tej sprawie się komplikuje. Ja też mam coś, co wywróci ją do góry nogami.

– Rose, nie lepiej, byś zrobiła sobie wolne? W końcu jest sobota.

– Bardzo śmieszne, bystrzaku, a wy to co? W każdym razie przebrnęłam przez zawartość komputera Bjarkego i powiem wam, że było to ciekawe doświadczenie. Czterdzieści pięć procent pamięci zajmowały stare gry na PC, różnego rodzaju, takie całkiem stare. Myślę, że nie grał w nie od lat.

– To komputer jest taki stary?

– Chodzi na Windowsie 95, który, zdaje się, jest updatem starszej wersji, więc sam sobie policz.

Mamma mia! Niesamowite, że tak stara maszyna już dawno nie została podarowana jakiejś afrykańskiej wiosce.

– Pięćdziesiąt kilka procent to zdjęcia, a kilka procent to spam, no i jeden plik tekstowy. Dokładniej wiersz.

– Wiersz?

– Tak, napisał wiersz. Tytuł jest dość oczywisty. *Do Franka*. Plik zaplątał się między plikami exe w grze Star Trek z dziewięćdziesiątego piątego, więc niełatwo było go znaleźć.

Słodki losie, faktycznie jest skrupulatna.

Przeczytała wiersz na głos i choć świadczył o braku talentu i nieporadności, trudno było błędnie odebrać jego treść. Krótko mówiąc, opowiadał o odrzuconej miłości i wielkim

gniewie. Gniewie spowodowanym tym, że przez Franka zawałił się ich świat. Że z powodu decyzji Franka rozpadła się rodzina Bjarkego. Że Frank w ogóle istnieje.

– Czyli Bjarke musiał wiedzieć o Franku i Alberte, tylko nie chciał tego powiedzieć ojcu. Dlaczego? – pokręcił głową Carl. To się po prostu nie zgadza. – Jestem już zupełnie zdezorientowany.

– Poczekaj chwilę, Sherlocku, pozwól mi skończyć – przerwała Rose. – Przede wszystkim chcę powiedzieć, że jeśli jeszcze kiedyś trafi nam się sprawa, w której człowiek zmuszony będzie do gapienia się w fotki nagich facetów ubranych tylko w brzydkie skórzane kaszkiety i paski z nitami, do tego w wyjątkowo kompromitujących sytuacjach, to na pewno nie ja będę je przeglądać. Z trudem przebrnęłam przez ponad pięć tysięcy, powtarzam: pięć tysięcy zdjęć takich słodziaków, nim trafiłam na fotę, która sporo wnosi w naszą sprawę. Aż trudno w to uwierzyć. No i moim zdaniem powinniśmy przekazać policji z Bornholmu, że jak następnym razem będą przeczesywać jakiś komputer, to mają, kurka wodna, przejrzeć całość, tak jak ja.

Niby marudzi, ale czy mężczyźni w skórzanych ubraniach to nie są przypadkiem jej klimaty?

– Sprawdźcie zaraz tego MMS-a, którego wam wysyłam.

Odczekali chwilę, nim piknięcie oznajmiło jego nadejście.

Było to zdjęcie zrobione przy pięknej, śnieżnej pogodzie w okolicach świąt przy okazji jednej z harcerskich akcji dorocznej sprzedaży choinek. Cena była sensowna, dwadzieścia koron za metr, ale był to jedyny miły element tego zdjęcia.

Stojący obok Assad zaniemówił.

– Halo, jesteście tam?

– Tak, Rose, jesteśmy – odpowiedział bezbarwnym głosem. – I masz rację, to rzeczywiście niesamowita fotka, świetna robota. Masz naprawdę mnóstwo powodów, by nic nie robić przez resztę dnia.

Carl znów spojrzał na zdjęcie. Był zupełnie zszokowany. W ułamku sekundy musiał przyznać, że wszystkie tropy, którymi zawzięcie podążali, okazały się mylne. Choćby to mozolne poszukiwanie wymagowanej płyty ze sklejkę z powodu małej, głupiej drzazgi znalezionej przez Habersaata. Polowanie na volkswagena ogórka, nie mówiąc już o wszystkich środkach zmarnotrawionych na podsycanie podejrzeń wobec Franka alias Atu. Ileś dni poszukiwań i mylących wywiadów. Wszystko to od początku było nie tak, a tu mają na to dowód.

Na zdjęciu widać było szeroko uśmiechniętego Bjarkego w pełnym umundurowaniu harcerza. Czapkę miał naciągniętą na czoło, na ramieniu sznur, finkę zatknął za pas, na bluzie odznaki. Był dumny jak paw. Dumny z dystynkcji drużynowego, ze swojej inicjatywy, z pewnością wspierającej jakiś cel dobroczynny, i dumny z terenówki, o którą się opierał. Owszem, sprawiał nawet wrażenie dumnego z pomysłu, który najprawdopodobniej był jego

własnym. Bo do terenówki zamontował pług, na którym widniał napis białymi, drukowanymi literami:

„WIELKA HARCERSKA WYPRZEDAŻ CHOINEK – WESOŁYCH ŚWIAT”

To było wstrząsające. Przyjechali na Bornholm, by chronić June Habersaat przed Frankiem, a okazało się, że powinno być odwrotnie.

– No i co wy na to?

– Tylko tyle, że szkoda, że wcześniej nie mieliśmy tego zdjęcia. Rose, to ta sama stara toyota, którą June Habersaat uciekała jeszcze dwadzieścia minut temu, a która teraz leży na boku w trawie jakieś pięćdziesiąt metrów niżej. Cholera jasna!

– Mówisz, że szkoda, że wcześniej nie mieliśmy tego zdjęcia?

– Tak.

– Nie sądzisz, że Habersaat też go nie miał? Czy raczej, czy naprawdę nie wierzysz, że on nie wiedział, że jego syn miał ten pług?

– Rose, on był policjantem. Poświęcił tej sprawie siedemnaście lat. Oczywiście, że nie wiedział.

– Posłuchaj mojej interpretacji. Moim zdaniem Habersaat miał podejrzenia wobec własnego syna i właśnie dlatego z taką zaciętością pracował nad tą sprawą. Miał podejrzenia i za wszelką cenę chciał się ich pozbyć. Czy może być bardziej dogodne rozwiązanie, niż rzucić podejrzenie na kogoś, kogo najbardziej się nienawidzi? Na kochanka żony. Co wy na to?

– Tylko po co zaangażował nas w sprawę? Rozwiązałyby się sama, gdy popełnił samobójstwo.

– Zostawił nam brudną robotę. Miał nadzieję, że dotrzemy do sedna. Habersaat utknął w miejscu, ale może znaleźlibyśmy Franka, a gdybyśmy tego nie zrobili albo zorientowali się, jak jest naprawdę, to właśnie nam przypadłoby trudne zadanie zaarrestowania jego syna. To był dylemat Habersaata. Chciał kryć chłopaka i w końcu zrozumiał, że było to niewłaściwe. Bjarke był winny. Dlatego postanowił ze sobą skończyć.

– Rose, to tylko hipoteza. Ciekawa i sensowna, ale jednak hipoteza. Jeśli masz rację, to fatalnie się z tym czuję. Wielu ludzi poniosło w tej sprawie śmierć, pamiętaj o tym.

– *That's life* – stwierdziła, natychmiast się poprawiając. – Oczywiście chodziło mi o to, że *that's death*.

Assad uniósł ostrzegawczo rękę i obejrzał się za siebie.

– Rose, doskonała robota, bardzo ci dziękuję. Musimy już kończyć, okej? Bateria się kończy.

Zdążyła tylko odpowiedzieć:

– Mężczyźni! Czy wy nigdy nie możecie przypilnować... – po czym Carl się rozłączył.

Assad uniósł obie ręce i wskazał na kilka stopni w skałach, które przed wiekami prowadziły na kolejny poziom, od dawna rozsypany w proch.

Teraz Carl też to usłyszał.

– Przystanę tu, by się wysikać – powiedział Assad, zakradając się prawą stroną i gestem nakazując Carlowi, by poszedł w lewo.

Wyskoczyli obaj jednocześnie.

Tam, jakiś metr niżej, na posłaniu z traw siedziała June Habersaat oparta o kamienny mur. Na ich widok zamachnęła się grubym kijem, trafiając Assada w uszkodzoną rękę. Jej krzyk mieszał się z jego wrzaskiem, który był tak głośny, że gałąź wypadła jej z ręki, a ona wcisnęła się w wyłom w murze.

Rozwścieczony Carl doskoczył do niej, zmusił ją, by wstała, po czym szarpnął ją za rękę, by założyć jej kajdanki na plecach.

Krzyknęła z bólu, a Carl dostrzegł, że jest poturbowana. Lewe ramię wisiało bezwładnie, palce lewej ręki sterczały powybijane ze stawów.

– Assad, dobrze się czujesz?

Kolega trzymał się za rękę, ale kiwnął głową.

– Dzwon po karetkę dla niej – polecił Carl.

Mørck ostrożnie podprowadził ją do ławki i gestem nakazał, by usiadła.

Wyraźnie schudła od momentu, gdy trzy tygodnie temu widzieli ją po raz pierwszy. Oczy w zapadniętej twarzy wyglądały na większe, ręce miała jak u dziecka.

– Słyszałam wszystko, co ta czarownica mówiła przez telefon – powiedziała po kilku minutach ciszy. – Całkowicie się myli.

Carl skinął do Assada, który już włączył nagrywanie w smartfonie.

– June, możesz nam teraz powiedzieć wszystko tak, jak było. Nie będziemy ci przerywać, jeśli nie chcesz.

Zamknęła oczy, pewnie po to, by zignorować ból.

– Cieszę się, że zagnaliście Franka czy Atu, czy jak go tam nazywacie, tu, na Bornholm. Wiedziecie, jaki to był dla mnie prezent, kiedy nagle przede mną stanął? – próbowała się zaśmiać, ale ból ramienia jej to uniemożliwił. – Potem otworzyła oczy i spojrzała Carlowi prosto w twarz. – Chciałam się zastrzelić. Bjarke i ja przez lata zbyt mocno się od siebie oddaliliśmy. Wyłącznie z mojej winy. Po jego śmierci zostało mi tylko poczucie winy, które za ciężko mi było dźwigać.

– Poczucie winy? Z jakiego powodu?

– Takiego, że pozwoliłam Frankowi wywrzeć tak silny wpływ na moją rodzinę. Że zniszczył życie nas wszystkich. W końcu Bjarke nie mógł już tego wytrzymać. Nie po tym, kiedy poddał się jego ojciec.

– Twój syn popełnił samobójstwo, bo był zazdrosny o Alberte i śmiertelnie ją potrafił. Przecież widzieliśmy samochód z doczepionym pługiem, o czym to może świadczyć?

– To nie Bjarke przejechał Alberte, tylko ja.



– Nie wierzę w to, kryjesz syna – stwierdził Assad.

– Nie! – uderzyła pięścią w stół, mimo bólu. Potem przez dłuższy czas siedziała w milczeniu, spoglądając na wzgórze i las po drugiej stronie jeziora.

Kiedy dociera się do momentu, w którym podejrzany otwiera się i znów zamyka, tylko cierpliwość potrafi rozwiązać mu język. Carl już wielokrotnie spędzał w ten sposób długie godziny, teraz też nie było innego wyjścia. Assad to rozumiał.

Po kilku minutach odwróciła głowę do Carla i pochwyciła jego spojrzenie. „Spytaj mnie o coś” – poprosiła wzrokiem.

Mørck namyślał się przez chwilę. To musiało być absolutnie celne pytanie, inaczej kobieta może zamknąć się w sobie na dobre.

– Dobrze, June. Wierzę ci i wiem, że Assad też. Opowiedz nam wszystko od początku własnymi słowami.

Westchnęła i rozplakała się, po czym utkwiała wzrok w blacie stołu i zaczęła mówić.

– Zakochałam się we Franku i myślałam, że będziemy razem. Spotykaliśmy się tu, gdzie mnie znaleźliście, i kochaliśmy się w trawie. Mój mąż Christian nie potrafił robić takich rzeczy jak Frank, więc zakochałam się bez pamięci. – Zaciśnęła na chwilę usta. – Byliśmy ze sobą przez parę miesięcy.

„To musiało być w tym samym czasie, gdy Frank miał romans z Inge Dalby” – pomyślał Carl.

– I potem ze mną zerwał, wbrew wszystkim obietnicom, a tych mi nie szczędził. Dlaczego w przeciwnym razie oszukiwałabym męża, z którym mieszkałam i miałam syna? Dlaczego?

Obaj wzruszyli ramionami. Właśnie, dlaczego?

– Obiecywał mi, że rozpoczniemy nowe życie, że uciekniemy z Bornholmu, że różnica wieku nie ma żadnego znaczenia. Kłamał, menda.

Uniosła głowę; na jej twarzy widać było gorycz.

– Wiedziałam doskonale, że znalazł sobie młodszą kobietę. Czułam te jej tanie, dziewczęce perfumy. Śmierdział nimi, gdy przyszedł ze mną zerwać, a kiedy się głębiej zastanowiłam, doszłam do wniosku, że już wiele razy przedtem czułam ten zapach. Domyśliłam się, że spotykał się z nią w tym samym czasie, co ze mną. I to było najgorsze. – Zachichotała. – Zaczęłam go śledzić i obserwować. Te dwa gołąbki myślały, że są takie sprytne, ha, ha! Widziałam też, jak się komunikują, jak zostawiają dla siebie karteczki przy tym wielkim głazie przed szkołą. Atu i ja też się tak porozumiewaliśmy, tyle że zostawialiśmy je tam, gdzie się zawsze kochaliśmy.

Czyli to tam Alberte i Frank zostawiali sobie wiadomości. Przy tym wielkim kamieniu, który z dziesięć razy mijali. O ironio.

– Raz odwiedziłam Franka w obozie w Ølene i właśnie tam powiedział mi wprost, że zakochał się w Alberte i że chce zabrać ją ze sobą do Kopenhagi. Bezgranicznie go za to

znenawidziłam, ale nienawiść do niej była równie silna.

Siedziała przez chwilę z drżącymi kącikami ust. Było niemal widać, jak wspomnienie tej nienawiści wraca do niej z pełną siłą.

– Zanim to wszystko się stało, zapragnęłam usunąć Alberte z jego życia. Chciałam ją okaleczyć, zniszczyć tę posagową piękność. Miała po prostu zniknąć. Może wówczas Frank do mnie wróci, tak sobie myślałam potem przez długi czas. Owszem, czekałam przez wiele lat na jego powrót, to było chore i naiwne. Potem już po prostu nie chciałam nic o nim słyszeć. Nie chciałam słuchać swojego eksmęża, mojej siostry i was. Frank został wymazany z mojego życia.

„I gdy jednak się pojawił, przyszło mu za to drogo zapłacić” – pomyślał Carl.

– Wzięłam samochód syna, ten, który leży teraz na dole, kiedy był w pracy w blacharni w Aakirkeby. Zostawiał go zawsze przed domem mojej siostry, bo codziennie jadał tam obiad. Miłe to było.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Żeby na samochodzie nie było widać śladów zderzenia, wzięłam ten pług do śniegu, który Bjarke sam zespawał. Leżał sobie w garażu w Listed. Włożyłam go do bagażnika swojego samochodu i pojechałam na Jernbanegade, gdzie przymocowałam go do zderzaka toyoty, bo to do niej był dostosowany.

– Przepraszam, że się wtrącam, June, ale muszę zapytać. Skąd wiedziałaś, że tamtego ranka Alberte ma się spotkać z Frankiem przy drzewie?

Uśmiechnęła się, jakby szykowała się do zaprezentowania swojego wielkiego dzieła. Może właśnie tak było.

– Bardzo wcześnie rano, zanim pojechałam do Aakirkeby, podłożyłam karteczkę pod głaz. Potrafiłam bezbłędnie podrobić pismo Franka, było to bardzo łatwe.

– No tak, ale skąd mogłaś wiedzieć, że ona zobaczy wiadomość tak wczesnym rankiem?

– Chodziła tam codziennie, jeszcze zanim reszta wstała, również jak niczego tam nie było. To była po prostu głupia dziewczucha, dla niej to była zabawa.

– I była na tyle głupia, by pozwolić ci się ot, tak potrącić? To chcesz powiedzieć?

Znów ten uśmiech.

– Nie, stała na poboczu, a ja udałam, że chcę ją wyminąć. Uśmiechnęła się nawet, że można jeździć z pługiem śnieżnym, choć nie było śladu śniegu, a do świąt został jeszcze ponad miesiąc. Ale przestała się uśmiechać, kiedy szarpnęłam kierownicę i w nią wjechałam. Najpierw w nią, potem w rower.

– I nikt prócz niej cię nie widział?

– Było bardzo wcześnie, a na Bornholmie ruch jest przecież niewielki.

– Czyli potem wróciłaś do Aakirkeby i postawiłaś auto Bjarkego na swoje miejsce przed domem Karin? Rozmawialiśmy z nią w domu opieki, ale nie mogła nam pomóc.

– Owszem, tak właśnie było. Ale Karin widziała, jak wkładam pług z powrotem do bagażnika. Przez wiele lat groziła, że to zgłosi, więc to nie ja byłam na nią zła, choć ona zawsze tak twierdzi. To ona była zła na mnie.

Potem wróciłam do Listed i odłożyłam pług na miejsce. Dzień później dowiedziałam się, że Karin powiedziała Bjarkemu, że wzięłam jego samochód i że widziała mnie z pługiem. Wtedy poszukiwania Alberte już trwały.

Siedzieliśmy całą trójką przy kolacji, gdy Christian powiedział, że znalazł ją na drzewie i że wywarło to na nim potworne wrażenie. Poznałam po Bjarkem, że wszystkiego się domyślił. Mój Bjarke nie był głupi, niestety, tak można dzisiaj powiedzieć. Znienawidził mnie za to, ale nigdy mnie nie wydał, nie wspomniał o tym ojcu. W ten sposób go zawiódł. Dlatego nie dał rady mieszkać z nim pod jednym dachem, kiedy kilka miesięcy później wyprowadziłam się z domu. Pomieszkał z Karin i ze mną w Aakirkeby, a potem znalazł własne lokum.

– Czy kiedykolwiek o tym rozmawialiście?

Pokręciła głową, ścierając kroplę z czubka nosa.

– Nie, w ogóle za dużo nie rozmawialiśmy. Odsunął się ode mnie przez swoją orientację seksualną. Dla mnie to było chore.

– Miałaś problem, by ją zaakceptować?

Kiwnęła głową.

– I wrzuciłaś mu jego gazety do grobu, by pokazać, że jednak ją zaakceptowałaś?

Znow skinęła głową.

– Tyle nas dzieliło, Bjarkego i mnie. To musiało się zakończyć. Wszystko musiało.

– Czyli zapewne wiedziałaś, dlaczego napisał „przepraszam” do swego ojca, nie do ciebie?

Skinęła głową, potarła grzbiet dłoni z powybijanymi palcami i na chwilę zacisnęła usta, nim odpowiedziała:

– Jak miał żyć, wiedząc, że jego ojciec popełnił samobójstwo z powodu sprawy, którą Bjarke mógł dla niego rozwiązać? Myślę, że tymi przeprosinami chciał prosić o przebaczenie za to, czego nie zrobił. – Po jej twarzy płynęły łzy, kapiąc na stół i zostawiając ciemne plamy na jego wysuszonym blacie.

– Myślisz, że twój eksmąż podejrzewał Bjarkego, jak sądzi Rose?

Uniosła głowę.

– Nie, był na to za głupi. Ta Rose...

Cała trójka usłyszała ten dźwięk jednocześnie. Wysokie, przenikliwe tony snujące się między drzewami i unoszące ponad ich korony. Najpierw jeden, potem więcej. Powoli, lecz stale przybierały na sile, różniły się wysokością dźwięków, a potem złąły się w jedno. Pomoc była w drodze.

– Słyszę dwie syreny – powiedziała, marszcząc czoło. – Policja też jedzie?

– Tak podejrzewam. Zazwyczaj przyjeżdża przy takich przypadkach.

Jej duże oczy się zwęziły.

– Ile dostanę? – spytała.

– June, nie powinnaś teraz się tym przejmować – rzucił Carl.

– Ile? – zwróciła się wprost do Assada.

– Pewnie od dziesięciu lat do dożywocia. Dożywocie zazwyczaj oznacza czternaście lat – odparł Assad bez ogródek.

– Dzięki, przynajmniej coś wiem. Do tego czasu będę miała siedemdziesiąt sześć lat, o ile w ogóle dożyję. Chyba nie mam na to ochoty.

– Wiele osób dostaje obniżony wymiar kary ze względu na dobre sprawowanie – łagodził Carl, podczas gdy dźwięk syren płoszył ptaki siedzące na koronach drzew.

– Chciałabym mieć rzekę, po której odjechałabym na łyżwach daleko stąd. Ale nie pada śnieg, jeszcze jest zielono... Pamiętacie to? Zacytowałam słowa tej piosenki, kiedy pierwszy raz pojawiliście się u mnie na Jernbanegade. Wiedzieliście, że to z utworu Joni Mitchell? – Uśmiechnęła się do siebie. – Frank mnie jej nauczył. To on nauczył mnie marzyć, że jestem w innym miejscu, w takim, w którym chciałabym się znaleźć. Przesłanie tej piosenki jest takie, że człowiek nie jest zadowolony z miejsca, w którym się znajduje, to też mi powiedział. Znaście ją?

Obaj powoli pokiwali głowami. Syreny zbliżały się już do parkingu. Za chwilę June zostanie zaprowadzona do karetki pod eskortą policji. Nic dziwnego, że przypomniała jej się ta piosenka.

Nagle wstała, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, przebiegła cztery kroki do wyrwy w murze, pokonała cztery stopnie, wzięła rozbieg i wyskoczyła z murów w bezkres.

Carl i Assad zerwali się i dopadli do murów w tym samym momencie.

Okaleczone ciało leżało daleko w dole. Mocno uderzyła w skałę i z pewnością zginęła na miejscu, nim ześlizgnęła się ostatni kawałek i zawisała z drzewa głową w dół.

Dokładnie jak Alberte siedemnaście lat wcześniej.

## epilog

---

Stali przez kilka minut, wpatrując się w niebieskie światła, oddalające się w zielonym oceanie drzew.

Carl przyjrzał się kredowobiałemu opatrunkowi Assada. Siedział porządnie i ciasno.

– Assad, co ci powiedział lekarz z karetki?

– Pokazałem mu, że potrafię zginać palec, a on dał mi zastrzyk z antybiotykiem.

– I?

– Carl, mogę go zginać, co można więcej powiedzieć?

Mørck skinął głową. Za parę godzin Assad będzie siedział w samolocie rejsowym lecącym na kopenhaskie lotnisko Kastrup, a oddział poparzeń Szpitala Królewskiego dzieli stamtąd tylko kwadrans jazdy. Już on go przekona.

– Wiemy, co teraz robimy?

– Tak, jedziemy do Listed.

Czyli się zgadzali.

Pokonali zaledwie połowę drogi, gdy rozdzwonił się telefon Assada, który przełączył go na tryb głośnomówiący. Kobieta po drugiej stronie przedstawiła się jako Ella Persson, sekretarka z policji w Kalmarze. Wyjaśniła, że dzwoni w imieniu inspektora kryminalnego Fransa Sundströma.

– Doszliśmy, kto wezwał policję i karetkę do Akademii Absorpcji Natury na Olandii – powiedziała. – Przy przesłuchaniu nagrania z dyspozytorni okazało się, że głos należy do guru akademii, Atu Abanshamasha Dumuziego. Mamy też podstawy podejrzewać, że to właśnie on was uwolnił. W każdym razie nikt inny się do tego nie przyznaje. Inspektor kryminalny Sundström uważał, że może to was zainteresować. Jego zdaniem stawia to Atu Abanshamasha Dumuziego w nieco innym świetle, więc powinniście o tym wiedzieć, zanim go zatrzymacie.

Carl wlepił zdezorientowany wzrok w rozciągający się przed nimi krajobraz, który przed wielu laty przemierzał Frank Brennan. Gdy nad tym rozmyślał, Assad przekazał sekretarce, że Atu Abanshamash Dumuzi nie żyje i że zapewne otrzymają w tej sprawie raport od bornholmskiej policji.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu. Potrzeba czasu, by przetrwać taką wiadomość.

Dom Christiana Habersaata w Listed otaczała aura, której przedtem nie odnotowali. Nagle stał się elementem przeszłości. Dom po zmarłej osobie, okazja na rynku nieruchomości, pomnik nieudanego ludzkiego życia. Oczywiście wciąż krył jakieś zagadki, ale aura tajemniczości się ulotniła.

Zajrzeli przez okna i stwierdzili, że Rose wykazała się nadzwyczajną skutecznością. Nie licząc opakowań i mebli, których używano jako regałów, nic w środku nie przypominało o tym, że w środku zgromadzono istną bibliotekę na temat jednego przestępstwa.

Spojrzeni na podwójne drzwi do garażu i skonstatowali, że policja założyła na nich kłódkę.

– Czekamy na ślusarza, żeby wejść przez garaż, czy mam po prostu go otworzyć? – spytał Assad.

Carl już miał pytać, jak ma zamiar to zrobić bez narzędzi, ale nie zdążył, bo Assad włożył zdrową rękę między skrzydła drzwi i po prostu szarpnął. Kłódka wisiała tam, gdzie ją zainstalowano, ustąpiły natomiast okucia, więc drzwi się otworzyły, odsłaniając mroczne wnętrza, do którego oczy musiały się przyzwyczaić.

Widok był taki sam, jak przedtem: ślady po kołach, stary sprzęt pływacki, na półkach puszek po farbach, porozrzucone puste kartony.

Odchylili głowy, spoglądając na belki, gdzie leżała deska surfingowa, narty i kijki, po czym cofnęli się do wyjścia, ustawiając się tak, by dało się sprawdzić, czy na wierzchu nie leży coś jeszcze. A kiedy niczego nie znaleźli, wyszli z garażu. I właśnie stamtąd, patrząc pod szczególnym kątem, pod samą ścianą dostrzegli coś leżącego na płótnie żaglowym.

– Nie wdramiemy się tam bez drabiny – stwierdził Assad.

– Chodź, po prostu cię podsadzę.

Carl splótł ręce, Assad oparł się o nie stopą i Carl go podniósł. Nie do wiary, że taka szczupła Pirjo dała radę się z nim szamotać. Mørcka już strzykało w plecach.

– Tak – dobiegło z góry.

– Co tak?

– Tu leży ten pług. Długi na jakieś półtora metra, z napisem z białych liter. Nie mogę się doczytać, co tam jest napisane, ale chyba już wiemy.

Carl pokręcił głową. Jakie to idiotyczne. Gdyby wówczas stała tu drabina, pościg za Frankiem od razu by się zakończył.

– Zrób fotkę, tylko włącz flesz – stęknął Carl. Ta pozycja dawała mu się mocno we znaki.

Kiedy błysnęło, Mørck już zginał kolana, by kolega mógł zejść z powrotem na ziemię.

– Chwila, Carl – powiedział Assad. – Na ścianie obok pługu coś wisi, podnieś mnie wyżej.

Carl napiął się ze wszystkich sił. Przy takim manewrze mogło się to źle skończyć, więc spiął pośladki i pchnął go z całych sił.

– Yes! – rozległ się okrzyk z góry. – Możesz mnie postawić na ziemi.

– No, co tam? – spytał Carl, prostując plecy.

Assad podał mu coś. Była to bielusienka koperta. Niezabrudzona, niezakurzona, żadnych pajęczyn, dziewicza i nietknięta, jakby przed chwilą wyjęta z szuflady.

„Do detektywów” – było na niej napisane łatwym do rozpoznania pismem Habersaata.

Spojrzeni po sobie.

– Otwórz ją – powiedział Assad, a Carl go posłuchał.

W środku tkwiła gęsto zapisana kartka formatu A4, której już wcześniej używano, bo na odwrocie widać było druk.

„Do detektywów” – było tam napisane jeszcze raz, u dołu zaś widniał podpis Christiana Habersaata.

– Carl, przeczytaj go na głos, on pisał jak kuna pazurem.

– Jak kura pazurem, Assad, zresztą nieważne.

Zaczął czytać:

*Czyli już wiecie, misja zakończona.*

*Moje podejrzenia wobec Bjarkego nasiliły się, gdy jakiś czas po śmierci Alberte natrafiłem na to coś, czego Bjarke chyba używał podczas świątecznej sprzedaży choinek. Wydawało mi się, że pamiętam, jak nad tym pracował, i znalazłem ten pług na górze, kiedy szukano go na całej wyspie.*

*Ale choć wiele wskazywało na mojego syna, to podejrzenia wobec kochanka żony też były niemałe. Tak, doskonale wiedziałem o ich romansie, sieć moich informatorów na Bornholmie jest spora. Dzięki niej zyskałem silne poszlaki, że mężczyzna z volkswagenem ogórkiem był tym samym facetem, który spotykał się z Alberte.*

*Potem znalazłem tę drzazgę na miejscu zdarzenia, poza tym wiele innych rzeczy dało mi nadzieję, że myliłem się co do Bjarkego. Chęć zemsty i wrodzona potrzeba chronienia dziecka idą niestety zbyt często w parze. Nie mogłem też dotrzeć do motywu Bjarkego. Dlaczego miałyby zabijać zupełnie obcą dziewczynę? To nie miało żadnego sensu. Wiedziałem, że nie interesuje się płcią przeciwną. Dużo się o to z June kłóciliśmy. Miała wielkie trudności, by to zaakceptować. Ale wydaje mi się, że policjanci mają nieco bardziej liberalne podejście do moralności niż reszta.*

*Czyli moje śledztwo skoncentrowało się na mężczyźnie z volkswagenem. Trwało to, dopóki nie znalazłem decydującego dowodu, że Bjarke jednak miał ważny motyw.*

*Znalazłem go, kiedy jakiś miesiąc temu zacząłem korzystać z pokoju Bjarkego, by trzymać w nim materiały do śledztwa, i natknąłem się na to w pudle ze starymi gramami komputerowymi.*

*Jest na odwrocie tej kartki.*

Carl spojrział na drugą stronę.

Był to stary wydruk ze skrótami do gry w Star Treka, na którym poczyniono dopiski ołówkiem, a na dole, małymi drukowanymi literami było napisane:

*Do Franka.*

Wiersz, w którym Bjarke pisał o swojej fascynacji. Znali już jego treść.

– Przeczytaj resztę listu Habersaata – poprosił Assad.

*Dopiero po znalezieniu tego wiersza wszystko do końca zrozumiałem. Bjarke był zakochany w tym samym mężczyźnie co moja żona i zabił Alberte, bo został odrzucony na rzecz tej młodej dziewczyny. Musiał to napisać wkrótce potem, pewnie zaraz przed wyprowadzką. Stało się to dla mnie tak jasne i logiczne, że serce mi pękło na pół.*

*Szczerze żałuję, że nie miałem zahamowań w walce o to, by doprowadzić do skazania niewinnego człowieka za zbrodnię mojego własnego syna.*

*Teraz jego los jest w waszych rękach. Nie mam po prostu siły aresztować mojego syna. Dlatego tu wszystko się kończy.*

*Christian Habersaat, 29 kwietnia 2014.*

Długo stali bez słowa, myśląc o tym samym.

– Napisał to na dzień przed tym, jak do ciebie zadzwonił – powiedział w końcu Assad.

Mørck kiwnął głową.

– Zdążył podjąć tę decyzję, zanim się zabił.

– Tak. Oczywiście niewielka to pociecha. Gdybyśmy tylko znaleźli ten list trochę wcześniej. Rose miała rację. Habersaat wiedział, że syn był w to jakoś zamieszany.

– Tak, ale nie wiedział, że to żona jest winna. Nigdy byśmy się tego nie dowiedzieli, gdybyśmy poprowadzili to śledztwo inaczej, Carl. June Habersaat zabrałaby tę tajemnicę do grobu.

Mørck znowu skinął głową.

– Musimy zadzwonić do Rose i jej powiedzieć, że miała rację odnośnie do Habersaata i że June Habersaat do wszystkiego się przyznała.

Assad uniósł w górę zdrowy kciuk, wybrał numer i włączył tryb głośnomówiący.

Minęła dobra chwila, zanim połączenie zostało odebrane; już prawie się rozłączali.

– Tu telefon Rose, mówi Yrsa – powiedział głos. Na pewno nie należał do Rose.

– Yyy, Rose, czy to ty? – spytał Carl. Znów wróciła do odgrywania tych ról?

– Nie, przecież mówię, że tu Yrsa, siostra Rose. Z kim rozmawiam?

Carl wciąż miał wątpliwości, ale skoro chce się bawić, niech jej będzie.

– Z Carlem. Podkomisarzem kryminalnym Carlem Mørckiem, szefem Rose, jeśli wolno tak powiedzieć.

– Aaaa. – Zabrzmiało to jak zła wiadomość. – Próbowałam do pana dzwonić, panie Mørck, ale pańska komórka nie odpowiada.

– Przykro mi, wyładowała mi się. Co...

– Z Rose nie jest dobrze – przerwała mu bardzo zatroskanym głosem. – Przyszłam tu przed godziną, bo Rose i ja od czasu do czasu spotykamy się w sobotę na herbatę, i zastałam ją w sypialni. W ogóle mnie nie rozpoznała. Cały czas powtarzała, że zrobiła, co do niej należało, i że się ze wszystkiego wypisuje.

– Wypisuje się?



– Tak, skaleczyła sobie nadgarstek nożyczkami. Twierdziła też, że jest Vicky, naszą inną siostrą. Mówiła, że zahipnotyzowano ją, by wierzyła, że jest Rose, ale nie ma ochoty nią być, bo to niedobra dziewczyna. Że hipnotyzer zbyt głęboko wniknął w jej psychę. Powiedziała, że nie potrafił jej pomóc, bo jest filizanką, która już jest pełna.

– To straszne! – Carl spojrział na Assada, który kręcił głową.

Po prostu niemożliwe.

– Została przyjęta do szpitala psychiatrycznego w Nordvang, więc chwilowo się jej nie spodziewajcie, może w ogóle nie wróci.

Assad wpadł na pomysł, by potem pojechać do Aakirkeby i zamówić bukiet dla Rose przez pocztę kwiatową. Będą mogli wówczas kupić też bukiet i położyć go przy drzewie Alberte.

– Masz świadomość, że możemy pojechać do drzewa tą samą trasą, którą jechała June? – spytał Assad, gdy już wszystko załatwili.

– Tak, oczywiście, że mam świadomość – odparł Carl. – Ale tym razem nie pojedziemy tak jak ostatnio, co? Mam wrażenie, że to auto nie ma na to ochoty.

Assad posłał mu pełen wdzięczności uśmiech.

Stali przez dłuższy czas, przyglądając się gałęziom, drzewu i małemu bukietowi leżącemu u jego podnóża. Kiedy stanęli tu po raz pierwszy, listki dopiero zaczęły się pojawiać; teraz całe listowie było ciemnozielonej barwy.

– Mam nadzieję, że jej rodzice wreszcie zaznają spokoju – powiedział Carl.

Assad nie skomentował, chyba w to wątpił.

Schylili na chwilę głowy z szacunkiem dla zbyt pięknej i naiwnej młodej kobiety, która nie zaznała życia, o jakim marzyła, po czym odjechali.

Rozmawiali trochę o Rose i o tym, co mogliby dla niej zrobić, gdy po prawej stronie zobaczyli uniwersytet ludowy.

– Carl, zatrzymaj się – powiedział Assad, gdy do niego dotarli.

Wyskoczył z samochodu, przeszedł na drugą stronę i podszedł do głazu z nazwą szkoły.

– Pomożesz? – zawołał, odsunawszy kilka kamiennych bloków otaczających podnóże głazu.

Carl dotarł na miejsce, gdy Assad odsunął ciemny kamień, który odsłonił niewielką szczelinę.

– To tu! – zawołał tryumfalnie. – To tutaj wymieniali się wiadomościami. Tu June Habersaat podłożyła sfalszowany liścik.

Carl skinął głową, schylając się. Pogrzebał w ziemi wyściełającej dno szczeliny. Dziwna myśl.

Nagle jego palce musnęły coś gładkiego. Czy to plastik czy po prostu kamyk? Wyjął długopis z kieszeni na piersi, włożył go do ziemi i podważył ów przedmiot. Była to mała, przezroczysta koszulka z plastiku, w jakich trzyma się znaczki czy przepisy kulinarne. Po wielu latach w ziemi plastik zmatowiał. Dziwne, że nie leżał głębiej.

– Coś tam jest – zauważył Assad.

Miał rację. Carl ostrożnie rozchylił koszulkę i wyjął z niej złożoną karteczkę. Nie najgorzej się zachowała, choć papier był pożółkły i zawilgocony.

Mørck rozłożył karteczkę i przytrzymał ją tak, by obaj mogli przeczytać.

*Droga Alberte – głosił nagłówek.*

*Zapomnij o tym, co wczoraj mówiłem. Tak bardzo chciałbym znów się z Tobą spotkać, kiedy wrócisz ze szkoły na Zelandię. Numer komuny, w której mieszkam, to 439032\*\**

Dwóch ostatnich cyfr nie dało się już przeczytać, ale napis pod spodem był całkiem wyraźny:

*Do zobaczenia. Kocham Cię bezgranicznie.*

*Frank*

Assad i Carl spojrzeli po sobie. Frank musiał zostawić tę wiadomość tego samego ranka, gdy Alberte pojechała rowerem na spotkanie swego straszliwego losu.

Assad chwycił się za chorą rękę, Carl położył dłoń na karku.

Gdyby tylko położył tam swoje wyznanie miłości kilka minut wcześniej, nic złego by się nie stało.

Carl westchnął, czując klepanie po ramieniu.

Spojrzał w lśniące, brązowe oczy otoczone siateczką zmarszczek.

Mimo wszystko miał z kim dzielić tę ponurą świadomość.

- 
- <sup>1</sup> Uniwersytety ludowe („folkehøjskoler”), których geneza sięga XIX wieku, są popularną w Danii formą kształcenia ustawicznego, ale również wyrazem duńskiego myślenia wspólnotowego i egalitaryzmu. Możliwość zdobycia edukacji w tych instytucjach nie jest ograniczona wiekiem, wykształceniem ani kompetencjami uczestników, a kursanci zazwyczaj mieszkają na terenie kompleksu szkolnego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
  - <sup>2</sup> Mowa o Kyllingemoderen, prawie stuletnim, drewnianym budynku wzniesionym w Almindingen, służącym jako miejsce spotkań.
  - <sup>3</sup> Dosłownie: Dookoła Bornholmu 1997. Adres strony internetowej można przetłumaczyć jako „bornholmskie stare maszyny”.
  - <sup>4</sup> Barometr imion (Navnebarometer) jest bazą danych, w której można sprawdzić liczbę osób zamieszkałych w Danii, noszących dane imię. Baza tworzona jest na podstawie numerów osobowych przydzielanych każdej osobie.
  - <sup>5</sup> Piątego maja Duńczycy obchodzą rocznicę wyzwolenia Danii spod okupacji niemieckiej w 1945 roku.
  - <sup>6</sup> Simon Fisker w tłumaczeniu na język polski oznacza „Szymon Rybak”.
  - <sup>7</sup> Carlowi nazwisko kojarzy się z Hansem Tausenem, jednym z najwybitniejszych teologów luterańskich, który przyczynił się do wprowadzenia w Danii reformacji (XVI wiek).
  - <sup>8</sup> Są to kwitnące na żółto rośliny występujące obficie na Olandii.